

# Kaczkowski Zygmunt

## BRACIA ŚLUBNI

Nie to mąż, który zoldem rycerskim się bawi,  
Nie ten, "który nad błaznem pomstą ręce krwawi, Nie to, który dość serca ma i wielkość siły,  
Ani też to, któremu i żywot nie miły, Nie to, który postronki targa, a podkowy  
Żelazne w ręku łoma, nie to, kto stołowy Góźdz kreci, albo młyńskie zastanawia koło,  
Albo talerz dębowy rozbija o czoło; Nie to, który swą głową cudze drzwi wybija,  
Ani to, który garnców kilka duszkiem pija. Nie to, który szczęśliwie pojedynki stroi  
A nieprzyjaciela się żadnego nie boi, Nie to, który duż W reku albo na raz trwały,  
Nie to, który szwanek może wytrzymać nie mały: Ale ten, który mężnie fortuny skaranie  
I swe frasunki nosi, a żadnej odmianie Tak w złym jako i w dobrym nie podleł. Takiego Mężem zowę i dank mu daję meztwa swego.

*Hieronim Morsztyn*

I.

W ogromnój gór rozwalinie, ciągnącej się od granic wsi Be- reznicy aż do brzegów rzeki Hoczewki, w prostój prawie linii od wschodu do zachodu, leżą dwie wsie graniczące ze sobą. Wsie te, z których większa zwie się Żernica, a mniejsza Zerniczka, dawniej zapewne jednego domu bywały własnością, może nawet zgoła przez jednego były założone szlachcica; o ile wszakże świadczą najstarsze papiery i najdawniejsze podania, zawsze Żernica była gniazdem starożytnego domu Bobowskich, a na Żerniczce siadywali nieustępujący tamtym w niczem Osuchowscy.

Obadwa te domy, od niepamiętnych czasów tak blisko sąsiadujące ze sobą, piękną też i nigdy niezakłóconą przyjaźń zawsze żywiły dla siebie, a lubo główną tej przyjaźni przyczyną było raz tak blizkie sąsiedztwo, a powtóre poczciwość i dobre serce chowające się spadkowo w obudwu tych rodach, toż jednak inni, czy to cudziej przyjaźni zazdrośni, czy to wszystko na świecie swoim rozumem tłumaczyć chcący, przypisywali to raczej temu, że tak Bobowscy jak Osuchowscy zarówno wiele wazyli sobie znakomitość swojego rodu i przybierając do siebie li tylko jeszcze Żurowskich, zawsze za piórwszych pod tym względem chcieli uchodzić w całej sanockiej ziemi. Wszakże gdyby nawet i ta była ich pięknych ku sobie afektów przyczyna, nie można im tego było brać za złe, bo rozpytawszy się starych ludzi i ksiąg starych się poradziwszy, nie można im było nie przyznać pewnej słuszności.

Bobowscy bowiem należeli rzeczywiście do najstarszych nie- tylko w ziemi sanockiej, ale nawet w całej Rzeczypospolitej rodów, a pieczętując się Gryffem, wiele mieli o sławie swoich przód-

ków do opowiadania, i jeżeli sławny jest w dziejach on Zygmunt z Bobowy, podsędek ziemski krakowski, którego podpis czytamy na przywileju jedlińskim Władysława Jagiełły, a który na grunewaldzkiej potrzebie, obyczajem starych Polaków, kiedy się wszyscy herbowi, chociaż pomiędzy sobą nie krewni, pod jeden znak gromadzili, chorągiew Gryffów przywodził; jeżeli sławnym jest Jan Bobowski, którego regiment pieszy za Zygmunta III-go taką odznaczał się chwałą, a z którego to regimentu wyszedł on późniejszymi czasy tak sławny wojownik Aleksander Lissowski; jeżeli sławnym nakoniec jest Albert Bobowski pod imieniem Ali-Beba znany, który za młodu przez Turków w niewolę wzięty i tam się poturczywszy, siedmnastu języków się nauczył i książki takie na świat wydał, które swojego czasu znała cała Europa; — toż i Osuchowscy, pieczętujący się Gozdawą, a liczący niemniej sławnych siedmiu swych przodków w grunewaldzkiej, czterech na cecorskiej, a jedenastu na wiedeńskiej potrzebie, nie mieli zupełnie powodu kłaść siebie niżej od swoich znakomitych sąsiadów.

Przyjaźń też tych obudwu szlacheckich rodów pomiędzy sobą, której dawność i trwałość nie na lata jak dzisiaj, ani na lat dziesiątki, ale na wieki liczono, nie objawiała się światu samymi czczeniemi komplementami, powtarzanemi sobie wzajemnie, ani drobniemi przysługami sąsiedzkiemi, które albo nic, albo niewiele kosztują; ale potwierdzoną ona była tysiącami opowieściami, które od lat najdawniejszych tradycyjnie od pokolenia do pokolenia przechodząc, świadczyły jawnie, że nie było tego dobra ziemskiego, któregooby w nagłym razie odmówił był kiedykolwiek dziedzic Żernicy dla dziedzica Żerniczki, albo przeciwnie. Opowiadano tedy, jako jeden Bobowski na wojnie chocimskiej własną piersią zasłonił walczącego przy swoim boku Osuchowskiego, i sam poległszy, życie tamtemu ocalił. Opowiadano dalej, jako znów na drugiej chocimskiej Osuchowski dał się samowolnie wziąć w jasyr bisurmanom dlatego, ażeby już pojmanego wcześniej nie zostawić bez siebie Bobowskiego. Inna też niosła ze szczegółami wiadomość, jako jeden Bobowski za zginionym wśród burzliwych za Jana Kazimierza zamieszek Osuchowskim, lubo sam cało i zdrowo powrócił do domu i jeno mu było siedzieć i chwalić Pana Boga na dworze żernickim, puścił się na długoletnią po całym świecie wędrówkę i póty się tułał po krajach zamorskich, póki swojego sąsiada, ożenionego już w Danii, nie odszukał i nie przyprowadził ze sobą; z interczy zaś ślubną panny Bobowskiej, która za panowania Jana III-go wyszła była za Bukowskiego, sędziego ziemskiego pilźnieńskiego, można się dowodnie przekonać, że obdłużona powyżej wartości Żernica, byłaby już wtenczas wyszła z rąk Bobowskich, gdyby był Osuchowski, podczaszy naówczas przemyski, świśzko nabytej wsi swojej Procisnego nie sprzedał i tą sumą Bobowskiego z rąk wierzycieli nie wykupił.

Przyjaźń ta tak poświęconych dla siebie sąsiadów w początek

kach panowania pierwszego Sasa doszła nawet była do tego stopnia, że naówczas żyjący Żernicy i Żerniczki dziedzice budowali sobie tak zupełnie wedle jednego planu dwory i inne zabudowania, że przy zupełnem podobieństwie obudów wsiów położenia i miejsca, na którym też dwory stały, żadnej innej pomiędzy nimi nie było różnicy, krom tej, że przeciwko okien żernickiego dworu, na drugiej stronie rzeczki, która także i wieś Żerniczkę przecinała, był las dębowy starożytny, którego już w Żerniczce niepodobna było zasadzić. Zresztą obadwa te dwory, które nietknięte prawie dotrwały aż do końca panowania Stanisława Augusta, zupełnie były podobne do siebie. I tak: naprzód przy samym wjeździe tu i tam stała brama wysoka, murowana, czworograniasta, nad którą niewielkie się podnosiło piąterko, a w niem dwie izby dla wartowników. Za bramą rozciągał się coraz w górę podnoszący się dziedziniec, na którego środku nie było po staremu drzew żadnych, ani onej lipy rosochatój, samotnej, pod której cieniem zwykli zasiadać staruszkowie biali do kubka miodu, do pacierzy za poległych na wojnach dalekich ukochanych swych towarzyszy, do marzeń o dawnych czasach i do rozmyślań o onej trumnie dębowej, która stała nagotowana pod łóżkiem, o Bogu odpuszczającym w łasce swej grzechy tego świata, o onym świecie nakoniec, przez nikogo nieodgadnionym, a zapelnionym duchami ojców naszych,

przyjaciół, krewnych ..... ale na tem miejscu tak w Żernicy jak

i w Żerniczce stał słup w pół człowieka wysoki, drewniany, z tablicą kwadratową na sobie, na której zamieszczony był zegar słoneczny. Około tego słupa w przytomności pańskiej, który z gościmy siadywał w ganku, stawali masztalerze, kiedy na linewce puszczały na około dziedzińca tureckie ogiery, albo doma chowane źrebce, dla sprezentowania ich gościom; około tego słupa karmiono pańskie ogary codziennie, i po powrocie z polowania, łakomą dla nich dawano odprawę; około tego słupa nakoniec za nieposłuszeństwo, lenistwo lub inną swawolę, stawiano sługi dworskie na wstyd i poprawę, bo nie było zwyczaju ani u jednego ani u drugiego z sąsiadów za łada powodem bizunem boćkowskim okładać plecy chłopskie.

Dalej za onym. słupem, a wprost naprzeciwko bramy, stał dwór murowany z kamienia; bo tak w jednej wsi jak i w drugiej łatwiej o kamień i wapno, niż o drzewo budulcowe. Dwór był murowany po staroświecku, ganek miał z przodu na czterech słupach oparty i ławami opatrzone po bokach, w środku sień wielką kamiennymi wyścieloną płytami, po prawej izbę wielką gościnną, w której wszystkie po przodkach odziedziczone i przez każdycze- snego dziedzica nabyte, niby na wystawę gościom były zgromadzone bogactwa: więc złotem tkana makata na Turkach pod Cho- cimem przez jednego z Bobowskich zdobyta w żernickim dworze, i podobna maka w Żerniczce przez jednego z Osuchowskich przy- ' wieziona z pod Wiednia; dalej tu i tam perskie dywany, drogo

cenne, po brzegach złożone, a z za morskiego drzewa misternie rzezane sprzęty, w metalowe a grubo złożone ramy poujmowane zwierciadła, grające i kukające zegary, misterne malatury z historyi świętej i lada jakich rycerskich przodków portrety, dalej hełmy, misiurki i rdzą już zarośnięte pancerze, których ich właściciele zapomnieli wziąć ze sobą do grobów, nakoniec srebra domowe, które herbownymi cechami swojemi i napisami z szaf dębowych przez szkła wyglądały. Za tą komnatą szły dalsze izby naokoło domu, i było ich siedem, aż ósma, która się już po lewój stronie od sieni na samym rogu domu znajdowała, była tak tu jak i tam sypialnią pańską i kancelaryą.

Po lewój stronie dworu, tak w Żernicy jak i w Żerniczce, stała wązka i długa oficyna, w której kuchnia, parę pokojów gościnnych i pomieszkania sług co przedniejszych; po prawej zaś już jedne za drugimi wyciągały się stajnie i obory, stodoły i brogi, które znów drugi formowały czworogran, i znów odpowiedni dworskiemu miały w smym środku dziedziniec, z tą jednak od tamtego różnicą, że tamten był czysty i gładką, w lecie co tydzień podkąszaną wyścielony murawą, ten zaś z jednoj strony brunatnemi zarzucony mierzwiemi, z drugioj w camoj rzeczy był stawem, cie-mno-zieloną i swemi wyziewami zabijającą napelnioną gnojówką.

Takie wybudowali sobie dwory i obejścia nierozzerwaną przyjaźnią ze sobą powiązani sąsiedzi; jednakże z tą przyjaźnią, o której powiadano, że od niepamiętnych czasów nigdy się nie rozerwała ani na rok jeden, bo jeszcze zawsze za życia ojców synowie statecznym się ze sobą wiązali afektem, już zaraz z końcem panowania Augusta II-go zdarzyło się tak, że się rozerwała na czas dłuższy i nie mogła miść nadziei tak prędkiego zawiązania się nanowo. Stało się bowiem tak, że pan Fryderyk Osuchowski, łowczy sieradzki, a Żerniczki naówczas dziedzic, jako to żołnierz sławny swojego czasu i niepraktykowanie gorący w boju, poszedłszy z królem Stanisławem Leszczyńskim do Gdańska, tam drapiąc się kędyś niepotrzebnie na mury forteczne, ustrzelony w samo skronie od Sasów, padł i ducha wyzionął na miejscu, zostawiwszy w Żerniczce żonę i syna wprawdzie, ale takiego, któremu było dopióro lat kilka; — na Żernicy zaś jak siedział tak siedział zawsze jeszcze stary pan Michał Bobowski, stolnik sanocki.

Okolo połowy panowania Augusta III-go, pan Michał Bobowski miał już lat siedemdziesiąt z okładem, a ci, którzy go pamiętali od dawna, powiadali nawet że więcoj. Starzec to był wysoki wzrostem i tak chudy, że po obudwu stronach kontusza miał poprząszywane szlifki sukienne, przez które pas musiał przeciągać, ażeby się z niego nie zsunął. Czuprynę na głowie miał białą jak mlisko i tak gęstą jak szczotka; twarz miał obdłużoną, którą barwa żółta była na czole jakby pergamin a na pulczkach sinawa, nos wielki orli i oczy wielkie niebieskie, prawie zawsze nieruchome i zamyślone. Pan stolnik sanocki bywał po kilka razy

posłem na sejmach i deputatem na trybunałach i wielkiego zachowania używał u szlachty; zachowanie to jednak nie tyle miał do zawdzięczenia swoim poselstwom i deputacyom, ile swojej nieporównanej znajomości wszystkich praw, statutów i konstytucyj, którą nawet najzawołanszym imponował legistom, jako też i onój subtelnej sumienności, którój aż nadto dostateczne dowody dawał niegdyś na swoich funkcjach sądowych, a dzisiaj jeszcze na kompromisach, na które zwykła się była zapisywać nietylko cała ziemia sanocka, ale nawet szlachta z ziem oddalonych. I te to funkcje sądowe, na których cały swój młodszy wiek strawił, jakoż i ustawiczne sądenie sporów sąsiedzkich na sądach polubownych, od których nigdy wolnym być nie mógł, głównie zaś jego wrodzone do pracownictwa zamiłowanie, uczyniły z niego tak zapalonego jurystę, że lubo go do tego później już żadna nie zniewalała potrzeba, on jednak przez cały czas od zatrudnienia gospodarskiego lub innych obowiązków rodzinnych, kodeksami i paragrafami tak był zajęty, jak gdyby krom tego nic już innego nie istniało na świecie.

Pan stolnik sanocki miał, jak się to wyżej już rzekło, wieś dziedziczną Żernicę; prócz Żernicy dziedziczył jeszcze i na Rogach, wsi pięknej i bardzo intratnej, a położonćj pomiędzy Rymanowem i Krosnem, i zbyteczne to natężenie się nad paragrafami nic nie szkodziło tym obudwu dziedzictwom; bo wieś te były tak czyste od wszelkich długów, a nawet od jakichkolwiek wątpliwości granicznych, że pan stolnik raz rozgadawszy się szeroco z palestrantami w Sanoku, sam z własnoćj woli ofiarował tysiąc czerwonych złotych temu, któryby coś na nim sądownie wygrać potrafił, i żaden nie podjął się tego; biegłość ta jego w jurysteryi i te jeszcze zresztą przyniosła pożyteczne owoce, że dziedzic Żernicy i Rogów nietylko nigdy nie pożądał cudzego grosza, ale nawet, jak powiadano, skrzynię w swoćj kancelaryi miał dobrze zaopatrzoną i gotowizną i rewersami mniej gospodarnych sąsiadów, a że nie jedna drapieżna ręka, sięgająca po cudzy majątek i nie jednej familii majątkowy upadek tylko jego pancerną paragrafami głową powstrzymane zostały, o tóm wiedziała swojego czasu cała ziemia sanocka, wiedziały i dalsze krainy.

Ale pan stolnik miał syna, równieśnego prawie latami Łowczycowi Osuchowskiemu z Żerniczki, a synowi temu Józef był na imię. To dziecko można powiedzieć że umęczone było za życia ojca. Ubrdało się bowiem panu stolnikowi koniecznie z Józefka wielkiego uczynić legistę. Męczył też to dziecię tak statutami i paragrafami, że Józefek w dwunastym roku swojego, życia, jakie tylko były znane natenczas w Polsce statuta i prawa, nie wyjąwszy nawet Speculum Saxonum i wszystkie Magdeburgie, umiał na pamięć jak paciórż, a oprócz tego wprawiał go był już ojciec w taką praktykę, że ten maluczki chłopiec sam musiał utrzymywać dekretarz wszystkich ojcowskich sądów kompromi-

sarskich, a oprócz tego prowadzić także i sentencyonarz spraw takich, które nie dostały się nigdy panu stolnikowi do sądenia, a które on, dowiedziawszy się o nich tylko ze słuahu, rozsądzał sobie w domu dla ćwiczenia.

Pan Bobowski miał dwie wsie dziedziczne, skrzynie pełne gotowych zasobów i reputacją jednego z najzamożniejszych szlachty na całą ziemię, i był też nim w rzeczy; więc wpadło to w oczy sąsiadom, że będąc w tak pięknej sytuacji, jedynaka syna męczy tak bezpotrzebnie naukami, i litowali się nad Józefkiem i prosili za nim ojca; ale to nic nie pomagało. Pan stolnik powiadał:—Majątek w dzisiejszych czasach rzecz bardzo krucha. Najbogatszy u mnie jest ten, który majątek ma w głowie. A zresztą, choćby i nie to, to warto coś także i dla sławy uczynić, bo jużciż rzecz oczewista, że kiedy ja, którego nic nie uczono za młodu, sam do tego doprowadziłem, że mnie znają na kilkadziesiąt mil naokoło, toż on, który już teraz zna wszystkie prawa na pamięć, kiedy do swoich lat przyjdzie, powinien być znany przynajmniej połowie Europy. Pan Albert Bobowski jeńcem był przyprowadzony do Car ogrodu, a przeciw nauczył się jeszcze siedemnastu języków, został pierwszym tłumaczem sultana, a Ali Beba zna dzisiaj świat cały.

Na próżno argument pana stolnika argumentem zbijali sąsiedzi, że nie dla niego to sława, na którą zarabia się piórem i niemiec-kiem nad bibułami ślęceniem, że nie rzeczy jest rycerskiego szczepu potomstwo do mniszego zatrudnienia zaprawiać,—wszystko to było napróżno! pan stolnik bowiem, jak raz co w swojej ułożył głowie, to et sinam fractus dilabatur orbis, nie odstępował od tego; więc biedny Józefek bladł coraz bardziej i mizerniał pod pandektami, a starożytna krew Gryffów, która za igraszkę sobie miała grucho- tać kości wyborowi krzyżackiego rycerstwa pod Grunewaldem, wysychała w nim już do szczętu.

Ale fiiedość jeszcze było tej męki, którą mu cierpieć przyszło pod okiem ojca. Kiedy bowiem Józefek doszedł lat kilkunastu, oddał go pan stolnik do pana pisarz i grodzkiego sanockiego na aplikanta, ażeby tam praktycznie poznał całą jurysteryą od deski do deski. Biedny chłopczyna, kiedy się nagle znalazł w Sanoku, i to ulokowany na najniższym szczeblu sądowniczej hierarchii w powiecie, sam nie wiedział co się z nim stało. Nie miał matki nieborak, któraby się swego dziecka ujęła i nie dała mu się poniewierać pomiędzy sądowniczym motłochem, nie miał krewnych statecznych, którzyby byli potrafili przemódz niecofnione postanowienie ojca; nie miał przyjaciół nawet, którzyby go dobrą radą wspomagali, lzy jego ukoili i pocieszając na teraz, pokazali choć w oddaleniu nadzieje. Cierpiał też biedny Józefek w milczeniu, pracował po dniach i po nocach, a potyrany przez wszystkich, był jeszcze przedmiotem urągania i gburowatych przycinków dla podłej hałustry Popowiczów i Kutasińskich, którzy radzi widzieli

potomka znakomitego rodu choć na chwilą na równi ze sobą. Jednakże i w tym małym i paragrafami zagłuszonym dzieciaku przebrała na koniec miarkę swoją cierpliwość, a chociaż umiał sobie taki gwałt czynić w domu, że ani poznać nie dał po sobie wrodzonej do paragrafów niechęci, tutaj jednak zdobył się na to, że nocą uciekły z kancelaryi pana pisarza, przybiegł piechotą do ojca do Żernicy i do nóg mu upadłszy, zaklął go na wszystko, że raczej w piecach palić będzie w żernickim dworze, niżeliby miał być torbiferem w Sanoku. Zgniół się pan stolnik na syna, nie tyle za to że uciekł z funkcji, ile za to, że palenie w piecach przeniósł nad stan jurysty, i nie- odesłał go już napowrót do pana pisarza, ale też go i ze swojego paragrafowego objęcia nie wypuścił już aż do śmierci. Męczył się- tedy znowu Józefek nad pande- ktami i po staremu, a nawet z wrastającym wiekiem i objęciem coraz obszerniejszą i cięższą musiał pędzić służbę około dekreta- rzów i sentencyonarzów, i było tak, że kiedy pan stolnik już był ociemniał, a pan Józef już chłop setny natenczas i pod wąsem, czytając mu różne konstytucje albo dekreta sejmowe przy łóżku, gdy w czym się omylił, to takiego jeszcze nieraz kpa wziął za to, jak gdyby miał dopiero lat dziesięć albo dwanaście. Tymczasem kiedy wychowanie odbierał przyszły dziedzic Żernicy, całkiem inaczej się działo w Żerniczce. Pani łowczyna Osuchowska, kobieta już nie młoda wiekiem i podobno niegdy niebardzo szczęśliwa w pożyciu z mężem, z siedmiorga po kolei pomarłych dzieci modlitwami sobie u Pana Boga uprosiwszy życie tego jednego, takie dawała wychowanie swojemu ukochanemu Stasiowi, jak Bóg dał, albo zrzędały przypadki. Najprzód tedy, lubo wiedziała dobrze że w tych czasach i szlachetnie urodzonemu dziecku koniecznie potrzeba nauki, i lubo pragnęła z duszy, ażeby jej Staś ukochany, jeżeli nie więcej, to przynajmniej tyle posiadał nauk co woje wodzie który, lub kasztelan krakowski, toż jednak tak długo nie mogła się oswoić z samą tą myślą, że w tym celu-trzeba go będzie odwieść do miasta, do jakiego konwiktu, i samój pozostać w Żerniczce, że Stasio już dwunasty rok kończył i zaledwie to wiedział, że są jakieś druki i litery na świecie. Ale za to umiał celnie z łuku strzelać do tarczy, koni oklep dosiadać, ptaki imać na siłki lub w samotrzaski, a nawet i do flinty już się nie raz porywał, czemu wszystkiemu nietylko nigdy nie przeszkadzała, ale owszem nawet sama lubiła przyglądać się matka i cieszyło ją to, i powiadała: — Nieodrodna to krew Gozdawitów, czysto ojcowska natura. —<sup>^</sup> A trzeba wiedzieć, że pani łowczyna była z domu Orzel- ska i jej ojcowie pieczętowali się także Gozdawą.

Śród tego czasu pan stolnik sanocki tej i owej niedzieli pozwalał swojemu Józefkowi przejść pieszo, albo przejechać się wózkiem, do Żerniczki do Stasia. I było to wielkie szczęście dla Józefka natenczas i największa uciecha. Jednakże kiedy tam przyjechałszy, wybiegł z swoim rówieśnikiem w podwórze i sam chudy,

blady, z poźółkłą na twarzy i do pargaminów podobną cerą, z zapadniętymi piersiami, zaledwie zdaleka śmiał patrzeć, jak tamten chłopiec czerstwy, rumiany i z natury odważny, koni śmiało dosiadał, przez płoty i rowy swawolnie sadził i po drzewach się wspinał dla założenia tam silek lub otrzęsienia owoców, to aż się dusza w nim radowała i śmiał się, ale często wśród śmiechu odwracał się nagle, wzdychał ciężko i płakał. Staś poczciwy, lubo niewiele się znał na westchnieniach i płaczu, jednak zasmuconego ujrzawszy sąsiada, rad porzucił swawolę i pocieszał go jak mógł w tym frasunku, a kiedy nie wiedział już co wymyślić, doradzał mu iżby namówił ojca, aby go do szkół odesłał: tam—powiadał— napędzimy księży ze szkoły i będziemy swawolić do syta. Ale wkrótce i Stasiowa swawola niespodziewanie się zakończyła: przyjechał bowiem około tego czasu brat stryjeczny pani łowczynej do Żerniczki, brat który był pijarem, księdzem mszalnym i profesorem w konwikcie warszawskim, a który miał w imieniu swojego rodzeństwa ułożyć się o podział jakiejś świeżo spadłej spuścizny z panią łowczyną. Ksiądz ten, kiedy obaczył 12-letniego chłopca, urodzenia szlacheckiego, nie umiejącego ani czytać ani pisać, ledwie chciał wierzyć temu, i odprawiawszy kilka mszy świętych na przebłaganie Pana Boga za taką herezyą, płaczącą matkę zostawił w domu, a ciekawego Stasia zabrał ze sobą.

Odpadła tedy Józefkowi natenczas nawet i ta ostatnia rozrywka. A kiedy w lat dziesięć potem pan łowczy Osuchowski, strawiwszy te lata częścią na naukach, częścią na jakiejś służbie dworskiej, już młodzian pod wąsem, piśmienny i dobrze po świecie otarty, na swoje dziedzictwo powrócił, to zastał wiele odmian, jak zwyczajnie w lat dziesięć na świecie: wielu sąsiadów i przyjaciół wymarło, wiele młodzieży podrosło; matka jego już się zestarzała na dobre, pan stolnik już był ze starości ociemniał, ale pan Józef, lubo już był także wyrósł potężnie i zmężniał, jednakże zawsze jeszcze ślęczał dniem i nocą nad coraz nowymi księgami i zapewne o niemało statecznych wiadomości wzbogaciła się jego głowa, ale ze świata żywego śnać tylko tyle przybyło mu wyobrażeń, ile ich na kilka-miesięcznej praktyce u pana pisarza w Sanoku mógł nabyć.

Przybywszy pan łowczy do domu i nacieszywszy się z matką swoją do syta, niebawem też pojawił się i w Żernicy, a tam ujrzawszy co się z jego towarzyszem zabaw dzieciennych jeszcze wciąż dzieje, jako to człek już światowy i pomiędzy młodzieżą miejską i dworską cokolwiek już ośmielony, i tą śmiałością swoją temci bardzijsz na prowincyi pochwalić się chcący, zaraz tóż ze swojemi uwagami w tym względzie przed panem stolnikiem wyjechał. Ale pan stolnik nie był tym człowiekiem, któremuby ktoś swoim rozumem mógł imponować, a tembardziej człek młody i niedowarzony; wyciął on też zaraz panu łowczycowi potężną oracyą, a nakoniec dodał: — Jeżeli łaska, to przyjeżdżaj sobie do mego



Józefka, bardzo mnie to kontentować będzie; zawsze to Osuchowscy zaszczycaли swoją przyjaźnią Bobowskich, więc i wy możecie sobie razem koni dosiadać, albo w palcaty pójść czasem ze sobą, bo to młodzież to lubi swawolę, ale opiekę nad Józefkiem zostaw z łaski swojej już temu, któremu ją Bóg sam poruczył. — I tak zostało znowu po dawnemu. Pomimo to jednak łowczyc zrazu, już to przez dobre serce i przyjaźń, którą miał dla stolnikowicza., już to z nudów, których po dworskiem i miejskiem życiu doznawać musiał w Żerniczce, szęsto się jawił Żernicy; lecz kiedy się z czasem pokazało, że jego usposobienia z usposobieniami Józefa, jego cały nawet charakter z charakterem tamtego tak nie są zgodne, że się pomiędzy nimi żadna bliższa nie zawiązuje relacya, to przestał całkiem bywać w Żernicy, a znalazłszy dla siebie odpowiedniejszą kompanią w po wiato wśj młodzieży, a głównie pomiędzy jej junakami, których natenczas kilkunastu było w sanockiej ziemi, zostawił Józefka i nadal opiece Boskiej i pana stolnika.

W kilka lat jednak potem, postać rzeczy całkiem się zmieniła: pan stolnik bowiem, obłożony kodeksami i konstytucyami, oblany łzami swojego szczerze do siebie przywiązanego syna, przeniósł się na świat tamten, ażeby stanąć także pod oną Grunewald- ską Gryffów chorągwią, pod którą wszyscy jego ojcowie się gromadzili, ale pod którą jeszcze dotychczas żadnego Gryffa legisty nie było.

Po śmierci ojca, pan stolnikowicz gorącemi zalał się łzami. Pojrzał po świecie i widział świat wielki i szóroki i zimny, trudny do przejścia, niepodobny do zrozumienia, tak jako jest w książkach; pojrzał po swoim majątku i widział dwór i wieś ludną, sług pełno, poddanych, dobytku i sprzętów; pojrzał po sobie i widział siebie osieroconym, samotnym, niedołącznym i nieumiejącym nawet jednego dać kroku—i znowu zalał się łzami. I jeszcze raz zalał się łzami, kiedy się przekonał u siebie, że nawet pogrzebu ojcu zarządzić nie będzie w stanie.

Tak długo płacząc samotnie i rozmyślając nad sobą, posłał nareszcie po pana łowczy ca. Pan łowczyc natychmiast przyjechał, jak mógł tak sąsiada swego we łzach i żalu utulił i nie odstępując już ani krokiem od niego, pogrzeb piękny zarządził, nabożeństwo wielkie rozkazał, gości siła posprasał, w kuchni ład przyzwoity uczynił, piwnicę od lat kilkunastu nietkniętą otworzył, i wszystko tak pięknie zrobił, że było aż nadto dobrze, jak na smutny obrzęd pogrzebu. Józefek, który do niczego ani się nie odezwał, nie mógł się dosyć nadziwić, jak to Staś wszystkiemu podoła, będąc tak młodym jak on i nie mając nikogo starszego nad sobą, ale przy stypie jeszcze bardziej się dziwił, jako ludzie starzy i bardzo stateczni jego zdrowie pili wielkimi puharami, kłaniali mu się wszyscy i z taką się oświadczałi przyjaźnią, jak gdyby jakieś największe do tego ich zniwalały obowiązki. A ponieważ wiedział, że ci ludzie żadnych względem niego obowiązków

nie mają i tylko z dobrego serca to czynić mogą, więc nabrał innej otuchy i innych wyobrażeń o ludziach i świecie, niżeli te, które mógł o nich powziąć z akcyj sądowych i karnych kodeksów.

Tymczasem przez zawezwanie pomocy pana Łowczyca do urządzenia pogrzebu, związał się znów bliższy stosunek pomiędzy obudwoma młodymi sąsiadami, a ponieważ pan stolnikowicz ciągle jeszcze nie mógł się obchodzić bez rady i pomocy pana łowczyca, i prawie gwałtem go trzymał u siebie, więc ten stosunek ścieśniał się coraz bardziej, że nakoniec przypomniały się im chwile ich pacholęctwa, odświeżone zostały one stare powieści o Bobowskich i Osuchowskich przyjaźni i wzajemnych poświęceniach dla siebie, nastąpiły niebawem ich same wywnętrzenia się i spowiedzie, pragnienia i żale, aż też przyszło do tego, do czego pomiędzy młodymi tak łatwo przychodzi, że w sercach wnuków zasiane zostały nasiona tój samój przyjaźni, która przez tyle wieków kojarzyła ze sobą ich ojców i dziadów.

W kilka tygodni też po śmierci pana stolnika, siedzieli oba- dwa sąsiedzi w ganku na ł<sup>^</sup>.wie, a pan łowczyc tak mówił:

— Bóg widzi, panie Józefie, że już nie co innego, jedno rzeczywiście taka wola Boża być musi, ażeby Bobowscy nie rozrywali swojój sławnój przyjaźni z Osuchowskimi. Bo jużciż ja tyle świata przedeptałem, tyle różnych ludzi, a tyle młodzieży poznałem, a jak moję matkę rodzoną kocham i lat setnych przy dobrem zdrowiu jej życzę, tak jeszcze przed nikim moje serce się tak radośnie otwierało, jako przed tobą.

— Bóg-że ęi zapłać za to, panie Stanisławie — odpowiedział smutnym tonem pan stolnikowicz — i Bóg daj także w łasce swojej, ażeby ta przyjaźń nasza, która się zawiązuje tak pięknie, tak szczęśliwie przynosiła owoce, jako przynosiły wszystkie przyjaźnie naszych ojców i dziadów. Nikomu bo tóż zapewnie z moich przodków tak przyjaźń Osuchowskiego nie była potrzebną, jak mnie nieszczęsnemu: żaden tóż pewno Bobowski, tak niezaradny i tak niedołączny, nie był rzucony na świat jak ja.

— Ej! nie jest to tak źle, panie bracie — przerwał znów Osuchowski — jaic ci się widzi. Nie znasz wprawdzie jeszcze świata, tak jak potrzeba, ale masz ty swój rozum, który snadno się czuć daje w każdym twera słowie, i dasz ty sobie z nim radę.

. — Gdzie tam, panie bracie, gdzie tam, tak nie jest. Nie znasz mnie jeszcze dobrze i dlatego tak pochlebną masz o moim rozumie opinią. Neślęczało się wprawdzie nad książkami niemało i wie się dziś pewno, jak wygląła Grecya, wie się jakie prawa dyktował Solon, jakie Drako, jakie Lykurgus, zna się pisma Justyniana, zna się Pandekta, a Cyceroniańskie oracye co przedniejsze umie się prawie na pamięć: ale czy to mnie nauczy, jak gospodarować w Żernicy, jak siać, jak orać i zbierać, jak konie chować i bydło, jak to sprzedawać, jak inne kupować, tak, aby fortuna

rodzicielska, nie rozleciała się w cztery wiatry? Zna się to też jeszcze statuta wiślickie i sandomierskie, ba, całe Yolumina Legum gdyby drugi pacierz tkwią mi jeszcze w pamięci, ale czy to mnie nauczy, jak przyjąć sąsiada, jak się nachodzić w gościnie, komu jaki dać pokłon i jaką cześć oddać, a głównie • czy to mnie obroni od śmiechu i szyderstwa sąsiadów, kiedy się dowiedzą, że ja, potomek przodków rycerskich i z miecza po wszystkich wojnach wstawiony, dzisiaj konia dosiąść nie umiem, szabli nie podołam, marnej flinty nabić nie umiem?... O Boże! czyż pokazać mi się tak ludziom?

— Daj-no pokój, daj-no pokój,\* panie Józefie — odezwał się na to pan Osuchowski — nie święci to garnki lepią, mospanie. Nie wiele to potrzeba na to, ażeby ten marny świat poznać, a z niekąd strony może nawet lepiej całkiem go nie poznawać. Nie tacy to straszni zresztą ci zuchowie, którzy się radzi z innych naśmiewają. Czynią oni sobie rum szabłą, czynią, aż trafi się taki, który cięcie pochwyli i nakreskuje łeb junacki tak dobrze, jak i niejunacki. Ot ja, mospanie, fechtmistrem nie jestem, sztuk niemieckim nie rozumiem, anim też nowe jakie cięcie wynalazł, a kiedym stanął przed dwoma laty z panem Chryzantym Nowo- sieleckich, który się do pierwszych junaków tej ziemi liczy, to któż się pićrwszy za głębę złapał i krzyknął gwałtu? on a nie ja pewnie. A u pana Działotta, przeszłego roku, kiedy pan Deręgowski, który już zapewno jest gracz najpierwszy, bo i niema co mówić, but mój wsadził sobie na głowę jak czapkę, i naśmiewał się ze mnie mówiąc że chyba jeno słoń afrykański, ale żaden człowiek, tak grubej nogi mieć nie może, i powadziliśmy się ze sobą, że przyszło do bitwy: to kómuż pół czupryny ze łba zgolono, aby ranę opatrzyć? jemu a nie mnie pewnie. A ot znowu temu kilka tygodni u pana Urbańskiego w Jabłonkach, kiedy nastawiano płatów w dziedzińcu, kilka jeden za drugim, i certowano się o to, kto je bez zastanowienia się po kolei przeskoczy, to kogóż niecierpliwość wzięła, że wsiadł na konia i bez certowania się przeskakiwał je wszystkie najpierwszy? mnie pewno, a nie którego z onych wielkich ryce- rzów. Owóż to nie tak znów bardzo straszno pomiędzy junakami tego świata, jak to sobie wystawiasz, i to ci powiadam, że jeżeli w .tobie prawdziwa krew starych Gryffów płynie, a przyłożysz k'temu ręki a głowy, to taki nic nie będzie ze szczerych chęci pana stolnika, Bobowski za kratkami stawać nie będzie, jeno po staremu, jak Bóg przykazał, obciążwszy i nakreskowawszy tego ówegOj będzie tak żył, jako żyli ojcowie jego.

— Pan Bóg z ciebie mówił, panie Stanisławie — rzekł na to z westchnieniem pan Stolnikowicz, ale jakoś ja niewiele mam w tem nadziei.

— Tem większą ja mam za to nadzieję, — podchwycił łowczyc— jeżeli, bowiem taki, który już ma wprawną rękę do broni i konia, dobre ma rozumienie o sobie, to lepiej dla niego, bo tem

większych sztuk dokazywać będzie i nic mu się nigdy nie stanie; ale gdyby zasie taki, który nic jeszcze nie umie, wiele rozumiał o sobie, to na nic, bo w rychle albo karku nadłamię, albo go lada kto zrabie na trzaski.

—Prawdę powiadasz, jak mnie Bóg miły, tyś mądry człowiek.

— Gdzież tam, panie bracie — powiadał dalej pan Osuchowski — jam jest człek prosty, a mądrości u mnie tyle, ilem jśj sam wynalazł; ale jeżeli mnie słuchać będziesz, to się na człowieka wykierujesz, za to ci ręczę.

— Co mówisz! — zawołał na to z radością Bobowski —chciał- żebyś się ty mną tak zająć, ażebyś mnie na takiego człowieka wy- kierował, jak wszyscy inni?

— Dla czegoż nie! — odpowiedział tamten—uczynię to z chęcią i z serca. Tylko słuchać mnie musisz tak, jako słuchałeś nie- gdy pana stolnika.

— Słuchać cię będę we wszystkim.

— Więc kiedy tak — rzekł na to Osuchowski, poprawiając się na swojej ławie — więc niema czego odwlekać. Kaźden dzień nadaremnie miniony nigdy się już nie powróci. Zaczynamy więc zaraz dzisiaj, a zaczynamy od tego, żeby się jakoś tych bibuł pozbyć, których ono tyle widzę w kancelaryi nieboszczyka stolnika, a które mnie tak rażą w oczy, że się zawsze plecyma obracam do tego uczonego izbiska. Bibuły — mówił dalej pan łowczy c — rzecz to potrzebna na świecie, bo człowiekby i listu napisać nie potrafił, nie mając z niemi znajomości, ale chroń Boże tego, któryby im całą swą duszę zapisał. Uczyli ci i mnie pija- rowie i nie mało się także nasiedziałem nad bibułami, bo prawie trzy lata mnie" uczono samego czytania; nabijali mnie potem w głowę i łacinę i różne filozofie pogańskie, ale to sobie powiadam i zawsze powiadać będę, żem się na dworze hetmańskim za rok jeden daleko więcej rozumu nauczył, niż u pijarów za dziesięć, a jedna baba dała mi więcej poznać diabelstwa tego świata, niżeli mnie nauczyły moralów... Potóm — powiadał dalej pan łowczyc — pójdziemy do stajni i obaczmy, jakie to konie łacinnicy chowają i czy to będzie wsiąść na co; dalej obaczmy broń, jaka się ostała po panu stolniku, bo to rzecz główna, a zresztą niech już sam Bóg radzi o swojej czeladzi.

Pan Stolnikowicz, zapewniwszy się już dowodnie z tych słów pana łowczyca, że się nie zostanie bez przewodnika na tym strasznym dla niego świecie, który, znając go li tylko z procesów i opowieści, wystawiał sobie napelnionym samymi rębaczami, czyhającymi na krew ludzką, i samymi jurystami, czyhającymi na majątki szlacheckie, bardzo się uradował, a nie umiejąc utaić swojej radości, rzucił się swemu rówieśnikowi na szyję i obcałował go tak, jak nigdy jeszcze nie całował nikogo w swem życiu. Nie popuścił też już ani na chwilę pana łowczyca, nagląc go, ażeby jak

najprędzej zarządził nim, jego biblioteką, stajnią, piwnicą, gospodarstwem, zgoła całą fortuną. I tak zaczęła się nowa robota w Żernicy.

Najpierw tedy nałożono stos wielki na środku dziedzińca i wrzucono weń wszystkie książki i pisma, jakie się znajdowały w kancelaryi pana stolnika, a kiedy płomień wielki wystrzelił w górę i pożerał łakomie Volumina Legum i konstytucye, Cycerona mowy i dekrety pana stolnika, pan Józef wpatrywał się w to dziwne widowisko i tak nagle posmutniał, że nie tylko westchnienia jedne za drugimi wciąż wydobywały się z jego piersi, ale nawet i łza jedna i druga zakręciła się w oku. Pan Józef bowiem miał serce czułe i kochał ojca swego nad życie, więc żał mu się zrobiło tych prac ojcowskich, tak niegdy przez niego cenionych, i żał tych smutnych wprawdzie, ale zawsze własnych jego młodości pamiątek. Pan Stanisław miał także serce nie z glazu, ale nie na straty tak rzeczy obrzydłych, jak pergaminy, patrząc tedy na niepotrzebną czułość pana Józefa, odezwał się zaraz w ten sens: •

— Widzisz, nieźle się to robi, że się niszczą te księgi i szpargały, bo to czem skorupka nawrze, tóć koniecznie cuchnąć musi, a tem bardziej też wtedy, kiedy się w nią tę sarnę ciecz wleje, którą niegdy nawarła. Nawróciłbyś się ty kochanku za łada powodem do tych wolumów, gdybyś je miał pod ręką, a tak gdy ich nie będzie, a przyjdzie ci chwila markotna, to raczej na konia wsiądziesz i poharcujesz trochę, albo z pistoletu sobie postrzelasz do tarczy i to się przyda na coś tobie. Ale to nióma - jeszcze o tem z kim gadać, kiedy nie wiész nawet, co to jest Rzeczpospolita.

— Tak znowu nie jest — odezwał się na to cały zarumieniony Bobowski — wiem przecie czóm są i czem stoją wszystkie potęce na świecie.

— Tego nie zaprzeczam — odpowiedział Osuchowski — rozumiem nawet że wiész o tem więcej niżeli ja, a może i więcej, niżeli któfy akademik krakowski, ale zawsze to inac jest w książce a inac w naturze, i za prawdę powiadam tobie, że dużo jeszcze obaczysz, kiedy się obejszysz po świecie.

— To tóż ta nadzieja, że nie taki jest świat w naturze, jaki wymalował mi się w owych księgach prawniczych, daje mi jeszcze otuchę jakióś znośnej przyszłości, jednakże tylko, wtedy ta otucha mnie nie opuści, jeżeli ty mnie nie zechcesz opuścić, panie bracie.

Zapewnił go tedy pan łowczyc krótko a węzłowato, że na niego liczyć może jak na Zawiszę i jeszcze kilka innych do tego przyłączył sensów moralnych o życiu i świecie, z których jeżeli widać było, że lubo młody, znał już dosyć świata i ludzi, toż nie mniej także się pokazywało, że pan Stanisław, chociaż nie wiele sobie ważył mądrość książkową i nie mówił ozdobnie, jednakże z poważnój strony patrzył na świat, na życie i ludzi, i serce miał,

w ciele piękne i ozdobne. A kiedy stos książek i pergaminów, przypominający czasy Zygmunta III, już począł się zniżyć, zapadać, przeszli panowie młodzi do stajen i do całego gospodarstwa, przeszli mówię, ażeby zburzyć wszystko od gruntu i nie namyślając się wiele, nowy ład i nowy rozum zaprowadzić we wszystkich kątach, tak jak to zwykle bywało, kiedy młody syn nagle odziedziczył fortunę po ojcu.

I cokolwiek o tym nowym ładzie w domowym i po za domowym gospodarstwie żernickim, kto sobie myśleć może, albo co już natenczas o tem szeptali i do zrozumienia sobie dawali zawsze spraw cudzych ciekawi sąsiedzi, nie będę tutaj opowiadał szeroko i długo: jednakże tego pominąć nie mogę, że ktoby był pana Bobowskiego młodego znał dobrze natenczas, kiedy go ojciec zostawił swej rozległej fortuny dziedzicem, i ktoby był znał młodzież ówczesną prowincjonalną, jak była zwawą, tylko bronią, łowami i końmi zajętą i w swem junactwie pod każdym względem prawie zawsze aż do szaleństwa jest dosięgającą: ten byłby nigdy nie przypuścił, ażeby człowiek taki, który od niemowlęstwa aż do dwudziestego piątego roku swojego żywota, wszystkie dnie swoje i połowę nocy nad księgami prześlęczał, który do tego czasu jeszcze szabli wziąć w rękę nie umiał, konia dosiąść nie zdołał, dzikiego zwierza w kniei nawet nie widział, ażeby człowiek taki mówię, mógł się nietylko całkiem na podobnego wszystkim ówczesnym szlacheckiego młodzieńca przerobić, ale nawet ażeby tylko mógł być wstąpić w ich grono z innym skutkiem, jak przyjmując przy pierwszym kroku zaraz chóralny śmiech szyderstwa, a może i wzgardy na siebie, a na przyszłość i na zawsze już rolę niedołącznego papinka, służącego tylko za cel wcale nieoględnym przycinkom i częstokroć grubym żartom powiatowej młodzieży. I miałby być może słuszność ten, któryby tak był się domyślał, bo stoi gdzieś w książkach takie prawo przepisane z natury, że jeżeli się drzewo skrzywi za młodu, to już krzywo rość będzie aż do samej starości. Ale jest drugie prawo istniejące w samej naturze, a to prawo dziedzictwa we krwi ojcowskiej i w mleku matczynem cnót i przywar po swoich przodkach. I dlatego to prawa, które póty było w całej swej mocy, póki ściślej się w sobie zamykały familii, póki ojcowie familii w swych testamentach pierwiej rozporządzali dobrem moralnym i zdolnościami swoich następców, a dopióro fortuną, póki hańba syna lub córki spadała na czoło całego domu, póki nakoniec mężowie żenili się w sile i czerstwości swojego wieku, a panny idąc za mąż, umierały dla świata, a poczynaly żyć dla tej, w którą wstępowały, familii — dlatego to prawa właśnie i pan Bobowski, choć nakrzywiony za młodu, kiedy przyczyna skrzywienia się jego kolei życia usunioną została, jak gdyby różczką czarodziejską dotknięty, stał się odrazu tak pełnym dobrych i złych, ale zawsze tych samych usposobień, jakich bywali oni przodkowie jego, którzy sami sobą chorągiew postawili pod Gru-

newaldem i którzy swym własnym sumptem pułki posyłali na wojny. Krew Gryffów odezwała się w panu Józefie tubalnym głosem i w mgnieniu oka zdobyła dla siebie napowrót te prawa, które jej wydrzeć usiłowano. I słyszeli o tem już wszyscy, i dziwowali się temu, i niedowierzali niektórzy, a jednak tak było w istocie. Jeszcze bowiem nie porósł był dobrze trawą grób nieboszczyka stolnika, kiedy na egzekwiach za duszę tego sławnego jurysty i sędziego polubownego, przez jego syna wyprawionych w Zernicy, zdarzyły się dwa wypadki, które jeżeli nie dowiodły zgromadzonej tam szlacheckiej młodzieży, że stolnikowicz godzien jest zupełnie ich towarzystwa, to przekonały ją przynajmniej, że już wstąpił on na drogę, na którą wielbiciele starożytnej, rycerskiej Gryffów chwały 'widzieć go sobie życzyli. Kiedy bowiem starosta Giebułtowski, chcąc się obrachować z panem Kossowskim z Myczkowa z należy tości za zboże, którego mu był po spaleniu się jego do siewu dostarczył i nie mógł w to potrafić w pamięci, to ani kawałeczka papieru nie można już było wynaleźć w całym żernickim dworze i to był jeden wypadek który tak mocno zadziwił wszystkich, że aż szlachta, przyzwyczajona dwór żernicki nazywać papiernią, sama nie chciała uwierzyć; drugi zaś wypadek był ten, że pan Deręgowski, stolnik ostrzewski, wielki junak i biba swojego czasu, kiedy na onej stypie spiwszy się setnie, chciał się przespać cokolwiek i w tym celu wylazł na one pięterko umieszczone nad bramą, to zamiast zastać tam tak jak dawniej bywało, spokojną izbę trębacza i wartownika, wpadł do psiarni pomiędzy wygłodzonych czterdzieści ogarów i brytanów, od których omal że żywcem zjedzonym nie został. A kiedy w rok potem na imieninach w Jabłonkach, pan stolnikowicz, ujmując się\* za przycinki, z którymi się tam przytomny Węgier, niejaki, graf Syrmaj, po kilkakrotnie przeciwko całej szlachcie sanockiej wypuścił, tegoż grafa Syrmaja na rękę wyzwał i tak go zesiekł, że w kilka tygodni potem pana Deręgowskiego, który tam był z końmi pojechał na jarmark, aż za to pojmano i już pod szubienicę prowadzono na Węgrzech, to nietylko mu za to cała ziemia chórem takie wrzasnęła laudum, że przez kilka miesięcy jego echa jeszcze się odzywały, ale pan Osuchowski zaraz mu się rzucił na szyję i zawołał one wszystkim pamiętne słowa:

— Panie Józefie, masz mnie na całe życie.

Jakoż rzeczywiście od tego snąc dopiero momentu pan Osuchowski, czy już z natury przezorny i nad każdym uczynkiem poważnie namyślać się lubiący, czy wypadkami swojego życia tej cnoty nauczony, oddał duszę i ciało panu Bobowskiemu, a już w parę tygodni potem obadwa przyjaciele zgodzili się na to, ażeby tę przyjaźń swoją, w dawnych wiekach przez ojców naszych używanym zwyczajem, Panu Bogu ofiarować i w Jego oczach trwałym i statecznym ślubem uświęcić.

I piękne to było widowisko w horczewskim kościele. A działało

się to w samą niedzielę Zielonych świątek i wszystka szlachta okoliczna była. zgromadzona w kościele. Po sumie i po odśpiewaniu pieśni nabożnych, kiedy już lud prosty się wyniósł i sami tylko honoratiories zostali, panowie Bobowski i Osuchowski, w świąteczne suknie ubrani i świątecznie na duszy przystrojeni, bo po spowiedzi i św. komunii będący, trzymając się za ręce obadwa, przystąpili do ołtarza i uklękli na stopniach, na których już ksiądz, stuletni staruszek i pleban tamtejszy, czekał na nich, na krześle, bokiem do ołtarza obrócony, siedzący. Gdy uklękli, ksiądz powstał i przeczytawszy najpierw nad ich głowami modlitwę, słuchał potem statecznie, jak ci obadwa panowie ślubowali sobie w głos: iż się wzajemnie kochać jako bracia rodzeni i wspierać będą zdrowiem, fortuną i życiem, i że się w żadnym terminie nie opuszczą, ani porzucą aż do śmierci.

— A kiedybyśmy obadwa, — czytał dalej w głos Osuchowski rotę swoją napisaną na karcie, — tylko jeden grosz mieli, tedy połowa należeć będzie jednemu a połowa drugiemu. A kiedyby nam obudwom tylko jedna pozostała ręka, tedy ta ręka ma pracować na chłób dla obudwóch. A kiedyby nam obudwom tylko dwie pozostały nogi, tedy te nogi mają nosić ciała obudwóch. Czego daj Boże dotrzymać i co do słowa ziścić, a ku Twojej wiecznej chwale obrócić, Amen.

Potem ksiądz im powkładał obrączki na palce, mieniając tak, jako to czyni przy ślubie małżeńskim, a pobłogosławiwszy ich z góry, rzekł do nich głośno:

— A aby to było ku chwale Tego, który tu na nas patrzy, i ja życzę z całego serca.

Poczemljeszcze pokłonili się obadwa aż do ziemi i ucałowali stopnie ołtarza Pańskiego, a wzięwszy się znowu za ręce, szli precz wesoło patrząc i kłaniając się szlachcie, czyniącej im rum przez sam środek kościoła. Piękne bo tóż i bardzo budujące uczynił ten obrząd na obecnych wrażenie i tak chwycił za serce wszystkich, że nawet wiele dawnych i długo-trwałych nienawiści i kłótni pomiędzy sąsiadami zagładzonemi zostało natenczas, a jeżeli mnie pamięć nie myli, w onej to chwili także ze łzami w oczach podał rękę pan Dziannot, Zachoczewia dziedzic, panu Osuchowskiemu, cześnikowi bielskiemu, z którym przez lat kilkanaście nieprzystojną miał kontrawersją o chaszczkę zahoczewskie, i w onej chwili także pan Urbański z Jabłonek kazał przed kościołem właśnie co ze mszy świętój wychodzącego leśniczego swego zawołać przed siebie i przyrzekłszy mu dworek i grunta przywrócić, z których go był przed pół rokiem wypędził, przyjął go napowrót do służby i łaski swej.

O przyjaźni tych dwóch kawalerów, o której już i przedtem wiadano, a która teraz tak uroczystym stwierdzona ślubem, zwróciła na siebie uwagę całej ziemi, wiele sobie tuszyli sąsiedzi, a lubo pan Deręgowski, i z najświętszych rzeczy igrać sobie lu-



kiący, i tam był powiedział: — Rwie się już tam sentyment podobno, gdzie go aż ślubem wiązać potrzeba;—toż jednak nie była ta uwaga na swoim miejscu, a przynajmniej nie było do niej \*po- "Wodu. Chociaż znów z drugiej strony niepodobna było nie dać posłuchu o tej rzeszy rozprawiającym, osobliwie też tym, którzy są tej opinii, że tylko pomiędzy takimi może trwać ścisła przyjaźń, którzy są usposobieniami umysłu i serca do siebie podobni, im zaś te usposobienia mniej do siebie podobne, tem mniej tuszyć sobie można o trwałości przyjaźni. Niepodobna, mówię, tym było nie dać posłuchu; — usposobienia bowiem tych braci ślubnych mało było do siebie podobne.

• I tak, pan Osuchowski, który był olbrzymiego wzrostu i olbrzymiej budowy, jasnych włosów, twarzy okrągłej a raczej graniastej, oczu niebieskich i brwi gęstych nad temi oczyma, — miał serce łagodne i w gruncie nieposzlakowane poczciwe, ale to serce było silne, do czułości nad drobnymi rzeczami wcale nie skłonne, drobnych pochuci za szczęśliwostkami ziemskimi wcale nie znające, ale do wielkich poświęceń zdolne, do wzniosłych celów często się podnoszące, cierpieć zdolne, ale zarazem zdolne i w naj- większym cierpieniu ustom nakazać milczenie.

Pan Bobowski, — który był także wzrostem wysoki, choć nie olbrzymi, twarzy pociągłej, orlego nosa, włosów i oczu czarnych, w których wraz z bledością na twarzy wiecznie jakaś smętność się przebijała, — miał serce tak czułe, jako je mają te niewiasty, którym świat się najpierwej przez smutki i cierpienia objawił; on się unosił nad świeżemi odnawiającej się wiosny barwami, on wzdychał nad kwiatkiem bezpotrzebnie zerwanym, on od nędzy oczy odwracał, a drugą ręką sypał jej garściami pieniądze, on nigdy nikogo nie uderzył, on nie mścił się nigdy, on nie karał nikogo, on się krzywd nawet sobie samemu na majątku doczesnym zadanych nie upominał, jeżeli tylko ten, który je zadał, uczynił to z potrzeby i niedostatku. Serce takie, panujące nad całą jego istotą, nie podnosiło się nigdy do żadnej -wysokości, a żyjąc tylko jaknajdrobniejszymi muszkami, i zawsze tylko z dnia na dzień, z dzisiaj na jutro, nigdy nie zapragnęło nawet wielkiego szczęścia, a jeżeli coś takiego miało w oczekiwaniu, to więcej radowało się wszelkimi drobnymi przyborami, niż samą rzeczą. Serce to lubiło namiętnie złudzenia, może nawet więcej niż rzeczywistość, ztąd też miało zawsze tysiące uczuć na pogotowiu, i jeżeli tysiącami dróg się puszczało codziennie, to codziennie ze wszystkich powracało się nazad, żadną nie doszedłszy do końca, Serce to umiało także i cierpieć i miewało momenta takie, w których cierpienie przeniosłoby było nad roskosz, a może nawet snowały się po nim myśli takie, ażeby się dać zabić za coś lub za kogoś. Takie serce, jeżeli go Bobowski nie dostał już od natury, wychował sobie, ślęcząc przez lat kilkanaście nad arcydziełami ludzkiego

roзумu, i któżby to był pomyślał? a tymczasem tak było w rzeczy.

Rozum, ona główna potęga ludzkiego ducha, lubiąca mieszkać li w organizmach zdrowych i mocnych, nie znosząca się z drobnostkami tego ziemskiego życia, powinien był wedle tego podziału przymiotów serca zamieszkać w Osuchowskiego głowie i tam byłby miał serce mocne, wolę silną i wszystko po sobie; ale los tym razem igraszkę sobie uczynił, bo rozum za obydwóch dał Bobbowskiemu. Tak więc i wtedy nie zgadzali się z sobą bracia ślubni. Bobowski bowiem, pomijając już jego nauki, które doskonałą Avspomagane pamięcią, w samej rzeczy były obszerne i znakomite, miał jeszcze i on zmysł gospodarski, mocą którego zawsze wiedział jak co zrobić należy, chociaż nie zawsze tak zrobił; Osuchowski byłby wszystko zrobić potrafił, ale nieborak rzadko kiedy wiedział, jak sobie ma począć w którym wypadku, a lubo miał przed oczyma i te i owe wielkie cele i przedsięwzięcia, jednak na drogi do nich wiodące ślepy był całkowicie, I ztąd to pochodziło po części to jego rozmyślanie się długie i poważne przed każdym uczynkiem.

Dalój pan Józef, pomimo wszystkich swych nauk i całego rozumu, nie miał prawie nic doświadczenia, nic znajomości świata i życia, a lubo po śmierci ojca był już z panem łowczycem w Warszawie, był i w Krakowie i wiele widział, wiele pojął, wiele zrozumiał, toż jednak poznał dopiero rzeczy z ich barw, jakierai uderzały w jego źrenicę, ale nic z ich treści istotnej/ Pan Stanisław zaś przeciwnie: na ile stać było bystrość jego pojęcia, poznał on dosyć już świata i ludzi i na życie człowieka na ziemi, na jego obowiązki względem państwa i towarzystwa zapatrywał się z tej strony, która naówczas wszystkim prawego serca ludziom zdawała się być praktyczną, a jeżeli można było dać wiarę niektórym jego powieściom, i jeżeli niektóre przez niego wypowiedzane opinie można było wziąć za owoce jego własnych doświadczeń, to pan Osuchowski przez te lat kilka, które strawił po miastach i dworach,, wiele sam na sobie doświadczył, a jego ostrożność i zastanawianie się nad wszystkim było nietylko skutkiem nie bystrego i niezaradnego rozumu, ale także skutkiem wielu zawodów, które go przy wstępie na świat powitały. Na ten domysł naprowadzało głównie jego aż nadto często wspomnianie o celibacie, którego, jak się to niżej pokaże, tak zawziętym był zwolennikiem, jak nim nawet żaden średniowieczny asceta być nie mógł, i lubo upartej, do ciągłego myślenia siebie zniewalającej, a nie wszechstronnie pojętej głowie, taka myśl może przyjść sama z siebie, toż jednak tutaj były pewne powody, które wnosić kazały, że pan Osuchowski, jeżeli sobie wieczną beżzenność a rodzajowi kobiecemu nienawiść poślubił, to uczynił w skutek "rzeczywistych doświadczeń uczynionych w swem życiu. Zaś pan Bobowski wcale nie był zwolennikiem beżzenstwa i wszystkim tem

nie był, czem był pan Osuchowski—i dlatego nie można było nie dać posłuchu tym, którzy nie rokowali długiej trwałości tej świeżo co poślubionej przyjaźni.

Pomimo to jednak, pierwsze lata tego bratniego związku, całkiem o czóm innem przekonały sąsiadów; bracia ślubni bowiem, ćwicząc się ciągle i ustawicznie w wszelkich sztukach rycerskich, które namiętnie kochał i w których arcy biegłym był Osuchowski, nie zapominali ani na chwilę o ćwiczeniu się w cnotach obywatelskich. I uważali na to bacznie okiem sąsiedzi i oddawali im sprawiedliwość, a kiedy zaraz z początku tego i owego wspomogli, za tamtym pokrzywdzonym gromko się ujęli, obelgi na ludzi uczciwych miotającą gębę rozplatali, kilka sprawiedliwych wyroków sądowych z szablami w ręku wyegzekwowali i na sejmiku elekcyjnym, liczną partją sobie zebrawszy, swoją i większości opinią przeciwko burmistrzującej już prywatnie utrzymali, to i uwaga publiczna zaczęła się pomału obracać na nich i tajone przedtem afekta szlachty poczęły na jaw wychodzić i roznosić się po całej ziemi, a nawet i dalej. Więc kiedy ciż kawalerowie tych cnót swoich praktykować nie przestawali, a przy wszelkich praktykach swoich zawsze umieli się ustrzedz od tego, coby było nad miarę, i ponieważ czy to na sejmikach, czy na konfederacyach, czy przy jakich bitwach albo nieporozumieniach powiatowych, zawsze trzymali się tej partyi, która miała sprawiedliwość i prawdę za sobą, albo przy której honor ziemi lub kraju stać przykazywał; więc postawili się niebawem w takiej pozycji w powiecie, że wazyli wiele w publicznej opinii, a z dniem każdym już coraz mniej się zdarzało wypadków takich, w któreby się szlachta tłumnie wmieszała, a do którychby braci ślubnych nie przywołano. Przyszłoż nakoniec do tego, że jak niegdy do pana stolnika garnęła się szlachta tłumami, ażeby jej spory lub procesa rozsądzał, albo w uciśnieniu mądrością paragrafową ją zapomagał, tak znowu dzisiaj do syna cisnął się ten i ów na majątku lub na czci pokrzywdzony, ażeby nie kodeksem, lecz sercem lub z szablą w ręku stawał w jego obronie, a ponieważ takich posług braterskich nigdy nie odmawiali zgodni ze sobą przyjaciele i ponieważ zawsze, jeżeli tylko sprawiedliwe było żądanie, pomoc ich była doraźna i zawsze skuteczna, więc i sława ich rosła z każdym dniem coraz bardziej i zachowanie ich u sąsiadów rozszerzało się coraz dalej i dalej. I rozpowiadała sobie szlachta o nich natenczas wiele, i trudniła się ich losami i nazwała ich obrońcami swoimi, nie zatrudniającymi się czem innóm, tylko daniem uciśnionym pomocy; bo też rzeczywiście natenczas można ich było widzieć, tych braci ślubnych, osobliwie w przedwieczornych godzinach, prawie zawsze siedzących w ganku w żernickim dworze, dymiących lulki, rozmawiających statecznie i często w bramę po- glądających, jak gdyby tylko wyczekiwali, rychło się ktoś pojawi, który zawezwie ich pośrednictwa albo pomocy.

Rozpadlina gór tych wyniosłych wprawdzie, ale prawie bez leśnych i tylko jałowcami i inną karłowatą krzewiną okrytych, w której leżą wsie Żernica i mniejsza od niej Żerniczka, ciągnie się jeszcze i dalej, a rozwierając się coraz bardziej, kończy się wreszcie tem, że daje piękny i wspaniały widok na brzegi rzeki Hoczewki, od Bie3czadu prosto ku północy płynącej, i na stojące rzędem po tamtej stronie rzeki wzgórza strome i różno-kształtne, pięknymi zaroślami okryte i dzikimi skaliskami przyozdobione. Do piękności tego widoku przyczyniają się jeszcze niemało brzegi górskiego strumienia, o wiele już położystsze i bujniejszą roślinnością zaścielone, droga większa ku Bieszczadowi idąca i zawsze prawie ożywiona, dwie wsie stykające się tutaj z sobą, a nako- niec zamek żahoczewski, o najdziksze pod słońcem gór urwisko plecyma oparty, z dwoma basztami narożnymi w zapienionych falach Hoczewki się pluskający.

Zamek żahoczewski, przedostatni już z zamków polskich, granicy węgierskiej dosięgających, kiedy i przez kogo był zbudowany, nie wiadomo już z pewnością natenczas, a lubo jedni chcieli utrzymywać upornie, iż Balowie z Węgier do Polski przyszedłszy, tę najpierwej dla siebie wymurowali siedzibę, drudzy zaś niby jako wieść dawną powtarzali, że Kmitowie, do których ongi i Żali ocze wie należeć miało, tu sobie drugą wystawili rezydencją; toż iudnak głośna i różnemi plotkami upstrzona tradycja o jakimś Pohogu rycerzu, który czasów już dzisiaj zamierzchłych, żonę swą własną zabiwszy, tu w tych górach miał osiąść, ów zamek zbudować i w nim życie na modlitwach, pokutnych zakończyć, tak to

wszystko zmięszala, że przy braku wiadomości o tero po starych księgach, ani się kusić. komu o wymyślenie sposobu, w jakiby dojść założenia i założyciela tych murów. Ale nietylko te daty są dzisiaj i pozostaną już na wieki nieznane nikomu, ale i kształtów jego pierwotnych, jego baszt dzisiaj zwalonych, jego otoczenia i całej jego figury, tak jako był niegdy, najstarszy nawet człowiek dziś nie pamiętał... to wszakże pewna jest i niezawodna, że onego czasu, w którym bracia ślubni mieszkali na swoich, dworach, korpus żahoczewskiego zamku stał jeszcze w całości i baszta jedna od południa, o której wieść taka była, że z jednej galeryi niegdy widać było okna leskiego zamku, podnosiła się jeszcze o kilka, sążni po nad dachy miedziane, dziurawe już, i tędy owędy deskami ponaprawiane. Mury zresztą środkowe stały jeszcze w całości, a lubo gmach cały. nie był bardzo obszerny, toż jednak na. piętrze znajdowało się kilka komnat ogromnych taflowaną posadzką, rzezanemi stropami i malowanemi ścianami ozdobnych, a przed temi zaś komnatami od strony zachodniej znajdowała się tak ob- szórha galerya, że na nią latem wydawano biesiady na dwadzieścia i cztery osób. Przez tę galeryą, kamiennemi wschodami po obudwu stronach zaopatrzoną, wchodziło się do wszystkich komnat pierwszego piętra, które miało pod sobą izb kilkanaście sklepionych, na drzwi żelazne się zamykających, pod którymi znowu rozprzestrzeniały się także mocno sklepione i jakby gmachy jakie rozłożyste piwnice. Po lewej stronie zamku ciągnął się długi szereg murowanych stajen i izb, pewno gościnnych albo służal- szych, co wszystko kończyło się spichrzem na piętro wysokim, czystym i schludnym, widocznie już później domurowanym; od spichrza na poprzek, a równoległe z frontową ścianą zamku, wlokła się długa, stara i natenczas już zapuszczona grabowa aleja\* która mając w swym środku murowaną bramę zajezdną, drugim swym końcem otwierała wdzięczny widok na zielone i bujne łożyną zarośnięte brzegi Hoczewki, nad którymi w oddali stał i wiecznie szwargotał młynek maleńki, dwoma szęzerbatemi kołami mielący, starą omszoną strzechą nakryty i zielonemi osadzony wierzbami. Od tego końca alei, znów równoległe z północną ścianą zamku, ciągnął się mur niegdyś pewno wysoki i butnie na przechodniów pogląający, ale dziś już niski, pokorny i grzbietem rozwalonym świejący, na którym miasto dawno zebranej miedzi rosły tylko dzikie chwasty i piołuny. Ten mur zapadał się na ostatku w bałwany rzeki, która za plecyma zamku płynęła, i kończył tym sposobem ogrodzenie całego obejścia, w któróm było i kilkadziesiąt drzew owocowych i! maleńki wirydarz, staranną ręką pielęgnowany, i nakoniec wielki i obszerny dziedziniec, na którym może niegdy stawało po kilkadziesiąt koni rycerskich, parskających rozwartemi nozdrzami i z rąk uzbrojonych giermków gwałtem się wydzierających, i wrzał przytóm rozgwar wojenny, odgłosem surm bojowych przerywany, — a dzisiaj już tylko białe

się przechodziły gołębie i wlokły się psy domowe z pospuszcza- nemi ogony.

Gwar jakkolwiek rzadko już kiedy przerywał smutne milczenie zahoczewskiego zamku, bo na tym zamku mieszkał onego czasu pan Działota, człek spokojny i cichy, biesiad ani uczt nie lubiący, gospodarstwem tylko i domem zajęty, mający żonę chorą i od lat kilku już w łóżku leżącą, syna młodego i pełnego nadziei, który siedział w Warszawie, w kancelaryi królewskiej się aplikował, na wielkiego ministra się kierował, ale o tyle też więcej pomocy potrzebował od ojca; nakoniec i córkę miał młodą i piękną, ale smutną i zamyśloną, książeczkami zajęta i także miły spokój lubiąca. Więc nie było nigdy gwaru na tym zamku onego czasu.

Pan Działota jakiego był pochodzenia, Bóg to sam wiedzieć raczy; powiadano że Włoch jest i brzmienie jego nazwiska, jeżeli tak jak wszystkie cudzoziemskie w Polsce późniejszemu przekształceniu uległo, nie zaprzeczało temu podaniu; powiadano dalej, że dawniej szemi czasy we Włoszech wielkie się tej familii dzierżyły splendory, o czem wszakże żadnego nigdzie nie było świadectwa; ale natomiast to była pewna, że Piotr Działota, szlachcic włoski, jeszcze dawnymi czasy indygenat w Niemczech otrzymał, a to jeszcze pewniejsza, że tenże sam Piotr przeniósł się z Niemiec do Polski i do wojska się koronnego zaciągnął, a gdy pod husarską chorągwią długo służył, do indygenatu w Polsce przypuszczony został na sejmie roku 1662. Włoskie pochodzenie pana Działoty potwierdzało się atoli nie tylko brzmieniem jego nazwiska, ale i całą jego figura zdawała się świadczyć o tem; był to bowiem człowiek bardzo miernego wzrostu, pomimo pięćdziesięciu lat wieku tak lekki i zgrabny, jak oni linoskokowie, którzy z południowych w zimne wyciągając krainy, różne sztuki łamane wyprawiają po naszych jarmarkach; zresztą krew wszystka była w nim tak gorąca, że kiedy co mówił, to także przytęm giesta rękami i nogami wyrabiał, jak gdyby stał na teatrum. Jednakże to nie zawsze, bo kiedy mu tego potrzeba było, umiał także i krew zimną zachować i mówić poważnie i statecznie, lepij niżeli który ksiądz na ambonie; co więcej, on umiał milczeć także jak głaz i nie miał nigdy zwyczaju swarzyć się głośno, wyrzucać komu winę na oczy, do odpowiedzialności za jaką winę słowną pociągać, ale za to umiał on swojej opinii dowieść zawsze, choćby późniejszym czasem, umiał zdaleka i nieznacznie wpływać na cudze sprawy, umiał mścić się cudzemi rękami... a ludzie lubiący szukać przywar w swoich sąsiadach, powiadali o nim, że jest człek charakteru skrytego, że przy cudzym płomieniu pieką swoje pieczenie, że plotki okoliczne w bieg puszcza, że na handlach i facyendach nigdy nie traci, że kupna i przedaże innym psowa na targach, i Bóg nie wie co jeszcze, a to wszystko świadczyło także o jego powinowactwie z Włochami, którzy ze skrytości i. podstępności umysłu znajomi są wszemu światu. Ale lubo opinia taka była o panu Działocie

w sąsiedztwie, toż jednak nie było żadnego faktu, któryby jej prawdziwość potwierdzał, i lubo wiele o tem bajano, • wszakże nigdy nie znalazł się taki, któryby powiedział: oto on tego oczernił, tego oszukał, a tamtemu stał się takićj a takiej szkody przyczyną. Bo w samej rzeczy pan Działota był człowiek spokojny, mało kogo nawiódzał, mało kogo u siebie przyjmował, a jak mu mało na blizkich ze sąsiadami stosunkach zależało, widać ztąd jawnie że się nawet nigdy o żaden urząd nie starał. Gospodarstwem i swojemi dziećmi zajęty, wiecznie siedział on w domu i żmudnie pracował, a nieraz można go było widzieć nie tylko stojącego po całych dniach przy robocie na polu, ale nawet o żniwie siedzącego na pełnym wozie i własnoręcznie wiozącego snopy do stodoły.

I miał tóż słusność pan Działota, że tak żmudnie pracował, miał on bowiem żonę, przez której długoletnią chorobę gospodarstwa kobiecego prawie całkiem nie było w Zahoczewiu; więc grosz wszystek, którego potrzeba było na opędzenie domowych wydatków, musiał być wyciągnięty z samej roli i stajni, a grosza tego, pomimo całej oszczędności pana Działoty, wiele tam trzeba było; nietylko bowiem dom kosztował już niemało pod owe czasy, nietylko kosztowały leki i lekarze dla chorej pani, ale kosztował syn jeszcze w Warszawie na równości z synami pańskich domów utrzymywany, kosztowała i córeczka niemało, która wychowana w jakimś panińskim klasztorze w Warszawie razem z pańskimi dziećmi, przyzwyczaiła się do pięknych sukienek, które wiele grosza chłoneły, do książek cudzemi drukowanymi językami, które także potrzeba było sprowadzać, a nakoniec przyzwyczaiła się do niezajmowania się niczem, co chociaż nie pociągało za sobą wydatków, jednak nie przyspazało dochodów. I nie naganiali jój już tego rodzice, a żeby rzec prawdę, to może ją jeszcze starali się utrzymywać przy strojach i książkach, bo było tak, że jeżeli o synie tuszyli sobie, że lada dzień zostawszy sekretarzem królewskim, niebawem na ministerstwie jakim osiadzie, to i dla córeczki rokowali sobie niemniej świetne nadzieje.

I niśmasz się co dziwić rodzicom, którzy choćby jak niepodobne do prawdy, tuszą dla swych córek zamęścia, bywa to bowiem prawie zawsze tylko ich miłości rodzicielskiej dowodem, tylko ich troskliwości oznaką, którą, gdyby mogli, niebaby przychylili swym dzieciom, a tem też bardziej nie było się co dziwić zahoczewskiego zamku dziedzicom, mieli bowiem córce taką, która pod one czasy, gdzie wprawdzie niełatwo było znakomitego domu synowi ożenić się z pospolitą szlachcianką, ale też zato wiele było nie nadto znakomitych familii synów tak opatrzonych, jak drudzy magnaci, a nie sadzących się koniecznie na to, ażeby splendor swojego domu, o którym nigdy zamało nie rozumieli, przez ożeniecie się podnieść, mogła z łatwością trafić na kogoś takiego, którego by i w senatorskim nie odrzucono domu. A córce tej było Julia na imię. I była ona tak piękną, jako lilia

kwitnąca w pełni, kiedy swą główkę pochyli, na drobniejsze kwiatki spogląda i anielskimi się dumania mi obwija. I była tak piękną jak gwiazdka, która w mgły gazowe obwinięta, po lazurowych błędach błękitach, nikogo blaskiem swoim olśnić nie pragnie, a jednak oczy wszystkich za sobą obraca, dla wszystkich szczerą i otwartą, a jednak dla nikogo niepojętą, nieodgadnioną. I była ona tak piękna, jako posąg z białego marmuru, wzniosły i uderzający wspaniałością swą wszystkich, rozmawiający z każdym i myśli swoich udzielający, a jednak nie obudzający w nikim nic więcej, prócz czi bałwochwalczej u pogan; uznana w piękności swojej u rozumnych, a przez szeroko rozwarte usta wybiegającego podziwienia u gminu. Takie czyniła Julia wrażenie na świat ją otaczający, ale powinna była inne czynić wrażenie.

Julia była wzrostem więcej słuszna niż mierna, budowa jej ciała była więcej szczupła, niżeli potężna, ale za to okrągłości jej form nic już nie mogło przewyższać pod słońcem. Twarz jej była pociągła, nos równy zupełnie, czoło ani zbyt niskie, ani wyniosłe, ale przed białością jej lica, gorsu i ramion i przed promieniami jej świeżych, ciemno błękitnych oczu, padało wszystko na twarz, co żyło. Włosy jej czarne i szklące jak jedwab, stały się przedmiotem zazdrości u wszystkich kobiet, a choć jej niewynosły ni dumny, ale jakiś tak lekki i uroczy, że nie zdawała się iść ale płynąć w powietrzu, obyczajem duchów skrzydlatych, unoszących się nad grobami, czynił to, że gdziekolwiek przechodziła, wszyscy nawet bez myśli ustępowali jej z drogi. Takie przymioty powierzchowności lubo wzbudzały u jednych cześć i uznanie, u innych uwielbienie i podziw, niewiele jednak serc podbiły dla Julii: kobiety ją niecierpiały, unikały i różnymi wymysłami piękności jej ująć usiłowały; starzy chwalili na zimno, mówiąc że okrutnie ładna to dziewczka — a kawalerowie, lubo nie jednemu może i taka i owaka myśl na widok jej przychodziła, jednak nie mieli jakoś odwagi zbliżyć się do niej, lub zbliżywszy się, dłuższą utrzymać rozmowę, i podziwiali ją tylko zdaleka. I musiało już tak być zawsze i nieodmiennie, i oziębłości tej całego świata dla Julii nic już przemódz nie mogło, były bowiem temu dość ważne przyczyny. A pierwszą zaraz było to, że panienka ta była córką takiego domu, który nietylko nic nie ważył w powiecie, ale nawet bywał przedmiotem niepoczciwych przycinków i żartów takich, które tylko jego poniżenie, a może nawet i podeptanie zupełnie miały na celu, powtóre, że matki zdrowej i ze sąsiadkami powiązanej przyjaźnią i innymi stosunkami nie miała, a miała ojca, który był cichy i spokojny, z nikim garnca nie wypił, nikogo nie wybił, nie posiekał, z nikim nie przenocowały się w royyie, w słodkich pijanego-afektu objęciach, z nikim nie miał procesów, sporów granicznych, zajazdów nie czynił, do burd nie należał...

Trzecią zaś przyczyną onej oziębłości, o której mowa, było o wiele staranniejsze i starannością swoją wszystkich oczy ude-



rzające wychowanie panienki, a że nieukrywanej wyższości moralnej nie znosili naówczas i nie znoszą do dziś dnia sąsiedzi i sąsiadki w powiecie, niedługo potrzeba dowodzić. Do tych powodów nakoniec przyczyniało się niemało i samo usposobienie Julii, które nie z serca, nie z wyrachowania, ale poprostu z natury, z wrodzonej wstydlivości dziewiczej, ze skromności, z braku pretensji do świata, wyrobiło się w niej zachowanie się tak zimne i trudne, tak milczące i mało otwarte, że to ją już dobijało z kretesem, bo nietylko odstręczało nawet najchętniejszych, ale stawało się powodem do najzłośliwszych wniosków, a nawet do rzucania podejrzeń o zupełny brak serca, dumę, próżność i pogardę dla otaczających ją osób.

Tymczasem usposobienie moralne Julii było całkiem inne w rzeczy, niżeli wyobrażenia, jakie o niem mieć chciano. Wychowanie jej było wprawdzie wyższe nad to, które owego czasu pospolicie dawano kobietom, i w głowie jej pięknej znajdowało się cokolwiek więcej wiadomości, niżeli w wyczubionych głowach jej innych sąsiadek, ale jej wyższości istotnej nad inne nie stanowiło głównie samo wychowanie i ilość nauki, tylko że ona to, czego się nauczyła w konwiktach, umiała zachować, podnieść i rozprzestrzenić w domu rodziców, podczas kiedy inne kobiety, zamieszkawszy raz na wsi, już o wszystkióm, czego się niegdy uczyły, zapomniały; a nakoniec jej wyższość stanowiło głównie jej serce, piękne i czułe z natury, a później wykształcone i wyrobione do tego stopnia, że ani dziw nawet, że nie znajdowało w żadnym innym sercu sympatyj, bo do tego potrzeba równego sobie: a ono nie znalazło takiego.

I jeżeli co można było zarzucić Julii, to chyba to tylko, że to serce było zanadto tkliwe, rzewne, że się roznosiło w samych najprzedniejszych uczuciach, i właśnie tak jako lekki zefir wiosenny, który się rankiem nad pełnymi różami unosi, ich westchnieniami oddycha i płacze ich łzami, unosi się nad ich różowymi myślami. Ale na róże łzy roniące o świcie wschodzi rankami słońce, które mgły chłodne rozpędza i łzy ich osusza; a jej serce nie miało żadnego słońca, któreby się nad nióm uniosło i łzy osuszywszy, dało mu wesołość i uśmiech na cały dzień letni: jej serce znało tygko błady i chłodny promień księżycy, któremu przystało li nocą na niebiosach wypływać, stare baszty zamkowe i lodowate groby oświetlać, a chłodząc wszystko dokoła, z ludzkiego serca smętne wydobywać westchnienia. Prócz łez i westchnień, które znało jej serce, znała jej głowa jeszcze bezgraniczne marzenia; głowa, która nie umiała dzielnie sterować myślami i wyobrażając sobie świat raz niebem, a drugi raz piekłem, a ludzi raz szatanami, a drugi raz aniołami, dziwne z jej piękną duszą wyprawiała igrzyska.

Julia namiętnie lubiła książki i wiele czasu trawiła nad ich czytaniem, ale jej ojciec za wszystką naukę i rozrywkę nie kazał

jej czytać biblii obojga zakonów i świętych żywotów, — a ona, mając sobie samej wybór ten zostawiony i dany grosz na to, nie wiedząc co czytać w języku polskim, a umiejac francuzki, czytała wszystko, o czóm tylko wieści zasięgnąć mogła zdaleka. Znała więc ona lepiej niż wszystko sławną Heloizy historyą, znała swoją imienniczkę kochankę Romea, znała i wszystkie inne, które poumieraly, albo przynajmniej nieszczęśliwemi byly z miłości; znała ona dalej Barbarę, Gasztoldową wdowę, znała Dorotę z Tenczyna i Oświecimównę, a ponieważ nie doszła do niej wieść o głośnych rycerskich Chrzanowskiej i o cichym domowych Anny Jagiellonki cnotach, więc nie myślała o niczóm, jak tylko o miłości, o jej cierpieniach i smutkach, o śmierci dla niej, lub innych męczarniach, mało kiedy myśląc, bo może nawet zgoła nie wiedząc, że miłość jest jako róża i obok kolców które ranią i krwawią, ma także swoje kwiaty i rozkosze. Ona krom tych, które pielęgnowała w swym wirydarzu, o żadnych innych nie myślała tego żywota kwiatach, właśnie jakoby treścią i jądrem tego życia były same cierpienia, a całą rozkoszą to tylko, ażeby cierpieć za rzeczy piękne i dobre. I było jej życie podobne do wieńca, z samych czarnych wijącego się kwiatów.

Więc nabiwszy sobie takimi myślami głowę, jednego wieczora umierała już z bólu nad trupem wyśnionego Romea: inny raz, nie umarłszy zupełnie, w czarnsj, wlokącej się szacie, szła na grób jego, tam, przy białych promieniach jedyne jej powiernika księżycy, łzami się oblewała żywemi, cierpiąc, jak drugi Chrystus w Ogrojcu, i głową tłukąc o marmur grobowy i wołając doń głosem łkającym, aby jćj oddał zwłoki ulubionego, albo ją połknął i przy nim położył. Ale marmur był zimny i milczący, jak cały świat naokoło, i nie wysłuchał jej prośby, a ona nie ustając w swoich zakłęciach, padła zemdlona i objęła on głaz nieczuły obydwoma rękami, ażeby go ogniem swojego serca spalić na popiół, albo łzami roztopić. Ale i to się nie stało i z onego snu nadgrobnego obudziły ją dopióro słowiki, uderzające w chór swój wyniosły w chaszczech nadbrzeźnych i obudziły ją na to, ażeby powróciła do domu i cierpiała dalej już aż do śmierci.

Inną razą, kiedy już dosyć się nablądziła po cmentarzach i grobach, kiedy już serce w Hiej zdrętwiało Od samych bólów i cierpień, kiedy już oczy się jej zamykały od łez i piersi wysychały od westchnień, a ona z warkoczami rozrzuconemi i rękami opuszczonemi ku ziemi siedziała samotnie pod gruzami jakiegoś kościoła i chłodząc się nocy majowej powietrzem, słuchała echa przynoszącego ostatnie słowa jakichś psalmów pokutnych, on przyszedł do nićj, on, widziany już dawno w snach przedpółnocnych i wszystkimi drżeniami serca pragniony... miał twarz bladą i smutną, oczy czarne płomienne i krucze kędziory na głowie, któremi wiatr igrał i unosił w powietrzu... miał suknię czarną aksamitną, bramowaną złotem i perłami nabitą, miał drugą białą atlasową

pod spodem, na której pas był złoty, kamieniami sadzony, a z za tego pasa widać było sztylet zabójczy, z rękojeścią dyamentową... na sukni czarnej miał lilią białą przypiętą, w lewym ręku niósł czapkę okrągłą, z białym piórem chwiejącym się za nią, a w prawym drugą taką lilią dopiero zerwaną... przyszedł, spojrzawszy na nią i upadłszy jej do nóg, długo łzami oblewał śnieżne jej ręce. „Jestem, rzekł on potem głosem czystym i takim, jakiego żadna pierś śmiertelna nie wyda, jestem i przyszedłem po ciebie, ażebyśmy sobie ręce i serce podali na wieki.” Julia wstała i pochyliwszy się nad nim, łez gorących strumieniem oblała te wieści, które on przyniósł, ażeby on wieniec kwiatów czarnych, przez swój całe życie się splatających, dwiema białymi liliami zakończyć. I wstawszy, podała mu rękę i szła z nim precz, w świat gdzieś daleki i sobie nieznany, w długą do jakiegoś wielkiego grobowca wędrówkę. A ponieważ wojna była natenczas tylko co przygasła w narodzie, i w ruinach stały wszystkie zamki i grody, więc szli do chatki małej, słomianą strzechą przykrytą, nad zieloną sadzawką pochylony, ażeby w niej, zdała od gwaru świata i zimnych ludzi, przeżyć tę resztę życia do śmierci. A koło tej chaty był cały gaik róż woniejących i cała łąka lilij kwitnących i cały las pełen słowików śpiewających. A na brzegu sadzawki stały wierzyby zaspane, w białym puchu owinięte i w wodzie się przyglądające, a po sadzawce pływało dwoje śnieżnych łabędzi, które do onych wierzb przypląwały, puch chwytały w dzioby czerwone i pluskały się w wodzie. Po drugiej stronie sadzawki, pomiędzy płaczącymi brzoźkami, stał mały krzyż drewniany: jego czoło wiecznie się kąpało w skwarach promieniach słońca, a jego stopa owinięta była w bluszcz do góry się pnący, wiecznie zielony i kwiateczkami okryty. W onej chatce mieszkali oni i oddając swe ranki liliom i różom, dnie karmieniu łabędzi i ogrodowym robotom, zachód słońca onemu krzyżowi, który z ich ust odbierał modlitwy, a natomiast wlewał w ich serca słodycz spokoju i złociste strumienie nadziei, wieczory zaś trawiąc na słuchaniu słowików i bujaniu po światach swych myśli i marzeń - było im bardzo błogo na ziemi. I było wieczne szczęście we wnętrzu chatki i wieczne kwiaty za chatką i wieczna wiosna na ziemi. Aż znowu kiedyś grom straszliwy uderza w chatę, burza łamie lilie i kwiaty, strzały wojenne wypędzają słowiki z ogrodu, łabędzie ulatują w powietrze, krzyż się druzgocze w kawałki i upada z trzaskiem na ziemię — a do onego wieńca zakończonego dwiema białymi liliami, poczynają się znowu zaplatać kwiaty czarne jeden za drugim.

Taką głowę i serca zajęta robotą Julia, nie dziw że nie myślała o tem, jakim sposobem sobie sympatyę u sąsiadek pozyskać i nie dziw, że dotychczas żadnego nie przywabiła do siebie konkurenta. I jej to może nic nie szkodziło, jej może i nie potrzeba było do szczęścia kończyć tak życie swoje, jak je kończą wszystkie kobiety w powiecie: ona może i nie myślała o tem, że nakoniec

dobrzeby było pójść za mąż i mieć dom swój własny i gospodarstwo i kogoś takiego, na którego barki możnaby złożyć brzemień trudnych i nudnych trosków pospolitego życia; jej, aby prawdę powiedzieć, ani na myśl nie przyszło, jakby kochać mogła, poślubić i na wieki żyć razem z którym z onych wąsatych i barczystych młodzieńców, których krzyk hałaśliwy i brzęk pałaszowy ciągle na gościńcu i po sąsiedztwach słyszała. Ale ojcu i matce nieraz przychodziło to na myśl, bo oni, mając oczy zdrowe i księżycowe mi niezamglone myślami, widzieli to dobrze, że Julii coraz bardziej ' owa dawna wesołość i świeżość dziewczęca znika z krasnego lica, zaczęli poznawać, że jakoś nie wywijają się dobrze ich wielkie o jej przyszłym losie nadzieje, liczyli dobrze, że Julii już minął rok dwudziesty, a po nim jeszcze jeden i jeszcze jeden, a ani pies dotąd nie zapukał do drzwi zalioczew<sup>7</sup>skiego zamku. I gryzło ich to niepomału i zaprzętały tem myśli swoje i rozmawiali o tem nieraz pomiędzy sobą starzy. Ale ani myśli, ani rozmowa nic na to nie pomagały i pan Działott sam wiedział o tem, że to nie pomoże, ale że to dwadzieścia i dwie latak jeszcze nie wiek jest, a miłość ojcowska także i u niego, tak jak u każdego ojca, votum swe miała, więc pan Działott lubo myślał o tórn, nie zabiśrał się jeszcze do żadnego czynu, ani nawet żadnego pewnego nie układał planu.

Aż dnia jednego o wiosnie, właśnie wtenczas kiedy sława cnót obywatelskich braci ślubnych, a jego tak blizkich sąsiadów, roznosiła się już skrzydłami wichru po całym powiecie, matka Julii, opuściwszy na chwilę długo przez siebie strzeżone łożę, wyszła była przy pomocy sług na galeryą, ażeby tam usiąść w po- ręczowym krześle i godzinę przepędzić na świeżem powietrzu i słońcu. Obok matki usiadła Julia i po zwyczajn ksiązkę jakąś trzymając w ręku, nie czytała jej, lecz rozmawiała z matką, starając się ją zabawić i rozweselić. I rozmowa toczyła się właśnie

O tem, że rok mija po roku, wszystko dokoła się zmienia, młodzież podraśta, żeni się, nowe domy się otwierają w sąsiedztwach, tylko w Zahoczewiu od lat już dwudziestu wciąż jedno jest i to samo.

— I nie rozumiem, moje dziecko kochane, — mówiła dalej matka — co to ma znaczyć. Piękną jesteś i młodą, wychowanie twoje pewno lepsze niż wszystkich twych rówienniczek, bogatą nie jesteś, ale są i uboższe panny od ciebie i nie daleko ich szukać i wszystkim tym, jeżeli nie powychodziły już za mąż, to choć swaty się jakieś trafiają, choć się nawinie ten albo drugi kawaler

I choć pokręci się koło domu i drugiego za sobą pociągnie i przecie nakoniec.... tu tylko wszystko jakby zakłęte.... i droga do nas, gdyby nią ojciec snopów nie wozil z pola, zarosłaby była już dawno w pas trawiskami, a może i człowieka dosięgającą krzewiną.

Julia kochała matkę aż do pieszczotliwości i miłość tę zawsze

starła się uległością jej woli i nigdy nie ustającą troskliwością

O jej wygody okazać; ale tego przedmiotu o którym teraz mówiła matka tak nie lubiła, że pomimo to, iż wiedziała, że prowadząc go dalej, najmilszą dla matki utrzymałaby rozmowę, spuściła tylko oczy nadół i smutnie zachowała milczenie.

Matka Julii była to kobieta prostego serca i ducha, nabożna, skromna, kochająca cały świat równo i przepuszczająca wszystkim wszystko, a ponieważ do tego jeszcze skołatana była cierpieniami długiej choroby i w skutek tego od lat kilku już codziennie do przejścia w świat inna przygotowana, więc stała się jeszcze pokorniej - szą i wyrozumiałszą na wszystko, niżeli była przez całe życie.

I dlatego widząc, że mowa o braku szczęścia Julii do ludzi sprowadza jej smutek, także umilkła, usiłując tymczasem zabawić się jakąś drutową robotą. '

Ale wtem obca jakaś pokazała się na galerii osoba. A osobą tą była słusznego wzrostu i letnia już jakaś kobieta. Ile na oko sądzić było można, nie należała ona do całkiem prostego gminu, ale z jśj zaniedbanego i brudnego ubioru znów wnosząc, niewiele ją można było wyżej nad on gmin prosty postawić. Miała ona bowiem koszulę cienką wprawdzie i w dziwne jakieś floresy wyszywaną, ale pomiętą już i nieświeżą; spódnica na niej była w żółte i czerwone szerokie pasy, buty niegdy żółte, ale dzisiaj mocno już wytyrane, chustka na głowie biała czarnymi upstrzona malowidłami, a lubo w tak ciepłym czasie miała na sobie i inderak granatowy wytarty, toż na wszystko zarzuciła ona jeszcze chustkę jakąś szarą i tak ogromną, że ta, okrywając jej głowę, brzegami swemi sięgała jej aż do kostek. I ubiór ten nie miał nic w sobie osobliwego i nie mógł nikogo uderzyć; jednak coś było w całej istocie tej baby, że patrząc na nią, jednych niezmiernie opanowywała ciekawość, a drugich dreszcz przejmował od pięt aż do czu- pryny. I zdaje się, że twarz jej głównie taki wpływ jakiś nieod- gadniony wywierała na wszystkich, i twarz ta była rzeczywiście dziwnem jakimś zjawiskiem. Niedosyć bowiem, że była cery tak ciemno oliwkowatej, ' że ją koniecznie trzeba było o pokrewieństwo z cygaństwem posądzić, niedosyć, że otoczona dziwnie buj- nemi a dobrze już szpakowatemi włosy, miała takie oczy jakieś, że takich drugich żadną miarą nie można było znaleźć u innego człowieka; niedość nakoniec, że twarz ta była okryta zmarszczkami w taki sposób się po niej rysującemi, w jaki na żadnój innój nie rysują się twarzy: ale nadto wszystko cała twarz tak jakoś ruchoma i tak jakiejś czartowskiej sztuce podległa, że podczas kiedy przypatrzywszy się już raz dobrze, zadawało ci się żebyś ją poznał i między najliczniejszymi tłumami, toż spoglądawszy drugi raz na nią, widziałeś już twarz całą inną i do tamtej ani krzty niepodobną. Więc nie można było tego naganie, że nie jednemu, który się tej kobiecie zbliżka przypatrzył, przychodziły na myśl one wier-

sze, które w swoim statucie Jan Dzwonowski, sławny swojego czasu poeta, zamieścił, a które mówią:

I ta dobra gospodyni, która z wody mleko uczyni,

I z powroza nadoi i niezłe, gdy się ustoi.

Gdzie chce, choroby nabawi; komu chce, zdrowia naprawi;

Komu chce, naczyni złoś'ci, pozbawi go majątności,

A kto się z nią zachowa, wielka podpora domowa.

Kiedy weszła ta kobieta na galeryą, Julia, spojrzawszy na nią, wstrząsała się mimowolnie i zadrżała, ale matka, drżącą i wychudłą ręką oc/y zasłoniwszy od słońca, rzekła w głos: " — Czy mi się zdaje, czy w samój rzeczy to Ewa?

— Nie zdaje się jójmości, ja to sama, — odrzekła baba, kłaniając się nisko.

— No proszę, — wzięła znowu głos matka, — któżby się tego spodziewał. Gdzieżeś to się bawiła przez tyle czasy?

' — Nigdziez się ztąd nie oddalała, moja jejmość kochana, — odpowiedziała znow Ewa; — zawsze mieszkam na balogrodzkiej granicy i ot żyję jakoś z łaski Pana Boga. — A pani znowu....

— Jakże ci się powodzi? czyś za mąż poszła? z kądże teraz powracasz?

— Nie, jejmość droga, męża nie miałam i nie mam, a powodzi mi się ot! jak Bóg da z łaski swojej. Temu powróżę, tego poswatam, pokłóconych pogodzę, a zresztą pracuję gorzko a krwawo, i jeżeli nie ztąd to z ową kapnie grosz siaki taki, i nie umiera człek z głodu, bo dobrzy ludziska na świecie.

— Wy wróżyc uraićcie? — spytała się nieśmiało, lecz z pewną ciekawością Julia.

— Umie, panienko, — odpowiedziała przybliżając się do niej zagadniona, — i pannie powróżę.

Ale wtem matka ruszyła się żywo w swem krześle i pewna niecierpliwość odbiła się w tym ruchu, tak jak gdyby nie chciała, ażeby wróżb tych słuchała jej córka. I rzeczywiście tak było, że ona tego nie chciała i dlatego niecierpliwość swoją dalej okazywać usiłowała; ale Julia, zajęta już całe wróżką, nie uważała na to i tymczasem podała już Ewie swą białą rękę, mówiąc:

— No, to mi powrózcie.

Niecierpliwość matki nie uszła bacznosci Ewy, w skutek czego nie przystąpiła ona zaraz do ręki Julii, ale natomiast, zbliżywszy się do matki, pokłoniła jej się nisko, mówiąc:

— Ale nie wiem, czy jejmość pozwoli?

Jejmość, dając pierwiej znak swojej niechęci dla tej wróżby, nie tyle była samejże wróżbie przeciwną, ile chciała tylko powiedzieć, że ta właśnie wróżba niewiele mieć może wagi, bo chciała dalej Julii powiedzieć, że zna ona oddawna już Ewę, wszakże służyła niegdy u jćj rodziców, a prowadzenie się jej zawsze było ta

kie, że niepodobna aby stworzenie to mogło kiedy władzy wróżenia dostąpić; nie przywiązując tedy żadnej wiary do tój wróżby, a obawiając się, ażeby z niej się nie wyjawilo co takiego, coby zakłóciło spokój domowy, rozumiała że lepiej się stanie, jeżeli żadnój wróżby nie będzie. Lecz teraz, kiedy wróżka sama tak pięknie i łagodnie odwołała się do woli matczynej, ujęta tem za serce, odezwała się matka:

— Jeżeli nic w tem złego nie będzie, to powiedz, moja kochana, co wyczytasz, — wszakże zawsze dodała, — ale nie rozumiem doprawdy, gdziebyś ty się wróżenia wyuczyć mogła?

— Wprawdzie nie łatwa to sztuka, — odpowiedziała na to Ewa, — ale kiedy człowiek chce, to sobie do wszystkiego nauczyciela wynajdzie; a o złe niech się jejmość nie boi; umiem ja milczeć i nie chodzę po to pomiędzy ludzi, ażeby ich straszyć złem takim, na którebym zaraz nie podała lekarstwa.

Tu przystąpiła Ewa do Julii i wzięwszy dłoń jej w obydwie ręce, mocno się w nią wpatrzyła. W tój że chwili twarz jej się dziwnie zmieniła, brwi się podniosły, oczy się roziskrzyły, włosy się wzniosły na głowie, a z ust przedtem sinych, a teraz rozczern-wienionych jak szkarłat, takie wyrwały się słowa:

— Za mążby pannie potrzeba, bo tak jest niedobrze. Schniesz, nudzisz się i latasz tamtędy, kędy się jeszcze dosyć nalatasz po śmierci. Wiem o tem dawno, moje slugi cię tam zdybywały i dziwowały się tobie... Gospodarstwa ci trzeba, domu, zatrudnienia, za mąż potrzeba.... Ale nie było dotąd żadnego}.... nie było i nie będzie takiego, o jakim myślisz.... ale będzie inny, dwóch ich będzie... dwóch ich będzie i to z blizkiego sąsiedztwa....

Wtem pan Działott, w dreliszkowym żupanie, pasem opasany skórzanym, w butach ze szarój skóry do kolan, w kapeluszu pilśniowym z szóroką kanią, z kijem laskowym w ręku, powracając od rzepy, którą siano natenczas, wpadł, jak to miał zwyczaj, prędko i pośpiesznie na oną, gdzie się to działo, galeryą. Pan Działott, troskliwy ojciec i dobry mąż dla swej żony, porzucił robotę w polu i przybiegł tylko na chwilkę, ażeby obaczyć, jak się ma żona i jak jej służy powietrze, lecz obaczywszy obcą jakąś kobietę, trzymającą dłoń jego córki w obudwu rękach, stanął zdziwiony i rzekł naprędce:

— Czemże to ichmość się bawia, czy niejedno wróżbami?

— Zgadłeś, mężu kochany, — odpowiedziała mu żona — przyszła wróżka i dla krotochwili Julcia kazała sobie powróżyć.

— Nie na wiele się to snać przyda — rzekł na to ojciec, — bo i mnie wróżono wielkie rzeczy onego czasu, a do dziś dnia nic z nich nie przyszło, ale przecież cóż mówi? — Ewa przyjściem pana Działotta spłoszona, stała już w zwyczajnej swojej postaci, plecyma o poręcz od galeryi oparta i zamyślona, a kiedy pan domu, co wywróżyła, zapytał, odpowiedziała głosem zimnym i obojętnym.

— Mówiłam pannie, żeby jej za mąż potrzeba, że dotychczas jeszcze kawalera nie było, ale że będą.  
k — Będą? — zapytał Działtowski.

Będą, dwóch ich wraz będzie, dwóch a obadwa z blizkiego sąsiedztwa....

— Z sąsiedztwa? — zapytał znów Działtowski i stanął i zamyślił się mocno.

Potem zasiał chodził i myślał ciągle, a dalej już i wróżkę odprawiły kobiety, dawszy jej datek nie skąpy i zapomniały już może o wróżbie, a on jeszcze chodził ciągle i myślał. Po chwili jednak kazał sobie konia osiodłać i pacholce wsiąść na drugiego, a ubrawszy się pięknie i powiedziawszy żonie, że dla jakiegoś kupna musi na parę godzin z domu wyjechać, z myślą: Kto sobie pomaga, temu Bóg pomaga, — ruszył gdzieś w niedalekie sąsiedztwo.

W kilka dni potem, o tój samej właśnie porze popołudniowej jak wtenczas, siedziała znowu Julia z chorą swą matką na galeryi, kiody nagle dał się słyszeć tentent kopyt i szcęk broni przy bramie, a niebawem konno, buńczuczno i strojno wjechało trzech jeźdźców w dziedziniec. Matka nie mogła tak prędko i o swoich siłach podnieść się z krzesła, ale panna skoczyła i popatrzyła na dół z galeryi, i widziała tych jeźdźców, ale ktoby byli, powiedzieć nie umiała.

Tymczasem oni, konie pacholcom swoim oddawszy, poprawili coś koło ubiorów i szli prosto na górę. Ale wszedłszy na galeryę i tam kobiety zastawszy, nie szli już dalej, tylko się do nich zbliżyli, pokłon piękny oddali i najpierw o pana pytali, a kiedy się dowiedzieli, że go nie ma w domu i już posłano poń w pole, to jeszcze raz się kłaniali i prezentowali się paniom, wymieniając swoje nazwiska. Więc dowiedziały się panie odrazu, że jeden z nich, co najpotężniejszy budowlą i wzrostem, był pan Osuchowski, łowczy sieradzki a dziedzic Żerniczki, drugi, cokolwiek mniejszy i szczuplejszy, ale cudnie piękny młodzieniec, pan Bobowski, stolnikowicz sanocki a dziedzic Żernicy, a trzeci cał już mały, nie bardzo młody, brunet i cokolwiek łysawy, pan Grott, herbu Mora.

Pan Grott byłto szlachcic herbowy polski, ale nie posesy- nat; pieczętował się herbem Mora i powiadał, że mu się to z prawa należy i że jest krewnym onych Grottów, siedzących w błotach pińskich, ale posiadłości swej nie miał ani tam, ani na błotach, ani owdzie na piaskach, ani tu w górach. Zjawił się on nie- dawnemi czasy tu w ziemi sanockiej,; a jako to pomiędzy szlachtą zawsze i ten i ów pożywić się może, tak i on, nie siejąc ani orząc, jako szpak albo wróbel około strzech latający, żywił się z cudzej stodoły. Pomędzy szlachtą onego czasu bardzo wielu żywiło się takich ludzi, bo też i w Polsce było ich bardzo wielu: spokój trwał już dosyć długo, pokolenia młode podrasłały zwawo w tej dobrej



doli, młódź rosła w coraz to większą liczkę, • w cudze kraje nie wychodziła, na wojnach jój nie wybijano, głodów i pomorów nie było, a nawet Tatarzy już zaprzestali byli swoich zagonów, więc siedziało to wszystko w dobrem zdrowiu we wnętrzu kraju; a że posiadłości Rzeczypospolitej przez ten czas nie przybyło, więc jej szlachcie nie ubyło i niektórzy z nich byli bez posiadłości. Ale żywiła szlachta takich z dobrego serca, a im który z nich więcej miał przyrodzonego dowcipu, tem mu łatwioj było o dobry stół i wygody. Różnych tóż sposobów dobierali sobie oni proletaryu- szowie dla opatrzenia potrzeb swojego życia: więc jedni byli pokorni i cisi, wyręczali swych gospodarzy w zatrudnieniach domowych, w handlach jakich albo przemyśle, i uciulawszy sobie przy- tem dla siebie grosz jaki, osiadali potem sami na dzierżawach, albo wcale i na dziedzictwach; drudzy znowu, także pokorni i spokojni, uczyli tylko dzieci czytać i stawiać litery, i mając za to chłób powszedni i czasem jaką przetartą suknię z garderoby pańskiej, na tem poprzestawali; najwięcej jednak było pomiędzy nimi takich, którzy pamiętając na swoje urodzenie szlacheckie, zapominali o swem położeniu, i nie dając do siebie przystępu pokorze i pracy, wieszali się tylko przy szlachcie, za pan brat z nią żyjąc, gościnność jej nie za łaskę, ale za obowiązek uważając, i wybierając na swoją siedzibę zawsze tylko domy kawalerów, wdowców lub hulaszczej i o jutro niewiele dbających szlachty. Ci ludzie byli dowcipni, ju- nakowaci na oko, ale często dobrze tchórzem podszyci; gardłujący wiele za cudzemi sprawami, a podczas gdy ciągle o tym rozprawiali, jako u nich gardło dać za przyjaciela byłoby niczem, nigdy gardel swych nie dawali. Takim wiodło się prawie zawsze naj- lepić i nigdy im domu ani przyjaciół nie brakło, i mogliby oni byli daleko piórwej przyjść do własnego chleba, niżeli tamci pierwsi, ale z tych żaden nigdy do niczego nie przyszedł, bo każdy z nich co miał, to przehulał. Dlatego też już największą zacnością takiego człeka było, jeżeli miał garderobę porządną, parę koni własnych i swego sługę, i lubo goszczenie takiego daleko więcej wynosiło niżeli innego, jednak zawsze tak było, że taki prędzej znalazł dom otwarty dla siebie, niż inny.

Do tego też rodzaju należał i pan Grott, herbu Mora. Bywało ci wprawdzie i u niego tak jako Bóg dał, i nieta? nietylko koni i sługi, ale i i żupana dobrego nie było, a zwłaszcza już natenczas, kiedy sięjn^ karty zgrał, albo kości\_go omyliły; ale nigdy stan taki nie trwał u niego dług>, a czasem i kilku tygodni mu na to nie było potrzeba, żeby miał dwa albo trzy konie, kontusz sajetowy jeden i drugi, pas iity, zegarki i pierścienie, i trzosik nic- próżny. A wždy przeto nikogo nie obdarł, nie okradł, ani tóż oszukał tak, ażeby go potem o fałsz<sup>1</sup> obwiniono w powiecie. Więc gra tylko szczęśliwa i przemysł misterniejszy od owoczesnych rozumów były źródłami, które go pożywiały; nad te obadwa źródła jednak jeszcze obfitszem i pełniejszym były serca szlachty, naścię-

żaj otwarte dla niego. Umiał bo też on pozyskiwać sobie te serca, tak jak nikt z jego kolegów; żaden bo też z nich nie miał ani tego dowcipu, ani tych wiadomości, ani tej fantazyj wiecznie żywej i krotochwilnej i niczem niespożytej. I rzeczywiście, z kąd on się tego wszystkiego wyuczył, co umiał, Bogu tylko wiadomo, ale to pewna, że co wyczytać można w księgach starożytnych filozo- fów<sup>f</sup>, co w klasykach rzymskich, co w oratorach, czóm się natchnąć z Pisma świętego, czego nauczyć się od doświadczonych stuletnich starców, to wszystko Mora miał w jednym palcu. A i wiersz jaki mu zacytować z pamięci, Horacyusza na świadectwo powołać, Kochanowskiego, Reja, lub którego innego z poetów, było to rzeczą powszednią. Co więcej, Grott umiał nawet sam wiersze składać i nieraz niemi wprost odpowiadał na zapytanie, a kiedy mu taka wena przyszła, to niby nic powiedział ich sto albo dwieście. I to było, czem się głównie różnił od swoich kolegów pieczeniarzy i czem nietylko sobie zaraz wszystkie serca otwierał, ale czem nawet dostąpił takiej u szlachty swobody, że na przycinki i żarty odpowiadał daleko ostrzejszemi żartami, a nieraz tak cierpką a jędrną prawdą, że Wartoby ją było i w księgę zapisać. I te żarty i prawdy jego znosili wszyscy, jeden ze śmiechem, drugi zasie ze wstydem, ale obruszać się za to nikt nie śmiał, bo już on zyskał był dawno taki przywilej, jakim się szczylicili pan Stańczyk lub Gąska. I dobrze z tem było jemu, dobrze i sąsiadom, on miał chleb i poddasze, oni zabawę, wysługę, a na czas i dobrą radę, i dlatego wszyscy mu radzi byli u siebie, a już z otwartemi rękami przyjęli go bracia ślubni, kiedy przed kilkoma tygodniami do Żernicy zajechał i na czas dłuższy tam zasiedział. Taki był on trzeci kawaler, który z braćmi ślubnymi do Zahoczewia przyjechał, — ale wróćmy do rzeczy.

Kiedy goście ci weszli na galeryą, kobiety tam siedzące trochę się pomieszały, dawno już obcych ludzi widziały u siebie, da- wrio takich kawalerów pięknych i strojnych; ale i kawalerowie jakoś także niewiele okazali śmiałości, bo już to pan Osuchowski nigdy prawie nie wiedział albo wiedzieć nie chciał, od czego zacząć dyskurs z kobietą, a pan Bobowski tak się jakoś na panienkę zapatrzył, że zaprezentowawszy się, dalej i słowa powiedzieć nie umiał, i byłby nakoniec nikt rozmowy nie zaczął, gdyby nie Grott herbu Mora. Ten, przysiadłszy się do jejmości, jak to miał zawsze zwyczaj czynić, kiedy przyjeżdżał z kawalerem w dom taki, gdzie była pani stara a panna młoda, i począwszy rzecz od pogody, przeszedł potem do zdrowia, którego brakowało jejmości, i tyle nagadał rzeczy różnych, że to wprawdzie nic nie nauczyły nikogo, ale zawsze przerywały milczenie. Bracia zaś obadwa mając sobie zostawioną panienkę, w żaden sposób nic nie mogli wydobyć ze siebie; w dobrą chwilę dopiero potem Bobowski, wcale nia<sup>^</sup> z'wewnętrznej potrzeby mówienia, ale li tylko dlatego, ażeby

go za niemego nie wzięto, przysunął się z krzesłem swoim do panny i tak zaczął półgłosem i z głębokim westchnieniem:

— Mój Boże! jak też to ludzie na tej ziemi mieszkają tak blisko siebie, że się miedzami stykają, a przecie się wcale nie znają. I to się nazywa hulaszczka i wciąż się włócząca szlachta nasza; jacyż zasie są ci, którzy sławni są światu z tego, że wciąż w domu siedzą?

— O! tak, — odezwał się zaraz na to Mora — ludzie siedzą sobie pod miedzą, a tyle o sobie wiedzą, co wypiją i zjedzą; a ręczę za to, że nie jednemu u nas szlachcicowi możnaby jego sąsiada podać na półmisku, i byleby był ladajakim przyprawiony saporem, zjadłby go i nie .wiedział, że to sąsiad jego. Gdyby sąsiad sąsiada zjadł i bez saporu, nie byłaby to nowina. Nie znają się u nas niektórzy pomiędzy sobą, ale drudzy zasie tak się kochają, że się aż zjadają.

I tak dalej w ten sens, wpadłszy na nowy tor, prowadził swoją rzecz pan Mora, a pan Bobowski milczał, patrząc na Julię, a Julia milczała, patrząc czasem na Bobowskiego. Osuchowski także czasem spojrzął z ukosa na Julię, bo lubo był zaciętym bez- żeństwa zwolennikiem i kobiet nie lubiał, jednak na piękną rzecz same od siebie obracają się oczy.

Wśród tego czasu przybiegł z pola pan Działott, a skoro przybiegł, zaraz ożywiło się towarzystwo. Pan Działott bowiem rzucił się najprzód do powitania i sprawił się z tem bardzo wymownie i grzecznie, bo i komplementów nie oszczędził swoim miłym i ukochanym sąsiadom, i dał im poznać to zlekka, że dawno mu się to należało; dalej kazał stół przynieść w galeryę, nakrył go pięknie i takim winem i różnemi marcypanami zastawił, że trudno było odgadnąć: senatorska to gościna, czy zgoła królewska? a kiedy jeszcze do' tego tę gościnę swoją żywą rozmową, ukła- dnością i różnemi facecyami umiał i przyozdobił, to tak kilka godzin minęło, jak gdyby jedno mrugnięcie oka.

Śród tych kilku godzin pan Grott szedł ciągle o lepszą w fa- cecyach z Działottem, i obadwa dobrze sobie dotrzymywali; już też i peni się rozmówniejszą uczyniła cokolwiek, i Osuchowski się rozgadał na dobre, i Julia nawet jedno i drugie czułe albo uczone słowo wrzuciła; Bobowski tylko jeden milczał ' i jak słonecznik głowę swoją obracał za Julię.

Tymczasem słońce zaczęło już zapadać za bujnemi lasami zjeżone góry i chłód poczynał na otwartą za wiewać galeryę, co zauważywszy pan Działott, zniewolił żonę swoją, że się z galeryi wyniosła, a kiedy tylko jedność osoby ubyłu temu gronu, zaraz i pan Osuchowski za swoją czapkę się obejrzał, i pan Bobowski rad nie rad za swoją, i zabrawszy się pomału wszyscy trzej towarzysze, pomimo nalegań i próśb gospodarza, aby dłużej zostali, podziękowali za gościnę, prosili o wzajemność, i wsiadłszy na konie, grzebiące kopytami przed gankiem, odjechali!.

Za bramą i aleją grabową zniknęli oni zaraz całemu zamkowi z oczu, bo ich droga skręcała się zaraz na lewo i niknęła pomiędzy chaszczami i wąwozami, ale pomimo to, Julia, oparłszy się

0 galeryą, stała jeszcze długo, i swe wielkie błękitne oczy w skały i lasy, na rumianem od ostatnich promieni słońca niebie się rysujące, wpatrzywszy, długo jeszcze tam stała. Myśli, które na ten- czas przesuwały się przez jej głowę, i uczuć, które się kłębiły w jej sercu, nikt opisać nie zdoła, bo to są rzeczy tak niedające się pochwycić umysłowi ludzkiemu, jako nie dają się pochwycić one cudne harmonie płynących po niebie światów, jakóż

1 ona sama nie bardzo jasną z tych myśli potrafiłaby była sobie zdać sprawę; to jednak pewna, że twarz Bobowskiego tak jej zdała się być znajomą, jak gdyby już wiele lat w jej obecności przeżyła; oczy jego widywała już pewno gdzieś dawniej, ten jego żu- pan biały atłasowy, ten pas srebrny kamieniami sadzony, ten kontusz aksamitny bramowany złotem, ta cała pdaść zgoła tak skromna, milcząca i zamyślona, była jej już od dawna znajomą. Jakoż już i chłód wieczorny całe orzeźwił powietrze, ptaki się już popowieszały do snu po zielonych gałązkach, i księżyc już wielki i biały wyszedł na niebo, aby przyświecać samotnemu słowikowi uderzającemu gdzieś w dali w urywanych tylko akordach, a ona jeszcze stała o galeryą oparta i zamyślona i w białej długiej sukni odbijającej mocno od poczerńiałych murów, wydawała się jak 011 duch zamkowy, który się w pewnych nocach jawi na wysokich krużgankach, zwiastując do nieszczęść przyzwyczajonym wnukom nowe jakie nieszczęście.

A tymczasem trzej kawalerowie jechali sobie stępą w górę oną ogromną rozpadliną, w której leżą\_ wsie Żernica i Żerniczka. I dziwna, że pomiędzy nimi także nieme panowało milczenie i Grott nawet nie miał jakoś ochoty ust swoich otworzyć. Raz tylko jeden stolnikiewicz odezwał się był do Osuchowskiego, mówiąc:

— Niepospolicie gładka to dziewa, panie bracie, ta córka Dziańotta, — a kiedy Osuchowski nic na to nie odpowiedział, dodał tamten:—A i Dziańott sam grzeczny człowiek i nie rozumiem, czego chcą od niego? — Dopiero pan łowczyk:

\*— Ot! głupi ludzie! żeby dał temu w łeb, drugiemu w bok, a na onego żeby wymalował z jakie sto tysięcy przed sądem, toby się z nim wysiekli, wyprocesowali, a pogodziwszy się, pokochali; ale że spokojny i cichy, to psy na nim wieszają.

I na tém skończyła się cała rozmowa. -

Ale w łydzień niespełna potóm, Bobowskj, niby to mimochodem, znowu zajechał do Zachoczewia; a dalej raz z Osuchow- skim, raz z Grottem, a czasem i sam jeden, lubo zawsze zasłaniając się różnemi pozorami, jednak dość często skręcał swojego konia do onej bramy, która jak gdyby upiór jaki, stała we środku starej i próchniejącej alei. Rodzicife widząc to, radzi byli, a nawet czasem aż nadto radzi, a że ojciec zwyczajnie zajęty był- gospo

darstwem i spi pola doglądał, matka zasie nie każdego dnia mogła wyruszyć się z \ózka, więc państwu młodym nic tylko sposobności nie brakło rozmawiać sam na sam, ale wstydliwemu stol- ni^kįfwfeczowi nieraz już nadto było tych chwil szczęśliwych, w których wiele czuć i wiele rozmyślać, ale wiele mówić nie umiał.

Ale i bez\_ częstej i długiej rozmowy w krótkim czasie o wiele się odmieniły myśli i usposobienia tych dwojga ludzi.

I jeżeli Bobowski coraz bardziej przestawał zajmować się swoim ulubionem rycerstwem, końmi, łowami i służeniem uciśnionej braci, a krom myśli ustawicznej o pięknej pannie z Zahoczewia miał tylko tę jeszcze, że niedorzeczną i cale niepraktyczną, jest opinia łowczyca o małżeństwie; to Julia dawno już zapomniała o swoich pięknych po nieznanym świecie żeglugach, dawno zapomniała o kochankach umarłych i ich marmurowych grobowcach, zapomniała nawet o chatce onej nad zieloną wiórz- bami okoloną sadzawką, a natomiast wszystkie jej myśli i uczucia, wszystkie sny i marzenia zajął żywcem tak jako był młody dziedzic Żernicy. Tego Julia całą mocą swej duszy zakłęła w swoją głowę i serce, tego obraz żywy niosła wszędzie ze sobą, temu poś<sup>1</sup> ubiła wieczną miłość i poświęcenie się, za tego postanowiła sobie umrzeć, zginąć, dać się zamęczyć lub ukrzyżować. Więcej jeszcze nie pragnęła dotychczas, a nawet jego sentymentami, jego sercem dla siebie tak mało się zajmowała, że tylko raz szczególny wzięła ją ciekawość, czy też on także myśli o niej.

Po tej ciekawości byłaby Julia i sama poszła już dalej i zaszła tam, dokąd wszystkie panny ze swemi myślami zachodzą, ale ją w tem uprzedził sam stolnikiewicz. Jednego dnia bowiem, pojechawszy on do Zahoczewia o przedwieczornej godzinie, znalazł się sam na sam z Julią we wielkiej zamkowej sali, która zapewne dawniej kiedyś świetnością swych ozdób odpowiadała zamożności dziedziców i wspaniałości samego zamku, ale dzisiaj już tylko, odpowiadając ubóstwu dziedzica i zamkowemu zniszczeniu, świeciła tylko zakopconym pułapem i wybladłemi malowidłami. Tam w głębokiej framudze od okna stojąc oboje i długo patrząc na dzikie urwisko góry i spienione nurty Hoczewki, nagle się odwróciM, jednocześnie spojrzeli po sobie i — znowu się odwrócili od siebie. Ale niebawem potem, świeżego w piersi nabrawszy oddechu, tak się odezwał pan Józef:

— Nie wierzy mnie panna Julia, jak mnie to jest ciężko na sercu, jak przykro, że od tak dawna bywając już w domu jej rodziców, ^od tak dawna mając miłą przyjemność rozmawiania z panią i uwielbiania przymiotów jej serca i duszy, muszę się jeszcze zawsze zachowywać jak on młodzienaszek nieletni, któren, bojąc się różgi swych opiekunów, nie śmie wydać na jaw tych, któremi jego serce goreje, afektów.

Na te słowa Julia się mocno zarumieniła, oddech w piersi zapała, ale milczała, Bobowski zaś mówił dalej:

— Wprawdzie nie tać mi tego, że lubo nie mam żadnych opiekunów nad sobą i tylko tych i owych doradców, którzy mi są przyjaciółmi, ale temu mogliby przecie stanąć na drodze; jednak z niemałym biciem serca i z niemałą bojainią, odważyłbym się przyznać się pannie Julii do tego, co mnie od niejakiego czasu tak ciśnie i boli, jak gdyby mnie kto kamień młyński przywiązał do serca...

Tu się zatrzymał stolnikowicz a Julia, widząc że wyczekuje jej odpowiedzi, wymówiła półgłosem:

— Niech mówi pan Józef. — A on dalej\*

— Ale koniec końców niechaj mi się stawia przeszkody jakie chcą, ja je koniecznie przekonać muszę, i choćby mi przyszło w tem życie położyć moje, szczęśliwym będę...

— O! Boże! — westchnęła panna.

— Szczęśliwym będę, — mówił dalej Bobowski, jeżeli mi Bóg pozwoli położyć życie za tę, bez której, jako widzę, niczemby dla mnie były wszystkie dnie moje. "Będę mógł liczyć na to, że smutki moje albo li nawet i straty, jakie mi w tem przedsięwzięciu znieść przyjdzie, będą przyjęte z takim sercem..."

— Ach! panie Józefie! — przerwała Julia — nie narażaj się na żadne smutki i straty, niech ciebie Bóg zachowa takim jak jesteś, bo gdybyś... o Boże! jaby nie przeżyła tej chwili.

— Ale to już inaczej nie może być — rzekł pan Józef, a ująwszy ją za rękę, mówił z zapalem: — ja wiem co robię, ufaj mi tylko i wierz...

Wtem nadszedł do onej sali pan Dzianott... i nic. Witął się tylko z Bobowskim i był bardzo grzeczny i czuły, rozmawiał ze stolnikowiczem o różnych rzeczach i zabawiał go po swojemu, a gdy ten się do odjazdu zabierał, żegnał go równie grzecznie i mówił: do widzenia.

Po tej wizycie bywał pan stolnikowicz dalej na żochoczew- skim zamku i miewał zawsze sposobność rozmawiania sam na sam z Julią, i nastąpiły pomiędzy nimi różne jeszcze dokładniejsze rozmowy | wszystkie wzajemnych ciężarów sercowych zwierzenia, jak to zwykle bywa w miłości.

Tak, działy się te rzeczy: co atoli Bobowski rozumiał pod onemi przeszkodami, któreby mu w tej sprawie mogły być stanąć na drodze, niewiadomo; niewiadomo także, jakich smutków albo zgoła strat się spodziewał, któreby z przewyciężenia tych przeszkód wyniknąć miały; zdaje się jednak, iż wedle jego przeczucia źródłem tych wszystkich przeszkód, których następstwami mogły być smutki i straty, nie miało być co innego, jeno ona zawziętość Osuchowskiego przeciwko małżeństwu, z którą pewnoby swemu przyjacielowi stanął był na drodze. Smutkiem zaś ztąd wyniknąć

mogącym mogły być przy równiej zawziętości stolnikowicza z drugiej strony nieporozumienia pomiędzy braćmi ślubnymi, niż nawet gorszące spory lub zgoła gniewy, a stratą całkowite przyjaciół rozdzielenie się i rozejście.

Nie będziemy tu sądzić pana stolnikowicza z tych jego myśli i uczuć, nie będziemy roztrząsać, były li one istotną prawdą jego duszy i serca, czy tylko czczemi w chwilowym sentymentów zapale wyrzeczonymi słowy: ale natomiast powiemy, że jeżeli przy spełnieniu swych życzeń z tej strony się przeszkód spodziewał pan stolnikowicz, to miał słuszność zupełną.

Pan łowczyc bowiem od kilku tygodni już dostrzegał jakiejś zmiany w swym przyjacielu, coś przeczuwał i domyślał się czegoś; nie mając atoli ani bujnej imaginacji, któraby mu co chwila nową tworzyła myśl w głowie, ani podejrzliwości w swym sercu, ani nakoniec onego sprytu żartkich i obrotnych umysłów, które w każdej sprawie w skok sobie poradzić umieją, pragnął był dusznie dowiedzieć się prawdy, ale jej jeszcze nie wiedział. Rozmyślając atoli codziennie więcej nad tem, postanowił nakoniec nie podstępnie i skrycie śledzić spraw swego brata, ale na jego wydalania się z domu pilnie dawać baczenie i na jego słowa więcej cokolwiek uważać. Tymczasem stolnikowicz, wierny jeszcze swoim afektom i przedsięwzięciom, ułożył był w swojej głowie oswajać pomału swego brata z tem przekonaniem, że on wcale nie pochwała ani podziela jego opozycji przeciwko małżeństwu i że dziś, czy jutro, za rok jeden czy za lat więcej, zawsze to stać się musi, że połowa panowania w żernickim dworze oddana zostanie pani jakiejś pięknej i w przystojnym domu wynalezionej.

A kiedy z jednej strony było przedsięwzięcie badania i dochodzenia tajemnic drugich strony, a w tejże drugiej stronie znów przedsięwzięcie powolnego swych uczuć i myśli wylania, więc niedługo czasu potrzeba było na to, ażeby pan łowczyc, pomimo całej ciężkości swojego objęcia, po odszukanych już raz tropie wpadł na samo to miejsce, gdzie wedle" jego zdania diabeł się był zagnieździł.

Jakoż jednego przedwieczora, kiedy obadwa bracia po zwyczaju usiedli w ganku do poufnej pomiędzy sobą gawędki, pan Grott zaś był zajęty ujeżdżaniem swych koni, nad którymi, kiedy się już raz w jego dostały ręce, tak się mozolił, że ledwie ich czytać i pisać nie uczył: pan stolnikowicz, nagadawszy w pierw dużo o różnych rzeczach, skierował mowę swoją do obowiązków każdego człowieka względem ludzkości i społeczeństwa, a powiedziawszy TOAŁO CO o troskach i trudach, tak szoroce się rozwiódł nad przyjemnościami wynikającymi ze spełniania tych obowiązków, że aż mu wypadło swą mowę zakończyć słowami:

. — Wiesz, panie bracie, że to nie głupi wynalazek małżeństwo.

Pan łowczyc, lubo w skutku dawniejszych względem swego przyjaciela podejrzeń powinien był być przygotowany na takie

dictum, tak się jednak tem jego otwartem wyznaniem przestraszył, że aż się rzucił na swojej ławie, lulka mu z ust wypadła i krzyknął:

— W imię ojca i syna i ducha! a to co takiego?

Ale stolnikowicz nie był przygotowany na taki wykrzyknik i także się wzdrachnął, wszakże będąc dla swego przyjaciela tak delikatnych sentymentów, że nawet każde przykre uczucie, które dotykało tamtego, jemu równą czyniło przykrość, odpowiedział łagodnie:

\* —Nic, panie bracie, ot tak myśl jakaś przeleciała koło mnie.

— Ba! myśl — rzekł znowu tamtem — ale bo to myśl myśli nierówna, a są myśli takie, za które, kiedy raz przyjdą, drogo się potem płaci.

Na to nic już nie odpowiedział Bobowski, a i Osuchowski, nie chcąc przedłużać tej niebezpiecznej materii, także umilkł na czas przydłuższy, ale co tamten czynił, poprostu z braku dalszego konceptu, to ten li tylko ze smutku, a nawet boleści, którą go przyjęła jawna już teraz stolnikowicza ożenienia się chętką. Tak jest, boleść prawdziwa, szczerą, dojmującą boleść przejęła Osuchowskiego, kiedy już nieodmiennie przekonał się o tem, że jego przyjaciel jest na tej drodze, po której jeżeli nie wprost do piekła, to wprost do wszystkich nieszczęść tego życia się leci. Człowiek ten bowiem, jak się to już wspomniało powyżej, niczego tak nienawidził na świecie jak kobiet, i wcale nie wahał się z tómsz występować publicznie, że najsprawniejszym narzędziem czarta za- tracił dusz ludzkich są te właśnie istoty, które wedle młodych zapaleńców widzenia mają często postać aniołów. Powstało li to przekonanie w nim, w skutek jakiejś nieszczęśliwej z kobietami praktyki, czy było ono tylko tak, bez żadnej przyczyny ufiksowanej sobie teorią, nie można było" jeszcze dotychczas odgadnąć, to jednak pewna, że teoria ta zdawała się być tylko jednym ogniwem całego łańcucha pewnych przekonań, które to łańcuch, objawszy wszystkie myśli Osuchowskiego, wodził je w swoich granic obrębie jakby w kole obłądnem. A domysł ten, uczyniony przez znających go bliżej sąsiadów, gruntował się na tem, że ile razy pan łowczy począł mówić o celibacie, wystawiając go jako supremum bonum swoim słuchaczom, to zawsze przy tómsz aplikował i tę naukę, która w krótkich tutaj zamkniętych słowach, przykazywała młodzieży: iż ta, jako kardynałna kraju i państwa podpora, powinna zawsze być jako żołniierz w obozie, słuchający li trąbki i wodza rozkazów. Młodzież powinna całe jestestwo swoje trzymać li na usługi ludzkości i w ustawicznóm oczekiwaniu powołania do służby, winna rozumnie i zręcznie wszystko to oddalać od siebie, co takiemu powołaniu mogłoby stanąć na drodze; a ponieważ nic tak nie obciąża człowieka i nie ogranicza jego osobistej wolności, jak żona, za którą wloką się zaraz dzieci, dom ludny,



ślug liczba, pierzyny, bety i różne inne zniewieściałości, więc chyba ten tylko może się żenić, któren z prawego obywatela chce się uczynić niedołągą i stróżem śmieci domowych.

— Rozumiem ja to dobrze — mówił nieraz pan łowczyc, — że gdyby mężowie dzisiejszych czasów byli tacy jako byli dawniejszych; gdyby mąż dzisiejszy miał umysł tak czerstwy, serce tak twarde i tak umiał być żonie mężem i panem; a zaśie żony gdyby tórn były co dawniej, gdyby ich panowanie rozciągało się tylko nad zamkowemi babami i dziećmi, a gdyby im, kiedy mąż wyjeżdża na wojnę, płakać nie wolno było aż wtenczas, kiedy po spuszczeniu mostów zamkowych w kole swych służebnic do przęślicy Usiądą: to i ożenie się, nawet ranne, nikomuby nie wadziło. Ale kiedy męjowi dzisiejszemu więcej jeżdżą kufle, karty a kości po głowie, niżeli kraj i dobro pospolitej rzeczy; k edy sam żwawiej Umie wskoczyć pod pierzynę i sprawnie pójść gonionego albo li drabanta, niżeli na koń wskoczyć i pójść z szablą o lepszą; kiedy pani ma więcej dowcipu od niego, i wygłaskawszy go pod brodę i pomrugawszy oczkami, tak mu swojemi kornetami, robionami, kolebami poszóstnemi a różnemi innemi świecidełkami nabije głowę, że nieborak sam nie wie, czy prócz świecidełek jesc co więcej na świecie, a kiedy jój nie dogodzi, taką mu wojnę uczyni w domu, że w kąć przed nią cecorska albo i grunewaldska: to dzisiaj złe zabijać w samym gnieździe! i kawalerem każdemu być póty, póki przynajmniej siedem razy krwi się nie przelało od broni nieprzyjacielskiej.

I tak był przekonany o tej prawdzie pan Osuchowski, że nie mówię aż do znudzenia nieraz ją powtarzał okolicznej młodzieży, ale ogoła za zgubionego każdego poczytując, który się żeni, za niejednego byłby sobie palec pozwolił być uciąć, gdyby go tem od małżeństwa wykupił.

A gdy tak było, nie dziwno będzie nikomu, że dowiedziawszy się o zamysłach, a przynajmniej o pochuciach swojego ukochanego brata, nietylko się srodze nad nim rozboleł, ale zaraz począł głęboko nad tem się namyśliwać, i różne myśli mu już zaczęły przyr chodzić do głowy. W kilka dni potem, miał li już jaki plan ułożony, czyli go nie miał, jednak już tylko głównie chodziło mu o to, czyli tu nagłe niebezpieczeństwo już grozi, czy dopiero powolne, a mianowicie, czy stolnikowicz te swoje chęci zwraca już do jakiego przedmiotu, czy tylko im puszcza wodze w świat tak na ślepo?

Rzecz ta atoli wyjaśniła mu się sama ze siebie; jednego dnia bowiem, gdy po obiedzie ze Żernicy powracał do siebie, napał się pan Józef koniecznie odprowadzić go aż do bramy i tak się stało; kiedy atoli pan Józef, pożegnawszy swojego przyjaciela, niby od bramy ku domowi nawrócił, a w rzeczy zaraz za pierwszemi krzakami konia skręcił i dwór objechawszy, ku Zahoczewiu się

puścił: już Osuchowskiemu więcej nie było potrzeba, a jego postanowienie już było gotowe.

Jakoż zaraz nazajutrz przyjechał pan Osuchowski do Zernicy i zaledwie zszedł z konia, rzekł do Bobowskiego obcesem:

— Panie bracie, już darmo, jakem żyw, tak nic z tego nie będzie.

— 'Z czegoż to? — zawołał prawie z przerażeniem Bobowski.

— Kwasić się tutaj dalej w tych górach, to niepodobna. Bądź co bądź, w świat nam trzeba koniecznie.

— Ale zkadze znowu tak nagła ochota? — mówił zwolna pan stolnikowicz.

— Nie nagła to, panie bracie, — odpowiedział znów tamten, — dawno ja o tem już myślę, ale nie wszystko się gada, co chodzi po głowie. Teraz zasie namyśliwszy się dokumentnie, powiadam wyraźnie: w świat nam trzeba, precz w świat koniecznie, bo na psy tu zejdziemy z kretesem.

— Ba! dobrze, w świat, — mówił na to Bobowski, — ałe gdzież to? na wojnę? p. gdzież dziś wojna? chyba że na handle jakie. — Na to pan łowczyc:

— Żaden Osuchowski za handlem nie chodził, to i ten nie pójdzie. Żaden też Bobowskiego do handłów nie kusił, to i ten kusić nie będzie. Ale na praktyki zawsze z sobą chadzali, owo i teraz tam pójdą.

— To wszystko dobrze, —<sup>9</sup> mówił znów stolnikowicz — ale gdzież dzisiaj szukać takiej praktyki, kiedy cały świat kiśnie w spokoju?

— Nie cały on kiśnie, nie cały, są Turki i Tatarzy którzy gnębią wiarę świętą i lud chrześcijański; jest Wołosza, która się dosyć natłukła naszych ojców, są nakoniec dzikie bestye i diabły po świecie, więc iść i bić co się zdarzy na chwałę Bożą, a co bądź się pobije, zawsze- to lepiej, niżeli tu siedzieć i zegnić, świata nawet nie widziawszy.

— To prawda że lepiej, ale kiedy nas pobiją? — zarzucił pan Józef,

— To i tak dobrze; piękniejsza śmierć w młodości na polu, niż w starości za piecem.

— Ta chęćka waszeci — mówił zawsze jeszcze niby pół żartem Bobowski — przypomina mi pana Cieszanowskiego najmłodszego, który, jak starzy rachują, lat prawie temu trzydzieści także tak wyszedł w świat bić co się zdarzy i do dziś dnia jeszcze nie wrócił...

— Ty widzę żartujesz — rzekł na to cale surowo pan łowczyc — a ja mówię prawdę od serca. Postanowiłem i już inaczej nie może być.

I dopiero wtedy twarz się widocznie przeciągnęła panu Józefowi, zaczął coś bełkotać ni to ni owo, ale jakoś dobrego argu

mentu nie mógł wynaleźć w swojej głowie. A pan łowczyc tymczasem dosadzał, mówiąc dalej:

— Chyba że nie chcesz... chyba że masz jakieś powody,

o których nie wiem, może zgoła obowiązki sieroty pod opieką oddane, majątki cudze w rękach, procesa cudze, za którymi masz gardłować przed kratką....

— Nie... jękał Bobowski — tak, właściwie nic nie mam, ale jednakże...

— Cóż, ale? powiadaj, bo jeżeli jest jakie słuszne ale, to ja cię za kark nie biorę, sam zresztą pojadę...

— A broń Boże! — zawołał pan Józef.

— No więc; do zebrania się trzy dni czasu, koń jeden pod siebie, drugi pod pachółka, szablę do boku, szkaplerz na piersi

I parę złotych do pasa, owóz wszystko czego potrzeba, a to przecie jest w domu.

— Koniecznie; — odpowiedział sucho pan łowczyc, a postawszy i uśmiechając się sam do siebie, powtórzył on wiersz znajomy, który powiada:

Długo myśleć, w skok czynić, jest to zwyczaj stary,

Tym sposobem pan hetman pogromił Tatary.

I tak pan Józef przystał, musiał przystać na dziki projekt pana łowczyca; nie miał on tyle siły w sobie, ażeby się żelazną woli tamtego mógł oprzeć, nie miał widać dosyć silnego i prawdziwego afektu dla Julii, ażeby go ten afekt natchnął i do oparcia się pobudził, wiązały go zresztą nierozzerwane śluby z panem łowczycem... więc przystał; ale się bardzo smutno zrobiło Bobowskiemu. Stała mu Julia przed oczyma, jej miłość, jej dusza piękna, jej postać cała... stanął mu dom jego przed oczyma, dom, świadek jego młodości, powiernik jego tylu marzeń i smutków... i stała mu cała -wieś przed oczyma, w niej ile ludzi tylu przyjaciół, w niej grób nieboszczki matki, kości ojca, prochy wszystkich Bobowskich., i bardzo smutno zrobiło się panu Józefowi. Jednakże myśląc o tem i zasmucając się coraz nowymi myślami, pocieszył się także z nich niektórymi. I mówił tak do siebie: Przecie da Bóg, że jeszcze na tej wyprawie nie zginę... szaleństwo to oczywiste, ale przeciwieć się nie mogę, śluby mnie wiążą. Wieś pożegnam, ludziom rozdaję pamiątki, pomodłę się na grobie rodziców... i przecie wrócę jeszcze. Ale Julia .. biedna Julia! będzie płakać i tęsknić i nawet zwierzyć się swoich smutków nie będzie miała przed kim. Ale i ją jeszcze pożegnam, nie dziś to jutro skoczę do Zahoczewia, powiódę wszystko, pocieszę, a kiedy wrócę, będę już jej na całe życie. Zresztą... może to i dobrze, będzie to próba... jakiś czas mnie nie będzie, pozostanie mi wierna: jej jestem... zapomni, ha! to i ja przeboleję. — I tak różne rzeczy jeszcze myślał Bobowski, ale we wszystkich się mylił.

A najpierwej mylił się w tem, żeby mógł jeszcze pożegnać

Julia: pamiętał o tem bowiem pan łowczy lepiej, niżeli o wszystkim innym, i jak shwytał pana Józefa w swoją opiekę tegoż jeszcze wieczora, tak go już nie wypuścił z niej przez całe trzy dni i ani kroku mu nie dał zrobić bez siebie. Więc kiedy czyniono przygotowania do odjazdu w Żernicy, Osuchowski w nich dopomagał, a kiedy toż samo przedsiębrano w Żerniczce. to on brał Bobowskiego ze sobą. I tak ani podobieństwa nie było do tego, żeby pan Józef mógł jeszcze widzieć się z Julią, aniby to się było stać mogło natenczas, gdyby się termin tej podróży był odwłókł, co bardzo łatwo się stać mogło, bo jednakże, wybierając się wydawać całemu światu wojnę we dwójkę, warto się choć nad tómi namyślić, od kogoby zacząć — ale nawet i ten krótki termin się nie odwłókł tym panom.

Zdarzyło się bowiem tak, że właśnie natenczas stała się była w ziemi sanockiej ona cygańska historia, o której mi już raz przyszło wspominać. W okolicy zagęścili się byli cyganie i tak kradli, że ich niektóre kradzieże można było prawie rozbojami nazywać: chodzili wielkimi kupami i brali dobytek i sprzęty z domów prawie na oczach właścicielom. Przeciwno tym rozbójnikom nie chciała chorągiew konna koronna dać żadnej pomocy, bo nie miała do tego rozkazu. Ale czterej najpicrwi junakowie owocze-śrui tej ziemi, a mianowicie pan Chojnacki, pan Doręgowski, pan Sobolewski i pan Nowosielski Chryzanty, dobrawszy do siebie ile tyle pospolitego ruszenia, zrobili na nich tak skuteczną obławę, że główna banda popadła w ich ręce, z których co przedniej szych kilkunastu obwieszono, innym zaś dobre pro memoria dawszy, rozpędzono na cztery wiatry. Ztąd jednak wywinęła się druga plaga na nieszczęśliwy ten powiat. Reszta bowiem niepojmanyh i po\* rozpuszczani łotrowie jak wzięli podpalać dwory, tak nie było tej nocy, w którejby choć jedna łuna nie zakrwawiła nieba. Kilkadziesiąt dworów i dworków zgorzało, poszły w niwecz znakomite szlacheckie zasoby, a niektórzy dzierżawcy, wdowy samotne i co mniej zaradni a drobni posesyonaci, poczęli już poglądać na torbę i kij żebraczy. Wzruszyło to tedy acz zupełnie niewinnie sumienia onych junaków do tego stopnia, że się wybrali na wojnę, ażeby łotrom odebrać się mającemi łupami tutaj choć w części zapomódz niedostatek i nędzę. Ta wyprawa dość się szczęśliwie powiodła, jak to opowiedziano było na swojém miejscu, ale wieść o wyjściu onych na hajdamacką wojnę właśnie tych dni się była po świecie rozeszła, kiedy pan łowczy dał trzydniowy termin panu Józefowi do wybrania się w świat na wędrownkę.

Więc kiedy ta wieść się do nich doniosła, nie mieli się już nad kierunkiem swojój wyprawy co długo namyślać, — i poszli w skok za tamtymi na hajdamacką wojnę.

Wyjście braci ślubnych na hajdamac<sup>l</sup>ą wojnę, lubo tak nagłe i niespodziewane, jednak żadnego<sup>o</sup> nie uczyniło na ogóle szlachty wrażenia. Wypadki takie były dość częste naówczas, duch awanturniczy coraz jawniej zmi znakami się w społeczności objawiał; dalekie wyprawy i w nieznanym krajach wiedziona wojny, których tyle nam opowiada historia, dosyć świeżo się utrzymywały w tradycji, unudzenie się długim pokojem i tęsknotą za nowościami znać już było na umyśle całego ogółu, więc ani się kto dziwował dwóm młodym ludziom, którzy żadnych obowiązków nie mając, wyszli sobie w świat dla rycerskiej albo i nierycerskiej zabawy.

I jeżeli jeden zadrwił sobie z niedorzeczności takiej wyprawy, drugi zaś westchnął głęboko na takie czasy, w których tak piękne siły nie mają innego do popisania się pola, jak imanie zbójców i złodziejów; to już było wszystko, co o braciach ślubnych mówiono po ich odjeździe z sanockiej ziemi.

Odjazd też ich żadnej w tym ludnym naówczas kraju nie pociągał za sobą odmiany: szlachty statecznej zostało jeszcze dosyć powiecie, krzyki ich pijane<sup>e</sup> i biesiadnicze hałasy rozlegały się i tak aż nadto rozgłośnie; w Żernicze gospodarowała sobie spokojnie i roztropnie matka pana łowczyca, w Żernicy plenipotent- wał niezgorzej pan Grott herbu Mora i wszystko zresztą szło tak po dawnemu, że ubytku pana Bobowskiego i Osuchowskiego ani znać nigdzie nie było. — chyba że który z uciśnionej ubogiej szlachty, nie mając udać się do kogo o pomoc, westchnął zaniki boleśnie, albo że za którym z nich ciche łzy gdzie płynęły w ukry-

Tora TX.

II

ciu i z milczącego serca rzewne w step ukraiński wylatywały westchnienia.

W takim małoważeniu pamięci sąsiadów minął nareszcie rok całkowity. Minęło i jeszcze coś nadto i przyszło lato, wolne od gospodarskich zatrudnień, czas pomiędzy zasiewami a zbiorami, środek miesiąca czerwca. O tej porze, ile że jej najczęściej stała sprzyja pogoda, najwięcej zwykła była włóczyć się szlachta, a kto- by był ją prawie in pleno chciał był obaczyć, tenby był nie potrzebował, jak tylko o tej porze nawiedzić targ w którym handlc- wniejszym miasteczku. Tam byli wszyscy.

Na takim też targu o tej właśnie porze, zgromadziła się po zwyczajowi szlachta nasza do miasteczka Leska, które że było jednym z najhandlowniejszych miasteczek podgórze a środkowym punktem całych gór sanockich, nie potrzebuję powiadać. Zgromadziła się tedy tam szlachta hurmem i byli między nią i bogaci i ubodzy, i mądrzy i głupi, i starzy żołnierze i młodzi piecuchowie, bo każdy z nich na wsi w górach mieszkając, ma swoją sprawę na targu. A ponieważ także z nich każdy po targu musi się posilić i napoić na drogę, każdy przy swobodniejszej chwili z tym i owym sąsiadem lub przyjacielem się widzieć, każdy zresztą pogawędzić i o no- winy ze świata popytać: więc przed wieczorem wszyscy niemal targowi zgromadzili się w Łatesowej winiarni, izbie leżącej w domu murowanym przy samym rynku, a tak obszernej, że się w niej mogło i kilkudziesięciu pomieścić. I ktoby był powiedział, że to zgromadzenie kilkudziesięciu szlachty na winie jest prawdziwą re- prezentacją całego ogółu szlachty sanockiej ziemi, ten byłby nrał prawdę, a ktoby był zasie powiedział, że to zgromadzenie jest wiernym obrazem całego ogółu szlachty całej Rzeczypospolitej» to i ten byłby miał prawdę.

Izba, w której zeszła się ona szlachta targowa, była, jak powiedziałem, obszerne; po pod ścianą najdłuższą a drzwicom przeciwną był wyciągnięty stół jednostajny, szeroki a długi od kąta do kąta. Przy tym stole siadali ci, którzy pierwsi prz} byli, i rozpakowawszy za sobą przyniesiony garnek albo rądel z bigosem lub inną przekąską, zrazu w jednym gromadząc się kącice, cichuteńko sobie gwarzyli, popijając po kropli. Kiedy ten stół się już gośćmi zapełnił, ci co później przybyli, siadali przy drugich, pomniejszych stołach, pod irmemi ścianami stojących, także posilając się każdy ze swcej torby\* o cenach zboża, o sprawach familijnych i innych drobniejszych rozmawiając i wszystko winem żydowskiem zakrapiając; — chybaby to aż któren ze starców poważniejszych i znakomitszych by wszedł do izby, ażeby go do onego głównego stołu .zaproszono, tak tam pilnie miejsc swoich strzeżono i o nie się dobijano. A działo się to dlatego, że kiedy już po przekąsce i po załatwieniu sprawek prywatnych, rozpoczynał się dyskurs o rzeczach publicznych lub innych jakich z wielkiego świata nowinach, to głównisjsze głosy zawsze miały miejsce przy wiel

kim stole, więc ci którzy byli przy mniejszych mało co mogli słyszeć, albo musieli powstawać i stojący się przysłuchiwać lub perorować, której to niedogodności uchodząc, wszyscy zawczasu się cisnęli do wielkiego stołu. I były ztąd o to kłótnie zwawe i spory tak ożywione, że aż czasem przychodziło do tuzów i wzajemnego Wyrzucania się oknem lub drzwiami, a pewien szlachcic, do niedawnego czasu jaszczce żyjący, którego jednak nie wymienię nazwiska, bo był zresztą mąż obyczajny, do samćj śmierci prawćm okiem oplakiwał swe lewe, które przy kłótni o miejsce przy wielkim stole utracił.

Jednakże dnia onego, o którym mowa, lubo liczny tłum szlachty pozasiadł wszystkie stoły w Łatesowej winiarni, i byli tam Balowie i Osuchowscy, Górscy i Brześciańscy, Pieniążkowie i Laskowscy, Nowosieleccy, Białobrzescy i Krakuszowscy, Krajewscy, Walewscy i Grott i Jundził i Slaski, zgoła wszyscy mniej więcej z bliższych i dalszych okolic, i lubo już dawno załatwione były przekąski i o rzeczach targowych i familijnych rozmowy,—jednakże, mówię, nic ważnego nie wniesiono na stół z rzeczy publicznych. I nie dziwić się temu; nie było bowiem żadnej wojny natenczas ani w kraju ani za krajem; — nowin żadnych z wielkiego świata nie było; w Warszawie Bryl minister rządził na wspólkę z zięciem swoim, Jerzym Mniszchem, marszałkiem wielkim koronnym, bardzo spokojnie, i cała polityka ówczesna kręciła się tylko około dwóch partyj, partyj książąt' Czartoryskich i partyj królewskiej, ustawicznie się ścierających ze sobą. Ale cała treść tej rzeczy, wraz z obustronnemi jćj dążnościami, tak już była wszechstronnie obgadana i szlachta sanocka tak jednogodnie dzierżyła się naów- czas partyi królewskiej, że kiedy Czartoryscy nanowo jakiego sejmu, nie rozerwali, nie rozpędzili sejmiku, nie złożyli ze swych popleczników trybunału, nie kazali zdjąć głowy komu dla odświeżenia swojej powagi i napędzenia grozy swym przeciwnikom, to już o ich trzymaniu się silnem, o ich dążności do opanowania tronu i o środkach do tego celu obicranych nie było co i rozprawiać. I było tak, że chociaż jeden lub drugi podrzucił tę lub owę o rzeczy publicznej opinią przy wielkim stole, na nic się to nie przydało, bo nikt na nią nie odpowiadał, a drugi jeszcze i zadrwił sobie z takiego nowiniarza, mówiąc po staremu: — Królowa Bona umarła.

Przy takim braku ważniejszego i- kraj cały obchodzić mogącego do rozmowy przedmiotu, niedziw że pomimo tak licznego tłumu gości w winiarni, tylko urywkami rozmawiano po kątach, a podczas gdy jeden już zićwnął sobie na dobre, drugi zasie westchnął głęboko na czas i zupełna cisza ogarnęła stół wielki, co gdy nigdy dawniej się nie trafiając, dzisiaj po kilka razy się powtórzyło, pan Krakuszowski, który był szlachcic partykularny ale niezłe czasem koncepta miewał, odezwał się w głos od jednego z małych stolików:

— Oh! złe czasy mosanie i haniebnie złe czasy być muszą zaiste, kiedy izba senatorska tak folgę daje swym gębom.

Stół wielki w onej winiarni, ci którzy się doń nie mogli docisnąć i pospolicie przy mniejszych siadali, przez uszczypliwość różnemi nieraz przezywali imioniskami, pomiędzy któremi izba senatorska miała także swe miejsce; ale senatorowie targowi nie przepuszczali tego swej braci młodszej i wetowali się na zgromadzonych przy mniejszych stołach tak jako mogli; jakóż zaraz na to odezwał się pan Górski z Lutowisk, przy stole wielkim siedzący:

• — A prawdę mówi imć pan Krakuszowski, bo to iw izbie poselskiej czasem się komu uda powiedzieć co do rzeczy: prawdę mówi, powiadam, jedno tobym w jego oracyi poprawił, że nie czasy złe mamy, jeno dzień' zły nam się trafił. Ale dzień zły bez kwesty i, bo jako jeżdżę już na leskie targi przez lat trzydzieści z czubem, tak ani razu mi się jeszcze nie trafiło przyjechać do domu....

. — Przyjechać do domu bez czuba, — poderwał ktoś z kąta.

— Nie, — odpowiedział na to pan Górski śród ogólnego śmiechu, — nie bez czuba, ale bez ciekawych nowinek.

— Ba! co za sztuka! — odezwał się na to pan Górski z Stef- kowej, brat tamtego stryjeczny, — ba co za sztuka przywozić nowinki do domu z targu,, kiedy przez całe one lat trzydzieści pan brat. może ni razu po jednym targu nie powracał do domu, jeno przez dwa albo i trzy wtorki wałęsał się po gościnach, trudnoż nie miało się przy powrocie coś nowinek dla pani bratowej przy- zbierać.

— A zresztą, — dodał do te^o pan Grott herbu Mora, — dwa lub trzy tygodnie doma nie bywszy, kiedy się żonie pokazał, sam już był dla niej nowiną.

Śmiech powszechny rozległ się po całej winiarni, a pan Górski z Lutowisk mówił tymczasem coś ria swoją obronę, kiedy znowu Pieniążek odezwał się z po za stołu:

— Dziwny to, widzisz diable, naród ta szlachta polska, jak mnie Pan Bóg miłyj niemasz nowin i cichość, a piękny spokój kwitnie po kraju jśj, widzisz diable, nie na rękę; zdarzą się nowiny, przyjdzie wojna lub inna jaka potrzeba, w której, widzisz diable, łba trzeba nadstawić, jćj i to nie na rękę: jakichże chcecie nowinek, powiadanych, widzisz diable pod piecem, czy w książce czytanych?

Iście niezłe takie nowinki, — odezwał się któryś z drugiego kąta, zwłaszcza kiedy się człowiek spracuje i radby chwilę wypocząć.

O! bardzo się tym razem, widzisz diable, spracujesz, jeden i drugi i trzeci bardzo i wierzę, bo to zemleć, widzisz diable, gębami dwa łokcie wędzonćj kiełbasy, zwłaszcza kiedy pani żona zamyśliwszy się o poczwórnej kolebce sąsiadki, da jej się, widzisz



diable, na skwarek wysuszyć w kominie, a dotego spytlować misę kaszy z słoniną i wydoić antałeczek podpiwku na wieczór, to pewno że niemała robota, i wierzę że potrzeba spoczynku po takiej pracy.

— Jaka szkoda — zauważył na to pan Brześciański, — że ten widzisz diable Pieniązek rewerendy nie obłókl na siebie; nie wiem Wprawdzie jakby spowiadał i mszą czytał przy ołtarzu i nie wiem, czyby czasem ojcowie nie dali mu za co castigationem domesticam, albo nie wskazali go na recolectionem tn fundo dzwonnicy; ale że kazanie mógłby miewać niezgorsze, tego nikt nie zaprzeczy.

— Gdzie tam! — odezwał się na to pan Grott herbu Mora:  
Zamknęliby mu duchem gębunię ojcowie,  
Nie za kazanie, ale za przysłowie.

Śmióch znowu powszechny obił się o ściany winiarni, ale pan Pieniązek, nic nie zważając na to, powiadał dalej:

Śmiejcie wy się jak - chcecie, a ja wżdy, widzisz diable, swoje wypowiem do końca. A więc kiedy chcesz takich, widzisz diable, nowinek, które ci spokoju twego pod piecem nie naruszają, to czegoż jeden z drugim rozpytujesz się o nie po kraju? Weź sobie, widzisz diable, pierwszego lepszego pielgrzyma doma, posadź go koło siebie pod piecem, a kiedy go nakarmisz i napoisz, to on ci, widzisz diable, takich nowinek naplecie, że będziesz syt i ty, i twoja, i krewniaczkowie i dziateczki i dla sług jeszcze co pozostanie. A biorąc takiego pielgrzyma ped strzechę, chrońże się jeno dobrze, żeby pod suknią pielgrzymską (to mówiąc, odwrócił się na bok od Grotta), nie był ukryty jaki rycerz od Pińskiego błota, bo kiedyby ci się, widzisz diable, ten trafił, to jużbyś zaraz i ślub z nim wziąć musiał na wieczne czasy, jako pan Osuchowski z Bobowskim, albo zasie jak imć pan Grott z Bobowskiego Żernicą...

— Hej, hej! — zawołał na to pan Grott herbu Mora, — panie bracie!

A Pieniązek na to z uśmiechem:

— Widzisz diable, u każdego kija zawsze są dwa końce, a dzięcioł chociaż drzewo psuje, ale i nos sobie psuje.

— Dzięcioł, kiedy drzewo psuje,—odpowiedział na to Grott,— to nos sobie psuje, ale kiedyby się człowieka przychwycił, to si- łaby go mógł napsuć, a nosaby sobie nic a nic nie popsuł.

— Kiedy to u każdego dzisiaj nos bywa twardy, odpowiedział Pieniązek, — ale co tam! nim co sobie zepsujem, ia będę powiadał dalej. A któryby zasie chciał koniecznie nowinek, a widzisz diable nie chciał nikogo za rie karmić ani doić, to niechaj sobie kupi Nowego sowizrzala, a w nim się tyle nowinek naczyta, że z na targ po nie jeździć nie będzie.

— Z przeproszeniem, — odezwał się na to pan Białobrzeski Wetliny, — nie chcę ja tu nikogo obrazić, ale kiedy wspomniono,

z przeproszeniem o Sowizrzale, pan Grott mi przyszedł na myśl. Tenby nam co powiedział, gdyby miał wolę po temu.

— A to prawda! prawda! — odezwało się kilka głosów, — powiedz, co panie Mora.

— W samej rzeczy, — mówili inni, — do domu czas jeszcze, powiódz nam co krotochwilnego! powiedz, powiedz! — wołali trzeci od mniejszych stołów; i gwar ten, domagający się krotochwili, rozległ się po całej winiarni.

Tymczasem Grott, człek niewielki i niepokaźny, siedział we środku wielkiego stoła pod ścianą i z po za blaszanego kufła tylko głową łysą błyszcząc, właśnie tak jak dynia dojrzewająca z po za swych liści, kiwał się tylko, w krawędź stołu spoglądał i milczał. At dopiero kiedy gwar się położył i cisza się zrobiła zupełna, on powstał i rzekł:

\*

Grott herbu Mora, powiadał wczora, I przed tygodniem i przed półtora, I jako szpak albo sroka Gada już imci panom od roka, . Niechżeż dzisiaj z kolei..... Pan Białobrzski co skleci.

— Prawdę mówi pan Grott! prawdę, jak nam Bóg miły! — odezwało się kilka głosów, — on zawsze nam coś przepowiada, ale powiédz ty nam coś także, panie Białobrzski!

Na to śmiech już chóralny rozniósł się po izbie, bo wiadano jaka głowa u wetlińskiego dziedzica, a tymczasem Grott począł swoje w ten sens:

— Grott gadaj, Mora gadaj, zawsze te same słowa obijają mi się o uszy, odkąd goszczę w sanockiej ziemi. I niemasz w tem nic tak złego i owszem, dobre, że lud Boży tak łaknie słowa; ale w tem pewno nićmasz nic dobrego, że ten lud nie łaknie słowa dlatego, ażeby z niego wyciągnąć jaką naukę, ale dlatego, że słowo to jest krotochwilne. Ja gadam i opowiadam z dobrej chęci, a z serca to czynię, ale Boga sobie na świadka biorę, że słowa moje, które tak na wsze strony rozsiewam, nic nie mają innego na oku, jedno to, ażeby tych i owych, czego nie umieją albo o czóm. zapominają, nauczyć, ale nie żeby stań czy ko wać pomiędzy wami. A jeżeli pomiędzy słowami mojemu najdują się krotochwilne, nie jam temu winien, jedno ten któren myśli ludziom do głowy podaje, a jeżeli zasie ludzie w słowach nic nie widzą krom krotochwili, to i temum nie winien, jedno oni sami, którzy mają oczy na krotochwilę a ślepi są na co innego. Ale to zawsze tak między ludźmi. W jednym domu szabla wisiała na ścianie. Szabla to była niepospolita, brzeszczot u niój był z stali wyborńój, ważny w samo prawie i ostry jak brzytew; ale i głównia była wyborna, perłami i kamieniami sadzona i błyszcząca z daleka tak, że więcej w oczy biła, niż brzeszczot. I przyszło pod tę ścianę dwóch mę

zów i oglądali tę szablę, a jeden wziął ją do ręki, złożył się, machnął nią kilka razy w powietrzu i rzekł: Dobra to szabla, bodaj - bym taką miał w ręku, kiedy się potykać będę z nieprzyjacielem. A potem oglądając głownię i rzekł: A i głownia to piękna i stosowna, prawnicj przez nią szabla trzyma się ręki. Drugi zasie przyszedłszy, jął także oglądać tę szablę, ale świecidlami uderzon w oczy, tylko ng, jej głownię poglądał, obracając ją w ręku na tę i owę stronę. I obracał ją tak długo, aż drugi na niego zawołał, mówiąc: idźmy. I poszli i obadwa przez drogę myśleli o onej szabli i obadwa chcieli ją nabyć. I za dni kilka nabył ją ten, któremu podobała się głownia, bo ten był majątniejszy. A nabywszy ją, powiesił u siebie na ścianie i przychodząc tam często, przypatrywał się misternej oprawie głowni. Ale później coraz rzadziej już tam przyahodził i nie tak często spoglądał, aż nakoniec spowszedniały mu już w oczach one błyskotki i znudziło go i odprzedał ją zasie tamtemu. A tamten, nabywszy ją, nie powiesił na ścianfe, jeno przypasał ją sobie do boku i bił nią swych nieprzyjaciół w przygodzie. A kiedy się zestarzał, dał ją swemu synowi, i ten ją także nosił przy sobie i używał w przygodzie, a po nim to sam czynił i wnuk jego i prawnuk. I tak szabla ona, skóra w domu jednego nie miała co robić i kilka tygodni, w domu jego sąsiada służyła wieki i szła z ojca na syna, każdemu dobrze się wysługując. Ale to zawsze tak bywa u ludzi.

— Otóż i ja jestem tej opinii, — rzekł na to poważnie pan Laskowski z Polany, — że nie wszystko jest krotochwilą co krotoc- chwilnie wygląda, a nad niejedną rzeczą, która nas na pićrwszy rzut oka do śmiechu pobudziła, kiedy się dłużej zastanawiamy, rzewnie przychodzi zapłakać.

. — Płakać chroń Boże! — rzekł na to Grott, — wstyd płakać temu, kto ma wąsy pod nosem. Dzieci niech płaczą i baby. Ale wracając do rzeczy, — mówił dalej orator, — jakżeż tu dzisiaj powiadać co szlachcie, kiedy ta szlachta zrobiła się tak nieposłuszna, jak nigdy jeszcze nie była. Przeszedłem ja całą Rzeczpo- spolitą wszertz i wzdłuż i napoprzek, i wstępy wałem po wszystkich dworach, jakby rybałt jaki wędrowny, i znalazłem, że ta szlachta wszędzie jest jednakową. Jeść ci dadzą i pić ile chcesz, dom ci swój każdy otworzy, a ten i ów dobrem się swoim nawet z tobą podzieli i gadać sobie każdy ci każe, ale każdy li kro- tochwile, z rzadka zasie znajdzie się, który nauki wysłucha. Na\* naukę ten uszy zatknie, inny odejdzie, trzeci, jeżeli jego grzechów na oczy nie rzuca, poziówać zacznie, ale najwięccj jest takich, którzy się oburzają na ciebie, mówiąc: A cóżeś ty za jeden, żebyś opowiadał nauki? Doktor ty filozofii, czy prawa, czy sztuk wyzwolonych, albo choć przynajmniój magister? Uczono ciebie na akademii krakowskiój, czy w Bononii, czy w Padwie? gdzieś to nabrał tej twojćj nauki? — Inny zasie co potulniejszy mówi: — Ej! daj pokój, panie bracie, z tą twoją nauką; uczy się człowiek codziennie,

uczy go bieda pilnie, chciałby się raczej trochę rozerwać i poweselić. Mówię jemu co o królu, o sejmach i radach, tłumacząc kędy się to dzieje, to on zasia: A cóż ty mi pleciesz za androny? zkaąd to wiesz? jesteś senator, biskup albo choć królewski sekretarz? byleś gdzie na poselstwie, u papieża, albo u cesarza rzymskiego, zkaądże przyszedłeś do wiadomości tego, co jest arcanum imperii? I tak ten tak pyta, a tamten owak. A właściwie żaden 0 nic nie pyta, jedno się każdy pytaniami od słuchania rzeczy poważnej wykręca. A możeby to czasem i nie zawadziło co poważnego posłuchać, i częściejby się co takiego przydało niż kro- tochwila, bo kto ma już rozum w głowie, ten może rano i wieczór, i w południe i o północy mówić poważnie a mądrze; zaś gdyby kto i nie wiedzieć jak krotocwilny umysł miał, to przecie na każde zawołanie krotoczwili nie powie, jeno ją powió natenczas, kiedy mu sama nadejdzie. Stańczyka raz w dzień chmurny i dżdżysty zdybało kilku wałęsającej się młodzi podle ratusza i zatrzymawszy go, rzekli do niego: Stańczyku, powiedz nam co wesołego. Aon, poglądnąwszy w niego, im na to: Zróbcie tak, żeby słońce teraz błysnęło, a ja wam powiem co takiego, że pukniecie od śmiechu. A nie powiadał natenczas nic Stańczyk, bo smutno było na duszy: owo panowie hracia i mnie dziś niewesoło.

— Cha, cha, cha! — zaśmiała się szlachta na to nieznośnie, mówiąc tędy owędy: — Bogdaj tego Grotta! kiedy by krwawemi łzami zapłakał, to jeszcze i wtenczas śmiechby dokoła obudził. — Aon tóż na to:

— Owo trafiliście w to chcąc niechcąc, bo to jest właśnie ten mól, który mi serce strzyże i tak częstemi smutkami duszę moję napawa. Ale nienad sobą ja płaczę, i nie dlatego płaczę, że kiedybym leżał jak on Łazarz głodny i odarty na cudzem śmieciu, każdy z wasby się najpierw roześmiał- ze mnie, nie nad sobą, powiadam, bo ja na ędzsm śmieciu nigdy leżeć nie będę, a gdybym i legł kiedy, to wiem to dobrze, że każdy, roześmiawszy się wprzód, podałby mi potem koniecznie łyżkę stawy

1 okryłby nagość moję; ale to mi serce zakrwawia, że wy z cudzego nieszczęścia śmiać się możecie. Wesołość w sercu i krotoc- chwilność umysłu jest pewno znakiem zdrowój .duszy i nietęgiego rozumu, ale śmisch gardlany, głośny, krzyczący, nigdy nie da się usłyszeć w towarzystwie z ludzi oświeconych złożonóm. femiech gardlany i głośny jest tylko wielkiój barbaryi dowodem, i barbaryi dowodem jest krotoczwili i ustawicznej krotoczwili pragnienie. I barbaryi dowodem jest śmióch nad krwią cudzą albo cudzcóm nieszczęściem się roznoszący; bo ciemność i barbarzyństwo tam było, gdzie się tłumami ludzie zbiegali na walki byków i gladiatorów; a w oświeconym Rzymie którzy wołali Circenses, wołali zaraz i panem/ Otóż nie powiem nic krotoczwili nego, bo mnie jest smutno na duszy.

To rzekłszy, Grott wziął kufel przed sobą stojący w obydwie

ręce i napiwszy się żeń, postawił go nazad przed siebie, milcząc i po swojemu w krawędź stołu się wpatrując. Ale szlachta, która i takie Grottowe oracye rzeczywiście za krotochwilę sobie miała, a jako w większej części cale nie oświecona i przeto lada czego ciekawa, zawołała znów głośno:

— To powiadaj nam jako chcesz, niechaj to będą i rzeczy smutne. I tak wielki post minął już dawno, a do adwentu jeszcze daleko.

— W samój rzeczy, — odezwał się na to pan Laski z Polany, — mów panie dalej, tak jakoś począł. Miło słuchać, bo powiadasz rozumnie, tak jak gdybyś myśli i słowa mnie z ust wyjmował; — a odwróciwszy się pan Laskowski do swego sąsiada, dodał półgłosem: — jak żonę i dzieci kocham, tak wielka szkoda tego Grotta, że się marnuje tak na wsi. Poszedłby on wysoko, gdyby się panom i królowi na oczach postawił.

Tymczasem zaś pan Pieniążek już był rzekł po swojemu:

— Widzisz diable że to dobrze czasem, kiedy cię kto zaraz zbije z terminu, bo potem mądre rzeczy przychodzą do głowy. — Na to Groit:

— Owa to przeciwnie jak bywa u innych, u których najczę- ściój głupio się po łbie kręci, a kiedy ich kto zbije z terminu, to się cale łba swego domacać nie mogą.

— Już, widzisz diable, zaczynasz, — odbił się na to Pieniążek, ale znów zakrzyczeli go inni, domagając się od Grotta powieści; wszakże byli pomiędzy nimi i tacy, którzy milczkiem po wy nosili się z izby, mówiąc:

— Myśleliśmy, że się ubawimy cokolwiek, a ono nam każą słuchać kazania; dobra noc.

Tymczasem Grott, którego życie w istocie nie było tego rodzaju, żeby mogło popierać nauki moralne dawane szlachcie, rzeczywiście zawsze swe krotochwilę tak umiał zastosować do pra\* wdy i do błędów owego czasu, że gdyby one wychodziły z ust człeka takiego, któryby miał wiarę i powagę, to mogłyby były dobre w umysłach i sercach przynosić skutki. Wychodząc z ust człeka, nie posesyonata, nie zaszczyconego żadnym urzędem ani okrytego księżą sukienką, co jednak wiele znaczyło natenczas, jedno z ust człeka mającego sobie swe własne życie za krotochwilę i wałęsającego się bez żadnego statecznego zajęcia od strzechy do strzechy, nie przynosiły one dla pospolitego dobra wprawdzie żadnych innych owoców, krom tego, że częstokroć wstydem oblewały policzki poczuwających się do jakiego gróchu lub winy; nie można atoli powiedzieć, ażeby te częste Grotta oracye nie przynosiły dla niego samego owoców. Grott bowiem był to człek dowcipny i bardzo przezorny, a przenosząc bystrością rozumu wielu swoich współczesnych, umiał on wiele rzeczy przewidzieć takich, które zakryte były pospolitemu oku; w tej mętnej tedy dla innych, ale dla niego przejrzy stój wodzie, umiał on nietylko spra

wnie łowić ryby dla siebie, ale nie jedna jego krotochwila, albo oracya, o której celach nikt nic ani pomyśleć nie umiał, była już niewodem zarzucona przez niego, w któren prędczy czy później ale zawsze nakoniec upadło to, na co niewód był zarzucony; a jeżeli nieprzewidziane okoliczności tak zrzędziły, że, te słowa jego zamierzonego nie osiągnęły celu, toż zawsze jeszcze nie pozostały one bez żadnego celu, bo były zabawne i bawiły, były moralne i nauczały, były satyryczne i karmiły złe obyczaje, więc zawsze zbierając sobie pochwały u słuchaczy, podnosiły coraz większe zachowanie dla mówcy.

Od dnia wyjazdu braci ślubnych na hajdamacką wojnę aż mniej więcej dotychczas, położenie Grotta było tego rodzaju, że nie potrzebował na nic niewodu zarzucać, krom na ludzkie umysły i serca. Bobowski bowiem, odjeżdżając, zostawił mu pewną moc zarządzania Żernicą, a że to były czasy, w których ludzie jeszcze mało się znali na rachunkach, a o prowadzeniu rejestrów ekonomicznych ledwie dziesiąty co wiedział, głównie zaś że to były czasy, w których pieniądze nie były celem życia, jedno jednym z pomiędzy wielu środków do życia, więc zostawiając Grot- towi moc pełną, Bobowski za całą instrukcją nie dał mu nic więcej, jedno to słowo: Żyjże tu sobie wygodnie i dobrze i patrz, aby mi nie rozkradzono dobytków. Grott wszakże, pomimo całego rozumu swego i przezorności, nie miał jednak ani krzty w sobie łakomstwa; żył on zawsze jak ptak, biorąc ziarno dla siebie z cudzych zasiewów; ale też jak ptak także nigdy o żadnych zbiorach nie myślał. I czy to przez pewną ugruntowaną poczciwość, czy tylko przez wrodzoną lekkość umysłu i małoważenie sobie tego ziemskiego życia, jak zawsze tak i teraz, żył wprawdzie dobrze w Żernicy, konie swoje powypasał jak gaiki, w garderobę się zaopatrzył, kilka groszy do kalety zachował, ale zresztą nic z gruntu nie ruszył, dobytków nie nadwerężył, i owszem, tak wszystkiego pilnował, że jeżeli jego konie tłuste były, to nie chude były i dworskie. I dotychczas dosyć mu było na tém i nie dbał o więcej — teraz atoli, kiedy już od wyjazdu pana stolnikie- wicza Z domu rok minął z okładem, wojna hajdamacka nie wielka, nie obowiązkowa, do niej nikt nie przywiązany ani na zawsze, ani nawet na długo, i bracia ślubni mogli już lada dzień się powrócić, uważał Grott to za konieczne dla siebie, ażeby przy ich powrocie nietylko uczciwością swoją w gospodarstwie żernickiem się przed nimi wykazał, ale ażeby także doniosło się do nich, że jego serce było zawsze dla nich wylanem i że pamiętało o nich tak, jak nikt w całym sąsiedztwie. Do zapewnienia sobie takiego od sąsiadów świadectwa najlepszą porą zdała mu się dzisiejsza, jakoż naglony od tłumem zebranej szlachty, aby powiadał co poważnego, pociągnąwszy nanowo ze swego kufla, zaczął w ten sens:

— Powiedziałem, że nie powiem dziś żadnej krotochwili, bo

mnie jest smutno na duszy, ale nie powiedziałem, dlaczego mnie tak smutno na duszy.

— Może ci kości nie dopisały, przyznaj się, — odezwał się na to pan Osuchowski, cześnik bielski, człowiek który właśnie powinien był słuchać jaknajwięcej morałów; ale mu odciął zaraz pan Pieniążek, mówiąc:

— Słuchaj że już, panie Marcinie, bo widzisz diabła, kiedy będzie rzecz mądra, to i tobie się przyda.

Grott zasie, popatrzysz się tylko z pod oka na Osuchowskiego, powiadał dalej:

— Smutno mnie jest na duszy, bo mnie razi ta terazniejsza nieczułość wszystkich, nieczułość i obojętność na losy bliźniego.

Obojętni dziś wszyscy i na losy swych bliźnich, a niechaj który z tój albo owej przyczyny ginie z kretelem, rzadko mu drugi poda rękę i chyba tómu tylko czułość swojego serca pokaże, że się odwróci od nieprzyjemnego widoku. A wždy tak nie bywało dawnego czasu. Nie bywałoby onych wojen wielkich, z których wiekami niespożyta sława naszemu narodowi urosła, nie byłoby zwycięstw onych, o których i wyobrażenia mieć dzisiaj nie możemy; sto razy byłaby ta arka starożytna już padła i dawnoby już było panowało bisurmaństwo po całym zachodzie, gdyby nie było w ojcach naszych miłości braterskiej i czułości na losy bliźniego. Ale gdy dawniej czułość ta dosięgała granicznych Niemców i inne nawet dalsze narody; 'dzisiaj nie dosięgnie ona nawet sąsiada, krewniaka już często ominie, i ledwie spocznie na żonie i dzieciach. I tak onych ojców wielkich puścizny nie chcą dziedziczyć maluczcy wnukowie i roztrwonili już ją tak, że lichaby zjadł ten, ktoby poznał ich pochodzenie, gdyby w księgach nie stało zapisane. A popatrz się dzisiaj na którego z nich, kiedy weźmie gadać a sobą wywijać, jużbyś myślał, że iście to rycerz wielki a żołnierz obywały po wojnach lepiej niż Czarniecki albo Chodkiewicz; a ono rycerz w nim do tego, żeby się powadzić z swym bratem i gębę mu nakrósłkować, albo kiedy Bóg da, to i wyprawić go ad patres. Jeszcze dobrze jeżeli i to, bo drugi i przed szerpetyną ucieknie i ziemię gryść będzie, przepraszając a mówiąc że umarłby zaraz, gdyby spojrzął na krew bratnią przez siebie wylaną. O! bo gardło wielkie i do kufla i do pochwałek, a i rozum się znajdzie do wykrętów. Owo zastanawiając się nad tem, co było a nie jest, smutno się człeku robi na duszy, bo smutno jest na tym świecie i rzec prawie przyjdzie z poetą:

Nie tak się ludzie rodzą na świecie, Jak z drzew owoce, jak w polu kwiecie, Z słodkich drzew słodki owoc się rodzi, A z pokrzyw róża nigdy nie wschodzi. Lecz dobry ojciec jak często złego

Syna urodził i zły dobrego.... Próżno się tedy wynosisz z tego, Co na cię spadło z kogo innego... Nic oko cudze nie da ślepemu, A cudza zacność nic nie da złemu... On się prawdziwym szlachcicem rodzi, Który swych przodków cnot\$ dogodzi.

— ■ Bardzo to pięknie powiadasz, — odezwał się na to pan Laskowski, — jak mnie kochasz, powiadaj dalej.

— Bardzo pięknie, bardzo pięknie, — chwaliła szlachta i ztąd i z owąd, popijając każdy ze swego kubka; a chociaż niektórzy i przedrzymywali sobie czasem nad stołem, inni zasie po kątach rozmawiali co z cicha, Grott przecie powiadał dalej:

— Aie gdybym ja i niewiedzieć jakich na świadectwo przywodził poetów, to na co się przyda, kiedy nikt mnie nie słucha, Napowiadałem ja się w tój materii niemało i nacytowałem się dosyć nietylko poetów, a i oratorów i filozofów, i na co się to przydało? A przecie ja nie z powietrza chwytam moje myśli i słowa, i nie kłamcę jako bądz, byle gęby me mićć zamkniętej, jeno wszystko co powiem, swojego czasu sprawdzić się musi. Przed dwoma laty, kiedy pan Pieniązek, ojciec to tego widzisz diable, który tu siedzi, miał dawać siostrzenicę swoją za onego wielkiego rycerza, kiedy się tu nagle zjawił i tak wielkiego o swo- jćj fortunie naczynił hałasu, że go już za magnata poczytano ogólnie, i kiedy w pocie czoła namyślał się nad tem, daćli czy nie? powiadałem mu jawnie: Ej panie Jakóbie, nie dawaj siostrzenicy temu człowiekowi, bo to pędziwiatr jakiś ze świata i cale niepewne subiektum. Fortuny wielkiej on nie ma, za to dam gardło moje, a bodajby i nie tak było, że ostatkami już goni, posagiem panny^ chce sobie trzos naładować, gdy mu się to uda, ludzkie oko go tu nie obaczy. Przyjął to jako tako pan Jakób i wypytywał mnie po czem to wnoszę i namyślał się znowu, bo pan Jakób jest człek mądry i ma doświadczenie. Ale inni krewniacz- kowie, kiedy te same słowa usłyszeli odemnie, jak wsiedli na mnie, to; n i nie wiedział kędy mi głowa, a widzisz diable pan Szczepan, gdybym się był nie wyniósł zawczasu, byłby mi pewnie uszy poobcinał, albo oko wystrzelił, tak mu na sercu był honor onego magnata. Co się stało, wie każdy, bo po owym kawalerze i miejsce już zastygło; a miasto posagu, jćjmość piastuje dziś chłopca na rękę, którego gorącemi łzami oblówa. Owo może le- piój było posłuchać cierpliwie co Mora powiadał i nie pytać o to, doktor to gada czy filozof, jeno zastanowić się nad tóm, a rozsądzić jak. gada?

— Prawda to, widzisz diable, jest co do joty, — rzekł na to Pieniązek, — tak przepowiadał Grott i tak się stało.

— Ej! nie raz to tak było i nie , dwa; — mówił dalej pan



Grott; — także temu-będzie dwa lata, kiedy pan Borowski takzra- bał Węgra w Jabłonkach, że go jeno trochę dychającego powieziono do domu, com szlachcie powiadał? Zleście zrobili, panowie bracia, żeście go tak niebezpiecznie chorego i tak zkiereszow^anego wypuścili z Jabłgniek, bo chory może umrzeć na drodze z waszej prawie przyczyny, a przyjedzie tak spaskudzony do domu, toż to za czyste urągowisko wezmą jego sąsiedzi. Ale co się stało, to się już nie odstanie, teraz jeno tylko to wam powiadam, uważajcie dobrze, żeby z w<sup>T</sup>as który zaprędko nosa nie wychylił do Bieszczad, bo Węgrzy to naród mściwy i dobra jest miara u niego; jak odmierzy za swoje, to i przez wierzech się przeleje. Ale panu Deręgowskiemu koniecznie się zachciało zaraz z końmi tam jechać, i cóż z tego wynikło? Konie wziął diabeł bez targu, a jeno prawdziwy cud Boży w tem stał się, że ich właściciela nie przesuszono na szubienicy. Ale nie koniec na tem. Kiedy pana Derę- gowskiego tam pojmano i osadzono in fundo, zaraz wieść o tem przyszła tu do nas. Cóż powiadałem? Oto kiedy niema fantazyi po temu, żeby hufiec zebrać potężny, iść z nim zaraz na Bieszczad i odbić brata niewinnie tam m periculo mortis mdlejącego w okowach, to niechaj przynajmniej trzech słusznej szlachty się zbierze i pojedą statecznie temu się oponować i reklamować sąsiada. Słuchał mnie kto wtenczas, kiedym to mówił? Jedni wzruszali ramionami, drudzy zagadywali czem innóm, a trafił się i taki, który rzekł: Nie" szkodzi, zjeść, go nie zjedzą, a kiedy mu trochę czupryny natargają, to i lepiej, snać potulniejszy zrobi się potem, bo butny bardzo i kęsa srodze. .Tożto jest ludzkość, to miłość braterska, to rozum? A toż to kiedy tak będzie, to nie potrzeba, jeno żeby dwóch dobrych junaków tu przyszło, a powybiorają sobie z domów wszystką szlachtę po jednemu z całego' powiatu.

— Prawda, prawda — odezwał się na to pan Błoński z Be- reski, staruszek siwy jak gołąb.

— Może to i nie całkowita prawda — rzekł znowu na to pan Górski — bo wždy inna jest iść odbijać kogoś w kraj daleki i cudzy, a inna na swoim własnem śmieciu się bronić.

— Albo inna, albo i ta sama — odpowiedział Grott, — bo wiadomo każdemu, jako chwast rośnie prędko, kiedy już raz zejdzie. Zbytki rosną przy kuflu i przy misie, pieniactwo sądowe, które tak już teraz opanowało wszystko, że pono między nami wszystkimi nie ma już takiego, któryby choć jednego nie miał procesu, zagnieżdża coraz mocniej; domatorstwo, odwykanie od dalekich wypraw, od niebezpieczeństw, od służby twardej i surowej, coraz lepić się praktykuje, więc nie możeż to być, że do czego jeszcze dziś zdolni jesteśmy, nie będziemy już za lat kilka?

0 bardzo być może, panowie bracia, bardzo może.

— Oj, może, może — powtórzyli jednocześnie pan Błoński

1 pan Laskowski.

' — Pewno że może — odpowiedział Grott — i kto wie, co

jeszcze gorszego być może, bo kiedy człowiek raz wstąpi na złą drogę, to niemasz tego dowcipu na świecie, któryby mógł przewi- dzić, dokąd on zajść może. A tego złego dużo już między nami, bo jedno z drugiego się wylęga i tak rośnie, jako trawa po deszczu. Jenó je trzeba chcieć widzieć, i uderzywszy się w piersi, przyznać się do niego. Ale czy przyzna się któren? Onego czasu, kiedy pan Osuchowski z Bobowskim śluby sobie czynili do- zgonne w hoczewskim kościele, i ja. tam byłem i zbudowałem się tem bardzo, i myślałem sobie z Danieckim:

Bodaj takich siła, I nasza i wszelaka kraina rodziła Przyjaciół: Boże! szczęście wam a słowem swćm świętem, Błogosław na długi czas sprawom tak zaczętym.

— A to kędy pisany jest rym taki? — zapytał pan Walewski, który się miał za uczonego.

— Pisano go przy szynkwasiu,

To jakoś rok o tym czasie.

odpowiedział Grott i znów mówił dalej: Owóz tym ślubem panów Józefa i Stanisława zbudowali się i inni, i chwalili to bardzo, a nawet niektórzy okazywali to jawnie, podając rękę zgody dawnym swoim nieprzyjaciółom. Ale przecie był tam i jeden i drugi, który za nic sobie ważył tę rzecz tak bardzo piękną i przez naszych ojców i inne słowiańskie narody praktykowaną, a trzeci zasie i zadrwić z tego w głos nie wahał się. Wszakże wszyscy słyszeli, co powiedział pan Deręgowski, a ja znowu sam na stronie słyszałem, jak kto inny powiedział: . KLiedyby to małżeństwo Bóg błogosławił potomstwem, a dużo tego było, tobym sobie jedno uprosił na wychowanie.

— Ej! zmyślasz, panie Mora, nie było tam tego, — powiedział pan Laskowski.

— Ale jakem Grott, tak nie zmyślam, a potwierdza to się tem jawnie, że przecie wszyscy słyszeli, jako niebawem potem u pana Giebułtowskiego w Wołkowyi w głos dworowano sobie z onego ślubu. A ja i tam powiadałem i tutaj powiadam, że nie drwić nigdy z rzeczy takich, które z Panem Bogiem i w pocziwych inteircyacli poczęte, bo na nich zawsze jest błogosławieństwo Boże i owoc pewny w nich będzie. Jakoż na moje wyszło, bo już z przyczyny tój przyjaźni siła dobrych rzeczy się stało, o których wiócie, siła jeszcze może lepszych, o których nigdy nawet wiedzieć nie będziecie, a kto wió ile jeszcze się stanie? A stać się musi i jeno dobre rzeczy ztamtąd wypływać mogą, bo obadwa są ludzie pocziwi i godni, i jeno tem zajęci, żeby drugim dobrze czynić na świecie. Ale to zemną rzadko kiedy kto się zgodzi w opinii. Rok temu, kiedy bracia ślubni, naczyniwszy się dosyć,

a może aż nadto dobrego swoim sąsiadom i braciom, i nanudziw- szyć się dosyć, wybrali się na hajdamacką wojnę, znowu nie miałem szczęścia zgodzić się z panami bracią w opinii. Kiedy bowiem wszyscy ten krok chwalili, wynosząc go jako dowód rycerskiego ducha aż pod niebiosy, a braci ślubnych kładąc już między Żółkiewskich i Maszkowickich, co może czynili dlatego, że tamci sami idąc na wojnę, ich nie namawiali ze sobą? Ja tylko jeden byłem w duchu, przeciwny tój bohaterskiej wyprawie. I nie tylko w duchu ale i w czynie; bo kiedym ich zastał już zdecydowanych, na ganku żernickiego dworu stojących, tom się przeżegnał trzy razy i od takiej figury zacząłem moją oracyą, jak Cicero swoją Quousque. Nie zdało to się 'wprawdzie na nic, bo mi pan Osuchowski zatknął gębę natychmiast, mówiąc: Niema o czem już gadać, sic volo, sic jubeo, sic est. Wiem ja dobrze, czóm jest jego sic volo, i dlatego nie powiedziałem w tej materji już ani słowa; ale to mi zawsze nie przeszkadzało i nie przeszkadza nie pochwalać tej wyprawy w mem wnętrzu. I tak sobie powiadam: daj Boże żeby to się skończyło, ale nie mam tego przeczucia. Panu Bobowskiemu nic się pewno nie stanie, bo nie on jest sprawcą tej , rzeczy, pełni on tylko wolę swojego brata i czyni zadość ślubowi uczynionemu przed Bogiem, a takiego Bóg ma zawsze w swojej opiece; ale czy pana Osuchowskiego już kiedy oglądać będziemy, albo czy go takiego oglądać będziemy, jakiegośmy go dotychczas widywali, to jest wiqkie pytanie.

— Proszę, — odezwał się na to pan Laskowski, — Osuchowski to do tego myśl podał? a myśmy myśleli że to Bobowskiego inw<sup>T</sup>encya.

— Ale nie o to tu idzie,—Odpowiedział Grott, rzecz swoją przedłużając, — jedno o to, o czem gadać już cały wieczór. A to jest, że u naszej szlachty do tego przyszło w dzisiejszych czasach, że co innego poczynają mieć w ustach, a co innego w sercu.

— Jakże tego dowiedziesz? — zapytał pan Załęski.-

— Zaraz się to pokaże, — odpowiedział Mora i tak rzecz sw<sup>T</sup>oję zakończył: — Kiedy bracia ślubni wyjechali na hajdamacką wojnę, pochwaliła szlachta ten ich krok całą gębą. Cłwalili potem jeszcze z jaki tydzień, wspominali przez drugi, a dalej umilkli. I że się tak stało, nic w tem złego, bo jużci ciągle o jednej rzeczy gadać i nudno i na nic się nie przydało. Zresztą wypadało czekać skutków lub nowych wieści i dopiero co o tem powiedzieć. Ale minęło lato i jesień minęła i zima nadeszła. W zimie już powinni byli bohaterowie powrócić, bo jużciz zimą wojny niemasz nigdy na całym świecie, jakoż i hajdamacy przepływ-ają Dniepr późną jesienią i zasiadają w koszu na zimę. I wiele rzeczy u nas nagadano przez zimę, nabawiono się, natanłowano, napito, najedzono do syta, ale o braciach ślubnych aby też słowo kto wspomniał, nie zdarzyło mi się usłyszyć. Ba! gorzej jeszcze. Teraz bowiem rok już minął z okładem, o braciach ślubnych dotychczas ani wieść

jedna nie doszła; z nich może i kości pobiełały na stepie, i prochy wiatr rozegnał na wszystkie części świata, a tutaj jeszcze nikt o nich nie wspomniał. Taka jest czułość wasza, taka miłość braterska, takie serca dla tych, nad których fantazją i duchem rycerskim unosiliście się aż pod niebiosa, — i wy godni jesteście sławy ojców naszych i dziadów?...

Po tych słowach przez chwilę głucho zapanowało milczenie; — a gdy taki dowód dobrego "skutku oracyi tak mocno rozradował Grotta, że patrząc śmiało całemu zgromadzeniu w oczy, nie taił się swojej radości, pan Laskowski rzekł na to:

— Już to trochę po kaznodziejsku zakończyłeś twoją oracyą, aleś prawdę powiedział. Zbytnią czułością na los bliźniego nie zgrzeszyliśmy jeszcze i snadź nigdy już nie zgrzeszymy... prawda! z tych pocziwych ludzi może już dawno i śladu nie pozostało na ziemi, ich dusze może już, stojąc przed Panem Bogiem, nie od dziś oczekują od nas modlitw}' i wstawienia się za nimi do Tego, który je sądzić będzie w dzień ostateczny, a myśmy nawet nie wspomnieli tu o nich. Prawdę mówisz, panie Mora, niech ci Pan Bóg zapłaci...

— To może z przeproszeniem, — odezwał się na to pan Białobrzeski, — daćby egzekwie odprawić za ich dusze.

— Dobrze, widzisz diable, to czynisz — odpowiedział Białobrzeskiemu Pieniążek — że kiedy co mówisz, mówisz naprzód z przeproszeniem, bo widzisz diable co powiesz, to nic do rzeczy. Jakże prawić nabożeństwo za czyją duszę, kiedy nie wiedzieć z pewnością, czy umarł?

— Aha! — odrzekł tamten, — ja myślałem że już zabici.

— Nic do rzeczy powiedział pan Białobrzeski, — odezwie się na to pan Laskowski, — ale nie o wiele się myli, bo wcaleby to rzecz była przystojna, żeby dać piękne nabożeństwo odprawić, na którembyśmy wszyscy byli przytomni, prosząc Pana Boga o szczęśliwe powrócenie nam braci ślubnych.

— A zapewne! rzeczby to piękna! — odezwało się naraz kilka głosów.

— Więc niema się nad czóm długo namyślać, — odparł znów pan Laskowski, — dzisiaj jeszcze dajmy znać tutejszemu księdzu, a na przyszły wtorek zjedźmy się trochę wcześniej i bądźmy wszyscy tym modłom przytomni.

— Dobrze, - dobrze! zgoda! bardzo ładnie! i ja! i ja! — wołali ze wszystkich kątów sąsiedzi, a pan Białobrzeski, riamozoliwszy się znowu ze swoją kalótką skórzaną, która mu się niechcący na guz zawiązała, dobył z niej talar bity i położywszy go przed panem Laskowskim, rzekł:

• — A to niech będzie na mszę świętą.

Ten dobry pana Białobrzeskiego uczynek wzbudził tylko śmiech i żarty u jarmarcznej gawiedzi, jak to często się zdarza z tymi, którzy lubo dobrze czynią, jednak czynią niezgrabnie;

wszakże lubo ten i ów zażartował sobie, że Białobrzesci z Laskowskiego uczynił księdza, talar dając mu na mszę, ten i ów także powstał i sięgając do swojej kaloty, dobywał co mógł, aby się do tej składki przyczynić.

Z tego zrobiło się zamieszanie i gwar powstał w winiarni, bo prócz pana Białobrzesciego, niejednemu innemu także kaletka się zawiązała na guzek, inny nie miał drobniejszych pieniędzy i mieniał u sąsiada albo u Żyda, inny pożyczał na ten datek od kogo drugiego: a wśród tego gwaru otworzyły się drzwi cichutko i w<sup>r</sup>szekł pokornie i skromnie, jak to zawsze miał zwyczaj, pan Działott do łatesowej winiarni.

Szlachta, gdy zobaczyła zahoczewskiego dziedzica, który często na targu ale nigdy nie był w winiarni, wrzasnęła głośno:

— A! pan Działott! pan Działott! cóż się to stało takiego?

Ale pan Działott tylko kłaniał wszystkim uniżenie, machając czapką na tę i owę stronę i mówiąc:

— Sługa, sługa, sługa asanstwa dobrodziejstwa.

Poczem kazał sobie dać wina i usiadł przy stole wielkim, cokolwiek już opróżnionym; ale kiedy podziwieniem nad jego przyjściem do winiarni i dopytywania się o nowiny nie ustawały, odpowiadał on zwolna, mowę swoją ukłonami przerywając:

— I cóż w tem dziwnego? — sługa pana stolnika dobrodzieja! -i- zmachawszy się na targu, — ścielę się do nóg panu podsęd- kowi! przyszedłem się także posilić, — do nóg upadam panu Chorążemu dobrodziejowi! ale kiedy waszmość koniecznie chcecie, — jak się ma pan Białobrzesci dobrodziej! to znajdzie się i nowina.

— No cóż? cóż? mów waszmość, a prędzój, — odezwano się zewsząd.

— Jadą tu Żydki od Sambora, — mówił pan Działott, — i nie wiem czy to pewna, ale powiadają, że widzieli w Samborze powracającego z Ukrainy...

— Pana Bobowskiego — zawołało kilku.

— Otóż masz! — mówili inni, — o wilku mowa, a wilk tu.

— Otóż masz, a gdzież Osuchowski? — wołali trzeci.

— Pana Bobowskiego! — zawołał równocześnie z wszystkimi Grott, porywając się od stołu na równe nogi — a gdzież ci Żydzi?

— Na tyle pytań odrazu odpowiedzieć nie umiem — rzekł na to pan Działott — ale zwolna na wszystkie odpowiem. A naj- pierwszy, ku zaspokojeniu pana Grotta dobrodzieja zapewnić mogę, że ci Żydzi już dawno odjechali, bo oni jeszcze przed zachodem słońca tu byli.

— A to jadę do Sambora — zawołał Grott,

— Nie śpiesz się waszmość — odrzekł mu na to pan Działott — bo jeżeli pan Bobowski tam jeszcze wczoraj był rzeczywiście, to on tu lada chwila nadjedzie, a jeżeli nie był...

— Ale powiadaj waszmość, co Żydzi mówili, gdzie Osuchowski? — przerwali mu inni.

— Otóż powiadali mi ci Żydzi — mówił Dziańott — że pan Bobowski zdrów jest i cały, tylko króskę ma wielką przez prawy policzek.

— A Osuchowski?

— Z Osuchowskim Bóg wie co się dzieje; powiadają, że od hajdamaków pojmany, najpierw miał być Tatarom krymskim, hajdamaków współnikom, a od tych znowu Turkom aż do Caro- grodu sprzedany.

— Oho! taj pewno już tam zjedzony — odezwał się pan Białobrzęski.

Kiedy Dziańott mówił, cisza była grobowa w całej winiarni i na niego oczy wszystkich zwrócone, ale kiedy nagle wśród tej ciszy odezwał się Białobrzęski, wszyscy się obrócili na niego, a pan Pieniążek zapytał:

— Widzisz diabie, a gdzież Turcy ludzi jadają?

— Turcy sami może nie jedzą — odpowiedział na to pan Białobrzęski — ale są tam u nich ci... ci... Hermafrodyci, co jedzą, wiem dobrze, przecie mego stryjaska tam zjedli.

— 6 Tfu! widzisz diabie — zawołał Pieniążek — jęszczem o żadnych hermafrodytach nie słyżał, coby ludzi jadali.

— Ale to pewno Troglodyci — wtrącił na to pan Grott — którzy w podziemnych pieczarach siedzą, a o których piąte przez dziesiąte słyżał pan Białobrzęski, ale tych niemasz na Turecczy- źnie.

— To wszystko jedno — odrzekł znów tamten — tacy czy tacy, kiedy jeno ludzi jadają. Stryjaska mego zjedli i panu Osu- chowskiemu pewnie także nie darowali.

I tak od ważnój nowiny odwróciły się umysły ku głupstwu, ale tymczasem Grott znowu zaczął:

— No i cóż więcsj mówili Żydzi?

— Nic więcej, jedno to com powtórzył — odpowiedział pan Dziańott.

— Dostyc i tego — rzekł na to smutnym . głosem pan Laskowski — otóż macie nowiny! iście lepiój, żeby żadnych nie było.

— Otóż się doigrali — mówił ktoś drugi.

. — Szkoda Osuchowskiego! kawaler piękny, mąż setny! — mówili inni.

— Ale to tam, widzisz diabie — mówił Pieniążek — i niepospolicie ciasno musiało być koło niego, kiedy się dał żywcem wziąć, boć to przecie gracz jest nielada i widzisz diabie siła jak u olbrzyma.

— Nie widzi mi się^ zauważył na to pan Brześciński — żeby to już tak miało koniecznie być, bo przecieź nie odstąpiłby w takim terminie, towarzysysz towarzysza, a nie dopiero brat brata.

Chyba że. go gdzie w nocy i z po za płotku wzięto, że i nie widział tego Bobowski.

— Ej! musiał dokazywać — odpowiedział znowu pan Górski — bo to junactwo wielkie było u tego człowieka, a ufność w siebie większa, niż w całą chorągiew.

— I^fawdę mówi pan podsędek — ozwał się znowu pan Gumowski — ja tam bardzo nie rycerzuję, ale ludzie wiedzą, że się szabli nie boję i ile razy mi przyjdzie się z kim pomierzyć, prawie za zabawkę to sobie uważam. Ale to powiadam szcórze, że kiedy się z Osuchowskim w jednej kompanii znajduję, to mnie zawsze, jakiś taki lęk bierze, żebym z nim do zwady nie przyszedł, że kiedy on co powie, to musi po nim przynajmniej trzech perorować, nim ja jakie słowo dorzucę. Nie żarty, mospanie, co tam za ręka. Gracz Chojnacki, gracz Deręgowski, i prawda, że kto z nimi staje, może śmiało gotować łoże, ale kto z Osuchowskim, ten trumnę! Nie wiem jak tam hajdamacy go dostali.

Tak powiadała szlachta przy wielkim stole, oni zaś po ką« tach znowu inaczej sobie to tłumaczyli, ale gdy to się dzieje, wpada któreńś ze szlachty, któren był już przedtem w winiarni i jeszcze za czemś był wybiegł na rynek, wpada, wołając już ze drzwi:

— Jest już tutaj Bobowski.

- — Jest? jest? a gdzie jest? — zawołali gwarzący; a wtóm drzwi się otworzyły powtórnie i wszedł w rzeczy Bobowski.

Wszedł, ale nie był to już młody, piękny i rumiany kawaler, jakim się dał poznać przed kilką laty, ale żołnierz smutny z nie- szczęśliwój powracający wojny. Twarz blada, kresa głęboka przez cały prawy policzek, włosy w nieładzie, oczy smutne i podsiniące, kontusz na nim wytarty i prawie obszerny, bóty grube i zabłocone, czapka stara spłowiała i tylko szabla czysta i błyszcząca przy boku — owo obraz stolnikowicza, kiedy owego wieczora wszedł do winiarni.

Jakoż smutek ten jego odbijający się na twarzy i w całej postaci, udzielił się zaraz całemu zebraniu i nie witano głośno, ani radośnie, ani z okrzykami od serca, jeno prawie w milczeniu obścąpili go wszyscy, a jaki taki, podając mu rękę, wzdychał tylko, mówiąc:

— Jak się masz, Bobowski.

A on zaś witając się ze wszystkimi razem, do żadnego nic nie mówił z osobna, tylko powitawszy już wszystkich, rzekł, po- glądając po sobie:

— Tak się z wojny powraca dzisiejszych czasów.

Nikt na to nic nie odpowiedział, tylko wszyscy westchnęli, a on znowu:

, — Cieszy mnie to, panowie bracia, że was wszystkich razem tutaj spotykam; ale czy nie masz tu mego Grotta z Żernicy?

— Jest, jest twój Grott kochany i właśnie nam tu taką wy

ciał reprimandę, że o w-as zapominamy, żeśmy już mieli nabożeństwo odprawiać na intencyą waszego szczęśliwego powrotu; owo nawet złożone dla księdza pieniądze.

— Tak? — zawołał Bobowski, — czy to być może?... niechże wam Pan Bóg zapłaci. Taki niechaj sobie mówi kto jako ihce, ale zawsze to nie masz nad swoich.

Słowa pana Laskowskiego widocznie i odrazu rozweseliły umysł stolnikowicza, zdawało się nawet, że przekonanie o dobrych chęciach szlachty sąsiadów dla niego, które powziął w tej chwili, podało mu całkiem inne myśli i" inną otuchę; jakoż zaraz siadł przy stole pomiędzy wszystkimi i rozkazawszy sobie dać wina, jął opowiadać szeroko i długo historią całej swojej wyprawy.

Opowiadał tedy Bobowski, jako tam idąc, bracia ślubni wstępowali wszędzie po dworach i zamkach, jako przyjmowani byli od wszystkich serdecznie, podejmowani ,i częstowani. Opowiadał dalej, jako na Ukrainę przyszedłszy, zastali tam kilka chorągwi konnych i petyhorskich i dragonii coś trochę, hetmanionej przez pana Suli- mirskiego, człeka bogatego i ziemianina z Mazowsza, a także ocho- .tnika na onej wojnie. On Sulimirski namawiał ich koniecznie, ażeby pod jego komendę się zaciągnęli, ofiarując im zaraz rangi oficerskie i dając nadzieję podwyższenia tych rang w razie, kie- dyby się jego komenda wzmogła i urosła. I Bobowski chciał przyjąć projekt pana Sulimirskiego, ale Osuchowski się temu oparł, mówiąc: — Na co nam tego? kiedy nam dobrze pójdzie, sami sobie złożymy oddział i mieć będziemy komendę. Jakoż w istocie w krótkim czasie przyszli do tego, że już mieli własny hufiec o kilkunastu ludziach, którym Osuchowski z wielkiem szczęściem hetmanił. Opowiadał dalej pan stolnikowicz wszystkie większe rycerskie' czyny Osuchowskiego, a niektóre z nich takie podziwie nie wzbudzały w słuchającej go szlachcie, że aż gwar się robił w całej winiarni tak mocny, że Bobowskiemu opowiadanie przerywał. Dalej wynosił Bobowski jeszcze wciąż cnoty swojego brata i o niczem nie przepomniał, coby współczucie dla niego obudziło w słuchaczach, lecz kiedy przyszedł do opowiadania onej okazyi, w której Osuchowski dostał się do niewoli, tak coś jakoś pogmatwał i tak rzecz zbałamucił, że większa połowa całkiem go nie rozumiała; ci zaś, którzy pilnie uważali na jego słowa, nie mogli się nie domyślić, że pan łow^czyc napadnięty został samopas i w takim oddaleniu od swoich kolegów, że mu Bobowski w żaden sposób już nie mógł przynieść ratunku.

— Więc kiedy tę smutną wieść przyniesiono do nas, opowiadał dalej Bobowski, — ja struchlałem i aż mi się w głowie zamąciło, bom nigdy nie myślał, ażeby Stanisław, który jest ostrożny w każdym kroku, jakby już miał lat siedemdziesiąt, naraził się samowolnie na niebezpieczeństwo bycia pojmanym, albo zgoła po cichu zabitym. Jednakże zaraz wzięwszy kilku ludzi ze sobą, skoczyłem w pogoń ale to step, jakby morze jakie! szukaj że tam



kogo. I tak błądziliśmy już tylko po omacku po całym Stepie i zamiast Osuchowskiego, nie napotkaliśmy nic więcej, prócz pewnych wieści o nim, które lubo nie były pocieszające, jednak zaspokajały nas w tem przynajmniej, że jeniec utrzymuje się ciągle przy życiu.

— Więc gdzie jest? co się z nim stało? — pytali słuchacze.

— Najpierwej był w rękach jednej kupy hajdamackiej, która tam i sam chodząc, i jego ze sobą wodziła; potem też kupa zdążyła się z Tatarami krymskimi, którzy się po brzegach Dniepru za różnym przemysłem włóczę i ciż Tatarzy, obaczywszy w rękach hajdamackich Osuchowskiego, że to chłop tak olbrzymi i taki piękny, kupili go w nadziei zarobienia na nim albo wielkiego okupu, albo odprzedania go z korzyścią do Turecczyny.

— Taki to przemysł u tych łotrów? ludźmi handlować! — zawołało kilka głosów.

— Jakoż rzeczywiście, — mówił dalej Bobowski, — zaprowadzili go ciż Tatarowie do Bałty i tam na swoich trafili. Kupili go bowiem zaraz Turcy i do Carogrodu wzięli ze sobą. Byłem sam w Bałcie i od naocznych mam tę wiadomość.

— Turkom sprzedany! — zawołał pan Górski, — bywajże zdrów! już go podobno nasze oczy widzieć nie będą.

— Dlaczego nie? właśnie że będą — odpowiedział Bobowski, bo jeżeli go Turcy kupili i gotowy grosz za niego dali, to pewno nie na to, żeby go zabić, jedno aby od krewnych jego znaczny okup wytargować, albo go sułtanowi, za jakiego wielkiego hetmana go udając, za dobre pieniądze odprzedać.

— Ba! widzisz diable, a nuż sułtan go kupi i każe ściąć dla krotchwili — zarzucił Pieniążek.

— Ha! mogłoby to i tak być — odpowiedział z westchnieniem Bobowski, — ale przecie podobniejsza, że tak się nie stanie, bo ani nikt dzisiaj tak na wyrzucenie nie ma znacznej sumy pieniędzy, ani tóż sułtan jest teraz tego usposobienia.

— To prawda! ma słuszność Bobowski! nie będzie nic łowczy- cowi! — odezwało się kilka głosów.

— Ale jakże go dobyć z tamtąd? to sęk; — zagadnął pan Laskowski.

— Wedle mego widzenia rzeczy — odpowiedział wręcz na to pan Józef, — dwa tylko są środki, zapomocą których Stanisław może być wydobyty z tej niewoli.

— No, powiadajże jakie.

— Jeden jest ten, żeby albo samemu jechać, albo przez jw. wojewodę zanieść prośbę do króla jegomości, żeby zareklamował Osuchowskiego z Turek. Król jegomość, czy tędy czy owędy proszony, swojej przyczyny nie odmówi i pisać będzie, albo zgoła poszle po niego i droga to pewna....

— Pewna, ale daleka, — przerwał w tsm miejscu Grott.

— Otóż to jest, daleka — odpowiedział Bobowski, — bo nim

słońce zejdzie, rosa oczy wyje; bo chociaż nie zetną tam Stanisława, może on z samej zgryzoty i z niedostatku ducha wyzionąć. Ale jest drugi środek, jeszcze pewniejszy i daleko prościejszy, a ten jest, zebrawszy dobrą sumę pieniędzy, pojechać do Caro- grodu i poprostu pana Stanisława wykupić.

— To najlepiej 1 — odezwał się Grott.

— Pewno, pewno, wziąć pieniądze, jechać samemu i wykupić; mówili inni. \*

— I ja tej opinii jestem — powiadał stary pan Błoński — bo tu nietylko idzie o to, ażeby pomoc była, ale ażeby była prędką, bo ani na pogańskie sumienie, ani na ich politykę wiele rachować nie można, a zresztą i cierpienia pana Osuchowskiego wiele znaczą a bis daty qui cito dat, powiada przysłowie.

— Widzisz diable — mówił znów pan Pieniążek, — pogańskie to także przysłowie: a jabym był zdania, żeby chrześcijańskimi pieniędzmi nie nadzićwać bisurmańskiej kalety, kiedy jest środek inny. Osuchowskiego tam już teraz nie zjedzą, kiedy go dotychczas nie zjedli, a mąż to setny i twardy, umysłu hardego, tenax, jako powiadali Rzymianie, frasunkowi się tak łatwo nie podda; więc udać się do króla i król go odbierze; może nawet zgoła ma jakiego Turka u siebie, to go zamienia.

— I jabym był tego zdania, co pan Pieniążek dobrodziej — odezwał się na to delikatnym głosem pan Działota, — bo nietylko być może, że u którego z panów naszych albo u samegoż króla jegomości jest jakiś jeniec turecki, jak to się często wydarza, ale nawet, mając syna w Warszawie\* możebym...

— Może, może, może — powtórzył na to Bobowski, patrząc z żalem na panów Działotta i Pieniążka, — a tu potrzeba pewności.

— Tak jest, tu potrzeba pewności — odezwało się kilku.

— I ja ani myślę — mówił dalej Bobowski, — wahać się w wyborze pomiędzy temi dwoma środkami i myślałem już o tein w Bał- cie. Ale cóż, w rękę nie miałem pióńędzy, a lubom połowę kapitału obiecywał w procenie, nikt mi ani grosza dać nie chciał. Tej samej uczynności doświadczyłem i od swoich po drodze, a ci sami, ludzie, którzy nas w pochodzie na Ukrainę ledwie nie na rękach nosili i pili zdrowie nasze, jako swoich obrońców, teraz i pa- trzóc prawie nie chcieli na mnie. Nie dosyć atoli na tem, ta sama bowiem przeszkoda w wykonaniu tego drugiego środka stoi mi i tutaj na drodze.... byłoć wprawdzie u mnie kilkanaście tysięcy gotowych, które mi pan ojciec zostawił, ale te przeszły już dawno.... sąć i teraz jeszcze "sumki, ale te leżą po ludziach, których trudno mi teraz dławić o oddawanie, nie opowiedziawszy im naprzód.... ale Panu Bogu niech będą dzięki, żem się ju\* nalazł pomiędzy swoimi.... nie bogata to wprawdzie ziemia, ale kilka tysięcy czerwonych złotych dać może bez zubożenia siebie, zwłaszcza że się da na to ewikcyja i odda się w czasie....

Kiedy to mówił Bobowski, zrazu smutno bardzo zrobiło się w izbie, potem kilku, zauważywszy, że już jest bardzo późno, a oni daleko mają do domu, po wy nosili się milczkiem z winiarni, za nimi wysuwali się po Jednemu i inni, a kiedy pan Bobowski wyjechał wprost z propozycją zrobienia składki aż do sumy pięciu tysięcy czerwonych złotych, to już ledwie połowa gości jarmarcznych ją słyszeć mogła.

To widząc, pan Józef umilkł nagle i tak się zasmucił, że jako powiadano lzy mu rzęsiście puściły się po policzkach, a kiedy wśród milczenia z tej połowy pozostałych jeszcze się za drzwi wyniosła połowa, obrócił się on do Grotta, mówiąc w głos, „ale ze łzami:

— Chodź mój Grocie do domu; gdzie są Żernica i Rogi, tam pięciu tysięcy dukatów nie brakuje, ale Bóg mi jest świadkiem, że między tę samą szlachtę rozdał więcej jak pięć tysięcy dukatów na wieczne nieoddanie.

To rzekłszy, wziął Grotta za rękę i prosto szedł ku drzwiom, ale paru-Laskowski<sup>L</sup>-który z kilkoma innymi jeszcze pozostał był we winiarni, zastąpił mu drogę i rzekł:

Panie bracie, co ty czujesz to i ja czuję, ale ty młody dziwujesz się, a ja stary cale nie dziwuję się temu, bo taki świat był, taki jest i chyba aż kiedyś inakszym będzie, w co ja jednak nie wierzę. Niema też o Czóm mówić. Ale słuchaj, leżą u mnie w skrzyni dwa tysiące czerwienców, które chowam na posag dla córki, jak tylko powrócisz do domu, zaraz je sam przywiozę do ciebie; będzie mógł kiedy, to mi je odda pan Osuchowski, a nie, to niechaj i tak służą na chwałę, Boga i wykupienie duszy chrześcijańskiej z rąk bisurniaństwa. Nie stary człek jeszcze tak bardzo, toż kiedy z lat kilka się jeszcze pożyje, zbiorą się inne dla córki. 1

Na to pan Bobowski ripcił się na szyję dziedzicowi Polany i rzewnymi oblał go łzami, a jvtm pan Białobrzeski znów przystąpił do niego, mówiąc z ukłortem:

— Jeżeli waszmość z przeproszeniem nie pogardzisz moją chudobą, to i u mnie się znajdzie parę tysięcy złotych; któremi służyć będę na chwałę Boską.

— Poczciwy Białobrzeski! — zawołał na to pan Józef, — a jak mnie Bóg miły, że ani na jedno ździebełko nigdy odemnie ani od Osuchowskiego nie doświadczył grzeczności.

Za Białobrzeskim powstał jeszcze Pieniążek i przystąpiwszy do osieroczonego brata ślubnego, rzekł, jākając się po swojemu:

— Widzisz diable, pieniędzy gotowych ja nie mam, ale u mego ojca się najdą, to się weźmie od niego. Ale ażeby i ciebie tam Turcy nie zjedli, to ja z tobą po Osuchowskiego pojedę.

— Chwałaż Bogu niech będzie na wysokości! — zawołał na to z nieudaną radością Bobowski; — Stanisław-by i tak nie przepadł, bo wieś sprzedam, ostatni pas i czapkę zastawię, a jego

wykupię, ale przykroby mi "było na wieki, gdybym był wszystkich zastał tak usposobionych dla siebie, jak ci którzy wyszli.

Na to przystąpił jeszcze pan Dzianott do Bobowskiego i wahając się, a kłaniając, począł mówić:

— Miłoby też i mnie było przysłużyć się waszmości kilkoma tysiączkami złotych, które trzymam od nagłej potrzeby, chociaż znów z drugiej strony....

Ale mu przerwał zadowolony już zupełnie Bobowski, mówiąc:

— Już dziękuję waszmości dobrodziejowi, albowiem to, co mi dać przyrzekli ci ichmość panowie bracia, z tem co się u mnie jeszcze wynajdzie i z tą sumą, którą mam lokowaną u jw. wojewody, a która każdego momentu wypłaconą mi będzie, powinno mi nietylko wystarczyć, ale nawet i przenieść to czego żądałem. Bardzo tedy dziękuję.

To rzekłszy, pożegnał się stolnikowicz z pozostającymi jeszcze w winiarni i zabrawszy Grotta ze sobą, poszedł do gospody, ażeby zaraz wsiąść na koń i jechać do domu. Ale gdy im konie podprowadzono, znalazł się tuż koło nich pan Dzianott, który równo z nimi na swego konia wsiadając, mówił:

— Jedna nam droga do domu, miło mi będzie towarzyszyć waszmościom.

Bobowski niebardzo był kontent z tego, bo mając Grotta przy sobie, którego zastał tak szczerze wylanym dla siebie, radby był z nim jaknajprędzej i o tem i o owem pomówić, i o gospodarstwo swoje, o konie, o dobytki, wreszcie o wszystkie domowe nowiny i zmiany, które się przez czas jego niebytności zdarzyły, wypytać: ale trudnoż było towarzystwa ze sobą sąsiado'wi odmówić; jechali więc razem drogą wiodącą równie do Zahoczewia jak do Żernicy, rozmawiając ciągle prawie o hajdamackiej wojnie Osuchowskim.

A kiedy przyjechali pod samą bramę zachoczewskiego zamku, kędy przechodzi gościniec do dalszych wsiów górskich, a gdzie się już ci podróżni mieli żegnać ze sobą, zatrzymał Dzianott swojego konia i rzekł:

— Późna to już godzina i jak na to noc nie bardzo jest widna; nie wiem, jak tam waszmość zajedziecie po tych wertepach. Jeżeliby łaska była, bardzobym się cieszył z tego, gdybyście waszmość przyjęli nocleg u mnie. Czem chata bogata tem będzie i rada, a jutro raniuteńko....

— Bardzo dziękujemy waszmości za jego gościnność — odpowiedział na to Bobowski z ukłonem, — ale przepraszamy najmocniej, że jćj przyjąć nie możemy. Bóg widzi, że tak wiele mam rzeczy przed sobą, że gore mi pod rękami. Dobranoc waszmości dobrodziejowi.

— Dobranoc waszmościom.

Bobowski, odjeżdżając, spojrział raz jeszcze na bramę zaho-

szewskiego zamku, ba i na sam zamek, tak, jakby był patrzył na drugi i na dziesiąty, w którym ani nogą nigdy nie stanął, głowa zaś jego tak była różnemi myślami zajęta, że w tej chwili nawet żadnego nie przypuściła do siebie wspomnienia. I tak rozjechali się ci panowie; Bobowski zagadany już z Grottem pojechał prosto do siebie, Działota zaś smutny i jakiś zamyślony zajechał u siebie przed ganek.

Późna już była natenczas godzina i cisza zupełna zalegała wszystkie zabudowania zahoczewskiego dworu. Stare zamczysko to, z porozwalanemi po rogach basztami, z których dzikie zwiastki zwieszały się na dół, strasznie wydało się pod pochmurnej nocy \* powłoką. Straszniejszóm jeszcze przez to, że wśród tej ciszy grobowej, wśród starych i próchniejących drzew grabowej alei dawał się słyszeć chrobot jakiś, jakby budzących się, ze snu ponocnych ptaków, a podczas gdy jednostajny szum płukającej podwaliny zamkowe Hoczewki wydawał się długim jękiem, wychodzącym z piwnic podziemnych, puszczyk odzywał się co chwila z baszty narożnej, śmiejąc się śmiechem piekielnym.

Śmiech ten usłyszawszy, pan Działota stanął nagle na pierwszym w schodzie i wstrząsł się; myśl jego przerwały się i zdawało mu się, że na dobitkę tego dnia feralnego, duchy zamkowe szyderyczym witają go śmiechem; ale spojrzawszy w górę, gdy ujrzał światelko błyskające w jednym oknie narożnym, zapomniał o onym śmiechu i pobiegł prędko po wschodach na górę.

Światelkiem tóim, które pan Działota ujrzał był z dołu, była to lampa olejna, białą alabastrową przykryta, a stojąca na stoliku pod oknem w sypialni jego córki. Przy tej lampie siedziała nad książką Julia i niby pilnie w niej coś czytała, jednakże często oczy odrywając od liter, podnosiła je w górę i długo patrząc w róg ciemny komnaty, myślała. Była ona tak piękną jak zawsze, ale dzisiaj o wiele już bledszą i taki jakiś smutek rozlał się po jej twarzy, że przy onej lampie, białe światło odrzucającej, wyglądała jak pokutnica, ciałem tylko błakająca się po tej ziemi, a duszą i sercem zawieszona już w niebie.

I prawie tak było w istocie. Od czasu jak Bobowski bez pożegnania się nawet na daleką wojnę odjechał, zrazu cierpiała ona wiele i miotając się w bólu i niecierpliwości, w chorobę była zapadła. W tej chorobie wybiegała ona jeszcze zbolaną duszą swoją w one światy, nikomu na ziemi, ale jej tak dobrze znajomej ażeby tam się zdybać ze swoim kochankiem. Lecz gdy go nie zdybała ani u gwiazd zawieszonych w błękitnie nieba, ani u grobów marmurowych jej myślą stworzonych, ani u onej chatki otoczonej kwiatami w dolinie, a ból ziemski coraz bardziej osłabiał jej ciało i zużywał władze jej serca i duszy, zaprzestała ona swoich błędnych i bezcelowych wędrówek i pokorę a poddanie się losom wzięwszy na pomoc, obróciła swe myśli i serce do Boga. Śród modlitw i rozmyślań nabożnych wyzdrowiała ona cieleśnie,

a gdy powstała z łoża, już i myśli jej i uczucia innym posnuły się torem. Odtąd, jak mało żyła pierwiej, tak teraz całkiem już prawie przestała żyć na tój ziemi, a zawiesiwszy się duszą u Boga, całe dnie przepędzała na odwiedzeniu myśli Ziemi świętój i grobu Chrystusa Pana, na błąkanii się około pieczar podziemnych, w których przez kilka wieków chowała się wiara święta przed zaciętością jój wrogów, około onych w głębi lasów na skał urwiskach z gałęzi pobudowanych pustelni, w których święci dokonywali swoich niepokalanych żywotów, około onych pól okrwawionych nakoniec, na których pod krzyżową chorągwią rycerze chrześciau- scy kładli swe kości za wiarę. A kiedy myśl jej była swobodniejszą i lżejszą cokolwiek i kiedy do jej duszy przecie ta ziemia przemówiła swoją pięknnością, to wylatywała na step ukraiński, nad brzegi Dniepru szumiącego po progach kamiennych i tam zbrojnym i jezdny, z mieczami w rękach uganijającym się za sobą po stepie, zaglądała zdaleka w oczy, śledziła cienie ich migające po ziemi, przypatrywała się ich widmom odbijającym się na krańcach widnokrzęgu, patrząc, ażali nie zdybie gdzie twarzy znajomój. I było to już najweselszą jej duszy zabawą.

Taką była teraz Julia, i taką zastał ją onego wieczora jój ojciec. Wszedłszy, pocałował ją w czoło i zapytał:

— Co tu słychać? jak się ma matka?

— Dobrze, o ile to być może w jój słabości — odpowiedziała Julia, — dzisiaj cały dzień prawie przepędziła na nogach.

— No, chwała Bogu, — rzekł na to pan Działott i zaczął wielkim krokiem chodzić na wskos tej obszernej komnaty. Zdziwiona tem córka, że ojciec tak późno wróciwszy, nie wynosi się zaraz do swego pokoju, zapytała pomimowolnie:

— Jakież tam z targu nowiny?

— O są nowiny i bardzo ważne nowiny — odpowiedział pan Działott trochę szyderczo, a trochę gnićwnie.

— Cóż takiego? — spytała Julia i jakieś przecucie trwogi albo zgoła sama już trwoga odbiło się na jój twarzy.

• — Pan Bobowski przyjechał, — rzeki znowu tym samym tonem ojciec.

— ■ Pan Bobowski przyjechał! — zawołała córka z dziwnym jakimś wyrazem radości, ale w tymże samym momencie spytała: I gdzież jest?

— Do domu pojechał.

Te słowa ojca, zdaje się, że musiały bardzo smutno przerazić Julię, bo zbladła nagle jak ściana i zachwiała się, a oparłszy się prawą ręką o krawędź stolika, głowę opuściła ku ziemi i długo tak stała w milczeniu; po chwili dopióro, nic nie zmieniając postawy, ani twarzy, powtórzyła głosem cichym i niby spokojnym, ale głębokim i serce rozdzierającym:

— Do domu odjechał!..

Ten głos tak bolesny swojego dziecka usłyszawszy, pan Dzia-

nott zatrzymał się koło córki i ze szczeremi łzami współczucia krę- ącami się w jego przygasających oczach, długo milcząc, patrzył na nią, a gdy mu łzy coraz mocniej parły się do oczu i smutek dziecka coraz boleśniej ścisnął go za serce, rzekł stłumionym głosem:

— Idź spad, moje dziecko, pomódl się Bogu i porzuć wszystkie nadzieje.

I wyszedł. Ale Julia nie poszła za radą ojca, bo długo jeszcze ono światełko błyskało w oknie jej sypialni i nie przygasło, aż je potężniejszy nad wszystkie światła blask świtu przygasił.

W kilka dni potem Bobowski, zebrawszy potrzebne do swój podróży pieniądze, śpiesznie do Carogrodu wyjechał. I znowu po pod bramą zahoczewskiego zamku przejechał, — i znowu do zamku nie wstąpił. On już całkiem o Julii zapomniał.

W pierwszy wtorek po św. Michale znowu liczny targ był w miasteczku Lesku. Jednakże, że to jeszcze o tym czasie nie wszędzie żniwa już pokończone w tej nie egipskiej ziemi i że w oczekiwaniu zimy wiele jeszcze robót około domu czeka na biednego rolnika, więc lud pospolity, załatwiwszy swoje niewielkie" sprawy, wcześniej opuścił miasto, a jeszcze zmrok całkowity nie zapadł, kiedy już prawie żywej duszy nie było można zdybać w obudwóch rynkach.

Ale w Łatesowej winiarni płonęły światła nie skąpe i gwar tam huczał niemały, który za każdąm<sup>^</sup> drzwi otwarciem wylatywał jakby strzał móździerzowy na rynek i znów potém ucichał. O! bo szlachta uboga i nieuboga nie znała złej doli za Sasów, a podczas kiedy w oddalonych od wielkiego świata powiatach nie znano jeszcze onych zbytków i wystawności w domowóm życiu, która chłonęła nieraz i magnackie fortuny po innych Rplitej krainach, szlachcic górski zaopatrując swoją szpizarnię i kuchnię tem tylko co się urodziło w polu i wychowało w oborze, grosz gotowy jaki mu przyszedł z wioski, jeżeli go nie schował do skrzyni, mógł przehulać bez szkody. Hulali też sobie panowie ojcowie tak, że kiedy potém przyszły czasy powszechnego zamieszania i wojen, a z tem wszystkióm nowe i uciążliwe, od których byli odwykli, wydatki, a nawet nagłe i przewidywać się niedające straty, to połowa ich całkiem powychodziła z dziedzictwa, ustępując swych dworów ludziom nowym, w mętnych tych czasach nagle wzbogaconym, którzy za ustąpienie sobie miejsca tem tylko się wywdzię-



czali swym poprzednikom, że ich synów i wnuków brali do siebie na podstarościch i dyspozytorów.

Ale nie przeczuwali takiego dla swych następców losu oni ojce żyjące ze Sasów, bo gdyby tak było, byłiby się opamiętali w swoim rozpustnym hulactwie i biesiadnictwie i byłiby pewno inny nadali kierunek swojemu żywotowi, i mogło im się to może udać jeszcze choć w części, ale woli po tem u nie było. Więc też nigdy nie była pustą Łatesowa winiarnia, i dzisiaj gwar się wzmagął w niej coraz większy; pito i bawiono się krotocwilnie, nic nie myśląc o jutrze.

Tymczasem na rynek miasta, drogą prowadzącą od Utrzyk i Sambora, zajechał wóz półdraby i zatrzymał się w środku. U wo- za były zaprzężone cztery konie mołdawskie, kare jak gałki i gar- bonose, a na wozie siedziało trzech mężów. Skoro ci mężowie z woza zeskoczyli na ziemię, nie trudno było poznać, że tymi mężami nie był kto inny, jeno pan Bobowski z Pieniążkiem, wiozący wykupionego już Osuchowskiego z niewoli. Jakoż, gdy tylko się trochę wyprostowali po tej dalekiej podróży, natychmiast rzekł Osuchowski:

— Nie rozumiem, cośmy tutaj stanęli, snadniej było wprost do gospody zajechać.

— Cha, cha, cha, widzisz diable, — zaśmiał się na to Pieniążek, — a cóżto za dzień mamy dzisiaj ?

— Wtorek, — odpowiedział obojętnie pan łowczyc.

— A cóż widzisz diable za światło tam w onych oknach? -

— Łatysowa winiarnia, I— odrzekł znowu pan łowczyc, — ale cóż to ma do rzeczy?

— Już cię tam bisurmanie widzisz diable dobrze musieli obracać, kiedyś nawet zapomniał, że we wtorek wieczorem cała .ziemia sanocka w Łatesowej winiarni.

— O! jak moję matkę rodzoną kocham, tak mi to ani na myśl nie przyszło, — odpowiedział pan łowczyc, —\* więc idźmy tam.

— Tak, idźmy! — odezwał się na to Bobowski, — przeciwmy dlatego takim wielkim krokiem jechali i z Drohobycz^ z noclegu tu na wieczór stanęli, ażeby sobie zrobić ukontentowanie widzenia wszystkich przyjaciół i sąsiadów odrazu.

— A! to prawda, — odpowiedział uradowany tem Osuchowski, który długą znękany niewolą, był teraz tak, że go każda fraszka cieszyła; jednakże zastanowiwszy się cokolwiek, dodał: — Ale widzi mi się, że wstąpiwszy szczęśliwie na ziemię rodzinną, wypadałoby pierwój pomodlić się Panu Bogu za one niespodziane i znać niezasłużone dnbrodziejstwo, którego się doświadczyło, niżeli zaraz myśleć o zabawie i przyjemnościach. Na to Bobowski:

— Prawdę mówisz, panie bracie, chodźmy się pierwój Panu Bogu pomodlić.

Pieniążek coś na to mruknął sobie pod nosem, jednakże nie sprzeczał się temu, i owszem, zabrawszy się ze swymi towarzyszami

szami podróży, i konie odprawiwszy do gospody, szli wszyscy trzej przed kościół, i tam wśród dobrze ciemnej nocy przed drzwiami na wschodach uklękawszy, modlili się Panu Bogu na podziękowanie za szczęśliwy powrót do domu.

A w winiarni ani się śni komu, że się można modlić po nocy. Tam krzyk i wrzawa, tam tartas i wiwaty głośniejsze dzisiaj daleko niżeli onego wtorku, kiedy sam przyjechał był stolnikiewicz. I nie dziwna. Siedzi bowiem za stołem prócz Sanoczanów trzech szlachty Rusinów od samego Halicza, którzy stado wołów podolskich przyprowadziwszy, sprzedali je na tym targu. Fetują więc nawzajem sesiedzi sąsiadów, bo trzeba wiedzieć, że lubo ziemia sanocka od halickiej o mil dwadzieścia jest oddalona, jednak obydwie do województwa ruskiego należą; fetują się więc i dworują ze siebie nawzajem, każdy swój kraj nad zasługi wynosząc, a sąsiedni poniżej zasługi położyć usiłując. Śmiech więc ztąd i zabawa, bo wszystko dzieje się w dobrej woli. Prócz tego znalazła się i nowina. Karwicki, regent koronny a marszałek trybunału piotrkowskiego natenczas, kazał zdjąć głowę Sulerzyckiemu, szlachcicowi z województwa rawskiego, który burdowatym junakiem będąc przez całe życie i ztąd kilka kondemnat na sobie mając, kiedy deputatem na tenże trybunał ze swego województwa wybrany, przeczuł że przez kommisją ziemską do przysięgi na funkcję dopuszczonym fii będzie, wpadł z partą dobranych rębaczy do kyścioła i tam krwi dużo przelawszy, komisyją do dyktowania sobie rot przysięgi przymusił. Zdjęcie głowy Sulerzyckiemu przyniosło w swych skutkach to, że trybunał ten pod Karwickiego laską dalej już z wielką przykładnością i rzadką pod owe czasy sprawiedliwością agitował się ciągle i z zadowoleniem wszystkich się skończył, ale wypadek ten rozszedł się prędko po całej Polsce i niemałego narobił rumoru. Jakoż onego wtorku wieść o nim przyszła do Leska i tak zajęła była rozумы wszystkich, że lukta dobrze li czy źle uczynił Karwicki, trwała przez parę godzin i żadnego końca znaleźć nie mogła.

— A już niech sobie kto mówi co chce, — powiadał głośno i z wielką niecierpliwością pan Laskowski, a wiele to potrzeba było na to, ażeby jego do niecierpliwości przyprowadzić, — a ja zawsze trwać będę przy swoim i mówię, że dobrze zrobił Karwicki, i bodajby' żaden z następujących po nim marszałków ina- częj sobie nie poczynał, jak on.

— A bodajby już raczej żadnego trybunału nie było, mieliby tacy być marszałkowie! — zawołał na to pan Bał, a za nim inni:

— Tak, tak, wolimy'nie mieć trybunału, niżeli głowy nasze dawać na zabawkę marszałkom!

' — Ale zmiłujcie się, co też już nie gadacie! — mówił dalej Laskowski, — jakżeż? kraj bez prawa i sądu!? jaristituni na wieki wieków! toby dopiero było piękne!... ale wracając ad rem, proszę waszmościów tych, którzy znają się na ważności sądów

w państwie, cóż jest lepszego dla ogółu, czy utracić głowę jednego wszystkich zaczepiającego i spokój publiczny zamęczającego junaka, czy utracić całoroczną trybunału kadencją? bo stracona na pewno byłaby kadencja, na której mieczem laudum sobie zdobywszy, takiby zasiadł był Sulerzycki. Któżby tam był marszałkował, jakaby tam mogła być sądu powaga, jaka sprawiedliwość takiego sądu, który sam akcją poczyna od zbrodni?... Zapewne, że i to jest malum i owo malum, ale ex duobus malis minus eligendo, lepiój zaprawdę dać życie jednego burdy pod miecz katowski, niżeli tyle fortun szlacheckich, od których może także niejedno życie zawisło, a których własność miała się zdecydować na tym trybunale, puścić na los albo na łaskę takichże samych junaków i zajezdników, jakim był Sulerzycki.

— Tak! — zawołał szydyczko pan Krakuszowski, — dla kilku fortun brać gardło szlachcicowi posesyonatowi!

— Burda i napastnik! — zawołał znowu pan Krajewski, — napastnik Sulerzycki, a Karwicki to nie napastnik? nie napastnik Karwicki, który kazał in expectate porwać Sulerzyckiego w przedsionku sądowej izby? nie napastnik, który go osądził bez sądu i kazał ściąć do trzeciego dnia milczkiem na kordegardzie? nie napastnik ten i prawdziwy gwałtownik, którego dekret zaraz skasowany jest 'wołą królewską? bo przecież powiadają wyraźnie, że brat Sulerzyckiego zaraz po osadzeniu go w kordegardzie pobiegł do króla do Grodna i przywiózł glejt królewski, ale się trzema godzinami spóźnił, jak pilno było imć panu marszałkowi.

— I dobrze, że mu tak pilno było! — odrzekł \* znowu pan Laskowski — widać że pan Karwicki jest mąż rozumny i dzielny i umió wykonywać to, co inni mają zachowane gdzieś na dnie serca, a co jest prawdziwą cnotą obywatelską. I kiedy pana Karwickiego zdybię gdzie w świecie, to go publice ścisnę za kolano i oddam mu cześć przynależną, ażeby wiedział, że cnotę umieją czczyć i pod Bieszczadami. Bo trzeba wiedziéć waszmościom, że łby ścinać szlacheckie albo inne to nie jest żadna przyjemność, i nietylko, ale ból to jest srogi dla każdego, który ma serce i miłość braterską. I czuł ten ból pewno i pan Karwicki, ale właśnie dlatego, że pomimo bólu nad tóim umiał swój obowiązek wypełnić, zasługuje na tóim większą cześć i szacunek. I gdyby był mógl, pewnoby był darował Sulerzyckiemu, ale że wiedział że sam postrach na nicby się był nie przydał terażniejszego czasu, nie podarował; jakoż i jabym był tak czynił. Bo tu nietylko szło o ukaranie popełnionej zbrodni, bo to może najmniejsza, ale to szło o to, ażeby trybunałowi temu, który się bierze do ostatecznego rozstrzygnięcia najważniejszych spraw ludzkich, nadać powagę i majestat najwyższej woli, bez której niczem byłaby taka władza.

— Tak jest, — odezwał się na to pan Górski, podsędek sanocki, — sąd musi mieć swoją powagę i majestatem.

— No! żeby jeno jeszcze kiedy i sąd sanocki nie wziął się do naszych gardeł! — rzekł pan Krajewski.

— Oj! ścinałiby oni, żeby jeno im kto się podał, — dodał ktoś drugi.

— Ale ma prawdę pan Laskowski, zarzucił na to pan Zaremba, — bo i ukarać tam należało i było za co; bo przecież na- wylówał się tam Sulerzycki krwi dosyć w kościele, a nawet, jak mówią, zaciął był pana sędziego sieradzkiego, który jest człek prawie stuletni i półbożek szanowany w powiecie.

A mówił to Zaremba dlatego, że on sędzia sieradzki był także Zaremba, do którego chociaż innego herbu i rodu, rad się przecie przyznawał, bo inaczej nigdyby nie stawał przeciwko Sulerzyckiemu, sam będąc pierwszym burdą w powiecie; jakoż odciął mu zaraz ktoś na to, podnosząc nanowo spór o to, dobrze li albo źle począł, sobie trybunału piotrkowskiego marszałek.

A podczas, kiedy tutaj taka agitowała się lukta i poruszały się głębie serc i umysłów, przy drugim końcu wielkiego stołu obsiadła szlachta onych ze stadem wołów przybyłych Rusinów, • i pijąc do nich spełna, słuchała Grotta, któren tak mówił:

— O! Rusinkowie! z wołmi jeżdżą, pieniądze rachują, do skrzyni je chowają i dworują sobie z małych i wielkich Polaków, że fortuny swe tracą, wysyłając je zwolna z wypróżnionymi beczkami do Węgier. Mają oni prawdę, albo i nie mają.

— Oj mają, mają! — odezwał się na to z westchnieniem pan Brześciański, — bo śnać niedaleko już jest ten czas, kiedy, jako ongi azyatyckie narody wędrowały na zachód, tak mazurska szlachta wędrować zacznie na wschód, aby na respekcie osiadać u ruskiej.

— Że mazurska szlachta, — rzekł na to Grott, — niebawem zacznie się już osiadać na respekcie u innej, tego ja nie zaprzeczam; ale że jej trudno będzie osiadać u ruskiej, to więcej jak pewna.

— To czemuż to tak myślisz, braciszku, — odezwał się jeden z Rusinów śpiewającym tonem, tak jako u nich obyczaj—ta czemu? niechaj Pan Bóg obroni waszmościom od tego, przyjmujemy was, jak Pana Boga kocham przyjmujemy.—Na to zaś Mora:

— Przyjmiecie, przyjmiecie, ja wiem, przyjmiecie, ale śnać nie siła respektowych pomieściłoby się pomiędzy wami.

— Ta czemu?—zapytał drugi Haliczanin.

— Bo niewielu tej szlachty na Rusi.

— A któż tam? ' »

— Chłopi i wielcy panowie; — odpowiedział Grott, i tak mówił dalej: — Dziwny to kraj ta Ruś a Podole, byłem tam przed kilku laty i przypatrzyłem się dobrze wszystkiemu. Itak, wyjechawszy od samej Ukuiny prosto ku Lwowu, jechałem przez dni kilkanaście i minęłem wsi i miasteczek bez końca, a co się pytam czyja to wieś? pana Potockiefl; a czyje to miasto? pana Potoc

kiego! i tak aż pod sam Lwów, aż pod mury miasta, bo jeszcze i klasztor OO. pijarów, tuż pod samem miastem będący, stoi na gruncie Potockich. Drugi taki sam pas ziemi od samego Lwowa, brzegami Podola i ziemi bełzkiej idący, ciągnie się aż do Nieświeża na Litwę i ten cały pas czyj? Radziwiłłów. A pomiędzy temi pasami owo w<sup>7</sup>si kilkudziesiąt Rzewuskich, a tu kilkadziesiąt Dzieduszyckich, a jeszcze owdzie kilkadziesiąt Jabłonowskich, a jeszcze Buczac a "Halicz Potockich, a Stryj to starostwo, a kilkaset innych wsiów królewskiej, — więc gdzie tam siedzi ta szlachta? I niema jej jako żywo, a jeżeli jest jeszcze jaki tędy owędy, to także pan na wsiach kilkunastu i w<sup>7</sup>cale nie szlachcie taki, jakich tu u nas jak mrowia- Byłem raz na sejmiku w Haliczu. Przyjechałem na trzy dni przed terminem i myślałem, że zastanę wmieście już brzęk jakby w ulu; ale gdzie tam! kilku Ormian i kilku Żydów spacerowało po rynku i to były wszystkie sejmikow<sup>e</sup> for-poczty. Pytam tedy: Sna<sup><5</sup> już nie będzie nic z tego sejmiku? — A czemuż? — odpowiadają. Jakimż tedy będą sejmikow<sup>1</sup>ac językiem, czy ormiańskim czy żydowskim? bo innej nacyi ja tu nie widzę., A oni na to: Oj! będą jeszcze na czas, będą, i nasłuchasz się waś i po polsku i po rusku, i ;e uszy zatykać będziesz. Czekam tedy' dzień cały, nikt nie przyjechał ze szlachty, jeno jakieś wozy ze spizarniami się pojawiły pod miastem; aż tu trzeciego dnia patrzę, a tu taki tuman kurzu wznosił się od wschodu, że aż niebo poczerniało i zaraz przeszło stu konnych wwało się w miasto, a za nimi ze trzystu kozaków. Pytam tedy ktoby to był? widzę, szlachta, ale z jakiegoż powiatu? — Nie, powiadeją, to pan Potocki, starosta kaniowski. W chwilę potem drugi taki tuman kurzu podniósł się na zachodzie i znow<sup>^</sup>u wpadło kilkuset jezdnych do miasta. A więc to szlachta? pytam, ale znowu mi odpowiadają: Nie, to pan Potocki starosta halicki, dalej trzecia taka kupa wpadła do miasta, a to był znowu Potocki brzeżański, — i czwarta nakoniec kupa jezdnych zajechała do miasta: i to znowu był jeszcze jeden Potocki. I zaczął się sejmik. Sporządzono akt, podpisano go \ zanesiono do grodu—i już ani śladu nie zostało z sejmiku. Owo to szlachta halicka.

A Rusini się śmieli z tój Grotowej powieści, mówiąc:

— O tak, tak u nas, tak, my się nie lubimy bardzo mieszać w sprawy publiczne, bo to ciężka potom odpowiedzialność za to przed Panem Bogiem, co już panowie uradzają, to niech tak będzie.

— O to prawda,— rzekł na to Grott, — wy się niebardzo lubicie mieszać w sprawy publiczne, stoi to nawet wyraźnie napisano w historii; bo za to ciężka odpowiedzialność przed Panem Bogiem; bezpieczniej w domu, ściany na zimę gnojem zaopatrzwszy, w piecu słomą napaliwszy, siedzieć sobie przy miodzie i z gębą zapchaną słuchać bajek bab starych.

— Ale braciszku,—protestował się przeciw temu jeden z Ha-Tom ix.

liczan, ale wtem, krótkie a szczere modły swe ukończywszy, weszli do tójże winiarni bracia ślubni z Pieniążkiem. Kiedy ich za stołami siedzący ujrzeni, zaraz się wszyscy jakby piorunem ruszeni zerwali i taki hałas pomieszany a głośny w tej izbie podnieśli, że gdyby kto miał sto uszów przy najpotężniejszej pamięci, jeszczeby był nie potrafił dwóch słów zrozumieć i spamiętać. Oczy cyłko każde widziały, że podczas gdy kilkunastu razem rzuciło się panu łowczycowi na szyję, drugich kilkunastu w pół go objęło, ci zaś, dla których już miejsca nie było przy Osuchowskim, uczynili to samo z Bobowskim, reszta zaś musiała się kontentować Pieniążkiem. Haliczanie tylko widząc po ferworze, że to musi być jakaś sprawa publiczna, dla bezpieczeństwa cofnęli się pod piec, ciekawie patrząc i czekając, co z tego będzie.

Z tego atoli nie wyniknęło nic tak nawet dziwnego, coby halicką ciekawość, na małym zwykle poprzeszawać lubiącą, nadspodziewanie zająć było mogło; aż dopiśro kiedy beczki winne na rękach poczęła szlachta wynosić z Łatesowej piwnicy, pokiwała ziemia halicka głową i zakomunikowała sobie, że szkoda, że tu niemasz kaniowskiego starosty, bo miałby się z kim pobawić. Ale bo rzeczywiście tak było, że pod względem ochoty i ilości wina, którą wypito, był to dzień taki, któren do dzisiaj jeszcze czerwo- nemi głoskami stoi zapisany w tradycyi, a podczas kiedy pan De- ręgowski do samej śmierci nie mógł wyżałować, że w kraju podówczas nie będąc, nie mógł się na tój stypie znajdować, to przez wiele i wiele lat potśm jeszcze, kiedy Łates jakiego wina nie mógł gościom postawić, powiadano sobie zwyczajnie: Wypito go wtenczas, kiedy bracia ślubni powrócili z niewoli.

Nad sposobami i przeróżniami sztukami, któremi dnia onego pito i podwajano ochotę, szeroko się rozwodzić nie będę, bo te wszystkie sztuki do dwóch tylko się redukują; w jednej więc leją wino z beczki do kubka, a z kubka do gardła, a w drugiej prosto z beczki do gardła; sztuk zaś tych obudwóch, lubo tak różnych od siebie, koniec przecie zawsze jest jeden, a to taki że im głośniej beczka podzwania, tem coraz więcej ubywa ludzi, a przybywa więcej do kola. To jednak zawsze nadmienić wypada, że przy tych sztukach dzień biały uderzył w okna winiarni.

Blask słońca, owej źrenicy światów na wszystko stworzenie przemożnie działającej, i ludziom choć pijanym inne przynosi myśli i inne pragnienia. Owoż i braciom ślubnym na widok słońca przyszła ta myśl, że czasby nakoniec podziękować łaskawym sąsiadom za tyle dowodów prawdziwego afektu i zabrać się precz z tego miejsca, w którem trudnoby było o spoczynek po tylu trudach już prawie niezbędny. Gdyby ta myśl była im przyszła wcześniej, na nicby się zapewne była nie zdała, bo nietylko że śród ustawicznego przy kielichach gwaru do głosuby byli nie przyszli, ale nawet gdyby do niego byli przyszli na to, ażeby się żegnać, byłiby zakrzyczeni i przez gwałt zatrzymani; "teraz jednak,

kiedy już i inni mieli dość tój zabawy, a niektórzy tak dosyć, że aż znać o tem dawali głośnem z pod ław i stołów chrapaniem, bracia ślubni i głos zabrali i zaproponowali koniec biesiady i nie doświadczyli żadnój opozycji, tę jednak przyjąć musieli w swoim votum odmianę, że nie sami pojedą do domu, jedno odprowadzeni będą przez wszystkich in gremio na miejsce.

Niebardzo

na rękę przypadła ta poprawka powracającym do domu podróżnym, bo lubo zawsze chętnie przyjmowali gości w swych domach, jednak teraz woleliby byli choć kilka dni zostać w spokoju i samotności; ale drzwi i serca zamykać przed jadącemi do siebie w gościnę jeszcze dzisiaj nie potrafi nikt, a nie dopiero miałby to być ktoś potrafić za Sasów. Zebrali się tedy wszyscy, obudzono śpiących, otrzeźwiono nieczułych i poodszukiwano tych, którzy się pogubili, a dosiadłszy koni, uformowano hufiec nie:nały, do pół drogi się jeszcze chwiejący, ale dalej już trzeźwy i trwały, i otoczywszy wóz braci ślubnych, puszczono się w bród przez San zwyczajną drogą do onych dwóch wiosek, które wiążąc się z sobą kopcami granicznymi, wiązały się zaraz i sercami swych właścicieli.

W Żernicy, dokąd cały ten orszak szczęśliwie i bez szwanku się dobił, trwała jeszcze biesiada przez całych dni kilka, a służył w niej panom braciom Grott herbu Mora, który jeszcze dzierżył sceptrum tamtejszego gospodarstwa; a ponieważ już tam nie by<sup>ł</sup>o onych zbytków targowych i sztuk rozmaitych, które nie uchodzą tak w domu szlacheckim, jak uchodzą w winiarni i ludzie nawet przy beczkach wynoszonych z piwnicy pozostawali jeszcze ludźmi: więc tam i nie jedno dobre, jako to nieraz praktykowano onego czasu, swoją znalazło kolóbkę i pozapominały się niektóre dawne urazy, pozagładzały się zastarzałe niezgody i nieporozumienia, a podczas gdy jedni przez te dni kilka bliżej się przysunęli do siebie, niżeli przez upłyniony rok cały, drudzy zgoła trwale pomiędzy sobą pozawiazywali przyjaźnie. I tak pustą swawolą począwszy a na mierności i statku skończywszy, rozjechali się wszyscy panowie sąsiedzi z Żernicy, a te dwie wioski, z nazwiska i położenia tak podobne do siebie, zaległa znowu cisza i spokój taki, że kto dawniej lubił nawiódzać te dwa dworki sąsiednie, aniby mógł być z czegokolwiek się dmyśliwać, że przez ostatnie lat dwa niespełna tyle doświadczeń i bólów przesunęło się przez serca ich właścicieli.

Znowu bowiem tak jako dawniej widywać można było braci ślubnych, siadujących wieczorami w ganku żernickiego dworu i poufale z sobą rozmawiających, znowu też same ćwiczenia konne i rycerskie odbywały się na dziedzińcu, znowu także same polewania wyprawiano w sąsiedzkich lasach i znowu tak samo na pierwszą wieść zaraz o cudzem uciśnieniu albo niedoli biegli bracia ślubni groszem, powagą i szablą swoim bliźnim na pomoc. Ktoby był się pilnie tym różnym ich praktykom przypatrzył, temu

zapewne że nie „trudno byłoby dostrzedz niejaka od dawniejszych czasów odmianę: bo jeżeli w ich gawędach było więcej zdań zdrowych, więcej doświadczenia i różnorodności, to i w ich sztukach rycerskich więcej znajdowało się doskonałości i widać było jawnie, że Osuchowski do swojej siły przyrodzonej umiał przyczynić wiele wprawy i zręczności, a pan Józef swoją zgrabność dawniejszą za- pomógł siłą i pewnością na hajdamackiej wojnie nabytą. Wszakże w ich sercach i umysłach większa jeszcze od tego czasu zaszła odmiana.

O pana łowczyca bowiem, który z natury był serca silnego i woli nie lada czem zachwiać się dającej, lubo carogrodzkie cierpienia i dolegliwości odbiły się jak o skałę niewzruszenie na gruncie morza-stojącą, nie można jednak powiedzieć, ażeby one srogie bałwany, które weń uderzały, nie zostawiły na nim śladów swej piany i pamiątki onęgo lodowatego chłodu, którym go przejmowały. Osuchowski był człek milczący i acz nieszczęścia nie działały na jego serce, jednak na umysł działały tak wiele, że za ich powodem rozum jego niewielki krwawo się nieraz pociał nad wypadkami świeżo doświadczonemi, nad światem, nad ludźmi i sobą 'samym. Osuchowski i dawniej patrzył się na świat okiem lubo trochę skrzywionem, jednak zawsze poważnem, a życie ludzkie biorąc poprostu za służbę przyjętą około dobra pospolitego i wiary świętej, niczego tak gorąco nie pragnął, jak tylko częstych a dobrych okazji, w którychby służbę swoją mógł ofiarować. Przy tej opinii i pragnieniu on i teraz trwał jeszcze, ale podczas gdy dawniej zdawało mu się, że jakakolwiek burda sejmikowa albo jakabadi wojna już jest wielkiem do wielkiego popisu polem, byle w niej sprawiedliwej partyi się trzymać, teraz przyszedł do tego przekonania, że mogą być burdy domowe takie, w których obydwie partye ostatecznie niesprawiedliwe, że mogą być wojny, które nas niewiele obchodzić powinny, a nade wszystko że zdarzają się i takie zwycięstwa i takie heroiczne czyny na świecie, które miasto korzyści stratę jeszcze przynoszą zwycięzcom i żadnej nie dają sławy herbom. Osuchowski zaczął teraz powoli pojmować, że niestety wszystko jest względem na tym świecie. Na tem doświadczeniu się opierając, poznał on też niebawem, że poskramia-- nie niszczących ukraińskie włości hajdamaków jest koniecznie potrzebem, ale winno ono być czynnością ćwiczonego i silnie opatrzonego żołnierza i wtenczas przy pewności prawie każdorazowego zwycięstwa, przynosić ono może oczekiwany skutek i pospolitemu dobru' pożytek; ale podjazdowe pojedynczych rycerzy z bandami rozbójniczymi utarczki, które więcej są harcem niż wojną, nie mają sensu i w najlepszym razie nawet mały tylko i nic nie znaczący a nigdy wyniknąć mogącej stracie odpowiedni przynieść mogą pożytek. O swojej i swego brata na też wojnie hajdamacką wyprawie przemyślując dalej, widział on jawnie, że ona wprawdzie zamierzony swój skutek odniosła, bo Bobowskiego całkiem



od ożenienia się odwiodła, więc pan hetman niedługo myślał, w skok uczynił i pobił Tatory; ale pan hetman mógł nietylko nie pobić Tatarów, bo Bobowski i po wojnie mógł się do zahoczewskiej panny nawrócić, - ale nawet mógł sam być pobitym. I teraz dopiero stanęła przed oczyma myśl owa, cóby natenczas było, gdyby Bobowski był zginął. I zasmucił się srodze pan łowczyk i bił się w piersi ze szczerą skruchą za to głupstwo solenne, które uczynił.

— Bo i na cóż to było tego, — mówił pan Stanisław do siebie, chodząc wzdłuż grabowej alei w swoim ogrodzie, — na co tego? Rozmiłował się Józef w pannie, źle to było, źle bardzo, ale i diabełby był tego nie wymyślał, żeby dlatego ruszać na hajdamaki. Niechby był Boże uchwaj zginął tam Józef, cóż ja nieszczęsny byłbym począł natenczas? a niechbym ja był tam zginął, od czego cale już nie było daleko, czy stanęłaby była skóra za wyprawę? Złe jest żona, piekielne złe, ja sam żony nigdy nie- miawszy, niemało się już nacierpiałem z przyczyny kobiót, ale zawsze jeszcze widzi mi się złe mniejsze żona, niżeli śmierć dla jednego z nas; bo jużciż przeciwko żonie choćby i najgorszój znajdzie się jeszcze lekarstwo, a contra mm mortis powiadają non est medicamentum in hortis.

I długo jeszcze tak mozolił biedną głowę swoją pan łowczyk różnemi argumentami za i przeciw hajdamackiej wojnie, a gdy mu się nakoniec wszystkie przeciwko niej być pokazały, wyprowadził ztąd wniosek nietylko ten, żeby już drugi raz takiój wyprawy nie przedsiębrać, ale i ten także, żeby się Bobowskiemi w jego zamysłach i przedsięwzięciach niebardzo nadal upornie sprzeciwiać. Piórwszy wniosek Osuchowskiego, oparty na świeżem doświadczeniu, był może i prawdziwy, ale drugi nie miał prawie żadnego związku z pierwotnem założeniem i mógł się tylko wyrodzić w słabej i nie bardzo logicznej głowie łowczyca, — i mniejsza zresztą z tem, że wniosek ten dawał świadectwo jego głowy, ale to ważna, że dawał zarazem świadectwo upadającego w nim zaufania w siebie i słabiejącego już charakteru. Jakoż rzeczwiście ona żelazna wola, którąśmy zrazu widzieli w panu łowczyCu, poczęła odtąd znacznie w nim słabnąć i\* upadać, pragnienie wielkich czynów i przysług dla jakiegokolwiek pospolitego dobra poczęło w nim przygasać, ufność w siebie samego zmniejszać coraz bardziej, że nakoniec odkrywwszy słabość swojego rozumu i ją sobie przyznawszy, stał się jeszcze ostrożniejszym, jeszcze więcej milczącym, jeszcze bardziej zamyślonym, niżeli był pierwej, a nawet srodze na umyśle posmutniał pan Osuchowski.

Takie zmiany w umyśle i sercu łowczyca przyniosło ze sobą doświadczenie, na hajdamackiej wyprawie zdobyte, ale i Bobowski także nie uchronił się od jej wpływów! Można nawet powiedzieć, że czas ten, który od ich pierwszego wyjazdu upłynął, chociaż nie tak stanowcze, jednak daleko głębsze pozostawił ślady na umyśle

i sercu pana Józefa, niż Stanisława. Jakoż musiało tak być z natury rzeczy. Bobowski bowiem miał nietylko umysł zdolniejszy do pojęć i oko duszy bystrzejsze, ale jeszcze i serce jego było miększe, dotkliwsze i więcej wrażeńom podlegające, niżeli umysł i serce Osuchowskiego. Bobowski tóż pod względem znajomości ludzi i świata niezmiernie wiele przez ten czas skorzystał; widno-krąg jego umysłu we dwójnasób się wtedy rozszerzył i widział on już dzisiaj z bliska i jakby na dłoni rzeczy takie, których dawniej cież tylko gdzieś mu migał zdaleka, albo których ciemne tylko i niewyraźne mógł mieć przecucie. Uczynił też on niemało doświadczeń i nagromadził niemało prawdziwych skarbów w swej wiedzy, ale tak jako pierwój swoje małe i niebogate, a po największej części ze świata książkowego wyniesione zasoby utrzymywał w nieładzie i w pomieszaniu ze sobą, bez podzielenia ich na rodzaje, bez zesumowania i w ciągiem narażeniu na wieczne zapomnienie, tak dziś postępował on sobie ze swemi zasobami większemi. Pomimo tedy z bogacenia się jego wiedzy, nie wykształciło się, w nim wcale myślenie, nie umocnił się rozum, nie wyrobiły się żadne pewne i niezachwiane zasady a umysł jego całkowity, był tak dziś jak i pierwój — z sercem atoli stało się jeszcze gorzej. Serce jego bowiem, zdawna już miękkie i drażliwe, przez tyle wrażeń nowych i mocnych, przez tyle uczuć różnych ostatniemi czasy przeszedłszy, lubo także teraz w uczucia i zapęły było o wiele bogatsze niż przedtem, jednak nietylko że się nie zahartowało do nieszczęść, nie utrwaliło w sobie żadnych stałych afektów, ale przeciwnie, nauczyło się tylko prędzej i mocniej wsz. stko uCzuwać, nauczyło się rzewniej kwilić nad wszyst- kiem, zapalać się prędzej, ale też i prędzej przygasać i o niedawnych jeszcze zapominać zapęłach — stało się zgoła słabszem jeszcze i drażliwszem. I tak, podczas gdy każde choćby też najdrobniejsze uczucie zajmowało go całkiem odrazu, zabijając sobą wszystkie dawniejsze, podczas gdy każde nawet i głębsze wrazenie zacierało się nowem, i tylko taki łańcuch uczuć i wrażeń, jakby obraz jaki ruchomy nieprzerwanie się przez jego serce przesuwęł, nie dopuszczając prawie nigdy przypomnień, nikt się dziwić nie będzie, że Bobowski, odebrawszy tyle nowych i tak gwałtownych wrażeń na hajdamackiej wojnie, o Julii już nawet ani pomyślał, a nawet dawno już o niej zapomnięł.

Gdy tak rzeczy stały, pan stolnikowicz byłby może niebawem i do tego doprowadził, że nawet i imię jego pierwszój kochanki byłoby mu się zupełnie wydawało jak obce, gdyby nie przypadek, który zrzędził inaczej. W kilka tygodni bowiem po braci ślubnych powrocie, zdarzyły się imieniny u pana Błońskiego w Berezce. Imieniny te były sute, zawsze odprawiane przy licznym sąsiadów zjeździe, z tańcami i z wielką ochotę. Na tych imieninach byli obadwa bracia ślubni, była i Julia z swym ojcem. Stolnikowicz obaczył Julię i mówił z nią wiele, tańcował z nią

przez kilka wieczorów, ale przez cały czas ten ani razu nie uderzyło mu serce, ani dawniejsze w nim nie odżywiło się uczucie, ani zrodziło się nowe. Po powrocie dopiero do domu, przypominając sobie Bobowski różne szczegóły bereszczafskich imienin, przypomniał sobie i Julię. Przypomniawszy ją sobie, myślał o niej wiele, ale myślał na zimno. Przypomniały mu się wprawdzie jedno po drugim zdarzenia, które z jego dawną dla Julii związek miały miłością, - ale z tych zdarzeń zamiast wpaść na trop swoich dawnych dla niej afektów, wpadł raczej na ciemny jakiś domysł tego, co mu dotychczas było niewiadomem, a to: czy Osuchowski nie zabrał go dlatego tak nagle na hajdamacką wojnę, że jego częste bywanie w Zachoczewiu wydało mu się podejrzanóm? I nad rozjaśnieniem tego domysłu zabawił się znowu dni kilka. Jednakże, niczego nie doszedłszy, wrócił znowu do Julii. I przypominał sobie z każdym dniem coraz więcej, i przypominał sobie nakoniec wszystkie natenczas od nió odebrane wrażenia i wszystkie swoje uczucia i zatrudniał się tómi wiele, i przyszło już nakoniec do tego, że kładł się codziennie i wstawał tylko z myślami o Julii, ale przy tómi wszystkim pracowała li głowa jego, serce milczało jak głaz. Może z czasem i serce byłoby się odezwało w tój sprawie i mo- żeby w sobie było odżywiło wszystkie dawniejsze uczucia i nową a może jeszcze silniejszą jak tamta rozgorzała miłością, ale temu znów nowy stanął na przeszkodzie wypadek.

W Jabłonkach, wsi położonej w głębokich górach i w nieprzebytych jodłowych lasach, a od Żernicy i od Zerniczki nie więcej jak o dwie mile odległych, mieszkał onego czasu Jan Urbański. Pan ten (a można go śmieje było nazywać panem, lubo żadnych nie posiadał tytułów), mając rozległe i piękne ziemie, porozrzucane po całym powiecie, największą część każdego roku zwykł był przemieszkiwać w Jabłonkach, a to li dla samych łowów na niedźwiedzie i dziki, któ're nigdzie się tak dobrze praktykować nie dały, jak w tamtejszych od świata potopu prawie jeszcze siekierą nietkniętych lasach. Sławne też u niego było myśliwstwo, które prawie całą ze wsiów kilkunastu pożerało intratę, sławniejsze jeszcze jego polowania, na które nietylko bliscy sąsiedzi, ale nawet i szlachta dalsza, i Węgrzy sami tłumnie się zlatywali, ale już najślawniejsze nad to wszystko były one huczne festyny, które po szczęśliwie odbytych łowach czasem i po całym tygodniu szumiały w jabłońskim dworze.

Tój jesieni, o której mowa, pan Urbański długo zwlekał ze swe mi łowami. Dziwowali się wszyscy temu w sąsiedztwie, a kiedy już dobrych kilka tygodni minęło po św. Michale, to już ten i ów polowania amator co godzina, co chwila tylko wyglądał oknem ze swego dworku, rychło się na jego dziedzińcu pokaże konny strzelec w zielonej barwie, zapraszający do Jabłonek na łowy. Bracia ślubni nawet, w pewnem oczekiwaniu tych łowów, z których pierwsze zwyczajnie już we dni kilka po św. Michale

się odprawiały, od czasu swego powrotu z hajdamackiej wyprawy ani razu jeszcze\* nie byli w Jabłonkach, chociaż ich piękna i stateczna przyjaźń wiązała z panem Urbańskim. Jednakże oni nie dziwowali się temu opóźnieniu tak bardzo jak inni, bo z listu odebranego od dziedzica Jabłonek wiedzieli, że nie z inną przyczyną nie poczyna się tam jeszcze nic w lasach, jeno z tej, że strzelcy dzień i noc brodząc po debrach i jarach, niczego dośledzić ani obejść nie mogą. Czekali więc bracia ślubni niecierpliwie wiadomości z Jabłonek, jakoż doczekali się jej niebawem, bo w dni kilkanaście po imieninach w Berezce, pokazał się rzeczywiście zielony strzelec na koniu na dziedzińcu w Żernicy.

Tego też dnia jeszcze wyjechali bracia ślubni na łowy. Ale nie jechali aż do samych Jabłonek, tą razą bowiem pana Urbańskiego myśliwstwo obrało sobie główne stanowisko w lasach rabskich, tuż za miasteczkiem Balogrodem leżących. Za wioską Bystrem, na małej łączce nad rzeką Hoczewką a przy samej Rabskiej drodze leżącej, był główny obóz myśliwych. Tam zdybali się bracia ślubni z wszystkimi. Tam wyszedł naprzeciw nim konno jadącym i sam pan Urbański, ale nie przywitał ich jako zwykle wesołością i dobrą fantazyą, jeno rzekł im te słowa:

— Dobrzeście zrobili żeście przyjechali, bo snadź największą tych łowów uciechą będzie to, że was widzę. Strzelcy moi do dziś dnia nic nie obeszli, jeżeli jeszcze do wieczora nic się im nie pokaże, to będziemy wojować na ślepo. Ma tu gdzieś być stado dzików pomiędzy rabskimi i maniowskiemi lasami, są nawet tego gdzieś ślady, ale legowiska ich szukają moi ludzie napróżno już cały tydzień. Jednakże znajdą czy nie znajdą, popróbujemy o świ ie.

Ale nietylko z tej strony nie wiodło się temu polowaniu. Trzeba było bowiem jeszcze i tego, że właśnie w onych dniach żenił się pan Cieszanowski w Kalnicy, więc szlachta, pociągnawszy na weselisko, także się tutaj nie mogła postawić tak licznie, jak to mieć chciał pan Urbański. Gniewał się też za to dziedzic Jabłonek, ? fukając przed siebie i sapiąc, jeszcze przed rozpoczęciem był w tak złym humorze, jak gdyby już cały tydzień biegał po lasach i ani zajęcia nie widział. W feralny bo też dzień poczęte było to polowanie.

Przed wieczorem przybyli do obozu z tropowcami na sforach myśliwi i dali znać, że rzeczywiście jest stado świń na polance maniowskiój. Z jaką taką tedy nadzieją pokładli się spać myśliwi, a ledwie co północ minęła, posiadłano konie, zabrano psy i ruszył w pochód cały ten tabor łowiecki. O świcie przyszedł na naznaczone miejsce. Tam, jak zwykle, najstarszy strzelec pana Urbańskiego objął komendę i porozstawiał wszystkich na stanowiskach, stosując się w tym nie do godności myśliwego światowój, ale do reputacyi myśliwskioj. Więc starosta czy podkomorzy nie dostał dobrego miejsca, jeżeli go znano z tego, że lubił pudło-

wad, a natomiast kozaczek pana Krakuszowskiego, który o zakład piętnaście razy kulę kulą wybijał, dostał najlepsze miejsce, które waga lasów takiom być wskazywała.

Po wyznaczeniu i obsadzeniu stanowisk puszczone psiarnię i kilku co najpotężniejszych chłopów z widłami do legowiska. I Wyruszono stado. Krzyk powstał rozgłośny, kilkadziesiąt strzałów padło po różnych stronach, rozbiegło się potem całe myśliw- stwo, ale trup ani jeden nie pozostał na miejscu. Koło południa, odgłosami trąbki się wabiąc, zebrali się znowu w jedno miejsce myśliwi, a lubo mina u wszystkich była rzadka i humor nieoso- bliwy, jednak po przekąsce nanowo rozpoczęto robotę. Ale się na nic nie zdała. Nocowano więc w lesie a o świcie znowu zaczęto, ale ten upór, wszelkim prawom myśliwskim przeciwny, nietylko już że żadnego nie przyniósł owocu, ale nawet to przyniósł za sobą, że pan Urbański, wyczerpawszy wszelką cierpliwość do ostatka, nic nikomu nie powiedziawszy, gdzieś zniknął bez wieści. Słudzy jego powiadali że już dawno na siedem ryglów zamknięty, spać musi w Jabłonkach w swym gabinecie, bo miał zwyczaj w ten sposób unikać wstydu przed ludźmi po każdej nieudanej imprezie. Inna szlachta także, nie widząc gospodarza, ani pewnej

0 nim nie mając wieści, gubiła się po jednemu, a który mógł  
1 miał ochotę po temu, śpieszył prędko do siebie i przebrawszy się, biegł jeszcze na wesele do Kalnic. Około południa myśliw- stwo ze'psami poczęło się także gromadzić i zabiórac do domu.

Słońce właśnie co rozpoczęło było drugą połowę swego dziennego biegu, kiedy bracia ślubni zdybali się także ze sobą na rabskiej granicy. Zdybawszy się i pogadawszy na sucho o feralności dnia dzisiejszego, w którym choćby zajaca albo lisa ubić każdy z nich pragnął tas jak dusznego zbawienia, a i to się żadnemu z nich nie udało, wypróżnili swoje torby i wypocząwszy cokolwiek pod starych jodeł cieniem, puścili się na dół ku karczmie rabskiej, gdzie czekały ich konie\* Tam wsiadłszy na nie i strzelby jeszcze nie wystrzelone zawiesiwszy na plecy, ruszyli w milczeniu do domu.

Przebrodziwszy atoli Hoczewkę i wjechawszy na drogę wprost ku Balogrodowi wiodącą, pomimo to, że już po kilka razy o fatal- ności dnia i o nieszczęściu tego polowania była pomiędzy nimi mowa, zabrał jeszcze głos Osuchowski i rzekł:

— Jak długo mnie nogi noszą, jesczem z niewystrzelonym nabojem z żadnych choćby najmniejszych łowów nie wrócił.

— Ani tóż ja — odpowiedział na to zamyślony Bobowski.

— Bo już też prawdę 4 mówiąc — poderwał znów tamten — ja od wczoraj od południa, lubo przedeptałem kilka mil lasu, przecie za onemi dzikami już nie chodziłem, jeno pieska mego za sobą wiodąc, radbym już był nakoniec i szarakowi, gdybym go był zbywał, i jarzabka byłbym tnoze nie pozostawił w spokoju, aleby

też wróbel przeleciał koło mnie, tfu h jako żyję, nic podobnego mi się nie wydarzyło.

— Ani też mnie — odrzucił zawsze jednakowym głosem Bobowski.

— Ot, tu na tym źbyrku, — rzekł znowu pan łowczyk, wskazując prawą ręką na wzgórze olszyną i innym krzewiem zarośnięte, a po prawej stronie drogi się podnoszące, — kiedyśmy z panem halickim, podtenczas Balogroda dzierzawcą, za moich lat pacholących z flintami biegali, mało sto zajęcy sam własną ręką zabiłem; nie mógłżeby teraz choć jeden wybiegnąć?

— Ej! daj pokój, panie bracie, — odpowiedział na to pan stolnikiewicz, — kiedy zając drogę przebiegnie, niedobra to przepowiednia,

— A nie dałbym mu drogę przebiedz, jak mnie Bóg miły, bo mnie już aż prze pod piersiami, że tak próżno wracamy do domu.

Wtém w samej rzeczy z krzaków za onem wzgórzem, które śród tój rozmowy już bracia ślubni pominęli, wysunął się zając i skacząc zwolna i rozpatrując się, wybiegł na samą drogę, zmierzając prosto ku brzegowi, który wisiał nad rzeką, a którym prowadziła ta droga. Na widok ten, obadwaj bracia nie będący dalej jak na trzydzieści krpków od tego zająca, przytrzymali swe konie i jak gdyby na komendę obadwa razem się do niego zmierzli, ale mając już palce na cynglach, obadwa także przez Chwilkę powstrzymali się z strzałem, a nie czynił tego żaden przez grzeczność dla drugiego, jedno przez zrozumienie o sobie i roztropność myśliwską, która każe naprzód zawsze gorszego strzelca wypuścić, a dopiero po nim poprawić.

Ale kiedy tak każdy z nich się ze strzałem ociąga, pada nagle strzał inny z po nad drogi po prawej stronie i zając wywraca się kozłem na drodze. Przestraszeni tym niespodzianym strzałem bracia ślubni, opuścili obadwa strzelby swoje ku ziemi, i nim jeszcze mieli czas słowo przemówić do siebie, zaszeleściło nagle coś w krzakach i w tymże momencie wysunęło się z nich dziwne zjawisko. A tem zjawiskiem była cudnój urody dziewczica czy niewiasta, bo tego na pierwszy rzut oka nie można było rozpoznać, Siedząca na małym kasztanowatym koniku i trzymająca flintę w prawicy. Dziewica ta była rzeczywiście niepospolitej urody. Twarz jej była biała jak mlóko, a na nią jaśniał świeży, jako kwiat wiosenny, rumieniec; oczy jśj czarne jak heban i szklące jak stal, polerowna, w długie splecione warkocze, były owinione nizko około głowy, na której był zgrabnie umieszczony mały węgierski kapelusz. Wyjechawszy ta dziewczica na drogę, zatrzymała swego konia i z zimną krwią męża dojrzałego, spojrzała tryumfującym wzrokiem na przerażonych i cale nierozumne miny mających myśliwych; poczem lufą swej strzelby wskazawszy na wyciągnię

tego na środku drogi zająca, z równie zimną krwią i dobitnie rzekła:

— Proszę to przyjąć odemnie w podarku, a jeśli się wasz, - mościom zdarzy kiedy zabić zająca, to mi go oddacie.

A ledwie te słowa doleciały do uszu już do reszty ogłupiałych przyjaciół, konik kasztanowaty zebrał się w kupę i ruszywszy z kopyta, w mgnieniu oka zniknął wraz z swoją panią w zakrętach drogi, pomiędzy coraz większą olszyną!

Tymczasem bracia ślubni, kolby strzelb swoich poopierawszy o kule kulbak, stali w miejscu, poglądając to na zająca, to na siebie nawzajem, sami nie wiedząc co mówić. Bobowski nawet tak jakoś srodze się odrazu zamyślił i taką miał minę, jak gdyby się zabióral do wiekuistego milczenia. Ale Osuchowski, poglądawszy jeszcze i tu i owdzie, odezwał się do niego:

— I cóż ty na to, panie bracie?

— Zabij mnie zaraz, — odpowiedział pan Józef, — jeżeli wiem sen-li to był, albo jawa? — A tamten na to:

— Sen nie był, wzdysmy trzeźwi i żywi obadwa; ale kimby być mogła ta baba na koniu czerwonym, ani nawet pomyśleć nie umiem.

— Ani ja także, — odpowiedział Bobowski, — przecież tu niema takiej żadnej kobiety w sąsiedztwie. — I zaczął nad tem myśleć pan Józef.

— I mniejsza z tem zresztą, kim ona jest, — poderwał znowu pan łowczyc, — ale to gorsza, że to wstyd dla nas niepospolity

1 hańba ztąd będzie, kiedy się o tem dowiedzą.

— Ale i to także ważna, — dodał pan Józef, — kim ona być może?

— Już! — odpowiedział z nieukontentowaniem Stanisław, — już! pokazała się jakaś podwika, to już najważniejsza dla ciebie, kim ona? a ja powiadam że to najmniejsza, bo kimkolwiekbądź ona, zawsze relacją ma z światem, i kimkolwiekbądź ona, zawsze się to rozniesie i wiedzióć o tem będą po całej ziemi, a może i dalej jeszcze.

— Z daleka nie może ona być, — mówił dalej w pół do siebie pan Józef, — jeno albo z Balogrodu, albo z Bystrego. Ale ani tu, ani tam nikt nie mieszka, prócz ekonoma, a to oczywiście jakaś pańska dziecina.

— I na dobitkę, — ciągnął znowu swoje pan łowczyc, — potrzeba nam jeszcze było obudwom tak stracić przytomność, żeby

to lichy przyjąć od niej w prezencie..... nie było to, mając konia

pod sobą, podskoczyć zaraz i porwawszy w rękę zająca, rzucić go przynajmniej za nią, albo choć co odpowiedzióć.

— Powiadał mnie wprawdzie Grott przed kilkoma dniami, — mówił znowu Bobowski, — że wieść jest pewna, jakoby pan Kar- sznicki, podkomorzy halicki, miał się wynosić z swoich dóbr ruskich do żoninego Balogroda, ale anim temu wierzył natenczas, ani

tśż teraz wierzyć mogę... ale gdyby tak było w rzeczy, a to była ich córka...

- — Teraz róbże z tóim co chcesz, — mruzczał dalej pan łowczyc, — głowę moję dam za to, że za dni kilka cała ziemia wie- dzić będzie, o tym haniebnym wypadku... Alę bo' też i potrzeba było panu Urbańskiemu dawać to polowanie, kiedy ani jednego tropu nie znaleziono w lesie... Nie widział nas przez półtora roku i nic to nam nie szkodziło, mógł nas nie widzieć jeszcze kilka ty- gówni, takżeby było nic nie szkodziło.

I tak bracia ślubni, jeden wymyślając na fatalność wypadku, który im się dopiero co zdarzył, drugi zasie mozoląc sobie głowę nad odgadnieniem, kimby była ta nieznajoma łowczyni, wjechali stępą w owę obszerniejszą dolinę, na którój końcu rozlega się miasteczko Balogród. Ztamtąd, po prawej stronie, na stromym brzegu rzeki stojący, widać już zamek balogrodzki. Bobowski poglądał nań kilka razy, w strzemionach się nawet podnosił, jak gdyby chciał zajrzeć do jego wnętrza i przekonać się, ażali nie- masz w niem jakiego niezwyčajnego ruchu; ale było to tylko dziecinne zachcenia, droga ta bowiem, którą bracia ślubni jechali, leży tak nízko a zamek tak wysoko, że^ gdyby nawet i zbyt wielkie oddalenie na przeszkodzie nie stało, nicby z tój drogi nawet w dziedzińcu zamkowym dostrzedz nie było można. Jechali tedy panowie bracia stępą dalój ku miastu, a kiedy się z ratuszem na rogu rynku stojącym zrównali, Bobowski skręcił swojego konia ku ratuszowi. Co widząc, Osuchowski:

— A to dokąd, panie bracie ? — zapytał.

— Rozpytam się ludzi, kim być mogła ona sławna łowczyni, — odpowiedział pan Józef i zajechał na przedsień, a za nim ciągnął się pomału pan łowczyc.

Ratusz balogrodzki, ky.ła to prosta gospoda, dom zajezdny murowany i Żydem osadzony, a dlatego tylko nosił nazwę ratusza, że w nim znajdowała się izba, w którój w dnie targowe i jarmarczne odbywały się sądy dorażne; a ponieważ dzień dzisiejszy nie był dniem targowym ani jarmarcznym, więc nie wyszli naprzeciw gościom panowie rajce i ławnicy, ani nawet sługa sądowy, jeno Żyd stary, siwiuteńki jak gołębek, z li warem blaszanym w jednej, a z czapką sobolową, którą kłaniał do ziemi, w drugiej ręce. Z tym Żydem wdał się pan Bobowski w rozmowę, a kiedy się zaraz ze słów pićrwszych przekonał, że pan Karszni- cki jeszcze przed tygodniem z całą familią i dworem na zamek balogrodzki zjechał i że ma córkę, która jeździ na koniu i w lot strzela gołębie, poprawił się na siodle, lejc opuścił koniowi i wziął Żyda na taki egzamen, na jakim może jeszcze od kolćbki nie był siwobrody arendarz. Przez cały ten czas Osuchowski, głąboko się zamyśliwszy o wstydzie i hańbie niesłychanej, przez słabą ko- biętę niepospolitemu swojego czasu rycerzowi i niedawnemu haj-



damaków pogromcy zadanój, stał opodal na koniu, nic około siebie nie widząc, ni słysząc.

Jakich tam pan Józef wiadomości o balogrodzkiego zamku dziedzicach od arendarza zasięgnął, nie będziemy tutaj powtarzać, bo i na cóż nam o tem dowiadywać się u ciemnego Żyda, co nam w następnym rozdziale usta chrześcijańskie, wedle pewniejszych źródeł, opowiedzą, o tórn jednak tu wspomnieć musimy, że wiadomości świeżo co \* zaciągnięte musiały niepomału ucieszyć stolni- kowicza, kiedy skończywszy swój dyskurs i od żyda pokłon należny odebrawszy, spiał z fantazyą swojego konia i obróciwszy, się do Osuchowskiego, rzekł głośno i wesoło:

— Dzień to fatalny, ale i nie fatalny. Łowczy ni nasza jest-to imć panna Barbara Karsznicka, podkomorzanka halicka, piękna jak anioł i zuch taki, że w ką przed nią i najpierwsi junakowie naszego czasu.

Ale Osuchowskiemu nie udzielił się ten dobry humor stolni- kiewicza; przeciwnie nawet, jeżeli smutno dotąd przed siebie patrzył i nic nie mówił, to teraz taki wzrok srogi i surowy podniósł na swego brata, jak gdyby dreszcz go jaka przejęła lub zgroza. Bobowski jednak, poznawszy zaraz co go tak przestraszyło, dodał w ten moment:

— Zmycie tej hańby, która nas dopiero trafiła, już ja biorę na siebie...

— Bodajby i tak, — odpowiedział na to pan łowczyc, \*— żebyś jeno nowej jakiej nie przyniósł.

^^ A co to, to przepraszam, — zawołał gorąco pan Józef, — nie rozumiem, czym ją kiedykolwiek przyniósł w mem życiu.

— No, no, nie zaraz tak gorąco, — rzekł na to zwolna pan łowczyc, — wszakże wiesz dobrze, że pod hańbą nie rozumiem ja co innego, jeno rzecz taką, jak on zając zabity Ale przy tórn zawszem jeszcze ciekawy, jakim to sposobem mj^ślisz zmyć tę fa- talność, która nas spotkała.

— Nie. inaczej, jedno żeby odważnie hofd oddać takiej kobiecie, ktgra w mężkióm rzemiośle samych mężczyzn przechodzi.

— O! o! może też i zaraz jechać na zamek.

— Zaraz nie, ale za dni kilka rozumiem że będzie rzecz słuszna i przyzwoita. Bo gdyby i nie to, to już sama dobra sława i stateczność pana podkomorzego wymaga tego po nas, abyśmy jemu pierwej, a nie on nam, złożyli nasze uszanowanie.

— A nie tyle podkomorzemu samemu, ile podkomorzance, — zarzucił Osuchowski i dodał z westchnieniem:—Oj, oj! wielki z ciebie rozpustnik, panie Józefie! Widzę ja to już jak na dłoni, że ci rady dać nie potrafię.

Na te słowa Bobowski się zarumienił i zmieszał cokolwiek, jednakże zebrał się jeszcze i rzekł:

— Oj, oj! podobno po nad miarę rygoru u pana brata.

— Może i po nad miarę bywa czasami, ale teraz to tylko

pod szfrych, bo kiedy kto ledwie co o jednej zapomniał a" już głowę sobie nabija drugą, to temu dwa słowa surowe nie zawadzą.

Usłyszawszy, czego się wcale nie spodziewał, Bobowski spojrział tylko z pod oka na swego towarzysza i zarumienił się aż wyżej uszu, co ażeby pokryć przed swoim bratem, zaproponował, ażeby kłusem przejechać onę równinę aż do skrzyżowania na drogę żer- nicką, — i tak już nic do siebie nie mówiąc, puścili się oba równym kłusem do domu.

W wąskiej i długiej, lecz dziwnie pięknie brzegami rzeki górskiej Hoczewki wijącej się dolinie, o milę prawie \*od wsi Zahoczewia, bliżej ku Bieszczadom, leży miasteczko Balogród. Z jednej strony rozciągają się nieprzebyte, czarne, jodłowe lasy, pełne dzikiego zwierza i pełne krzykliwego ptactwa nieznanego błotnym myśliwcom — po drugiej stronie wznoszą się ogromne, nieurodzajne i bezleśne góry, które świecą całe białymi kamieniami i gliną, głowy tylko mają ukoronowane gęstą i wyniosłą buczyną.

^Miasteczko Balogród, pomimo dość ruchliwego handlu, które od niepamiętnych czasów ożywia, jest jednym z najuboższych miasteczek na całą Polskę. Składa się ono bowiem li z kilkudziesięciu domów żydowskich, pomiędzy którymi głównie figuruje ratusz murowany, będący zarazem głównym szynkiem i gospodą. Miasteczko to założenie swoje, przenoszące dawnością swoją zaedwie panowanie Władysława IV, zawdzięcza szlacheckiej i znakomitej swojego czasu familii Balów,

Balowie, pieczętujący się herbem Gozdawą, wywodzą ród swój z Jrotów, przyczem radzi wspominają Balę, księcia góckiego, swoim praszczurem, inni zaś chcą wiedzieć z pewnością, że nie Balta lecz Balas, wielkiego mężstwa pułkownik w wojsku Justyniana cesarza, który sześciuset Masagetom przeciwko Wandalom regimentował, był protoplastą później tak szóroko rozkrzewionego rodu. Balowid pisali się najpierw z Balowa, jako świadczy podpis Mściugi z Balowa, Burgrabi krakowskiego, stojący na liście . Jana Tęczyńskiego z roku 1401; potem zaś, kiedy Mikołaj Bal pojął Żdowską dziedziczkę Nowego Tańca, pisali się z Nowego

Tańca, a dalej z Oczwi i ze Szredni. Dopiero Piotr, podkomorzy sanocki a syn Mikołaja, założywszy miasteczko Balogród, począł się pisać z Balogrodu. Tenże Piotr także i kościół w Nowym Tańcu fundował, a franciszkański w Sanoku po jego spaleniu się własnym kosztem z gruntu odnowił. Zona jego była Tarłówna z domu, wojewodzianka lubelska, i o niej ta się w tradycji przechowuje wiadomość, że będąc sama zawziętą heretyczką, kiedy synowi swemu Stanisławowi w dzień Wniebowzięcia N. Panny nie pozwoliła się wypowiedzieć, tenże ze zgryzoty maligny dostał i umarł.

Po założeniu swoim przez Piotra, podkomorzego sanockiego, Balogród odrazu stał się miasteczkiem, ale dopiero Adam Bał, trzeci syn Piotra, który był deputatem na trybunał lubelski, deputowanym do uprowiantowania wojska na Ukrainie i posłem na sejm koronacyjny w roku 1633, na tymże sejmie otrzymał na wieczne czasy przywilej na składy winne w Balogrodzie.

Balowie bywali wzrostem niewielcy ale budową silni, włosy u nich jasne, oczy siwe, nos rozszerzony. Charakter u nich zawsze był mocny i wytrzymały, a uporem i nieodstąpieniem od tego, co przedsięwzięli, zawsze się odznaczali nad innych. Odkąd osiedli w Polsce, rycerstwem już niewiele się zajmowali, ale natomiast często posłowali na sejmy, w komisjach wojskowych i cywilnych mićwali miejsca, sądownictwo dzierżyli w rękach i nad pomnożeniem fortuny ustawicznie i skrzętnie pracowali, i to im się udawało do tego stopnia, że był czas, w którym w samej sanockiej i pogranicznych ziemiach przeszło dwieście wsiów mieli. Najwybitniejszą jednak cechą tej znakomitej i silnie się pomiędzy sobą trzymającej rodziny było to, że jeszcze długi czas tak zawzięcie się geneweńskich nowinek dzierżyli, że zrzadka z którego z nich miał kościół katolicki pociechę. I trwało to prawie aż do roku 1667. Bo około tego czasu dopiero Piotr Bał, dziedzic Średniej - wsi, z synami swymi Bogusławem, Janem i Stanisławem, od Boga oświecony, do prawdziwej owczarni Chrystusowej się nawrócił, kościółek modrzewiowy w Średniej-wsi do dziś dnia stojący a przez jego przodków dla nabożeństwa aryańskiego wystawiony, na katolicki poświęcił i potomków swoich na wieczne czasy w wierze świętej katolickiej utwierdził. Dalszym potomstwem Bogusława był Michał z Mokrską " i Adam z Ubyszówną pożenieni synowie, córka zaś tegoż Michała, podkomorzego sanockiego, imieniem Urszula, około końca panowania Augusta II, za pana Franciszka Karsznickiego, podkomorzego halickiego wyszedłszy, Balogród za sobą wniosła w dom Karsznickich.

W tym czasie, w którym powieść się nasza toczy, był jeszcze zamek murowany w Balogrodzie, na którym siadywali jego dziedzice. Zamek ten stał na tém samym miejscu, na którym dzisiaj dwór stoi, to jest na stromcu i prawie nagle obciętem wzgórzem nad samą Hoczewką, w oddaleniu więcej jak o dwa tysiące kro-

ków od miasta. Zamek był murowany z kamienia, na jedno piętro wysoki, blachą żelazną przykryty, balkon obszorny u piętra mający i frontem obrócony w dziedziniec, a podług słońca uważając, na północ. W dolnych pomieszkaniach znajdowały się tylko kuchnie, izby dla sług dworskich i dworzan, ptaszarnia i lamus. Na górze było kilkanaście pokoi, pomiędzy którymi była jedna sala ogromna, zajmująca całą ścianę zachodnią, przytykająca do baszty obszernej" wprawdzie, ale jedynój, niegdyś do zamku przybudowanej, czworograniastój, od zachodniej ściany zamku ku północy się wyciągającej i przeto ze zamkiem mały kąt formującej, a w tej baszcie znajdowały się dwa pokoje zawsze przez samego pana zamieszkiwane, przy których osobna ,się znajdowała galery a i zkaąd osobne wschody sprowadzały w dziedziniec.

Naprzeciw "zamku a z jego długością równolegle, wyciągały się stajnie obszerne i także z kamienia murowane, a tak uformowany zamkiem i stajniami dziedziniec zamykał z jednój strony brzeg stromy i przepaścisty do rzeki się spuszczaający, a z drugiój, to jest od wschodu, mur potężny,' w którego środku podnosiła się brama także na piętro wysoka i zupełnie do bram w Zernicy i Zer- niczce się znajdujących podobna. Mur ten był zarośnięty ogromną berberysową krzewiną, która wzdłuż niego zewnątrz dziedzińca się wyciągała i gdzieniegdzie go przykrywała, ale pomimo to, że mur wschodniego rogu zamku dotknąwszy, sam się już kończył, berberysowe krzaki szły jeszcze dalej w linii zupełnie prostej ku południowi i opierały się aż o lasek jodłowy, o paręset kroków od zamku będący. Tam bowiem wyciągały się zamkowe ogrody i sady, które z jednój strony mając swe bezpieczeństwo w stromym brzegu rzeki, z drugiej go szukać musiały w wale ze ziemi usypanym i berberysami gęsto zarośniętym.

Tak wyglądała siedziba balogrodzkich dziedziców i każdy' przyzna, że w kraju, w którym szlachta na wykwintność a nawet wygodę pomieszkania niewiele dawała i nieraz zdarzyło się milionowej fortuny dziedziców w dworkach zdybywać drewnianych, zamek balogrodzki nad wieloma szlacheckimi rezydencjami swojego czasu mógł odnosić pierwszeństwo. Pomimo to wszakże zamek ten już od dwudziestu lat blisko stał pustką zupełną. Od kiedy bowiem pan podkomorzy sanocki umarł, a panna Urszula wyszła za mąż, co prawie o jednym czasie się stało, nikt tam prócz ekonomów i ciwunów nie mieszkał. Teraz dopiero, kiedy podkomorstwo haliccy tutaj na mieszkanie zjechali, nowe życie się dla niego zaczęło: oczyszczony z chwastów i zielsk, które na jego murach przez czas spoczynku wyrosły, odświeżony i zaludniony nanowo, zaszumił po staremu gwarem 'codziennym i za- błyszczał conocnemi' w swych oknach światłami, ale były to już jego ostatnie błyski i ostatnia jego świetności epoka, po której z wielu swoimi rówienikami w niepowrotną już upadł ruinę.

I lepiej może zresztą że tak się stało. Lepiej że obszerny i liczny dwór wymagający zamek zawczasu się w gruzy rozsypał; bo z tych gruzów ubogie wielkie Leliwitów potomstwo postawiło sobie gorzelnię, która przysporzyła dochodów, a na fundamentach zamczyska wybudowało mały domek drewniany, który ujął wydatków. Lepiej że tak się stało, bo czyż potrafiliby oni w to, żeby z samego Balogrodu intraty utrzymać sług tyle, aby nie puste były dolne pomieszczenia, koni tyle, ażeby pełne ich były stajnie; czy potrafiliby kuchnię utrzymać i piwnicę taką, ażeby zawsze nasycone i napojone były one tłumy gości, które od niepamiętnych czasów nawykły były ciągnąć na balogrodzki zamek? Nie potrafiliby nigdy, bo mając jeszcze obszerne i intratne ziemie na Rusi, ledwie w to potrafił podkomorzy halicki.

Ród Karsznickich pieczętował się herbem Leliwą, pisał się z Granowa i jednej będąc z wielkim domem Sieniawskich dzielnic, jeżeli nie większej i świetniejszej, to pewno równej sławy zażywał nad Dniestrem, jak Balowie nad Sanem. Początków tego domu i rozradzającego się zeń w czasach następnym potomstwa opowiadać nie będę, bo nie potrzebuje tego nikt zbierać z luźnych i z każdym dniem bardziej znikających tradycji, ale przeczyta się każdy z łatwością w księgach; o panu Franciszku to jednak wspomnieć wypada, iż prócz podkomorstwa, \* na którym go osadziła szlachta halicka, był jeszcze posłem na sejm konwokacyjny w roku 1733, i na tym sejmie, lubo się nie odznaczył ani ciceroniańską wymową, ani żadnym innym heroizmem obywatelskiej duszy, jednak utrzymał się ostatecznie przy prawości i cnocie, co się już wtenczas nie wszystkim zdarzało.-

Jednak nie można powiedzieć, czyby był pan Karsznicki w sejmie lub po za sejmem jakim wielkim czynem się nie odznaczył, gdyby były okoliczności po temu. • Niejeden mąż wielki sercem całe nieznanie światu układał się do snu wiecznego za Sasów. A podkomorzego halickiego charakter wcale nie był codzienny. Wychowany za młodu w wielkiej surowości obyczajów i przez ojca swego zaprawiany do hartów wszelkiego rodzaju, wyrobił on w sobie duszę tak silną jak opoka i umysł tak twardy jak stal. Serce jego było czyste jak kryształ, a sumienie tak spokojne i ciche, jako wód głębokich powierzchnia. Kiedy ręka jego potrafiła już sprostać szabli, a wiek trudom wojennym, wyrwał się z objęć rodzicielskich. A były to czasy, w których ruchu aż nadto było w Rzeczypospolitej. Bił też się pan Karsznicki najpierw przeciwko Turkom, którzy w 60,000 nadaremnie szturmowali Podhajec, bił się następnie przeciwko Szwedom, którzy pod Karolem XII najechali Polskę naówczas, a nakoniec, związkami krwi powołany, złączył się z Adamem Sieniawskim i jakakolwiek to sprawa była, służył jej wiernie i poczciwie. Tak lat kilka na służbach wojskowych, na ogromnej przestrzeni ziemi, bo od Torunia i Elbląga, gdzie bunt uśmierzano onego czasu, aż po Kamieniec i całe Po

dole, w które się Tatarzy po raz ostatni zapędzali natenczas, strawiwszy, kiedy już się uspokoiła Rzeczpospolita a nanowo August II na tronie osiadł, i on do domu poWrócił i chcąc nabyte doświadczenia naukami podeprzyć, zasiadł nad księgami z niepospolitą pilnością. Wkrótce, prócz ze sławy i cnoty rycerskiej, z której go już poznano, na sejmikach i zjazdach ziemskich dał się poznać ze zdrowego sądu o rzeczach, ze znajomości praw i potrzeb krajowych, a 'w życiu sąsiedzkim z cnoty i prawości. I poczęły się zaraz na niego sypać urzędy, które go wkrótce aż na podko- morstwo wyniosły. Podkomorzym już będąc i pięćdziesiątki już prawie dochodząc, poznał się przypadkowo z podkomorzanką sanocką i z nią się ożenił. Ożeniwszy się, zabrał żonę ze sobą w halicką ziemię, gdzie miał urząd znakomity i fortunę rozległą. Tam na usługach panom braci, na służbie Bożój i gospodarstwie strawił lat z jakie dwadzieścia. Przez ten czas Pan Bóg pobłogosławił jego małżeństwo trojgiem potomstwa. Syn najstarszy, imieniem Wincenty, służył w chorągwi pancernój i mając niezmyśloną chęć dochrapania się jakiego starostwa, od lat kilku już konsysto- wał na Ukrainie, gdzie jedynie jaką taką czynność mogło mieć wojsko natenczas. - Córka druga z kolei jeszcze w dziecięctwie umarła, a trzecia, którą na imię było Barbara, wyrosła na piękną pannę i jako prezentowała się światu, widzieliśmy to z fatalnego wypadku, który z jej ręki spotkał panów Bobowskiego i Osuchowskiego.

Pan podkomorzy miał teraz blisko już siedemdziesiąt lat wieku; średmbył wzrostem, ale dobrój tuszy. Twarz jego okrągła i pełna nie nosiła jeszcze na sobie śladów podeszłej starości, jako i głowa jegó, lubo przez połowę już łysa, jednak dokoła okrążona była czarnym i mało co posiwiałym włosiem; ale na umyśle pana podkomorzego znać już było i wiek i pracę. Wprawdzie umysł ten jeszcze był dosyć czerstwy, sąd jeszcze zawsze zdrowy i poważny, i zdanie rozumniejsze od wielu młodszych i mniej spracowanych; jednak były momenta, w których zdawało się, że umysł ten jeżeli nie dziecinnieje zupełnie, to przynajmniej coraz bardziej słabnieje i daje się opanowywać nie zawsze już rozsądnym a często nawet dziwacznym zachceniom. A trzeba wiedzieć, że z tóim sercem pana podkomorzego zupełnie inaczej się stało, jak się zwyczajnie dzieje z sercami starców; bo podczas kiedy tamte za każdym włosiem siwym przybywającym coraz bardziej tępieją i zamykają się przed' światem, jego serce, przeciwnie, z każdym rokiem stawało się miększóm i czulszem i z każdym rokiem coraz bardziej otwierało się ludziom, nie czyniąc między nimi żadnego nawet wyboru. Dziwna to rzecz zaiste, jednak niemniej przeto prawdziwa, że człowiek ten, który swojego czasu może nawet aż nadto surowym sędzią był ludzkich uczynków i cenzorem, na starość stał się nietylko wyrozumiałym i pobłażającym prawie na wszystko, ale nawet i to trzeba powiedzieć, że kiedy kto już był za jaki postę

pek potępiony przez całą opinią publiczną, w panu Karsznickim pewno znalazł jeszcze obrońcę. Nie bronił on wprawdzie nigdy uczynku, jeżeli uczynek był zły rzeczywiście, ale na obronę ludzkiego serca i sumienia zawsze umiał coś znaleźć takiego, że wina wedle niego pójść musiała na karb przypadku i okoliczności.

Umysł p.,odejrzliwy, przysłuchujący się częstym takim pana podkomorzego mowom obronnym, niezawodnie byłby zaraz wpadł na ten domysł, że nie co innego być musi tój jego pobłażliwości przyczyną, jedno to, że ostatniemi czasy sam musiał szwankować w jakim terminie pod ciężarem okoliczności; złe języki nawet, na których nigdy na świecie nie zbywa, tak utrzymywały z pewnością i jakimś podobnemu zdarzeniu przypisywały owo nagłe przeniesienie się podkomorzego z urodzajnej, piękniejszej i bogatej ziemi w mniej urodzajną, mniej piękną i wcale ubogą; jednakże nikt datami pewnymi tego domysłu podeprzeć nie umiał, a w rzeczy samej podkomorzy się tutaj przeniósł dlatego, ażeby zrzucić ze siebie pracę i ciężar urzędu, i reszty dni swoich w spokoju i spoczynku dokonać.

Podejrzliwość zresztą, każda przeciwko panu Karsznickiemu już dla niego samego musiała upadać, że kto się tylko bliżej przypatrzył jego obchodzeniu się z ludźmi i kto się pilniej przysłuchał jego obronom ludzkich słabości, ten widział jawnie, że cokolwiek on mówił, nie mówił z wyrachowania, nie z rozumu, lecz prosto ze serca, które zawsze i wszędzie z taką miłością i dobrocią otwierał dla wszystkich, że niepodobna było być na to nieczułym i równym afektem nie odpłacić się za to. Przy tem wszystkim wiele jeszcze pan podkomorzy zachował przymiotów takich, które jawnie świadczyły o dawnym harcie jego duszy i takiej surowości obyczajów, jaka dawnymi czasy była pospolitym naszych ojców przymiotem, a jakiej dzisiaj nie napotykamy już nigdzie.

Pan podkomorzy był bardzo nabożny i codzień rano ze swo im księdzem kapelanem, staruszkim już białowłosym, długie odmawiał paciérze, później do mszy mu służył, księgami się bawił a w dnie postne biczował się z nim pospołu i różne inne nabożne eksercicia odprawiał. Przez resztę dnia każdego, która im omdlił, dyspozycyi gospodarskich i sądownictwa, które zawsze sam podkomorzy odprawiał, zbywała, zabawiali się obadwa starcowie ptastwem i rybami, bo obadwa tego obojga wielkimi byli amatorami. Więc prócz dwóch papug cudnie pierzastych, które w dwóch ogromnych drucianych klatkach, osobnego chłopca do swej posługi mając, stały w podkomorzego sypialni i oprócz całego szeregu wypchanych ptaków, rządami na szafach w tejże jego sypialni stojących, były jeszcze w dolnej części zamku dwa ogromne pokoje, li tylko na rezydencyą dla tego skrzydlatego narodu przeznaczone.

Więc jednę z tych Jzb po wszystkich ścianach od góry do- dołu wisiały same klatki, różnej formy i różnego rodzaju, pełne



samych rzadkich egzemplarzy różnego ptactwa. Więc były tam papugi większe i mniejsze, był dudek czubaty i cztery sroki z szpakami, był sęp z dziobem skrzywionym, jedna sowa ordynaryjna i trzy rzadkiej piękności puhacze, był kruk czarnopióry, dzięcioł i kilka kukulek, było kilkanaście słowików, siedem szczygłów, dwa oczka wołowe i dwadzieścia kilka kanarków. Każda z tych klatek miała swój numer, każdy ptak swój przydomek, a którego gatunku było więcej egzemplarzy, to jeszcze i osobne nazwisko. Więc kruk, że był ze wszystkich najstarszy, nazywał się Nestor, puhacz, który raz podkomorzego w palec ukąsił, nazywał się Piekarski, a drugi, który się śmiał ustawicznie, miał imię Pszonki. Sroka, która własne swe dzieci wydusiła, nosiła imię Rusinowskiej, szpak, który z własnego dowcipu gadać się nauczył, nazywał się Samozwaniec, dwaj inni w ustawicznej zgodzie ze sobą tyjący, Ca- stora i Polluksa nosili nazwy, a szczygieł, który na palec księdza kapelanowi zlatywał i do niego szczebiotał, nosił imię Gaworka,— cała zaś izba ta nazywała się pańską komnatą.

Druga izba przez większą połowę zaplantowana była drzewami szpilkowemi, w szeregi regularne ustawionemi i tam już żadnych klatek nie było; tam wróble z trznadłami i pliszkami, jakoż i ze szczyglami, które się niczego nie mogły nauczyć, jako tałajstwo ptasiego narodu, latały sobie swobodnie po całej izbie, w której tylko po kilku miejscach były porozstawiane naczynia z wodą, ryniewkami prosto ze studni sprowadzaną i ze ziarnem, którego dwaj chłopcy, umyślnie do tego odstawieni, codziennie dosypywali. Wszystkie te ptaki nazywały się jednym ogólnem imieniem: Chłopi, a izba gospodą, i w niej niedługo zabawić się lubił pan podkomorzy; ale natomiast w drugiej często i po kilka godzin się bawił a wieczorne jadlo zawsze sam własną ręką podawał. I pięknie było widzieć, jako obadwa ci staruszkowie, pozakasywawszy rękawy, w chustki pełne mięsiva i różnych innych specyałów zaopatrzeni, do swojej roboty zasiedli w pańskiej komnacie, a rozpiesciwszy się z ptaszkami, nieraz i w komplementa dla siebie nawzajem się zapuścili. Wielka bo też p<sup>o</sup>jaźń była pomiędzy tymi obudwoma starcami.

Ksiądz kapelan był synem poddanego z dóbr ruskich podkomorzego, przez jego ojca jeszcze i w dom wzięty i jego sumptem do szkół stanisławowskich dopóty posyłany, dopóki się na teologią do Krakowa nie dostał. Wyświęciwszy się na księdza, kiedy podkomorzy właśnie wstępował do woj<sup>o</sup>jska, i on takte się tam zaciągnął, i podczas całej wojny szwedzkiej był spowiednikiem tejże samó<sup>o</sup> chorągwi, w której służył podkomorzy. Przez cały ten czas służby swojej był prawdziwym ulubieńcem rycerstwa, dobrodziejem i patronem pocztowych\* a pociechą i przykładem dla wszystkich. I tak: codziennie rano mszę czytał chorągwi i spowiadał chętnych; przy wolnych godzinach nauki im dawał i Pismo Święte czytywał, lazarety pod swoją dyrekcją utrzymywał; w razie ucisków

lub innych niedogodności do hetmana i wyższych komend posłował, a w potrzebie nieprzyjaciół bijął zarówno z żołnierstwem. Przy nacieraniu na nieprzyjaciela widziano go zawsze, z krzyżem w jednej a z szablą w drugiej ręce, na przodzie chorągwi; kiedy strwożonych i rozproszonych mordowano z łatwością, jego już nigdy nie było na placu boju, za uciekającymi on nigdy nie gonił, ale swoim pierzchającym zawsze z krzyżem zastępował na drodze i w imię Chrystusa nazad na nieprzyjaciela obracał, a zbojowiska nigdy nie ustępował pierwej, póki konających nie wypowiadał, na śmierć nie pobłogosławił, nie zebrał rannych i nie pogrzebał umarłych. Nawet kiedy nieprzyjaciel plac boju otrzymał, on szablę odpasawszy i pieszo na pobojuwisko przyszedłszy, umiał się od napaści nieprzyjacielskiej uchronić i swojej powinności dopełnić. Miał też ztąd wielkie zachowanie u całej chorągwi, ale większe jeszcze, ba! miłość prawie u pana podkomorzego. I nie dziwna! jako jeszcze młodego i niedoświadczonego natenczas ochronił on go nieraz od śmierci niechybnej, raz nawet samym sobą jego życie zasłonił, a wspomagając go zawsze dobrą radą i hamując niewczesne niecierpliwej młodości zapędy, był jakby jego aniołem •stróżem przez cały czas wojny.

Te zasługi kapelana cenić i zawdzięczać umiejąc, kiedy się wojna skończyła i spokój piękny osiadł na miodem i mlekiem płynących Rzeczypospolitej niwach, podkomorzy, sam powracając do domu, zabrał kapelana ze sobą. Nie miał wiele co robić ksiądz w kawalerskim domu i rwał się zrazu niecierpliwie, chcąc koniecznie iść gdzie na parafią lub do zakonu, ale nie puścił go podkomorzy, mówiąc: Ot, siedź u mnie księżu, kiedy ci dobrze. Pomagaj mojemu plebanowi w jego obowiązkach, a kiedy się ożenię, urządzę kaplicę w moim domu i zrobię cię w niej kapelanem, a drugim sobą w mojej kieszeni. I dał się ksiądz kapelan namówić, i pozostawszy natenczas w podkomorzego domu, nie opuścił aż do teraz, a przyjaźń która jeszcze w młodości pomiędzy nimi się zawiązała, z latami tak się utrwaliła, że prędzejby podobno podkomorzy rozstał się był ze swoją fortuną, niżeli z tym przyjacielem.

Oprócz tak pięknego związku nierozzerwanój przyjaźni, miał jeszcze pan podkomorzy i związek drugi, który za równie piękny przykład powinien był służyć sąsiadom i całemu otaczającemu go światu. .A związkiem tym pięknym było jego małżeństwo.

Pan podkomorzy nie ożenił się był z miłości. Poznał on żonę swoją przypadkowo na leskim zamku, dokąd na imieniny jw. Stadnickiej, wojewodziny wołyńskiej, z jw. Potockim, starostą halickim, na kilka dni przyjechał. Na tym festynie wraz ze wszystką co znakomitszą szlachtą z sąsiedztwa był także i pan Bał, podkomorzy sanocki, z swoją córką Urszulą. Panna była młoda natenczas i znakomitej urody, a że ród jej był niepospolity i niemałe fama za nią niosła posagi, więc kawalerowie kręcili się koło niej,

jak pszczoły około najpiękniejszej róży. Panu Karsznickiemu ani na myśli nie były konkury; miał on lat przeszło czterdzieści i serce jego, zahartowane na daleko, wynioślejszych afektach, ani- by się umiało było zniżyć do zniewieściałej miłości. Ale przypadek zdarzył, że panna Urszula, której umysł był także poważniejszy i stateczniejszy nad lata, nie chcąc ośmielać ani więcej jeszcze zbliżyć do siebie dobijających się o jej względy młokosów, kilka razy pana podkomorzego wybrała do tańca. Nie uważał tego prawie i za nic sobie to miał pan Karsznicki, ale zauważywszy, wziął to sobie ad notam pan starosta halicki. Podobno nawet zakomunikował to zaraz jw. wojewodzie, a jako to panowie lubią sobie przy zdarzonej okazji krotochwilę czynić z losów szlachty pomniejszej, nie wybadawszy rzeczy, ani wyrozumiawszy statecznie obustronnych okoliczności, rozpoczęły się swaty. Z początku szła ta igraszka uporem, ale kiedy się państwo wzięli do tego na zu- chwał, to tydzień cały przeciągnięto festyny na leskim zamku i taki zakończono je zaręczynami podkomorzego z podkomorzanką. W kilka tygodni potem odbyło się huczne wesele w Balogrodzie, a w kilka dni po weselu przybył ziemi halickiej dom nowy, otwarty i gościnny, jakich, prócz domów pańskich, niewiele liczyła natenczas ta ziemia.

Pomimo tego ożenienia się tak nagłego, przed którym obie- dwie strony prawie całkiem nie miały czasu na to, ażeby się poznać nawzajem, a nie mówię już, aby wzajemne ku sobie obudzić afekta, piękna i bardzo stateczna miłość zawiązała się z czasem pomiędzy tem małżeństwem. Podkomorzy był zawsze dobry, delikatny i grzeczny dla swojej żony, ona zaś tak cicha, potulna, całkiem domem i modlitwami, nad którymi zawsze wiele czasu trawiła, zajęta, że podczas kiedy się byłoby znalazło aż nadto wyrozumiałości z obojój strony, ani on, ani ona nie mieli do pokazania jój sposobności. Wyprzedzali się zatem tylko małżonkowie oboje w grzecznościach dla siebie i wyprzedzali się tak, że przez lat dwadzieścia kilka ich szczęśliwego pożycia, ani jedna chmurka nie zamąciła ich szczęśliwego spokoju.

Małżeństwo to, jakieśmy wspomnieli powyżej, pobłogosławione było dwojgiem żyjącego potomstwa. I jaki był syn ów, który przez służbę ukraińską chciał się koniecznie dorobić starostwa, dowiemy się wtenczas, kiedy on, otrzymawszy od króla starostwo, albo utraciwszy jego otrzymania nadzieję, przyjdzie do domu rodzicielskiego i zdybie się gdzieś z nami w niniejszej powieści; ale o córce, która już się nam pokazała na oczy, możemy powiedzieć z góry, że tak sercem jak i usposobieniem umysłu dziwnie się odrodziła od obojga rodziców.

I było-li temu przyczyną spaczone cokolwiek wychowanie, czy ze zbytecznego afektu pochodzące pobbłazanie i nieuwaga matki na nią czasu jej dzieciństwa, czy nakoniec od natury już takie jej dane przymioty, trudno dzisiaj rozstrzygnąć; to jednak

pewna, że panna Barbara, albo jak ją ojciec lubił nazywać, Barbarka, nie miała w sobie ani statecznego rozsądku i niepokalanej w poczciwości duszy po ojcu, ani owćj rzewnej tkliv'ości serca, owćj cudnie pięknej pokory i pobożności, którą nad wszystkie matrony swojego czasu podnosiła się matka. Były nakoniec jeszcze i takie w niej zachcenia i upodobania, które jakkolwiek uderzały niezwyčajnością i może kogo zajmować mogły, jednak żadną miarą ani przystawały natenczas, ani dziś przystoją kobiecie.

Panna Barbara była bardzo piękną z powierzchowności. Piękność jej wprawdzie nie uderzała ani ową regularnością rysów, ani spokojnym blaskiem pięknego oka, ani przezroczywością i alabastrową białością płci, ani nakoniec owym smętnem i pocziwćm uczuciem, wybij aj ącem się w całej twarzy wyrazie, jakiemi szczyćić się mogła córka zahoczewskiego dziedzica, —«i twarz jej była cery smagławej, nos orli, oko czarne pełne blasku ale zarazem i jakiegoś więćj przeszywającego aniżeli ujmującego pełne ognia, a wyraz cały ostry i surowy; jednakże przy tem wszystkićm niepospolitej piękności nikt jej nie mógł odmówić. Panna Barbara była w ruchach prędką i żywą, w mowie dowcipna i poznająca się prędko na rzeczy, ale porywczą i niecierpliwa we wszystkićm, jako świadczyły wieczorem porozrywane tasiemki u gorseta i sukien, a rankiem nienaturalnie rumiane jćj garderobiany policzki. Nie modliła ona się nigdy, albo bardzo rzadko, a wtenczas prędko; ksiąg nie czytała żadnych i piórem się nie bawiła, ale za to dzielnie jeździła na koniu, strzelała celnie z flinty i z pistoletu, polowanie lubiła od serca, chartami sama szcućć umiała i często ją można było widzieć przechodzącą się środkiem po końskiej stajni, albo przypatrującą się ciekawie, jak się ogary pożerały przy cebrach pełnych zaparzonej osypki. Słudzy balogrodzkiego zamku, zeszedłszy się ze sługami dworów sąsiednich, dziwne rzeczy opowiadali o tej panience. I tak, między innemi utrzymywali oni z pewnością, że jest złą, złośliwą, zawziętą, a w swej zawziętości nieubłaganą, że sobie często coś do kogo upatrzy i niektórych ludzi znenawidza już z piórwszego wejrzenia, że jest tyranem dla stajennych i masztalerzy, i że podczas, kiedy z woli pana i pani niktby może dotychczas nie był wytuzowany, z jej rozkazu nie mało już bizunów rozdano. Dalej opowiadali ci słudzy, że całe gospodarstwo balogrodzkiego państwa zostaje w jej ręku, że tylko jej wola dzieje się w zamku, że pan ani pani nie śmią jój się w niczem przeciwić, a ksiądz kapelan drży przed nią, jak żołnierz przed surowym hetmanem. Te opinią potwierdzali oni opowiadaniem rozmaitych wypadków, których sami byli świadkami, a czasem na sw&je nieszczęście i uczestnikami; jednakże wierzyć im natenczas było niepodobna, a to o tyle bardziój, ile że każdemu wiadomo, czego nie wymyślą niedobre sług zepsutych języki. Tym plotkom także i dlatego wierzyć nie było podobna, ile że niektórzy sąsiedzi, którzy już panu podkomorzemu oddali swą czołobit

ność na balogradzkim zamku, uważali to wprawdzie, że panna Barbara śmielój mówi przy gościach niż inne córki szlacheckie, i jój głos, ma swoją pewną wagę u rozpadających się nad nią ror, dziców, jednakże słowa jej były zawsze tak rozumne i umiarkowane, jej uszanowanie dla rodziców tak stateczne i szczerze, że przy pomocy jej urody i fortuny same tylko pochwały roznosiły się dla niej po okolicy.

Tak opisawszy zamek balogradzki i figury w nim mieszkające, powracamy do dalszych wypadków.

W tydzień prawie potóm, kiedy panna Barbara, ustrzeliwszy braciom ślubnym przed samym nosem zająca i wiedząc o fatal- nem nieudaniu się polowania (bo o każdym polowaniu musiała ona mieć zawsze jaknajprędszą i jaknajdokładniejszą relacją), uczyniła im z niego złośliwy podarunek, — po wielu pochmurnych i dżdżystych, piękny dzień jesienny zawitał. Słońce bladym promieniem oświecało opustoszoną z urodzajów ziemię, i opierając się o coraz bardziej czerniejące szpilkowe lasy, nadawało całej okolicy smutny jakiś i ponurny, ale zarazem piękny i serca niewesołe do bujn'ch •uczuć pobudzający widok. Piękną jest ziemia w lecie, kiedy dojrzałością darów Bożych, jakoby matka o los dzieci troskliwa, otwarte ku nam wyciąga ramiona;, piękniejszą jest jeszcze o wiosnie, kiedy aksamitną okryta - zielenią, pełna róż i słowików, jakby dziewica balsamicznym oddechem upaja serca nasze i rozplómienia umysły, piękniejszą jest wtenczas i lubią ją taką serca młode i rozkoszy życia pragnące, ' lecz serca mężkie, które już wiele doświadczyły uczuć i wielu zawodów, umysły poważne, które mniój

0 rozkoszach, a więcój o kapłaństwie tego żywota^które pragną nie uczuć, lecz czynów, nie złudzenia, ale pożytku, wołą wicher chłodny jesienny i szelest liści żółkłych, opadających z lasów,

1 step gładki i pusty, na którym widać w dali pełne wzniosłych pamiątek mogiły... wołą widzieć ziemię natenczas, kiedy pracowi- tego i pełnego chwały dokonawszy żywota, z błogosławieństwem dzieci swych, wolnym krokiem idzie na odpoczynek, niżeli w jaskrawe jak tanecznik ustroiwszy się szaty, rczwartemi ustyma uśmiócha się i weseli do serc naszych zakrzepłych, do wesołości, ani do śmiechu nieskłonnych. '

Panna Barbara także musiała umiść uczuć piękność jesieni, a konające promienie słońca i więdnijące burzany i krzewy mur si? .ły w jej sercu obuuzać także myśli ważne i zajmujące, bo onego dnia po południu stała ona jednym ramieniem o drzwi oparta na zamkowej galerii, i patrząc wprost na lasy czarne jak skrzydła nocy, zdała się bardzo być zamysłoną. Miała ona na sobie suknię długą wełnianą turkusowego koloru, na niej tunikę czarną aksamitną, jedwabnemi pęclicami ozdobną, a podczas, gdy na jój głowie spoczywał tenże sam mały węgierski kapelusz, który miała podczas swojej przedtygodniowej przejażdżki, w ręku prawóm trzymała pręcik, misternie włosieniem opleciony i ruszając usta

wicznie tą ręką, biła się nim w koniec zgrabnego skórkowego bucika, który wyglądał z pod sukni.

Po komnacie, w której drzwiach otwartych na galeryą wiodących, stała zamyślona Barbara, tam i napowrót z szkaplerzem w rękę przechodziła się pani podkomorzyna i poglądając często na obraz Matki Najświętszej, naprzeciwko drzwi zawieszony, mówiła pacierze. Był to dzień piątkowy i pani ta miała zwyczaj przez cały dzień taki być z suchotami, nadto jeszcze wdziawała ona wtedy na siebie Włosienicę i pas skórzany goździkami nabity na gołe ciało, aby ból sobie ustawiczny zadając, tem lepiej pamiętała na rany Chrystusa Pana, przez które w tenże sam dzień otrzymane świat zbawiony został od grzechu pierworodnego. Cały ten dzień prawie mając modlitwami zajęty, wystrzegała się ona starannie wszelkiej z ludźmi rozmowy, i dlatego to zapewne jej córka tak samotnie i milcząco ulokowała się na galeryi.

W pana podkomorzego pokojach, lubo równie poważnie, nie było jednak tak smutno jak tu Taj" Pokoje te znajdowały się w baszcie, o którejśmy już wspomnieli, i wchodziło się do nich z owcj komnaty przez jeszcze jedną izbę niewielką, całkiem do sieni podobną i po dwóch schodach drewnianych. W pićrwszej izbie stało tylko wielkie biuró dębowe, od góry niby szafa bez drzwi wyglądające, na której wierzchu stał krucyfiks wielki drewniany, a koło niego po obudwu stronach dwie trzpie głowy. Na półkach dawały się widzieć księgi w grubą skórę oprawne, pomiędzy którymi na pierwszy rzut oka poznać było można Biblią przekładu księdzá Wujka, kronikę Bielskiego i herby rycerstwa Bartosza Paprockiego, a kto byłby je otworzył, ten byłby się zaraz przekonał, że to były tych ksiąg naj pierwsze wydania, w czasie ukazania się światu przez przodka pana podkomorzego zakupione i do dziś dnia w tym domu się przechowywujące. Dalej znachodziły się innych znakomitych autorów dzieła, w wielkim poustawiane porzádzku, na pulcie zaś samym leżały porozrzucane rejestra i inne papiery, na których wierzchu odmiennym od krajowego drukiem uderzała w oczy leżąca niewielkiej objętości książka, przez króla Leszczyńskiego napisana i przez niego w wielkiej egzemplarzów ilości do kraju przysłana, która swojego czasu wielkiego w Polsce narobiła rumoru, a k: órej opinie ledwie w części poważył się podnieść o lat kilkadziesiąt późniejszy sejm czteroletni. Zresztą w tej izbie było li kilka stołków, narzadz obszerny do mycia i zlewania się wodą, i wschodnim gustem złożona sofa, perskim prawdziwym ale już wyszarzałym kobiercem przykryta.

W drugiej izbie, która była wiele obszerniejsza od pierwszej, najpierwej po obudwóch stronach drzwi stały dwie wielkie z mosiężnego drutu zbudowane klatki, w których na kólkach, także mosiężnych, kołysały się dwie ogromne i .cudnie piękne papugi. Jedna z nich była zielona i nazywała się Trawka, druga biała jak mleko nosiła nazwisko Duszy. Koło klatek stał chłopiec nie

wielki, może dwunastoletni, po kozacku ubrany, a ten chłopiec nazywał się Bieda. I prawdziwa to bieda była, nie sam chłopiec ale jego służba, bo papugi były tak nauczone, że kiedy ten chłopiec stał przy nich, nie wolno im było ani dzioba rozdziawić, więc kiedy pan słuchał jakiego czytania, sprawy jakie załatwiał, gości miał w swym pokoju albo spał po obiedzie, to ten chłopiec musiał ciągle stać koło klatek, ażeby papugi nie wrzeszczały, a ponieważ pan, mało już .gdzie wychodząc, nic innego nie robił, tylko albo słuchał czytania, albo sprawy załatwiał, albo miał gości, albo spał po obiedzie, więc chłopiec po całych dniach nieraz wystawać musiał na tym sztyldwachu.

W kącie naprzeciw drzwi po lewej stronie stało wielkie dębowe łóże. Łóże to postawione było na podwyższeniu podobnym, na jakim stawiają ołtarze, pod niem zaś stała trumna czarnem suknem obita, na której przodzie wyszyta była białymi nićmi lub jedwabiami trupia głowa, na pokrywie krzyż a po bokach napisy^: Memento-mori. Nad łóżem wisiał Zbawiciel świata na krzyżu; krzyż był czarny drewniany, a ciało Chrystusowe białe z kości słoniowej; pod tym krzyżem na gwoździu poświęcanym wisiał piasek ś-go Franciszka, przez obwiązanie nim gościom i łamanie kości leczący, także starcom słabej już ręki w bitwach na szable skuteczny. Obok łóża stało dwie szable, jedna wielka w pochwie żelaznej, dla obrony w przypadku, druga w pochwie skórzanej do codziennego ubioru. Na stole leżała para pistoletów nabitych z odwiedzionymi kurkami, zwierciadełko, kredka i woda, wszystko to poświęcane i do obrony przeciwko złych duchów albo czarów napaści służące. Dalej stało kilka sprzętów zwyczajnych, prostych jako serce ich pana i surowych jak jego obyczaj.

W tej izbie na środku, naprzeciwko drzwi otwartych na galerią basztową wiodących, na stołku poręczowym skórzanym siedział pan podkomorzy i warsztacik trzymając przed sobą, z kręconego podwójnie szpagatu robił włóczek na ryby. Miał on kon- tusz na sobie czerkasowy popielatego koloru, żupan stary karma- zynowy, który już w domu donaszał, bóty proste czerwone i pas pojedynczy siatkowy, a tylko po furazerce okrągłej aksamitnej, suto złotem bramowanej, którą dla łysiny swej zawsze nosił na głowie i nawet przy gościach nie lubił zdejmować, można było poznać, że w nim więcej coś siedzi, niż pospolity szlachcic z zagonu, tak na nim cały ubiór był prosty i pospolity.

O dwa kroki od niego, na krzeszle dziwnego kroju, było bowiem więcej jak o pół łokcia wyższóm. nad inne i miało pulpity przymocowany do siebie, siedział ksiądz kapelan, wielką księgę trzymając przed sobą i czasem w niej czytając, to znów z podkomorzym rozmową się zabawiając. Księgą tą w której kapelan nie mógł się na dobre rozczytać, było niedawno cp wyszłe i dziwne zjawisko swojego czasu. Księga ta. którą podkomorzemu z miejsca jej druku, to jest ze Lwowa, dla jej nadzwyczajnej kurtozyi

przysłano, zadziwiła już samym tytułem, stało bowiem na pierwszej jej kartce napisano: „Nowe Ateny albo Akademia wszelkiej Scyencyi pełna... mądrym dla meniorahi, idiotom dla nauki, politykom dla rozrywki erygowana... Co wszystko stało się wielką pracą i kosztem Autora tu aenigmatice wyrażonego: Imię wiosna zaczyna, Wielkiej Nocy blisko, głowę, w piwie i miodzie zawraca Nazwisko. To jest przez księdza Benedykta Chmielowskiego, dziekana Rohatyńskiego, Firlaj owskiego i i^odkamShieckiego Pasterza.”

Jest »WŁtfj - ..książce wszystko, o czém tylko myśl ludzka zamaryć może, i rzeczywiście dziwić się trzeba z jednej strony, jakiej pracy użyć musiał ks. Chmielowski, ażeby tyle cytat z tylu różnych autorów, z drugiej zaś jak po takiej żmudnej pracy nie doprowadził nawet do tego, ażeby gdzie choć dwa po sobie następujące wiersze miały pomiędzy sobą jakikolwiek związek. Istny to dom waryatów, zamieszkały nie przez, ludzi ale przez pomysły. Ostatni też to plód owego zepsutego w literaturze polskiej smaku, który poczawszy się już od Zygmunta III, trwał na nieszczęście narodu aż do początków panowania Stanisława Augusta, w którym to Czasie głowami podobnemi, jak dziekana rohatyńskiego, w zupełną niedorzeczność i brak wszelkiego zdrowego sensu przeszedłszy, wywołał sobie pierwsze odgłosy później tak sławnych stanisławowskich pisarzy. Nie czuli atoli tego upośledzenia swego żyjący za Sasów Polacy, i książka dziekana Rohatyńskiego rozeszła się szybko po Polsce, a podczas, gdy jedni li z niedowierzaniem kiwali na nią głowami, co i tak już było dowodem wielkiej literackiej odwagi na owe czasy, drudzy bawili się w najlepsze niezdarnemi konceptami i unosili się nad nieszczęśliwemi kalamburami, Przeczytać ją przynajmniej każdy światlejszy miał sobie za obowiązek, dlatego ksiądz kapelan, przeczytawszy ją piór- wej u siebie od deski do deski, stał już teraz na trzecim rozdziale i czytał w ten sens:

— „Tytuł treści tej księgi. Jaka wiara, taka ofiara. Wzywanie bez pomocy. Wołanie na Głuchów, gadanie na Niemych, albo Scyencya o Ofiarach pogańskich. O Świętach, Solenizacyach, tudzież o Rzeczach Bożków opiece powierzonych. W jakowej u Pogan rewerencyi byli Bożkowie i ich ofiary, opisuje Cicero lib. 2. de Legibus. Ad Dives casle adeunto, pietatem adhibento. Qui secus facit, Detts ipsa mnaex erit. Impius ne adesto donis placare iram Deorum. Tibullus wspomina, z jaką nienawiścią do ołtarzów przystępywać należało: Jtiscedat ab aris: Cui sidil hesterna gaudia nocte Venus: Casta placent superis. Toż samo twierdzi Hesiodus: Mane Jom ac religuis Superis libare caveło tlotis manibus: Dii sor- dida Saera recusant i t. d.”

Ale z niechęcią to czyta \* i prawie tylko przez zęby cedził ksiądz kapelan, co kiedy spostrzegł pan podkomorzy, przerwał mu i rzekł:



— Głowę moję daję, że już ci się coś nie podobało w tej książce, bo czytasz jakby najęty. — A ksiądz na to:

— Trudno mi się to ma podobać, jw. panie, co jest głupstwem wierutnóm; — tak bowiem tytułował pomimo tyloletniój przyjaźni, ksiądz kapelan podkomorzego, wyjąwszy wtenczas, kiedy go za co z góry nabióral.

— No, jakże to? — rzekł podkomorzy, nie przerywając swojej roboty, — powiedz-no mi, mój księże, boś ty człek mądry i znasz się lepiój na książkach, niżeli ja na ptakach.

— Ej! widzisz iw. pan lepiój wszelką niedorzeczność w tój książce niżeli ja, bo masz zdrowy rozum i oko czyste! Na co tu mnie co powiadać?

— Jak mnie Bóg miły, ja nic nie widzę, — odpowiedział na to z uśmiechem pan podkomorzy, — jedna książka jak druga, ten pisze to a ten owo, a że nie wszyscy mają jednakowe facultates i jednakowe ingenium, jako tóż że i każdy nie o jednej pisze ma- teryi, więc tóż i nie każdego jednakowo wywiązuje się z swego propositu. Jednak jeżeli któren trochę słabiej rzecz napisze od drugiego, niekoniecznie zaraz za to kamieniem na niego, bo to nie każdemu być Ovi'Juszem albo Seneką. Jakoż dobrze powiada w tym sensie wiersz łaciński: Qui nihil aedificas, aliena quid im- probe carpis? Haec damnare cave, vel meliora strue.

— Nie zaraz ja t'ż kamieniem na Aten autora, — zawołał znowu w głos ksiądz kapelan, bo i co mnie do tego, że się tam kto porwie z motyką na słońce i śmiech ściągnie na siebie; ale tego mnie żal serdeczny, że tym autorem jest ksiądz mszalny i licznej parafii pasterz, bo przez takie rzeczy to jeno jest upadek i ruina powagi kościelnój i wiary przenaświętszej. Ksiądz nie jest to człek wolny, który jako szlachcic ziemianin może dogodzić swojej fantazyi i nawet co godzina i co chwila głupstwo powiedzieć bez czyjejkolwiek szkody, ale na niego obrócone są oczy wielkiej gromady i wiele jest ludzi takich, którzy każde słowo księdza biorą tak, jakby w'y chodziło z kościoła: więc ksiądz albo mądrze powiadać, albo milczeć powinien. Oj! nie głupi są rabini żydowscy że tak milczą ustawicznie! — dodał ksiądz z westchnieniem.

— Mcze ty masz i prawdę w tem co powiadasz, — rzekł znów podkomorzy, — i zapewne niedobrze to jest, kiedy się księdzu uda co głupio powiedzieć; ale znowu w tych Atenach nie widzę ja nic tak osobliwie głupiego.

\* — Bo jw. pan nie .czytałeś całości, — odpowiedział ksiądz na to, — a sąd ex pdrte rzadko kiedy convalet; jakoż i tutaj jeszcze się to tak d:bitnie nie pokazuje, ale przeczytawszy dalsze capita, pokaże się to aż nadto jawnie. A już o ks. Chmielowskim nie potrzeba nic więcej powiadać, jeno to, że w tej książce swojej chce ludzi wszystkiego nauczyć, a przecie wiadoma rzecz, że Pan Bóg tak nie usposobił człowieka, aby mógł wszystkie sciencye, których taka moc jest teraz na świecie, sam doskonale zrozumieć, a nie

dopiśroż jeszcze wszystkiego drugich nauczać. Ale niepotrzeba i tego, bo przeczytawszy co on pisze o Arce Noego, i Gigantach albo Olbrzymach, o Anacephalach alias bez głowy, o Cynocephalach alias psią głowę mających, i o innych dziwną formę mających ludziach, niepotrzeba się długo namyślać nad ferowaniem o jego głowie opinii.

— A kiedy on tak o wszystkim pisze,—zrzucił pan podkomorzy, — to może on co pisze także o ptakach albo o rybach?

^— Pisze.

— Czytajże to, księżu, a kiedy powiadasz, że niedorzeczny, to tam go pewno złapiemy.

'— Nie trzeba go długo łapać, — odpowiedział kapelan, — bo z pierwszych słów zaraz widać, że ani wyobrażenia niema o rze czy.

— Ale czy tajno, czytaj.

Ksiądz zatem przewróciwszy kart kilkadziesiąt, tak począł:

— „Tytuł szesnasty tej księgi. Matnia, na ryby dostatnia. Wór, na ryby wybór, Sadzawka ryb morskich i rzecznych pełna, lub o wodnych zwierzętach naturalna Scyencya. Po ptastwie kładę ryby, bo to oboje z jednego wodnego od Boga kreowane elementu/

— Jak, jak? — przerwał podkomorzy, — ptastwo z jednego kreowane elementu?

— No widzisz jw. pan, — rzekł ksiądz kapelan.

— Czytajże dalej.

— „Napływałem się po różnych autorach,^czytał ksiądz dalej, — com osobliwszego pomiędzy rybami morskimi i rzeczniemi ułowił, tobie ofiaruję, czytelniku. Z wydrą i szczuką ich nie pożeram, lecz wybieram dla ciebie co lepsze do zadziwienia, nie jedzenia.”

Cha, cha, cha! — zaśmiał się podkomorzy.

— „Ryb wszystkich spectes, — czytał ksiądz dalej, — św. Hieronim wylicza z Oppiana, uczonego poety cylickiego, sto pięćdziesiąt i trzy.”

. — Wiele, wiele?

— Sto pięćdziesiąt i trzy.

— Cha, cha, cha! — zaśmiał się znów podkomorzy.

Tymczasem panna Barbara, znudzony się w samotności na galeryi, weszła do pokojów ojca, a widząc księdza kapelana z dużą księgą na pulcie i ojca śmiejącego się słysząc, przerwała starcom ich krytyczne Nowych Aten badania, zaraz na wstępie pytając:

— Cóż to za książkę tak bardzo zabawną ichmość panowie czytacie?

— To są nowe Ateny, moja córeczko, — odpowiedział jej na to ojciec z dobrocią, — książka niedawno co wydrukowana we Lwowie, w której znajduje się rzecz o wszystkim, czego tylko ciekawość ludzkiego umysłu zapragnąć może.

— A jest tam co o psach i o koniach? — spytała Barbarka.

— Jest tam co o psach i o koniach? — powtórzył ojciec, obracając się do księdza kapelana.

W — Jest o psach ale o morskich, — odpowiedział ksiądz—i jest coś o hipopotamach, ale o onych u nas pospolitych zwierzętach nic nie znalazłem.

— Jest co o łowach? — zapytała znowu panienska.

— Nic nie znalazłem, — odpowiedział ksiądz.

— Jest co o gospodarstwie, o uprawie roli, o krawiectwie,

0 haftach, o garderobie kobiecój?

— Nie, jak mnie Bóg miły, nic o tern niema, — odpowiedział ksiądz, z pewnera zadziwieniem spoglądając na podkomorzego.

— Więc za cóż powiadacie, że wszystko tam jest czego dusza zapagnie,— zarzuciła Barbarka—kiedy tam właśnie tego wszystkiego nióma czego dusza pragnie?

— Cha, cha, cha! — zaśmiał się podkomorzy, — oto nas zapędziła w matnię mospanie! Chodźże tu, Barbareczko, niech cię pocałuję za to.

I kiedy córka się przybliżyła do niego, wypuścił podkomorzy na chwilę z rąk swoją robotę i pocałowawszy Barbarkę w czoło, dodał z zadowoleniem:

— Taki ja zawsze powiadam, że najlepsza to księga, którą Pan Bóg człowiekowi w głowę wkłada przy urodzeniu; jeżeli kto z niój nic nie wydobędzie, to snać już napróžno szukać będzie czego po innych.

— Oj! to prawdę ojciec powiedział, dorzuciła Barbarka, trzepiąc pręcikiem w włóczek ojcowski, — kiedy czyj łeb z urodzenia zabity, to na nic się nie przyda żadna nauka. Mam tego przekonanie na mojej Józefce: kołek z niej był i kołkiem już zostanie na wieki.

— Nie przeczę ja tego, moja duszo kochana, — rzekł na to- z pewną nieśmiałością pan podkomorzy, — coś teraz powiedziała ale protestuje się fortiter przeciwko wyrazom, którycheś do objawienia twojej opinii użyła.

— Ale że ojciec .musi się zawsze protestować przeciwko wyrazom!—zawołała w tem miejscu z porywczością Barbarka,— przecież ja umiem po polsku.

— Poczekajno. Umiesz, ja temu nie przeczę; ale tego może nie wiesz, że kiedy mężczyzna powie łeb albo kołek, albo nawet

1 co prostszego jeszcze, to jemu ujdzie, i nikt mu tego za złe nie weźmie; ale białogłowa, że nie mówię już panna, stworzenie takie w którem każdy rad szuka jaknaj większej subtelności i delikatności tak w sentymentach, jako i w wyrażeniu, nieosobliwie się zaleca przytomnym, a nawet często ich odraża od siebie, kiedy użyje akcyi albo słowa takiego, które od wszystkich ludzi, eduka- cyą posiadających, dawno już są pozostawione gminowi.

— Ej!" jeszcze tam będę dobierać wyrazów! — zawołała na to Barbarka, która przez cały czas ojcowskiej perory coraz częściej trzępiąc swym prętem, coraz większej niecierpliwości dawała dowód. — Kiedy się powić zrozumiałe i jasno, to dosyć.

— Dosyć dlatego, żeby być zrozumianą,— ciągnął dalej pan zamku, — ale nie dosyć na to, aby się swoim słuchaczom podobać. A panna, moja duszo kochana, powinna zawsze pamiętać

o tem, że cała jej przyszłość zależy od tego, jak się umie podobać.

— Mam się komu podobać, to i tak się podobam.

— «Nie podobasz się,— rzekł stanowczo pan podkomorzy,—bo wiedz o tsm, że nie jedna panna dożyła już wigilii swojego ślubu, a przez jakąś nieprzyzwoitość, często li z nieuwagi pochodzącą ., ślubu samego nigdy się już nie doczekała. Świat, moje dziecko, nie jest takim, jakim się tobie wydaje, a jeżeli ty chcesz mieć swoją wolę, to bądź pewną, że ją zarówno każdy mićć pragnie, a już osobliwie panowie kawalerowie. I nie rozumiem, czśmby pana konkurenta swego prędzej odstręczyć mogła, jak kiedyby się- wydała z tem, że lubi to, kiedy się wszystko koło niej dzieje po jej woli. Ja sam się przyznaję do tego, że nigdy bym się z twoją matką był nie ożenił, aniby mnie do tego namówili sami monarchowie a nie tylko panowie, gdybym się był naprzód nie przekonał o tsm, że jest w niej potulność i pokora. ,

W tem miejscu Barbarka uśmiechnęła się ironicznie, a pan podkomorzy powiadał dalej:

— I nie dlatego to mi się w niej podobało, ażebym sobie już naprzód układał z tej jej potulności w późniejszych czasach nie- poczciwie korzystać, ale dlatego że wiedział, że tylko niewiastę skromną i pokorną można dopuścić do połowicy domowych rządów, bo nieskromną trzeba trzymać ciągle na cuglach.

•— Co też ojciec powiada! — zawołała Barbarka.

— Już ja dobrze powiadam, nieprawda, księżo kapelanie? — rzekł podkomorzy, mrugając .milczkiem "na księdza.

— Dobrze i prawdziwie, jakbyś jw. pan z moich ust słowa wyjmował,— odpowiedział kapelan, zamykając Nowe Ateny,— nie- masz jak skromność i pokora w niewieście...

A podczas kiedy podkomorzy znowu mrugał na niego, dając mu tem znak, iżby prowadził rzecz swoją dalej, ksiądz tak powiadał :

—^Pięknie to jest bezwątpienia, kiedy białogłowa ma umysł czysty i zdrowy jak woda z górskiego źródła; pięknie, kiedy ma bystrość w pojmowaniu i przytomność w sądzeniu; nie wadzi nawet, kiedy ma ów rozum potężny, który najlepiej przystaje mężczyznom; ale jeżeli przy tem wszystkim niemasz skromności i pokory w jej sercu, jeżeli jest upór i zarozumienie i chęć podbijania sobie umysłów, a niewolenia do siebie serc ludzkich, to zaiste na nic to się, nie przydało.

— No i cóż dalój? — zapytała Barbarka, która widocznie tylko z nudów słuchała tój perory.

— Niewiasta taka nie odpowie nigdy przeznaczeniu, do jakiego Pan Bóg ją stworzył. Bo Pan Bóg, stwarzając rodzaj ludzki i rozdzielając go płcią na dwie odrębne species...

— Uczynił to na to, — poderwała z porywcznością Barbarka, — ażeby już dalej nie potrzebował ulepiac ludzi z gliny, jeno ażeby ludzki rodzaj sam się propagował dalej. I cóż mi waszmość powiadasz takie rzeczy.

Na te słowa, siwowłosy kapelan, lubo do takich frazesów ustami tój panny wypowiedanych zapewne już musiał być przyzwyczajony, jednak zdumiał się tak, że aż się w tył posunął na krześle i poglądnawszy jej w oczy, mruknął sobie pod nosem:

— No! w kogo to się wdało, jak mnie Bóg miły, trudno odgadnąć.

Zdaje się, że za tę uwagę uczynioną tak głośno, że ją wszyscy w tej izbie będący słyszeli, kapelan byłby usłyszał jeszcze co ciekawszego od panny Barbary, bo już się nachyliła ku niemu i wzrok srogi w niego wpatrzywszy, usta otworzyła na poły, ale wtem podkomorzy, zatrzymawszy obiedwie ręce nieruchomie na swojej robocie i wpatrzywszy się mocno w bramę, rzekł głośno:

— Czy mi się zdaje, czy rzeczywiście jacyś jezdni pokazują się w bramie? popatrz-no, moje dziecko, bo ja już nie dowidzę.

Na to Barbarka zapomniawszy o powetowaniu obrazu przez księdza jój zadanój, wychyliła się w galeryę i wyglądając na dziedziniec z coraz większem zajęciem, mówiła zrazu wolno:

— A rzeczywiście... ktoś tu zajeżdża,—a potem nagle i z pew- nem pomieszaniem: — Ach to Bobowski i Osuchowski!

— Jakto? — zapytał ojciec, nie ruszając się z miejsca, ci sami, którymeś przed tygodniem przed samym nosem ustrzeliła zająca?

— Ci sami! — zawołała coraz więcej się mieszając, Barbarka, — cóż tu robić, mój ojcze?

— Widzisz Semiramido!—rzekł ńa to spokojnie pan podkomorzy, — mądrą jesteś i dokazujesz, a cóżbyś poczęła teraz, gdyby nie było przy tobie mężczyny?

Na te słowa ojcowskie zastanowiła się cokolwiek córka, ale Wkrótce odpowiedziała głosem pełnym i stanowczym:

— Owa! dałabym sobie i sama radę.— Na to podkomorzy:

— Może niebardzo, bo kto wió, po co oni tu przyjechali: a nuż obrazeni twoim prezentem, żądać będą, ażeby im za to dać satysfakcyą? ha? więc cóż natenczas?

— Ha! tobym'się strzelała z nimi na pistolety.

— Masz tam teraz, — rzekł podkomorzy, — jużby się i strzelała!... Ale idź dziecko do matki, my tam do was przyjdziemy.

Posłuszna tą razą córka natychmiast wyniosła się z sypialni ojcowskiej, a wtóm dały się słyszeć kroki idących gości

po wschodach, wprost na piętro baszty wiodących, pomiędzy którymi, kto je znał, nietrudno było rozróżnić ciężkiego stąpania olbrzymiego Osuchowskiego. Niebawem też weszli do pierwszej izby obadwa kawalerowie, pięknie i bogato ubrani i z wielką grzecznością się kłaniający. Podkomorzy dał się wprawdzie uprzedzić tym sąsiadom swoim odwiódkami, ale nie dał im się uprzedzić w powitaniu; jakoż zawczasu powstawszy od swojej roboty i na ukłony z powagą starcowi przystającą odpowiedział, nie dał im ani słowa wymówić i sam zaczął w ten sposób:

H Witam, witam, od serca witam waszmościów i jak najso- lenniej przepraszam za to, że się wam dał uprzedzić w obowiązkach sąsiedzkich. Ale mam nadzieję że starcowi, bodaj czy nie przenoszącemu wiekiem waszych rodziców, przebaczone to będzie w waszych poczciwych sercach.

— Mości dobrodzieju, nie mieliśmy do tego najmniejszej pre- tensji, — odpowiedział na to Bobowski.

Tymczasem podkomorzy, sam przysunawszy dwa krzesła, czerwoną w złote kwiaty upstrzoną skórą obite, i usadowiwszy na nich swych gości, tak znowu mówił:

— Więc tedy, jak się dowiaduję odmojcj córki, która miała honor przypadkowo poznać waszmościów... «

Na te słowa zarumienili się obadwa bracia aż po za uszy, ale podkomorzy złagodźszy mowę swoją najpoczciwszym na ziemi uśmiechem, naprawił to jakoś.

— Przypadkowo poznać waszmościów—mówił dalej pan podkomorzy — że jeden z was jest Bobowski, drugi zaś Osuchowski. Nie widziałem was nigdy na życiu, a jednak poważę cię zgadnąć, że ten musi być Osuchowski.

To mówiąc, pokłonił się panu łowczycowi, który pokłoniwszy się Wzajem, odpowiedział.

r\_jfe^Tak jest, panie podkomorzy dobrodzieju, ja jestem Osuchowski.

— A widzisz. Ojca waszmości, panie Bobowski — mówił dalej pan podkomorzy, obracając się do pana Józefa — miałem honor znać bardzo blisko. Winien jemu nawet byłem wiele wdzięczności, był bowiem tak łaskaw, że w moim imieniu gładziuteńko jak gdyby po mydle załagodził pretensje, z jakimi po śmierci ojca mojej żony wyjechał pan Gogolewski i namalował na masę balowską. Listy pana stolnika, które do mnie pisał był w tój ma- teryi, dotychczas, jako miłą jego przyjaźni pamiątkę, chowana w moim biurku, a nie miawszy nigdy okazji wywdzięczenia się jemu za tę przyjacielską usługę, chowam wdzięczność w mśm sercu i niewypowiedzianie miło mi jest, że ją już ze sobą poniosę do onego mieszkania, które owo widzicie pod mojm łóżkiem. Ale z twoim ojcem, panie łowczycu — ciągnął dalej podkomorzy, obra

cając mowę swoją do Osuchowskiego — wiele lat w ścisłej się przeżyło przyjaźni.

— Jaktor\* — zawołał na to z serdecznym uczuciem pan łowczyc, a cała piękność tkliwej miłości synowskiej zajaśniała, jak gdyby promień słońca, na jego zwykle surowej twarzy — jakto? waszmość pan znałeś mojego ojca?... i dodał smutno: — mnie się nie dostało to szczęście, ja już nie pamiętam nawet i jego twarzy.

— O znałem! — odpowiedział podkomorzy — iw wielkiój z panem Fryderykiem żyłem przyjaźni. Kilka lat z sobą służyliśmy w jednej chorągwi, kilkanaście batalii odprawiliśmy razem, a podczas wojny z Turkami nawet pod jednym sypialiśmy namiotem. Był to mąż wielkiego serca i wspaniałego umysłu, pierwszy rycerz w całej chorągwi i pomnę, że dla mnie był zawsze wzorem który ciągle naśladowałem, a którego nigdy osiągnąć nie mogłem.

O odwadze takiej, jaką się nad wszystkich dystygował nieboszczyk ojciec, niebawem może ludzie i pojęcia miód nie będą, a przecie ja jej świadkiem byłem po tyle razy. Ta też odwaga jego zabrała go z tego świata tak młodo. O kilkanaście kroków stałem od niego, kiedy na mur się wdrapał, kulą ugodzony w samo skronie, padł i ducha wyzionął. Żal wielki ogarnął nas wszystkich, chorągiew cała przez ten dzień była jak ścięta, a długo jeszcze potem nie mogliśmy sobie dać wiary, że już niemasz Osuchowskiego.

Pan łowczyc, wśród tej Całej mowy podkomorzego, która była opowiadana pomału i dobitnie, ciężkie wydobywał ze siebie westchnienia, a kiedy pan Karsznicki zakończył słowy, że już niemasz Osuchowskiego: dwie łzy jak perły potoczyły się po męzkim licu' pana Stanisława i utonęły w jego sumiastych wąsach. Co widząc, podkomorzy także łzę otarł z oka i ze szczerą serdecznością podawszy rękę panu Stanisławowi, ścisnął go aż powyżój kostki

I rzekł, łkając:

— Bodaj się tacy synowie rodzili nam wszystkim.

Tymczasem ksiądz kapelan, który siedział wprost naprzeciwko Osuchowskiego, jednak przez siedzącego pomiędzy nimi podkomorzego większą połowę figury przez tamtego miał zasłonioną, ciekawością zdjęty, wstał z swego krzesła i przypatrzywszy się dobrze Osuchowskiemu, rzekł dosyć głośno:

— A jaki podobny do pana Fryderyka!

Osuchowski spojrział z pod oka na kapelana, a kiedy wyrazu zadziwienia nie mógł utaić na swojej twarzy, tak że go dostrzegł podkomorzy halicki, rzekł tenże do niego:

— Bo to jest spowiednik, ba! prawdziwy towarzysz chorągwi, w której służył ojciec waszmości. — Na to pan łowczyc do księdza:

— Więc i jegomość dobrodziej znałeś mojego ojca?

— Czy go znałem? — rzekł ksiądz poważnie — te ręce, które waszmość tu widzisz, uniosły go z pod onego niefortunnego muru, pod którym ducha wyzionął, a te usta wymawiały ostatnie Requiem aelernam nad jego grobem.

Osuchowskiemu już lzy się potokiem lały po obudwóch policzkach, a kiedy podkomorzy dodał jeszcze do tego:

— Powiedzże, księżu, przecie mowę potem miałeś w obozie, w której coś dużo było o panu Fryderyku; — to Osuchowski już się dalsj powstrzymać nie mógł i powstawszy z swego siedzenia, poszedł ku oknu i tam w głos szlochał jak dziecko.

Zal ten synowski, a raczj hołd serdeczny, łzami temi oddawany ceniom ojcowskim, udzielił się zaraz wszystkim i przez chwil kilka potśm trwało w całej izbie uroczyste milczenie; jednakże kiedy pan łowczyc długo od okna nie wracał, podkomorzy zaczął nową z panem stolnikowiczem rozmowę, a bojąc się jeszcze i tego do łez doprowadzić, nie wspominał mu już nic o nieboszczyku stolniku, jeno jął się wypytywać o on związek braterski, który trwał pomiędzy tymi obudwoma kawalerami, a którego sława znana była po części i na ziemi halickiej. A kiedy pan Józef ze wszelką skromnością i przystojnością opowiedział już wszystko, coby godne było wspomnienia, podkomorzy się trochę zamyślił, a ksiądz kapelan, do niego mowę zwróciwszy, tak zaczął:

— Dziwne to rzeczy na tym świecie, jw. panie. Nie chcę ja nic przez to ujmować trafności i cnocie, jaka się w takich związkach, generalilər wzięwszy, znajdują, ale trudno nie wspomnieć, że podczas, kiedy dziś jeden taki związek już wszystkich w oczy uderza i do częstego dyskursu staje się materyą, kiedyśmy się bili przeciwko Szwedom, w samej naszej chorągwi było trzy takie związki i nikt o nich nie wiedział.

— A, przepraszam, — odezwał się na to pan Karsznicki, — o związku panów Jankowskiego i Drohostajskiego cały świat wiedział.

— A dowiedział się świat cały, to prawda, — odpowiedział kapelan, — ale aż wtenczas, kiedy Jankowskiego, przez Szwedów do niewoli wziętego, Drohostajski nocą kilkadziesiąt szabel wyprowadziwszy z obozu i na obóz szwedzki napadłszy, z tój niewoli wydobył i na drugi dzień za to na rozkaz hetmana o mało co rozstrzelanym nie został.

— A to prawda, — dodał podkomorzy, — i wtenczas się to ich afekta wydały.

— A waszmość, -r- zapytał ksiądz Bobowskiego, nie byliście jeszcze w żadnym takim terminie, gdzieby jednemu za drugiego gardła nadstawić wypadało.

— Niśmasz mości dobrodzieju, dzisiaj okazyi po temu, — odpowiedział na to pan stolnikowicz, — na świecie cicho, o wojnie ani słyhać, zkądżeby się wzięło niebezpieczeństwo?



— A jednakże nam powiadano, — zarzucił pan podkomorzy, — że jeden z was był już w bisurmańskiej niewoli i wykupiony z niej przez drugiego.

— Ja to byłępi tam nieszczęśliwy, odpowiedział pan łowczyc, powracając już .wyplakany od okna, — który się w pogańskie ręce dostałem i omało tam już żywota mego nie położyłem.

— No, proszę waszmości, powiódzże nam, jak to było,—rzekł znowu pan podkomorzy, — bo my obadwa z księdzem kapelanem wojowaliśmy z Turkami, ja nawet od ich strzały mam pamiątkę na lewym ramieniu, ale żadnemu z nas, ba! nawet żadnemu z naszych towarzyszy nie zdarzyło się zakosztować niewoli.,

Osuchowski rad nierad musiał się nastroić i opowiadać dzieje swojej wojny i niewoli. Nie byłby on tego dla nikogo innego uczylił", i podofinTo, jak całe gremium sanockiój szlachty i przyjaciół i rówieśników, nikt jeszcze tej spowiedzi na swoje szczęście od niego nie słyszał; ale podkomorzy przez wyznanie przyjaźni dla iego ojca tak go zniewolił dla siebie, że nie tylko opowiadania, ale nawet już ofiary żadnej nie było, którejby pan łowczyc dla przyjaciela swojego ojca był w stanie odmówić. Podkomorzy tem krótkim o panu Fryderyku wspomnieniem już sobie jego syna kupił na wieczne czasy.

Więc opowiadał pan łowczyc długo i szeroko wszystko, co tylko do tej wojny i niewoli należało, a kiedy mu fantazyja przyszła, to i co takiego, co całkiem tam nie należało, a że opowiadający nie był w sztuce kraisomówczój tak bardzo biegły i więcej lubiąc poetów niż oratorów, zamiast ciceroniańskie: bram iter per exempla, raczój horacyuszowskie: brams esse euro, obscurus fio, miał na pamięci; więc nietylko opowiadanie jego było długie, ale i trochę rozwlekłe i cokolwiek nudne. Bobowski, człek domysł- niejszy i bystrzejszego pojęcia, w krótkim już czasie poznał, że podkomorzego i kapelana zaczyna już trochę nudzić pana łowczyca relacya, jakoż z tój przyczyny począł się tam i sam kręcić na swoim krześle, a podczas gdy po każdym odchrząknięciu i nowego peryodu zaczęciu przez oratora, jego twarz się coraz potężniejszym oblowała rumieńcem, byłby zaraz konia z rzędem darował za to, gdyby był mógł tylko dwa słowa powiedzieć Osuchow<sup>T</sup>-skiemu tak, aby ich nikt nie słyszał. Ale podkomorzy długo i bardzo dtugo z najprzykładniejszą cierpliwością słuchał opowiadającego, po kilka razy nawet z początku za pozwoleniem przerywał mu mowę, aby się jeszcze raz o jakiś szczegół zapytać, i cierpliwość jego trwała dopóty, póki dzień jasny bielił wszystkie okna podkomorskiej sypialni; ale kiedy słońce zachodzące czerwonym płomieniem uderzyło w szyby nad przepaściami Hoczewki wiszące, i kiedy okno wychodzące w dziedziniec tak już poszarzało, jakby szyby w niem były żelazne, a pan łowczyc do- pióro po raz piórwszy na hajdamaków uderzył, — podkomorzy także się począł potrochę kręcić i oglądać. Bobowski to zauwa

żył i na twarzy jego jeszcze potężniejsze wystąpiły rumieńce... tymczasem słoneczne dromienie coraz bardziej czerwieniąc, doprowadziły Osuchowskiego do tego, że po raz wtóry na hajdamaków uderzył i po raz trzeci uderzył, a czy sam się spostrzegłszy, czy w opowiadaniu się rozogniwszy, rzeczywiście już się śpieszyć począł do końca. Ale to nic nie pomagało, podkomorzy już się tak jął niecierpliwić widocznie, że Bobowski, niepuszczający i oka z niego, już począł w duchu przeklinać ten dzień i godzinę, w której z łowczycem wybrał się na balogrodzką wizytę, a kiedy obliczył sobie w duchu, wiele to jeszcze razy Osuchowski, człek tak rzetelny i skrupulatny, musi na hajdamaków uderzyć, ażeby się z prawdą nie minął, wiele czasu będzie mu trzeba na to, ażeby okolicznie opowiedzieć swoje fatalne w niewolę wzięcie, włóczenie się z kupami hajdamackimi, przejście w ręce Tatarów krymskich, od tych do Turków i tak dalej, to już mu tylko raz się robiło zimno a raz gorąco, i tantalowe męki pokazały mu się tak jawnie, jak gdyby sam był Tantalem.

Ale nie byłby tak cierpiał w owiej chwili Bobowski, gdyby był wiedział, dlaczego się niecierpliwił pan podkomorzy. Jemu się zdawało, że przyjaciel pana Fryderyka nie może się dla czego innego tak niecierpliwić, jedno dlatego, że niesłychanie długie i nudne to łowczyce opowiadanie, a tymczasem całe inne temu była przyczyna. Pan podkomorzy rzeczywiście się srodze już niecierpliwił i może mu także robiło się raz gorąco a drugi raz zimno, ale on od pół godziny już ani słowa nie słyszał, co opowiadał pan łowczyc. Była to bowiem godzina, w której pan Karsznicki zwykle własną ręką karmił swe ptaki, a jakie to było delicum dla niego, można się ztąd przekonać, że od lat dwudziestu może ani jednego dnia takiego nie było, w którymby on o zachodzie słońca nie był w swojej ptaszarni. I było to dla niego największe ukontentowanie i nieraz przez cały dzień cieszył się na to, a podczas kiedy nigdy się nie wahał, gości swoich zabawę poruczywszy żonie, sam do ptaszarni wybiegać, raz nawet panu Potockiemu, będącemu w odwiedzinach u siebie, wymknął się milczkiem i uciekł, kiedy chwila karmienia nadeszła. Dzisiaj atoli, nie mogąc się wcale spodziewać, że przez zażądanie od Osuchowskiego powieści, tak niepraktykowaną psotę sobie wyrządzi, dopiero przy zachodzie słońca się spostrzegł, w jaką matnię sam siebie napędził. A tymczasem na to nie było rady. Uciec było mu niepodobna, bo siedział o dwa kroki od oratora, który jeszcze jak na nieszczęście wciąż do niego mowę obracał, przerwać ani podobna, a tu jak na nieszczęście kapelan się tak zaśluchał, że ani widział, że zmrok już; pani podkomorzyna nie wiedząc, czy goście mają intencją jej się prezentowania, nie zapraszała na wieczerzę, sługa żaden się niczego domyślić nie chciał i nie było ratunku. Więc i podkomorzemu, lubo już stary i wytrawiony, raz się robiło zimno a raz gorąco i krew go piekła po wszystkich żyłach, i równo z Bobow

skim tentalowe męki • pokazały mu się tak jawnie, jak gdyby sam był Tantalem.

A nietylko nimi obudwoma miotła taka niecierpliwość w tój chwili. Była bowiem jeszcze i trzecia osoba w tym domu, która cale nie wiedząc o swoich towarzyszów niedoli, temże samem cierpiała cierpieniem; a tą osobą była panna Barbara. Kiedy obadwa ci kawalerowie przyjechali do zamku, jakkolwiekbaż zawsze ich poznanie była ona ciekawą. Ciekawość znajdowała się w pannie Barbarze w wysokim stopniu, była ona nawet poniekąd jedną z jej główniejszych wad albo przymiotów, i byłaby ona się w niej odezwała nawet natenczas, gdyby był ktoś całkiem obcy i zupełnie ją nieobędhodzący zajechał do zamku; jakżeż dopióro musiała się ona odezwać, kiedy przyjechali ci, którzy prawie jedni byli dotychczas w całej sanockiej ziemi, którzy ją obchodzili cokolwiek? jakżeż, mówię, musiała się ta ciekawość w niej odezwać, kiedy przyjechali ci, którzy byli świadkami najheroicznego czynu w jej życiu, jej, dotychczas tylko o samych niezwyčajno- ściach i heroizmach marzącój? Więc ciekawia była Barbarka i z początku tylko o tem myślała, jak ją spotkają ci kawalerowie, co o niej, co o jej strzale, co o tym całym zajęczym wypadku powiedzą? A kiedy już wszystkie możliwe ewentualności przemyślała, przyszło jój na myśl to co ojciec powiedział, a to że może będą żadać satysfakcyi za zadaną obelgę? Była to niedorzeczność w sobie a żart tylko ze strony ojca, ale Barbarka nie zawsze się rozumiała na żartach i często je brała na seryo, więc i tą razą tak uczyniła — i im dłużej nie widać było ojca z gośćmi w zamkowych komnatach, tem pewniejszym poczał jej się wydawać jej domysł. I obróciła go także na wszystkie strony i przemyślała wszystkie możliwe zeń skutki. Ba! ale minęło pół godziny, i cała, i półtorój, a ich ciągle nie widać. Barbarka już parę razy przez ten czas biegała do matki i nie mogąc się od niej niczego dowiedzieć, bo się z nią nigdy dogadać nie mogła, nazad wracała, i parę razy biegała pod drzwi ojcowskich pokojów, ale jak na nieszczęście drzwi od pierwszego pokoju były zamknięte, a od drugiego otwarte, więc niewiedziana, nic pod łuchać nie mogła, i parę razy biegała do swojej sypialni i pytała się swojej Józef ki, dlaczego ci panowie tam siedzą tak długo, a gdy ta jej naturalnie nic powiedzieć nie mogła, wykpała ją za to porządnie, że nigdy nic nie wie i coraz głupszą się robi. Ale nareszcie minęło już dwie godziny i minęło półtrzej, już po podobnych coraz niepodobniej- sze, a nareszcie i wszystkie najdziwaczniejsze domysły przesunęły się przez jej głowę, już z jej ust pięknych parę niepięknych wyleciało złorzeczeń, już mitynka jedna była rozdarta, wstążeczka oderwana u pasa, a z pięknego pręcika tylko sam trzonek ciężko Wzdychał w jej ręku, a ojca z gośćmi nie było.

Tymczasem jeszcze pół godziny minęło... już trzonek pręcika dawno leżał pod kanapą, z mitynek już ani śladu nie było, z oczów

błyskały promienie, na policzkach krwawe posiadały rumieńce..., a ojca z gośćmi jeszcze nie było. Ale tu już był kres cierpliwości panny Barbary. Więc rzuciwszy jeszcze jakiś ostatni płatek o ziemię, który trzymała w ręku, rzekła: — Pognićwa się ojciec, to niech się pogniewa! — i podczas kiedy o pana Osuchowskiego kupcy przyczyniając po groszu pomaleńku się targowali z Tatarami krymskimi, wpadła ona do ojcowskiej sypialni i zawołała z progu:

— Ojczy! a ptaki?

— Ha! — zawołał na to z nieudaną radością i jakby młodzian dwudziestoletni zrywając się z krzesła podkomorzy — niech ci Pan Bóg zapłaci! — i przystąpiwszy do niej, pocałował ją w czoło.

Bracia ślubni się także nagle pozrywali, i zadziwieni tem zjawiskiem jakoż i słowem: ptaki, które im się wydało jak parol żołnierski, stanęli jak wryci, a tymczasem podkomorzy, obróciwszy się do córki i rzekłszy:

— Dziecko, proś jegomościów do matki, a ja zaraz służyć wam będę; — wymknął się chyłkiem na wschody.

I podkomorzy już był zbawiony i już szczęśliwy, ale ci, którzy pozostali, w nowym się znaleźli kłopotcie, a to w tem większym, ile że ksiądz kapelan, czy obrażony tem, że nie jego na swoim miejscu pozostawił pan zamku, czy także ptasią tęsknotą porwany, tuż za podkomorzym wyniósł się z izby. Stali tedy oba- dwaj kawalerowie, stała i panna, wszystko troje to po ziemi to po ścianach się oglądając, a żadne nie wiedząc co mówić. I minęła tak długa chwila w milczeniu. Ale przecie nakoniec przytomność kobieca przemogła kawalerską nieśmiałość, a panna się odezwała, cedząc przez zęby:

— Ja... podobno..

Ale w tym momencie i Bobowski przyszedł do przytomności i pomagając wzajemnemu kłopotowi i pomieszaniu, przerwał jej prawie, równie cedząc przez zęby:

— Tak... tak mi się zdaje.

Co Barbarce było podobnem, a co się Bobowskiemu zdawało, tego nikt nie potrafił odgadnąć, ale to pewna, że panu Osuchowskiemu nic zgoła nie było podobnem, ani się nic nie zdawało, bo on ani oczów nie mógł oderwać od ziemi. Jednakże Barbarka tymczasem całkiem już przyszła do przytomności i rzekła wyraźnie:

— Jakoś nam się nie wiedzie, a to pewnie dlatego, żeśmy nie spełnili rozkazu ojca; proszę tedy waszmość panów do matki, a może tam się czego dowiemy od siebie.

Po tych słowach duch wstąpił we wszystkich; jakoż za podkomorzanką naprzód idącą przeszli wszyscy do wielkiej sali, w której swoim zwyczajem przechodziła się pani podkomorzyna. Tutaj nowy kłopot się znowu okazał, bo pani domu nie wiedziała, kto są ci goście; goście zaś zapomnieli o tem, że pani tego nie wie — ale już chyba zamilczść o tó, bobyśmy całe nie wyszli z tego labiryntu kłopotów, lecz przytomnością pani podkomorzy-

nój ułatwiło się wszystko, i w krótkiej chwili siedziała już pani domu na kanapie, panna Barbara obok niej na krześle,\* a na dwóch krzesłach naprzeciw panowie kawalerowie, i toczyła się już pomiędzy nimi bardzo piękna i stateczna rozmowa.

Pani podkomorzyna była rodem Sanoczanka. Całą młodość swoją przeżyła ona w tój ziemi i pamiętała dobrze ojców dzisiejszych swych gości, więc nie brakło jój na wątku do ciekawój rozmowy. Przypomniała więc ona najpierw ich młodość, ich cnoty, z których słynęli w powiecie, ich zażyłość z Balami; przypomniała dalej ich matki, mile natrąciła o ich dla niój przyjaźni, a wypytując się o niektóre szczegóły późniejszego ich życia, nader przyjemną i zajmującą uczyniła gościom swoim tę chwilę. Ale dla Barbarki i ta chwila nie zdawała się bardzo przyjemną. Siedząc ona bowiem koło matki i nie mogąc się wmjeszać do takiego dyskursu, o którego przedmiocie nicby była nie umiała powiedzieć, milczała, twarz pociągając i warg przygryzając po trochę, a lubo Bobowski dosyć często okiem rzucał na nią i to jój nie uchodziło baczności, toż jednak nie naprawiało to jej humoru bynajmniój, a nie- ukontentowanie jaknajwyraźniój wybijało się na jój twarzy,

Bobowski, który tak siedział za stołem, że miał tuż koło siebie w rogu kanapy siedzącą Barbarkę, lubo niemało wdzięcznym był pani podkomorzynie, że z takim szacunkiem wspominając o jego matce, tyle mu miłych szczegółów z jej życia opowiedziała, jednak byłby o wiele więcej jeszcze czuł" dla niej wdzięczności, gdyby już była porzuciła tę jednostajną materyą, i albo sama zaczęła, albo jemu zostawiła sposobność zaczęcia o czemciś takióm, do czego mieszając się także, dałaby mu się bliżej cokolwiek poznać Barbarka. I wyraz powolnie wzrastającego nieukontentowania i na jego twarzy wybił się także; ale jako człowiek nieuparty i nie do czynów stworzony, nie ożywiał się i nie rozogniał pod tóim uczuciem, ale coraz smutniał i upadał na duszy Bobowski. Więc znowu na Barbarkę wypadła kolej ratowania się z tego kłopotu, jakoż uczyniła ona to niebawem, bo zaraz piórwsze odetchnienie matki porywając dla siebie, zapytała się wręcz Bobowskiego:

— Pan Urbański tu wielkie wydawać zwykł polowania?

— O zawsze, — odpowiedział przytomnie Bobowski, — i przynajmniej po kilka do roku, ale nie zawsze tak nieszczęśliwe, jak było to, z którego powracając, mieliśmy zaszczyt zdybać waszmoć pannę na drodze.

— Dlaczego to waszmoć pan nazywasz to polowaniem nie- szczęśliwem? — zapytała znowu podkomorzanka, — czy dlatego, że wam nie poszło po myśli, czy żeście mnie potóm zdybali na drodze?

— Żeśmy waszmoć pannę zdybali na drodze, — odpowiedział pan Józef z zapalem, — mieliśmy sobie wtenczas i mamy dzisiaj weale za szczęście niepospolite, a polowaniu ternu przypada w rze

czy ztąd nazwisko nieszczęśliwego, że na nim nic nie zabito. — Na to panna Barbara:

— Dziękuję waszmości za dopiero co dla mnie wypowiedziany komplement, a lubo może i ja się niebardzo frasuję owem ich Zdybaniem, jednak wyznać mi tu wypada otwarcie, że się niebardzo dobrze natenczas popisała.

— I owszem,—zawołał na to uradowany i każde słowo panny jaknajlepiej dla siebie tłumaczący Bobowski. — i owszem, nietylko bardzo dobrze, ale nawet tak osobliwie, że my, jakeśmy się natenczas zdziwili nad panny podkomorzanki przytomnością i umiejętnością strzelania, tak do dziś dnia nie możemy wyjść z podziwienia.

— Zapewne,—odpowiedziała na to Barbarka,—strzał to może był niezły i nieczęsto mi się takie trafiają, ale choćby mi się i zawsze takie trafiały, toż jeszcze za ten wypada mi przeprosić waszmościów, bo nie był on niczém więcej, jak niegrzecznością.— Na to Bobowski:

— Bardzo to wspaniale ze strony panny podkomorzanki, że za swoje zwycięstwo jeszcze zwyciężonych przepaszasz, nie potrafiłyś znać lepić i rycerz krwi najprzedniejszej; ale niemniej przeto my tego przeproszenia akceptować nie możemy, i owszem, podziękować pragniemy za tę niechęć nam daną naukę i z niej nadal korzystać, bo już też prawda, że nielitościwie niezgrabnymi zaczynamy się pokazywać z flintami.

— Tego nie zaprzeczam waszmości, — odpowiedziała na to Barbarka, — bo jużciż tak być musi, kiedy was w tem wyprzedzają ko bić ty, co im sami przyznajecie, mówiąc: Zuch jest, że w ką przed nią i najpierwsi junakowie naszego czasu.

Po tych słowach Barbarka, jak gdyby już dokonała naprzód obliczonego zamiaru, wstała z kanapy, niby ęhcąc się przejść po pokoju, ale po tychże słowach Bobowski struchlał na miejscu i serce mu bić gwałtownie zaczęło, bo w Barbarki ostatnich słowach poznał on swoje własne, któremi dziś właśnie tydzień zakończył swoją ze siwobrodym arendarzem przed balogrodzką karczmą rozmowę.

I podczas, kiedy Barbarka przechodząc się po pokoju po za Bobowskiego plecyma, często rzucała okiem na niego, w jego sercu i głowie poczęły się kłębić tak różne pomiędzy sobą symptomata i myśli, że nie mógąc w nich żadnego uczynić ładu, przez krótką chwilę nic nie myślał i nic nie czuł Bobowski.

Wszakże w niedługim czasie byłby on przecie zapanował nad tym serca swojego i głowy nieładem, i byłby zapewne odrazu zaczął wiele myśleć a czuć jeszcze więcej, ale w tym momencie wszedł do tój izby wraz z księdzem kapelanem pan podkomorzy i przerwał odrazu nietylko milczące walczenie ze sobą stolnikowicza, ale i pana Osuchowskiego z panią podkomorzyną rozmowę, mówiąc już ze drzwi:

— Przepraszam asañstwa dobrodziejstwa, zem was tak długo wynudził, ale bardzo dobrze się stało zem wyszedł, bo właśnie wygłodniały Piekarski, wyrwawszy się z swojej klatki, wpadł do gospody i już pięciu chłopów udusił, więc gdybym był nie przyszedł zawczasu, byłby probabiler wszystko wytlukł do nogi.

— Jużby też czas, — odezwała się na to Barbarka, — żeby ojciec temu Piekarskiemu tak zrobił, jak jego przodkowi uczyniono w Warszawie, bo to niepoczciwe ptaszysko.

— A nie, moje dziecko, — odpowiedział na to podkomorzy, — prędzój los ten napotka Rusinowską, bo to jeszcze gorsze subjek- tum. Piekarski ma swoje niezaprzczone zalety.

Podczas wymiany tych słów kilku, bracia ślubni siedzieli jak na niemieckim kazaniu i poglądając to na siebie nawzajem, to na mówiących, w coraz większe wpadali zadziwienie, i kto wió, do jakiego jeszcze nakoniec qui pro quo byłoby przyszło pomiędzy gośćmi a domowymi, gdyby nie przytomność Barbarki, która na Bobowskiego twarzy to podziwienie wyczytawszy, wytłumaczyła braciom ślubnym w krótkich wyrazach rzecz całą. Czem ucieszony niezmiernie podkomorzy, wpadł zaraz w najlepszy humor i to rozmową swoją, o opowiadaniem różnych krotchwilnych anegdot rozbudził szczerą wesołość w całej kompanii.

Wkrótce potem przy świecach jarzących, w ciężkie srebrne lichtarze oprawnych, wniesiono przekąski i napoje, a że podkomorzy nienawdził nieskromności w niczem a więc i w napoju, a że i ztąd wina u niego dawano mało, ale za to samo stare i najwy- borniejsze, które właśnie mają ten przymiot, że serdeczną a umiar- kowaną obudzają fantazją; więc grono to tak się rozweseliło, że nawet Bobowski, który co moment oczyma rzucając na pannę Barbarę, powinien był być smutny i zamyślony, tak się rozigrał i rozweselił, jak nigdy. Jedna tylko pani podkomozzyna, która z przyrodzenia niebardzo wesoła, zdawała się nawet po trochu gorszyć tem, że w dzień piątkowy taki nieprzystojny humor opanował gromadę, nie podzielała tój wesołości i z równie nieweso- łym łowczycem prawie nieprzerwaną a wcale stateczną prowadziła rozmowę.

I tak śród tej zabawy wiele minęło czasu i byłoby zapewne jeszcze więcej minęło, gdyby nie to, że nagle uderzyła godzina, a po niój zógar wielki brązowy, w jeszcze większej szafie maho- niówój zamknięty, zaczął cudnie pięknie wygrywać owę nutę, na którą pospolicie śpiówają „Kto się w optekę.” Była to już godzina dziesiąta i znak że czas na spoczynek. Goście tedy poczęli się ruszać i żegnać i wkrótce, pomimo najusilniejszych prób i nalegań gospodarza; iżby pozostali na nocleg, powiadali obadwa bracia ślubni i z zaprosinami, iżby jaknajczęściej nawiódzali ubogą chatę sługi swego w Balogrodzie, odjechali do domu. A podczas, kiedy podkomorzy, głaskając popod brogę Barbarkę i spokojnój nocy jój życząc, mówił wesoło:

— Podbono nie bardzo brzydkim się wydał waćpannie ten stolnikowicz sanocki.  
Bobowski jadąc stępa obok Osuchowskiego, co sto kroków się na zamek, choć go śród nocy dojrzcć nie było podobna, oglądał i ciężko a boleśnie wzdychając, po kilka razy powtarzał:  
— Dziwny dzień dzisiaj mieliśmy, panie bracie.



Po owych imieninach, przed kilkoma tygodniami u pana Błońskiego wyprawianych w Berezce, na których blisko dwuletniem niewidzeniu się pan stolnikowicz znowu pokazał się Julii, smutna ona i bardzo smutna powróciła do domu. Stan taki jej serca i duszy, któremi od kolebki prawie nigdy żadne wesołe nie zawładnęło uczucie, nie był wprawdzie dla niej nowością: wszakże ten smutek, który ona z sobą przywiozła z Berezki, był tak od jej dawnych smutków odmienny, że odtąd prawie całkiem nowy świat boleści się dla niej otworzył, inne tóż całkiem za sobą pociągał skutki. A przyczyną tego była raz nowość wypadku, a powtóre 'czas sam, który despotycznie nad wszechświatem panując, z takim zapasem niespodziewanych wynikłości odbywa swoją wędrówkę, że im ani najprzenikliwszy rozum, ani najdonośniejsze przeczucie nie sprostą. Trzecią nakoniec przyczyną, dla której ostatnie Bobowskiego z nią się obejście całkiem dotąd nieznanymi myślami i uczuciami nappełniło jej serce, była pewna zmiana, która ostatnie- mi czasy zaszła w niej samćj.

Kiedyśmy poraż pierwszy poznali Julią, myśli jój i uczucia rodziły się, rosły i szły takim torem, jaki wskazywała ich eteryczna natura, jej głowa do marzycielstwa i przykłady po romansowych napotykanie książkach i powieściach. Daleki od niój wtenczas był świat rzeczywisty, daleka wszelka myśl trzeźwa i powszednia, ale zawsze w tóim życiu ziemskióm niezbędna, dalekie wszelkie pragnienie tego, co ludzie zwykli nazywać pomyślnością i szczęściem tego żywota. Atoli już i wtenczas z coraz liczniój przybywającymi latami, z coraz bardziej oczyszczającym się wzro-

kiem i trzeźwiejącym rozumem, chociaż bardzo nieznacznie i niepostrzeżenie, zaczęły pomału blednąć promienie owego światła, które wiosenną ogrzwały fantazją, zaczęły więdnąć owe pierw- szój zieloności listeczki, zaczęły rzednąć owe mgły przedświtowe, które tęczowemi igrając barwami, nie dozwalały jej dokładnie rozróżniać barw po za niemi przesuujących się przedmiotów, a owa chatka wymarzona nad maleńką sadzawką, w której serce jój zapragnęło przeżyć czas jakiś z wymarzonym kochankiem, chociażby szczęście to swoją własną ruiną lub śmiercią zapłacić, była już pewnym stanowczym zwrotem myśli Julii do rzeczywistych przedmiotów.

Miłość dla Bobowskiego, poczęta pod w'pływem dawno już przyswojonych sobie a wcale nie ziemskich wyobrażeń, wprawdzie niewiele przyczyniła się do tego, ażeby ją na tór zdrowszego myślenia i rzeczywistego uczucia sprowadzić — ale już jego obietnice, niegdy przy oknie zamkowej komnaty otwarcie wypowiedziane, nasunęły jej wiele myśli takich, których dotąd nie znała. Niedotrzymanie zaś tych obietnic i zapomnienie o niej po powrocie z ukraińskiój wyprawy, do tego stopnia ją otrzeźwiło, że utraciwszy dopióro dobro to, które ulubionóm było jej serca pieści- dłem, poczęła je bliżej oglądać i nad nióm się zastanawiać. Więc po powrocie Bobowskiego dopiero dostrzegła Julia, że obrawszy pana Józefa za przedmiot swojego marzenia, obrała go zarazem i za przedmiot swójój miłości, a zastanawiając się dalej nad tóim, przyszła do tego przekonania, że snom o nim i miłości dla niego nicby nie przeszkodziło to, gdyby nakoniec z myślami swojeipi i sercem i samę siebie jemu na własność oddała. I owszem, zauważała to, że tak nawet byłoby lepiej i bezpieczniej dla jój marzeń i uczuć, i że tak samo zapewne musiał myśleć pan Józef, kiedy czynił jój obietnice. I poczęła przywiązywać wagę do tych obietnic i nakoniec cenić je sobie drogo, ale na nieszczęście aż wtenczas, kiedy już o nich należało zapomnióc. Wszakże przez nietrzeźwość rozumu i ztąd ustawiczne złudzenia nie wiedziała nic

O tem Julia, i pomimo to, że Bobowski, dawno już powróciwszy do siebie, ani razu jeszcze nie był w Zahoczewiu, marzyła ona coraz więcej o nim, coraz jawniej przywoływała przed pamięć swoją nieszczęsne te obietnice i coraz bujniejsze, coraz jaw' niejszej rzeczywistości a coraz mniejszego prawdopodobieństwa wytwarzała sobie nadzieje. I zapomniała ona całkiem o tem w swoim dziecinnym umyśle, że gdyby Bobowski był jeszcze pamiętał o nich

I ważył sobie te obietnice, to byłby już dawno - w Zahoczewiu i dawno do ich spełnienia przystąpił. I zdawało jej się, że do spełnienia tych nadziei niczego więcej nie potrzeba, jak tylko żeby ją pan Józef obaczył, że obaczywszy ją padnie jój do nóg, poda kwiaty i pierścionki, dzień wyznaczy, w którym do Zahoczewia przyjedzie i zabierze ją z sobą, aby z nią żyć i umierać.

Śród tego czasu zdarzyły się one imieniny w Berezce. Julia

jechała na nie, jak gdyby na swoje wesele. I widziała tam Bobowskiego, mówiła z nim kilka razy, — ale śród każdej rozmowy krew zastygała w jej żyłach. A kiedy powróciła do domu, taki ciężki smutek opanował jej serce i takie jakieś czarne pcczęły ją dręczyć przecucia, że za kilka dni wynędziała tak, jak gdyby z ciężkiej dopiero co powstała choroby. Było to jednak przesilenie się jój wszystkich uczuć i wszystkich nadziei. Z każdym dniem wprawdzie widziała ona coraz jaśniej, ile szczęścia stało dla niej otworem, gdyby jej wolno go było osiągnąć; z każdym dniem coraz więcej przypominała sobie swe uczucia dla pana Józefa,

o których sama nie wiedziała, i żal jój było, i tęsknota ją porywała, i boleść ją pruća; ale tóż z każdym dniem coraz czyściej- szcóm okiem poczęła pog^ądać na świat ten i ludzi; z każdym dniem coraz prawdziwiej pojmowała to życie i z każdym dniem większa obojętność i pewniejsza rezygnacya zajmowała jej umysł i serce. A lubo na jej twarzy coraz wybitniejsze dawnych cierpień osiadły ślady i zdawało się tak, jak gdyby każde z nich zamierając w duszy, na twarzy sobie wystawiało nagrobek, toż jednak serce jój chłodziło coraz widoczniej, rozsądek rozpoczynał swe panowanie, a kilka miesięcy potem już ją można było podsłuchać, jak sama nieraz powtarzała do siebie: — Rok jeszcze lub dwa, a potem czepec zarzucę na głowę, oddam się pracy codziennej, ot! i tak się przeżyje to życie. 1

Ale nie tak myślał pan Działanott. Ją^g^ojciec troskliwy, lepiej to życie i stan swojej fortuny znający i lepiej przyszłość przewidywać mogący, lepiej też pamiętał o Bobowskiego obietnicach danych jego córce, a przypadkowo podsłuchanych przez siebie, i daleko pilniej śledził wszystkich zmian, uczuć i myśli, jakie zachodziły w umyśle i sercu Julii. Więc też i on także miał pewne rachuby na one imieniny w Berezce, i on uważał także dobrze- zachowanie się Bobowskiego, i on także z zawiedzionemu nadziejami ztamtąd powrócił. Ale wróciwszy, nie wziął podobno postanowienia tego, ażeby całkiem o tórn zapomnieć, i owszem, zdaje się że musiał kędyś widzieć jeszcze jakieś nadzieje, bo odtąd coraz częściej i otwarciej rozmawiał z Julią o panu Bobowskim i podczas kiedy ją się z wielką troskliwością o stan jej duszy i serca wypytywał, czynił tak, jak gdyby mu jej miłość dawno i dokładnie wiadomą była. Julia dziwiła się takim rozmowom ojca, bo nigdy się jemu z onych nie zwierzała tajemnic i lubo nie czuła to, że w jój cierpieniach wielką ulgę by jej przyniosło, gdyby się mogła wygadać a nawet otwarcie wypłakać, jednak nie odkrywała swojego serca przed ojcem, bo go nie chciała przerażać takim strasznym widkiem. Więc tylko niby od niechcenia czasem coś o swych dawnych napomknęła uczuciach, czasem się ze swojemi żalami odkryła, ale zawsze przytem uniewinniając jaknajzupełniej pana Józefa, sama żadnej nie mając nadziei, starała się dosyć często w ojca wbijać to przekonanie, że ona już zgoła nic nad tą

stratą nie cierpi, że zapomniała zupełnie, że jej i tak dobrze. Pan Działtowski w głos ani obwinał, ni uniewinniał, o nadziejach ani tak, ani owak nie wspominał, jednakże często wzdychając i mówiąc: — wiele to biedne kobiety cierpieć muszą z przyczyny mężczyzn! — nie tał się z tem, że go ta rzecz jeszcze zawsze niepomąłu zajmuje.

Tymczasem, kiedy Julia tak chłódła w swoich dawnych uczuciach i co dzień pilniej i rozsądniej pracowała nad sobą, ażeby się z gruntu w całym wnętrzu odmienić, Bobowski zmieniał się także, ale całkiem na inną manierę.

Przyjechawszy on bowiem z Balogroda, wcale niewiele czasu potrzebował na to, ażeby poznać i przyznać się sobie, że go niepomąłu zajęła panna Barbara. Wprawdzie uczucie to, które ta na niwach halickich wychowana Diana w nim obudziła; nie było owóm ciepłóm tchnieniem miłości, które serce nasze roztkliwia, rozczula i do uszczęśliwienia siebie wraz z ukochanym przedmiotem zapala... nie! bo nie serce się na teraz w nim odezwało, jeno głowa, którą zaimponowała niezwykłą usposobień panny Barbary; duma i próżność się w nim odezwała, ażeby posiadać kobietę taką, jakiej drugiej niemasz we wszystkim sąsiedztwie, żądza może nawet jaka się w nim odezwała, którą obudziły piersi wypukłe, ręce pulchne, oczy czarne, ogniste panny podkomorzan-ki: ale pan Józef nie wiedział o tórn, ani pytał się o to. Głowa jego się napełniła, serce zawrzało, a co tam było w głowie, co w sercu, on się nie dowiadywał i dosyć mu było na tem, że przed głową i przed sercem była panna Barbara—panna Barbara, która mu się piękną wydała jak anioł, która jeździła na koniu jak huzar, strzelała z pistoletu do celu, w biegu i z konia ubijała zajęce i rozum taki miała, z jakim żadnej jeszcze na życiu nie widział kobiety! I powiedział sobie: ja ją kocham i ginę nią, a próżność mu poszepnęła: i cna podobno nie ma odrazy do ciebie. I powiedział sobie: ja pójdę w konkur o nią i chociażby mi świat cały stanął na drodze, muszę ją dostać za żonę. A kiedyby mi jej nie dali?... ej! dadzą, i czemu by dać nie mieli?

I w krótkim czasie po piórwszej wizycie Bobowski już kilka razy to z Osuchow<sup>T</sup>skim, to sam nareszcie był w Balogrodzie. Podkomorzy go zawsze grzecznie i serdecznie przyjmował, zawsze przy odjeździe na przyszłość zapraszał i wcale nie tał się z tem, że ma szczerą afekt dla niego i że dosyć sobie w nim upodobał. I jeżeli rad był panu Józefowi sam podkomorzy, to podkomorzyna jeszcze więcej rada mu była. Znała ona swoją córkę dokładnie i niezamdlonóm miłością macierzyńską okiem patrzyła na wszystkie jój wady i złośliwości, a lubo prawie w ustawicznej była z nią wojnie i rzadko kiedy z nią się mogła dogadać, toż jednak pomimo to kochała ją z całego serca, i dla tych wad jej właśnie jak najsmutniej myślała nad tem, jakiegoby dla niej potrzeba męża, ażeby być mogła szczęśliwą. Nad myślami o mężu dla swój córki

trawiła ona nieraz długie w samotności godziny, a od niejakiemu czasu do codziennych swoich modlitw dołączała i tę, aby ją Bóg w tej materii oświecić raczył i nie dał jój na taki wybór przyzwolić, w skutek którego albo on wybrany, albo jej córka szczęśliwą była. I bardzo to było godnie, bardzo po macierzyńsku ze strony podkomorzanej; ale nie rozumiem, czy mogła wysłuchaną być taka prośba, do której spełnienia albo bardzo trudne, albo wcale żadnych już nie było warunków?... i nie rozumiem, czyli nie lepiójby była ona uczyniła, gdyby przez większą staranność około wychowania i wykształcenia swej córki, dawniój przykładaną, nie była postawiła się w położenie, z obawy o jej przyszłość, uciekania się już li do modlitw?... Rodzice są sprawcami losu swych dzieci, jakie dla nich uczynią zasiewy, takie przygotowują im zbiory: i najczęściej tak bywa na tym świecie, że kto chwasty zbiera w wieku swój dojrzałości, dla tego chwasty były zasiane w dzieciństwie; jednakże czy onym usposobieniom Barbarki, które przy jój piórwszym poznaniu oczom naszym się objawiały, byli także winni rodzice, czy jedno z nich, czy oboje, czy tylko sama natura, nie umiemy osądzić; to wszakże pewna, że i my moglibyśmy się pomodlić o dobrą przyszłość dla podkomorzanki.

Pannie Barbarze także podobał się stolnikowicz i zajął ją niepomału. Było-li to zajęcie się jej piórwszym w jej życiu, czy drugim, czy trzecim, nie umiemy powiedziéć, bo nie wiemy,, a nawet gdybyśmy wiedzieli, to przez wzgląd na niewinność takiego zajęcia, które wedle naszej opinii innóm być nie mogło, statecznebyśmy zachowali milczenie; to jednak wspomniéć wcale się godzi, że zajęcie tój panny panem Bobowskim nie było takie, jakimi bywają pierwsze zajęcia się panien wieku podkomorzanki. . Dziw<sup>r</sup>na to nawet była sprawa jej umysłu i serca, a to tak dziwna, że ją bliżóć musimy określić.

Pannie Barbarze podobał się pan Bobowski i podobała jój się twarz jego piękna i o wiele piękniejsza i bielsza od twarzy wszystkiej innej powiatowej młodzieży, i podobały jój się oczy jego, czarne jak węgle, i podobał jej się wąs jego, równie czafny jak oczy i przymuskany misternie; gorszyło ją wprawdzie to cokolwiek, że pan Józef już zaczynał tyć trochę i mógł mieć pewną jeszcze lepszego utycia nadzieję, ale za to nic nie miała do zarzucenia jego budowie i jego w sarnę miarę trafionemu wzrostowi — i uchodziła dosyć w jój oczach cała jego figura. Dalóć podobał się pannie Barbarze umysł pana Józefa, podobał się jego rozum dość bystry i podobała się jego wymowa gładka i potoczysta; nie podobało się jój znów wprawdzie jego serce, które jój się wydało zbyt miękkim, papinkowatym, rozlazłym, i byłaby ona wołała, gdyby pan stolnikowicz był więcej heroicznym, nieustraszonym a choćby nawet cokolwiek gwałtownym; jednakże pomyślawszy, że może to i lepiój mieć z takim sercem do czynienia niż z innóm — więc i tu już nic mu nie zarzucała. Dalóć jeszcze podobał

jej się pan Józef z tego, że był dobrego rodu, że miał piękną fortunę, że jako słyszała, uchodził za pierwszego kawalera w powiecie, że miał nakoniec dobre zachowanie i estymę u ludzi; nie podobało jej się to znowu, że się tak niedorzeczną przyjaźnią związał z panem łowczycem, któren się jej nic a nic nie podobał, ale i o tórn namyśliwszy się i przekonawszy u siebie, że przyjaźń taka to nie rzecz wieczna i ustąpić musi przed ważniejszymi obowiązkami, i o tem w pobłażliwóm swem sercu nie chciała pamiętać Barbarka.

Upodobawszy sobie tak tedy w całym stolnikowiczu i prawie we wszystkich jego częścickach, poczęła myśleć nad nim i o nim podkomorzanka. I myślała tak o nim trochę w południe, trochę wieczorem, a trochę w nocy, a rankiem rozmawiała sobie o nim ze swoją Józefką. I kiedy Bobowskiego czas dłuższy nie było, tęskniła za nim, a kiedy wiedziała naprzód, że ma przyjechać, to wyglądała go z okna, a byłaby go wyglądała nawet aż z samój galeryi, gdyby nie to, że już zima była nadeszła i mróz bywał na dworze. I kiedy Bobowski nadjechał, witała go wesoło i rozmawiała z nim długo chętnie i wołała z nim rozmawiać, niż z ojcem lub matką. Jednak przy tych rozmowach czasem się nudziła, a nudziła się tem, że pan Józef śród rozmowy z nią, kiedy był

0 co zapytany przez matkę, pierwiej matce odpowiedział niż jej, I nudziło ją to, że pan Józef, wyczerpawszy się z czasem w conceptach, zawsze już jedne i te same powtarzał jej komplementa, i nudziło ją to, że jak doprowadził do tego, że o krok tylko od niej siadywał i jak stanął na komplementach, tak już ani rusz dalej. Panna Barbara nie lubiła tego, kiedy jej dzień dzisiejszy był podobien do wczorajszego, nie lubiła nawet, kiedy dwie godziny jej minęły jednakie, więc nieraz z całą dobrocią serca i w zupełnej poufałości długą z rodzicami rozmowę temi kończyła słowy:— Nudziarzysko to wielkie, ten mój stolnikowicz.

Mój stolnikowicz, powiadała przy rodzicach Barbara i mogłoby # to zadziwić kogo, ale dziwić nie będzie, kiedy się dowie, że pan stolnikowicz do zimy był już tak w domu podkomorstwa, jak i w całej okolicy, niby zdeklarowanym konkurentem panny Barbary. I stało to się całkiem naturalnym sposobem i wyniknęło z przyczyn nie mnić naturalnych. Pan Bobowski był kawalerem dobrego domu, siedzącym na fortunie dostatniej, młodym i przystojnym i nikt nigdy tego od niego nie słyszał, aby się miał ożenienia zarzekać; — panna Barbara była panną równie dobrego domu, równie młodą i przystojną i także do zakonu nie przeznaczoną; więc kiedy się w jej rodziców domu kilka razy pokazał pan Józef, kiedy jął coraz częściej tam bywać i po kompaniach nawet, które się dosyć często wydarzały w zapusty, przybliżania się do niej i częstego z nią tańcowania się nie wystrzegał, jakżeby to było być mogło, żeby ich naprzód już nie mieli pożenić sąsiedzi? I pożenili ich rzeczywiście i około końca zapust już tak było, że

głośno o tym nowo formującym się stadle rozmawiali sąsiedzi, a ta wieść o tyle się coraz głośniejszą stawała, ile że ten i ów winszujący zdaleka i z niedowierzaniem podkomorstwu tak statecznego konkurenta, nie odebrał od nich nigdy stanowczo zaprzestającej odpowiedzi.

Jednakże z tą opinią, panującą zarówno na balogrodzkim zamku jak w całej ziemi, z końcem zapust jeszcze w wielkiom nieporozumieniu był pan Bobowski. Kochał on się wprawdzie coraz lepiej w pannie Barbarze i coraz jawniej zdawało mu się to wi- dzić, że ona nie ma odrazy do niego, jednak jeszcze tak jakoś miał oczy zamglone czy swoją miłością, czy swojóm szczęściem i w ustawicznóm podziwieniu rozumu i całej istoty podkomorzanki, tak miał mało zaufania do siebie, że od pewności o dobróm powodzeniu tój swojój konkurencyi tak był jeszcze daleko od swoich pierwszych amatorów dla córki zahoczewskiego dziedzica. Oprócz tego, przez brak znajomości rzeczywistego świata i przez dziwne jakieś urojenie, które przy jego pierwszej na balogrodzkim zamku bytności usadowiło, się w jego głowie, tak sobie wysoko postawił dcm i ród podkomorstwa, że aż go mrowie przechodziło na to wspomnienie, a im więcej myślał o tem, tóm nietylko większa jego duszę opanowywała wątpliwość o pozwoleniu rodziców na to za- męście, ale nawet miał chwile, w których mu się rzecz ta całko- witem wydawała niepodobieństwem. Na dopełnienie przyczyn, dla których pan stolnikowicz, tem, jakiego dotychczas doznaw'ał, powodzeniem szczęśliwy, o dalszych w tej sprawie krokach z wielką ostrożnością myślał, a najszcześliwszy był wtedy, kiedy całkiem o nich nie myślał, potrzeba dodać i to, że dotychczas jeszcze z Osu- chowskim ani słowa o tóm nie mówił. Osuchowski, jak się tego ze zmian w jego umyśle i sercu, po powrocie z ukraińskiej wyprawy zaszłych, domyślać możemy, całkiem już innój był w tym momencie opinii niż pierwej, i lubo widział naocznie, że pan Józef brnie coraz głębiój w nową miłość i nowe zajęcie, i lubo nie- rad był temu i frasował się tem nie pomału, jednak milczał już teraz jak głaz i postanowił milczeć już ciągle i wszystko przemil- czóc; ale pan stolnikowicz wcale nie wiedział o tóm i ani się tego spodziewał. I owszem, domyślając się teraz po trochu, że cała owa tak fatalna ukraińska wyprawa nie była czem innóm, jeno wprost skutkiem podejrzeń jego brata względem jego kilku tajemnych bytności na zahoczewskim dworze, i przeczuwając z odkrycia tej nowój historii nową, jeżeli nie ukraińską wyprawę, to przynajmniej nieprzyjemną jaką burzę pomiędzy sobą a swoim bratem, ani wiedział, ani nawet myśleć poważał się o tóm, jakby do pana łowczyca z tą niebezpieczną, a jednak konieczną, przystąpić spowiedzią.

Tak więc blisko i to tak blisko swojego szczęścia będąc, że dostąpienie go zupełne tylko go słów kilka kosztować miało, pan Józef, przez przeszkody li tylko w samej głowie nagromadzone,

ani kroku nie mógł postąpić dalej i drżąc ustawicznie nietylko

0 przyszłość swoją, ale nawet o teraźniejszość, był podobny owemu Donkiszotowemu, który wśród ciemnej nocy nagle do rowu upadłszy, końcami palców zawiesił się na jego brzegu i tak w śmiertelnym strachu upadnięcia w otchłań bezdenną całą noc przepędziwszy, z brzaskiem dnia dopiero obaczył, że o pięćdziesiąt tylko pod jego nogami była szczerza ziemia, na którą zstąpić i w bezpieczeństwie pójść dalej mógł każdego momentu. O tej ziemi tuż będąc, - cóż pod jego nogami nic nie wiedział pan Józef i położenie swoje mając za jakiś niesłychanie powikłany labirynt, z którego tylko jakaś cudna nitka Ariadny wyprowadzić go może, albo zgoła za matnią, w której już mu i honor własny i afekt braterski i miłość podkomorzanki i spokojność duszy na wieki utracić przyjdzie, srodze się frasował pan Józef. I z każdym dniem więcej gmatwając się w swoich myślach i domysłach, z każdym dniem coraz mniej miał nadziei, coraz mniej humoru i wesołości i coraz mniej tuszy na sobie, że gdyby tak były te jego zgryzoty potrwały jeszcze pół roku, to byłaby panna Barbara już nic nie miała do zarzucenia jego powierzchownej figurze. Ale tego nie uważała panna Barbara, i widząc tylko ślady smutku jego na twarzy, nie-pomału się temu dziwiła, a przypatrując się jemu, nieraz uśmiechała się do siebie i myślała w skrytości: - I czego się tóż tak martwi ten człowiek? jak gdyby to miłość była jakimś cierpieniem.

Do takiego smutnego położenia pana Józefa przyczyniała się

1 to nie pomału, że się nie miał nieborak przed kim spuścić ze swoich tajemnic, że się nie miał kogo poradzić, ani się kogo wypytać, jak on sobie poczynił i jak po zwyczaju poczynają sobie ludzie w takich terminach? A tu na nieszczęście i Grott nawet, lubo ten nie zdawał się Bobowskiemu człkiem do spraw takich zdatnym, jak pojechał o świętym Michale na mazury, tak i wieść

0 nim zginęła. I był bardzo biednym pan Józef i już wciąż smutnym na teraz i osowiałym, jak on ptak polny na słotę, i rato- wała go w onych smutkach jego, które końca sobie znaleźć nie mogąc, jeszcze wciąż się mnożyły, tylko cierpliwość i spokój duszy, cierpliwość, którą w wysokim stopniu miał od natury, i spokój, którego mu Bóg nie odebrał w tej chwili.

I tak te rzeczy, nie ruszając się z miejsca, przetrwały jeszcze tę resztę zapust, a nawet i kilka tygodni wielkiego postu. Nie można jednak powiedzieć, ażeby pan Józef, lubo nie umiał nic stanowczo uczynić, był całkiem bezzczynnym. I owszem, myślał on wiele i bardzo wiele nad swoją sprawą i w dzień i w nocy,

1 wieczorem i rankiem, zatosze nią był zajęty, ale jako to człowiek, kiedy w labirynt fałszywego rozumowania wejdzie, gorzej jeszcze tam błądzi, niż się błądzi w zimie na stepie wśród zawieruchy nocnej, tak i on co moment nowe kowając plany, zamiast coby się był miał przez to do swojego celu przybliżyć, jeszcze



się coraz bardziej od niego oddalał. I wartoby było te dziwaczne i najdziwaczniejsze pomysły pana stolnikowicza i w niniejszym opowiadaniu powtórzyć ..... możeby ich znajomość komu się na co przydała..... niechając atoli za jego przykładem także przez to się od środka rzeczy oddalać, zamilczymy o nich zupełnie; tego wszakże przytem wszystkim nie możemy pominąć, że o środopociu jeszcze jeden się panu Józefowi wydarzył wypadek, który zesumowany z wnioskami, z całego położenia rzeczy wyciągnieni, jeszcze go więcej w jego słabych nadziejach zachwiał i prawie powalił.

A sprawczynią tego wypadku była sama panna Barbara. I ona bowiem, lubo rzeczy widziała jaśniej i realniej je "brała od swojego kochanka, niemniej przeto w sądzie i opinii o niektórych z nich się myliła jak on; tego jej jednak zaprzeczyć nie można, iż która rzecz jej się wydała niejasną, to do jój wyjaśnienia sobie póty nie szczędziła myślenia, a nawet prób i- doświadczeń, choćby też czasem intryg i podejścia, póki swego nie dokazała. Duch bowiem w tej panience był przedsiębiorczy i czynny i nie lada czóm się zrazić dający. Owóż przy takich usposobieniu, jako dawno już jej to było nieodgadnionóm, dlaczego pan Józef, rzecz przyprowadziwszy do tego stopnia, że już nie mogło być tajno nikomu, że się w niej kocha i radby ją pojąć za żonę, na tóm stanął i da- lój nie idzie, tak z czasem, w którym supozycya ta o nim coraz więcej się potwierdziła, a rzecz przeto zawsze jeszcze ani na krok dalej się nie posuwała, ona ciekawość w niej wzmagała się coraz bardziej, a znudzenie się tą jednostajnością także coraz silniej wzra- r stało. I kiedy ta ciekawość wraz z unudzeniem doszła nakoniec do tego stopnia, że już aż! wrodzona w niej cierpliwość głośno się odzywać poczęła, nie mogła już dalszej panna Barbara dla urojonój jakiejś przyzwoitości przewycięzać siebie do tyła, ażeby podczas kiedy w jej sercu wrzące się przewracały bałwany, twarz zawsze równem jaśniała milczeniem. I kiedy takie jej było usposobienie, trafiło się już nieraz natenczas, że czy to przy rodzicach, czy w samotności, pan Józef taką rzecz od niej usłyszał na którą nie tylko że nigdy nie był przygotowany, ale która go, i tak zawsze wielki respekt mającego dla słów panny Barbary, tak bałamuciła, że straciwszy nieraz całą noc nad jej odgadnieniem, rano wstawał u siebie jeszcze więcej zbalamucony, niżeli był wtenczas, kiedy pod piórwsem takiej zagadki wrażeniem wyjeżdżał z balogrodz- kiego zamku.

Dnia tedy jednego, kiedy pan stolnikowicz ze zwyczajną był w Balogrodzie wizytą, i właśnie się tak wydarzyło, że go sam na sam z jego oblubienicą pozostawiono w środkowój komnacie, kawaler ten, bojąc się prawie wszystkich chwil takich, bo w nich zwyczajnie porzucała mu panna Barbara one trudne do odgadnięcia a tak frasowne zagadki, zamiast użyć tój chwili na zwierzenie się z jakim sekretem, których tyle zawsze mieć zwykli dla siebie

kochający się młodzi, patrzył tylko przed siebie i milczał. Zniecierpliwiona tem po swojemu panna Barbara, nie ponuro przed siebie, ale z jawną w twarzy ironią, a może nawet ze złością patrzyła na pana Józefa; jednakże tą razą postanowiła tylko milczyć i tak wieczność przemilczć z samój niecierpliwości. Ale postanowienia podkomorzanki nie zawsze się spełniały zupełnie, a przy- najmniej nie zawsze w ten sposób, w jaki były powzięte; więc i teraz, miasto milczyć i milczeniem do przeznaczonej dobiegnąć mety, niebawem już zapytała ona pana Józefa:

f — Jak długo trwała ta ukraińska wyprawa, na którą waszmość chodziłeś?

— Blisko półtora roku, — odpowiedział z westchnieniem Bobowski.

— A jakże długo się waszmość na nią wybierałeś? — zapytała znowu Barbarka. — Na to Bobowski, namyślawszy się chwilę:

— Ot! żeby prawdę powiedzieć, całe wybieranie się na nią nie trwało u mnie ani jednej godziny.

— Wraz z namysłem i przygotowaniem?

— Ze wszystkióm.

— No proszę, proszę! — rzekła z ironią podkomorzanka, — któżby się tego po waszmości spodziewał.

— Trzeba bowiem wiedzieć imć pannie, — rzekł na to pan Józef, nie umiejąc wcale korzystać z tego zwrotu rozmowy, — że to całe nie moja myśl była, ta ukraińska wyprawa. Ani się to w mojej głowie wylęгло, ani się znalazła chęć do tego w mém sercu, a jako niedorzeczność tej całej imprezy widna mi jest dzisiaj, tak samo widzianą była mi natenczas.

— Tak?... — rzekła panna Barbara zawsze z ironią, która jednak nie widna była oczom pana Józefa, — tak? to nie serce waszmości pociągnęło na onę piękną i prawdziwie rycerską praktykę? i któż to waszmości do tego namówił?

—: Mój brat to kochany, — odpowiedział w szczórości ducha pan Józef, — tak się do onego rycerstwa nagle zapaliwszy, jak gdyby już pod nim gorzało, prawdę mówiąc, nie namówił mnie do tego, ale mnie gwałtem pociągnął.

— I waszmość zaraz poszedłeś?

— Ha! poszedłem, — odpowiedział dobrodusznie pan Józef, — cóż było robić? poszedłem.

— Hm! — rzekła Barbarka, — powiódźże mi waszmość, gdzieś się taki wychował?

— Tutaj, tu na ziemi sanockiej, — rzekł z niedowierzaniem w szczórość tego pytania Bobowski.

— Widać to po waszmości; — odpowiedziała na to Barbarka i ani patrząc na Bobowskiego, odeszła.

Gdyby był piorun żywy uderzył tuż u nóg pana Józefa, albo gdyby był zamek balogrodzki nagle strzeszczał i przez połowę się w gruzy rozsypał, tak, żeby on, w zamkniętój siedzący komnacie,

nagle się ujrzał na ostatnim belku więzienia w ężystem powietrzu stojący, nie byłoby go tak mocno przeraziło, jak go przeraziły ostatnie słowa panny podkomorzanki. Uczucia, które go wtenczas opanowały, nie dadzą się tak łatwo opisać, bo ich było tak wiele a taka różność była pomiędzy niemi, że z nich jasnej zdać sobie sprawy nawet sam nie umiał Bobowski, jakoż zerwawszy się on ze swego krzesła, stał zamyślony pod oknem, a wpatrzywszy się martwemi oczyma w martwą pod swoje stopy rozścieloną makatę, sam nie wiedział co czynić, gniówając się na siebie, czy płakać, czy śmiać się, czy wsiąść na koń i nazawsze odjechać z tego fatalnego zamczyska. I byłby może tak stał do północy albo i świtania, nic postanowić nie mogąc, gdyby nie to, że niebawem wszedł podkomorzy z kapelanem i w ciekawą o jurysteryi go uwikłał rozmowę. Gorzój to było dla pana Józefa, bo one wszystkie nieprzyjemne uczucia jakby gład ciężki upadły na dno jego miękkiego serca i tam stwardły jak kamień wśród tój mądrej rozmowy: ale trudnoż było mu milcząc przy podkomorzym, albo takie pożegnanie panny Barbary brać ze sobą do domu. Perorował tedy nieborak o Voluminach legum i Jconstytucyach jak mógł w onój chwili, a lubo i tak co moment nowy aplauz odbierał od swoich słuchaczy, toż jednak' oddałby on był natenczas i sławę samego Likurga albo Salomona, za kilka słów tylko, a nawet za jeden uśmiech panny Barbary. Ale panna Barbara nie przychodziła — i nie przyszła już tego wieczora. I pan Józef odjechał z całym ciężarem onych smutnych uczuć do domu, i ani na balogrodzkim zamku, ani nawet na drodze nie pozostawił z nich ani jednego.

A przyjechawszy na dwór żernicki, zamknął się w nim, jakby w celi klasztornej. Przez dni kilka nawet ani do sieni nie wyjrzał i wydobywając po jednej wszystkie swoje zgryzoty i wszystkie frasunki, warzył się z niemi w swych myślach, jakby w ukro- pie. I różnie mu się majaczyło po głowie i sercu, bo miotała się już dusza jego w nieznaną dotąd niecierpliwości i poczęła już różne nowe do siebie przypuszczać uczucia, jak naprzykład dumę osobistą i rezygnacyą; jednakże pomimo dni kilku krwawój pracy i potykania się z sobą, do niczego nie doprowadził i niczego nie postanowił pan Józef, a całym owocem tych pracowitych dni kilku były tylko znaki niebieskie pod jego oczyma, które pozostawiła bezsenność, bladość na twarzy, którą pozostawiła zgryzota i jakieś niedogasłe płomienie w oczach, które pozostawiła chęćka ratowania się z toni i niecierpliwość.

Przez te dni kilka zamknięcia się pana Bobowskiego w Żer- nicy, wielkie burze i zawieruchy były na dworze. Zima, wysilając się ostatecznie, do tego stopnia pozasypywała śniegami drogę, że ani myśleć komu było natenczas o ruszeniu się z domu; i bardzo to na rękę było panu Józefowi, bo nietylko że mu nikt nie przeszkodził w koniecznej dla niego natenczas samotności, ale nawet panu łowczycowi nie potrzebował tłumaczyć się z tego, dlaczego

go przez kilka dni nie widział. I minęły już wreszcie burze i po- ujeżdżano już drogi, ale pan Józef jeszcze jakoś nic się nie wyruszał i lubo się nakoniec codziennie już wybierał do Zerniczki, przecie doczekał się tego, że nie on tam, ale pan Stanisław do niego przyjechał.

Przyjechawszy, aż się przeląkł pan łowczyc, kiedy tyle bladości i smutku w twarzy swojego brata obaczył. Jednakże nic nie mówił, bo nie wiedząc z pewnością co temu być może za przyczyna, a nawet czyli to są rzeczywiście smutki i zgryzoty, nie chciał się z lada czóm przed nim wyrwać. Ale go serce zabolalo szczerze i litość go wzięła serdeczna, więc postanowił bliżej przypatrzeć się panu bratu i nie odjechać pierwej, nimby mu, gdyby tego potrzeba była, nie przyniósł ulgi lub pomocy.

Po przywitaniu tedy i wypytaniu o rzeczy codzienne i dnie ostatnie, usiadł pan łowczyc w poręczowym krześle i lulkę ulubioną zatliwszy, przypatrywał się, milcząc, dziedzicowi Żernicy. Pan Józef chodził po izbie od kąta do kąta; chciał on wprowadzić coś mówić, aby swój smutek utaić i zaczynał już to i owo, ale kiedy mu się słowa w żaden sens wiązać nie chciały, dał pokój temu i chodząc, milczał.

To uważając i dobrą chwilę wyczekawszy pan łowczyc, nie mógł już dłużej wytrzymać i rzekł nareszcie:

— Panie bracie! coś nie w swoim sosie dziś jesteś, czy cię co nie dolega?

— Ej. nic, — odpowiedział Bobowski, — ot tak jakoś mi nie wesoło.

I znów chwilę trwało milczenie, po którym zasie pan łowczyc:

— Widzi mi się, że nie musi to być bez przyczyny i że nie od dzisiaj musi być ta wesołość, bo dawniejsze jój ślady na twojej twarzy.

— Znać co na mojej twarzy? — zapytał pan Józef i pojrzał w zwierciadło, dodał prędko: —

Zapewne, przybladłem trochę, ale to taki sań nie wiem z czego.

— To może prędzej jabym mógł wiedzieć, — rzekł tajemniczo pan łowczyc.

— A cóżbyś ty mógł wiedzieć? — spytał pan Józef.

— No, wszystko, nie wszystko, — mówił pomału Stanisław, — ale przecie coś mógłbym wiedzieć. Coś obaczą oczy moje, chociaż wzrok w nich przy tępy, czegoś domyśli się rozum, chociaż także' nieosobliwszy, a coś nakoniec podsłuchają i uszy, bo przecie tak nie milczą po sąsiedztwach, jako. ty radbyś milczeć przedemną.

Na te słowa stolnikowicz stanął jak wryty i z wielką ciekawością spojrzął na swego brata, który spokojnie lulkę palił i patrząc w ziemię, minę czynił ciekawszą nawet niżeli sam gospodarz, który nareszcie zapytał:

— O mnie co po sąsiedztwach? a cóż o mnie tam mówić mogą?

• — Ludzie już nic, bo się już wygadali, — odpowiedział po swojemu pan łowczyc, — ale zaiste teraz wróble śpiówają na dachach. I to mnie jest bardzo przykro, że już ludzie się wygadali, już i wróble się wyśpiówują nareszcie, a ja zawsze jeszcze nic nie wiem.

— Panie bracie,—rzekł na to- teraz otwarcie Bobowski,—trudno mi się z tómić taić przed tobą, że i pierwej by było. a może i teraz jest jeszcze się z czóm zwierzyć przed tobą, i Bóg mi jest świadkiem, ile razy myślałem o tem i jak gorąco pragnąłem tego, żeby choć wygadać z onych ciężkich frasunków, które mnie porą tak boleśnie, że mnie dalej i na śmierć zaporą; ale zważ sam, czy ja to mogłem uczynić, kiedy to wszystko winie się około takiej materyi, którój ty jesteś głównym nieprzyjacielem. — Na to pan łowczyc:

— Hm! — rzecze zwolna, — nióma co mówić, że się jest statecznym antagonistą tego, co jest głupie w sobie i niedorzeczne, jakoż pewna, że wiele i bardzo wiele potrzebaby na to, aby mnie ku temu zniewolić, żebym młodemu pochwalił ożenienia się desi- derium, ale znowu może "nie tak bardzo wiele, żeby się tego przy- zbierać nie mogło dosyć, zwłaszcza też u takiego, który, jako widzę, koniecznie już na to na ważył, aby go baba za łeb wzięła i zrobiła z niego indywiduum bardzo pożyteczne, bo propagatora rodzaju ludzkiego, ale tóż i nic więćój. Volenti non fit injura, ale injuria fit światu i przyjaciołom, kiedy są z mężów, mogących być chlubą i splendorem.

— Owo widzisz zaraz-r-przerwał wtem miejscu Bobowski,— potwierdzenie tego, com dopiero powiedział. I na co ja się mam zwierzać przed tobą?

— No, no, — rzekł z uśmiechem pan łowczyc, — nic to nie wadzi przypomnióć to i owo panu Józefowi, co powinien mieć głęboko wyryte w swóm sercu-

— Nie wadzi, ale się na nic nie przyda. To co mi powiesz W tej materyi, ja już oddawna umiem prawie na pamięć, i gdyby to było podobna, żeby mnie twoje argumenta mogły przeciągnąć na twoję stronę, jużbym był ci dawno zaproponował, ażebyśmy oprócz ślubu uczynionego na wieczną przyjaźń, uczynili jeszcze ślub na wieczne bezżeństwo.

— No, no, nie gniewajże się, proszę ciebie, — rzekł od serca pan łowczyc, —4 wiesz, że co kto lubi, temby się rad pieścić co chwila, ale nie idzie zatem, ażeby się nie miało i co drugiego polubić, a osobliwie tóż co takiego, co godne kochania. Szczęście twoje, kochany panie Józefie, i ukontentowanie, bądź pewnym że mnie tak cieszyć będzie, jak moje własne a może i lepiej jeszcze, bez wielkiego nawet skrupułu w lem, jaka to rzecz będzie, która ciebie ukontentuje, byleby była uczciwa; a teraz nawet, jeżeli mam

prawdę powiedzieć, w dwójnasóbby mnie cieszyło każde twoje ukontentowanie, bo jako widzę, już się tak sfasował, że wyglądasz jak śmierć.

— Otóż teraz, to mądrze powiadasz! — zawołał uradowany Bobowski, — niechże cię za to uściskam i pocałuję. — A obcało- wawszy go jak należy i troszeczkę się rozplakawszy przy tym wylewie serca, dodał, chustką twarz ocierając i oczy:

— Za wszem ja sobie tak myślał, że się to inaczej nie skończy, jeno że połowę tych smutków moich koniecznie na siebie wziąć musi Stasio mój kochany.

— A gdyby nawet i wszystkie, — odpowiedział na to z serdecznym już płaczem olbrzymi Stanisław, — ładuj na niego co możesz, barki u niego szerokie, to dużo poniesie, a im więcej poniesie, tem, jak ciebie kocham Józienku... tóć będzie szczęśliwszy.

— Bodaj ciebie Pan Bóg nigdy za to nie wypuścił z swojej opieki, — mówił dalej na dobre już płacząc Bobowski, — teraz do- pióro widzę, co to jest przyjaciel.

----- A jam to widział, — odpowiedział przerywanym od łez głosem pan łowczyc, — kiedy w bisurmańskiej stękając niewoli, ciebiem nagle obaczył, Józienku.

I tak płacząc a przypominając sobie wzajemnie dla siebie poniesione ofiary i poświęcenia, za chwil kilka już przywrócili pomiędzy sobą oną dawną serdeczność i otwartość braterską, która zawsze trwała pomiędzy nimi aż do tego momentu, w którym się gdzieś nie rozkochał Bobowski.

W pół godziny tóż po tem już w najlepszym humorze i sercem najlżejszem opowiadał pan Józef swojemu bratu cały proceder swojej terażniejszej miłości, przyczem nietylko nie zapomniał

0 najdrobniejszych w tej całej sprawie zachodzących wypadkach

1 scenach, ale nawet starał się swoją miłość w takich odmalować kolorach, które może nawet nie były jój rzeczywistym przedmiotem, lecz niemniej przeto miały to przeznaczenie, ażeby miękkie a. przeciw małżeństwu oburzające się serce pana łowczyca rozczulić i dla siebie pozyskać. Osuchowski słuchał tego opowiadania z zajęciem, czasami je przerywał, ażeby się o niektóre szczegóły bliżej rozpytać, lecz częściej jeszcze wzdychał tylko i milczał, tak, jak gdyby i on kiedy w podobnem był położeniu i przypominając sobie dzisiaj swoje dawniejsze uczucia, Bobowskiego cierpienia i frasunki pojmował jasno i czuwał w dwójnasób. Kiedy taś skończył pan Józef, rzekł on mu na to:

— Panie bracie! widzi mi się jakaś wielka tu być wikłanina. Bo niedosyć na tem, że znać z trudnaby na tę kompulacją mieli przyzwolić starzy, ale nawet i o sentymencie panny dla siebie nie masz żadnej pewności. A pannisko to jakieś przemądre i sprytne, w gębie u niej jak u drugiego oratora na sejmie, a oczy jakieś czarne i przenikliwe, że bodaj czy nie diabeł sam mieszka w tem subjeckum. Ja tam zresztą o tem sądzić nie chcę, bo to

nie moje rzemiosło, ale to wiem pewno, że kiedy Bóg da, to z przyczyny dobrej i uczciwej kobioty człek się nacierpi nieraz powyżój uszu, a cóż dopiero potrafi taka, która jeździ na koniu jak huzar i strzela lepiej jak łucznik z profesyi. Panie bracie, ja- bym się bał takiej dziówki.

— A ja się nie boję, — odpowiedział na to Bobowski, — bo wiem dobrze, że to jeno zdaleka tak się wszystko wydaje, a zbliż- ka każda z nich jest i być musi kobiotą. Stroi miny i wydwarza sobie dopóty, dopóki jest panią, wiś o tem dobrze, że czy dla niej, czy dla jej rodziców, czy przez afekt, czyli przez delikatność, każdy skakać musi przed nią jak jemu zagra; ale nied<sup>^</sup>Jf weźmie obowiązki na siebie i dostanie swojego pana, któremu posłuszeństwo przed Panem Bogiem przysięże, to wraz będzie i strój inny, i mina. — Na to pan łowczyc:

— Nie rozumiem ja tego tak doskonale, ażebym zaraz nieomylnie mógł wyrokować, a lubo już widziałem w mojem życiu i takie, które przed ślubem były potulne jak trusie, a w rok potem lub we dwa w kąby iść mogły przed niemi lwice i hyeny, toż jednak niekoniecznie obstać przy swoim i przyznają, że w tych rzeczach i tak być może, i owak. To tylko jedno sobie muszę wyprosić, com już przedtem powiadał, a to jest, że ani się nigdy nikt spodziować nie może, jako go nieszczęście spotyka z przyczyny kobioty; mam ja tego doświadczenia na sobie i od tego czasu, jak mnie to napotkało, dziesiątemu odradzać będę, aby. się nie przybliżał nawet do tych stworzeń, to tem to owem nęcących, bo czasem za jedno spojrzenie płaci się takim frasunkiem, na który wieleby potrzeba gdzieindziej.<sup>1</sup>

— Mój Stasiu — rzekł na to pan stolnikowicz, — jużes mi kilka razy wspomniał o tem, żeś niemało przecierpiał z przyczyny kobiet, a jeszcze ani razu nie przyszło do tego, żebyś mi to opowiedział. Dziwiło mnie to już pierwój, dziwi teraz tem bardziej, bo niewidząc ciebie prawie nigdy nawet rozmawiającego z kobietami, nie rozumiem, jakeś mógł przyjść do jakiego z ich przyczyny nieszczęścia.

— Otóż to jest! — rzekł na to pan łowczyc, — jednakże to muszę powiedzieć, że niezawsze tak u mnie bywało, jako jest teraz. I jam, kiedym był młodszy, serce miał tkliwsze na takie rzeczy, i jam chwalił piękność w kobietach, a łubom za. niemi karku zaraz nie kręcił i, Panu Bogu niech będzie chwała, nigdym się żadnego bałamuctwa nie dopuścił, toż jednak wiele serca miałem dla tego kometowego rodzaju. Przyznać się nawet muszę, że widząc tędy owędy, jako to niezaradne stworzenia za mąż wyszedłszy, nieraz są po barbarzyńsku traktowane od grubych swych mężów, jako muszą znosić ich sprośności, pijaństwa, hałaburdy i Pan Bóg nie wió co jeszcze i naw<sup>T</sup>et słowa im za to powiedzieć nie wolno, bo zaraz krzyk za to, przekleństwa, a na czas i co gor- szego jeszcze; widząc to, mówię, nieraz mnie srodze serce nad niemi

bolalo, a na onych męzów taka mnie złość porwała, że byłbym im z wielką satysfakcją dawał po sto batogów. Otóż do czego mnie doprowadziła ona litość moja. Onego czasu byłem ja na dworze jw. hetmana. Zrazu byłem używany do posług zwyczajnych, albo raczej do żadnych, i mieściłem się między innymi dworzany. Ale kiedy wkrótce pan hetman obaczył, że nie lada kto mi dorówna na rękę, nie lada kto przeniesie na koniu i że wielki rygor jest około mnie i wszystkich rzeczy moich, dał mnie do sw'owej lejbgardy na oficera. Więc lejbgardy tej wszystkićj, konnej i suto po huzarsku ubranej, było sto szabel i dowodził nią jmc pan lBmlchen, ale że już nieborak był człek leniwy i często na zdrowie zapadał, więc mnie pan hetman zaraz na samym wstępie powiedział: Strzeż się, mospanie Gozdawito, a pilnuj się w służbie, bo kapitaństwo jeno na włosku już wisi nad tobą." A chociaż to kapitaństwo było w służbie pańskiej a nie koronnej, jednak to zawsze rzecz piękna i widok z niej pośledni. Pilnowałem się tedy jak mogłem i pan hetman był kontent ze mnie, i kiedym przed nim kompanią moję szykował, powiedział nieraz do swoich gości, co mnie potem drudzy komunikowali dworzanie: „Bodajto mieć Gozdawitów na służbie, rodzą się już w szyszaku i przy szabli." I snać już gdzieś niedaleko było to kapitaństwo, bo nietylko że mnie już ci owi ten tytuł dawali, ale nawet i pan Chilchen już tak począł ze sił opadać, że go na konia aż wysadzać musiano. Onego też czasu zwołał król sejm do Warszawy. Trzeba było i panu hetmanowi tam jechać, a jechało się z wielkim dworem i służbą taką, że w Białymstoku jedno gołąbkowaci staruszkowie pozostawali. Węc i pan Chilchen pozostał, a tymczasowo mnie pan ljetmajo^ poruczył komendę. Przyjechawszy do Warszawy, stanął pan hetman w swoim pałacu na Podwalu; służba co przedniej sza około niego, my zaś to w oficynach, to w kamienicach obok pałacu stojących, a umyślnie na to ponajmowa- 'nych.

Owóz zrazu póki sejm trwał, było codzień co robić, bo trzeba było całą lejbgóCfdę prowadzić przed karetą hetmańską, to na sejm, to na zamek królewski, to do kościołów. Ale kiedy sejm niebawem po staremu zerwano, jako to wszystkie rwą po jednemu, to i służba się moja skończyła i nie było co robić. Wtenczas siedząc nieraz z nudów w oknie mojej kwatery i patrząc się na ulicę, zauważałem, że w kamienicy naprzeciwko, w oknie wprost przeciw memu, często siadywała jakaś kobióta. Kobióta ta była młoda i bardzo piękna, ale taka jakaś smutna i zafrasowana, że pomimo to iż zawsze prawie trzymała jakąś robotę w rękę, nigdy jej nie robiła i myślałem sobie: pewnie to już jakieś niepoczciwe męzysko pastwi się nad tem niewinnem stworzeniem. W kilka dni potem, widząc że ten płacz jój trwa ustawicznie i że to już taki musi być chleb jej codzienny, zawołałem ja mego Suchotkę, co owo w naszych oczach zginął na hajdamackiej, a który był



chłopiec sprytny i ciekawy, i rzeknę jemu: „Widzisz owo tam tę podwikę, jako jest smutna i płacze owóz? ona tak zawsze. Skocz-no mówię do tego domu i chyłkiem a milczkiem dowiódz mnie się, kto ona jest -i za co tak ustawnie łzy leje?” Pobiegł chłopiec a ja tymczasem wciąż patrzyłem do okna. Jakoż w chwilę zaraz zniknęła ona niewiasta od swego okna, a w drugą chwilę zasia przyszła i obejrzawszy pierwej, aza ją kto nie podgląda, pakłoniła mi się po kilka razy. Jakoż Panie Boże mi odpuść, i ja się jej także kłaniałem. W skok potóm przyleciał chłopiec: „A cóż tedy, Sucho tka?” spytałem. „Owa panie wiadomość jest; — rzekł On — w onych izbach mieszka mieszczanin jakiś tutejszy, który biją kapelusze pilśniowe a owo jego żona. Ala ma to jakiś wielki pijanica i hultaj być, bo każdego dnia, kiedy do domu przychodzi, krzyki wielkie wyrabia i żonę biją.” — „Majsterże to jest, czy czeladnik?” pytałem znowu. — „Majster, Niemiec, odpowiedział Su- chotka, i ma dwie kamienice, przecie mieszczanin.” Jakoś to mnie niebardzo kw'adruje, pomyślałem sobie, żeby kamibniczny mieszczanin warszawski miał taki hultaj być, ale różnie to byw'a na świecie i niewiedzióć, jaki w tem u Niemców obyczaj: więc nakarbo- wałem sobie to na onego mieszczanina i konsolowałem tymczasem onę niebogę jak mogłem. Aż tu w kilka tygodni jednego dnia raniuteńko, jenom się dopiero co ubrał, wpada do mnie ona nieboga z płaczem strasznym i jękami i padając przedemną na kolana, w niebogłosey wzywa mojego ratunku. Zrazu nie mogłem zrozumieć o co rzecz chodzi, ale wkrótce pokazało się jawnie, że ją mąż jeno świt zbił na kwaśne jabłko. Och! serdecznie mi się żał zrobiło tój kobióćciny. jakoż uspokoiwszy ją, kazałem aby szła zaraz do siebie i była spokojną, bo sprawiedliwość nie chybi. Zaraz też posłałem mojego husarza do onego mieszczanina z rozkazem, ażeby w ten czas stawiał się do apelu. W krótkiej chwili husarz powrócił nazad ale bez mieszczanina i tylko z tą wiadomością, że kapelusznik ani myśli się stawić, mówiąc że nie jest żołnierz i nie ma nic do czynienia z panem kapitanem. — Ale ja mam z nim do czynienia! zawołałem na to; weźże zaraz sześciu żołnierzów albo i więcej i żeby mi tu wtenczas na pokoju był kapelusznik” Jako rzekłem, tak się tóż stało. W jednym mrugnieniu oka przyniesiono na rękach onego srogiego męża i postawiono przedemną; ale chudzina jakiś był, mały i wcale nie srogi. Rzeknę tedy do niego: „Czemu nie stajesz do apelu, kiedy cię wołają?” „Wielmożny panie, odpowie on z niemiecka, ja nie mam obowiązku stawania do apelu, bom ja nie jest żołnierz...” — Nie żołnierz ty jesteś, ale bestya dzika i zwierz. Jak to sobie hultaju poczynasz z żoną? to ty taki mieszczanin warszawski? taki ty przykład dajesz ze siebie drugim? masz ty serce w ciele, żebyś ty taką niewinną kobietę mordował i poniewiórał?” — A on na to: — A cóż jegomości do <sup>te</sup>g<sup>o</sup>» jak? ja się obchodzę z żoną? jegomość masz służbę czynić około pana hetmana...” — Co? zawołałem, co mnie do tego? otóż

żeby ci pokazał, że mnie do tego i że mam czasu dosyć, ażeby i koło ciebie przyzwoitą uczynić służbę, weźcie go! — krzyknę. Jakoż wzięto go zaraz, a Suchotka takich mu sto bizunów sypnął, jak jeden. Zawłókl się potem Niemczyna i przez kilka dni cicho było jak mak zasiał. Aż tu nagle wołają mnie do pana hetmana. Już zaraz na pierwszy rzut oka widziałem, że coś nie dobrze, bo hetman tylko chodził i sapał i patrzył na mnie. A potem nagle: „Co to waszmość za burdy wyrabiasz tu po Warszawie?” — „Ja jw. panie? odpowiedziałem, jam nic nie winien.” — Wszyscyście nic nie winni! zawołał hetman; wstyd mnie jeno robicie! przez waćpana mało się nie zburzyło całe mieszczaństwo warszawskie! Chodzili do pana marszałka, grozili że mój pałac zburzą, tak że kamień na kamieniu nie pozostanie, gardła waćpana żądali.” — Ja chciałem coś na to mówić, ale hetman krzyknął: „No! dosyć już, ani słowa” i zaraz klasnąwszy w ręce, -rozkazał aby zawołano pana Sulerzyckiego. A kiedy wszedł Sulerzycki, rzekł hetman do mnie: „Złożysz waćpan zaraz komendę lejbgardy w ręce pana Sulerzyckiego, a sam się udasz do mojego marszałka. Nie spodziewałem się tego po Gozdawicie!” I nie było już co powiadać. Poszedłem zaraz ze Sulerzyckim do siebie, i ubrawszy się w mundur a kazawszy stanąć całej lejbgardzie w dziedzińcu, zdałem jemu komendę. Ze łzami w oczach żegnałem się z moimi husarzami, bom ich kochał serdecznie; jakoż ze łzami także brał odemnie tę komendę on Sulerzycki i mówiły. „Bodaj-żebym ją w rychle nazad oddał waszmości;” ale cóż było robić? Potem zaraz, zrzuciwszy mundur, szedłem do hetmańskiego marszałka dworu, który był człek surowszy jeszcze jak pan Bieliński. Przyszedłszy tam, spytał mnie zaraz: „Wiele waszmość batogów dałeś onemu Niemcowi?” — „Sto jako jedem” odpowiedziałem. Na to on: „Otóż te sto zaraz nazad dostaniesz i pójdziesz na trzy miesiące w fundum o chlebie i wodzie. Taki jest rozkaz hetmana.” — A to ja dziękuję za służbę; zawołałem na to. „I to być może, odpowiedział on, ale pierwej wziąć musisz zapłatę.” — Nie było rady. Położyłem się na kobierzec, odliczono mnie sto batogów i poszedłem jeszcze dnia tego in fundum, który lubo się nie znajdował na dnie wieży, tak jako jest w Białymstoku, ale zawsze była to dziura brzydka w piwnicy. Oj! panie bracie, com się tam naklął tych potomków Ewi- niego rodzaju, to żeby ich jeno setna część tego spotkała, jużby snąć ani jednej z nich nie było na §\Viecie. I od tego czasu chroóże mnie Boże! ani się patrzeć nie lubię na takie miejsce, kędy przeszła kobióta.

Kiedy skończył pan łowczyc, Bobowski chodził, słuchał, patrzył i sam nie wiedział co mówić. Nie spodziewał się on bowiem nigdy, ażeby nabożeństwo do coelibatu jego brata w takim zdarzeniu miało swoje kolebkę; nie spodziował się nawet, ażeby Stanisław, który zresztą miał niezliczoną ilość zalet serca a nawet głowy, na tak dziwnym się rozbiwszy szkopule, przez lat tyle nie

mógł się orzeźwić ze swego rozbicia... jednakże aby choć coś po- wiedzióc, odezwał się na to:

— Miło to i cierpieć nakoniec za kobietę, kiedy cierpienie to naprzód już było przez nią zapłaconem.

— A to jakim sposobem? — zapytał pan łowczyc.

— Pawiadałeś przecie, że niepospolicie piękną była kapelus- niczka.

— 'No i cóż z tego? — odpowiedział pan łowczyc,— jam z nią i trzech słów nie wymienił, prócz onych, kiedy się przysła poskarżyć na męża.

Po tój wiadomości, Bobowski jeszcze mniej wiedział co powiedzieć, niż przedtem i nic już nie mówił. Osuchowski zaś, myśląc zapewne, że ta jego opowieść taki klin silny zabiła panu Józefowi w głowę, że aż nie wió co mówić, cieszył się tóim i obserwując tylko swojego brata, także już nic nie mówił. Ale milczenie Bobowskiego, który tak daleko był od wszelkiego wrazenia, jak Osuchowski od ożenienia, nie trwało długo; nie wied&ac wszakże jeszcze, jakim sposobem ma nazad rozmowę na swój tór sprowadzić, zapytał tymczasem:

— I jakież? więc już na zawsze przepadło twoje kapitaństwo w lejbgardzie?

— Nietylko kapitaństwo,—odpowiedział na to pan łowczyc,— ale nawet cała moja karyera już na diabła poszła onego czasu, bo przecie nie byłoby się na samem kapitaństwie skończyło.

— Zapewne, — rzekł na to pan Józef,— a wszystko przez kobiety.

— A wszystko przez kobiety,— odpowiedział w dobrej wierze pan łowczyc i tak mówił dalej: —

Jednakże, jako się późniój namyśliłem, nic pewniejszego jak to, że gdybym był miał wolę po temu, to można było wszystko jeszcze naprawić. Pan hetman miał dobre serce i nie umiał uraz pamiętać, a jeżeli się co komu z jego woli dostało, to pewnie dyspozycya do tego była dana w pierwszym impecie. Powiadano nawet, że więcej o tych lubił pamiętać, którym się co kiedy dostało, niżeli o drugich. Ale ja już jakoś nie miałem serca do niego; nie chciało mi się zresztą, bo myślałem sobie, że niechby jeno co trzy lata się człowiekowi oberwało w tej służbie takie poczęstne, to choćby z czasem tam dano dwa lub trzy folwarki w dożywocie, albo i starostwo jakie wyproszono u króla, niewiedziéc jeszcze czy stanęłaby skórka za wyprawę.

I jeżeli tak rozumował pan łowczyc, to miał słuszność zupełną, ale w tem snać nie miał słuszności, jeżeli myślał z kapitańskiej rangi w lejbgardzie zaraz aw'ansować gdzie dalej. Hetman Branicki był pan dobry i o swe sługi dbały jak ojciec, ale nie łatwa była służba u niego, a bardzo łatwe batogi. Jakoż i ten Sulerzycki, który po Osuchowskim tymczasowo objął lejbgardy komendę, w kilka lat jeszcze potem także tak bolesnemu musiał

uledz losowi, jak jego poprzednik. Ale z innej przyczyny, a to z następującej. Był on bratem rodzonym i najmłodszym owego Andrzeja Sulerzyckiego, którego, jak to wiemy od szlachty targowiczy w Łańcuchowej winiarni przeszłego roku zgromadzonój, za gwałtowność kazał być ściąć marszałek trybunału, Karwicki. Było jemu Leon na imię i był z niego młodzieniec duszy wyniosłej i serca czulego; jakoż onej straty brata, którego zawsze uważał być wcale niewinnym, długo nie mógł zapomnieć. W krótkim czasie potem zdarza się tak, że ten sam Karwicki przyjechał do pana Branickiego do Białegostoku. Sulerzycki, służąc z talerzem swojemu panu przy stole, przy którym siedział Karwicki, a nie mogąc znieść widoku zabójcy swojego brata, utoczył nożem krwi z swojej ręki na talerz i w oczach wszystkich podał go Karwickiemu, mówiąc: „Naści Karwicki, napij się krwi Sulerzyckich.” Za co obruszony pan hetman kazał go porwać i wyliczyć mu sto batogów. Nie zasłużył wprawdzie pan Karwicki na taką obelgę, bo on wyrok jego na Andrzeja wydany, powinien mu tylko chlubę przynosić po wieczne czasy; ale tóż i postępek pana Leona, który był tylko skutkiem silnej miłości braterskiej i uczucia honoru, nie powinien być tak być karany. Jakoż musiał to także z czasem poznać i pan hetman, bo nietylko że potóm na żaden sposób nie chciał puścić od siebie pana Leona, ale go nawet dwoma folwarkami i wielkiem zaufaniem swoim obdarzył, które zachował dla niego aż do śmierci. To o Sulerzyckim nawiasowo wspomniawszy, powracamy do rzeczy.

Kiedy tak przez onę dziwną opowieść Osuchowskiego, rozmowa braci ślubnych od właściwego odeszła przedmiotu i Osuchowski, myśląc że onym przykładem ze swego życia nie mały klin w głowę zabił panu Józefowi, uparte zachowywał milczenie, Bobowski, albo to widząc jawnie, albo prawdy się tylko domyślając, srodze się zafrasował. Ale nie było już w Osuchowskim onego dawnego uporu utrzymania koniecznie pana Józefa w bezżeństwie, i owszem, ukraińską wyprawą swoją i różnemi bądź prawdziwemi, bądź fałszywemi argumentami silnie zwichnięty w swoich dawniejszych opiniach, a jeszcze silniej w zaufaniu w swój rozum, dawno już postanowił u siebie nic się nie mieszać w plany i zachcenia swojego brata, i cokolwiek bądź być miało, nie byłby on mu się w niczóm sprzeciwiał. A lubo zdania jego o małżeństwie trąciły zawsze tem, w czóm od lat tylu statecznie trwały, i lubo sam dla siebie zapewne i dzisiaj jeszcze myślał i postanowił inaczej, toż dla Bobowskiego całkiem już był wyrozumiały, a nawet jego dziejszemi zwierzeniami tak za serce ujęty i jego frasunkami tak przestraszony, że widząc teraz nowe chmury gromadzące się na jego czole, niepytany nawet zaczął w ten sens:

— Widzi mi się, panie bracie, że on bożek pogański, którego zowią Hymenem, wziął już waszeci na takie wędzidło, że cię już z niego nie puści. Żle to jest, panie bracie, nawet fatalnie. I nie

mówię już że dlatego fatalnie, że krew Gryffów nic jeszcze nie uczyniwszy na polu, pójdzie na domową posługę, ale dlatego fatalnie, że właśnie z tego małżeństwa nie prognostruję ja sobie wiele szczęścia dla ciebie.

— A to dlaczego? — zapytał, ukrywając swoją radość, Bobowski.

— Dlatego — odpowiedział pan łowczyc, — że kiedy jeszcze ledwie dwa kroki ku tej rzeczy uczyniwszy, tak srogie już napotykasz frasunki, co ma być potem, kiedy sama rzecz przyjdzie? Panie bracie, niedawne to czasy, kiedy byłeś w paragrafowej niewoli i duszno ci tam było okrutnie; ale duszniej snąć będzie widzi mi się w takiej niewoli, która nie wedle paragrafów stać będzie, ano w której jejność co moment to nowy napisze paragraf.

— Ale mój Stasiu! — zawołał na to pan Józef, — o jakiej tobie się śni zawsze niewoli? odkąd świat stoi, regułą jest że wszyscy się żenią, a ledwie gdzie setny jest taki, który się bezzennym ostanie do śmierci; miałoby to ożenienie już takim nieszczęściem być i niewolą, jak ty powiadasz, to już dawno byłoby to było wynaleziono i opowiedziano, a nie dopiero ty-byś miał być tym inwentorem... ty, który nie mówię już, że nigdy żonatym nie byłeś, ale nawet z kobietami na całym życiu może sto słów wymieniłeś.

— O! toś dobrze powiedział, — rzekł na to Osuchowski, — i prawdę mówiąc, zbiłeś mnie na mojem własnem śmieciu; ale mnie to dziwno, żeś pierwój kiedy tego argumentu nie znalazł, ano dopiero teraz.

— Boś mnie już wewnątrz duszy mojej poruszył, bo mnie już twoją krwią zimną, twoją obojętnością zabijasz, bobym już drugi proch wynalazł nareszcie a nietylko argument, aby osiąść pannę Barbarę! — odpowiedział z zapalem Bobowski. — Na to pan łowczyc:

— No, no, Józieńku, tylko nie tak gorąco; - już ja widzę że cię nikt z tej choroby nie wyleczy, pogadajmyż tedy rozumnie.

— No, pogadajmy irozumnie, — odpowiedział znowu z radością Bobowski.

\* — Owa więc o to idzie, — rzekł dziedzic Żerniczki, — dadzą-li tobie tę pannę, albo nie?

— Owa o to idzie... i ja myślę że dadzą.

— A ja myślę że z trudna, — odpowiedział pan łowczyc.

— Czemuż tak myślisz?

j Myślę tak, bo mi się to jakiś wielki dom widzi. Podkomorzy jaśnie wielmożny...; ma ziemie tutaj, drugie ziemie na

Rusi... oprócz tej córki tylko jednego syna... Wprawdzie to i u Bobowskich podkomorstwo nieosobliwe, jaśnie wielmożnych było ich wielu, ziemie mają i mieli, ale zawsze to jakoś zdaje mi się, że będą tu płoty i rowy, a może i mury do przesadzenia.

— Mój Stasiu, — rzekł na to pan Józef, — nie tak gadajmy.

— A jak?

— Czy chcesz żebym ja się ożenił?

— Ja nie chcę, — odpowiedział pan łowczyc, — ale ty chcesz i powiadasz, że w tym tylko może być całe szczęście twoje. A ma w tym być szczęście twoje, to ja nie tylko chcę tego, ale pragnę z całej duszy mojej i z całego serca...

Ł Mój Stasiu!...

► — I nietylko, ale pomagać ci będę, jako sam sobie wymyślisz i zadysponujesz. Niech już tak będzie. I możesz być pewnym, że chociaż jabym był wolał, żebyś ty był w czym innym to szczęście twoje upatrzył, toż jednak i do tego pomagać będę i nie masz tego dobra, którego bym nie poświęcił dla ciebie.

— Nie, mój kochany, — rzekł na to Bobowski, — poświęceń tu żadnych nie będzie potrzeba z twój strony...

— Ha! kto to wiś? bo to dwom panom służyć nie można, a przed żoną, znać już na bok pójść musi przyjaciel a nawet i brat!, rzekł smutno pan łowczyc.

— Och! nie, Stasiu! — zawołał na to pan Józef, — przyjaźń nasza nierozzerwaną przeto zostanie i tak stateczną, jak była dotąd. Nie zniósłbym tego nigdy.

— Nie mów nic, — odpowiedział na to pan łowczyc, — aż póki nie doświadczysz. Żony nie lubią męzowskich przyjaciół, to wiadoma rzecz. Ale gdyby i tak być miało... jeżeli to do szczęścia twego potrzebne... ja się z serca zgodzę na wszystko.

Przykro się zrobiło panu Józefowi na te słowa szczórego poświęcenia się brata, i poczył się trochę namyślać i poczęła się mała w nim walka pomiędzy przyjaźnią a miłością; ale jako to zwyczajnie bywa, wkrótce kobieta zwyciężyła na tym polu, na którym zawsze zwycięża; jakoż przystąpił pan Józef do swego przyjaciela i rzekł:

— To i ty się ożeń, mój Stasiu.

— Ja? — rzekł na to zadziwiony pan łowczyc, — ja nigdy. Niech już jeden z nas tylko" będzie u drugiego na wtóróm miejscu, ty zostaniesz u mnie aż do śmierci na pierwszóm.

I znowu się przykro zrobiło panu Józefowi i znowu zaczął chodzić po izbie, a myśli, które natenczas kłębami wiły się po jego głowie i uczucia które się siliły ze sobą i przesilały w sercu, wszystkie wybiły się tak jasno na jego twarzy, że je mógł bez trudności wyczytać i wyczytał pan łowczyc, bo rzekł w krótkiej chwili:

— Ale nie sil się już napróżno ze sobą, Józienku. Już żebyś ty mi teraz powiedział, że sam odstępujesz od tego ożenienia, to jabym nie pozwolił... i musiałbyś mi być koniecznie powolnym, bo już ja nie odstąpię od tego. Zawielkie to szczęście, jak uważam, będzie dla ciebie, ażebym cię śmiał od tentowania jego odmawiać, za wielkie! Niechajże już tak będzie. Od dzisiaj dnia zaczynaj

konkurować na prawdę, staraj się o afekt u panny, staraj się o względy u rodziców, a w czembym ja ci mógł być pomocnym, mów śmieje, wszystko uczynię i na teraz o niczóm innóm myśleć nie będę, jeno o tóm, jakby to jaknajprędzój doprowadzić do skutku.

— Niechże ci Bóg zapłaci! — odpowiedział na to pan Józef, ściskając go po bratersku.-

I od tego to momentu dopiero zaczął pan Józef konkurować pa dobre. Nie było wprawdzie w nim przeto tak bardzo wiele więcej energii, bo zawsze rozumem i śmiałością Barbarki zbijany z toru i pozbawiony odwagi, nad każdą myślą, nad każdym słówkiem niemal musiał on się długo namyślać, nim się zdecydował nakoniec zakomunikować go swojej oblubienicy, a i tu jeszcze nie rzadko się tak zdarzało, że nieraz, kiedy śród swojej perory nagle popatrzył jój w oczy, to zaczętego już okresu nie był w stanie dokończyć: toż jednak miał on już teraz czyste przynajmniej sumienie, miał z swego brata silną za sobą ścianę, o którą, błyskawicami Barbarki olśniony i na nogach zachwiany, mógł się przynajmniej opróż i na chwilę odpocząć; miał nakoniec komu się zwierzyć z swych myśli, o wątpliwościach swoich pogadać, rady czy- jójś zaczerpnąć, że przecież w kilka tygodni doprowadził do tego, że już zdaleka i ostrożnie począł napomykać o swoich sentymentach Barbarce.

I gdyby tak nie przy końcu, ale z początku zimy Bobowskiego uczucia i myśli były się oczyściły z wątpliwości, i zaraz znachodząc w Osuchowskim podporę, wzmocniły się w sobie i ośmieliły, to byłoby to niezawodnie odrazu przyniosło dobre skutki dla niego w sercu i opinii podkomorzanki: teraz atoli już to nie wiele pomogło. Panna Barbara już się bowiem zanadto ugruntowała w tóm, że miękkim i niezaradnym jest duch pana Józefa, ażeby dla kilku nowo przez niego wypowiedzianych frazesów miała się zachwiać w swoim wyroku, a podczas, kiedy ani uważała ani chciała uważać na to, że w nim się cała jego istota teraz już odmieniła, że każde jego słowo, każdy ruch jego zdradza coraz śmielsze i coraz gorętsze dla niój uczucia, rosła w niój niecierpliwość coraz to większa, a jej serce, wzmagając się także z każdym dniem więcej w swoich dotąd nie nader silnych dla Bobowskiego afektach, uczyło się już zawczasu gniewać się i znieawidzać na chwilę tego, którego posiąść pragnęło.

Rodzice Barbarki atoli, ludzie doświadczeni i starzy, nie brali tak na gorąco tej rzeczy, jak ona. Więc z początku, póki pan stolnikowicz ani nadto często, ani zbyt rzadko nawiedzał ich zamek, nie chcieli oni w tem widzieć żadnych osobnych względem ich córki intencyj; później, kiedy te odwiedziny nie ustawały, przypisywali oni im ich naturalną przyczynę, wszakże przez skromność poczciwym rodzicom właściwą ani wmawiali zaraz w córkę swoją, że ten a ów gość jest lub być może jej konkurentem, ani tóż

uważali za rzecz potrzebną wypierać się domysłów swoich przed sąsiadami; teraz atoli, kiedy pan Józef z większą w sercu i ustach odwagą, starał się nawet o to, ażeby przy tej i owej sposobności dać im poznać szczere swe chęci, uważali oni za rzecz konieczną nawet nie taić już tego przed sobą i nawet kiedyś o tem ze sobą pogadać. Onego też czasu miała miejsce na bologrodzkim zamku wielka familijna narada,

Do matki i córki, siedzących o szarym zmroku przy kominie w narożnej komnacie, przyszedł pan podkomorzy z nieodstępnym swym kapelanem i ledwie co obadwa usiedli, ojciec- Barbarki, obróciwszy się do swej żony, zaczął prawie w ten sens:

— Przyszliśmy tu, moja dziewczeczko, do was, aby trochę pogadać.

— Bardzo nam w porę przychodzie waszmość panowie,'— odpowiedziała na to pani podkomorzyna,— bo my obiedwie już od pół godziny tak siedząc, nic nie możemy wymyślić, a na spoczynek śnać jeszcze za wcześnie.

— Owóż tedy, — rzekł na to pan podkomorzy, — bardzo mnie to kontentuje, że moja dziewczeczka dobrego jest dzisiaj usposobienia, bo mnie taka dzisiaj przyszła ochota, ażeby w rzeczy ważnej jej opinii zasięgnąć.

— I owszem, mów tedy ojcze, a ja jako będę rozumiała, tak powiem.— Na to znów podkomorzy:

— Właśnieśmy sobie teraz z księdzem kapelanem dłuższy czas rozmawiali o panu Bobowskim... Jego intencje względem naszego domu zaczynają się stawać materyą licznych po sąsiedztwie dyskursów, nie możemy też taić tego przed -tobą, że i nam się być zdaje nie tajne... owóż możeby właśnie była dobra pora pomiędzy sobą co o tem pomówić.

— Nie wiem, w czem to rodzice widzą te Bobowskiego intencje,— odezwała się na to Barbarka.

— O! o!— rzekł na to, śmiejąc się, pan Karsznicki,— wiósz ty śnać lepiój o nich, niż my oboje. Jakoż i ciebie będziemy egzaminować.

— Ja nic nie wiem, — odpowiedziała z niechęcią Barbarka, i powstawszy ze swego siedzenia a przeszedłszy się kilka razy tam i sam po komnacie, wyszła gdzieś precz i zapewne do swojej sypialni. Tymczasem zaś zabrała głos pani podkomorzyna:

— Nie masz co temu zaprzeczać, mój ojcze,— mówiła ona, — że to pana Bobowskiego bywanie w naszym domu nie może mieć nic innego na celu, jak staranie się o rękę Barbarki; ile ja nawet mogłam się od niej samej dowiedzieć, bo,—dodała ciszej matka,— na nieszczęście, niewiele jakoś mam zaufania u córki, to pan stolnikowicz chciał jej już to kilka razy dać do poznania.

— A ona cóż na to?—zapytał ojciec.

Pan Bobowski zdaje mi się dość jej się podobał, a nawet może więcej niż tego potrzeba, ale to ją nudzi podobno, że mając



nieodmienne względem niój chęci, dotychczas jeszcze z niemi na jaw nie wystąpił.

— „Mnie zasie>— rzekł na to ojciec, — jeżeli co się najbardziej w tym młodzieńcu podoba, to to właśnie, że tak statecznie a z takim namysłem postępuje po onój drodze, po której tylko lekkomyślni biegną prędko. Daje mnie on tóm dowód swego rozsądku i charakteru.

— Już to gdyby ożenienie się prędkie dawało dowód lekkomyślności,— rzekła na to z uśmiechem podkomorzyna, — to jegomość mógłbyś być śmieie nazwanym najlekkomyślniejszym ze wszystkich ludzi, ale prawdę mówiąc, i mnie się to podoba w panu Bobowskim. Przytem wyrokować o nim nie mogę, bo go nie znam do tyła, ale zdaje się mieć serce cudnie piękne i dobre, i jeżeli mam prawdę powiedzieć, dlatego serce jego wielką we mnie ma przyjaciółkę; charakter zdaje się być stateczny, a jako fama niesie, ma to być pod każdym względem jeden z pierwszój młodzieży tój ziemi.

— Owoż ja się ad jotam zgadzam z jójmością,— dodał do tego ojciec,— a kiedy tak jest, to gdyby przyszło do tego, żeby się pan Bobowski miał deklarować o naszą Barbarkę, co jak uważam może lada dzień już nastąpić^ nie! będziemy się temu sprzeciwiać, dzieweczko, co?

— Jak jegomość uważasz, odpowiedziała na to podkomorzyna i dodała nakoniec:— ale zostawmy to Panu Bogu.

— Dlaczego, moje dziecko?— zapytał żywo pan Karsznicki,— co masz na myśli, powiedz otwarcie; przed kimże zresztą powiesz, jeśli nie przedemną?

— I... — rzekła smutnie podkomorzyna, oglądając się po komnacie, żali w niój niemasz Barbarki, — jedno mnie tylko zastrasza.

— Cóż to takiego? — zapytał z niespokojnością mąż jój.

— Ważna to myśl jest, mój mężu, ważna i straszna i daj Boże, aby nie była prawdziwą.

— Cóż to być może? — zapytał już prawie przerażony pan podkomorzy, a podczas kiedy ksiądz kapelan się z swojóm krzesłem przysunął, aby lepiej mógł słyszeć, podkomorzyna rzekła smutno i prawie ze łzami:

— Nie będzie prawdziwego szczęścia w tym związku!

— Prawdę jójmość powiadasz,— rzekł na to prędko siwowłosy kapelan,— nie będzie tam szczęścia ni doli

— Dleczegóż to waszmość tak myślicie? — spytał zdziwiony teraz pan zamku.

— Mój mężu kochany— odpowiedziała smutnie podkomorzyna — znam ja dokładnie Barbarkę; jój jedno słowo, jej najdrobniejszy uczynek jest nieraz przedmiotem mojego całodziennego myślenia. I widzę ja wiele, chociaż o tóm nie mówię; ale niestety Bóg mi dał oczy na to dopiero teraz, kiedy ptaszę o swoich skrzy

dłach wyleciało już z gniazda. Uważałam ja i pana Bobowskiego pilnemi joczyma, ale im więcej się mu przypatruję i im jaśniej dusza jego staje przed memi oczyma, tóń boleńsiesze mnie przejmuję uczucie. Nie chciałabym męża tyrana dla córki, nie chciałabym aby była niewolnicą jego wszystkich skinień i myśli, ale miałaby ona owym mężem zawładnąć, wnieść z swóm wianem dla niego kajdany, zatruc jego myśl każdą, każde załzawić uczucie: Boże! nie przeniosłabym tego nigdy na sobie... jabym ze wstydu i zgryzoty... umarła!

W tym momencie weszła Barbarka.

— I cóż? — rzekła ona na wstępie, — wydaliście mnie już państwo za Bobowskiego, czy jeszcze się namyślacie?

— Siadaj że, moje dziecko — rzekł na to z udaną wesołością jój ojciec—i powiedz nam, co" ty myślisz o panu Bobowskim?

— Więć będzie egzamin?—spytała podkomorzanka.

— Egzamin, moje dziecko,—rzekł podkomorzy,—powiódz, jak myślisz?

— Kiedy państwo koniecznie chcecie,—odpowiedziała ona — to ja wam powiem. Ja myślę że się stolnikowicz rozkochał we mnie jak kotek w słońcu wiosennóm, i myślę, że pan stolnikowicz jest to ciasteczkowa figura i nudziarz, jakiego świat nie widział...

— Ale moje dziecko,—przerwał tutaj jój ojciec—jakżeż mozesz tak wyrokować, kiedy go jeszcze nie znasz dokładnie?

— Ale proszę ojęą,—odpowiedziała z niecierpliwością podkomorzanka, — dosyc mnie ujrzyć cholewę, aby poznać że but jest. I myślę nakoniec, — zakończyła panna Barbara, — że byle mi Pan Bóg podał sposobność, to ja go nauczę, jak konkurować o takie panny, które się wychowały w sanockiój ziemi. Dobranoc państwu!

— Mój Boże! Tyś jednym słowem Twojem wyrzucił ziemię tę z bezdennych, otchłani i puścił w krąg nieskończony wedle Twej niebieskiej harmonii; Tyś nad tą ziemią zapalił słońce niewygasłym płonące ogniem, tyś jej noce oświecił cudownego blasku księżycem, Tyś na jój niebie rozsiał migających gwiazd miliony, Tyś ją samą ubrał i ozdobił jak ukochaną córę Twoją w najkosztowniejsze szaty z nieprzebranój Twój skrzyni, Tyś ją ustroił w szmaragdowe kobierce, w aksamity kwieciste, w przezroczyste kryształy, w góry wspaniałe, posępne lasy, dzikie bluszczem i różą zarosłe skały; Tyś po niej cudowne porozrzucił kwiaty, woniące porozsadzał drzewa, rozesłał ptastwo świegotliwe i śpiewające, ażeby chwale Twojej i ojcowskiej dobroci stało się wszelkie świadectwo. Czemuż, o Boże! nie wszędzie równo jest tych darów Twoich? czemu skwarzą się w ogniach słonecznych Murzyni, czemu marzną na śniegach wieczystych ludy północne, czemu mgłami ciągle oddycha Angielczyk, czemu w "wiecznej wiosnie pędzą swe życie Włosi, a czemu góry nasze żadnej nigdy nie znają wiosny? I mamy zimę silną, jak zdrowie olbrzyma, i mamy jesień chrobrą i krzepką, jak umysł i serce rycerza, i mamy lato ciepłe i pogodne, jak miłość matki dla swego dziecięcia: czemuż nigdy nie mamy dnej wiosny świeżój jak woda kryniczna, lekkiej jak motyl ulatujący nad różą, pięknej jak pierwsza краса na licu? I mamy czas ten, kiedy topnieją śniegi, kiedy brudnemi zalane męty wzbierają wody, kiedy ziemia tężeje na wicherze, kiedy skrzętne krajają ją pługi, kiedy drzewa pękają, kiedy nareszcie wszystko się zazieleni i rozbuja dokoła: czemuż tej zieloności nie zapowiada u nas sko-

wronek, czemu przed zbożami na polach nie zakwitną -róże na górach, czemu nie osiadają nigdy w naszych krzewinach słowiki, czemu nawet ta cała zieloność jest jakaś smutna i ponura? I widzimy róże tylko w ich więzieniach pod szklami, i słyszymy o słowikach tylko od ludzi wędrownych, i widzimy ptastwo wędrowne tylko, przeciągające gdzieś wysoko nad nami, i słyszymy ich krzyki radosne zdaleka i mówimy wtenczas: o Boże! czemuż tak smutno u nas o wiosnie?

Z takimi myślami stała Julia w połowie maja na galeryi zahoczewskiego dworu. Patrzyła ona na czarne i ogołoczone jeszcze podtenczas lasy, wieszające się po nad drogą i wsią Zahoczewiem, patrzyła na góry i pola puste i jeszcze przeszłoroczną dopiero odżywiający zieleń, patrzyła na szczątki śniegów jeszcze po parowach leżące i smutno jej było. Ale spokój już wielki zasiadł w jej sercu i duszy, spokój taki, jaki dają po sobie długotrwałe lecz już wygasłe cierpienia, spokój czysty jak woda głęboka, i cichy jak jej powierzchnia, która lubo daje widzieć na dnie swera spoczywające głązy i zielska powiędłe, jednak także odbija w sobie po jej brzegach przechodzących się ludzi. Tak i na dnie jej duszy potonęły już jej niespełnione nadzieje i smutki, a lubo je widać było jeszcze przez jej myśli i słowa, jednak były to już same głązy nieżywe i zioła powiędłe, i tak samo jej dusza już czuć i pojmować zaczęła to, co się zewnątrz niej działo.

Wtem, kiedy tak stała w zamyśleniu córka pana Dzianotta, i rozglądając się na tę i owę stronę, zdawała się szukać jakiego przedmiotu, któryby myśli jej smutne rozerwał, dał się głośny turkot słyszeć na drodze. Wkrótce potem stanął przed bramą jakiś powóz dziwnego kształtu i nabożeństwa. Powóz to był bowiem całkiem zewnątrz zamknięty j wielkimi po bokach zaopatrzone szybami, wysoki jakby dom jaki, opakowany kuframi skórzanami dokoła, jakby buda kupiecka. Do tego powozu były zaprężone cztery konie kare jak gałki w rząd pozłocisty ubrane, któremi woźnica, dziwnie po komediancku ustrojony, z kozła powoził. Na koźle przy woźnicy siedział człek drugi, istny Niemiec z pozor, miał bowiem czarną ogoniastą suknię na sobie, pończochy i trzewiki na nogach i Jkapelusz dziwnego kształtu na głowie, z pod którego ogonek kitajkowy z tyłu wychodząc, zwieszał się aż na plecy. W karecie jeszcze dziwniejsze jakieś siedziało stworzenie, ale przez szyby od światła się szklące dojrzeć go nie było można dokładnie. Podróżni ci zatrzymali się koło bramy, sługę dworskiego tam stojącego o drogę do Balogroda i oddalenie pytali, i odjechali. Kiedy ten sługa, żegnając się i odmawiając pacierze, nazad ku zamkowi powracał, zawołała go Julia pod samą galeryą i zapytała:

— .Któż to taki pojechał?

— Licho wie, proszę panny, — odpowiedział sługa, — ludzie

jacyś dziwni a koniska czarne jak węgle. Bodajby jeno nie co niedobrego.

— Dokąd pojechali?

— Do Balogroda się pytali, ale gdzieś za Hoczewką popędzili inaczój.

— Wszędzie... wszędzie... — mówiła do siebie Julia, — o ten zamek tylko nikt nie zawadzi.

W godzinę potem, a było to już dobrze z południa, wielka kupa ludzi zgromadziła się przed balogrodzkim ratuszem. Co tylko żyło w tóim miasteczku i co się przypadkowo tam znajdowało, wyrunęło na rynek. Więc byli tam i Żydowie obdarci, żadnego rzemiosła nie mający i czyhający tylko na to, aby jakimkolwiek sposobem grosz wytumanić od kogo; były i Żydówki stare z pejsatemi dziećmi przy sobie; byli chłopci z pola powracający i dziady od wsi wędrujący i ciekawe roznoszący nowiny, było nakoniec i kilku szlachty przypadkowo tamtędy przejeżdżających, którzy tłum ludzi koło ratusza zastawszy, poślazili z wozika, ażeby się dowiedzióc, co to się stało takiego, a dowiedziawszy się, żonom przywieść nowinę. Ale pomimo to, że tak wszyscy zaglądali ciekawie, nikt nic pewnego nie wiedział; powiadano tylko, że jakieś cudaki zajechali do ratusza i że arendarz bramę kazał zamknąć za nimi. Szlachta atoli, nie zaspokoiwszy tóim ciekawości, wypytywali się zrazu tych i owych ludzi tam stojących o bliższe szczegóły o onych podróżnych, a kiedy się i tak niczego więcej nie dowiedzieli, jeno że powóz był arcydziwny, że judzie w nim i na nim siedzący jakoś nie po ludzku wyglądali i że konie były czarne jak kruki, przystąpili do bramy i pukając do niej, wołali na arendarza. Po długóm wahanu się wyszedł arendarz przed ratusz i długo coś z szlachtą rozmawiał, z czego jednak słuchający nic więcej się dowiedzieli, jeno że tym powozem przyjechał pan jakiś dziwnie jakoś ubrany, że ten pan kazał sobie dać izbę osobną, a gdy takiej nie było, zajął alkierz żydowski i tam się przebiera, że przebrawszy się ma jechać na zamek, że do tego alkierza nikogo nie wpuszcza, jeno że przeze drzwi jakieś dziwne z tamtąd wychodzą zapachy.

— Ot, olejkarz i kwita! — rzekł na to jeden ze szlachty.

— Pewno że olejkarz, a któżby inny? — odpowiedział drugi, ale trzeci zarzucił:

— Żeby jeno nie jaki czarnoksiężnik, bo jako mi mój szwagier powiada, który teraz od swoich krewnych z Wielkopolski powrócił, poczyną się teraz tego siła włóczyć po świecie.

— Niechajże będzie kto chce — zabrał znowu na to głos piórwszy — zawsze to rzecz ciekawa. Jeszcze jako żyję, nic tu takiego nie widziano w tych górach. Puśćcie nas, arendarzu, niechaj się dowiemy a jeżeli są olejki na sprzedaż, toć przecie każdy z nas co kupi dla swojej niebogi.

— Ja waszmościów nie wpuszczę — odpowiadał arendarz —

pan ten mnie zakazał, ażeby żywa dusza nie wchodziła teraz do izby... ja nie chcę, on jedzie na zamek; co wiedzióc, kto to być może? A nu jaki kasztelan, albo wojewoda?...

— O! ba i bardzo ci tam kasztelani a wojewodowie na wasz zamek zajeżdżają! dużo-żeś tam widział starostów?... zarzucił drugi.

— Ej! chodźmy! panie bracie — zawołał trzeci, do bramy się przysuwając — ano niechże będzie kasztelan albo wojewoda, przecie my i takich widywali.

— Zaczekaj no waść, panie bracie — zarzucił znów drugi — wartoby się zawsze nad tem namyślić.

I kiedy tak to pomiędzy sobą to z Żydem rozmawiali ta szlachta, statecznie' namyślając się nad tem czy iść do gospody, czy nie iść? i kiedy jako najśmielsi z całej miasteczkowej gawiedzi, stawali się dla niój przedmiotem coraz większego podziwienia go- dniejszym: nagle nowy tentent jakiś dał się słyszóc na rynku, a na tójże samej drodze od Zahoczewia wiodącej czterech jezdnych się pokazało. I dwóch z nich jechało przodem, a dwóch zasie trzymało się z tyłu. Więc ci, którzy jechali z tyłu, nie bardzo oczy na siebie zwracali, bo widocznie była to służba, jeden kozak w gra- natowój kierei i czapce baraniój, a drugi sługa w barwie zwy- czajnej, jakich pełno po wszystkich dworach; ale piórwi siedząc na dzielnych koniach po żołniersku siodłanych, niemało imponowali swoją powierzchownością małomiasteczkowej publice. Więc jeden z nich był to mąż pięknoj i smukłej postaci, ledwie może dwadzieścia i kilka lat wieku mający, twarz miał obdłużną, nos mało co orli, foremny, oko modre, wesole, wąs i włosy jasne przy- dłuższe, w pięknych na plecy spadające kędziorach i tak coś dziwnie pańskiego biło od jego całej figury, że kiedy ten orszak zatrzymał się koło ratusza, ludzie bliżój stojący mimowolnie czapki pozdejnowali z głowy. Drugi, jadący temu po lewój stronie, był trochę mniejszy wzrostem, ale jeszcze smuklejszy a wiekiem tak młody, że może nawet nie dochodził dwudziestu. Ten był brunet i twarz miał bladą, nic a nic jeszcze nie zarośniętą, tylko kresa poprzeczna niedawno co zagojona na czole i pewna posepność siedząca na całej twarzy świadczyły jawnie, że wiek jego, tak młody, nie obeszdeł się jednak już bez pewnych doświadczeń. Obadwa ci panowie mieli burki krymskie na sobie, czerwonym mużułbasem podbite, pod niemi suknie zwyczajne podróżne; więc kontusze sza- raczkowe sukienne i pasy sróbrne klamrowe, na nogach buty grube jałowicze liczkem na dobrą stronę i przy ostrogach, szable w pochwach żelaznych z furdymentami u boku i czapki na głowach. Ale pomimo to że strój tych obudwóch młodzieńców był jednakowy, już na pierwszy rzut oka można było rozpoznać, że tamten starszy i wzrostem słuszniejszy był panem a ten drugi jego czeladnikiem lub dworzaninem.

Kiedy ci jezdni wjechali w rynek, zdawało się że drog-ą za

równy w dalsze góry sanockie jak i na balogradzki zamek wiodącą pojadą dalej i zapewne byliby tak uczynili, ale kiedy ich tłum onych ludzi przed gospodą stojących uderzył w oczy, zatrzymali swe konie, a starszy z nich, obaczywszy i zapewne poznawszy arendarza, rozmawiającego ze szlachtą przy bramie, podniósł się cokolwiek na koniu i zawołał: — Arendarz!

Na ten głos skoczył Żyd jak oparzony, zdjął zawczasu czapkę, przystąpił do onego jeźdźcy i nieśmiało wprawdzie ale jednak bardzo ciekawym okiem w twarz jego pooglądał. Jeźdźca pan, bawiąc się zapewne tą ciekawością żydowską, przez chwilę milczał i z uśmiechem patrzył na Żyda, ale wkrótce potem rzekł gromkim głosem:

--- No! Czegóż mi się tak przypatrujesz? jest mój ojciec na zamku?

— Aj waj! — zawołał Żyd z nieudaną radością i aż do ziemi kłaniając — toż to jasny pan, panicz nasz! aj waj, jakżem się ucieszył! a jak jasny pan zmężniał, a wyrósł, a wypiękniał! pf! a jaka pańskość bije od jasnego pana! ach! ach! toż-to będzie wesele na zamku!

— Więc jest ojciec doma? — zapytał znowu pan Wincenty, syn podkomorzego, którym rzeczywiście był ten młodzieniec.

fm Jest, jest, chwała Bogu! — odpowiedział arendarz, — ach, ach! a jasna pani jaka będzie kontenta! a panienska, coby jej Pan Bóg dał zdrowie! ach! ach! jaka to będzie pociecha!

— Zdrowiż tam wszyscy? — zapytał znowu pan Karsznicki ujęty tą żydowską radością.

— Zdrowi, chwała Bogu, zdrowi. Nu! ale jedź już jegomość, bo szkoda każdego momentu takiej pociechy, co ją Pan Bóg tak rzadko daje ludziom na tym świecie. Jedź jegomość, a ja tam zaraz przybiegnę, cobym i ja choć zdaleka się przypatrzył tej wszyst- kiój radości.

— A cóż to za tumult przed twoją gospodą? — zapytał jeszcze pan podkomorzyc, nie mogąc się prawie oderwać od tego białowłosego arendarza, który tyle zdradzał przywiązania dla jego rodziny.

— Aha! — zawołał na to prędko arendarz, — mało co żem nie zapomniał. Nu! to jakieś dziwo tu przyjechało.

— Jakież knów lichy?

— Jakiś pan, czy nie pan, czy kto go tam może wiedzieć. Karetę ma taką, z przeproszeniem jegomości, jak mała chałupa, a kufrow tyle ze sobą, coby ich dla całego domu starczyło. Ubrany jakoś ni tak ni owak, a tak pachnie od niego, jak w lecie od wszystkich kwiatów. Konie ma takie wielkie, że z przeproszeniem honoru pańskiego, ten na którym jegomość siedzi, byłby przy nich jak źrebię, a takie czarne, że aż strach na nich patrzeć, jeno na głowie mają białe gwiazdeczki jak mlóko, a wszystkie jak jeden.

— No i któż to taki?

— Co wiedzieć, jasnie panie? — odpowiedział arendarż — sług ma aż dwóch, a nu żeby zabił którego, czy powie choć słowo.

— Cóż robi ten jegomość? — zapytał znów pan Karsznicki.

— Co robi? ja nie wiem. Zamknął się w swoim alkierzu i tak tam nakadził, że aż woń idzie po wszystkich gospodzie. Sługa mu nosi to wodę, to flaszki ..różne, to kufry tam znosi i powiada, że pan się ubiera i pojedzie na zamek.

— Na zamek pojedzie? — zawołał pan Wincenty, a obróciwszy się do swego towarzysza, rzekł prędko: — Chodź Halicki tam ze mną, obaczmy kto to jest taki.

I posiadawszy z koni obadwa młodzi, a dawszy je w ręce służącym, szli do gospody. Wszedłszy do sieni, szli najpiórwej powóz i konie oglądać, co gdy obaczyli, nie mogli się dosyć nadziwić doskonałości jednego i piękności a sile drugich.

— Co to za forma kształtna! — mówił pan Wincenty, przypatrując się powozowi, — a co to za siedzenie we środku! jakie tu koła! a jakie sprężyny! panie bracie, podobno nic równego nie znajdzie i w samej Warszawie. Hej! żeby to kiedy, jak się człek będzie żenił, swojej żonie taką zkąd dostać kolóbkę!

— O! pewnie że to nie warszawskie, — odpowiedział na to Halicki, — gdzieś to musi być z Anglii albo i z Francyi, bo pa- trzaj-no waszmość pan co to za skóra? to to rękawice z nich robić dla nas tak miękkie, a jakie mocne i dychtowne!

— A konie jakie! — rzekł znowu pan Wincenty, — ba ba! mospanie! to ta cug taki, że mu podobno równego nie znajdzie i w czas sejmu w Warszawie! ej, nie chudzina to jakiś jedzie tym statkiem.

— Pańskie tó, pańskie i bardzo pańskie! — odpowiedział na to pan Halicki, — ale gdzież te sługi, że z nich nie widać żadnego?

— Jest tu i sługa, — odpowiedział na to w barwie, ale po niemiecku ubrany woźnica, przystępując do nich śmieie i w kapeluszu na głowie, — czego ichmość żądacie ?

Pan Wincenty spojrział na tę figurę, a obaczywszy gbura, rozpuszczonego zapewne nadto wielką dla siebie pobłażliwością swojego pana, albo zbyt zaufany w jego znaczenie, przystąpił do niego i rzekł:

— Tyś jest woźnica tego powozu?

— Ja, — odpowiedział znowu owym rubasznym głosem zuchwały sługus, — albo co?—Tedy pan podkomorzyc, stanąwszy ostro, rzekł:

— Najpiórwej czapka na dół, błźnie, bo nie z twoim równym masz sprawę! — a kiedy ten przestraszony, z głowy zdjąwszy kapelusz, w przyzwoitszej stanął postaci, zapytał pan podkomorzyc:

— A teraz mów, kogo to wiesz? u kogo służysz?

— U grafa Karsznickiego, — odpowiedział służący.

— Graf Karsznicki ? — powtórzył do Halickiego odurzony



pan podkomorzyc, — co to jest takiego? — i zapytał raz jeszcze:— jak się twój pan nazywa?

— Graf Karsznicki, wielmożny panie, — odpowiedział znów sługa:

— Gdzież ten graf mieszka? zkąd jedzie? dokąd?

— Graf mieszka pod Oświęcimem, jedziemy z domu, tutaj na zamek, bo tu jacyś krewni pana grafa mieszkają.

— Cha, cha, cha! — zaśmiał się pan Wincenty i rzekł: — toż to Bartek być musi, syn pana marszałka a mój stryjeczny! ale zkądżeby znowu ten tytuł grafowski? Chodź, Halicki, pójdziemy do niego.

I poszli. Przeszedłszy atoli pierwszą izbę gospodną, gdy chcieli wniknąć do alkierza, kamerdyner grafowski, wychodzący, właśnie ztamtąd, drzwi zamknął za sobą, i w jednej ręce srebrną trzymając miednicę, drugą położył na kłamce i rzekł:

— Pardon Messieurs, il n'est pas permis!

— Ayez la bonte de me permettre! — odpowiedział na to proszącym tonem pan podkomorzyc, i wzięwszy Francuza leciutko za kołnier, podniósł go w górę; odstawił wraz z miednicą na stronę i sam wszedł do alkierza.

W alkierzu pod oknem stał stół białym prześcieradłem nakryty, a na tym stole stało najpierw dość duże w srebrne ramy ujęte zwierciadło, dalej stół aparat do golenia, więc brzytwy i pędzle i mydła, słoiki, flaszeczki i maście, a nadewszystko takie szklące i wykwinne i piękne, że wraz z mnóstwem innych na tymże samym stole porozrzucanych grzebieni, szczotek, puszek puszcerek, nożów, nożyczek i innych gracików, raczej zdawało się być częścią jakiegoś modnego sklepu, albo wymyślnej jakiejś galanterii gotowalnią, niżeli podróżnym męzkim, jak to nazywano onego czasu, jaszczykiem. Przed tym stołem w zwierciadło wpatrzony i coś około brwi swoich muskający, siedział pan graf w swej własnej osobie.

Graf był to człowiek jeszcze młody i nie mający jak dwadzieścia siedem lub osiem lat wieku, ale twarz jego blada, pociągła i starannie ogolona od ucha do ucha, usta już trochę wywiędłe i peruka ogromna jak pudło spoczywająca na jego głowie, czyniły to, że na pierwszy rzut oka nie można było rozpoznać, czy pod tą peruką młody udaje starego, czy stary kryje liczne lat swoich krzyżyki. W brwiach tylko czarnych i równych i w oczach równie czarnych a pełnych jeszcze ognia i blasku, mieściły się pewne jego młodości świadectwa, ale tym trzeba się było dopiero bliżej przypatrzeć. Graf był zresztą słusznój i smukłój postaci, a lubo budowa jego nie była pełna i okrągła, toż te niedostatki tak umiały pokryć sztuki francuzkiój wymyślność, że prócz tego kamerdynera każdy byłby przysiągł, że pan graf okrągłością swojej budowy nie ustąpi w niczóm Apollinowi. Jakoż i teraz dlatego zapewne, ażeby tajemnica jego kamerdynera nie stała się je

szcze i czyjąś inną własnością, lubo nie kazał pan graf do alkierza wpuszczać nikogo, zarzucił jeszcze puderman jedwabny, cielistego koloru a w pasy niebieskie, który go tak całego okrywał, że podczas kiedy na dole nic nie widać było, tylko końce szklących trzewików z brylantowymi sprzączkami, to nad pudermanem podnosiła się tylko ogromna silnie opudrowana peruka.

Kiedy pan podkomorzyc z swym dworzaninem, albo, jak go sam nazywał, wyrostkiem, wszedł do onego brudnego na prędcie na gabinet przerobionego alkierza, graf niespodziewając się nikogo obcego, ani się nawet oglądął; ale pan podkomorzyc postąpił dalej, a popatrzwszy dobrze w twarz onemu grafowi i poznawszy go, serdecznym głosem zawołał:

— Bartku! jak się masz!

— Que diable! — zawołał na to przestraszony graf i zerwawszy się z krzesła, podczas gdy lewą ręką puderman z przodu za- tulił, w prawą porwał krucicę i w groźnej stanąwszy postawie, zawołał: — Qui etes vous? que me voulez vous, monsieur?

Po tej odpowiedzi, której wcale się nie spodziewał na swoje serdeczne zapytanie pan podkomorzyc, trwała krótka chwila milczenia, po której pan Wincenty, głowę opuściwszy ku ziemi, rzekł tonem żalonym:

— Moi je suis ton frere, Barthelemy. — Ale na to jeszcze graf groźniej zawołał:

- — Cest n'est pas vrai! je nai pas de frere! vous etes un faux fróre qui m'insulte! — i równie groźnie patrzył obudwóm w oczy; ale śród tego spojrzenia wzrok mu zaczął się miękczyć powoli, twarz się mienić, a kiedy na ustach niedawno co gniewem ściągniętych, uśmiech osiadł łagodny, to i szczere uczucie serca w polskich odezwało się słowach:

. — Wicuś! jak mnie Bóg miły, to Wicuś!

— Widzisz! — zawołał na to znowu od serca pan podkomorzyc, — chodźże, niech cię uściskam! —i chciał mu się rzucić na szyję. Ale pan Bartłomiej zdaleka tylko rękę wyciągnął i tak się powitał, bo wiedział dobrze, że gdyby się był rzucił w sw<sup>T</sup>ego brata objęcie, to lubo może sercu byłoby się stało zadosyć, ale koszulka batystowa z koronkowemi żaboty i starannie upudrowana peruka byłyby takimi wyszły z tych braterskich afektów, że znowu z godzinę trzebaby było strawić nad nimi, nimby się mogły pokazać na zamku. Ale nie miał tego na uwadze pan podkomorzyc i smutno go przejęło to chłodne powitanie Bartkowe, a to tak smutno, że nawet nie wiedział od czegoby miał dalszą począć rozmowę. Ale wtem zaczął Bartłomiej:

— Mon cher, ja tu jadę twego ojca odwiedzić.

— Bardzo się cieszę z tego i ja i mój ojciec cieszyć się będzie, ale przedewszystkióm powiódz mi, jak się mon cher mówi po polsku?

Dziwnie się na niego spojrział Bartłomiej, ale rzekł zaraz:

— Za cóż mnie się o to pytasz, kiedy sam wiesz?, mówi się mój kochany, albo mój miły.

— Za cóż nie mówisz tak?

— Kiedym się tak przyzwyczaił w Paryżu.

f- To się odzwyczaisz od tego, bo to, jak ciebie kocham, bardzo głupio wygląda.

— Co! — zawołał znowu na to gorąco Bartłomiej, — nie spodziewam się przecież, żebyś mnie chciał nauki dawać na samym wstępie!

Spokojnie i dobronudownie patrzył na ten gniew pana Wincenty, a kiedy jego spokój pana Bartłomieja obraził do tego stopnia, że aż krucicą ową, dotychczas trzymaną w ręku, gwałtownie o stół uderzył, rzekł mu brat jego:

— Mój Bartku! dobry z ciebie chłopak jak anioł, wiem o tóim dobrze, bośmy przecie przez lat tyle na jednej ławie legali w Warszawie, ale widzę, żeś coś zadługoś się bawił tam gdzieś w Paryżu czy indziej. Nie moja rzecz jest dawać tobie nauki, jak masz co czynić i jak się zachować, ale kiedyś tutaj przyjechał i zapewne czas dłuższy zabawisz, bo choćbyś się i rwał jechać, to cię mój ojciec nie puści, radbym, aby ci się tu podobało i abyś się tu zabawił. Również nie miłoby mnie było, gdyby jaka śmieszność na ciebie upadła, boć to jedna krew w nas płynie i jednym się szczycimy klejnotem; tedy nie miój mi tego za złe, że ci dam jaką naukę,

— A no proszę, — rzekł na to Bartłomiej, — co z serca, to ja do serca.

— Tedy po piórwsze nie mów z francuzka, bo tu tego nie lubią i tak jest: kto ten język rozumie, ten widzi jako niewiele warta ta umiejętność i śmieje się z tego, który z nią lada chwila wyjeżdża, a kto zasie nie rozumie, ten nie rad, że się ktoś czem- ciś nad niego wynosi i jeszcze głośniej naśmiewa się z tego.

Uśmiechnął się na to pan Bartłomiej, a podkomorzyc mówił dalej:

— Powtóre widzę, żeś trochę gorący, a to także niedobrze. Z naszą szlachtą nie o każde słowo się zaraz obrażać i wołać na sprawy, bo tu ludzie nie oratory i często im się wrywa co takiego, co na obrazę wygląda, a u nich to żart jest od serca. U tych ludzi zresztą szabla jest zawsze przy boku, a na nięszczęście sławni są z tego po świecie, że się dla krotochwili bijają, więc lubo mnie to wiadomo, że i u ciebie serce jest męzkie i nie uciekasz od szabli, jednak zawsze to moją radą, żeby się nie nadstawiać, boby cię tu w lot zjedli, żeby i kosteczki nie pozostało.

Na to się jeszcze dziwniej uśmiechnął Bartłomiej, ale pan podkomorzyc zabrał głos nanowo, mówiąc:

— Mój Bartku, kocham ciebie jak brata i od serca rad jestem temu, żem się z tobą obaczył, ale jam się już lat kilka z rodzicami nie widział i bardzo mi serce do nich ucieka. Ubierajże

prędko i przyjeżdżaj do zamku, a tam przy wolniejszym czasie nagadamy się dosyć.

To rzekłszy, nachylił się przed nim i pocałował powietrze przed jego twarzą, a ścisnąwszy go jeszcze do tego za rękę tak szczerze, że aż stawy zachrobotały, zostawił paryzkiego eleganta przy toalecie, a sam z swoim wyrostkiem wsiadłszy na kpn, klusem popędził na zamek.

Na zamku było dzisiaj wszystko, jak bywało zwyczajnie. Podkomorzy siedział w swoim pokoju i przy otwartych na galeryjkę drzwiach szklanych tkał swój włóczek na ryby; kapelan siedział na swem krześle wyniosłem i nie już Chmielowskiego Ateny, ale czytał pisma św. Bernarda. Bieda zaś po staremu stał przy papugach, ażeby wrzaskiem nie przerywała czytania. Po środkowej komnacie przechodziła się tam i sam pani podkomorzyna i po odmówionych pacierzach frasobliwie się nad czemś namyśliwała, a na wielkiej galeryi w drzwiach otwartych stała po staremu Barbarka i niby patrząc a niby nie patrząc na górę stężnicą, zdawała się jednak na coś czekać albo czegoś wyglądać. I ani śniło się komu na całym zamku, żeby dzień dzisiejszy mógł w czem być odmienny od wczorajszego.

Wtem ze swoim konnym orszakiem wjechał pan-Wincenty w dziedziniec. Pierwsza go ujrzała Barbarka i poznawszy natychmiast, jak błyskawica, która nagle z chmur spokojnych wypada z krzykiem: Wicuś! Wicuś przyjechał! zbiegła po wschodach w podwórze i stojącemu już przy swym koniu bratu z płaczem się rzuciła na szyję. Na ten krzyk, matka, także sercu swemu nie mogąc się oprzeć i powagę odrzuciwszy na stronę, prędkim krokiem zbiegła na dół i nim się jeszcze własnymi oczami przekonać mogła, czy tak jest w istocie, .klęczącego już syna u nóg swych po macierzyńsku ścisłała • za głowę i włos jego w kędziory się zwijający rzęsistemi skrapiała łzami. Ale podkomorzy, krzyk usłyszawszy, nie zrozumiał go zrazu, rzekł więc tylko do kapelana:

— Zdaje mi się, że coś głośno w dziedzińcu.

— Obaczymy, — odpowiedział na to kapelan i ,powsćawszy, poszedł ku drzwiom otwartym, aby dojrzeć w dziedziniec. Ale nim on okulary zdjął z nosa, przez które nic nie widział w oddali i nim się przypatrzył jakie to konie, wiele ich i jaka przy nich jest służba, pan Wincenty, prowadzony przez siostrę i matkę, w burce, a nawet jeszcze przy szabli, leżał już ojcu u nóg i jakby dziecko dwuletnie płacząc, ścisłał jego kolana.

Syn mój kochany! dziecko moje jedyne! — wołał wzruszonym głosem starzec ten siwo-włosy, podnosząc ręce obydwie do nieba, jak gdyby najpierw podziękować chciał Bogu za tę chwilę radości, i zapewne po tym głośnym wybuchu rodzicielskiej miłości, byłby zaraz się jął do modlitwy, ale ledwie co podniósł syna. i serdecznie pocałował go w czoło, takie łzy rzęsiste się mu pu

ściły z oczu, że przez chwilę ani słowa nie mógł wymówić ten starzec.

Śród tego czasu pan Wincenty, ujrawszy o kilka kroków od siebie stojącego kapelana, który go wykolobał na swojóm ręku był jego nauczycielem i przewodnikiem jego lat pacholęcych, chciał się rzucić z powitaniem ku niemu, ale matka i siostra, trzymając go z tej i owój strony za poły, z wielkiej radości i szczęścia przytrzymały go i nie dały ruszyć się z miejsca, co ujrawszy kapelan, rzekł głosem także wzruszonym:

— Ciesz się już rodzicami, ja cię witam zdaleka, — i także łzy mu resztę głosu zalały. W tym momencie jeszcze i sługa stary, białowłosy i latami zgarbiony, który pana Wincentego piastował i służył mu w piór wszem jego polu na przejażdżkach i łowach, a dalej już nie mógł przez wiek i opuszczającego siły, przywłókł się do jegomościwego pokoju i milczkiem z boku zaszedłszy, z płaczem i jękiem prawie upadł mu do nóg. Więc ci, którym serce już uspokajało, w nowe łzy wybuchnęli i tak te łzy i wzruszenia, przez długą jeszcze chwilę władając całą balogrodzkiego zamku rodziną, nikomu nie dały ani słowa wymówić.

Wkrótce jednak uspokoiła się ta fala niezwykłego uczucia, a kiedy już jej miejsce zajęła tylko radość spokojna i wesoła świadomość szczęścia, pani podkomorzyna wyszła, ażeby jakieś dyspozycje poczynić w kuchni, ksiądz kapelan usiadł napowrót na swojóm krześle i z łez się ociórał. Barbarka stała o ścianę oparta i z ciekawością się przypatrywała stojącemu przed ojcem bratu, tylko podkomorzy chodził jeszcze trochę żywiej po izbie, mówiąc co chwila:

— Jak się cieszę, jak się cieszę, to ci ani umiem powiedzieć.

Po chwili jednak uspokoiwszy się już całkiem, rzekł do swego syna, biorąc go oburącz pod pachy:

— Siadajże kochany Wicusiu i powiadaj nam, co się z tobą działo przez tyle czasy; bo my nic ci nie powiemy o sobie, u nas wszystko jest po staremu, postarzeliliśmy się cokolwiek oboje z matką, aleśmy zdrowi i chwalimy Pana Boga, jako jest" w naszej mocy, a teraz jeszcze z weselszóm sercem chwalić Go będziemy, kiedy nam w niewyczerpanej swój łasce ciebie zdrowo i cało powrócił.

Powiadaj że nam co, synu!

— Z trudnabym ja mój ojciec — rzekł na to pan Wincenty — wszystko na raz objąć potrafił, coby się godziło powiedzieć, bo za lat tyle niemało się przeżyło wypadków, niemało znajomości poczyniło, niemało pozyskało przyjaciół i niemało niebezpieczeństw uszło za pomocą. Boską szczęśliwie... że dzisiaj, gdybym chciał łądem to wszystko wyliczać, trudnoby mi nawet miał wiedzieć, od czego zaczynać.

— To zaczynaj od końca — rzekł na to ojciec.

Tom ix.

— Tak to podobno wypadnie—mówił dalej pan podkomorzyc— i najpierwój powiedziec rzecz która jest najsmutniejsza.

, No, i cóż to być może? — zapytał niecierpliwie pan Karsznicki.

— Oto, że ta wszystka moja służba, wszystkie usiłowania, wszystkie prace i koszta z woli Pana Boga i panów na nic się nie przydały.

\* — No to i tak dobrze jest moje dziecko — rzekł podkomorzy; — to jest tylko służba uczciwa, Panu Bogu i ludziom przyjemna, która wypełnia się z obowiązku i na żadne się nie obciera nagrody, a kiedy w czasie za to przyjdzie jaka nagroda, niechaj ona będzie tak jako darowizna i rzecz należona przez szczęście i łaskę Bożą, ale nie jako żołąd wyplacony najemnikowi. Zresztą tak, kiedy byłoby tobie dano jakie beneficium, byłoby dobrze, a kiedy niedano, to i tak dobrze; i tak musiała się stać sprawiedliwość, bo musieli być inni jeżeli nie zacniejsi to potrzebniejsi przed tobą.

— Nie przeczę ja temu, mój ojczcie —mówił smutno i prawie z żalem pan Wincenty — że na tylu ludzi, ilu ich się tam teraz ciągle garnie do tej partyi ukraińskiej, nie jeden musi być i za- cniejszy i zasłużeńszy odemnie, i jeżeli taki wziął co przedemną, to mnie wcale żal o to nie jest. Ale był zasie taki, który i nie- wiedziec z jakiego wyszedłszy gniazda, ani się tak wyniósł nad inne rycerką, ani dowcipem nikogo nie olśnił, ani cnotami zasłynął, ano sztuką a pochlebstwem około panów rzecz swoją foryту- jąc, i cnotliwe i szlachetne i rycerskie daleko za sobą zastawił. I to mnie jest i będzie żal wieczny, mój ojczcie, że jakom teraz zbliżka obaczył, i u nas, tak jako niegdy w onych państwach swawolnych a zepsowanych, więcój poczyną u starszych kunszt choćby jaki i pochlebstwo, niżeli cicha cnota i rzetelna zasługa.

— Chowaj cię Boże, Wicusiu — zawołał na to pan podkomorzy — tak nie mów; bo niechby jeno kto dwa słowa takie z ust twoich posłyszał, rychłoby ciebie posadził pomiędzy onych młokosów pustych a zadufałych, którzy niczego tak nie ^umieją, jak przyganiać uczynkom starszych. Człek roztropny, służy wiernie i bez przestanku i nigdy w to swym rozumem nie wchodzi, sprawiedliwie-li sążzone są jego zasługi, albo niesprawiedliwie? Jest bowiem taki, który w to kiedyś wejdzie i wszystkie starsze i najstarsze z ich sądów osądzi — a który ze służących a zasłużonych tu nie dostał starostwa, ten ma jeszcze za to swoje własne sumienie, które więciej warte niż najlepsze starostwo! Więc i tak dobrze, moje dziecko kochane; mnogość dóbr ziemskich nie uściela drogi do pozyskania niebieskich, a waszeć nawet nie wiem cobyś teraz robił z tem tam zasłużonem starostwem, bo już i tak one dobra ruskie jako kania deszczu, tak na ciebie czekają. Powiadajże mi dziecko, jako ci tam było w tej służbie?

— Będziemy mieli jeszcze dosyć czasu, mój ojczcie, nagadać się

O tem — rzekł na to pan Wincenty — a teraz raczej powiem ojcu, że będziemy mieli jeszcze jednego gościa dzisiaj na balogrodzkim zamku.

— Któż to taki? — zapytała ciekawie przysłuchująca się tój całej rozmowie Barbarka.

— Jedzie tu do nas Bartek Karsznicki — odpowiedział pan Wincenty — ale aniby go ojciec poznał, tak niepodobny do siebie.

— Bartek, syn pana marszałka? — zawołał pan podkomorzy — a gdzież jest?

— Jest w gospodzie w miasteczku i tam się przebiera.

— O! bardzo się cieszę, bardzo, jego ojciec, acz mi nie był rodzonym jeno przyrodnim, jednak zawsze wiele, bardzo wiele ma serca u mnie. Zaczny tóż to mąż był, Panie świóć jego duszy! a mądry, a uczony, że rzadko książki, któraby tak pisała, jak on mówił. Był też za to dwa razy marszałkiem trybunału w Piotrkowie. Ale to Bartek musiał już wyrósć, mąż z niego a nie pacholę; bardzo, bardzo ciekawy go widzieć, boć to już pięć a sześć, jedenaście lat temu jak był z ojcem u mnie w Kolińcach.

— No i niema co mówić, jeno że to zawsze afekt jest piękny, nawiedzić stryja o mil pewno pięćdziesiąt — dodał pan Wincenty.

— A tak, pięćdziesiąt i to na dobrą miarę — rzekł na to ojciec — e! ale to nie sam afekt musi go tu przywodzić...

— A cóżby takiego? — zapytała Barbarka.

— Jest w tóim i co innego, odpowiedział pan podkomorzy — i założę się o to, że tak jest. Przed dwoma laty umarła jak wiecie ciotka moja, ba i jego a wasza babka, pani podstolina poznańska. Pani ta zmarła w lat kilka po swoim mężu, a zmarła bezdzietnie i zostało się po niej dwa folwarki tam gdzieś na Wielkopolsce, które prawem boskiem i ludzkim na mnie przypadają

1 na pana marszałka. Jakoż przypominam sobie, że zaraz wtenczas jakiś Bartka opiekun, którego nazwisko już mi wypadło z pamięci, pisał do mnie, ażeby tam przyjeżdżał i brał połowę onej po podstolinie spuścizny. Odpisałem mu oczówiście verba -oeritatis, bo czy jest to sumienie mnie starego chcieć tłuc po drogach, z jakie Sto mil potężnych dla jakiegoś tam mospanie folwarku, i czy ja to golec taki, żebym, choćbym był w innym wieku i przy le- pszem zdrowiu, zaraz leciał po jakieś tam dywidendy z spuścizny!... Owóz tedy jmc pan Bartek, który natenczas był w cudzych krajach, musiał powróciwszy coś z tóim uczynić, i teraz przy afekcie albo po radę jedzie, albo przywozi pieniądze.

- —'Ale co to się z tego Bartka zrobiło, mój ojcie! to ani do uwierzenia! — mówił na to Wincenty; a wtóm gwar się zrobił w dziedzińcu i z hukiem a trzaskiem grafowski powóz w samej rzeczy zajechał przed ganek.

Na ten głos syn wyglądnąwszy przez okno, rzekł do ojca: — Owo już są nasi goście; — Barbarka wybiegła - przez drzwi szklane

w galeryą, ksiądz kapelan także z ciekawości się ruszył, ale pan podkomorzy został na swoim miejscu, mówiąc:

— A no, obaczmy, co się to z niego zrobiło. Idź Wicusiu naprzeciw.

Tymczasem pan Bartłomiej lekką nogą wyskoczywszy z karety, oglądnął się naokoło, mruknął coś sobie pod nosem i wszedł do sieni. Miał on na sobie tą razą suknię ogoniastą aksamitną szafirowego koloru, dosyć wciętą do stanu, białym atłasem podszytą a z wierzchu suto złotymi haftami bramowaną; pod tą suknią miał kamizelkę białą wełnianą, także subtelnymi kolberty- nami błyszczącą, z pod której dziwnie cieniuchna wyglądając koszula, tak delikatnymi była ozdobiona robotami, że się nie zdawały być z przędzy, jeno z mgły jakiejś utkane. Dalej miał na sobie Bartłomiej z tóż samej materii co kamizelka skąpiuteńko ukrojone pluderki, białe jedwabne pończochy i jak dwa zwierciadła tak szklące delikatne trzewiki, brylantowymi pospinane sprzączkami. Ubiór ten uzupełniała jeszcze cieniuteńka szpada u boku, mały trójgraniasty pod pachą kapelusz, starannie wygładzona peruka i woń piżma i larenogry, która się tak roznosiła od niego, jako mgły się roznoszą od gór naszych na słątę. Tak ubranego zdybał go pan Wincenty na wschodach i powitawszy serdecznie, prowadził wprost na ojcowskie pokoje.

Pan podkomorzy już od chwili siedział w swem krześle i z pewną niecierpliwością patrzył w drzwi pootwóbrane na przestrzał. I jak on sobie tam to odmienienie się Bartka wyobrażał, tego trudno odgadnąć, ale to pewna, że kiedy mu się zdaleka obiedwie te wchodzące figury pokazały przetań raz oczy, kiedy byli w jego kancelaryi przetań drugi raz oczy, a kiedy już pomiędzy papu- ziemi kłatkami statkami stanęli, pan podkomorzy zerwał się z krzesła i zawołał:

— Tfu! do biesa! a toż co takiego!

Barbarka się cofnęła zdziwiona, ksiądz kapelan osłupiał na swoim miejscu i w tem osłupieniu krzyż położył na swoich piersiach. Tymczasem pan Bartłomiej, obróciwszy się do Wincentego, rzekł dosyć głośno:

— Proszę cię, Wicusiu, zaprezentuj mnie ..twemu ojcu. — Ale podkomorzy tuż na to:

— A na Co tu prezentacyi! dosyć tego, co oczy widzą.

Na te słowa stanął Bartek zadziwiony i chmurny i obróciwszy się znów do swego brata, rzekł:

— Cóż to jest takiego! ma fot/ je ne congois pas ga.

— A toż co znowu? — zawołał zasie na to pan podkomorzy i spojrział na Wincentego, ale ten czy to znak jaki dał swemu ojcu, czy mu nawet co szepnął, nie wiedzieć, dosyć że podkomorzy zaraz przystąpił do pana Bartłomieja i ująwszy go jedną ręką za szyję, pocałował go w prawy policzek, i rzekł:



—' Kocham ciebie, mój Bartku, tak jak mojego własnego syna, ale mnie wielki żal jest za tobą.

— A to czemu, mój stryjasku kochany? — zapytał pan Bartłomiej, — przecież. nic złego stryjaskowi nie zrobił.

— Ej! ej! — mówił podkomorzy z kwaśną miną, przechodząc się po pokoju, — wszystko tak robicie, że jeno płakać nad wami. Myśmy krwawo na to pracowali za młodu, ażeby wam dobry kawałek chleba zostawić, aby wam przykład jeszcze i ze siebie przekazać, a was wicher nosi po świecie, pstroczyna zasiada po głowach, pustki w sercu.

— Nie rozumiem, co stryjasek chce przez to powiedzieć? — rzekł na to z grzecznością Bartłomiej.

— Ej! ej! już mam dosyć, — mówił dalej pan podkomorzy.

— Mój stryjasku! — rzekł na to z wielką cierpliwością Bartłomiej, — przykro mi to jest bardzo, że piórwszy wstęp mój w dom stryjaska dobrodzieja, zamiast od złożenia jemu powinnego uszanowania, muszę od oracyi pro domo mea zaczynać; ale przykrzej mi to nie równie, że zamiast mojem przybyciem sprawić stryjaskowi ukontentowanie, widzę żem mu przyniósł zgryzotę.

— Pfe! pfe, — zawołał na to pan podkomorzy, — tego nie mów! jak mnie Bóg miły, że tak się cieszę że ciebie widzę, jak gdybym twego ojca nieboszczyka oglądał: — i objąwszy go oburącz, uściskał go serdecznie, a podczas kiedy Bartek już nawet ani na perukę swoją nie uważając, ani na żaboty, jak mógł tak oddawał uściski, podkomorzy zakończył:

— No, siadane, mój Francuzie, siadaj, już ci ani słowa nie powiem o twoim ąfoju.

— Ale ja teraz powiem, — rzekł na to Bartłomiej, siadając tak, aby był frontem obrócony do panny Barbary, — ale ja powiem, bo bym się rad wytłumaczyć z tego, o co mnie stryjasek obwinia, a czemu ja może nie winieniem. Otóż wiadomo jest stryjaskowi, że lat temu już więcój jak dziesięć, jak mnie sam ojciec odwiózł na dwór króla Leszczyńskiego, abym się tam w szkole urządzonej przez niego wyuczył i uformował. Dobry pan ten kazał mnie przyjąć do swojój szkoły i byłem tam przeszło pół roku, ale później różne okoliczności tak zrządziły, żem się musiał ztam- ,tąd sam przenieść do Paryża. W Paryżu chodząc na akademią, musiałem żyć z Francuzami. Cóż naturalniejszego, że żyjąc z nimi i przejąwszy ich mowę i obyczaje, przejąłem także ich ubiór? Późniój mieszkając w Paryżu, już jako kawaler, ile że ciągle utrzymywałem kompanią z francuzką młodzieżą i z nią razem prezentowałem się po wszystkich domach a nawet na dworze królewskim, tem konieczniejszym stał się dla mnie ten ubiór, jakoż przyzwyczałem się tak do niego, jak gdyby był mój Własny narodowy. -Z tem przyzwyczajeniem przyjechałem do kraju i jestem tutaj do- pióro pół roku; noszę na sobie te suknie, bo prawdę mówiąc, na

wet nie mam wyobrażenia, jak brać żupan na siebie, jak pas zawiązywać, jak karabelę przypasać....

— Patrzajże! — zawołał na to pan podkomorzy.

— Ale chociaż tak jest, nie idzie zatem, ażebym się już za miesiąc nie miał tego nauczyć i rzuciwszy ze siebie francuzkie jedwabie, nie miał się ubrać w taki żupan karmazynowy i żółte buty, jak je ma na sobie stryjasek.

Tym zręcznym zwrotem swojej oracyi trafił w samo serce podkomorzego Bartłomiej, i już nie potrzeba było niczego więcej; już on afekt jego pozyskał i mógł być pewnym, że lubo boleśnie był przerażony stryj jego pierwszym francuzkiego ubioru widowiskiem, po tych kilku słowach już o wszystkim zapomniał, a nawet tak swego synowca z tej wady u siebie tłumaczył, jakby tego nigdy nie potrafił być sam Bartłomiej.

Przyzwyczajonym do tego, ażeby w ludziach, noszących strój cudzoziemski onego czasu, nie widzióć nic tylko fałsz na ustach i w sercu, chytróść, obłudę i najpodlejsze zepsucie, będzie się zapewne wydawać, że to był fortel tylko i kłamstwo wierutne ze strony kartka, kiedy powiedział że niemasz nic podobnego, ażeby się lada dzień przebrał w kontusz i karabelę przypasał. Ale tak nie było w istocie; jakoż musimy tutaj zaraz wziąć Bartka w obronę przeciwko takim i tym podobnym zarzutom, bo jakkolwiek bądź może nie mało w nim znajdowało się złego, jednak nie był to jeszcze człowiek onój szkoły obrzydłej, z której w kole fartuszkowej dyplomacyi paryzkiej dowcipu a na książkach Woltera i innych sceptyków tego wieku, rozumu się ucząc, powychodzili potem oni perukowi filozofowie i eleganci, którzy jakby drugim potopem zaleli Polskę onym bezrozumnym racjonalizmem i obyczajowem zepsuciem, które do dziś dnia jeszcze swoich zgniłych nie przestaje wydawać owoców.

^ Bartek był to całkiem innego rodzaju elegant. Bartek z przyrodzenia miał charakter otwarty, serce czułe i śmiałe i ono delikatne w tóć sercu uczucie, które z pierwszego wejrzenia zaraz umió trafnie rozpoznać co złe a co dobre, szlachetne a nieszlachetne, piękne a brzydkie; oprócz tego miał jeszcze Bartek pojęcie dość bystre, w charakterze energią i upór, a wraz z tem wszystkim krew tak gorącą i w niój taką porywczóść, że jeszcze w domu ojcowskim będąc, ledwie nie co kilka dni coś zrobił takiego, co srodze frasowało statecznego pana marszałka. Pan marszałek był to człowiek doma chowany, ale mający przeto niemało znajomości z książkami, a ponieważ do tego jeszcze udało mu się za młodu przyczepiać koleją do kilku posłów, na zagraniczne dwory przez króla albo rzeczpospolitą wyselanych, więc zaczerpnął też w tych podróżach cokolwiek cudzoziemskiej oglądy i ożeniwszy się potem i w kraju osiadłszy, należał do tych ojców, których już się nie mało jawiło za panow<sup>T</sup>ania Sasów, a którzy jaknajusil- niej starali się o to, ażeby swoim synom jaknajwykwintniejsze,

a wedle ich zaś wyobrażenia koniecznie za granicą dokonana, dać wychowanie. Długo się tedy mozolił w domu pan marszałek z swym Bartkiem, a kiedy potćm oddawszy go do konwiku w Warszawie, widział że i tam nie dają mu takich nauk, jakich dla niego pragnął, to ledwie tenże kilkunastu lat wieku dochodził, począł jaknajusilniej starać się o to, ażeby go mógł w onej szkole, którą książę lotaryński dla młodzieży polskiej swoim sumptem w Lunewilu urządził, pomieścić, bowiem na niezliczoną liczbę kandydatów do tego nie było podobno miejsc więcej jak dwanaście; jednakże przez różne protekey i ofiary uczynione przez siebie, udało mu się przecie dokazać tego, że król filozof raczył łaskawie wejrzeć na jego prośbę. Jakoż mającego już lat siedemnaście syna swego odwiózł sam do Lunewilu marszałek. Ale na nic się-to nie przydało. Żartkiej bowiem fantazyi i niespokojnego serca Bartłomiej, już wpół roku pobytu swego na dworze królewskim zaplątał się w jakieś miłostki z jednego ze sług dworskich córeczką, a gdy ta panienka była już pewnemu Francuzowi tak dobrze jak zaręczona, tajemnica wnet odkrytą została i przyszło pomiędzy rywalami do zwady. Bartek, czy to przez miłość dla panny, czy przez upór, czy przez ono uczucie honoru, które nie dozwala dać się z kwitkiem od żadnego, przedsięwzięcia odprawić, poprowadził tę zwadę tak daleko jak tylko było można, a kiedy przeciwnik jego był równego jemu usposobienia, więc się skończyło na tem, że obadwa, wzięwszy pistolety do ręki, stanęli na plac oznaczony. W tym pojedynku zaraz Bartek miał to nieszczęście, że ranił swego przeciwnika w pierś samą i ranił śmiertelnie. Pojedynek prawie pod bokiem królewskim nie był tam wprawdzie sprawą gardłową, ale jednakże Bartek nie miał już co dalej robić na dworze. Napisał tedy list do ojca, w którym do wszystkiego się przyznał, a sam do Paryża niby to na akademią wyjechał. Pan marszałek bardzo się tą wiadomością sfrasował, ale ponieważ koniecznie chciał dać osobliwe wychowanie swojemu synowi, więc go nie brał z Paryża, jeno mu kazał tam chodzić na akademią. I Bartek rzeczywiście zrazu zaczął chodzić na kursą, bo miał w sobie dobre serce i radby był ojcu dogodzić; ale nie tak to łatwo chodzić na kursą w Paryżu jak w Warszawie. W Paryżu było wtenczas jak zawsze mnóstwo różnej młodzieży, która z całej Francyi się pozbiegawszy, taki bogaty pomiędzy sobą dawała wybór cudzoziemcowi, że nawet nie wystarczało czasu na samo zabieranie tych znajomości i ich utrwalenie; w Pa<sup>^</sup>żu, pomiędzy jedną częścią tej młodzieży, był duch taki ognisty, że o wiele w kąt przed nim iśćby musiała wszelka szlachecka choćby naj- ognistsza fantazyja; w drugiej zaś połowie puszczały się już pierwsi listeczki onej wolnomyślności i duchowej swobody, która później przez Woltera i jego kolegów ze wszelkich rozkielznana hamulców, stała się wściekłością rozpalonego rozumu. Ale pierwsze jój tchnienia były bardzo wonne i powabne dla szlacheckiej i nie-

szlacheckiej młodzieży; jakoż dając jej wszelką wolność w obyczajach i życiu, i akademikom także się spodobały, zwłaszcza też tym, którym lepiej smakowały zaufkowe miłości, wesołe kawalerskie biesiady, ćwiczenia się w broni i osobistej odwadze, niżeli kursą na akademii. Z taką tedy młodzieżą przeżył Bartek lat kilka w Paryżu, a była to rzeczywiście młodzież ekscentryczna i pod wielu względami niepospolita. Więc niekoniecznie główne- mi cechami jej ducha były wolność sumienia, sceptycyzm w rzeczach religii, życie swobodne i nieraz rozpustne, wygórowane uczucie osobistego honoru, skłonność do burd i do pojedynków, ale główniejszą może jeszcze od tych cechą jej ducha była ta, która ze sumy tamtych wyniknąć musiała, a to jakiś nieustający niespokój duszy, pragnienie czegoś nieświadomego, nigdy nie uspokojone ni ugaszone, lekceważenie sobie życia i ona dziwnie do wysokiego stopnia doprowadzona awanturniczść, która potrafiła wydać takiego księcia Karola de Nassau.

W takiej tedy szkole przepędziwszy lat kilka, Bartłomiej nauczył się wszystkiego, czego się mógł tylko nauczyć, jego duch prędki i porywczy z natury stał się tam jeszcze więcej prędkim i więcej porywczym, odwaga jego się wzmocniła i na pewnej stała potędze, jego serce wydelikatniało a raczej rozdrażniło się w onój wygórowanej ambicyi i uczuciu osobistego honoru, jego sumienie zupełnie rozwblniało w rzeczach wiary, obyczajów i życia, jego głowa napełniła się najdziwaczniejszymi pomysłami i wyrobiła w sobie tak silną ekscentryczność, na jaką ją tylko stać było. Dalój, nauczył on się także bić na wszystkie sposoby, za nic sobie ważyć to życie i mieć sobie za pewną zabawkę stawiać je na kartę; oswoił się z niebezpieczeństwami i tęsknił już czasem za niemi; jednakże pomimo to, że się tam tego wszystkiego nauczył, czego się mógł nauczyć, nie zapomniał wszakże wszystkiego, co ze sobą przyniósł z domu a co mógł łatwój zapomnieć. Więc pozostała w nim jeszcze pewna względność sumienia w sprawach takich, gdzie o cudze życie chodziło; pozostała mu pewna prawosć w sercu, która zawsze się odezwała, jeżeli jój jaki opór nie zwalczył, albo nie zagłuszyło dziwactwo. .

Jednakże i tego jeszcze byłby Bartek z sobą nie wywiózł z Francyi, i byłby pewno stał się żadnego względu na nic nie mającym awanturnikiem całego świata, gdyby nie czysty wypadek. W kilka lat bowiem szalonego chodzenia na głowie po Paryżu ze swymi kolegami, umarł Bartkowi ojciec. O tym wypadku Bartek się dość późno dowiedział, i zasmuciło go to bardzo, i od- strychnął się na czas jakiś od swoich kolegów. W tej samotności i smutku zastanowił on się cokolwiek nad sobą, a zastanowiwszy się, poznał niebawem nietylko całą nizkość takiego życia, jakie dotąd prowadził, ale wkrótce i to, że będąc teraz' jedynym dość znacznego majątku dziedzicem, może się rzucić w inne koło towarzyskie Paryża i innych sobie znaleźć kolegów. Jakoż niebawem

rozkazawszy sobie przysłać gotowizny pozostałe po ojcu, urządził się całkiem inaczej i postawił się na stopie kawalera szlachcica. W tym charakterze porobił nowe znajomości, wyrobił sobie wstęp do wielu domów magnackich, prezentował się na dworze królewskim. To nowe życie i ocieranie się o ludzi .celujących wykwin-tnością i smakiem, starło z niego niejedną szorstkość, spomiędzy niewyborowymi kolegami i w akademickich estaminetach nabytą, i lubo nie zabiło w nim jego junackiego ducha, ani odmieniło dzikiej jego fantazyi, jednak dało mu pewną powierzchowną ogładę. Wkrótce potem, skłonność serca ku pewnej znakomitego- urodzenia i sytuacji damie powzięta, odsunęła go jeszcze bardziej od dawniejszych nałogów<sup>^</sup>. Miłość ta atoli, lubo trwała lat parę i kosztowała Bartka kilka pojedynków, kilka dalekich po Anglii i Italii wędrówek i kilkanaście tysięcy dukatów, nie została doprowadzoną do żadnego statecznego celu; przeciwnie nawet, miłość ta zakończona przeniewierzeniem się tamtej strony, jego już poważnioc zaczynające opinie o kobietach, o miłości, a ztąd o ludziach i o świecie, napowrót strąciła w on dziwny zamęt i niestateczność, w której one przez jego pierwsze lata pobytu w Paryżu się wyrabiały. A kiedy po zakończeniu się tej miłości Bartek, do Paryża wróciwszy, nanowo się rzucił w ono dawne swoich przyjaciół grono, aby tak jako pierwaj żyć każdym dniem dzisiejszym bez troski o jutro, uczuł już czczość jakąś w sobie i zatęsknił za jakąś nowością, a ponieważ po tak długiej niebytności w domu, już mu się jego ojczyzna wydawała nowością, więc sprawił sobie powóz nowy, kupił cztery maściste konie, wziął swojego Etienne'a ze sobą i powrócił na zagon rodzinny.

I pomimo tej nieszczęsnej miłości i unudzenia się Paryżem, nie był wcale Bartłomiej jeszcze jednym z onych moralnie i fizycznie przeżytych paniczów, którzy później szemi czasy do nas przybywali z Paryża; jego serce nie strupieszało jeszcze wśród paryzkiej rozpusty, ani się wyczerpało w uczuciach wśród opinij skeptycznych, ani się wyzuło zupełnie z zapału i szlachetności, ani się napoiło skrytością, obłudą i fałszem; owszem, i serce jego i umysł miały całą rzeźkość młodzieńczą, całą otwartość szlachecką, całą odwagę mężką, a lubo te wszystkie cnoty, jakby paciorki jakie nanizane były na nitkę dziwaczności i awanturnictwa, a ta nitka była czy-ście z francuzkiego uprzedzoną jedwabiu i z winy tej nitki sameż paciorki innej nabiórały barwy i blasku, toż to raczej było winą okoliczności, niżeli samego Bartka.

Tak cokolwiek bliżej zapoznawszy się z pana podkomorzego synowcem, możemy mu już śmiało uwierzyć, że jeżeli powiedział że niemasz nic w tóm niepodobnego, ażeby wkrótce wdział na siejaie żupan i kontusz, nie miał wcale chęci kłamstem kaptowania sobie serca swojego stryja; jakoż i jasno nam teraz będzie, dla czego Bartek, kiedy go pan Wincenty ostrzegął, żeby był ostrożny

z tą szachtą, która zjada ludzi jak wróble, nic na to nie mówił, tylko się skromnie uśmiechał. Potem powracamy do rzeczy.

Po takim przemówieniu się z podkomorzym, Bartek zadowolony tem, że nie zostawił stryja swego w niepoehlebnej o sobie opinii, zapuścił się w nim w dalszą rozmowę, w której zaraz na wstępie mu oświadczył, że lubo tylko szczerzy afekt i chęć złożenia swojego szacunku przywiodła go do Balogroda, jednak ma przy- tem i sprawę, a to ułożenie się względem wiadomej po pani pod- stolinie sukcesyi, której wiarogodny inwentarz przywozi ze sobą. Mówiąc o tej sukcesyi, wspomniał nawiasem, że zupełnie pragnie stryjowi do woli zostawić wybór pomiędzy ziemią a gotowizną i lubo sam wolałby grosz gotowy, niżeli kłopot gospodarski z od- dalonemi od siebie wioskami, toż jednak jeżeliby to miało być stryjowi jeszcze niedogodniejszym, gotów jest ziemię wziąć na siebie, a natychmiast po obliczeniu się stryjowi część jego w goto- wiznie wypłacić. Czóm nietylko ujął podkomorzego dla siebie przez to, że, się ofiarował uwolnić go od onych gospodarskich na dalekich wioskach kłopotów, ale zarazem dał mu dobre wyobrażenie o sobie, jako o człowieku gospodarnym i mającym gotówkę.

Śród tój rozmowy Barbarka pilnie się przypatrywała Bartkowi. Niezgrabną i mało okrzesaną wydawała się jej młodzież sanocka; znała ona zgrabniejszą i polerowniejszą w tamtych ziemiach, w których się urodziła i wychowała, ale jednak tak gładkiej, tak polerownej, wymownej i ugrzecznionej, do jakiej na pierwszy rzut oka trzeba było policzyć Bartka, nigdzie jeszcze nie zdybywała. I oglądała ona jego figurę pilnie, przypatrywała się wykwintności jego ubioru, przysłuchiwała się uważnie jego słów doborowi i wszystko ją to dziwiło i zajmowało coraz więcej, aż póty, póki Bartek nie skończywszy z podkomorzym rozmowy, nie zapytał się pana podkomorzego, na nią samę wskazując:

— A to jest córka stryja dobrodzieja, jmc panna Barbara?

Na te słowa podkomorzanką się zapłoniła nie żartem, a skoro tylko jój ojciec zapytanie synowca potwierdził, wstał on ze sw^ego miejsca i przybliżywszy się do niej, rzekł śmiało:

Cieszę się bardzo, że przecie raz los mi dozwala poznać jmc pannę i przeto zaspokoić najgorętsze, jescząc mojego pacholącego serca pragnienie, a zaspokoivszy je, cieszę się jeszcze sto razy więcej, że moję siostrę stryjeczną zastaję tak piękną, jakiej w tak dalekich po Europie podrózach może ani jednej widzieć mi się nie zdarzyło.

Nie spodziówając- się wcale Barbarka takiego powitania od Bartka, pierwszy raz może w życiu zostałaJ dłużną odpowiedź; jakoż nawet zapłoniwszy się jeszcze bardziej, ani dawała po sobie nadziei rychłego ust otworzenia; co zauważywszy, Bartłomiej dodał natychmiast:

— To milczenie jmc panny stokroć mi jest milszem, niż najwymowniejsza odpowiedź; bo podczas kiedy każda odpowiedź mi-

siałaby być rzeczą ludzką i całę zwyczajną, to milczenie jest bo- skiem i nad wszelkie wyrażenia zachwyca. Kobiety, które kształtnie mówią i wiele mówią, jak to się dzieje we Francyi, przyprowadzają nakoniec do tego, że nami władną powoli, ale One tego nie wiedzą, że milczenie różowym okraszone rumieńcem, od razu nas do nóg im rzuca i przykuwa na wieki.

— A jak to gada! a jak to gada! jakbym książki kto czytał;— rzekł na to podkomorzy, wysłuchawszy wszystkiego z uwagą, a podczas kiedy Barbarka jeszcze się nie mogła zdobyć na żadną odpowiedź, Bartek zręcznie się zwrócił do podkomorzego i rzekł półgłosem:

— Jak honor kocham, tak jest piękną panna Barbara, jakich mało widziałem.

— Bogdaj ciebie! — rzekł na to podkomorzy uradowany, biorąc go oburącz za ramiona, a pocałowawszy go w czoło, dodał:

— No, chodźcie chłopcy, pójdziemy, do matki.

Pani podkomorzyna, przestrzegając jaknajściślej we wszyst- kiem godnośćLiłPmuJ^t^kiety, luboby już dawno była wbiegła napo wrót do męzowskich pokojów, aby się syna cieszyć widokiem, nie uczyniła tak jednak dlatego, że gość nowy przyjechał i to gość taki, którego obowiązkiem było ją przyjść powitać. I dlatego, kiedy ci panowie wraz z dziwnie jakoś usposobioną Barbarką, weszli do gościnnej komnaty, zastali panią domu siedzącą już na kanapie ,i ich czekającą.

Tój familijnój rozmowy, która dnia tego przez cały wieczór trwała na balogrodzkim zamku, nie będziemy tutaj powtarzać, to tylko wspomnióc musimy, że Bartek, lubo nie rada była temu pani podkomorzyna, że ktoś do jej rodziny należący, na swoich barkach wnosi takie nowatorstwa do kraju, jakimi są strój i język francuzki, jednak dosyć się jej podobał, a podobał jej się raz ze swojej energii i męzkości charakteru, z którą zaraz przy każdej bliższój rozmowie się zdradzał, a powtóre z grzeczności, delikatności i uszanowania, które zachowywał dla kobiet. To samo co matka, zauważyła w nim i panna Barbara, a kiedy teg© wieczora jeszcze usłyszała ód Bartka kilkanaście takich grzeczności, jakimi ją przywitał na wstępie, to idąc spać jeno ręce zatarła z radości, a przy rozbieraniu się rzekła do siebie półgłosem: —■ Już ty będziesz miał teraz za swoje, panie stolnikowiczu.

Wyobrażenie Bartka o kobietach nie były bardzo dla nich pochlebne; nie zgadzał on się w tej swojej opinii ani z tymi kolegami swoimi, którzy kobiótę podnosili do ideału i widzieli w niej pół-boga; ani z tymi, którzy się w sielankowych roznosząc uczuciach, służbę około nich z takim sprawowali respektem, jako oni kapłani, którym powierzony jest do strzeżenia jaki płomień we- stalki; ani z tymi nakoniec, którzy tę służbę uważali za główny obowiązek każdego młodzieńca, za najśodsze i najważniejsze w tem życiu zajęcie, a nagrodę z ich rąk otrzymaną za najwyższe szczę

ście na ziemi. Bartek -był grzeczny i usłużny dla kobiet, bo się wychował w Paryżu i wiele czasu strawił na takim dworze, gdzie bez grzeczności i czułości dla kobiet nie byłby ważny ani za ludzkie stworzenie; mając atoli głowę nabitą różnemi ważniejszymi myślami i serce zdolne do wznioślejszego zajęcia się i stateczniejszych zapalów, komplementa swoje' powiadał i umizgi czynił li żartem i dla zabawy, a dopiero jeżeliby ktoś żart jego brał koniecznie za prawdę, albo gdyby zaś ktoś z boku chciał mu w jego kro- tochwilnych umizgach kłaść jakie tamy i przez upór zawadzać, dopiero wtenczas jego żart stawał się prawdą dla niego, a niewinna przedtem zabawa często najważniejszem wszystkich sił jego zadaniem.

W dniach następnych Bartek zawsze był pełen komplimen- tów dla panny Barbary, można nawet powiedzieć, że się do niój zbliżał dość chętnie i z pewnym zajęciem; bo go bawiła ta panna domowego wychowania, trochę szczóra, trochę rubaszna, a przy- tem dowcipna i piękna, — takiej damy nie widział on jeszcze nigdy na życiu; ale Bóg jego był świadkiem, że- w tój robocie, nie miało nateraz udziału ani jego serce, ani jego umysł, ani próżność, ani nawet żadne zachcenie. Była to czcza zabawa dla niego i nic więcej. Uważał on wprawdzie to, że panna Barbara nie z odrazą przyjmuje te komplementa, i to go tak ośmiało, że z każdym dniem ich porzucał jej więcej i śmielszych. Dziwiło go trochę wychowanie tej panny, więcej męskie niżeli kobieco, więc unosił się nad jój umiejętnością strzelania, jeżdżenia na koniu, trzymania sług w posłuszeństwie; zastanawiał go jej charakter, który mu się przez różne drobne domowe zdarzenia to odsłaniał, to znowu zakrywał, i bawiło go to, i zajmowało i wprowadzało w coraz większą ciekawość, ale zawsze była to dla niego czcza zabawka i kro- tochw<sup>T</sup>ila.

Barbarka zaś, przyjmując ciągle od Bartłomieja grzeczności i tem go ośmieliwszy do siebie a niby przyuczywszy do służenia sobie o tyle, o ile jej tego na coś było potrzeba, już była tem zadowolona do syta i czekała tylko z niecierpliwością, rychło się pokaże pan stolnikowicz. Ale stolnikowicz nie przyjeżdżał i tych dni nie mógł nawet przyjechać, bo go dnie pierwsze robót wiosennych właśnie pociągnęły do drugiój wsi swojej, do Rogów, gdzie mu przyszło nowych sług przyjmować, nowy ład w gospodarstwie zaprowadzić i dni kilkanaście się przytem zabawić.

Tymczasem to od sług zamku zahoczewskiego, to od balo- grodzkiój publiki wyszła i prędko się rozeszła po całych górach wieść o jakichsiś dziwnych cudakach, którzy na balogrodzki zamek przyjechali w gościnę. Szlachta, słodkiego wczasu zażywająca za panowania Sasów i czekająca tylko pod swemi słomianemi strzechami na lada jakie nowiny, ażeby z pod strzech tych co najrychlej wylecieć, łakomie pomiędzy siebie tę wiadomość porwała i puściwszy ją w obieg, w krótkim czasie taką z niej uprędała



legendę\* że w niej ani krzty prawdy nie było. I niemasz się co zresztą dziwić tój szlachcie: serce bujne, zdrowe i wrażeń pragnące, w braku powodu do wielkich uczuć chwyta się małych, i jako bluszcz przyzwyczajony piąć się po murach zamkowych i basztach, w braku ich winie się także około kupy kamieni lub około płota, tak i one serca tamtego czasu chwytały się plotek i baśni sąsiedzkich i z nimi także nieraz wiły się koło płota. Że nareszcie przybycie Bartka w góry sanockie stało się przedmiotem tak ogólnego i żywego zajęcia, nie masz się co dziwić jeszcze i dlatego, bo Polak w sukniach francuzkich był wcale jeszcze tutaj nowością. Szlachta tutejsza, która się rodziła i umiórała na jednym i tym samym zagonie, częstokroć ani nawet nosa nie wytknąwszy za granicę powiatu, niewiele się troszczyła o to, a nawet i nie wiedziała często, co się działo w Warszawie lub koło wielkich gościńców, a że Polacy już poczynali kłaść na siebie ogoniaste ubiory ą na głowy pudrowane peruki, słyszała tylko zdaleka i dopuszczała tego tylko magnatom i królewskim ministrom. Szlachcic pomierny ani mógł, wedle ich wyobrażenia, zmieścić się w pludry i kamizelkę z kolbertynami, a pierwszym, który ją przekonał inaczej, miał być dopiero pan Bartłomiej Karsznicki. Później, za lat kilka, przekonali się wszyscy, że szlachcic polski tak dobrze włoży w plu- derki, jak Niemiec i Francuz, a za lat kilkanaście nawet, że ich setki i tysiące mogą się zgoła obejść bez pluder i butów; ale natenczas jeszcze to wszystkich dziwiło i poruszało do wnętrza, i xi temu wierzyli, inni niedowierzali, trzeci już naprzód piorunowali a wszyscy razem niczego tak ciekawi nie byli, jak widzióc naocznie ono osobliwe subjektum, które mając herb i polskie nazwisko, - nie ma ani wąsów pod nosem, ani kontusza na sobie, ani, karabeli przy boku.

Tymczasem: pan podkomorzy, nagadawszy się już do woli ze swoim ukochanym Wincentym a polubiwszy Bartka za to że miał dowcip i rozum i duszę wyniosłą, ułożył sobie swoim chłopcom piękną krotochwilę uczynić, i ażeby nie potrzebowali po jednemu poznawać jego sąsiadów, całą szlachtę okoliczną zaprezentować odrazu. A że dnia pierwszego czerwca właśnie przypadała dwudziesta dziewiąta jego zaślubin- rocznica, więc to wzięwszy za asumpt, ogłosił podkomorzy, że w dniu tym radby widział wszystkich blizkich i dalekich a choćby też i najdalszych sąsiadów na swoim zamku. Można tóż sobie wyobrazić, że szlachta, czekająca tylko powodu do odwiedzenia podkomorzego, hurmami dnia tego zwała się na zamek. Więc przyjechali i wszyscy sąsiedzi i owi z za Sanoka i owi od Lutowisk i z za Chwaniowa, a który miał jakiego gościa, to i tego przywiózł ze sobą. I było tak, że kiedy podkomorzy już około południa statecznie zasiadł między kolumnami pod frontową galeryą, ażeby witać swych gości, to nietylko że sam ledwie co dziesiątego mógł znać po nazwisku, ale byli tacy, których ani Bobowski, ani Osuchowski, stojący przy

podkomorzym i pomagający mu w onej gospodarskiej usłudze, znać nie mieli honoru. Ale pomimo to szło 'to jakoś gładko i dobrze, a serce otwarte i szczerze gospodarza umiało wszystkich przyjąć zarówno i każdemu dogodzić.

Jakoż w godzinę albo dwie po południu już było około kilkadziesiąt osób zebranych na zamku. Ci którzy przyjeżdżali, jedni zostawali przy podkomorzym, z nim się bawiąc i rozmawiając, drudzy rozchodzili się po dziedzińcu, biorąc się ze swymi przyjaciółmi pod boki i z nimi się witając, trzeci zaś, co śmielsi, szli na górne pokoje, do onej wielkiej komnaty narożnej, w której pani podkomorzyna, mając do pomocy swojej kilku poufalszych sąsiadów i Bartka, wystrojonego jak lalkę i woniejącego jak sklep aptekarski, zabawiała znów panie i panny, które także na tę fetę zjechały. Ale który tylko z onych komnat górnych powrócił, zaraz nie zaniedbał wziąć tego albo owego pod ramię i tak mu coś gadał a gadał, że się zawsze okuło takich dwóch musiało niebawem jeszcze kilku zgromadzić, na to, ażeby jeszcze żywiej rozprawić a śmiać się. I takich już kilka kupek po dziedzińcu chodziło, a każda z nich, spotykając się z drugą, coraz się ożywiała i widać było, że je wszystkie razem i każdą z osobna jeden tylko przedmiot zajmuje.

To zdarzenie nie uszło uwagi stolnikowicza i obudziło zaraz w nim ciekawość, coby temu być mogła za przyczyna: jakoż już kilka razy, biorąc za pole Osuchowskiego, proponował mu, ażeby szedł z nim na górę, ale pan łowczy, nie lubiący towarzystwa kobiet, zawsze mu się od tego wymawiał, mówiąc że nie godzi się zostawiać podkomorzego samego. I tak bracia ślubni czekali już póty na dole, dopóki aż wszyscy spodziówani goście się nie zjechali, a panu stolnikowiczowi ani marzyło się o tem, że tam na na górze, ile razy kto pokazał się we drzwiach narożnej komnaty, tyle razy Barbarka się w swojej nadziei zawiodła, i tyle razy z coraz większą złością w sercu, a coraz większą wesołością na twarzy, obracała się do siedzącego obok siebie i dziwnie gładko coś prawiącego jej Bartka.

A kiedy już druga po południu uderzyła na ściennym zegarze, podkomorzy powstał ze swego krzesła i zaprosiwszy swoich gości, ze wszystkimi poszedł na górę. I kiedy weszli do narożnej komnaty, zastali tam wiele pań pięknych i panien, to o tem rozmawiających, to o owem, i wszystko się działo pięknie i statecznie, ale Bartek tak • niepięknie jakoś siedział koło panny Barbary i tak niestatecznie coś peruką swoją manewrował koło jej piersi i twarzy, że gdyby-nie to, że obaczywszy Bartka, wszyscy się tak jego ubiorem i całą figurą zajęli, że nie mieli już czasu dojrzeć co on robił i kto koło niego siedział, to byłiby się tem I bardzo zgorszyli. Bobowskiego cały Bartek niewiele zajął, ale pomimo to i on także nie dojrzał jego nieprzystojnych umizgów, bo on, kiedy wszedł i spojrzawszy w oczy pannie Barbarze, jakąś

niezwyczajną z nich srogość obaczył wymierzoną ku sobie, tak struchlał odrazu, że już nawet nie widział co się działo około niego.

Tymczasem podkomorzy, przyprowadziwszy swoich gości na salę, wziął zaraz Bartka pod ramię i idąc z nim pomiędzy szlachtę, prezentował go co przedniejszym i starszym; a kiedy tak Bartek przesunął się po przed oczy wszystkim, uderzając tych subtelnością i zgrabnością swojej figury, tamtych ubiorem, a do trzecich donosząc tylko woń perfum swoich i piżma, różne na różnych twarzach dały się dostrzegać wyrazy: więc tu podziwienie, tam uśmiech sardoniczny, tu lekceważenie i gdzie niegdzie nawet oburzenie albo szczerą pogardą. A podczas kiedy w miejscach, od których już się podkomorzy z Bartkiem cokolwiek oddalił, nawet ustne się dawały słyszeć uwagi, pan Osuchowski, który wzrokiem wszystkich o głowę przenosząc i barkami trzech drugich zasłaniając, głosu także za kilku miał w swoim gardle, rzekł do pana Urbańskiego niby po cichu, ale tak, że wszyscy bliżsi słyszeli:

— Panie bracie! wiedzą ludzie, jakim jest struty i podupały od'czasu tej bisurmańskiej niewoli, nie raz nawet tak sobie mówię, że już zgoła nic ze mnie nie będzie; ale teraz czuję to dobrze, że gdybym taką laleczkę na śniadanie przekąsił, jeszcze bym na długie lata ozdrowia .

Na to śmiech głośny dał się słyszeć w tym kącie, w którym stał Osuchowski, a wśród niego znów pan Gumowski, który przeszłego roku w łatesowskiej winiarni dał się z tem słyszeć przy wszystkich, że za czystą zabawkę ma sobie, to, kiedy mu przyjdzie pójść z kim na szable, przystąpił do pana łowczyca i rzekł:

— A ja zasie, kiedy widzę, że już takie pośmiewisko zaczynają ze siebie robić Polacy, tak sobie powiadam, że bodajbym zbawienia dusznegb nie stał się godzien pierwej, póki takiemu jednemu łba nie ukręcę.

I śmiech znowu rozległ się w onym kącie.

Bartek, już kiedy z podkomorzym się pomiędzy szlachtą przechodził, uważał to dobrze, że jakieś dziwne miny się na niektórych twarzach krajały, i że wzrok ten i ów, z którym mu się przyszło spotkać w przechodzie, był jakiś szydery, — i to go już trochę sadziło; ale kiedy śmiech ten usłyszał i raz drugi, zagotowało się w nim tylko jak owo w garnku, kiedy go płomień nagły z jednej strony przypieczę i znowu ucichło, ale niemasz wątpliwości, że war ten nie ochłódł w nim całkiem, tylko osiadł na spodzie i lada chwila mógł na nowo zakipiść.

Tymczasem pani podkomorzyna powstała z kanapy i dała tem znać swoi gościom, że już czas do obiadu. Podkomorzy więc zaraz podał rękę pani stolnikowej sanockiów, jako najstarszej wiekiem i najpierwszej godnością, za nim pan Błoński pani podkomorzynie, dalej inni innym pannom, a nakoniec pan Bobowski, lubo się był nieźle nastroił, aby podać rękę pannie Barbarze, ubie-

żony jednak został przy tórn przez zgrabniejszego od siebie Bartka i zamiast ręki dostał mu się znowu wzrok panny Barbary, tą razą już nie tak groźny i srogi, ale zawsze dumny jakiś i niby tryumfujący.

— Panie bracie. — rzekł to zauważywszy pan łowczyc do pana Józefa, — trzeba się z tórn było jakoś lepiórn uwinąć.

— Ej! nic nie szkodzi, — odpowiedział na to Bobowski, — gdyby kto inny, toby mnie to ubodło, ale bratu to niechaj będzie wolno.

I z tórn za innymi pociągnęli bracia ślubni do sali jadalnej.

Obiad u pana podkomorzego nie był wymyślny ani zamorskiemi piankami a marcypanami upstrzony, ale potrawy były wszystkie zdrowe, smaczne i ze znajomością rzeczy zrobione, nie tak jako się trafia gdzieindziej, że zraz ciężki pływa w sosie długim a delikatna potrawka grzęźnie w zawiesistym; tam wszystko było przyprawne tórn co do niego należy, a podczas, kiedy tego była potrzeba, nie żalowano imbiru, cynamonu, cukru i innej woniącej bakalii, to znowu wszystkich potraw było tak suto, że pomimo to, iż taka liczba była łaskawych, jeszcze i drugie tyle byłoby się tam mogło pożywić. Jednakże jeszcze cały ten obiad był niczóm w porównaniu z winami, które podkomorzy zastawił. Ale szlachta pijąc i podziwiając, nie wiedziała wcale o tórn, że to co dawano z początku obiadu, było jeszcze najpośledniejsze, a kiedy podkomorzy nalewając przeproszał, że nie bardzo jest w stanie znawcom dogodzić, bo jeszcze nie zwieziono tutaj jego piwnicy, ten i ów trącał swego sąsiada łokciem, mówiąc: — Chybażby już same nektary miały być w tej piwnicy. Tymczasem chociaż nektarów nie było, przecie zawsze jeszcze coraz lepsze wino podawano po każdórn potrawie. I tak się to wino wciąż poprawiało aż do końca obiadu, a lubo to, które podano przy pieczonym indyku, jako ostatniej potrawie, zdawało się już być punktem tego, co się może urodzić w Węgrzech a w Polsce wychować, toż jednak coś ciekawego było już w pogotowiu.

Podkomorzy bowiem wszelkimi siłami uwziął się na to, ażeby sławę swojej piwnicy odrazu dzisiaj odkryć i na długie lata utrwalić. A był zwyczaj natenczas w statecznych domach, że przy obiadach, które swą przytomnością zaszczycały kobiety, nie pito jeno pod miarę; kiedy zaś gospodarz chciał swych gości uraczyć i być sobie z nimi na czas dobrej myśli, jak to tam wtenczas nazywano, to po obiedzie dopiero, kiedy już damy wyprowadzone zostały do komnat bawialnych, puszczał wodze swojej fantazyi. I wiedział o tym zwyczaju pan podkomorzy i do niego się zastosował. Jakoż, skoro tylko po pieczystem rozniesione zostały świeże i w korzeniach smaźone owoce i te skonsumowane, wstał on zaraz, i podawszy rękę pani stolnikowej sanockiej, tym samym obyczajem wyprowadził napo wrót wszystkich gości ze sali jadalnórn, jakim ich do niórn wprowadził; ale ledwo co tylko swoją damę

na środkowej ulokował kanapie, zaraz się zgrabnie w tył na obcasie obrócił i tuż za sobą stojącemu panu Błońskiemu ramię z ukłonem podawszy, szedł napowrót do sali jadalnej, a idąc, kłaniał się wszystkim na tę i ową stronę i mówił: — Proszę waszmościów za nami! proszę nas naśladować.

Wiedział każdy co to ma znaczyć i wiedział, że się gospodarskiej woli nie godzi sprzeciwiać: więc szli wszyscy za podkomorzym, a podczas kiedy każdy znalazł sobie swą parę, Bartek tylko jeden sunął samotnie na końcu.

W sali jadalnej tymczasem pozbiórano ze stołu talerze, zastawy i okruchy i pozastawiono li obrus na którym, kiedy za przykładem podkomorzego wszyscy znowu za stołem zasiedli, zastawiono butelki, kielichy i suche przekąski. Co gdy się stało, wstał ze swego krzesła gospodarz, i nalawszy kulawkę, spełnił ją duszkiem za zdrowie i pomyślność tój ziemi, która tak na niego łaskawa, i oddał w ręce panu chorążemu. Ale chorąży, człek stary i subtelnygo rozumu, nie powtórzył za podkomorzym, jeno pełną mając w ręku, zaintonował: prze gospodarskie. Od niego kulawka poszła w dalszą kolej, a .tymczasem każdy popijał sobie ze sąsiadem ze swojej butelki i poczęła się gawędka niby to właściwie ogólna, ale jednakże i partykularna, po kątach na czas zażywiana.

Przy tej zabawie pan Bartłomiej siedział także za stołem i w żartach brał taki udział jak wszyscy; w kielichowej zaś sprawie nietylko że sam dotrzymywał rzetelnie, ale jako krewny domu i pół gospodarza, jeszcze swym sąsiadom dolewał, ba i dalszych zachęcał. To troszeczkę dziwiło onych barczystych kontuszowych sąsiadów, ale nic jeszcze nikt nie śmiał mówić, ten tylko i ów wąsa sobie poprawił, w tył wylot zarzucił i mruknął coś sobie pod nosem, co jednak niczyjej nie zwracało uwagi. W dobrą chwilę dopiero, kiedy już kilka kolejek obeszło i poczęły się kurzyć czupryny i animusze roziskrzać, stało się tak, że Bartek, widząc próżne szkło przed panem Gumowskim, naprzeciwko siebie siedzącym, powstał i przechyliwszy się przez stół, nalał mu ze swojej butelki, mówiąc grzecznie:

— Aby nie było restancyi.

Pan Gumowski, który dusznie znieść nie mógł Bartkowej peruki i sukni ogoniastej, i szpady, i pończoch i trzewików, ba i Bartka całego, srogą minę uczynił na to i ruszając wąsami, długo wodził wzrok swój od kielicha do Bartka, a od Bartka znów do kielicha, że aż Bartka to podsadziło i musiał rzec głośno, ale zawsze grzecznie:

— Czy waszmości to nie po sercu, żem mu się poważyl usłużyć?

— Hm! — rzekł na to z lekceważeniem Gumowski — przyjąłbym ten kielich od waszmości, ale gdybyś i sobie nalał i napił się ze mną.

— Ba! — rzekł Bartek na to, —kiedy prawdę mówiąc, boję się

cokolwiek. Ale dla waszmości to jeszcze uczynię;—choć nieprawda, bo kto chciał to mógł widzieć, że się Bartek wcale nie bał kielichów. Na to zaś—pan Gumowski:

— Ej! nie bój się waszmość, kiedy się upijesz, to cię zaniemiemy do twojój izby, położymy cię na pierzynie, przykryjemy pierzyną, a jak się wyśpisz, taki zasie ładny będziesz jak teraz.

— A ponieślibyście mnie waszmość na rękach?— zapytał potulnie Bartek.

— He, he, he! czemu nie?—odpowiedział Gumowski — ponieśli my tu już nie jednego, który ważniejszy był od waszmości, to- byśmy i waszmość ponieśli.

— Tyleście już waszmość ponieśli! — zawołał niby przestraszony Bartłomiej,— gdybym nie miał peruki na głowie, toby mnie włosy kołkiem stanęły od samego strachu.

— Widzi mi się, panie bracie, że kpi — rzekł na to do pana Gumowskiego półgłosem pan Pobiedziński.

— A! gdzieżby się kpić kto poważył z takiego rycerza, jakiego owo widzę w panu Gumowskim? — odpowiedział tuż na to Bartek, który tych słów dosłyszał. Gumowski się znowu srogim wzrokiem popatrzył na Bartka i rzekł:

— Graj, graj, łateczko, aż się dograsz jakiego guza na oną woniejącą peruczkę.

— Strach, jak honor kocham, co tu za srodzy ludzie w tej ziemi! Bogdajżebym nigdy tu był nie przyjeżdżał! — rzekł na to Bartek.

— Panie bracie, — odpowiedział na to surowo Gumowski', — to do czasu dzban wodę »osi; u mnie szabla przy boku. — Na to Bartek:

— Co wasze mówisz! a ja nawet szabli nie mam w całym moim majątku!

— Ho, ho! na to waszmość nie rachuj, bo kiedy tego będzie potrzebą, to ci ich tu dziesięć dadzą w jednym mrugnieniu oka.

— Ej!... nie... — rzekł na to Bartek, niby się namyślając, — taki się boję.

. — A kiedy się boisz, toś tchórz,— rzekł na to Gumowski.

— A przepraszam! — zawołał na to Bartek i jak oparzony zerwał się zaraz od stołu.

Na to tumult się zrobił w tym końcu sali, a podczas kiedy jedni wołali: Gumowski pilnuj się, bo w tem honor całej ziemi! — Bartek przyskoczył do Wincentego mówiąc: Wicuś, pozwólno mi twego pałasza, niechaj tego szlachcica naznaczę! — Wicuś w tym momencie szablę swoją odparał i dał ją Bartkowi, a podczas kiedy już to wszystko sypało się z wielkim pośpiechem na dół w dziedziniec, dopiero spostrzegli się starsi, a domyśliwszy się zarazem, jaka temu przeszkoda, a drudzy tylko ażeby się przypatrzeć, podkomorzy wpadłszy w dziedziniec, zaraz pochwycił Bartka, mówiąc prędko:

- Bartku! jak mnie kochasz, bid się nie będziesz.
- Bid się będę i muszę, "choćbym miał zaraz po bitwie wyjechać ! — rzekł na to Bartek.
- Bartku! jeżeli mnie co dobrego życzysz! w moim domu... mojego gościa... mój Bartku!

Ale wtem ksiądz kapelan, który tuż się nawinął a także był przy dobrej fantazyi, bo w dobrej kompanii lubił stare wino staruszek, podniósł prawą rękę nad Bartkiem i rzekł:

- Niechaj się bije, jw. panie. Honor Karsznickich cierpiałby na tem... sam byłem świadkiem.

Ale nim tych słów kapelan domówił, Bartek już stał na -środku dziedzińca, o swoją szablę oparty, wprost naprzeciwko pana Gumowskiego, któremu podawała szablę i do ucha coś szeptała szlachta. A tu tymczasem nietylko wszystka szlachta wysypała się na dziedziniec, ale i damy nawet, dowiedziawszy się o tórn, wyszły na galeryą i uspokajane przez starszych mężczyzn, którzy wraz z niemi tam stali, z wielką ciekawością patrzeć poczęły w dziedziniec, a podczas kiedy niektóre z nich, pomimo takiego oddalenia, tak się bały jeszcze tej bitwy, że jeno przez ramiona drugich na dół zaglądały, Barbarka nic a nic się nie bojąc, stała z boku przy samóm poręzu i ręce w krzyż założywszy, śmiało na dół patrzyła.

I dla tej to przytomności dam panowie bijący się nie zrzucali już wierzchnich sukien ze siebie, jako jest we zwyczaju, jeno tak jak byli stanęli, a przytem, lubo pan Gumowski był gracz pierwszej próby i nizpospolicie z pałaszem było mu do twarzy, toż jednak Bartek nierównie lepiój a nawet tak po rycersku wyglądał, że pochwały dla niego dały się słyszeć nawet pomiędzy niechętnymi dla niego.

Kiedy się ci panowie złożyli, zaraz pan Gumowski, jako-to człek gorący i serdecznie w swojej zakochany fantazyi, począł gromko nacierać. Bartek zasie, więcej swej sztuce niżeli przyrodzonej krewkości wierzący, wyciągnąwszy wprost szablę, przez pół pacierza albo może przez cały trzymał się tylko odpornie, a ci, którzy widzieli, jak pan Gumowski silnie tnie raz za razem, szeptali już sobie ż cicha: — Dobrze to póki cięcia padają na szablę, ale kiedy jedno padnie na miękkie, będzie dwóch z tego panicza. — Tymczasem Bartek, wyrozumiawszy już swego przeciwnika i wypatrzywszy chwilę sposobną, chwycił cięcie, a oddając je zaraz napo wrót, drapnął pana Gumowskiego w prawicę, że aż krew wytrysnęła odrazu. Co uczyniwszy, odskoczył i szablę opuściwszy ku ziemi, pokłonił się panu Gumowskiemu. Ale pan Gumowski, nie czując wcale owego drapnięcia:

- A to co? — zapytał.
- Voue etes touché, — odpowiedział Bartłomiój.
- ■ Gadajże z nim, — rzekł na to szydyczko pan Gumowski.

— No, bij waszmość dalej, chce iść o duszę, — odezwał się ktoś ze szlachty.

'— Jesteś ranny, mości Gumowski, — rzekł równo z nim pan Wincenty.

— Ranny? a gdzie? — zapytał Gumowski, oglądając się po sobie, a kiedy mu krew pokazano na ręce, spojrział, plunął i rzekł: A no! to we Francyi nazywa się rana! — a do Bartka:— Chodźwa dalej!

— Ale dla Boga, dajcie już pokój, — rzekł na to podkomorzy, łamiąc ręce i frasując się niepomału.

A kapelan, który stał dobrze zblizka, znów po staremu podniósł rękę do góry, mówiąc:

— Bij waszmość dalej, mości Bartłomieju, — do podkomorzego zaś: — Nie wiem, od kiedy to jw. panu bitwa tak nienawistna? miło patrzeć, kiedy dwóch takich graczy idą o lepszą.

Tymczasem pan Gumowski znów sierzysto natarł na Bartka, ale Bartek tą razą już nie tak długo wyczekiwał ze swoją szablą, jeno zaraz trzecie albo czwarte cięcie schwyciwszy, płał pana Gumowskiego znów w prawą rękę trochę powyżej łokcia i czując to w szabli, znowu odskoczył i oparł się na pałasz, mówiąc:

— Drugi raz waszmość jesteście raniony.

— Ej ! co mi waszmość będziesz kreski rachował krzyknął na to Gumowski, — broń się, bo mi już cierpliwości brakuje! — i skoczył z wielką furią na Bartka.

Ale temu już także śnać cierpliwości zabrakło; postawił się więc jako mógł najsrożej, a ^podczas kiedy oczy jakby dwa świdy wlepił w swojego przeciwnika, nie poprzestał już na obronnej, jeno odbiwszy silnie dwa lub trzy cięcia, wjechał zgoła na niego. W tym momencie już widno było wszystkim czyja lepsza, nawet ktoś krzyknął z tłumu: W bok Gumowski!, ale ledwie ten głos doszedł do uszu wszystkich, już Gumowski z łbem rozplatanym po lewej stronie leżał jak długi na ziemi.

Na to krzyk się zrobił nagły i pomieszany, kobiety wołały: Ach! na galeryi Barbarka się w głos roześmiała, szlachta jedna skoczyła do Gumowskiego, wołając: zabit! zabit! inni pobiegli po wodę, podkomorzy ręce łamał i zły był, a Bartek stał z krwią zimną po staremu o pałasz oparty i mówił:

— Owo już zjedli jednego.

Tymczasem, -ile że to dawnego czasu im kto był tęższym rębaczem, tem też lepszym felczerem, opatrzone pana Gumowskiego w mrugnięciu oka i pokazało się zaraz, że lubo cięcie było dość silne, jednak rana nie była ani głęboka, ani tak niebezpieczna, że o zdrowie rozpaczać. O czym kiedy przekonał się podkomorzy, nabrał lepszej fantazyi i rozkazawszy zaraz dać izbę osobną rannemu i wszelką opiekę, lepiej nareszcie zadowolony tem, że Karsznicki zwyciężył, niżeliby miał być zwyciężony, kazał w dziedzi



niec wynieść stół i krzesła i podać wina, jakie tylko było najlepsze w piwnicy. A podczas kiedy pijąc po kropli, jedni wydobywszy szabel, pokazywali sobie w oddaleniu jakie były cięcia Gumowskiego, a jakie Bartkowe, drudzy chodzili zdaleka około Bartka, oglądając go ze stron wszystkich i różne czyniąc uwagi. Więc jedni mówili:

— Subtelna i delikatna figura, ale siła jest w ręku.

— I dusza, panie bracie, jak przynależy, — mówili drudzy.

— Widać gdzieś się tłuc musiał z francuzkimi rębaczami do syta, bo jaka to sprawność w nim, a jaka sztuka, — zauważali trzeci. A inni zasie:

— O! frant Niemiec, jak mi Bóg miły! a jak to skacze przy sprawie! i okoby drugiemu wydziobał i nazadby uskoczył.

A podczas kiedy pan Krakuszowski powiadał: — Przeciebym ja jemu nie radził, żeby często się z naszymi próbował, bo jak padnie kiedy na pana Osuchowskiego ręce, to taki mu końca dojedzie, — Bartek stał za stołem, na około którego zgromadzona była szlachta, i pijąc wielkiem gardłem, tak mówił:

- — Wiedziałem ja t© już dawno z ust nieboszczyka mojego ojca, że nie pierwaj można pozyskać miłość i estymę u szlachty, aż póki się dobrą moc guzów pomiędzy nią nie rozdzieli, ale teraz przekonuję się o tó m naocznie. Nie rozumiem ja przez to, żeby ona taki respekt miała przed guzami, albo żeby nie była sprawną do szabli, i owszem, umie ona obejść się z szabłą, ma odwagę i w samo prawie fantazyi, ale przecie w tem wszystkióm jeszcze wielką ma wadę.

—r A no mów waszmość, co to jest za wada? — odezwał się któryś z gości.

Ma wadę, — powiadał Bartek, — a to tę, że jój się tak zdaje koniecznie, że kiedy kto się nie kończy na ski, polskiego herbu nie ma a w kontuszu nie chodzi, to już jakiś szewc, kramarz, chętką pętelka.. Prawda ono jest, że tu w Polsce trudno gdzie szukać odwagi a rycerskości, krom u herbownych, ale są zasie całe narody, które łbó, w nie golą i kontuszów nie noszą, a przecież u nich jest odwaga i rycerskość, może nawet lepsza niż u nas. A ponieważ całą młodość moję przeżyłem w Paryżu i napatrzyłem się dosyć rycerskości i odwadze, jaka się tam między ludźmi znajduje, więc nawet to powiadam otwarcie, że kiedy- by się wam z tamtymi pomierzać przyszło, w kąbyście poszli Wszyscy sanoccy junakowie.

— Hm! panie bracie, — rzekł na to pan Osuchowski, przystępując do niego, — napijże się ze mną, a ja tobie powiem.

A wypiwszy z Bartkiem po pełnej i w dalszą kolej puściwszy, tak zasie mówił:

r — Powiadasz, penie bracie, że mierzając się z Francuzami, w kąbyśmy poszli przed nimi; a ja tobie powiadam, że albo byśmy poszli, albo nie poszli, Najpiórwej to masz wiedzieć przed wszyst-

kiem, że nikt u nas nie jest takim prostakiem, żeby myślał, że już nigdzie niómasz odwagi ani rycerskości, bo kto zna historią narodów, ten wie dobrze, że Niemcy i Francuzi się niezgorzej bijali, kiedy im przyszło do tego, że już nie mówię nic o Hiszpanach a całe omijam starych Rzymian i Fregów, których męztwo ut ajunt, nióma do dzisiaj równego na świecie. Więc my Polacy wiemy o tem doskonale, chociażśmy się nie chowali w Paryżu, jeno na swoim zagonie; ale przecież tak powiadamy, że strudna- byśmy w kąć zaraz iść mieli przed tamtymi. Mają oni swoje sztuki, to prawda, i zaraz ot z nich jedna, za którą teraz gwałtu woła pan Gumowski, ale mamy my także swoje... — I to mówiąc, pan Osuchowski uderzył pięścią w róg stołu dębowego, przy którym wszyscy stali, a kiedy ten róg pękł i jakby piorunem odstrzelony z trzaskiem odleciał na ziemię, a noga pod tym rogiem tak się głęboko wbiła w ziemię, że aż się reszta stołu zupełnie przechyliła w tę stronę, dodał on zwolna: — A owo z naszych sztuk także jedna. Widziałem ja także odważnych Francuzów i Niemców, — mówił dalej pan łowczyk, — i teraz także widzę z nich jednego przed sobą, ale zawsze tak mi się widziało i dzisiaj widzi, że kiedybym i najodważniejszego z, nich tak poglaskał po głowie, toby się w takie same trzaski rozleciał, jako ten stół dębowy.

-L\* Ba! — rzekł na to Bartek, — jeno że..... ale napijno się zemną, to ja- tobie powiem, — a gdy się napito, prowadził dalej: Jeno że żaden Francuz nie będzie taki prostak, żeby się z panem łowczycem próbował na -pięście.

— Jeno na co? — spytał pan łowczyk.

— Na broń! — odpowiedział Bartek.

— Niby -też to nie wszystko jedno?

— A nie jedno, bo przy sprawie na broń nie ręka decyduje, jeno dusza a serce, — rzekł Bartek.

— A ja tobie powiadam, — rzekł pan Stanisław, — że czy cię ręką moją, czy duszą przygniotę, to tak przyśniesz, jako ten róg stółowy.

— A no! — rzekł Bartek, mając już dobrze w głowie—kiedy masz duszę tak mocną, chodź-że za mną panią bracie. I wy wszyscy za mną, którzyście tacy zuchterpwie. Proszę waszmościów.

To mówiąc, Bartek szedł prosto ku baszcie narożnej, a szlachta ciągnęła się za nim, ciekawa co to będzie takiego. Tymczasem on, przyszedłszy do tego miejsca, gdzie przy baszcie stała jodła w ziemię wbita, kółkami nasadzona i na dach prowadząca, począł leżeć po tej jodle do góry, mówiąc: — Proszę ichmość za sobą. — A lubo nikt za nim nie jiażł, on jednak wciąż szedł do góry i wylazłszy na dach basztowy rynnami zaopatrzoney, zaczął chodzić po samym brzegu przy rynnach. .

Damy, widząc to z wielkiej galeryi, znowu ach! wołały i oczy odwracały od tego niemiłego widoku, starsi panowie powiadali,

że to istne szaleństwo, a młodszy dziwowali się temu, mówiąc: — Niech go diabeł! taki mówcie co chcecie, jest animusz w tym kawalerze ! — I rzeczywiście był to niepospolity animusz, bo lubo Bartek był w delikatnych trzewikach i pewniej mógł przeto stąpać, jednak zawsze to była wysokość pewno dwóch piąter, dach gątowny i stary, bez galeryi, i gdyby był spadł z niego, to nie łoże mu było gotować, lecz grób oczywisty. Ale Bartek, który już pewno nieraz tej sztuki dokazywał, bo to była zwyczajna tam- toczesnej młodzieży francuzkiej po biesiadach igraszka, przeszedł na około dachu, i zdrów a cały, nawet trochę trzeźwiejszy, nazad zeszedł po onej jodle na ziemię.

Jakoż ledwie co zeszedł, zaraz go podkomorzy chwycił w swoje ramiona i zawołał:

— Niech cię Pan Bóg ma w swojej opiece! A co, panowie bracia! Taki to krew Leliwitów, czy w żupanie, czy w sukni zamorskiej, zawsze jest jedna i ta sama!

A szlachta powiadała, że prawda, — i utraciwszy przez to trochę swojej instynktowej odrazy do Bartka, przy łasce i gościnności podkomorzego piła i hulała do świtu.

Wypadki zdarzone podczas onej fety, wydawanej na balogrodzkim zamku, wiele dały do myślenia Barbarce.

Nie widziała ona nigdy ani wyobrażała sobie podobne zdy- bać na tój ziemi subjektum, jakim jej się wydał i jakim był rzeczywiście Bartłomiej. Nie ważyła u niej wprawdzie nigdy wiele elegancya i delikatność, umiejętność podobania się i dworność w mężczyźnie, i jej ideał kawalera był zawsze mąż zdrowy na duszy i na ciele, rozumny i odważny, bitny i przedsiębiorczy, dobry gospodarz i dobry żołnierz; ale teraz, kiedy znalazła w jednym człowieku przy rozumie dowcip subtelny i znajomość świata, która dopióro ten rozum uszlachetnia i uprzyjemnia, obok miękkości serca duszę silną i niepospolicie hartowną, obok kobiecój prawie miękkości i wykwinności w ubiorze, dłoń męzką i zarówno zdolną bronią zawładnąć rycerską, jak i miękkie piastować wieńce: zaczęła ona wiele myśleć nad dawniejszym swym ideałem i pomału przyznawać sobie, że się nie w jednym wyobrażeniu myliła. A ponieważ do sprostowania tych jój omyłek przykładem mógł być tylko Bartłomiej, tak jak był powodem do ich pojęcia, 'więc niemało chwil upływało Barbarce codziennie takich, w których w jój myślach samowładnie panował tylko brat jej stryjeczny.

Jednakże daleko więcej niż ideały zajmowały ją jój rzeczywiste uczucia. Bartek ją dziwił, wzbudzał w niej upodobanie, poklaski i coraz większą sympatyą, ale zupełnie niezrozumiałym, niepojęty<sup>111</sup> był dla niój Bobowski. Pragnąc czegoś i ciągle się powstrzymywać w pragnieniach, kochać się i od ukochanego przedmiotu uciekać, konkurować i w przytomności panny dnie całe prze-

pędzać w innym, a nie jej towarzystwie, —nie! tego ona ani pojąć, ani wytłumaczyć sobie nie mogła. Nie! — mówiła ona do siebie w chwili samotności, — nie! to nie mąż, to nie kawaler, to nie człowiek z duszą i sercem, jak inni; to jest ryba z krwią lodowatą, albo kołek drewniany.

A tymczasem znów z drugiej strony nie mogła przy najlepszej do tego chęci odmówić panu Józefowi rozumu, boć go przecie widać było w każdej jego z kim innym oprócz z nią rozmowie; nie mogła mu odmówić serca i uczucia, boć przecie tyle na to świadectw .było w ustach .wszystkich sąsiadów, i to ją bałamucilo jeszcze bardziej. I mówiła znowu: — nie pojmuję, nie rozumiem, ani wyobrażenia o tem nie mam. Ale żeby tam niewiedzieć co było, 'muszę, muszę go<sup>T</sup> zrobić takim, jakim być powinien. Z ta- kiem przedsięwzięciem Barbarka się na nowo obracała do Bartka, aby słuchać jego rozmowy i przez to dopuścić go do takiej poufałości jak tylko można, bo tylko przez obudzenie zazdrości w panu Józefie spodziewała się ona go naprowadzić na właściwą wedle jej rozumienia drogę i zniewolić do takiej około siebie służby, jakiej jej duma i próżność w'ymagały koniecznie.

Ale na nieszczęście, po onej - fecie na zamku i Bartek jakoś swoje zachowanie się względem niej odmienił. I zamiast tak jako pierwiej zawsze i wszędzie przysuwać się do niej, pełnym być kom- plimentów otwartych, niewyczerpanym w<sup>T</sup> grzecznościach, przy wszystkich mówił on teraz jeszcze goręcej, jego komplimenta były coraz dowcipniejsze, a przy grzecznościach dawał do poznania wyraźnie, że to nie są czcze słowa, jeno jaknajszersze jego serca życzenia; ale cóż! kiedy to wszystko czynił tylko w kącikach, w coraz większym przed rodzicami i sługami sekrecie, a już kiedy się kto obcy trafił na zamek, Bartek tak się zachowyw'ał zimno i obojętnie i tak zdaleka się trzymał od swojej siostry, jak gdyby jój wyraźnie unikał.

Postępowanie to Bartka miało całkiem naturalne przyczyny. Poznawszy on Barbarkę i widząc ją piękną, a nawet pod wielu względami niepospolitą i do kobiet jemu znanych nic a nic niepodobną , był grzecznym dla niej, ale li dla samej grzeczności. Komplimenta jego czcze były i nie miały żadnego celu, dlatego nie tał się z nimi przed nikim i wypowiadał je głośno i otwarcie. Cel nawet jakiś, który mają zwyczaj niektórzy zakładać sobie zaraz przy pierwszćm zoczeniu pięknej kobiety, nie byłby odpowiednim jego naturze; Bartek bowiem był to raczój rycerz umiejący korzystać w lot z każdego przypadku, a oswobodziwszy raz na zawsze swoje w tym względzie od wyrzutów sumienia i każdej chwili będąc do grzechu gotowym, nie przepuścił on wprawdzie żadnemu uśmiechowi szczęścia, który zabłysnął na jego niebie, ale dyplomatą podstępny i chytryfn, zarzucającym niewody o w<sup>T</sup>io- .śnie na to, aby bez żywności nie zostać na zimę, nie był on ni- gdy, a tem mniej dzisiaj, kiedy już przez wiele przeszedł miłości,

wiele doświadczył zawodów, a przy wzrastających coraz latach umysł jego poważniał i serce krzepło na drobniuchne uczucia. Nie szło zatem zaprawdę, ażeby jeszcze kiedyś zniewolenie kobiety dla siebie nie miało się stać ważnym i\* najważniejszym jego życia zadaniem, ażeby nie miał gardła swego dla takiego celu narazić, albo lat kilka niebezpiecznych poświęcić zabiegów, bo i serce jego miało jeszcze dość młodzieńczego zapалу, ażeby się na zabój rozkochać i miłość kobiety, przez nagromadzone przeszkody i trudności, mogła się stać godną jego poświęcenia się sprawą: ale tutaj jeszcze nie było tego wypadku. Więc nie miały żadnego celu pierwsze dla Barbarki grzeczności.

Ale kiedy Barbarka, dla innych surowa i nieprzystępna, te grzeczności od niego przyjmowała bez żadnego oporu, a nawet w niektórych chwilach (a działo się to najczęściej w przytomności pana stolnikowicza) jeszcze je sama wyciągała od niego; Bartek, zastanowiwszy się nad tem, nazwał to sobie szczęśliwym przypadkiem i wiedząc to dobrze, że Balogród nic a nic nie jest do Paryża podobnym i że tam wszystko się dzieje po woli podkomorzego a nie ślepego losu, postanowił korzystać z tego przypadku. Cel założony zmienił też zaraz postępowanie jego, i ztąd poszło owo tajemie, się jego z komplementarni i afektami, które wypowiadał Barbarce. I było to rzeczą najnaturalniejszą pod słońcem — jak powiadał w Paryżu wychowany Bartłomiej. Ale Barbarka, która się nie chowała w Paryżu i u której rzeczy tam naturalne, jeżeli je znała, najnienaturalniejsze obudzały zdziwienie, a która nadto jeszcze o wielu rzeczach tam naturalnych w ziemiach halickiej i sanockiej ani słyszała, nie mogła pojąć tej Bartka odmiany. Z coraz gorętszych jego afektów i coraz czulszych grzeczności, domyśliwała ona się wprawdzie, że Bartek mu-iał się w niej troszeczkę rozkochać i to ją bawiło i ujmowało dla niego, ale wiedząc go bratem^swoim stryjecznym, i w naiwności swej myśląc, że gdyby tu nawet obustronna miłość była, nigdyby się nie mogła zakończyć małżeństwem, tem więcej się dziwowała owej Bartkowej tajemniczości. A tu jej właśnie, jeżeli się na co przydać mogły te jego grzeczności, to tylko wtenczas, kiedyby były otwart.e, kiedy- by był przy nich pan Józef — i koniecznie chciała Barbarka, ażeby Bartłomiej grzecznym był dla niój, ażeby się do niej umizgał, ale przy wszystkich, a przynajmniej przy panu Józefie.

Inna kobieta, a osobliwie taka, któraby była wychowana w Paryżu albo przynajmniej w Warszawie, byłaby sobie w jej miejscu łatwo umiała poradzić: nie dać Bartkowi nic do siebje mówić tajemnie, a byłby musiał mówić otwarcie; ale Barbarka, która i tak nie wiedziała jak przychodzi do komplementów od takiego kawalera, jakim w jój- oczach był Bartek, a w nim tylko jednym widzieć mogła ón upragniony bicz Boży na pana Józefa, ani mogła myśleć inaczej, jak tylko że takim postępieniem zraziłaby Bartka od siebie na wieki. Więc mówiła tak i w tych miejscach,,

jakie on wskazał, i dała się jemu powodować powoli, i ta heroiczna mrągo, przed której "wzrokiem drżał śmiertelnie Bobowski, skłaniając kark swój pod jarzmo, była natenczas słabszą od najsłabszej ptaszyny, którą w swojej ptaszarni różnych sztuk wyuczał jej ojciec.

Ta słabość panny Barbary była wprawdzie umyślną i jej dobrze wiadomą, jako<sup>^</sup> nigdy ona o niój nie myślała inaczej, jak tylko że kiedy zechce, otrząśnie się z niej każdej chwili; ale zawsze tymczasem dała ona się wieść coraz dalej, i w fałszywym rozumieniu swojego położenia, a zaślepiona i żądzą mszczenia się nad stolnikiewiczem za jego chłód i wahanie się, i pragnieniem rozżarzenia w nim jaknajgorętszej miłości, ani razu nie pomyślała

o tem, że lubo coraz dalej brnie w jakieś dziwaczne z panem Bartłomiejem konszachty, nietylko go nie przywodzi do tego, aby jój komplimenta mówił przy panu Józefie, ale owszem nawet coraz dalej go odprowadza od tego.

I daleko zaszedł ten niezwykajny pomiędzy tem dwojgiem młodzieży stosunek.. Jakie pomiędzy nimi ztąd wyniknęły zrozumienia się i jakie nieporozumienia, tego trudno nam dojść było do gruntu; bo Bartek to tak umiał prowadzić zręcznie, tak się ukrywać misternie i tak przy tem tumanić, że i najodleglejsze oko niczego tam dostrzedz nie mogło: to jednak pewna, że od niejakiego czasu dziwne jakieś rzeczy zaczęły się przywidywać pannie służebnej, Józefce. I tak jednego wieczora, kiedy starzy państwo wraz z panem Wincentym siedzieli razem, chłodu czerwcowego używając w ogrodowej altanie i o czemś poważnem tam rozmawiali, a ona w oknie na ten ogród otwartem stała i czekała na swoją pannę, zdawało jój się jaknajwyraźniej, że w onyGh berberysowych krzakach, które ogrodowi od południa za parkan służyły, widziała dwie samotne zmrokiem okryte postacie. Pani była w bieli i stała twarzą obrócona ku ogrodowi, pan był w cie- mnem' ubraniu i. klęczał przed nią, jej ręce trzymając w swoic!<sup>^</sup>

I ustawicznie całując. Pomyślała sobie wprawdzie Józefka, że tą panią mogła być panna Barbara, bo właśnie dnia tego miała białą suknię na sobie, ale wnet ze strachu, żeby się jej pani o tej jej myśli nie dowiedziała, prędko ją porzuciła.

Inną razą znowu też sama Józefka, wszedłszy nagle do bawialnej komnaty, zastała tam w kąci przy piecu %pana Bartłomieja i pannę Barbarę, i to ją nic nie dziwiło, ale tego długo potem zapomnieć nie mogła, że kiedy weszła, pan Bartłomiój tak nagle odskoczył, jakby go kto wodą oparzył, do czego jednak żadnego nie było powodu.

Potem to w kurytarzu o zmroku, to w którym z oddalonych pokojów, często bardzo zastawiała to państwo oboje, a lubo nie zawsze się płoszył tak pan Bartłomiej, toż jednak zawsze siedział przy pannie tak blisko, że aż to było nieładnie; a raz byłaby przy-

siądz na to mogła Józefka, że pan Bartłomiej pannę w same usta całował.

Jednakże prócz Józefki nikt inny nic nie uważał i niczego się nie domyślał, a lubo pan Bartłomiej już trzeci miesiąc bawił u swoich stryjostwa, jednak cisza była i spokój na balogrodzkim zamku tak teraz, jako i pierwej.

Tymczasem Barbarka, jeżeli tak się gniewała na pana Józefa, że aż się mścić nad nim pragnęła, i jeżeli go tak obojętnym sądziła, że aż przez obudzenie zazdrości chciała w nim miłość rozżarzyć, bardzo czyniła niesprawiedliwie. Pan Józef bowiem kochał się w niej rzetelnie i szczerze i niczego tak gorąco nie pragnął, jak pozostać jej sługą na wieki; a jeżeli w nim nie było takich afektów, które raczej są podobne szaleństwu niż czystemu uczuciu, to winna była temu tylko sama panna Barbara, że ich nie umiała obudzić. Bobowski pewno zdolny był i do miłosnego szaleństwa. I chociaż tego jeszcze nie było, jednak nic pewniejszego nad to, że jego serce było zajęte pełnem a nawet gwałtownem uczuciem miłości. Nie występował on wprawdzie z niem otwarcie, bo nie mógł, bo był przestraszony, bo sparzony już kilka razy i pochwycony nieraz przez pannę Barbarę - na mętnem słówku, długo się już teraz namyślał, nim się z czem przed nią odezwał; bo niepewny nakoniec jej sentymentów, nie chciał się ze swojemi nadto porywczo odkrywać, aby się śmiesznością nie okrył, aby co nie usłyszał przykrego, aby nie utracił odrazu najmiłszych swoich złudzeń i najśłodszych nadziei; — a jeżeli tak było, to znów temu winna była Barbarka.

Nie zasługiwał tedy pod żadnym względem pan stolnikowicz na gniew i na zemstę, — a nie zasługiwał tembardziej, ile że on całą tę konkurencyą swoją prowadził tak, jak je prowadzić zwykła była wszystka młodzież onego czazu: statecznie, pomału i z przyzwoitą godnością. Bywał tedy pan Józef na balogrodzkim zamku dwa razy a już przynajmniej raz co tygodnia, starał się o względy u matki, służył z atencją ojcu, z panem Wincentym piękną przyjaźń zawiązał i nawet księdza kapelana zabawiał, a kiedy tylko się przyzwoita sposobność zdarzyła, prawil grzeczności pannie i najpiękniejszą, na jaką go tylko stać było, wymową starał się dawać jej do poznania, że jest dla niej poświęcony duszą i ciałem.

Barbarka, wedle chwilowego humoru, raz przyjmowała komplimenta od niego, drugi raz powiadała po staremu co dziwaczego, a im więcej tych dziwactw było, tem ostrożniejszym i znów powolniejszym stawał się pan Józef, bo kiedy już nie mógł postąpić naprzód, bał się aby się nie cofał na swojej drodze, i wolał zostać na miejscu do sposobniejszej pory. Co się zaś tyczy onój sztuki panny Barbary, zapomocą której ona przez Bartkowe umizgi chciała Bobowskiego na upragnioną przez siebie naprowadzić drogę, ta wcale dotychczas chybiała swojego celu. Pan Józef bowiem, chociaż go wprawdzie z początku, póki Bartek rzecz swoją



prowadził otwarcie, nieraz oburzały one jego do panny przysiadania się i obłeśne a śmiałe umizgi, jednak już i wtenczas chlódł w swoim oburzeniu zawsze, ile razy sobie przypomniiał, że Bartek jest Barbarce stryjecznym; od czasu atoli, odkąd ten elegant francuzki tajemnicą począł okrywać swoje zabiegi, nic już ani widział, ani mógł widzieć pan Józef.

I byłaby panna Barbara, w swoich planach całkiem fałszywie wyrachowanych, mogła zająć tak daleko, jak się nigdy nie spodziewała, albo zgoła aż w one miejsca, zkądby się już nawet wrócić nie mogła, a on jeszcze byłby nic tego nie widział, i ani wznosił przez to swojej miłości, ani konkurencji przyśpieszył, gdyby nie to, że właśnie w onym czasie był przy nim człowiek taki, który miał oczy jak kot i umiał widzieć wśród ciemnej nocy. A tym człowiekiem był Grott herbu Mora, który od balogrodzkiej fety już na nowo mieszkał w Żernicy.

Grott, przyjechawszy do pana Józefa\* i dowiedziawszy się zaraz na wstępie o jego zamysłach, bardzo mu je pochwalił, ale chwalił dlatego, bo nie miał nigdy zwyczaju tam występować z naganą, gdzieby jego nagana się na nic nie zdała. Pomimo tój pochwały jednak widział Grott bardzo dobrze, jako te rzeczy stoją, i poznawszy trochę bliżej Barbarkę a znając zdawna już pana Józefa, widział on jak na dłoni, że pan Józef srodze jest za nos wodzony i że ci młodzi ludzie wcale nie są stworzeni dla siebie. Oprócz tego widział on jeszcze i więcej.

Grott bowiem, jak go już znamy, był to człek sprytny i nieporównanie przebiegły. Księgiby pisać potrzeba o samych jego sztukach subtelnych, jakich on do dopięcia swych celów używał, a jeżeli i jego czasem zawodziły rachuby, toż jednak w tem ażeby się o czómś dowiedzióc, wysledzić i wybadać do gruntu, nikt mu nie dorównał onego czasu, niktby mu nie dorównał i teraz. Znając tedy swą biegłość w tóm i wiedząc dobrze, jak cudzych tajemnic wiadomość, chcącemu z niej korzystać, sówite zwykła przynosić żniwo, zawsze niespracowanym był w swoich śledzeniach; jakoż i teraz, przyjechawszy po raz pierwszy do Balogrodu na zamek, pierwszą jego rzeczą było skaptować sobie serce państwa a potem pozabiórać bliższe znajomości z domownikami. Poznał on się tedy zaraz zblizka z księdzem kapelanem, zawiązał przyjaźń z pana Wincentego wyrostkiem, komplementami zniewolił dla siebie Józefkę, nawet ze starą klucznicą, z marszałkiem dworu, z podstarościm i ze wszystkimi dworskimi tak manewrował i póty, póki sobie nie zapewnił ich przychylności. Uważał on bowiem, że mu się to na coś przydać może za czasem, jakoż się w rzeczy przydało.

Jeszcze tedy w czas onej fety począł on dobrze obserwować Barbarkę, a ponieważ natenczas i późniój jeszcze często przy niój siadywał Bartek, więc obserwował ich razem oboje. Bystremu a wprawnemu jego wzrokowi nie mogło ujść to postępowanie

Bartka, jakoż już zaraz wtenczas, powstało w nim podejrzenie, czy też Bartek nie ma także jakich intencji względem podkomorzanki. Podejrzenie raz mając, zbliżył on się najpierwej do Bartka, a ponieważ przy dość otwartym charakterze tamtego, nie trudno mu go było poznać, więc go poznał niebawem i w swoim podejrzeniu się jeszcze utwierdził. Potem pogadał sobie Grott z kapelanem, i lubo ten starzec nic mu nie umiał powiedzieć o stosunku tamtego panicza do panny, bo sam nic o tórn nie wiedział, jednak wygadał się przed nim, że podkomorstwo bardzo sobie życzą pana Józefa na zięcia i zarazby mu córeczkę dali, ale że panna podobno nie bardzo jest za tem. I to tedy się zdało wiedzieć Grottowi. W podejrzeniach swoich atoli bardzo się zwolna i z samych tylko obserwacyj utwierdzał; ale kiedy dostrzegł tego, że Bartek nagle przestał przysiądać się do panny publicznie a nawet ją po trochę unikać, już mu więcej nie było potrzeba, bo już był na tropie. Zaraz też pod jakimś pozorem został się na dni kilka na zamku i wziął w swoją opiekę Józefkę, a kiedy tylko jedno słowo od niej wyłudził, to wkrótce już miał z niej poprostu gazetę, opisującą każdy najdrobniejszy szczegół, jaki się w domu wydarzył.

Owo kiedy już Grott przyszedł do wiadomości, że rodzice daliby zaraz pannę panu Józefowi i do pewności o tem, że panna ma jakiś tajemny stosunek z Bartkiem, zaczął jeno jeszcze, żeby ten stosunek się trochę lepij umocnił i tak sobie powiedział: Wolałbym, ażeby się nie ożenił Bobowski, bo lepszy mi przyjaciel bezżehny niżeli żonaty, ale ma się żenić, niechże ja mu także co do tego pomogę. Na wszelki wypadek teraz jest pora o tem co wiem powiedzieć panu Józefowi, bo nuż się tamte amory wydadzą, to i moja zasługa minęła.

I kiedy dnia jednego, a działo się to już w miesiącu sierpniu, pan Józef siedział samotnie w ganku swojego dworu i o czemś bardzo był zamyślony, przystąpił do niego Grott i tak zaczął:

— Coś pan Józef osowiał, czy nie jeno jakie nowe frasunki? • —r Chrońże Boże, żeby jeszcze jakie nowe przybyły — odpowiedział na to pan Stolnikowicz — dosyć mi już i na starych!

— Hm! — rzekł na to Grott — ja bo i tych starych nie widzę i nie rozumiem, czemuś ty się tak miał frasować.

— Miły bracie! — mówił zasie na to pan Józef — prawdać jest, że w mojem położeniu nićma się czem tak frasować, ale jakoż już tak snać, z natury jest na tym świecie, że one afekta miłosne, lubo są sercu przyjemne i miłe, jednak prędzej smutkiem napoją duszę, niż wesołością.

— Niema co mówić, tak to bywa na świecie — powiedział na to Mora — ale ja przecie wolę tych miłośników, którzy chociaż smucą się w sercu, jednak nie pokazują tego, a zamiast tego mają wzrok pilny na wszystko i baczą co się koło nich dzieje.

Kfc- Zapewne że to musi być lepiej, ale na to trzebaby być Grottem, u którego mało co w sercu, ale w głowie natomiast tyle,

że kiedy mu przyjdzie popaść nieszczęściu, to ani jednej chwili nie straci na to, aby się te-m pofrasować, ano zaraz jak on piesek rzucony do wody, czómprędzej wszystkimi czterema nogami w koło siebie tałabie, aby się z tego rosołu wydobyć. Ale ja tak nie potrafię... u mnie każda bieda musi pierwej swoje odgryźć sowito!... — Na to znów Grott:

— Dobrześ to powiedział, panie bracie, o onym piesku, a ja dodam do tego, że gdybyś ty był chciał się co od onego pieska nauczyć, to jużby dzisiaj tu przy nas dwóch pani siedziała w tym ganku.

Podniósł na to głowę pan stolnikowicz i popatrzawszy na Grotta, zapytał:

— A to jakim sposobem?

— Bo kiedy cię z brzegu poczynają pchać w wodę, tobyś raczój sam skoczył do niej, aby na drugi brzeg wyniść i coprę- dzój dobiedziesz do mety, niżelibyś miał, wzdychając a płacząc, pomaleńku się opierać i czekać, aż póki ci się w uszy nie naleje.

— A bo kto mnie tak spycha do wody? — zapytał nagle pan Józef.

— Kto? azaż tego nie widzisz, jak cię Bartek coraz lepiej podsiada? — zarzucił Grott.

- Bartek? — rzekł na to pan stolnikowicz — chyba że ci się w głowie wywróciło! przecie to jój stryjeczny.

— Najpierwój nie całkowiec stryjeczni, bo marszałek a podkomorzy byli sobie przyrodni, a potem choćby nawet i zgoła stryjeczny, toż to mało jest takich małżeństw na świecie, gdzie mąż żonie stryjeczny?

— Prawdę mówisz! — zawołał na to, zrywając się, z ławy pan Józef, — słyszałem ja o tóm... i tak się zdarza. No!... ale,—mówił znowu zwolna pan Józef, ale niewiedzieć, czy ten ma co takiego na myśli.

— Czy co takiego, czy co innego ma na myśli, o tem mnie wiedzieć trudno, — rzekł na to Mora, — ale że się nie żartem zabiera około panny...

— Aha, no? — odezwał się pan Józef.

— To więcej jak pewna, — skończył Grott.

— Pewna? widziałeś?

— Widziałem i słyszałem; — odpowiedział z przyciskiem Grott.

— Tak! — krzyknął na to gwałtownie pan Józef, — hej! Jacenty! siodłaj konia! Mateuszu! szablę dawaj, czapkę, kontusz!... Poczekaj że, będzie tu krótka sprawa!... a zaraz mi się ten kot nie podobał., zaraz mnie coś piknęło! Żeby ciebie wszyscy diabli targali!... Otóż to jest kawaler, to rycerz, to człek honorowy...-mówił niespokojnie pan Józef. — Ale poczekaj! chyba Pana Boga na niebie nie było, żebym tobie łba nie rozplatał na dwoje!... Hm! pewna rzecz... niemieckie suknie nosi, po francuzku gada, po da

chach chodzi... to tam gdzieś i krzty uczciwości w sercu się nie znajdzie! Hej! Mateusz! szablę dawaj! konia każ mi wyprowadzić!... Więc mnie podsiada? sam to widziałeś?

— Widziałem; ale dokądże chcesz jechać, panie bracie? — zapytał na to Grott, który stał pod słupem spokojnie i obserwował tylko pana Józefa.

— Dokąd? do Balogroda! — zawołał tamten.

— Po cóż to, panie bracie?

— Po co, po co, i ty jeszcze mnie pytasz o to! albo ja, albo on, dwóch nas tutaj zawiele, — odpowiedział pan Józef.

— Hm! — rzekł na to Mora, a jabyłem myślał, że tu wcale na nic nie zdała się rąbanina, bo to do niczego nie zaprowadzi.

— To niech nie zaprowadzi! ale pomszczę się krzywdy mojej!

— I to nic po tem, — rzekł na to Mora.

— No więc co, gdzie, jak? gadaj, kiedy rozumiesz.

— Ja rozumiem, że krzywdy mścić się niepotrzeba, bo tu niemasz żadnej krzywdy. Panna jest jako towar, wolno każdemu przyjść, oglądać a nawet i potargować, choćby nie kupić. Taki zwyczaj jest w Polsce, taki na całym świecie. Więc niómasz się o co gniewać na Bartka, jeżeli ogląda i targuje. Byłoby się o co gniewać na niego, jeżeli wiedząc, że ty już konkurujesz o pannę, przecieby o nią targował; ale kwestya jest, czy on o tem wió, czyli nie wió.

— Ba! jakby nie wiedział! — rzekł na to trochę już spokojniejszy pan Józef.

— Kwestya jest, mówię, — powiadał Grott, — i bardzo być może że nie wie, bo do kogo nie mają przystępu plotki, ten stru- dnaby miał poznać po tobie na zamku, że ty idziesz o pannę Barbarę...

— Tak mówisz? — rzekł, zamyślając się nad tem, konkurent.

2— Tak mówię i to jeszcze dodaję, że chociażby nawet wiedział o tem i pomimo to jeszcze targował, to i tu kwestya, czyby go o to obwiniać, czy nie?

— Ba jakżeż! przecie to nieuczciwie.

— Za nieuczciwość biorą to w Polsce — rzekł na to Grott — ale nie wiemy, czy tak jest wszędzie, bo co kraj to obyczaj, jak mówi przypowieść. A tu na nieszczęście Bartłomiój jest wychowany we Francyi, i jak widzimy, tak go tam dobrze uczono, że ledwie mu nazwisko zostało polskie i cokolwiek języka. Mógł tedy Grek chlubić się tóm, kiedy zgrabnie co ukradł, mogły w Atenach nago chodzić kobiety, mogła u Rzymian zemsta nazywać się vir- tus, mógł do niedawna jeszcze Polak za wielki czyn sobie to poczytywać, jeżeli w turnieju zwyciężył swojego przeciwnika, chociażby mu nogę albo rękę przytem utracił; dlaczegożby tak nie mogło być dzisiaj we Francyi, żeby kawaler to sobie miał za czyn heroiczny poczytać, jeżeli drugiego odsądzi od panny? — Nie potrzeba zresztą po to jeździć aż gdzieś za morza, boć i u nas się to

to przytrafi, że kiedy jeden drugiego przy pannie ubieży i uda mu się to gładko, to nietylko mu nikt za to czci nie odejmuje, ale jeszcze mu plauz dadzą do koła.

— Prawdę mówisz, mój Grocie,—odpowiedział na to Już całkiem spokojnie Bobowski — być może, że Bartek niewiele temu albo i nic zgoła nie winien... ale cóż tu robić w tym razie? jeżeli ja tego eleganta nie sprzątnę, albo go choć tak nie oszpecę, żeby na wieczne czasy gust" do niego straciła Barbarka, to jak Bóg w niebie,- weźmie mi pannę. Bo co to kobiety!..... Więc nióma radyr.. z tej czy z owej rzeczy asumpt biorąc, trzeba wziąć panicza na szablę... gracz jest, niema co mówić, ale przecie mam ja w Bogu nadzieję, że mi nie wytrzyma... a zginę ja?... ha! to zginę za nią i szczęśliwszy może jeszcze będę pod ziemią, niż tu na ziemi.

To powiedziawszy, pan Józef począł chodzić po ganku i nie- spokojność nim tak miotła, że nietylko w tym czasie całą czuprynę sobie zburzył na głowie i pas opuścił poniżej bioder, ale nawet pojedyncze słowa mu się z ust wyrwały, co mu się jeszcze nigdy nie wydarzyło. Grott atoli stał po staremu o słup ganku oparty i spokojnie patrząc przed siebie, milczał jak grób. Tymczasem pan stolnikowicz, namyślając się coraz więcej i burząc się przeto coraz bardziej, wyszedł na przód ganku i do stojącego już z osiodłanym koniem opodal sługi zawołał:

• — Hej! Jacenty! wsiadaj na konia i jedź po pana Osuchowskiego, żeby tu zaraz przyjeżdżał; — a podczas kiedy sługa w je- dnem mgnieniu oka już był za bramą, dódał na wpół do siebie a wpół do Grotta: — Tak ..... niech zaraz jedzie Stanisław i niech go wezwie do sprawy. Powodów jest dosyć, a czekać nióma czego.

— Hm! — rzekł na to Grott zwolna,—ija.bym tak nie ro- zuniiał.

— A no! chyba że rozumiesz inaczej, — odciął na to pan Józef, — więc jak rozumiesz tak mów, — a spostrzegłszy się, że to zaostro powiedział, przystąpił do Grotta i rzekł łagodnie: — Mój Mora! radźże mnie co, jeśli umiesz, bo ja już głowy mojej nie Czuję na karku! — Na to znów tamten:

— Ześ po łowczyca posłał, to chwałę, ale nigdybym ci tego nie doradzał, ażebyś wołał do sprawy Bartłomieja.

— No! więc jakże? dlaczego?

— Dłatego, że kiedy się bić z nim będziesz, to czy zwyciężysz, czy zwyciężony będziesz, panny już nie dostaniesz.

— A to czemu? ,

— Bartek jest stryjeczny, temu domowi, a zabójcy krewnego panny\* nie dają.

— A! to prawda! masz rację... więc cóż radzisz? bo coś przecie trzeba uczynić.

-- Nie wiem pewnie, czy się to uda, — rzekł na to Grott, — ale jabym radził po prostu. Konkurujesz już dosyć długo, po-

Tom ix.

znali cię tam z każdej strony, więc pojechać jutro i deklarować się.

— Hm! hm! — mruzczał sobie chwilę Bobowski, ale potem zawołał: — dobrze mówisz! pojedę jutro i zdeklaruję się. Przyjmą!... dobrze, a nie przyjmą...

— A jeżeli nie przyjmą jutro, to nie przyjmą ani za miesiąc, ani za rok, ani za lat dziesięć, — dokończył Grott.

<sup>r</sup> — A! kwestya jest? — mówił pan Józef. Lecz na to Grott:

— Niemasz tu kwestyi żadnej, panie bracie; ja wiem jak ty rozumiesz, ale się mylisz. Tobie się zdaje, że jeżeli panna nie dosyć jeszcze upodobała sobie w tobie, to z czasem upodoba sobie więcej, a to nie prawda. Białogłowy nie tak jak my, nie oglądają się, nie namyślają i nie deliberują w afektach; one obaczą i decyzya jest zaraz gotowa. Więc niema co czekać na to, żebyś się lepiej pannie podobał, bo jeżeliś się miał podobać, toś się już dość podobał i raczejbym powiedział, że czas prędzej niszczy upodobanie, niżeliby je miał wzmocnić, bo wszyscy kawalerowie mają swoje słabości, a wszystkie panny mają oczy. Zresztą, licha to warte takie upodobanie; któreby miało przyjść dopiero za czasem.

Y\*— "Bodaj ciebie! — rzekł na to Bobowski, przystępując do Grotta i całując go w czoło, — bodaj ciebie, jak ty mądrze powiadasz! Otóż to wszyscy ludzie rozum mają, jeno ja jeden głupi zawsze i zawsze, i już śnać do śmierci niczego się nie nauczę.

• — Tak nie powiadaj, — zarzucił na to Mora, — bo ty masz rozumu dosyć i śnać małoby tu go miał mieć kto więcej, jeno niema woli używania go zawsze, kiedy tego potrzeba. Widzisz ty dobrze i to i owo, może nawet wszystko, ale chociaż co obaczysz takiego, coby ważnem być mogło dla ciebie, nie bierzesz tego, jak to mówią, ad notam, jeno przypatrzysz się, wraz zapominasz, albo może nawet czasem i nie wiesz, żeś co takiego obaczył. Oprócz tego zmysłu dojrzewania rzeczy nie każdemu oku widomych, jest jeszcze u ciebie i owa władza, która zawsze wie jak co Zrobić, ale i z tej władzy rzadko ty kiedy korzystasz. Bo nie dość na tem, że u ciebie głowa jest zawsze czemścis zajęta, jeszcze i to masz, że kiedy cię najdą rzeczy ważne, którymby radzić co trzeba, to ty zamiast zwolna a zimno się nad niemi namyślić, zakipisz zaraz cały i w tem kipieniu tak coraz toniesz głębiej i od rozumu odchodzisz, a tak się zaszewajesz to na tę stronę, to na owę, że przy najlepszych chęciach uczynienia czegoś i mchem byś porósł na jednym miejscu, gdyby cię kto nie wziął za czuprynę i nie wyprowadził z onego koła myśli i domysłów\*, które łacinnicy zowią circulus mtiosus. Aż chyba, że cię już rzecz nadto poważna zajmie, a do tej dopięcia jedna jest tylko tłoga, a bez jej dopięcia śmierć albo srom, to już ty tam zrobisz i nie namyślasz się... Czemuś to się, panie bracie, nie namyślał, kiedy potrzeba było Osuchowskiego wydobyć z niewoli? czemuś się nie namyślał, kiedy cię graf Syrmaj obraził? czemuś się nie namyślasz,

kiedy przyjdzie ubogi prosić ciebie o pomoc, a ty masz w trzosie pieniądze? czemuś się nie namyślał, gdyby ziemię twoją Turek najechał lub Tatar, bo tylko jedna jest droga, albo, że tą czy ową drogą, ale zaraz biedź trzeba pod sromem.

— To prawda, to prawda, mówił na to zamyślony pan Józef, — jakieś takie jest kunktatorstwo we mnie, że aż się sam wstydzę, kiedy się w niem poczuje. Ale to już trudno, kochany Grocie, co się łyse urodziło, to już znać łyse zaginie, I niech Panu Bogu będzie chwała i za to, że choć kiedyś tam, jak powiadasz, człowiek wie co zrobić i zrobi. Ale powiedzże mi, mój Grocie, bo ja tego nie a nic nie wiem, ani rozumiem, czy jest podobieństwo, żeby mnie już teraz dali tę pannę, czy niemasz?

— Powiedziałem ci już pierwej, — odrzekł na to Mora, — iż nie mogę zareczyć czy się to uda, jednakże domyślam się tak, że się uda. Mam ja na to pewne data i fakta...

I to zaczął Grott opowiadać panu Józefowi, jakie ma powody, na których swój domysł gruntuje. Opowiadał mu tedy, z czym się chcąc nie chcąc wtenczas a wtenczas wygadał przed nim sam podkomorzy, jakie opinie o panu Józefie wypowiadała podkomorzyna, a jakimi zdradzał się Wicus, a nakoniec, co mu pod sekretem powiedział kapelan. Tak utwierdziwszy dobrą w konkurencie nadzieję, przystąpił potem do swoich względem Bartka podejrzeń, i lubo ani wspomniał o tórn, co mu powiadała Józefka, ani nawet wszystko to wypowiedział, czego się sam domyślał albo podsłuchał, jednak tak swoje podejrzenia. wiarogodnemi uczynił, że ani na chwilę o nich nie zwątpiał pan Józef. To opowiadanie Grottowe trwało dość długo, o tyle zaś dłużej jeszcze, ile że pomiędzy wieloma'prawdami, które Grott na poparcie swoich opinij przytaczał, znajdowało się i wiele bajeczek, które mu się udało zmyślić na prędce, jakoż tak zagadanych żarliwie zastał ich w ganku, stawiając się zaraz na zawołanie brata, pan łowczyc.

Przyjechawszy, zlął on powoli z konia i jeszcze wolnej oddał go służącemu, bo już to nie lubił pośpiechu w niczóm pan Osuchowski, i kiedy właśnie zabierał się spytać, co tak zaszło nagłego, rzekł już do niego pan Józef:

— Wiesz, jakie ten perukarz kopie dołki podemną?

— Ani wiem jakie dołki, — odpowiedział pan łowczyc, — ani •wiem, kto perukarz.

— A któżby inny jak nie Bartłomiej? — zawoiał na to pan Józef, — wiósz, smali cholewki do mojej panny.

— Owo i mnie się to już przewidywało, — rzekł znowu pan łowczyc, — jeno to mnie przy tem trochę bałamucilo, że to jój brat stryjeczny

— No, no, więc... — przerywał co chwila pan Józef.

— Ale teraz, — mówił dalej pan Osuchowski, — poznawszy go bliżej i widząc, że przy wszystkich swoich cnotach człek to jakiś jest lekki, a nadto między Francuzami chowany, gdzie, jak

mówią, siła ma być rozpusty i różnych innych sprośności, to wca- łemym się bardzo o to nie sprzeczał, że tak być może w istocie.

— Widzisz, widzisz, — rzekł na to pan Józef, — i wiedziałeś

O tó m i mnie nic nie powiedziałeś... — ale mu przerwał tamten, mówiąc:

— Lente, lente! najpierwej nie wiedziałem, jeno mi się tak to marzyło; a po wtóre, choćbym był wiedział, to jeszcze i tak byłbym się śnać piórwej namyślił, nimbym tobie powiedział."

|— A to czemu? .

— Czemu? bo cóżbyś .ty na to powiedział? oto pewnobyś napadł onego Francuza, kazał mu stawać do sprawy, i probabili- łcr zsiekał na kwaśne jabłko., albo i na śmierć; bo już to niechaj tam drudzy dziwią się jako chcą jego sztukom, taki ja zawsze tak mówię, że kiedybym ja, albo ty, albo Chojnacki, albo Deręgowski, co to mamy siłę w ręku, z nim stanął, to na żaden sposóbby nie wytrzymał; nawet mu to przepowiadam, że kiedy się będzie bijał z naszymi, to dziś albo jutro tak pryśnie, jak bańka-z mydła...

Bobowski słuchał tego z uwagą, a pan łowczyc powiadał dalej:

— Owo powracając do rzeczy, kiedyby przyszło do tego, żebyście się wy obadwa bić mieli, to już czy takby się bitwą skończyła, czy owak, panna zawsze dla ciebie przepadła.

, — Ki diabeł! — zawołał na to pan Józef, — jaki wy rozum, macie, to ja się tylko nadziwić nie mogę.

— A to dlaczego? — zapytał, nie rozumiejąc tego wykrzyknika pan łowczyc.

\*— Bo dopióro co Grott mi to samo słowo w słowo powiedział.

— A no, bo tak jest w rzeczy, — powiedział łowczyc.

— A mnie to ani na myśl nie przyszło; — rzekł pan Józef a zarówno z nim Grott:

— Nie rozum mamy, panie bracie, jeno zastanowienie.

— Otóż nie powiadałem tego tobie, — prowadził dalej sw'oję rzecz Osuchowski, — boby tu przez prędkość jeszcze wszystko zepsuć się mogło; ale teraz,- namyśliwszy się dobrze nad tem i widząc, jak sobie w tym razie postąpić wypada...

. —'No, no, więc jakże radzisz? — pytał niecierpliwie pan Józef.

—'Nióma tutaj co radzić, bo tu tylko jeden .jest sposób...

— A ten?

— Nie dawać czasu złemu aby do fruktu dojrzało i pojechać zaraz prosić o rękę...

— A! a! a! — wołał na to pan Józef, — to już tylko ja jeden ślepymi głupi na całym świecie! wszyscy wiedzą, wszyscy umieją sobie sami poradzić, ja tylko, ja jeden jak gdyby żak jaki podupadłbym z kretesem bez cudzej rady i opieki!



I tak desperując a wymyślając na siebie, chodził pan Józef po ganku, tymczasem zaś Osuchowski do niego:

\*

— Pania bracie! ani desperuj, aii wymyślaj, ale raczój przyjm tę odemnie naukę, że nie ten jest mąż prawdziwy, który w nieszczęściu desperuje i czyni sobie wyrzuty, ano ten, którego Pana Boga na pomoc wezwawszy, zdrową myślą sobie radzi i zaraz naprawia to, co mu się popsuc zdarzyło.

— No, no więc radźmy już teraz, — rzekł, siadając, pan Józef, — i naprawiajmy to, czegośmy nie zepsuli.

I stała się wielka pomiędzy tymi trzema panami narada, i różne tam były zdania i wnioski i poprawki, co wszystko warzyło się między sobą jak w garnku przez godzin kilka; stanęło przecież nakoniec na tem już nieodmiennie, żeby pan Józef prosił

o rękę panny Barbary otwarcie i to jaknajprędzój. Przed wieczorem chodziło już tylko o to, kto ma jechać w tój sprawie: czy sam Bobowski, czy Osuchowski, czy uprosić do tego kogo starszego? Bobowski był za tó, ażeby jego brat się w jego imieniu deklarował, i był tego zdania, że roby było najprzyzwoiciej, ale pan łowczyc ani chciał słuchać tego, mówiąc:

\* — Wszystko dla ciebie uczynię, ale tego się nie podejmę. Jam nie orator, na komplementach się nie rozumiem, przy takich sprawach, jak żyw nie bywałem, co może być z mojej oracyi? Je- szczeż jeżeli odrazu na toby pozwolili, to dobrze, ale nuż zajdą jakie kunktacye, wątpliwości, zarzuty, Aa które dziew<sup>T</sup>osłąb winien odpowiadać jak z książki a gładko, a misternie, żeby nie tylko uczynionym już zarzutom kark skręcić, ale nowych żadnych już nie dopuścić, to gdzież tam! mnie nie do tego. A niechby jeszcze, uchowaj Boże! skończyło się na rekuzie, tojuż prędzej bym wprost z Bałograda znów na hajdamaki pojechał, niżelibym miał tobie własną ręką wieniec oddawać grochowy. .Chcesz, żebym z Bartkiem czynił za ciebie, dobrze, pojedę zaraz i zaproszę go w taniec; chcesz, żebym ci družbował przy ślubie, dobrze, i to uczynię, choć to także nie moje rzemiosło; chcesz, żebym za woźnicę służył u ciebie po ślubie, dobrze, i tego. się nawet podejmę, — ale poselstwa takiego, którego skutek od oratorskiego sprytu zależy, żadną miarą się nie podejmę. Wiem jako jestem w takich rzeczach niezgrabny i zanadto mi już dziś drogie jest szczęście twoje, abym je miał przez zarumienienie moje na szwank narazić.

Kiedy tak mówił pan-łowczyc, Grott się po kilka razy odzywał i jako mógł tak dawał do zrozumienia, że onby się chętnie podjął tego poselstwa i że pewnoby je z dobrym skutkiem odprawił. Stolnikowicz zrozumiał te jego przymawiania się, ale nie- rnając chęci uczynienia im zadość, milczał na nie i udawał, jakoby ich nie rozumiał, ale kiedy Grott nie odstępował przeto od swego

1 coraz jaśniej swoje dobre chęci wyrażać usiłował, tak •że już niepodobna było nakoniec udawać, że się ich nie rozumie, rzekł pan Józef otwarcie i trochę niecierpliwie:

— Mój Grocie! Konia kują a żaba nogę "nadstawia. Ja rozumiem, że co się tyczy oracy i całego tego gardłowania za moją sprawą, do którego przy onych tam swatach zapewne przyjdzie, tybyś się lepiej popisał, niżeli każdy inny, którego wybiorę — ale zdaje mi się, że sam widzisz, \*że tu trzeba powagi. Więc do czegożby było podobne?

Grott na to tylko spojrzął na pana Józefa, lecz umilkł i do dalszój rozmowy już ani jednego swego słowa nie wtrącił. Ale i bez niego w krótkim już czasie stanęła taka decyzja, żeby do tych swatów, uprosić pana Błońskiego, chorążego sanockiego a dziedzica Berezki, męża już leciwego, rozumnego i mającego cześć i dobre zachowanie u wszystkiej szlachty. Jakoż nie czekając nawet, chociaż już się słońce dobrze zniżyło, wsiedli obadwa bracia ślubni na konie i działami mknęli do Berezki, która kopcami granicznymi styka się z Żernicą.

\* \* \*

Tymczasem tego samego dnia właśnie, kiedy ta narada toczyła się w Żernicy, także jakieś ważne rzeczy zajmowały mieszkańców zahoczewskiego zamku.

W południowej bowiem godzinie, pomimo to że żęto i koszone na wszystkich polach, że zwożono snop z pola i w gumnach składano, pan Działott, który sam zwykł bywać przy każdej takiej robocie, teraz tam i sam chodził wielkim krokiem powzdłuż galeryi i zdawał się być jeżeli nie zafrasowany, to czemciś bardzo zajęty. Zupan jego cycowy w nieładzie, pas klamrą obrócony na biodro, włos poburzony na głowie i oczy żywo biegające w orbitach, świadczyły o tem jaknaj wyrażniej.

Koło poręcza w swoim zwyczajnem krześle siedziała po staremu jego żona, która była. teraz już zdrowsza cokolwiek, jak to zwykle u niej bywało latem, i trzymając nietykaną na kolanach robotę, często spoglądała na męża. Obok niej po lewej stronie siedziała Julia i także haft jakiś trzymała w ręku. Julia miała na sobie suknię białą w różowe paski i takież sam na tej sukni letniczek i jeszcze różowegb koloru gazową chusteczkę, zarzuconą na głowę a podwiązaną pod brodą, i niewiedziąc czy to czyniły te różowe kolory, które dziwnie pięknie odbijały, od czarnych jej włosów i alabastrowej białości twarzy, czy tak było i bez onych kolorów, ale to pewna, że Julia teraz wyglądała tak dobrze, cerę na twarzy zdawała się mieć tak zdrową i taki naturalny blask w oczach, że lubo niktby jój przeto nie dał lat szesnaście, jednak Ifażdy jeszcze zastanowić się musiał nad jej niepospolitą pięknością. I niedość na tem; ktoby bowiem był jej się zbliżka przypatrzył, ten byłby ku zdziwieniu swojemu się jak najjawniej prze\*

konał, że ani w jej oczach, ani w wyrazie twarzy nie było już prawie śladu onych natchnień nadziemskich, które dawniej taką bladością powlekały jej lica, tak się jasno wybijały na jej czole, tak promiennie były jej z oczów; Julia była dziś piękną, ale widać to było po niej że jój myśli i uczucia zstąpiły na ziemię i chodziły temi szlakami, które chodzą myśli wszystkich panien, opuszczających już wiecznie ukwieconą krainę wiosny a występujących w granicę lata, niosącego za sobą ciepło i owoce. Jakoż w samej rzeczy Julia teraz coraz mniej już czytała książek, coraz mniej się marzeniami bawiła, coraz rzadziej bywała smutną i wzdychającą, ale za to coraz więcej przypatrywała się ludziom i światu, coraz częściej myślała o swej ziemskiej przyszłości, a podczas kiedy różne tego ludzkiego życia tajemnice obudzały już nieraz jej dotąd śpiącą ciekawość z dawnych jej myśli ognistych, sięgających do gwiazd i słońca, pozostało w jej oczach tylko światło piękniejsze, które na ziemskie przedmioty umiało rzucać promienie niebieskie, a w sercu zdolność podniesienia przyjemności ludzkich do rozkoszy anielskich. I więcój jój nic nie zostało, — więcej też żadnój nie trzeba. Powietrzne, woniejącemi kwiatami ubarwione sny i marzenia

O wiosnie, serce pełne ognia i pragnienia rozkoszy w lecie, uczucia matki i rozsądna troskliwość w jesieni a powaga uwieczniona modlitwą w zimie tego ziemskiego życia, — to jest ideał kobiety.

Obok matki po prawój stronie stał syn pana Działoty, który przed tygodniem przyjechał z Warszawy, aby na czas krótki na- wiedzic rodziców. Syn ten, któremu było Pakosław na imię, nosił się równie jak Bartek ;w jancuzkim stroju: i miał on także na sobie suknię ogoniastą z czarnego aksamitu, pudrowaną perukę na głowie, jedwabne pończochy i szklące trzewiki na nogach; a lubo

1 tym ubiorem, który był brudny, wytarty i zaniedbany, wiele się już różnił od Bartka, jednakże on i we wszystkióm innem nie był- do niego podobny! Pan Pakosław był to młodzieniec dwudziestu siedmiu albo ośmiu lat wieku, średni wzrostem, słabej budowy ciała i tak jakoś wycieńczony i blady, że gdyby nie ogień jego modrych, głęboko zapadniętych oczu, który zdradzał w nim rozum czynny, obrotny i przenikliwy a tem samóm zdradzał i życie, to byłoby go można wziąć za jednego z onych nieszczęśliwych młodzieńców, którzy wcześniej wycieńczeni i odrazu zabici rozpustą, wloką się jeszcze przez kilka chorowitych lat życia i zakaszawszy się mocniej, umierają, nie doczekawszy trzydziestki. Pan Pakosław atoli nie miał wcale jeszcze w sobie zarodu śmierci, a jeżeli go już tak wcześniej opuściły czerstwość młodzieńcza i wiosenne rumieńce, to nie zostały się one gdzieindziej, jak w kancelaryi ministra Bryła i w księgach prawniczych a sądowych papierach. Pan Pakosław, przesiedziawszy lat kilka w Warszawie nad żmudną i nieustanną książkową pracą, przy tej pracy zabił # w sobie krew i żywość młodzieńczą, zabił wszystkie wrodzone uczucia, zabił serce swe własne i głos jego zagłuszył, a podniósłszy i wyostrzy w

szy sam czysty rozum, zostawił tylko żądzę posiadania pieniędzy. Pan Pakosław powiadał, że kiedy będzie miał pieniądze, to będzie miał wszystko: otworzą się dla niego urzędy, samo z siebie przyjdzie znaczenie, odżywią się nazad .młodzieńcze uczucia i pragnienia i stanie im się zadość każdego czasu; ale teraz mała izdebka pod strychem, skąpstwo, głód samowolny, pożyczanie pieniędzy na lichwę, sądowe i kancelaryjne szachrajstwa, służenie za narzędzie do wszystkiego za dobrą zapłatę, lizanie się, podłość wszelaka, a wszystko to prowadzone chytrąścią palestranckiego rozumu, to były drogi, któremi szczęścia swego chciał się dobijać towarzysz brylowskiej chorągwi. Czy liż się dobił później a raczej doczołgał tego szczęścia, czy śród swojej żółwiej wędrówki zgnieciony został przez kogo ten płaz obrzydliwy, o tem zamilczymy nateraz, ale to pewna, że rzemiosło, którego się chwycił synek zahoczewskiego dziedzica, prowadził on z całą zapobiegliwością i bezsensną pilnością, z całym zaparciem się ludzkiej natury i taką wytrwałością kamienną, że ileby pogardy i obrzydzenia przeciwko sobie obudzić musiał, w każdym sercu pocziwem, tyle zarazem obudzał żalu, że ludzie, którzy się tak umieją poświęcić zamierzonemu celowi, takie cele naznaczają swojemu życiu.

Pan Pakosław, przyjechawszy do Zahoczewia, przywiózł z sobą większą część swojej gotówki, a lubo był tak przezorny, że i rodzonemu ojcu nic o niej nie powiedział, jednak dał mu do poznania, że radzi sobie jak może, że nie jest tak koniecznie potrzebny, a przekonawszy się dowodnie, że ojciec ledwie sam wyżyć może ze swojej roli, powiedział nakoniec otwarcie, że już nadal obejdzie się połową tej gaży, którą pan Działott dotychczas posyłał. Pan Działott, uważając po urzędzie, który już teraz syn jego sprawował i po jego sprytnym a zaradnym rozumie, proponował mu, czyby się całkiem bez pomocy ojcowskiój nie obszedł i skarżył się przytem na nieurodzaje, na klęski, na ciężkie czasy; ale syn klął duszę i ciało, że takby nie wyżył, że drogo w Warszawie, że ma tysiące wydatków, że się pokazać musi jakoś przed światem, i na swoim postawił. Ojciec wszakże i z tego był kontent, bo i połowa pozostająca w kieszeni wielką przynosiła mu ulgę, i kontent był wreszcie, bo widział w synu stateczność, oszczędność i rozum niepospolity, który nawet jemu, staremu i doświadczonemu, nieraz tak imponował, że pan Działott powiadał otwarcie: — Już to darmo mospaniej miasto to szkoła na ludzi.

Tak usposobiony Pakosław, kiedy powrócił do domu, naj- pierwszej starał się rozpoznać wszystkie interesa ojca i wszystkie domowe powodzenia i niepowodzenia, przyczem naturalnie i kolej przyszła na Julię i jej dotychczasowy brak szczęścia do ludzi. To go trochę zastanowiło, bo nie było to rzeczą zwyczajną po one czasy, ażeby panna urodziwa i szlacheckich rodziców, mająca oczę- wistą połowę wioski w posagu, przeżyła lat dwadzieścia i kilka tak, żeby nawet nikt się do niej nie zbliżył. Zbadał on więc całe.

jej życie jaknajdokładniej, zbadał wszystkie ojcowskie z całym światem stosunki, wypytał się o sąsiadów, o ich sytuacją, o ich usposobienia, a to nawet, czyli i który i wiele razy był w zahoczewskim zamku; a zbadawszy to wszystko, o-n to pewnie wzburzył tak do gruntu dom cały, że ojciec chodził z poburzonemi włosy mą, matka to brała w ręce robotę, to ją przerzucała, a Julia ciągle

0 czómś myślała — chociaż o takie burzycielstwo niktby go nie śmiał nawet posądzić z wejrzenia. Stał on bowiem teraz pokornie oparty o-ścianę i trzymając złotą tabakierkę w rękach a zażywając z niój czasem, milczał tak obojętnie i tak nieruchomie patrzył przed siebie, że ktoby był spojrział na niego i na ojca chodzącego niecierpliwie po tej galeryi, ten byłby raczej powiedział, że tu syn swawolny słucha ojcowskiego kazania, niżeli że ojciec zamało oględny uczy się dyplomacyi od syna.

Nareszcie pan Dzianott, wyburzywszy się z sobą, poprawił pasa i rzekł:

— Ale ma racyą Pakosław, pan Bobowski nam oczewistą szkodę wyrządził i powinien ją naprawić.

— To jest rzecz jasna jak słońce — powiadał na to chrypliwym ale powolnym i dobitnym głosem

Pakosław — i nikt jej zaprzeczyć nie może. On sam nawet, jeżeli jest człek uczciwy i sumienny, jak asaństwo dobrodziejstwo mówicie, kiedyby sobie całe to swoje postąpienie przypomniał, przedstawił przed oczy i każde słowo, które Julci powiedział, powtórzył, zdumiałby się nad sobą

1 ręczę za to, że niebaby otwartego odbieżał, ażeby tylko tę plamę brzydką zmazać ze swego sumienia. Bo nie mówię już o tem — prowadził dalej rzecz swoją ministeryalny aplikant — nie mówię już o tem, że będąc w takiej sytuacji i takim znaczeniu w powiecie, kiedy zaczął konkurować o Julcię, na długie lata' już przez to wszystkich możliwych od niój konkurentów odpędził, których byłoby pewno dosyć; bo i dłączegóżby do takiej pięknoj i poważnej panny, i w powiecie, w którym jest tyle młodzieży, ich być nie miało?... Nie mówię o tem, że Julcia przez to osiadła na koszu, zapędziła się w lata, za mąż nie poszła i już nigdy nie pójdzie...

— Dajżeż pokój, Paokszu — odezwała się na to matka — jeszcze to w Boskiem ręku.

i -rr Ale ja powiadam pani matce, że nigdy za mąż nie pójdzie — rzekł na to Pakosław, a zażywszy tabaki, powtórzył jeszcze raz: — nigdy nie pójdzie! bo jeszcze nigdy za mąż nie poszła panna, której zaraz w pierwszej młodości trafił się młody, przystojny, bogaty i pięknego nazwiska konkurent i ten odpadł i uciekł, nie wiedzióc dlaczego. W takim wypadku, któren tajemnicą przed światem zakryty szórokie do domysłów podaje pole, zaraz różne rozchodzą się plotki; więc ten to mówi, a drugi owo, a trzeci, domysł wzięwszy za prawdę, niesie ją zaraz w świat jako taką, a jako rzeczy takie rosną po ludzkich ustach i w jakie dziwolągi

się wyradzają na końcu, wiemy o tem wszyscy, którzy znamy ten świat i życie i którzyśmy, nieraz będąc świadkami samego wypadku, byli potem słuchaczami biegających o nim powieści. Więc kto wie co o Julci za pogłoskę puszczone natenczas, kiedy bez żadnej przyczyny odpadł od niej pan stolnikowicz; któż wie przez jakie tej pogłosce przyszło przechodzić usta i w jaką ona wreszcie urósłszy opinią, jako niezbita prawda osiadła w przekonaniu wszystkich sąsiadów? Tego wszystkiego my wiedzieć nie możemy, bo to do nas nie dojdzie; ale że tak być musi, o tem niemasz wątplenia. Ale pomijam to zresztą, że się zestarzała, że za męża nie poszła, że jakaś na nią ztąd chodzi po świecie kalumnia... bo to wszystko są rzeczy, które przy dobrej woli i przy środkach, na których panu Bobowskiemu nie braknie, dałyby się jeszcze zagładzić... możnaby się o to ugodzić...

— Jakto? — zawołała na to Julia — o kalumnię się godzić? Najpiórwej, nie rozumiem zkądby się tu mogła wziąć jaka kalumnia; ale gdyby i tak było, to czemuże ty myślisz zagadzać kalumnię?

— Pieniędzmi, moje dziecko, pieneźdzmi — odpowiedział Pakosław — taki jest zwyczaj teraz na całym świecie.

— Ach! cóż ten świat poczyna mieć za zwyczaj! — rzekła na to Julia z westchnieniem.

— I tóm pewniejsza, tóm korzystniejsza dla nas byłaby z nim

O to ugoda, mówił dalej Pakosław, — im on jest bliższy spełnienia swoich balogrodzkich zamysłów. Jakoż rzecz ta, lubo jest tutaj podrzędna, jednak niemniej przeto jest ważna i potrzeba na nią dać dobre baczenie, oględnie, rozumnie a stanowczo sobie poczynać, a począwszy, kończyć i to kończyć natychmiast. O! bo raz tylko uśmiecha się szczęście człowiekowi na życiu! raz tylko, a kto ten uśmiech prześlepi i zeń nie korzysta, ten napróżno już potem przez całe życie paciórzami błaga Pana Boga o pomoc, napróżno.

— Ale tak jest bezwątpienia! — zawołał na to pan Działott, — nawet stoi jaknaj wyraźniej w Piśmie świętóm, że kto sobie pomaga, temu Bóg\* pomoże; rozumie się tedy samo przez się, że kto sam sobie nie pomoże, temu i Bóg nie pomoże.

— Co tu państwo mówicie, — odezwała się na to Julia, która z wielką uwagą ciągle się przysłuchiwała mówiącym, — ja tego nic a nic nie rozumiem. I ja przecie nie jestem już dzieckiem, I jam także wiele ludzi widziała, i jam książki czytała, ale wyobrażenia moje o tem wszystkióm tak są różne od tego...

— Daj-no pokój, moje dziecko. — rzekła do niej matka, — my kobiety jesteśmy • na to, ażeby słuchać, oni niechaj mówią, mężczyźni.

— Ale moja mamó, przecie i kobiety... ?

- — Co kobiety! — zawołał na to pan Działott, — kobiety są jak lalki, kobiety...

— Niechże pan ojciec pozwoli, — przerwał panu Działottowi Pakosław, — ażebym dokończył, bo jako widzę, zadaleko się unosimy od naszój materyi.

— Tak, tak, masz racyą, skończmy pierwej jedno, potem pogadamy o drugim, — odpowiedział ojciec.

I i — Owóż tedy,—mówił znowu Pakosław, zażywając tabaki, — nie mamy już co się rozszerzać nad tamtym punktem, tam niech będzie tymczasem satis; ale jest punkt drugi, daleko od tamtego ważniejszy. A tym punktem są Julii duszy i serca cierpienia.

Moje cierpienia? — rzekła na to Julia, — ach nie mówcież państwo już o nich, niechaj one pozostaną mnie tylko i Panu Bogu wiadome.

— Pan Bobowski, — powiadał dalej Pakosław, nie uważając wcale na siostry swej słowa,— rozpocząwszy konkurencyę o Julcię, zbałamucił ją, wzruszył jej serce, obudził w niój miłość ku sobie a miłość taką, jaka się niezwykła podnosić w sercach prostych, pospolitych szlachcianek. Julia się w nim rozkochała i kochała go całym sercem i duszą, i kochała go nawet wtenczas, kiedy ją już porzucił i dzisiaj nawet kocha go jeszcze.

Na te słowa Julia spuściła oczy ku ziemi, westchnęła kilka razy i dwie łzy duże, odbiwszy w sobie najboleńsze jój dawnych uczuć wspomnienie, potoczyły się po jej pięknych, żywym rumieńcem splonionych licach. Tymczasem brat jej powiadał dalej:

— Ale ta miłość, jeżeli zrazulbyła najrozkoszniejszym młodziutkiego jój serca kwiatem, jeżeli była źródłem, z którego wytryskały kryształowe promienie jej najpiękniejszych nadziei, ja- kiemże potem stać się musiała źródłem coraz to nowych cierpień i bólów, kiedy ją pan Bobowski opuścił!... I byłaby ona to może jeszcze jakoś przecierpiała -i uspokoiła się prędko, gdyby pan stolnikowicz był człowiekiem zwyczajnym, gdyby był jednym z tych powiatowych wietrzników, za którego słowo nikt złamanego szeląga nie daje; ale pan Bobowski jest człowiekiem- krwi znakomitej, szlacheckiej, jest wspaniałym konarem niebotycznych Gryffów rośliny, onych Gryffów rycerskich, u których nigdy nie bywało różnicy pomiędzy słowem a czynem. Słowu takiego męża jakżeż ona nie miała uwierzyć? jakżeż nie wierzyć słowu takiemu, o którym niktby pod gardłem nie śmiał wątpić? Więc uwierzyła ona, i wierzyła, chociaż Bobowski odjechał, i wierzyła, chociaż powrócił i jej się nie pokazał, i dzisiejszego dnia wierzy.

— O! to już nie, mój Pakoszu,— odpowiedziała na to Julia;— był czas, kiedym w jego serce, jak w drugiego Boga wierzyła, to prawda, i długom się tej wiary pozbyć nie mogła; ale dzisiaj, Panu Bogu niech będą dzięki, całkiem już o tem nie myślę.

— Wierzysz moja duszo i myślisz,— rzekł na to Pakosław\*, — i próżno się z tem taisz przed nami, bo kto nie chce, wyczyta to w twojój twarzy. Więc owa wiara do czegoż ją doprowadziła, tę

pocziwą dziewczynę? Któż jej nie znał, jak ona była świeżą, jak piękną, jakie rumieńce zdołały jej lice, jak swobodnym było jój serce, jak spokojną jej dusza, że zdawało się, że to anioł jest z nieba, któremu Pan Bóg przez łaskę swoją kazał zstąpić w grono zacnej ale trudami nieszczęśliwego życia osmuconej familii. Dzisiaj cóż się z nią stało? gdzie są te oczy pełne niebieskiego światła i blasku, gdzie one róże i lilie, które siedziały na jej licu? gdzie jest dawny spokój jej serca, gdzie wesołość jej duszy, gdzie dowcip jej krotchwilnego umysłu, który ongi tak wdzięcznie zabawiał moich ukochanych rodziców?... Dzisiaj... jam doprawdy... ja, kiedym przyjechał i obaczył, jak ona jest smutną i powaloną na duszy, jak jest bladą, jak nędzną, jak ustawicznie tylko wzdycha i cierpi i jeszcze kryć się musi ze swoim cierpieniem, jam osłupiał i serce mi się na dwoje rozdarło z żalu, i przez całą noc piór wszą ani oka zmrużyć nie mogłem. Ja i dziś jeszcze, choć już wiem wszystkie przyczyny, ja i dziś jeszcze w mojej się nie mogę obaczyć boleści i zaraz dałbym połowę życia mojego, gdybym jej tem dawną mógł powrócić swobodę.

— Ach! -dziękuję ci Pakoszu; — mówiła na to Julia i płakała jak dziecko, a Pakosz powiadał dalej:

Ale ja, gdybym i całe moje życie jej oddał, cóżby jej .to pomogło?... Ale jest ktoś, — mówił z zaiskrzonymi oczyma ten mi- nisteryalny aplikant, — który także ma życie, i ma to życie swobodne i którego życie, poświęcone tój w rzeczy, której było już słowem oddane, wszystko jeszcze naprawićby mogło; o to życie upomnieć się...

— Co?—zawołała na to Julia, — upominać się u pana Józefa, aby swego słowa dotrzymał? nie! nigdy! nigdy na to nie pozwolę.

— Nie, moje dziecko, nie upominać się wprost i zaraz, — rzekł Pakosz, — byłoby to brakiem rozumu i przyzwoitej zręczności; ale fiaprowadzić go na to przez innych, przypomnieć mu to wszystko, co już może uleciało z jego pamięci, dać mu do poznania jakiego imienia godne są takie postęпки, a dopióro, kiedyby się wzbraniał naprawić to złe, Jctóre wyrządził i zaparł się własnej swej obietnicy, w) stąpić z całą siłą i energią, i choćby własne swe życie położyć w obronie siostry i córki, — to będzie zręczność, uczciwość i rozum.

—«Pakoszu! — zawołała na to. z uczuciem Julia, — pięknie to jest i wspaniale z twej strony, że tak szcórze i po bratersku się zajmujesz losem twój siostry, ale...

Ale wtóm weszła na galeryą owa baba stara i brzydka, owa czarownica z białogrodzkiej granicy, jak ją lud prosty nazywał; baba, którój Ewa było na imię, a którą jużesmy raz widzieli na tój samój galeryi. Obaczywszy ją, pan Pakosław wsunął najpierw w nos potężną szczyptę tabaki, a potem rzekł zwolna:

— Aha! otóż i nasza Ewa kochana! coś nam przynosi nowego.



I jak gdyby nic nigdy nie było, przystąpił do niej i zatrzymawszy ją 'w samym rogu galeryi, prawie przy samych wschodach, począł ją o coś wypytywać. Do nich obojga, tak opodał od kobiet zamkowych rozmawiających, przystąpił pan Działtowski i także jakieś tam dorzucał pytania. Ewa na nie odpowiadała szybko i stanowczo i w jaknajkrótszych wyrazach; wkrótce atoli zabrała głos i tak zaczęła:

— Panie! to jeszcze śnać bardzo daleko do tego. Mówiłam ze wszystkimi ludźmi na zamku, mówiłam z marszałkiem, które- mum niedawno dawała lekarstwo od gościa, mówiłam z dworskim samego pana, któremum listek teraz przyniosła od jednej wdowy, mówiłam ze służebną panną, która się ot na zabój rozmiłowała w dyspozytorze z Jabłonek, ba! mówiłam i z samą panną na jej pokoju, bo sobie dla zabawki powróżyć kazała; ale wszystko jakoś już na jedno wypada, że to jeszcze daleko od tego. Panna niby nie ma odrazy od niego, ale jakoś się z niego naśmiewa, przyjmuje go ale niebardzo, a śnać on stryjeczny, co to się z przeproszeniem tak nosi jak pan Pakosław, także jej jakoś niegorzej służy. Ba, nawet takbym powiedziała, że to jeszcze na dwoje, albo pan Bobowski utrzyma, albo go on Francuz odsądzi.

— Aha!—rzekł na to Pakosław, zażywszy tabaki a pogląda- jąc na ojca, dodał: — satis/ \*

Na to pan Działtowski odszedł do swoich kobiet, a Pakosław, sprowadziwszy się z Ewą w dziedziniec, poszedł aż ku bramie i tam chodząc z nią po grabowój alei, długo jeszcze rozmawiał.

\*

\* \*

Następnego dnia po tem, o południowój godzinie, kiedy jeszcze skwar słońca dopiekał, cała familia podkomorzego była zebrana pomiędzy kolumnami pod frontową galeryą. I nietylko państwo sami tam stali, ale nawet wszyscy domownicy i służy i kto tylko żył w zamku, wybiegł tam pod galeryą, a wszystko sprowadził tam dziw i ciekawość.

Przed chwilą bowiem przywieziono na drabnym wozie ogromną niedźwiedzicę, którą pan Bartłomiej wpierw z pistoletu ra- niw'szy, oszczepem własnoręcznie powalił w jabłońskich • lasach. Tego niezwyčajnego w owych czasach myśliwskiego zwycięstwa naoczniemi świadkami byli pan Urbański, Wincenty i kilku myśliwych, i lubo ich słowem można było wierzyć bezpiecznie, jednak dotychczas jakoś jeszcze ten i ów poważał się niedowierzać. Podkomorzy nawet sam poWiadał się być Tomaszem i chciał koniecznie wpierw Własną ręką dotknąć się ran onych oszczepem zadanych; teraz atoli już żadnego nie było wątpienia, bestya ta bowiem, czarna jak węgiel i srodze kudłata, leżała już w oczach

wszystkich wyciągnięta na ziemi, a podczas kiedy reszta zamkowej publiki stała opodal w półkołu, podkomorzy sam, mając z jednej strony Barbarkę a z drugiej księdza kapelana, stał przed tym zwierzem i to się pochylał, ażeby razy oszczepu bliżej oglądnać, to oczy podnosił i słuchał, co powiadał Bartek, po drugiej stronie zwierza stojący, i historią każdej rany opowiadający.

Oglądnąwszy te wszystkie Bartkowe męztwa dow<sup>7</sup>ody, jego własnymi objaśnione zeznaniami, wszyscy aplauz mu dali ogólny i cieszyli się tym wypadkiem, niby nowym jakimś na dom Karsznickich spadającym splendorem, a podczas kiedy pomiędzy gawiedzią zamkową dawały się słyszeć słowa podziwienia, że taki panicz delikatny i niby miękki na pozór, tyle ma w sobie odwagi i męztwa, kapelan przybliżył się do Bartka i rzekł głośno:

— Waszmość mi przypominasz te czasy, kiedy kto tylko u nas chciał się nazywać myśliwym, nigdy z inną bronią nie wychodził na grubego zwierza, jak z białą. Więc bierano na oszczep niedźwiedzie, kluto kordelasami odyńce, a polowanie na wilki, lisy i inny zwierz drobny było tylko zabawką.

— Ej! tak ci się zdaje, | mój księżu, — rzekł na to podkomorzy, — już to i naszych czasów, kiedy kto wzięt na oszczep niedźwiedzia, albo nożem trafił w słabiznę odyńca, wielkiej dostępował ztąd famy, ale mimo to większa jeszcze należy się dzisiaj Bartkowi, bo co inne dziś czasy, to inne!

Potem przeszli ci panowie od niedźwiedzicy do wozu, gdzie sznurami powiązane na słomie leżały dwa maluczkie niedźwiadki, po zabiciu matki przez strzelców pojmane. Tym zwierzątkom się przypatrzwszy i nadziwiwszy się dosyć wrodzonej ich złośliwości, podkomorzy bardzo się cieszył i zaraz przy wozie począł dysponować, jaką dla nich budę należy zbudować, gdzie ją postawić, czyjej opiece te zwierzęta poruczyć, czóm je żywić i jakich należy używać sposobów, aby wrodzoną ich dzikość ułaskać i zgoła je obłaskawić. Tę dyspozycją począwszy, w długą rzecz się podkomorzy zapuścił, a mając siebie za wielkiego naturalistę, i chcąc pokazać, że nietylko się zna na ptakach i rybach, ale i ziemnych zwierzętach, nie poprzestał na samych teoriach, ale przytęm i praktycznie swoich opinij dowodził, utrzymując, że jeżeli się gdzieindziej smutne z chowania dzikich bestyj po dworach wydarzały wypadki, to nie było to winą bestyi, jeno ludzi którzy je ułaskawić nie potrafili. W kilka miesięcy potóm, jeden z tychże samych niedźwiadków, przez podkomorzego ułaskawionych, zjadł żywcem babę chusty piorącą na rzece; i pokazało się wtenczas to, co się pokazuje codziennie, że na krwiożerczość wrodzoną nie pomaga ani łańcuch, ani kaganiec; ale teraz podkomorzy utrzymywał przeciwnie i szóroce się nad tóm rozwodził, a byłaby pewnie jego mowa trwała aż do samego wieczora, gdyby nie to, że ktoś z onej gawiedzi, która teraz się już po całym rozchodziła dziedzińcu, na<sup>^</sup> gle „Goście jadą!” zawołał.

Jakoż w rzeczy w tój chwili wjechała w bramę czterokonna kałamaszka i przy podwójnym trzaśnięciu z bicia, jakby wryta stanęła przed gankiem. Kałamaszka ta była malowana na żółto i uprężone w nią były cztery konie wilczate, w szor pozłocisty ubrane, wielkie i niepospolicie wyniosłe, co wszystko zdaleka uderzało w oczy i tak było znane w tój okolicy, że podkomorzy jeszcze dopiero ku gankowi zmierzając, zawołał radośnie: „Pan chorąży kochany!”

Tymczasem pan Błoński z panem Osuchowskich łowczycem, wysiadłszy z powozu, szli już ku niemu z powagą, a statecznością gospodarza domu witając. Witał i ich podkomorzy niemniej grzecznie a jeszcze więcej serdecznie, ale chyba był dopiero rok albo dwa lata gości przyjmował u siebie, żeby był po ich świątecznych strojach i całóm wzięciu się nie poznał odrazu, że tó nie zwyczajna wizyta. Tego się domyślając, podkomorzy, który z serca rad był każdemu dogodzić, byłby był ich prowadził do siebie, i nie czekając słuchał czegoby po nim żądali, ale dzika bestya, leżąca tuż przed nimi w dziedzińcu, stanęła-tym jego szczerym sentymentem na dirodze.

Jakoż stanęli jeszcze raz wszyscy nad niedźwiedzicą, i dopiero po opowiedzeniu przez podkomorzego całego tego zdarzenia, po wskazaniu ran wszystkich, po nadziwieniu się gości Bartkowej .sile i odwadze i po oddaniu mu należytego uznania, dał pan Karsznicki Wincentemu znak potajemny, ażeby mu nikt nie przeszkadzał, a sam z gośćmi poszedł do górnych pokojów.

Ledwie weszli do jego sypialni, w której zwykł był wszystkich mężczyzn przyjmować, i wszyscy trzej ostatecznie usiedli, pan chorąży, podniósłszy głowę i odchrząknąwszy cokolwiek, począł prawie w ten sens:

— Po naszej dawnej znajomości, panie Franciszku kochany, i po onej niezachwianój przyjaźni, którą od lat tylu przez łaskę twoję mnie raczysz zaszczycać, śmiem mieć tę nadzieję, iż mi nie zechcesz wziąć tego za złe, że w ważnem tu do waszmości dobrodzieja przyjechawszy poselstwie, nie będę po staremu zaczynał od tego, jak Pan Bóg Adama i Ewę stworzywszy, w dziwnie pięknym osadził ich raju, jedno odrazu wejść in medias res, i nie nużąc mojej ni twojej próżnemi frazesami głowy, rzecz serca podam prosto do serca.

— Panie Józefie! — rzekł na to podkomorzy, •— znasz mnie już od tak dawna i wiesz bardzo dobrze, że jeżeli nigdy nie mam zwyczaju rzeczy cenić po ich znikomych formach, to nawet przy- kroby mnie to było, jeżeliby ktoś taki, któren od lat tak dawnych jest mojemu sercu tak blizki, jak ty, panie chorąży, podając mnie swój afekt albo przynosząc cudzy, obwinął go pierwój w takie mnóstwo, szmat oratorskich, które staremu i bywałemu po świecie żadnąby nie było nowością, a obudwom sercom porozumieć się chcącym stałyby się tylko nudną przeszkodą i niepotrzebnym cier

pliwości probierzem. Z czóm tedy z woli Bożój dziś do mnie przychodzisz, mów śmiało i otwarcie, ażebyś jaknajprędzej ulżył twojemu obciążonemu sercu, a mojemu podał prędką sposobność przekonania cię jeszcze dzisiaj, jak wysoko sobie cenię alekt twojej pięknej przyjaźni i jak miło mi zawsze dawać tego dowody.

— O woź tedy, — zaczął nanowo po tej odpowiedzi podkomorzego chorąży, — twoja piękna córka, panie Franciszku, która nieporównaną urodą swoją już całą młodzież naszą olśniła, ba! nawet u nas starych mimowolnie zawsze wspomnienia słodkich sentymentów młodości obudzą, która przymiotami duszy i serca prawie się nad wszystkie ludzkie zwyczajne wynosi, a już rozumem i odwagą swoją najśmielsze junaki nasze w proch rzuca i upokarza, chcąc li czy nie chcąc, obudziła szczéry afekt serca w ukochanym sąsiedzie moim, panu Józefie Bobowskim. Znajoma jest nam wszystkim, ba i przed tobą pewno się nie ukryła wielka moc duszy i umiejętność panowania nad sobą, która jest w tym młó- dzieńcu, jakoż dał on już tój czyście starożytnej cnoty niezliczone dowody; pomimo to jednak afektowi temu, który w nim obudziła panna Barbara, żadną miarą zatamować nie może; ba, gorzej nawet, bo ten żelaznej jak powiadam duszy młodzieniec tak się zgoła poddał tej swojej serdecznej słabości, że kiedy przyjechał do mnie i wypowiadał mi się z onych tam swoich tajemnic, tó aż moje stare serce do samego dna wzruszył i z ócz moich wyschniętych łzę nie jedną wycisnął. Krótka mówiąc, oszalał z kretesem i bez ratunku. Z tego fatalnego upadku powstać, albo się jakoś wylóczyć, nie miał ani nadziei sam stolnikowicz, bo ani ważył on się pomyśleć, żeby gdzie było na tę jego chorobę lekarstwo. My atoli obadwa z przytomnym tutaj jego przyjacielem, ba zgoła bratem, imć panem łowczycem, wiedząc dobrze, że na takie choroby sam Pan Bóg w sw<sup>T</sup>oich sakramentach pewne i nieomylnie podaje remedium, i rozważywszy naszym lichym rozumem i to i owo i wszystko, co do tego należy, — nie kazaliśmy jeszcze panu Józefowi rozpaczać. Wprawdzie to pannie Barbarze, urodzonej w tak znakomitym domu i obdarzonej tak przedniemi od Pana Boga przymioty, lepiejby snąć przystało oddać rękę jakiemu jaśnie wielmożnemu, zasiąść na zamku bogatym, zapanować tysiącom poddanych i z wysoka niedościgniony dawać przykład ze siebie swym rówieśnikom; ale jednakże rzecz rozważywszy sumiennie i przyznawszy otwarcie, że i pan Bobowski, splendorem swoich przodków dosię- gający wosoko, z położenia swego omniby, s par et nemtnt inferior, na dostatniej fortunie osiadły, także ma wrota do tych wszystkich szczęśliwości otwarte, któremi Bóg obdarzyć może szlachcica: zrozumieliśmy tak, że nie byłoby w tem nic niepodobnego, gdyby Leli witka podała swoją rękę olśnionemu i powalonemu przez siebie Gryffowi i przyniósłszy w dom jego nową chwałę i szczęście, oddała jego duszy on spokój i hart starodawny, ażeby ku dalszej chwale swojego rodu znowu tak przykładowie jak dotąd służył Panu

Bogu. Z tem tedy przyjeżdżamy do ciebie, kochany panie Franciszku, a podścielając tobie, jako najwyższemu sędziemu i trybunałowi w tej sprawie, najuniżeńsze pana stolnikowicza prośby, prosimy jeszcze, ażebyś rzecz tę rozważywszy w swoim rozumie i sercu, baczył łaskawie rozstrzygnąć: czy pan Józef ma tu pędem przylecić i upaść ci do nóg, czy ma w cierpliwości jeszcze czas jakiś oczekiwać twej rezolucyi, czy ma zgoła wszelką utracić nadzieję i dać się złożyć onej ciężkiej swego serca chorobie, z której snąc tylko sam Pan Bóg go kiedyś swoją cudownością wyleczy.

— Niesobliwie, panie chorąży, — rzekł na to z dobrodusznym uśmiechem ojciec Barbarki, — forytujesz sprawę twojego klienta, bo podczas kiedy przed niemi słowy i wcale nad zasługę podniosłeś zalety mej córki, ledwie dziesiątą część wymieniłeś onych wybornych duszy i serca przymiotów, które się znajdują w imię panu Bobowskim: ale że co dobre jest, chwali się samo przez się i że w tej twojej skromności widzę to tylko, że trudno ci przychodziło utrzymać równowagę pomiędzy moją a pana Bobowskiego przyjaźnią, tedy niechaj ci dzięki będą za to odemnie, a ten nowy dowód twojego dobrego serca niechaj nigdy nie bęŗ dzie wymazanym z mojej pamięci.

To mówiąc, pokłonił się podkomorzy panu Błońskiemu, a kiedy pokłon napowrót odebrał, tak mówił dalej:

— Jednakże nim do samej rzeczy przystąpię, niechaj mi wolno będzie zmyć przed tem z siebie jeden zarzut małuczki, który mi uczyniłeś w swej mowie. Chwalisz w swej łasce moją dziewczeczkę i powiadasz, że snadniejby jej przyszło panować na Wielkim zamku, niżeli rządzić gospodarstwem szlacheckiego obejścia; ja za pochwałę raz jeszcze dziękuję i w sercu mojem ojcowskiem rad to przyznaję, że jakimi ją kolwiek darami Bóg w łasce swojej obsypał, ja już wiele pociechy miałem z tego dziecka w tem życiu, i nic pewniejszego nad to, że nie lada komubym oddał to w ręce, co tak miłe jest mojej duszy i sercu. Krzywdę mi atoli czynisz, mój kochany chorąży, jeżeli myślisz, że ja onemi pomiernymi przymiotami mej córki tak olśniał i wśród tych darów Bożych tak zbudniał, że nie myślę o innej dla niej przyszłości, jak o pomieszczeniu jej w zamkach albo pałacach. Starym jest już, mój panie chorąży, i wiem to z własnego doświadczenia, że rzadko ciche szczęście doczesne mieszka na wysokościach, a spokój i prawdziwa miłość małżeńska rzadko się ubiera w szkarłaty. Szczęście to ziemskie, tak jak ja je pojmuję i jak go nieraz z łaski Boga doświadczałem w mem życiu, jest jako kwiat polny, który rośnie przy ziemi, jest jako bluszcz miękki, który dopóty ma świeżej zieloności i kwiatu, dopóki się winie około niskich głazów i krzyżów, a gdzie się wspina na baszty i wieże, tam go wichur siecze i burza. A ja szczęścia pragnę dla mojej córki. A potem... mój panie chorąży, gdyby nawet i miało się spełnić tam szczęście gdzieś

w górze, to nie wzięłyby Karsznicki takiego za zięcia, którerauby się kłaniać musiał do ziemi i wdzięcznym być za łaskę do śmierci. Karsznicki się kłaniał za młodu, a dzisiaj jego kark już zże- leźniał i nie ugina się tylko przed Tym, któremu zawdzięcza życie, fortunę i zdrowie. Karsznicki się w mierności urodził, w mierności swoje dzieci wychował i za główną im pozostawia naukę, ażeby się nie pięli na one szczeble, z których na dół spojrzawszy, rychlej się głowa zakręci, niżeli cnota przyrośnie sercu. Widziałem ci ja takich już wielu, którzy mi po nad głową chodzili, ale jeszcze z nich żaden przez to swoją purpurą nie ujął godności moim drelichom. Ojciec króla Stanisława sąsiadował przez jakiś czas z moim ojcem i nieraz wtenczas, kiedy obadwa orząc na swoich rolach, na kopcu granicznym usiedli, to ręce sobie podawszy, częstowali się swoją przekąską: syn tamtego włożył koronę na głowę, jam siadł na moim zagonie, ale pomimo to dzisiaj jam mu jeszcze ani jednego dnia zawidził. Na tym samym zagonie pozostanie i syn mój, i z takiego też zagona wezmę męża dla mojej córki. Tak jest, mój kochany chorąży. Więc co się tyczy tych pana Bobowskiego intencyj, tedy otwarcie wypowiadam waszmo- ściom, że nietylko mnie to mocno cieszy, ale zgoła za honor sobie to mam, że młodzieniec tak zacny w moim ubogim domu upatrzył sobie towarzyszkę' swojego przyszłego żywota. Cieszę się tedy bardzo z tej wiadomości, i to jeszcze dodaję, że ile go znam i ile o nim słyszę, wszystko jest tak w nim po- mojem sercu, że- bym Pana Boga obrażał, gdybym czego więcej w moim życiu zapragnął. Ród piękny, fortuna dostania, pocziwość wypróbowana, dobroć serca niezaprzeczona, rozum przedni, skromność i statek, a do tego młodość i zdrowie,—czegóż więcej potrzeba? Więc co z mojej strony, moi mości panowie, żadnej niemasz objekcyi i oto przy was rzucam białą gałkę do urny.

Na to pan chorąży się statecznie i pięknie pokłonił, ale Osuchowski, który już tak miał głowę nabitą tem przysłem swojego brata szczęściem, jak jeszcze nigdy w swem życiu, który tak tego szczęścia dla niego pragnął, że byłby zaraz za nie dał całą swoją fortunę, i który już od dni kilku w takiej oto drżał niepewności, jak gdyby zgoła o jego śmierć chodziło albo o życie, — pó tych słowach podkomorzego mało że się mu już do nóg nie rzucił; jednakże szczęściem jakoś spojrział w tej chwili na pana Błońskiego, a wyczytawszy w jego oczach, że to jeszcze nie koniec, zapał na nowo oddech w swych piersiach i dalszej oddał się męce. Podkomorzy zaś tymczasem tak dając powiedział:

— Jednakże, moi mości panowie, jak wszędzie w tem życiu naszym, tak i tutaj jeszcze zachodzi jedno maluczkie ale. Bo lubo ja jestem wprawdzie królem w tym domu i państwie, i przeciwko mojej woli ani włos z głów<sup>T</sup>y tu nikomu nie spadnie, wszakże w pewnych materyach, które albo do departamentu którego z moich podwładnych należą, albo zgoła losu pojedynczych osób

dotyczą, zwykłem przed ferowaniem ostatecznego dekretu odwoływać się wprzód do opinii onej interesowanej osoby. A to właśnie jest taka materya. Chodzi tu o przyszłość mojego dziecka. To dziecko moja żona pod własnym sercem, to dziecko ona własnymi wykolebała rękami, nie jedną w nie zaszczerpiła naukę, a podczas kiedy ją na dorosłą wychodowała pannę, nie jedną może do jój przyszłego życia przywiązała sobie nadzieję. Słusznie tedy to będzie, jeżeli też moja żona będzie tutaj miała swoje wotum. Powtóre, to dziecko samo nie jest już dzisiaj dzieckiem i mając nie złe wyobrażenie o ludziach i świecie, ma je także o swoich terażniejszych, ba i przyszłych swych obowiązkach, — słuszniesz tedy i to będzie, ażeby i o dziecko, gdzie o jego własny los chodzi, także swe wotum miało. Przepraszam tedy waszmości, jeżeli ich tu samych na chwilę zostawię i nim ostateczną im dam rezolucyą, trochę się pierwej obradzę. Ale to już inaczej nie może być.

— Proszę, proszę, i owszem, czekać będziemy cierpliwie, — rzekł na to pan chorąży, a kiedy pan podkomorzy wyszedł i dziełobowiem już sami zostali, z głębi piersi odetchnął pan łowczyc i rzekł do swego towarzysza:

— Panie chorąży! w różnych się już bywało terminach, i już śmierć zaglądała w oczy na polu, już się do mnie przybliżała leżącego na łożu, już był czas taki podczas mojej niewoli, kiedy za każdym drzwi skrzyknięciem od mojej kaźni, pewnym był tego, że przychodzą po mnie, aby mnie wziąć i na pal nawlec na rynku: ale jeszcze nigdy nie był na takich torturach, jak dzisiaj. Zebyż to jeszcze Bóg dał, żeby to się szczęśliwie skończyło! Jakże jegomość tuszysz, jak to wypadnie?

— Bógże to jeszcze raczy wie.dzióć, — odpowiedział pan Błoński, — dotychczas to jeszcze nieźle idzie, ale coś mi zasuto podkomorzy komplementami sypie, a to po. takich komplementach to najczęściej idzie rekuza.

— Co jegomość powiadasz! — zawołał pan łowczyc, — wiesz jegomość, słabość to głupia, ale czuję to w sobie, że kiedyby broń Boże odesłano nas z kwitkiem, to jabym się rozchorował, a cóż dopiero biedny mój Józef.

— Ha no! obaczmy. To tylko sobie waszmość pamiętaj, że jeżeli nas przyjmą, to posyłaj zaraz pędem po pana Józefa, bo to bardzo i pannę i rodziców ujmuje, i afekt prawdziwy próbuje.

— Ale co tam! do miasteczka nie tak daleko, choćbym i sam poleciał. Ale to on się tam poci nieborak!

I tak sobie rozmawiali obadwa ci panowie, to tak to owak rzecz wykładając. Aż nareszcie po dobrej połowie godziny wszedł sam podkomorzy, kłaniając i mówiąc:

— Proszę was tam do komnaty.

Szli tedy obadwa naprzód a podkomorzy za nimi; a kiedy

przyszli do owej komnaty, zastali już tam panią podkomorzynę na kanapie siedzącą, a Barbarę stojącą pod oknem. Po niemych ukłonach, nie dopuszczając nikogo do głosu, zwrócił się zaraz pan chorąży do pani i rzekł:

— Intenccye, z którymi poważyliśmy się przyjechać w dom asaństwa dobrodziejstwa, zapewne już podkomorzy sam musiał zakomunikować waszność pani i dobrodziejce; nie dodając tedy do nich nic więcej, oczekujemy w przyzwoitej submisji a cierpliwości z ust jej łaskawych ostatecznego dekretu, któren nie spodziewamy się, ażeby miał być odmiennym od tego, jaki z ust mojego kochanego przyjaciela wyszedłszy, upragnioną nas nappełnił nadzieją.

— Nie, mości panie chorąży, — odpowiedziała pani podkomorzyna, — nic nie będzie odmiennóm. Zgadzam się zupełnie z wolą mojego męża i z -nim wspólnie przyzwalam.

— A teraz — rzekł na to pan Błoński, obracając się do panny Barbary, — już tylko od waszność panny zależy....

Na to panna Barbara cofnęła się o krok dalej ku oknu, głowę opuściła ku ziemi i rzekła:

— Wola moich rodziców jest dla mnie rozkazem.

Na to pan Błoński, obróciwszy się do starych państwa chciał ozdobnie i pięknie im podziękować, kiedy pan Osuchowski, nie mogąc dłużej utaić swego głębokiego wzruszenia, jak długi runął podkomorzemu do nóg, mówiąc prawie ze łzami:

. —iBodajżeby Bóg tyle szczęścia zdarzył waszemu dziecku, ile ja go czuję w tej chwili.

Podkomorzy się na to pochylił ku panu łowczycowi i podnosząc go z ziemi, chciał coś mówić, ale łzy mu głos udławiły, podkomorzyna już nawet głośno płakała i zrobiła się ztąd taka tkliwa scena, że nawet Barbarce łzy w oczach stanęły. Jednakże pan łowczyc zebrał się prędko i wyszedł na chwilę, a kiedy powrócił, zastał już »tych państwa przyzwoicie siedzących, i wesoło rozmawiających, do której to rozmowy i on się przysiadł z ochotą. Wszakże i ta rozmowa nie mogła trwać długo, wkrótce bowiem w największym pędzie na koniu spienionym wpadł w dziedziniec Bobowski, a zeskoczywszy z konia przed gankiem i puściwszy go na cztery wiatry, wbiegł czempredzój po wschodach, przebiegł wszystkie komnaty, a tej ostatniój dopadłszy, bez wszelkiej mowy i przemowy jął najpierwej ścisnąć za nogi podkomorzego, potem podkomorzynę, a -nareszcie uklękawszy przed panną Barbarą, jej rączki całował.

Śród tego całego aktu oświadczenia się i przyjęcia, co trwało pewnie z jakie dwie godziny, pan Wincenty, pamiętny rozkazu ojca, wodził po grodzie kapelana i Bartka i jak mógł zagadywał. Kapelan, mąż doświadczony i stary i przywiązany tak do domu podkomorzego, jak do swego własnego, ani jednej chwili się nie zniecierpliwił, i owszem, uważając to że podkomorstwo muszą mieć jakąś ważną sprawę do załatwienia z panami Błońskim i Osuchów-



skim, jak mógł jeszcze dopomagał do tego, ażeby im ten czas mi- mowolnój przechadzki przeszedł jaknajnieznaczniej; ale Bartek nie był tak wyrozumiałym i w pierwszój godzinie już się zrywał i chciał wracać do zamku. W drugiej jeszcze był niecierpliwszy i to, że mu Wincenty wyraźnie powiedział, że nie wypada rodzicom w ich tam jakichciś sprawach przeszkadzać, zatrzymywało go wprawdzie stanowczo w ogrodzie, ale tak go jakoś niepokoiło zarazem, że lubo nie umiał sobie właściwie z tego niepokoju zdać sprawy, jednak czuł coś tak palącego około serca, że byłby wszystkie swoje cztery konie wraz z rzędami dał za to, gdyby mógł w tej chwili być na górnych pokojach. Atoli tentent konia, na którym pan stolnikowicz przyjechał, temu wszystkiemu zaradził, bo usłyszawszy go wcale niespodziewanie, a nie wiedząc, coby miał znaczyć, wszyscy trzej razem pobiegli na górę.

I właśnie w tej chwili, kiedy pan stolnikowicz klęczał przed panną Barbarą, jej ręce całując, weszli oni do tejże komnaty. Bartek, obaczywszy to, o czórri mu się ani marzyło, stanął na miejscu i oczy wlepiwszy w tę scenę, osłupiał, ale wtem podkomorzy przystąpił do przychodzących, mówiąc:

— Chodźcież, chodźcie i cieszcie się z nami. Pan Bóg łaska- wem okiem raczył spojrzeć na nas i zesłał w dom nasz serdeczne wesele.

Na to kapelan przystąpił do państwa młodych, winszując im i błogosławiąc, Wincenty całował i ścisnął pana Józefa, ale Bartek stał w miejscu i ani się ruszył. Co widząc, podkomorzy przystąpił do niego i w nadmiarze wesołości uderzył go po ramieniu, mówiąc:

- Bartku! a tyż" się z nami nie cieszysz?

, — O! i ja się cieszę, stryjasku, bardzo, bardzo się cieszę, — odpowiedział Bartek i całował podkomorzego w ramię, ale jego "pocałowania były zimne jak lód.

W chwilę potem Pan Bóg zesłał nowych gości na zamek; kilku szlachty przyjechało z sąsiedztwa a trafiwszy na taką wesołość, zaraz tóż także byli dobrój myśli i winszując a ciesząc się, tak tę radość podnieśli, że pan podkomorzy kazał najwyborniejszy sek przynieść z piwnicy i lał go strugami, jakby wino stołowe. I była taka szczerza wesołość, taka czysta, prawie niebiańska radość po wszystkich sercach, jakby anieli pańscy spuścili się z nieba i ciesząc się wspólnie z ludźmi, rozpostarli swe skrzydła nad onym domem sług bożych, ażeby czart zawistny nie wkraść się weń i gorącym oddechem swoim nie zatrul tego szczęścia ziemskiego, które Bóg na zadatek rozkoszy niebieskich zesłał swoim wiernym sługom na ziemię.

Ale czart przezorniejszy od ludzi i od aniołów, już tam dawno był w onym domu i w postaci woniejącego eleganta 1 od dobrój chwili czyhał już na to, ażeby na onój roli pulchnój i otwartej zasiał nasiona trucizny. Jakoż niebawem, kiedy goście weseląc

się i rozmawiając, pórozechodzili się po różnych komnatach, przybliżył on się do samotnie stojącej Barbarki i smutnie twarz przeciągnawszy, rzekł rzewnym półgłosem:

— Przez Boga! I cóż to się stało?

— Co? — rzekła na to z uśmiechem Barbarka — za mąż idę. I cóż w tem dziwnego?

— Za mąż? o Boże! — zawołał na to Bartek, — w cóż się obróciły te słowa pieszczone, których tyle z ust pani słyszałem?

— W co? w nic, — odpowiedziała ona stanowczo — wszakżeś pan Bartłomiej mogłeś to wiedzieć naprzód, że one do niczego doprowadzić nie mogły.

— Jak to do niczego? a cóż to, jaby nie potrafił to samo zrobić co Bobowski?

— Cóż waszmość gadasz! — odpowiedziała Barbarka, — przecież mi jesteś stryjecznym.

— A cóż to przeszkadzało! — zawołał Bartek — trzy miesiące czasu i jest na to dyspensa od Papieża.

— Mogłaby być dyspensa? — powtórzyła patrząc w ziemię Barbarka — jam o tem nic nie wiedziała.

Wtem wszedł do tej izby Bobowski, a obaczywszy Bartka tak blisko stojącego przy pannie, stanął w miejscu i ostro od stóp do głów zmierzył go oczyma. Bartek ręce założył na krzyż i równie ostrem okiem wzrok jego wytrzymał, jak gdyby mu chciał dać do poznania, że tak jak teraz we wzrok, tak mu we wszystkim i zawsze wytrzyma. I na tem niemem spotkaniu skończyli nateraz ze sobą rywale, w tejże chwili bowiem Barbarka wyszła do dalszych pokojów, a tutaj wszedł pan łowczyc, który wziął pana Józefa pod ramię i chciał coś mówić do niego: ale pan Józef rzekł pierwej.

— Słuchaj, panie bracie! już widzę teraz jawnie, że mi ten diabeł francuzki zawidzi mojego' szczęścia.

— Ej! daj mu pokój, niech ci zawidzi odpowiedział na to pan łowczyc — dalej ani on, ani. nikt inny kroku jednego nie zrobi. Póki ja żyję, lwem będę, który z rozdziawioną paszczą stać będzie u wrót twojego raję.

— Niech ci pan Bóg zapłaci!

I znowu inne osoby weszły do tej komnaty, a rozmowa po staremu przeszła na inną treść. Wkrótce atoli dano wieczerzę, przy której zebrałszy się razem, one wszystkie wesołe umysły i serca, radośnie się zabawiały na chwałę Bożą i dnia tego, któren dla tylu ludzi tyle szczęścia przyniósł ze sobą, a zabawa ta, bez żadnej uwagi na to, że zógar dawno już uderzył dziesiątą i wyśpiewał: „Kto się w opiekę," przeciągnęła się aż późno w noc.

Po północy rozjechali się wszyscy goście, jakoż i bracia ślubni, zaproszeni przez podkomorzego na przyszłą niedzielę, w którą miała się ślubna intercyza przy świadkach napisać i dzień ślubu wyznaczyć, po serdecznych ucałowaniach opuścili zamek bało-

e

grodzki i puścili się działami i lasami ku onej gór rozpadlinie, w której leżały ich wioski.

Skoro tylko bracia ślubni wyjechali na zamkowe obejście, rzucił się zaraz Bobowski do zapytań, jako byli przyjęci, co mówił podkomorzy, co podkomorzyna, co panna Barbara? Pan łowczyk opowiadał wszystko ze szczegółami, a kiedy się już wygadał, nastąpiły pomiędzy braćmi jeszcze niektóre wywnętrzenia się, wymiany uczuć, radości i nadziei. W drugiej połowie drogi atoli pan Józef już pomału zaczął ucichać, a nakoniec ucichł zupełnie; jakoż widać to było po nim, co widać po wszystkich ludziach na świecie, a to jeżeli po wielkióm szczęściu lub nieszczęściu koniecznym dla nas jest udział kogoś drugiego i ulżenie swojemu sercu przez mowę, toż po tem ulżeniu jeszcze konieczniejszą staje się dla nas samotność. Co widząc, Osuchowski umilkł także i długo jechał tak milcząc przy swoim bracie, ale ponieważ on przy całej głębi swoich uczuć dzisiejszych nie czuł jednak koniecznój potrzeby samotnego myślenia, a znowu z drugiej strony wygadawszy się całkiem nie miał od czego zacząć, więc ni ztąd ni z owąd zadeklamował sobie w głos starodawne przysłowie, mówiąc każde słowo dobitnie:

Kto nie jada jena raki, flaki,

Żabki a ślimaki, Nie sićwa jeno jarkę a tatarkę,

Krowami orże, A dótegt) ma żonę Barbarkę: Nie pytaj go czyli zdrów, ano czyli jeszcze żyw niebożę?

Obudzony tym głosem ze swojego marzenia:

— A to co? — zapytał Bobowski.

— Nic, ot tak, przysłowie; — odpowiedział Osuchowski.

I już milcząc dalej, dojechali bracia ślubni do domu.

Na początku niniejszej powieści wspomnieliśmy nawiasowo, że pan łowczyk miał matkę żyjącą, która po utracie reszty swych dzieci, na tego jedyne go syna zla wszy całą swą miłość macierzyńską, do tego stopnia była przywiązana do niego, że przez czas długi nie mogła się nawet oswoić z tą myślą, iż dla nauki trzeba będzie to dziecko na lat kilka oddalić od siebie. W późniejszym czasie umarł ojciec pana Józefa w Żernicy; pani łowczy na atoli,— przetrwawszy szczęśliwie rozłączenie się z synem przez czas jego nauki i służby po dworach, i nabolawszy się dosyć nad nim i podczas jego rycerskiej praktyki na hajdamakach i podczas bisurmań- skiej niewoli,—żyła wciąż jeszcze. W ciągu dalszego opowiadania nie zdybaliśmy się ani razu z tą sędziwą matroną, bośmy nie byli dotychczas w konieczności zagląda nia do łowczycego dworu; teraz atoli, kiedy nas złe losy i ludzie i tu koniecznie prowadzą, nagrodzimy sobie to, cośmy przedtem stracili.

Pani łowczyzna była to więc dzisiaj już bardzo latami obarczona staruszka, włosy jej bieluteńkie jak mleko, twarz pomarszczona zupełnie i cała jej postać wychudła i przygarbiona, dawały jej sędziwemu wiekowi dostateczne świadectwo; pomimo tych powierzchownych znaków atoli siły jeszcze, dosyć w niej było, a jej przytomność umysłu, • jej rozsądek na mnogich doświadczeniach ćwiczony i jej niespracowana czynność w domu i gospodarstwie kobiecem, mogły jeszcze niejedną młodą zawstydzić.

Pani łowczyzna, jakeśmy już wspomnieli na początku niniejszego opowiadania, nie bardzo była niegdy szczęśliwa w pożyciu z nieboszczykiem swym mężem. Wszakże brak tego szczęścia nie

był skutkiem jakichś przywar nieznośnych lub złości, któreby się znajdowały w jednym lub drugim z tych obojga małżonków: bo jeżeli on mógł być nigdy niedoścignionym wzorem wszelkich cnót pełnym dla mężów, to ona w poczciwości, dobroci, surowości obyczajów i wszystkiem tem, co być może ozdobą kobiety, nie ustępowała żadnej ze swoich bliskich ni dalekich sąsiadek,— jakoż inna temu była przyczyna. A przyczyną tą było li to jedynie, że oboje małżonkowie w opiekowaniu się fortuną, gospodarstwem i porządkiem domowym tak byli gorliwi, tak wykonania tej władzy nad domem chcieli, że nie umieli ani jój sobie ustąpić, ani się nią podzielić. Powstawały więc ztąd częste pomiędzy małżonkami nieporozumienia, które pani łowczyni, podczas częstych mężów- • skich podróży do rządzenia całym domem przyzwyczajonej, a za każdym jego powrotem całkowitą tę władzę jemu do rąk oddawać muszącej, wiele przynosiły zgryzoty. I tu miało swe źródło owo nieszczęśliwe pożycie.

Wszakże ze śmiercią pana łowczego wszystko się to naraz skończyło, a pani Osuchowska, odierzywszy już statecznie wszelkie rządy domowe i poza-domowe po mężu, królowała na Żernicze swobodnie przez lat kilkanaście. Kiedy potem Stanisławowi, po wróconemu na zagon rodzinny, cały majątek ojcowski z prawa już się należał, i kiedy on objąwszy go w rzeczy, jako to zawsze bywa u młodych, zaraz chciał się spróbować w swej władzy i to i owo po swojemu urządzić, znowu małe nieporozumienia zamąciły spokój pani łowczyni. Tym atoli już prędko zaradziła miłość synowska: pan Stanisław bowiem, odebrawszy na siebie sprawy po Za-domowe a w domu gospodarstwo li rolne i stajnię końską, resztę wszystko zostawił matce swojej do-woli. Kochając dziecko swoje, pani łowczyzna bardzo chętnie na ten podział przystała i po tej ugodzie do synowskiego departamentu już ani słowem się nie mieszała: ale też za to gdzie sad, a pasieka, a ogród, gdzie kuchnia a spiżarnia, zgoła wszystkie one drobne kółeczka gospodarskich maszyny, które tak wiele warczą a tak mało pożytku przynoszą, tam pan Stanisław tylko wtenczas był przywoływany, kiedy któremu z czeladzi należytą za zasługi albol za przewiny trzeba było wyliczać zapłatę. Jednak było tak bardzo dobrze. Żadna bowiem, choćby jak pilna klucznica, nie byłaby mogła sprostać ani onój niespracowanej pilności, ani przezorności a czujności, któremi dnie swoje i noce wypełniała ta wiekowa matrona. Ona sama wstawiała o świcie i gromadziła płęć białą w swojej własnej sypialni do przęślic, ona szła z niemi potem do krów dojenia, ona sama przytomną była przy masła robieniu, ona przy odgotowywaniu sórów, przy otrząsaniu owoców, przy zbiorze jarzyn, przy wiązaniu lnów i konopi, a podczas kiedy u jej pasa wisiały klucze od wszystkich zamków i kłódek domowych, nikt ani garści mąki nie dostał, któraby przez nią nie była wydana. I było przy tem gospodarstwie wiele nieraz krzyku; wiele

hałasu i wiele głośnych sługom dawanych obietnic, które się zawsze miały wypełniać za przyjazdem pana łowczyca; ale te obietnice nie spełniały się nigdy, a przez to był posłuch wielki w całym obojęściu, nie ginęło marnie ani jedno ziarneczko, nikogo nigdy głodnego nie było na całym dworze, nie jeden strawy łaknący jeszcze się tam pożywił, i przy tóim wszystkim pełne były zawsze spiżarnie i nie jeden grosz jeszcze wpłynął przez nie do domu.

Przy takiej ciągłej i sownicie się wynagradzającej czynności, bardzo szczęśliwą starość miała pani łowczyca; dobroć, uległość i wyrozumiałość jej syna podnosiły to jej szczęście jeszcze do tego stopnia, że już na tym świecie nie zostawało jej prawie nic do życzenia. Nic prawie, — bo tylko jedna myśl ją jeszcze zajmowała, jedno się w niej odzywało pragnienie, które pomimo wszelkich jej starań i zabiegów zaspokojonem nie było. A tą myślą nie było co innego, jeno owo uporne bezżeństwo jej syna. Zrazu myślała ona, że jego wstręt od spełnienia tego przeznaczenia, które sam Bóg już w kolebkę kładzie każdemu mężczyźnie, jest tylko chwilową wybrednego umysłu chimera, i długo męczyła się nad tem, ażeby mu tak nieludzką myśl wybić z głowy; perswadowała ona jemu na wszelkie sposoby, prosiła i zaklinała; ale po latach kilku, kiedy się przekonała, że jego przedsięwzięcie dokonania tego życia w stanie bezżennym stało mu się prawie drugą naturą, kiedy widziała, że jej namowy nietylko go nie przekonywają inaczej, ale zgoła przykrość mu czynią, przestała ta dobra matka już wspominać mu o tem i całkiem umilkła. Dawniej była ona całkiem tak śmiała, a jej serce matczyne w życzeniach dla swego dziecka tak bujnym, że marzyła sobie Bóg wie jak świetne koligacje dla swego Stasia, i nieraz myślała o tem, jakby ją to marwiło, gdyby się on w ładajakim dworze ożenił: dzisiaj przyjęłaby ona z rozwartymi ramionami i z najuboższego domu synową, ale nawet i o takiój już dzisiaj marzyć nie śmiała i gorące życzenia swoje, prawie już wszelkiej pozbawione nadziei, ledwie jeszcze w milczącej śmiałości powtarzała modlitwie. Taka była matka Osuchowskiego i takie były jej do domu i syna' stosunki.

Kiedy pan łowczyca po onem oświadczeniu się Bobowskiego w nocy do domu powrócił, nie widział się już dnia tego z matką. Na drugi dzień wszakże, mając tak serce przepelnione szczęściem swojego brata, że nie było mu nawet podobnym, ażeby tem sercem jaknajprędzej nie podzielił się z ukochaną swą matką, zaraz rano po zwykłych pacierzach szedł czempędzej do jej pokojów. Wszedłszy, lubo tak mu było pilno wypowiedzieć to, z czem do niej przyszedł, jednak ani myślał on o tem, aby miał stary zwyczaj przełamać i głos pierwój zabiórać od matki: jakoż oddawszy jej dnia dobrego życzenie, spytał najpiórwej: ^— Cóż tu słychać, kochana matko?

— A! co słychać! — odpowiedziała pani łowczyca prędko

i na pozór surowo, chociaż ani tam takiej prędkości ani surowości w jej sercili nie było, jeno już taki zwyczaj miała staruszka—cóż- by miało być słyhać dobrego, kiedy ciebie w domu nie było? Nie dowieźli wczoraj tej reszty pszenicy, dwanaście się zostało półkoptów na polu i deszcz je nad ranem przekropił, tak jak przepowiedziałam. Ladaco parobcy i taki sam nad nimi pan podsta- rości! To masz jedną nowinę. Druga z tej zaraz idzie; bo cze- góźby byli tak zawczasu zjeżdżali z pola, gdyby w tem jakiejś planty nie było? Jakoż była. Były tany w karczmie tej nocy, bo się tam zaniosło na to weselisko, co wiósz.

— Nic nie wiem, mamuniu.

— Jakże nie wiesz ? Żeni się Dudycz, ba! już się ożenił z ko- walową Agnieszką, co tu u nas służyła. Otóż tan w karczmie, dalejże i oni w tan sobie. I proszę ciebie, licząc na to że ciebie nie było w domu i że w nocy już nie przyjedziesz, wyleciało to wszystko jak wymiótł. A tu stajnie otwarte, brama nie zamknięta, jeszcze i trębacza zabrali ze sobą ..... szczęściem jakoś Bóg łaskaw, że nie dopuścił nic złego. Ale trzeba w to Wglądnać, wyindago- wać, wytuzować, a który herszt był do tój swawoli, niechaj odbierze zapłatę. Ale to wszystko nic jeszcze.

— Albo cóż się stało? — zapytał niespokojnie Stanisław. Na to pani łowczynya, stanąwszy na środku izby i ręce załamawszy przed sobą; wpatrzyła się w syna i z wielkim smutkiem odpowiedziała :

— Mojego kubka porcelanowego, z którego pijam codziennie polewkę, już niema!

— O! — zawołał na to pan łowczyc, który wiedział jaki to ulubiony był kubek, a toż jakim sposobem?

— Spadł w nocy z półki na ziemię i śledzia zjadł!... ot, pa- trzaj, czerepy. I proszę ciebie, pies w mojej izbie w nocy, kiedy tu nikt nie śpi tylko ja i Haneczka i drzwi zawsze na noc zamknięte? więc ktoś drzwi musiał otworzyć i wjechać na tym psie tutaj... ale kto tu ma jeździć po nocy? Haneczka klnie się na czem świat stoi, że ona nie wychodziła; tem ci gorzej, to tutaj ktoś Wchodził. Jakkolwiekbądź, jednak mój Stasięku, tego dojść trzeba koniecznie. Ja tego nie potrzebuję, ażeby w tym domu jakieś nocne się odbywały wędrówki, ja tego nie zniosę. Jak długo żyję, jeszcze tego nie bywało w mym domu i teraz nie będzie! Więc to trzeba wyindagow<sup>T</sup>ać: pokaże się kto z sieni psa wpuścił, wziąć go ad coram, żeby choć ruski miesiąc popamiętał; pokaże się że Haneczka gdzieś wędrowała, precz ze służby! niechaj idzie gdzieindziej guza szukać, ale nie u mnie. Tak, i to proszę ciebie, żeby to zaraz zrobić, złe prędko rośnie, a jak wyrośnie, przepadło. Wstyd całemu domowi!

Pan łowczyc tak długo o tej indagacyi pamiętał, jak długo jego matka mówiła, a kiedy jej słowa przebrzmiały i widać było, że już koniec tym domowym nowinom, rzekł on wesoło:

— .Otóż i ja powiem jejmości dobrodziejce nowinę.

<sup>4</sup> — No, powiadajże mi, Stasięku, tylko co wesołego, bo już tych smutków i zgryzot mam tyle, że widocznie łaska jest Boża, że ja wśród nich jeszcze żyję.

, — Otóż mój Józef kochany już po słowie.

— No, doprawdy? — zawołała na to staruszka, — przyjęli go podkomorstwo ? chwała ci Panie! chwała niech będzie na wysokościach! — mówiła pani łowczyzna, wszecz i wzdłuż chodząc po izbie, — ale bo też nacierpiał się ten biódny Józefisko... co się przedemną samą na wzdychał, co się naskarzył, co nalamentował! a ja biedna nicem mu nie umiała poradzić. Bogiem a prawdą mówiąc, nigdy bom też nie myślała, żeby co z tego być mogło. Podkomorzy pan wielki; pamiętam jak to wieszowano tu Balównie, kiedy się zdeklarował o terazniejszą swoją żonę ..... no! ale też to teraz musi być Józef szczęśliwy, a wesoły, a krotochwilny... Cze- mużes go tu ze sobą nie przywiózł, Stasięku, niechbym go choć była widziała.

— Ej! ani mu mówić teraz o tem, moja matko kochana, — odpowiedział na to pan łowczyc, — on już dziś rano pojechał do Balogrodu, w niedzielę zrękowiny, ślub ma być prędko, a kiedy tak, to już tam Józef będzie teraz miał i dzień i noc co do czynienia, bo kiedy nie będzie siedział przy swojej pannie, to już koło domu będzie co robił, żeby to przecie jakoś miał ją gdzie przyjąć uczciwie.

Na te słowa pana łowczyca matka jego już nic nie mówiła, jeno smutno patrząc przed siebie, milczała, czego on wcale nie uważając, dodał jeszcze:

— Nie wiem ja, pani matko, wiele to Pan Bóg szczęścia zdarzyć raczy tym państwu młodym, ale to mówię, że dzisiaj tak mnie to cieszy i tak raduje, że "gbyby mi jakie miliony były nagle upadły z nieba, aniby w połowie mnie tak nie uradowały.

— Jaka szkoda że nie żyje nieboszka pani stolnikowa, cóż to za radość byłaby dla niej! — rzekła teraz z westchnieniem pani łowczyzna, ale z takim jakimś głębiogiem i tak smutnóm westchnieniem, że aż spojrział na nią Stanisław i także westchnął pomimo woli.

Po tych westchnieniach umilkli ci państwo oboje; staruszka ciągle smutno patrzyła w ziemię, a jej syn to poglądał na nią, to powodził wzrokiem po izbie i zdawał się niby czemś niepokoić, a nawet może'żałować tego, że tą nowiną o przyszłym ożenieniu się swego brata na jakieś smutne myśli naprowadził swą matkę. A kiedy matka ciągle milczała i twarz jej coraz wybitniejszym powlekała się smutkiem, nie mogło przenieść tego na siebie jego serce synowskie, jakoż wkrótce pan łowczyc zaczął w ten sens:

— Ja się domyślam, czemu jejmość smutek opanował tak nagle. Wolałaby matka w swoim sercu najlepszem, żeby to



szczęście było raczej spotkało jej syna, niżeli sąsiada i przyjaciela. Nie zawidzi matka Józefowi podkomorzanki, i owszem, cieszy się tóim jego szczęściem, tak jak on się niem cieszy, ale tak myśli sobie: Boże! Boże! czemuż to mój Stasięńko nie poszuka także na tej drodze dla siebie szczęścia, na którój znalazł go Józef—jakżebym ja była szczęśliwa.

— Prawda, — mój synu, — rzekła na to staruszka, —~tak sobie myślałam.

— Widzi jejmość, rzekł na to Stanisław, powstając i całując ją w rękę, — wiem ja to dobrze, ale i to wiem także, jak mnie nieraz serce boli i jak zawsze sam na siebie skarżę się za to, że nie jestem w stanie przynieść matce mojej kochanój tej tak upra- gnionój pociechy. Ale to już daremnie i snać nigdy nic z tego nie będzie. Przypatrzyłem ja się teraz tej rzeczy zbliżka, rozważyłem ją jeszcze na wszystkie sposoby i tak sobie mówię, że chociażbym i on wstręt w sobie przełamał, który zdawna czuję dla kobiet, i chociażbym nawet wszystką chęć moję skierował ku temu, to jeszcze i takby nic . z tego nie było. Jam nie do tego. Jak mnie konkurować, jak mnie służyć, jak pozyskać białogłową, kiedy ja, żeby mnie kto zaraz zabił na miejscu, ani dwóch słów do żadnej powiedzieć nie umiem, a przecie w dom nikomu żony nie noszą. Ba, nawet gdyby mi kto żonę przyniósł do domu, jakiby to mąż ze mnie był dla niej? Jam człek ponury, pochmurny, szorstki, między żołnierzami w polu a zwierzętami w lesie chowany, ani to u mnie słów gładkich w ustach, ani słodczy w obejściu, ani gładkości w obyczajach, jakby to żonie przypadł mąż taki? A zresztą, pani matko! nie dosyć tego, że się już i tak z każdym dniem bardziej odwyka od broni, leniwieje do konia, cięższe na sercu i duchu, że kiedyby się gdzie surma odezwała na polu, to możeby już dzisiaj się rumieniść musiały białe kości ojcowskie za syna; nie dość mówię tego, jeszczeż mi i żony potrzeba, a z żoną nowój jeszcze przeszkody do onój służby, która rdzenia i szczytem żywota mego!

Zadowolona tem matka, że jej syn samowolnie rozwiązał usta do poruszenia nanowo tego przedmiotu, którego przez czas tak długi tykać nie śmiała, rzekła na to w ten sens:

— Nie znasz sam siebie, mój synu, i dał Pan Bóg twojemu umysłowi tę skromność, która ci każe siebie kłaść jaknajniżój pomiędzy niskimi; dlatego tak upornie trwają w twój głowie one dawne opinie i dlatego niezdolnym się mienisz nawet do tego, do czego zdolni są ci, którzy niegodni zgoła rzemienia rozwiązać u twoich sandałów. Ja ciebie znam daleko dokładniej, jam badała twego serca i umysłu przymioty już wtenczas, kiedyś ty jeszcze nie wiedział, ażali żyjesz na świecie; ja już oddawna patrzę na ciebie nie jako na syna, ale jako na męża, który ma na sobie te same obowiązki, co drugi i dziesiąty i setny: ^ i jabym ci wiele więcój o tobie umiała powiedzieć. Jakoż ci powiem i na wszystko

odpowiem. Więc najpiórwój, co się tyczy onego wstępu do ożenienia się, któryś nie wiem zkąd przywiózł ze sobą, bo go przedtem w tobie nie było, to ci powiadam, że jako on był dawniej czczym twój głowy wymysłem, tak jest nim i dzisiaj i daj Boże! ażeby cię przykład pana Józefa jaknajprędzej uwolnił od tego narowu, który żadnego statecznego gruntu nie ma i mieć nie może. Nie bierz mi za złe, że ja tak mówię otwarcie, ale jam twoja matka i mówię z tobą między czterema ścianami. Dalej, co powiadasz, żebyś konkurować nie potrafił, że nie ufasz sobie, żebyś mógł serce jakioj białogłowy dla siebie pozyskać, to jeszcze czcza tylko przed sobą i przedemną wymówka. Nikt ze szlachty naszego stanu dzisiaj się tak nie żeni, żeby wpięrw z panną w długie zachodził amory i nabijał sobie naprzód głowę cwą miłością, która później sama ze siebie przychodzi; ano każdy upatrzy sobie pannę wedle swojego upodobania, da się poznać tym, którzy nią dysponują, deklaruje się potóm i bierze. Owe długie konkurency, owe wzdychania, mizdrzenia się, pisanie liścików, nic nie są warte i do niczego dobrego nie dowiodą; zostawcie to Francuzom i Włochom a zresztą i panom naszym, którym, obyczajami krajów zamorskich zepsutum, nigdy dość na tem nie jest, co sam Bóg człowiekowi odmierzył, — a wy zostańcie przy obyczaju starym, jakiego się trzymali wasi ojcowie i dziady. Jakoż tak po staremu ożenił się podkomorzy, tak pan stolnik nieboszczyk, a ojciec twój, Panie świeć duszy jego! ani' mnie widział przed ślubem, — a pomimo to daj Boże wszystkim małżeństwom tyle spokoju i szczęścia, ile go było w tych domach. Masz zresztą dzisiaj przykład z twojego Józefa. Cóż w'arte jego długie kochanie i jego wzdychające konkury? Bez woli rodziców przecie się nie obeszło, a ta sama wola była w nich pewno i przed pół rokiem. Więc to tylko manienie jest siebie samego, te wasze nowomodne konkury, bo pomimo nich jest tak przecie jak bywało: chcą rodzice, to dadzą, a nie chcą, to i miłość panny nic nie pomoże. Po trzecie, co powiadasz, jakiby z ciebie mąż był? ja odpowiadam, że byłby najlepszy. Jesteś człek dobry, w obyczajach stateczny, sercem tkliwy i czuły z natury, umysłem spokojny i wyrozumiały, i z takiego ma jeszcze zły mąż być na świecie? A spojrzyno, moje dziecko, po ludziach, wiele to jest mężów pijanie, włóczęgów, gwałtowni- ków, kosterów, burdowatych, kłótlivych, a przecie wszyscy żony mają i pytają się tych żon, ażali większa połowa z nich i za takich mężów Pana Boga nie chwali? Kobiety, mój synti, są to stworzenia bardzo cierpliwe i bardzo potulne. Każda z nich zniesie w'iele, ba! w'szystko w swym mężu, a jeżeli za kilka tygodniową niebytność W domu, za hulanki po za domem, za rozrzutność, za domowe poswarki jednym ją tylko uśmiechem nagrodzi, to już ją przebłagał i uszczęśliwił. Pociecha z dziećmi przez lata młodsze, spokojna starość i potem trochę uwiędłego kwiecia na grobie, to jest całe szczęście kobiety; więcej tóż żadnej nie potrzeba. I ta

kim wymaganiom tybyś nie miał uczynić zadosyć? Ty, któren ani biesiad'nie lubisz, aniś gry zasmakował, ani włóczęgą się bawisz, ty, któren się prawie gniewać nie umiós, któren sługom swoim pozwalasz chodzić na głowach i teraz cały miesiąc się nad tem namyślasz, nim masz komu złe słowo powiedzieć, któren się z własnym uszczerbkiem twojem dobrem z każdym podzielasz i twojemi wielkimi myślami zajęty, wszystkim wszystko dozwalas, aby im dobrze było około ciebie, mniejsza o to jak tobie będzie; tybyś miał jeszcze niedobrym być mężem?... a ja tobie powiadam, że rajby miała twoja żona u ciebie. Nakoniec, co powiadasz że onej surmie, która do służby woła obywatela i lada chwila ciebie zawołać może, żona stałaby na przeszkodzie, to jest nie prawda, moj synu. Jakoż o tóm już nióma ci powiadać... ale gdybym niewiedzióć jak wymownie ci powiadała, na cóżby to się przydało? już ja widzę, że takie jest przeznaczenie, że ta linia nasza musi się teraz zakończyć... Przepowiadali to ludzie, kiedy się Gozdawa łączyła z Gozdawą, niechajże tedy prawda będzie ich fatalnemu prorocctwu a Panu Bogu chwała choć za to, że się to drzewo starożytne kończy przynajmniej czystym i zdrowym konarem !

Na taką matki przemowę pan łowczyk umilkł i zasunąwszy się głębiej w krzesło, na którem siedział, smutno się zamyślił. Milczenie to jego nie było skutkiem tego, żeby słowa pani łowczy ny zbiły go zupełnie w jego dawniejszych opiniach; nie można atoli powiedzieć; ażeby ta stara i po raz setny już przez niego słyszana perora teraz na nim nowego nie czyniła wrażenia Okoliczności teraz go otaczające były nowe, usposobienie jego umjsłu i serca także nowe, więc i wszystko co w tej chwili padało na ten umysł lub serce, odmienne na nim musiało czynić wrażenie, ale też oprócz wrażenia nic więćó; przekonanie jego, w najrań- szój jeszcze młodości powzięte i przez lat tyle głazem leżące na samem dnie jego umysłu, ani się mogło zachwiać pod oklepanemi pozorami i wypadkami tak jeszcze drobnemi, ani się też zachwiało: a jako do obalenia mocno zakorzenionego dębu nie wystarczy ani kula ze samopału, ani grad letni, ani wiatrów wiosennych podmuchy, tak i do obalenia jego przekonania potrzeba było albo kuli działowój, albo jego własnej woli, która w nim królowała wszechwładnie. Wprawdzie jego miłość dla matki i chęć dogodzenia jej nawet kaprysom wiele mogła u niego; jakoż niczóm to bywało u niego największą sobie zadać przykrość na to, aby w czem matce dogodzić, ale w rzeczach ważnych, sprawy publicznej, honoru albo jego opinii dotyczących, i ten wzgląd także nie miał u niego żadnego znaczenia. W krótkiej też chwili otrząsł się pan Stanisław ze swego smutku i jak gdyby nic nigdy nie było, wyszedł do swoich stajen i półkoptów.

Przy gwarze i ruchu gospodarskim, którego dość zwykle bywa o tej porze, zapomniał on już całkiem o 'swojej rannej z panią

łowczyną rozmowie, a kiedy po obiedzie wyszedł do ogrodu i z ulubioną swą lulką w ustach przechodził się po grabowej alei, to już znowu myślał li o szczęściu swojego brata, i prosząc Pana Boga w duchu, ażeby już temu nic nie stanęło na drodze, układał sobie pomału w głowie jak i w czym będzie mógł go teraz wyręczać w Żernicy, ażeby tamten jaknajspokojniej mógł sobie siedzieć w Balogrodzie i jaknajmilój mógł przepędzać dni one przedślubne, które na pewną nadziei malując sobie jak najpiękniejsze obrazy szczęścia, częstokroć więcej dają człowiekowi rozkoszy, niż samo szczęście.

Temi myślami, w różne kształty się wijącemi po głowie, tak był zajęty pan łowczyk i tak te myśli jakoś jego woli się nie poddając, nie chciały mu się w żaden ład przyzwoity ułożyć, że przechodząc nadaremnie z godzinę po alei, usiadł nakoniec na darniowej ławeczce, która stała pod ogromną lipą, w środku ściany grabowej rosnącą, i oparłszy głowę o drzewo, oddał się tym myślom zupełnie.

Śród tego czasu, cichuteńko i bez żadnego trzasku i huku zajechał czterokonny półkrytek przed ganek, a w tym półkrytku siedział pan Działott, Zachoczewia dziedzic i syn jego, Pakosław. Pan Działott był ubrany po staropolsku, ale co miał najbogatszego w swój skrzyni, wszystko dziś włożył na siebie. Błyszczał też na nim dziwnie bogaty kontusz z cieniutkiej karmazynowej sajety, przy kontuszu świeciły się guzy pozłociste z koralu, na spodzie widać było biały jedwabny żupan i takąż samą pod wylotami podszewkę, na wierzchu pas złotolity ciężki z szczerozło- temi fręzlami, a do tego brylantowa spinka pod szyją, karabela z rękojeścią kamieniami sadzoną i buty żółte na srebrnych osadzone podkawkach, tak wyniosły nieosobliwą zwykle zachoczew- skiego dziedzica figurę, że gdyby go kto był dzisiaj między sena- tory postawił, z trudnaby miał kto drugi poznać po nim, że to szlachcic z lichej górskiej wioszczy. Temu wysadzeniu się na okazałość w ubiorze ojca godnie też odpowiedział i synek, i miał on dzisiaj świeżą i czystą na głowie perukę, aksamitną suknię z haftami, kamizelkę z bogatemi kolbertynami, a szpadę tak dziwnie od złota i pereł błyszczącą, że'kto go znał i wiedział, że te drogie rzeczy nawet i w święto największe spoczywały u niego w skrzyni, ten byłby niemało sobie głowy nałamał nad tym, jaka to feta musi dla niego być dzisiaj. Ale to tak bywa na świecie: ludzie uczciwi biorą co najlepszego na siebie, kiedy święcą dzień święty, albo kiedy Pan Bóg w swej łasce zdarzy ich sercom jakie niezwyčajne wesele; inni dni świętych cale nie święcą, z weselem swoim kryją się przed ludźmi, tak, jak gdyby go na nich rozbili, a w świetne szaty ubierają się wtenczas, kiedy im trzeba swoje brudne sumienia i zamiary łotrowskie przed ludźmi pokrywać.

Kiedy ci goście zajechali przed zamek, pytali się najpierw

0     pana łowczyca; a kiedy im go siedzącego w alei wskazano, wy-1 leżli zpółkrytka i szli prosto ku niemu. Idąc, rzekł ojciec do syna:

—     Więc taki ja będę zaczynał, ale przyznam ci się, Pakoszu, że mnie dreszcz jakiś przenika. Niema co mówić, to wcale jest dobry człowiek, ale kiedyby go pasya porwała, to żadna dzika bestya mu nie wyrówna, ani w sile ani w wściekłości.

—     Niechno ojciec będzie spokojny,—odpowiedział Pakosław,— rozum ludzki zawsze ma górę nad siłą; już ja jemu zaimponuję

1     musi nam posłużyć za narzędzie do naszego, celu, jeżeli tylko jest w gruncie uczciwy i kocha swego brata; — i już milcząc, szli dalej.

Pan łowczyc, zatopiony w swych myślach, nie uważał wcale tego, że przed jego dwór jacyś goście zajechali i zajrzał ich dopiero natenczas, kiedy już się obydwu ku niemu zbliżyli. Spojrzawszy na nich, poznał zaraz pana Dziańotta, ale nie mogąc poznać drugiego i myśląc, że pod peruką nikt inny być nie może jak Bartek, a jednakże temu nie wierząc, przyłożył rękę do czoła i długo mu się przypatrywał. Widząc atoli, że to rzeczywiście kto inny i już drugi w zamorskim stroju, aż się zerwał z swojego sie- | dzenia, mówiąc w głos:

—     Tfu! do czarta! czy się szkuta gdzie rozbiła z tem tałałajstwem, czy z deszczem to spada!

Wtem przystąpili ci goście do niego, a pan Dziańott rzekł, czapką i głową kłaniając:

—     Ścielemy się do nóg waszmości dobrodzieja, ścielemy się do nóg! Jakże to słodki być musi w tym miłym chłodzie spoczynek.

—     Witam kochanego sąsiada mojego, — odpowiedział na to. pan łowczyc, — witam serdecznie; ale kogóż mi to waszmość przywozisz? — Na to pan Dziańott:

—     Właśnie miałem zaprezentować... jest to syn mój Pakosław, dzisiaj aplikant w kancelaryi jw. ministra Bryła, a daj Boże niedługo, może kanclerzyk jaki albo i co więcej z łaski króla jegomości, którego, prawdę mówiąc, niepospolitą łaską i najłaskaw- szemi względami się cieszy.

To rzekłszy, pan Dziańott pogłaskał się ręką po piersiach od szyi aż do pasa, jak gdyby zadowolony swoim gładko wypowiedzianym frazesem, a Pakosław tymczasem niby nieśmiało, a niby trochę od niechcenia się kłaniał; ale pan łowczyc rzekł na to:

—     To wszystko dobrze i bardzo mnie kontentuje że poznaję zacnego syna waszmości, któren na tak wielkiój jest drodze a o którym, ze wstydem to przyznać muszę, jeszcze nic nie słyzałem..... to wszystko dobrze i daj Panie Boże, ażeby mu się nietylko pieczęć, ale zgoła cała pieczęć dostała; ale, mospanie! czy to koniecznie na to potrzeba już komedyanta zrobić ze siebie?

Tom IX.

Na te słowa Pakosław, który się wybrał zaimponować Szlachcicowi, dziwnie jakoś się skrzywił, a ojciec odpowiedział:

— Komedya? coż to waszmość rozumiesz przez to?

— Co ja rozumiem? — spytał pan Stanisław, i pokazując olbrzymią swą ręką na małego Pakosza, odpowiedział: — Peruka z ogonem, suknia z ogonem, pończochy, trzewiki i pręcik stalowy u boku, nie komedyaż to, mości dobrodzieju?

— Cha, cha, cha! co waszmość mówisz!—zawołał na to pan Działtowski, — nam to, nam profanom, hreczkosiejom, zagonowcom, którzy od kolebki siedziemy w tych tu górach i ani śnimy o tóim, co się tam dzieje na świecie, nam to tylko się tak wydaje! ale to jest rozum, to świat on wielki, który nad nami króluje, a któremu my tylko za mrówki i pszczoły służymy. Dlatego nic nie mówmy i słuchajmy tylko; nasze już przeminęło! to strach panie, co to u tych za rozum.

Pan łowczy z ciekawością i uwagą wysłuchał, co mówił pan Działtowski, a kiedy ten skończył, rzekł tamten na to:

— Nie dziwuję się waszmości, że tak mówisz, bo mówisz pro domo sua; ale dziwuję się że nie mówisz za siebie, jeno zaraz za nas obudwóch, albo zgoła za całą szlachtę. Jakoż bardzo to ładnie ze strony waszmości, że się cieszysz tem, że syn twój ma niedługo być kanclerzykiem, ale nie wiem czy to bardzo ładnie, że się na ten urząd przez takie wązkie pluderki przesuwają.

Na takie przywitanie pan Pakosław wcale ogłupiał; on się spodziewał, że wymyślnością swojego ubioru, perłową rękojeścią u szpady, złotą tabakierką, ministeryalnym rozumem swoim i skłama- manami widokami na jakieś kanclerstwo, olśni tak zagonowego szlachcica jak słońcem i że potem z nim zrobi co chce; a tu szlachcic swoim prostym rozumem stanął przed nim tak wielki jak wieża maryacka, spojrzął na jego całą figurę jako na . mrówkę koło nogi mu szemrającą, pogardził jego rozumem i wypowiedział prawie, że i gotowego kanclerza nie wieleby sobie ważył, a nie dopiero jakiegoś do tego urzędu aspiranta! I upadł wcale na duchu pan Pakosław i z całym swoim rozumem uczuł się w obec tego prostego szlachcica tak małym, tak lichym i nic nieznaczącym, że znając tyle szlachty w Warszawie i wiedząc jak bywała maleńką, kiedy przychodziła do jego biura, albo mu powierzała swe sprawy, ani umiał pojąć, jak to się stało. A tymczasem to była rzecz naturalna i bardzo prosta: Pakosław widział tam szlachtę, gdzie ją zwykle bieda tylko przy gania i gdzie ona jest zawsze ofiarą brukowego dowcipu, ale nie widział jój tam, gdzie jest sobą samą, gdzie jest pniem i korzeniem. Pakosław nie znał tej szlachty jaką ona jest na wsi u siebie, i wybrał się jój imponować, ale się wybrał najgorzój. Szlachcic na swojej zagrodzie onego czasu, używający jak najobszorniejszych praw obywatelstwa, nie znał nikogo, któryby mu mógł czóm zaimponować na jego zagonie. Chylił on głowę kornie przed swoim monarchą, czczył zasługę i władzę

w hetmanie, cenił ród pański w wojewodzie i kasztelanie, szanował i poważał naukę w uczonym, al<sup>e</sup> tam,, gdzie mieszkali królowie i hetmani, wojewodowie i uczeni, bywał on rzadko; tu zaś, między swojemi kopcami, gdzie s<sup>ę</sup> urodził, wychował i żył całe życie, on swym rozumem wszystkiemu wystarczył i był najuczeń- szym, tutaj on krwią najzaciejszym, on sług swoich hetmanem. Nie było też nikogo takiego, którenby na jego zagonie mógł być lepszym od niego,—a już ani mu równym taki, który czy to urzędu, czy jakiegokolwiek sławy dosługiwał się nie tą drogą, jaką się wszystkiego dosługiwała zwyczajnie szlachta. Pisarek, aplikant sądowy czy nawet i w wyższym jakimś dykasteryum służący, póki nie stanął na takim urzędzie, któren go stawiał wyżej nad owe morze głów ogolonych, zawsze to była jakaś licha figura i zawsze tak traktowana jak sługa, jak zarabiające na chleb swój codzienny subiektum, jako człowiek nie mający praw żadnych do niczego i nie należący do społeczeństwa, składającego Rzeczpospolitą.

Tak też straktowany Pakosław i odrazu zbity ze swojej przybranej fantazyi, "stanął pokornie za ojcem i smutno mu było; ale nie było mu smutno dlatego, żeby taki traktament obraził jego ambicę, poruszył dumę rodową czy osobistą, tylko dlatego, że stanąwszy, od razu w tak nieprzychylnym dla siebie od pana łowczyca stosunku, nie miał już tak pewnej nadziei zapanowania nad nim i obrócenia go za narzędzie do swoich celów. Naprawił jednak niebawem ten stosunek pan Działota, bo rozgadawszy się z panem łowczycem o jego tak statecznój i trwałej do stolnikowicza przyjaźni, takich kilka pochwał dla nich obudwóch zręcznie wplótł w swoją mowę, że lubo pan Stanisław nie miał wcale nadto wielkiój w swem sercu próżności, jednak go to ujęło. Wszakże te pochwały pana Działoty dla braci ślubnych nietylko to miały na celu, aby pana łow<sup>T</sup>czyca w lepszy humor wprowadzić, ale żeby zarazem utorować drogę tój sprawie, która była powodem tych niespodziewanych odwiedzin. Pan Działota bowiem tak mówił:

— Niómasz tóż już i więcej co mówić o onej ogromnej re- putacyi, której waszmość używaoie w tej ziemi; ja, jako stary już jestem i niemało już rzeczy widziałem na świecie, nigdybym tego był nie pomyślał, żeby siedząc korniuteńko na swoim zagonie, nie sprawując żadnego urzędu, nie posłując na sejmach, nie jeżdżąc w deputacyach na trybunały et coetera, można przyjść do takiego zachowania u szlachty. Jak mnie Bóg miły, to rzecz niesłychana. Taż to waszmość jak półbogi jesteście w sanockiój ziemi! Za waszą wolą najzaciejsze uśmierzają się klótnie, za waszóm wdaniem się stuletnie na miłój zgodzie kończą się procesa, na wasze słowo milion się wysypie pieniędzy, a! to jest rzecz niesłychana.

— No! — rzekł na to pan łowczyca, — już to waszmość troszeczkę przesadzasz, ale trochę i prawda, bo, nióma co mówić, Wieleby się zrobiło, gdyby tego była potrzeba.

— Ale cóż tam,— mówił dalej dziedzic Zachoczewia,— ale bo to wszystko nic jeszcze. Wyobraź sobie waszmość dobrodziej, kiedy w Warszawie nawet o was już wiedzą; do uszu samego jw. ministra doszła fama waszmościów! Pakoszu, powiedz-no, jak to było.

— A! tak jest, w samej rzeczy,— odpowiedział na to Pakosz, zażywając tabaki, — w samej rzeczy. Zaraz to jakoś po wielkiej- nocy, pamiętam, kiedy przyszedłem z papierami do jw. ministra i zdawszy mu sprawę, czekałem jeszcze, ażali mi nie da jakich rozkazów, rzekł on do mnie: A! waszeć jesteś z sanockiej? — Tak jest, jw. panie, odpowiedziałem. Na to znów on: Powiódźże mnie, cóż to tam są za dwaj kawalerowie, którzy tego lata byli samowolnie na Ukrainie i jeden z nich dostał się do niewoli? — Ja tedy opowiedziałem panu, co mi wiadomo było z listów kochanego ojca mojego, a on na to: Powiadają, że ci dwaj jegomościowie trzęsą tam całym powiatem, że za nimi możnaby całą szlachtę tamtejszą i w ogień zaprowadzić; jakież tedy jest duch u nich? czy wierni są królowi swemi i panu? A kiedy wkrótce potem, wyjeżdżając z Warszawy, przyszedłem pokłonić się panu, rzekł on do mnie: Bądź waszmość zdrów, a kiedy tam obaczysz tych waszych hetmanów, powiedz im, że minister Bryl im się kłania i prosi, ażeby pamiętali na swoje obowiązki względem swego pana i króla, i nie dali się uwieść gwałtownikom i burzycielom ojczyzny, a będzie to im pamiętne za czasem.

Pan łowczyc, który sam nigdy nie kłamiąc, nigdy też nikogo nie posądzał o kłamstwo, tak rzekł na to:

— Dziękuję waszmości za tę nowinę; bardzo ona mnie cieszy, nie dlatego, że minister powiedział, że nasza wierność królowi będzie nam pamiętana za czasem, bo my, jeśliśmy dzisiaj gotowi dać gardła nasze pro majestate,, to czynimy z serca, a z obowiązku, i żadna nam się za to nie należy nagroda; ale zawsze to miło, kiedy ci, którzy radzą, wiedzą przecie co się gdzie dzieje w kraju.

— O! tego bądź waszmość dobrodziej pewny, — rzekł na to Pakosz,— że wszystko wiedzą, co nawet kto myśli, albo in priva- tissimis nawet uczyni: przecież to się nie darmo siedzi w tój kan- celaryi.

— Qj! wiedzą, wiedzą, kochany panie łowczycu dobrodziej! — dodał z westchnieniem pan Dziaott,— pytajno się mojego syna, co oni tam wszystko wiedzą po kancelaryach!

Poczóm odetchnąwszy z pełnej piersi, ojciec Pakosza dotknął się z przymileniem ręki pana łowczyca i rzekł:

~ No! ale my tu sobie miluteńko gadamy, a gruszki w popiele.

Na te słowa pan łowczyc wstał i myśląc, że jego goście już się do wyjazdu zabierają, gotów był do pożegnania, ale pan Dziaott tymczasem mówił dalej:

—!i Bardzoby nas to cieszyło, gdybyśmy mogli powiedzieć,



żeśmy przyjechali li tylko pokłonić się naszemu kochanemu sąsiadowi, jednakże tą razą tak nie jest.

— Waszmość panowie tedy macie sprawę jakąś do mnie, — rzekł na to łowczyc, — więc siadajmy a ja słucham cierpliwie.

Jakoż siedli wszyscy trzej na onój ławeczce darniowój pod lipą; pan łowczyc we środku a obadwa goście po końcach. Rzekł tedy Dziańott:

— Tak jest, mości dobrodzieju, mamy tu sprawę. Wprawdzie ta sprawa nie tyczy waszmości samego, jeno jmc pana stolnikowicza, ale ponieważ jest to rzecz wielkiej wagi i snadniej nam się widziało pierwej o niej pogadać z jego przyjacielem i bratem ...

— To wszystko jedno, — przerwał tutaj pan łowczyc, — sprawa która Bobowskiego dotyczy jest zarazem i mcją, a co jeden z nas postanowi, temu drugi nic nie zarzuci; mówcie tedy waszmość do mnie tak, jakbyście mówili do niego.'

Otóż to jest — mówił dalej pan Dziańott, — ja o tóm wiedziałem i dlatego odrazu byłem za tóm, żeby się wprost udać do waszmości.

— Ale bardzo dobrze, bardzo dobrze, cóż tedy jest takiego? — zapytał łowczyc.

— Przypomnisz sobie waszmość, — tak zaczął Dziańott, — lat temu trzy już minęło z czubem, kiedy waszmość obadwa z jmc panem stolnikowiczem byli łaskawi nawiedzić ubogą strzechę moję.

— A, tak, tak, pamiętam, działo się to o wiośnie.

— O wiośnie. Otóż po onej wizycie waszmość jeszcze byłeś u mnie tylko dwa lub trzy razy, ale pan Józef był tyle łaskaw, że się stał częstym gościem mojego domu. Z początku dziwiło mnie to niepomału, zkądby ta łaska na mnie tak nagle spadła, ale później, kiedy przyszło do tego, że pacholek pana Józefa co drugi dzień najmniej przez całe pół dnia z jego koniem wystawał przed moim gankiem, a on sam przez ten czas cały bawił na górnych pokojach, nie wątpiłem już o tem, że moja córka miała to szczęście wpaść jemu w oko. Jakoż w krótkim czasie z tych i owych okoliczności, a nakoniec z otwartego przyznania się panny, przekonałem się jawniej, że pomiędzy tóm państwem młodem zawiązały się pewne i wcale serdeczne afekta.

— Hm! — rzekł na to pan łowczyc, — córka waszmości to powiadała?

— Tak, mości dobrodzieju, własnymi usty. — Na to znów łowczyc:

— Hm! to mnie dziwi; bo że Józef sobie onego czasu zapru- szył serce waszmościnaż dzióweczka, to ja sam uważałem...

— Aha, aha! — poderwał w tem miejscu Dziańott, — słyszysz Pakoszu? pan łowczyc dobrodziój sam to uważał.

— No, uważałem, — odpowiedział na to Stanisław, — ale cóż z tego? bo nie rozumiem, do czego to wszystko zmierza.

— Zaraz, mości dobrodzieju — rzekł dziedzic Zahoczewia:— otóż ja dowiedziawszy się o tóć, zaraz też rzecz zakomunikowałem mojej żonie. I obradziłem między sobą i po rozważeniu wszystkich okoliczności uznałem, że pan Bobowski wcaleby mógł być przystojnym i stosownym mężem dla naszej córki...

— A zapewne — rzekł na to z uśmiechem pan łowczyk.

— O! otóż tak się obradziwszy, jużemy na to jaknajspokoj- niój patrzyli, jak pan stolnikowicz zaczął konkurować na piękne.

— Jakto! — zawołał w tem Osuchowski — albo kiedyż to Józef konkurował o w<sup>T</sup>aszę córkę?

— ^Taki zaraz — odpowiedział na to pan Działota—bo wszystko to szło tam piorunem. Ale nie dosyć na tóć...

— Jakto? albo jeszcze co więcej?

— A więcej!

— Cóż tam takiego! — mruknął sobie pod nosem widocznie się mieszający Stanisław.

— Z tej konkurencji — mówił dalej pan Działota — którą pan stolnikowicz prowadził w ten sposób, że się adresował prosto do serca panny, wyniknęły bardzo naturalne skutki. Człowiek to młody, piękny, można powiedzieć jak tu niómasz drugiego, rozumny, światowy, układny, cóż dziwnego, że tak obalamucił dziewczynę, że się w nim zakochała na umór?

Zakochała się! — zawołał łowczyk, słuchając ciekawie opowieści Działoty.

— Zakochała — mówił ten dalej — i nawet jej «tej miłości wcale nie można brać za złe, ani jej wyrzucać, że tego afektu nie starała się ze swego serca wygluzować, bo na cóż miała to w sobie zabijać, co uświęcone sakramentem, miało być szczęściem całego przyszłego jej życia, a do tego pan Józef poczynił jej wszelkie nadzieje?

— Jakież nadzieje? — zapytał łowczyk.

— Jakież? zdeklarował jój się otwarcie i w<sup>T</sup>ziął od niej słowo.

— Zdeklarował się! — to być nie może!

— Panie! sam na moje uszy słyzałem, — odpowiedział ojciec Pakosza, — stary Działota nigdy nie kłamię.

— Sam słyzałeś? cóż mówił? — zapytał srodze zafrasowany Stanisław.

Wszedłem właśnie do sali, kiedy ci państwo młodzi stali w framudze u okna. Pan Józef trzymał Julcię za rękę...

— Za rękę trzymał?

— Za rękę i mówił: wierz mi waszmość panna, że taki szczerzy afekt gore dla niój w móm sercu, że gdyby nie pewne przeszkody, które wiem, że mnie w tem staną na drodze, to dzi- siajbym jeszcze rzucił się do nóg rodzicom i prosił o jój rękę.

— Aha, aha, przeszkody, — odezwał się na to Stanisław.

— Ale i temu pani wierz, mówił dalej pan stolnikowicz, że gdyby się i wszystkie piekło na mnie sprzysięgło, to ja muszę do-

kazać swego, byłeś mnie pani chciała dać swoje słowo, że w tym afekcie swoim dla mnie się nie odmienisz. — Biedna dziewczyna nie wiedziała sama co na to powiedzieć i łzy jój tytko puściły się z oczu. Wtedy pan Józef ujął ją powtórnie za rękę i rzekł: Ufaj mnie tylko i wierz! — sam na własne uszy słyszałem, bom właśnie wtenczas wszedł był do sali.

— Ufaj mnie tylko i wierz — powtórzył smutno pan łowczyc.

. — Po tój deklaracyi, — prowadził dalej ojciec Pakosza, —

był jeszcze kilka razy w naszym domu pan Józef i zawsze był jednakowy; aż tu nagle dowiadujemy się, żeście waszmość poszli na hajdamaki!

— A tak, tak, poszliśmy wtedy na hajdamaki.

— Na tę wiadomość zgłupieliśmy, nie wiedzieliśmy co o tem rozumieć. I nam starym jeszcze to nic, ale co się z tą biedną dziewczyną działo natenczas, panie! ani wyobrażenia mieć o tóm nie możesz. Płakała po całych dniach i nocach, modliła się jak gdyby grzech jaki śmiertelny ciążył na jej sumieniu, w kilka tygodni już wybladła jak trup, wyschła jak skielec, a wkrótce poczęła miewać i chwile takie, w których prawie całkiem od rzeczy gadała.

— Proszę waszmości! — zawołał na to Stanisław, — tyle na tóm cierpiała jmc panna Julia?

— I wyobraź sobie waszmość, co to za boleść była dla nas rodziców! co za utrapienie! bo co to z tem robić? co na to radzić? i w tym frasunku, który już potem cały dom nasz opanował, wszyscyśmy głowy potracili z kretesem. Aż ja, który nie lubię tak zaraz się złemu losowi poddawać, przemyślawszy rzecz tę i z tej i z owój strony, przyszedłem do tego przekonania, że to nie może być w żaden sposób, żeby taki kawaler jakim jest pan Bobowski, potomek starożytnej i najprzedniejszych cnotami tak wslawionój familii, sam takie zachowanie, taką wiarę, taką sławę u całego świata mający, mógł dać słowo i w niem się nie postawić.

— Ba! ale to uważasz waszmość... — zarzucił na to pan łowczyc.

— Zaraz, mości dobrodzieju, — podchwycił Dzianott, — tegoż samego zdania była i moja żona i ja myślę, że tego zdania musiałby być każdy, kto tylko zdaleka słyszał o panu Józefie. Po- wiedźże waszmość sam, czyśmy nie mieli racyi?

— Ha! — rzekł na to łowczyc, — już to niby tak wypada, że kiedy słowo jest dane...

— O! otóż myśleliśmy tak, że chociaż pan Józef pojechał na hajdamacką i nawet z nami się nie pożegnał, jednak nie idzie za tem, żeby miał kasować swe słowo. Przyjedzie z wojny i wtenczas się ożeni.

— Takeście waszmość myśleli? — zapytał łowczyc.

— A jużci tak wypadało.

— Ha, a niby tak.

— O! otóż tę nadzieję, na kawalerskim słowie opartą, zakomunikowaliśmy Julci. Jakoż nióma co mówić inaczej, jeno że to trochę pomogło, bo córka nasza, namyśliwszy się nad tóim, nietylko uwierzyła, ale nawet w tój wierze jeszcze nas sama utwierdziła. Cóż waszmość powiósł na to? Od tego czasu pan Józef już z hajdamackiej powrócił, już i drugi raz tam po waszmości ^ jeździł i znowu powrócił, ba, już rok cały prawie siedzi "tutaj w Zernicy, my przez ten czas cały codzien wyglądamy do okna, ba, jużesmy i oczy nasze wypatrzyli, a jego jak nióma, tak nióma.

— I słowo dał pannie? — rzekł na to łowczyc.

— Jaknajuroczystsze, — odpowiedział pan Dziaott. Na to już łowczyc wziął się oburącz za głowę i rzekł do siebie:

— Hm, hm, hm, o! Józefie! Józefie! jakiegożes ty kwasu narobił!... gdybym był o tem wiedział, byłbym go nigdy nie brał na hajdamaki... hm! już to może i ja temu winien po trochę... i mówicie waszmość że słowo dał pannie?

— No! jeżeli waszmość nie wierzysz...

— Ale wierzę, wierzę! czemubym nie miał wierzyć! co to u tych babiarczów!... otóż to masz kobióty! niech was diabeł wybierze do nogi! — mówił sobie Stanisław, i powstawszy z ławeczki, chodził przez chwilę tam i sam wzdłuż alei, burząc włos i mrużąc coś sobie pod nosem. A potem rzekł:

— No, ale powiódźcież mi waszmość, cóż zrobić z tem teraz?

Panowie Dziaottowie poglądali po sobie ukradkiem i radość malowała się na ich twarzach, a stary odpowiedział:

— Ha! myśmy przyjechali tu do waszmości, aby mu opowie- dzióć jakie nas z przyczyny pana Józefa spotkało nieszczęście. Dzióweczka piękna, świeża jak wiosna, wesóła jak ptaszek, jedyna pociecha matki staruszki i chorobami znękanój; dzióweczka taka, z którą inni rodzice, bogactw i zaszczytów pragnący, byliby pa-' trzy li najmniej na jakiego starostę lub kasztelana, dzisiaj wyczekawszy we łzach i frasunku trzy lata, odpędziwszy od siebie wszystkich konkurentów jacy się trafiali, została opuszczoną, sierotą, na wstyd, na urąganie całego sąsiedztwa, i zamiast rodzicom swoim na starość przynieść pociechę, podporę i szczęściem swoim osłodzić im ostatnie chwile przed grobem... i przerwawszy mowę, zaczął płakać pan Dziaott.

— O Józefie! Józefie! jakiegożes ty piwa nawarzył! — mówił, ręce łamiąc, pan łowczyc i usiadł znów na ławeczkę. A w tóim Pakosz się do niego obrócił i tak mówił:

— Bo uważasz waszmość dobrodziój, gdyby to był kto inny a nie pan Bobowski, gdyby to był zwyczajny dżus powiatowy ,który do każdój podwiki równo smali cholewki, a nie kawaler taki którego słowo znają w całej Rzeczypospolitój...

— I którego słowu, — dodał pan Dziaott, — jak mnie to dobrze wiadomo, wierzyć każdy musi pod gardłem, bo nie było jeszcze wypadku, ażeby kiedykolwiek chybiło"...

— Taby pewno było do tego nie przyszło, — prowadził znów Pakosz, — a chociażby nawet siostra moja była nie mogła się sama pozbyć swojego afektu, to rodzice moi byliby jój to koniecznie jakoś wybili z głowy.

— Zresztą, — szeptał znów z drugiej strony Dziańott, nachylając się ku łowczycowi, — sami nie wierząc temu, bylibyśmy...

' — Ale już dajcie mnie pokój, — zawołał na to łowczyc — już wiem i wszystko rozumiem. No, ale cóż na to robić?

— Otóż my opowiedziawszy naszą skargę waszmości, — odpowiedział ojciec Julii — prosimy, abyś ją zechciał przedłożyć panu Józefowi.

— A nigdy! nigdy to być nie może. — zawołał łowczyc.

— A toż dlaczego?

— Nigdy! bo i na cóżby się przydało?

— Na co? My sądymy przecież, że pan stolnikowica, lubo może o onóm słowie swoim zapomniał i może nawet nie ma chęci dotrzymania go teraz, jednak jeżeli się dowiód, co za skutki z tego danego słowa wyniknęły, nie postąpi sobie inaczej, jeno tak, jak na takiego kawalera przystało.

— Ba zapewne! ale kiedy bo już kłamka zapadła.

— Jaktó? a cóż na przeszkodzie?

— Józef jest po deklaracyi z panną podkomorzanką, właśnie Wczoraj wziął słowo.

— Pakoszu! synu mój! słyszysz? — zawołał na to bolesnym głosem Dziańott — pan Bobowski już jest po słowie!

— Ha! zapewne — rzekł na to Pakosz — że to jest niedobrze, ale deklaracya to jeszcze nie jest sakrament. Pan Bobowski pierwój dał słowo siostrze mojej, niżeli podkomorzance.

— Co! zawołał na to groźnie Stanisław — a choćby Józef dał był i dziesięć słów przedtóm, tego przez to nie złamie. — Na to zaś Dziańott:

— Ha! kiedy tak, to nie wiemy, jak to wypadnie; bo chociaż Waszmość takiej jesteś opinii, toż jeszcze jednak kwestya co powiód pan Józef, do którego my także trafimy.

— A nie traficie! bo żebyście na głowach chodzili, to ja was do niego nie dopuszczę. On waszej córki nie kocha, a jego terazniejszego szczęścia ja psować nie dam, choćbym miał gardło przy tem położyć.

— Ha! jeżeli nas waszmość nie dopuścisz do pana Józefa — mówił na to ojciec — to my i tak jeszcze nie zdesperujemy. Balogród nie daleko, podkomorzy jest żywy, panna jest żywą i nie "Wiem co oni powiedzą na to, kiedy się dowiedzą...

— Co! niczego się nie dowiedzą! ja i tam was nie dopuszczę! — mówił już w złości pan łowczyc.

— To i na tóćm jeszcze nie koniec — odpowiedział znów Dziańott — oprócz Balogroda i Żernicy jest jeszcze świat cały a do tego nam przystępu nie zamkniesz; jest jeszcze i Pan Bóg nad

nami!... więc niech i tak będzie; świat niechaj mówi o nas a Bóg niech nas sędzi, a kogo z nas fama obniesie jako kłamcę i kogo Bóg karać będzie jako zatraciciela szczęścia i spokoju poczciwej szlacheckiej rodziny, to przyszłość okaże. Ja wiem tylko tyle, że my spokojnie będziemy oczekiwać wyroku.

Na to się pan łowczyc zamyślił, a wtem rzekł Pakosz:

— I najlepiej już o tem nie mówmy, bo chociaż to jest bardzo pięknie ze strony waszmości, że z takim poświęceniem stajesz w obronie szczęścia twojego brata, ale czy to jest uczciwie, czy to szlachetnie... ■»■

— No! tylko ty kusy Niemce już mi tu nic nie brząkaj, — zawołał na to dziedzic Zerniczki; gdzie szlachta gada, tam apli- kanty słuchać mają, i milczeć.

Na te słowa Pakosław, który już był zaczął głowę podnosić do góry, zerwał się z ławeczki i stanął pod ścianą grabową w pokorze, a tymczasem pan łowczyc rzekł do starego:

— Mości panie Dżianott, powiem waszmości krótko a węzło- wato. Józef źle zrobił, bardzo źle zrobił, że się w jakieś amory powikłał z córką waszmości; gorzej jeszcze, że dał jej słowo i zapomniał o tem że go potrzeba dotrzymać. Ale to już się stało i na ten sposób, jako wy chcecie, już się odrobić nie da.

— Przecież my jeszcze będziemy tentować.

— Ale nic nie będziecie tentować, i dziwi mnie, że mi to waszmość powiadasz, bo co może tentować Dżianott z Pakoszem przeciwko Bobowskiemu, za którym stoi cała ziemia do nogi?

— Ha! jeżeli władza uczciwie nabyta zechce nieuczciwie pognać ubogiego... to my nic nie zrobimy.

— Na takiej drodze nic nie zrobicie; władza nie będzie gnębić, jeno będzie się bronić, a jeżeliby śc-ie silnie nagabywali, to możecie być pogiębieni i to wam powiadam, że przez plotki a potajemne konszachty moglibyście może co popsuć Józefowi, ale żeby potem kamień na kamieniu nie został z zahoczewskiego zamku, to ja w tem stoję. Bo u mnie tak, kiedy zgodnie to zgodnie; ale jeżeli na udry, to nie dens pro dente, jako powiada pismo, ale wszystkie zęby za jeden! Ale ja tego nie dopuszczam i słuchaj waszmość: oto Józef źle zrobił, przyniósł wam smutki, zgryzoty i tak dalej; przyszlście do mnie i skarżycie się na tę szkodę. Ja ją czuję i przyznaję i chcę ją wam wynagrodzić, ale cóż tu można zrobić? Chcecie pieniędzy, dam, chcecie wsi, dam wieś, cóż można innego?

Na to Dżianott spojrział na swego syna i rzekł:

— Nie panie, takie rzeczy nie płacą się wsią ani pieniędzmi.

— No, to czegoż chcecie u diabła! — zawołał na to niecierpliwie pan łowczyc.

— My chcemy spokoju, chcemy szczęścia dla naszój eórki, chcemy męża dla niój, którego jej pan Bóg dał a wydał pan Józef.

■

— Męża! tfu! co za ludzie! no, bierzże sobie mnie, masz męża! tamtego już nie dostaniesz.

Na to znowu Dzianott spojrzął na syna i rzekł czempredzej:

— To jeszcze panie byłby jedyny sposób wynagrodzenia nam naszej straty; jeżeli tedy waszmość tak jesteś szlachetny, że chcesz się poświęcić za szczęście i honor swojego brata, to trzymam waszmości za słowo.

— Jakto? — rzekł na to zdziwiony pan łowczyk, — i waszmość byś mnie wziął sobie za zięcia? i byłbyś kontent? i cicho, i spokój, i zgoda na wieki? '

— I cicho, i zgoda, i spokój na wieki, -7- odpowiedział Dzianott, — nikt aniby wiedział, jak i kiedy się to stało... a jak mnie Bóg miły, to anioł dziewczyna.

— Ki diabeł! w jakim ja tu dzisiaj rosole! — rzekł na to łowczyk, i odstąpiwszy od swoich gości, 'zaezął długim krokiem chodzić wzdłuż grabowój alei.

Znajome nam jest usposobienie umysłu pana łowczyca, wiemy jak on ciężko pojmował rzeczy, i wiemy jakiego długiego zawsze trzeba mu było czasu, - ażeby i w najmniejszój wątpliwości mógł coś postanowić; nie będzie nas tedy to dziwić, że teraz, wpadłszy nagle w tak dziwny samotrzask, najmniej z pół godziny chodził tam i sam po alei, nic do nikogo nie mówiąc. Goście jego przez ten czas siedzieli spokojnie pod lipą i w chwilach, kiedy on od nich był tak daleko, że ich nie mógł dosłyszeć, cicho, coś sobie szeptali, kiedy zaś był blisko, obserwowali go tylko pilnie i milcząc, poglądali na siebie. I było też na co poglądać: u pana łowczyca bowiem taka jakaś burzliwa toczyła się walka i silenie się jego na wydobyć ze siebie jakiegoś postanowienia w tej kwestyi tak nim gwałtownie miało, że nie tylko co moment z ust jego jakieś niezrozumiałe słowa i wykrzykniki wylatywały, ale włos jego poburzony, oczy latające na wszystkie strony, wąsy odęte i potargane, pas przekreślony wiązaniem na biodro, żupan porozpinany i pomięty, tak w owej chwili przystrajały jego figurę, że nie wiedząc o co rzecz chodzi, można się było przestraszyć i zgoła zważyć o trzeźwości jego rozumu.

Wiedząc atoli o przyczynach tej tak zaciętej toczącej się w nim walki, nie było czemu się dziwić; walka bowiem chęci ratowania szczęścia i honoru swojego najukochańszego brata, z koniecznością poświęcenia przytem swojej właszej najulubieńszej opinii, walka pomiędzy tkliwą i serdeczną miłością dla pana Józefa a swoim wstrętem do ożenienia się i własną wygórowaną ambycją, nie mogła się w nim spokojnie odbywać. Jednakże, jak to zwykle bywa u nas wszystkich, że torturowe cierpimy bóle, nim się zdołamy z jakim miłym naszymu sercu dobrem pożegnać, ale pożegnawszy się raz i złożywszy to dobro w ofierze przyjaźni, miłości, czy jakiemu innemu wzniosłemu celowi, stokroć rozkoszniej sza pogoda osiada w duszy naszej, niż ta, którąśmy się cieszyli pierwiej: tak i pan łowczyk, po owym

długim i bolesnym namyśle, z dziwnym spokojem w duszy i na twarzy zbliżył się do pana Działoty i rzekł w ten sens:

— Mości panie, trudne to Iparzo jest położenie. Józef mnie własną, ręką wyprowadził z bisurmańskiej niewoli, słuszna też także, ażeby i ja jego wydobył z tego rosolu, którego jeszcze wprawdzie nie jest to co niewola, ale kto wie ażali nie mógłby się jeszcze gorszym stać w swoich skutkach. Ze wszystkiego tak mi tutaj wypada, że koniec końców niczego byśmy. w tem nie do- kazali; ale gdybyście tylko wyjechali przed panem Józefem i chcieli intrygować przeciwko niemu na balogradzkim zamku, to już byłoby dosyć. To wam przyznaję i biorę sobie to za jedną przyczynę. Powtóre, Józef rzeczywiście wam szkodę wyrządził, dług u was zaciągnął, którego nie wypłacił i już teraz sam wypłacić nie może; słuszna więc, ażeby, kiedy tak przyjąć chcecie, ja za niego zapłacił — i to będzie druga przyczyna. A dałby człowiek fortunę, zdrowie swoje, a w złym razie i gardło dla brata, dla czego by się nie miał ożenić? I co mnie to ożenienie kosztować będzie, w jaką ja przez to pójdę niewolę, na jakiego dudka się przez to wystrychnę przed światem, o tem mnie tylko wiedzieć. Ale kiedy inaczej nie może być, więc fiat! Jam jest gotów na tę ofiarę i oto podaję wam rogi moje, ozłóćcie je prędko, i głowę moję ubierzcie ją w wieńce i prowadźcie na ołtarz.

— A! niechże Pan Bóg da szczęście i wszystko, co jest naj- lepszego na świecie, — rzekł na to Działota, wyciągając rękę do Stanisława.

— A zaczekajcie! — odparł atoli łowczyc nie przyjmując ręki Działoty — nim się to spełni, będą tu niektóre kwestye i warunki. A najpiórwej, cóż z tego, że wy mnie chcecie, ja bo z was żadnego nie biorę, jeno mam brać pannę; więc czy panna mnie zechce ?

— Już my to bierzemy na siebie, — odpowiedział Pakosz, — to jest takie pocziwe dziecko, że nie potrafi się w niczem sprzeciwić woli rodziców. A zresztą, któż to waszmość jesteście? czy jest tu która panna w powiecie, któraby waszmości nie chciała ?

— Już to co tego nie wiem, bom nie próbował, — rzekł łowczyc, ale możeby się i taka znalazła. Więc powiadacie, że panna mnie przyjmie?

— ^Przyjmie na pewno, wiemy dowodnie, bo się to przecie mówi o sąsiadach przy córce, to się też i miarkuje.

— Aha! — rzekł łowczyc, — druga zasie kwestya jest ta, że może wy się tem nadziwacie, że u mnie jest jaka wielka fortuna i że ja tak pełen osobliwych przymiotów, że już zgoła raj będzie miała u mnie dziewczeczka. No, to to trzeba co o tem pogadać. Owo względem fortuny jest tak: Żerniczka czysta, inwentarze, dobytki i ruchomości co oczy widzą, niewieie, ale jeszcze mi z tego co rok coś pozostaje. Okrom tego jest jeszcze po ojcu dwanaście tysięcy na Lutowiskach, a pięć na Myczkowie, byłoć jeszcze dzie-



się u wojewody, ale to się odebrało i oddało się Józefowi, co za mnie zapłacił Turkom. A jeżeli tam pani matka co jeszcze chowa u siebie w skrzyni, to nie wiem, ale musi coś być, bo posag swój odebrała gotowizną, a ojciec go nie tknął.

— Ale dosyć, dosyć, mości łowczycu dobrodzieju, — rzekł na to przyszły teść jego, — nie fortuna to stanowi szczęście ludzkie na ziemi, jeno charakter, serce a praca.

— Owóż około tego charakteru,—zarzucił znowu łowczyc,— takżeby wypadało pogadać. Bo to wy rinnie widzicie prawie jeno wtenczas, kiedy ludzi witam albo żegnam, a słyszycie o mnie, że ich ezasem rzucam o ziemię i depcę po nich nogami, toż to nie- wiedzieć jaki ja tam jestem wymalowany w duszy waszój. No, i to prawda jest, że kiedy u mnie żona będzie, to będzie siedziała sobie cicho i spokojnie, jakby za murem i ani włos jój z głowy nie spadnie, bo kiedyby ją kto napastował, toby go pierwój diabeł wziął z mojej ręki, niżby się pomiarkował, zem go się dotknął; ja sam jej także nie dokuczę, bo. któżby się tam pastwił nad takim robaczkiem? jakoż, i-dam jej na wszystkie szmatki i pstro- cizny, żeby się miała czem bawić, — ale nie wiem, czy to dość na tem kobiócie?

— Bogdajże cię Pan Bóg kochał! a czegoż jej jeszcze potrzeba ? — zapytał na to Działott ze śmiechem i ukontentowaniem.

— No, ja tam nie wiem, ale ot zaraz kwestya, jak to będzie z tem gospodarstwem domowóm? bo to u mnie jest matka, która już przez lat kilkadziesiąt rej sobie prowadzi w tych tam komórkach, to już śnać strudna oddałaby komu to berło, którego przez wszystkie lata jeszcze jój nikt nie zaprzeczył.

— Ej! nie będzie o to żadnego sporu,odpowiedział na to z chytrą miną ojciec Pakosza, — nasza Julcia jest wprawdzie zawołana gospodyni i zna się na wszystkióm i lubi pracę i zajęcie, ale daleko jej jeszcze zapewne w tym kunszcie do jejmość pani łowczyny dobrodziejki. Będzie to tedy nawet może poniekąd dobrze dla niój, że przez lat kilka jeszcze poterminuje przy tak sławnej mistrzyni, a że jest dobra, uległa i zawsze woli starszych się poddająca, to sądzę że sama wiele się tutaj nauczy a jójmość pani będzie z niej miała pilną a zgrabną wy ręczy cielkę. Wcale to dobrze będzie, kochany panie łowczycu, ręczę za to że dobrze, a zresztą da się jej jeszcze i naukę, jak ma się zachować.

— No, jeżeli tak, toby to jeszcze niezgorzój, ale tu bo jeszcze druga jest kwestya, a to względem mnie samego. Ja, jak powiadam, anim zły w sobie, anim pasyonat i ludzie moi wcale na mnie nie płaczą, alem ja z kobietami nie bywał, jam jest człowiek szorstki, ponury, między żołnierzami... •

— Pozwól, sąsiedzie kochany, — przerwał mu Działott, widząc, że się słońce już zniża i chcąc rzecz już ukończyć, — wiem co chcesz mówić, ale o to spytajże się nas starych. A ja ci powiadam, że każdy z nas żeniąc się, był w tej samej obawie i ka-

żdy z nas sobie mówił: jam z kobietą ani trzech słów nie wymienił, jakże teraz z nią mówić i rankiem i dniem i wieczorem ? jak żyć całe życie ? a tymczasem minie tydzień i drugi, a w trzecim to już prędzej każdy mąż żonę uczy jak ma co mówić, niżeliby miał sam przy niej słów zapominać. Tak też będzie i u waszmości. — Na to łowczyc:

— Na wszystko masz jegomość swą racją, niechże tak będzie. A teraz warunki, bo to clara pacta claros faci\unł amicos. Ja się nie pytam co waszmość dasz swojej córce Ha wiano teraz, a co ma odziedziczyć tam kiedyś, bo się spodziewam, że własnego dziecka nie zechcesz ukrzywdzić, ani się o wszystkie inne rzeczy nie pytam' i tylko jeden zakładam warunek; ale kiedybyście mnie tego nie dotrzymali, to nietylko wszystko się maże odrazu co się napisało, alebym wam panie teściu jeszcze tak zapłacił, jak i diabeł w piekle za grzóch śmiertelny nie płaci.

— Np! słuchamy, słuchamy.

^^To jest rzecz mała na pozór, ale ważna wielce i najważniejsza. Oto ja wam daję rękę, że córkę waszę biorę, ale sza! od dziś aż do dnia ślubu mucha żadna nawet nie ma śnić o tem, co się pomiędzy nami stało.

— Dobrze, bardzo dobrze, — rzekł na to Działott, — a kiedyż dzień ślubu ?

- — Tego samego dnia kiedy się będzie żenił Bobowski, bo ja nie chcę, żeby on się ani domyślał tego co jest, wszystkoby się zepsyło.

Na to Działott spojrział zapytująco na syna i zaczął coś mruczeć niezrozumiale pod nosem, ale wtem Pakosz powstał i rzekł:

TT- To bardzo dobrze, my dalecy jesteśmy od tego, żebyśmy nie mieli wierzyć słowu waszmości; owszem, pewni jesteśmy, że waszmość w dzień oznaczony przyjdiesz i do ołtarza uklękiesz; ale zawsze to lepiej będzie, jeżeli dziś ot tak razem pojedziem do Zahoczewia i uczynimy zrękawiny. A potem sza! aż do samego dnia ślubu. Odpowiedzialność za to, że nikt o tem wiedzióc nie będzie, my bierzemy na siebie a nawet więcej, bo jeżeli waszmość chodzi o to, żeby tajemnica się dochowała w całkowitości, to my go jeszcze nadto uwalniamy od wszelkich w oczy uderzających przygotowań do tego nowego .stanu, jako to zwyczaj jest u nas w kraju: więc od wyporządzania domu, od sprzęgania nowych powozów i co tam podoba się jeszcze. Niech tymczasem wszystko tak zostanie jak jest...

— Aha! aha! otóż to mnie łaskę zrobicie,—rzekł na to łowczyc.

— Niechaj wszystko zostanie jak jest, a po ślubie pogospo- darujesz sobie jak zechcesz, ale dzisiaj pojedziesz z nami do Za- choczewia.

— Bene! — rzekł na to łowczyc prawie już wesół, — niechaj tak będzie, jak Niemiec powiada. Słowo moje dane i wasze dane, biedaż temu, króryby go nie dotrzymał.

— Biada! — zawołali razem Działotowie.

— Proszęż tedy ze mną na pokoje, niech się trochę przebiorę, — rzekł łowczy, — żeby się jakoś czysto pokazać; — i puściwszy ich naprzód, szedł aleją za nimi. I wesoło już było łowczy, w kilku krokach nawet, spojrzawszy po sobie, rzekł głośno: Coelibalusz jedzie klękać przed panną, o Józefie! Józefie! — a rozmyśliwszy sobie w tój chwili wszystkie dobre strony i skutki tego aktu, na który się zdecydował, całkiem o sobie zapomniał poczciwy Stanisław i dochodząc do ganku, powtórzył sobie swoje ulubione przysłowie: Długo myśleć, w skok czynić, jest to zwyczaj stary; Tym sposobem pan hetman pogromił Tatary.

Kiedy to się działo w Żerniczce, ile że ustawicznie sprzyjała pogoda i dzień był tak ciepły i spokojny, jaki tylko dać może sierpień, lato nasze kończący, — pani Działottowa jak zwykle siedziała z córką swoją w galerii zahoczewskiego dworu. I długo po odjeździe męża i brata obydwie te panie milczały, ale kiedy już się słońce zniżać zaczęło i od jego czerwonych promieni rozgorzały wierzchołki lasów, wprost przeciw zamkowej galerii zachodni kres nieba osłaniających, a tych panów jeszcze nie było, odezwała się matka wpół do siebie a wpół do córki:

— Ot, już słońce zachodzi, a naszych jeszcze nie widać.

— Mama ich niecierpliwie wygląda, — odpowiedziała Julia— a ja się czegoś boję ich tego powrotu.

— Czemuż się boisz, moje dziecko, czyż ztąd może wyniknąć co złego? Wszakże ojciec pojechał tylko zaprezentować Pakosza panu Osuchowskiemu.

— Tak mówił ojciec... a ja przecież czegoś się boję. Od dnia tego, jak Pakosz tyle tu nam nagadał o panu Bobowskim i tak ojcu głowę tem nabił, że możnaby się o to u niego upomnieć, że tam kiedyś był na naszym dworze, taki mnie jakiś opanował niespokój i tak głowę mam pełną różnych myśli a serce tak przestraszone, że sama nawet nie wiem co robię.

— To niepotrzebnie, moje dziecko, — odpowiedziała matka,— bo tu wcale 'niema się czego obawiać. Najpierwej ja jeszcze bardzo wątpię, ażeby ojciec chciał pana Bobowskiego zaczópić o to, o czóm on sam nie chce pamiętać, ale jeżeliby przyszło do tego,

to możesz być i wtedy spokojną. Ojciec ma tyle rozumu, tyle przezorności, tyle nakoniec delikatności dla ludzi, że jeżeli to zrobi, to zachowa wszelką przyzwoitość uczynku i godność osoby. — Na to zaś Julia.

— Ja się wcale nie spo dziówam tego, ażeby ojciec chciał się upominać o takie rzeczy, za które żadna odpowiedzialność się nie należy, a tórn mniej też o jakie straty, których nigdy nie było, niema i które tylko Pakosz sam podobno wymyślił; ja nie spodziówam się tego, ale jeżeliby się ojciec o to upomniał, to wcale nie pojmuję, jak przy takim postępku możnaby zachować przyzwoitość i godność? Nie należy się mnie mówić cokolwiek przeciwko ojcu, ale w rzeczy ta^: blisko mnie obchodzącej nie mogę nie powie- dzióć, że podług mojego serca i sumienia, każde upomnienie się o stygnięcie w afekcie jest nietylko nieprzyzwoite i niegodne, ale nawet poniżające... i miałby się za takim powodem nawrócić do mnie pan stolnikowicz? nie, nigdybym go tak nie przyjęła!... jabym mu w oczy nie śmiała popatrzeć.

— Trochę ty masz słuszności w tem, co powiadasz — rzekła na to znów matka — bo i nieodpowiednie to jest naszój godności, upominać się o afekt dla siebie, w którym ktoś już ostyga, i nareszcie niema się co ubiegać za uczuciami takimi, któreby do- pióro naszym upomnieniem się wywołane zostały; ale widzisz, moje dziecko, tutaj rzecz cale inna. Tutaj chodzi o to, ażeby można tobie jaknajlepszą przyszłość sprowadzić, która jest dzisiaj, można powiedzieć że najpierwszem mego i ojcowskiego serca pragnieniem. A ponieważ wiadoma jest rzecz, że sentymanta, któreście z panem Józefem wzajemnie mieli dla siebie, z czasem musiały się w was nanowo odezwać i przyszłość wasza pewnoby była szczęśliwą, więc jeżeliby się udało ojcu pana Józefa zręcznie naprowadzić na przypomnienie tych obietnic...

— Ale moja mama — przerwała Julia — kiedyż bo pan Józef mnie nigdy nie czynił żadnych obietnic! Wprawdzie to wszystko, co. mawiał natenczas, kiedy bywał tu u nas, naprowadza mnie dzisiaj na ten domysł, że miał wtenczas względem mnie chęci najszczersze; ale już to samo że bywać zaprzestał, pokazuje jawnie, że jeżeli kiedykolwiek miał chęci jakie, to już dzisiaj ich nie ma, a wymuszać je na nim przypomnieniem się albo zgoła wyraźnóm żądaniem, ażeby je spełnił... nie! ja tego nigdy nie dopuszczę, ażeby się tak mógł poniżyć mój ojciec!... Wprawdzie kiedy się dobrze zastanowię nad sobą — mówiła dalej Julia, wyciągając na kolanie w rękę trzymaną robotę — to dla mnie i dzisiaj tylko tyle szczęścia jest jeszcze na ziemi, ilebym go z nim przeżyć mogła... ale jam już zapomniła i o tórn! ja już tego szczęścia nie pragnę i mogę się całkiem obejść bez niego; mam nawet pewne i jasne przeczucie, że nigdy do tego nie przyjdzie. Nie chcę nawet ażeby przyszło! Kto wió, jakimby był dzisiaj dla mnie pan Józef! a miałby być innym dla mnie, jakim ja go znam w mojórn sercu i jaki dziś

jeszcze żywo się maluje w mojej pamięci, tylko troszeczkę innym, to woli nie być zupełnie. Miłsze mi jest piękne i nieskażone wspomnienie, niżeli pełna plama rzeczywistość. O! a plamyby się tam pewno znalazły! lat temu minęło tyle, tyle nad nim przeciągnęło wypadków, tyle gromów się o jego głowę rozbiło, tyle nieznanym wtenczas bólów przeszło przez jego serce!... on nie może już być takim, jakim był wtenczas.

Matka na to westchnęła, a Julia, pomyślawszy trochę, mówiła dalej:

? — A potem przypuściwszy nawet, że zręcznie naprowadzony przez ojca przypominałby sobie, przyjechał i ożenił się ze mną: to gdzieżby tu była rękojmia, że w nim dawnie się odezwęło uczucie? Miłości tej, którą niegdy miał dla mnie, dzisiaj już ani śladu w nim niema i jeżeliby go co jeszcze nawrócić mogło ku mnie, to tylko jedna ambicyja, a po takim nawrocie czy dawna miłość nie obróciłaby się wkrótce w nienawiść, a dawne uwielbienie w pogardę, to jest wielkie pytanie?... a jabyłm poważyła się je naprzód rozstrzygnąć. I jakież szczęście sprowadzilibyście mi państwo, dając mnie męża, któryby mnie nienawidził i mną pogardzał? jakieżby życie to było? jaka przyszłość przedemną? Może to być, przyznaję, że Józef nie byłby takim, ale ja o taką fortunę grać nie chcę. Wolę niech tak zostanie jako jest teraz; jemu jest dobrze, mnie musi być znośnie bez niego... umarł dla mnie, przyzwyczaiałam się już do tej straty, nie próbujcież państwo wskrzeszać go z grobu a wskrzeszać li na to, ażeby albo oddać mi go trupem do ręki, albo mi go w grobie żywego pokazać. Ja już nic nie chcę, nic, tylko spokoju... i szkoda żem o tem z ojcem nie pomówiła otwarcie, nim do Zerniczki wyjechał.

— A szkoda, panno! — odezwął się na to głos chropawy i stary ze środka galeryi — szkoda! jeszcze można było temu zaradzić.

Obydwie kobiety się wstrząsły z przestachu i poglądnęły po za siebie; ale nie było się czego przestraszać, była to bowiem dobrze znajoma tym paniom Ewa z balogrodzkiej granicy.

— Bodaj że cię, Ewo! — rzekła na to pani domu, ochłonawszy cokolwiek z przestachu — jakeś nas przestraszyła.

— Nie chciałam tego, moja jejmość kochana — odpowiedziała Ewa z uśmiechem ale powiadam jeszcze raz że szkoda! ci panowie dotychczas nic nie zrobili, bo to już przepadło.

— Jakto przepadło? nic ciebie nie rozumiem, moja kochana — rzekła na to pani domu.

— Przepadło, bo pan Bobowski już jest po słowie z panną podkomorzanką.

— Już? — rzekła Julia z jakimś dziwnym uczuciem, z którego zapewne i sama nie umiała sobie zdać sprawy.

— Już, moja panienko; wczoraj deklarowali go pan chorąży

z panem łwczycem i podkomorstwo przyjęli, a dzisiaj już tam pan stolnikowicz siedzi od samego rana.

— Ha! niechaj Bóg szczęści! — rzekła ze smutną rezygnacją córka pana Dzianotta, — taka snąć była Jego wola.

— A szkoda panno! o, wielka szkoda! — mówiła dalej Ewa, — szkoda dla panienki, bo już to nióma co mówić, jeno że trudno teraz będzie o drugiego takiego kawalera, jak ten był, i jeszcze dla kogo innego szkoda...

— Cóż na to robić, moja Ewo kochana! — rzekła już spokojnie i jak gdyby się tym spokojem pochwalić chciała Julia, — a jeżeli już i żadnego nie będzie?...

— A! chowaj Boże! — zawołała Ewa, — musi być! nie ten, to drugi, to trzeci; tak my panny nie zostawimy.

Na to popatrzyła Julia na tę starą i brzydką babę i wzdrygnęła się czegoś, zapewne ją przeraziła tak okropna i łachmano- wata protekcyja, i miało ją co przerazić. Okropnyż bo to los tych wszystkich panien, których przyszością zaczynają się już opiekować wszystkie stare baby z sąsiedztwa! okropny dla tych wszystkich istot niewinnych a czułych i z każdym rokiem coraz drażliwszych i czulszych, które, kiedy już raz przeminęły dwudziestkę, chcą li czy nie chcą, ciągle się z nim muszą spotykać. A ile to w tych nieproszonych opiekunach litości, każdemu wznioślejszemu sercu nieznośnoń, ile słodczy woniejącej trucizną, ile nieraz uszczypliwości pokrytój grzecznościami i oświadczeniami, — wiedzą tylko te, które przechodziły przez tę kolój tak najczęściej niewinnie spotykającego ich losu. Ale Julia nie wiedziała jeszcze o tych przyjemnościach starego panieństwa i jeżeli się obiecaną starej wróżki protekcyją przeraziła, to tylko instynktowie i sama nie wiedząc dlaczego; jakoż nawet niedługo trwało to jej przerażenie, bo zaraz dodała Ewa:

— Ale tamtego zawsze szkoda i snąć niewiele szczęścia będzie w tem małżeństwie.

— Dlaczegoż tak myślicie? — spytała matka.

— Z wiadomością tą przyszedłszy do domu, — mówiła Ewa, — zaraz sobie na to rzuciłam fasolki, ale to dziwne rzeczy co tam w nich stało! anim się nawet nie mogła połapać. Około pana Bobowskiego tyle czarnych ziarn się zebrało, że odkąd wróżę, jeszcze mi się tak rzucić nie wydarzyło. Około panny Barbary zaś ciągle stawał ten jej braciszek stryjeczny, to z tój to z owój strony, to sam to z kimś drugim; siedem razy rzucałam i siedem razy wypadało to samo, aż za ósmym razem...

A wtóm tentenkt koni i broni dał się słyszyć w bramie i tuż zaraz w dziedzińcu. Na ten głos pani domu, przerywając wróżce, zawołała:

'— Otóż i nasi!

Julia zaś, powstawszy i poglądnawszy w dziedziniec, dodała:

— Nasi, ale i jeszcze ktoś z nimi; a! pan Osuchowski, cóż to ma znaczyć?

— Osuchowski? — powtórzyła do siebie Ewa, i poszedłszy zaraz na drugą stronę galeryi, zniknęła w krętych jej wschodach.

Tymczasem panowie Dziańottowie wraz z swoim gościem weszli na galeryę i nastąpiły wzajemne powitania i komplimenta. Pan łowczyc przytem był bardzo wesoły, a nawet tak rozmowny jak nigdy; albo trwało w<sup>T</sup>ciąż w jego sercu jeszcze wewnętrzne zadowolenie ze swojego wspaniałego poświęcenia się dla szczęścia brata, albo, uważając już Julię za przyszłą swoją żonę, w poczciwości swojej chciał jaknajstaranniej ukryć przed nią to, że nie wolna wola i serce, ale przymus i okoliczności go do niej przywodzą. Ale zdaje się, że radość jego była szczerą, bo dobry ten humor nie opuszczał go ani na chwilę przez cały czas jego dzisiejszej na zachoczewskim zamku bytności.

Po onych tedy przywitaniach i ogólnikach pan Dziańott dał znak swojej żonie i zaraz wszyscy wynieśli się do wielkiej środkowej sali, onej nieszczęsnej sali, w której niegdy pan Dziańott podsłuchiwał stolnikowicza z swoją córką rozmowy, i w której pewno już wtenczas urodziła się myśl korzystania z tej wiadomości. Skoro wszyscy zasiedli, pan Dziańott, nie czekając, zaraz zaczął w ten sens:

— Otóż przywozimy naszym kochanym paniom różne a różne nowiny.

— Cóż takiego, mój mężu? — spytała jego żona.

— Najpierw, że pan Bobowski właśnie wczoraj uczynił de-klaracyą na balogrodzkim zamku i—został przyjęty.

— Tak? proszę!—rzekła na to całkiem obojętnie matka Julii, —bardzo nas to kontentuje, będzie to piękna para!

A tej obojętności słów matki, taką obojętnością wyrazu twarzy zawtórzyla Julia, że pan Dziańott, niewiedzący wcale że tu dopióro co z tą samą nowiną była Ewa, zdziwił się niepomału i sam nie wiedział, jak to rozumieć; ale gorzej jeszcze pan łowczyc, bowiem\* nasłuchawszy się dopiero co tak wiele o desperacyi Julii za Józefem, a widząc teraz i w chwili odebrania tak ważnój o nim wiadomości taką obojętność, także się zdziwił a zdziwił się tak, że popatrzwszy raz na nią, popatrzył raz drugi i trzeci, i powstawszy jeszcze, patrzył i jeszcze się dziwił. To nie uszło uwagi pana Dziańotta, jakoż w tej chwili znalazł się on jako prawdziwy mistrz w dyplomacyi dworskiej i w tymże samym momencie zapytał:

— Cóż jejmoście tak chłodno przyjmujecie tak ważną wiadomość? zapewne jużście się dowiedziały o niej przed nami?

— Tak jest, mój mężu, — odpowiedziała matka smutno i jakby z umyślnem westchnieniem — przed chwilą była tu u nas ko-biōta z Balogroda i powiadała nam o tem.

Pan łowczyc jeszcze raz spojrział na Julię, a kiedy ona oczy spuściła ku ziemi, ażeby przez wrodzoną wstydlivość jego wzroku



uniknąć, Osuchowski już się niczemu nie dziwił, a pan Działott tylko rzucił okiem jak błyskawica szybko na Pakosza, ręce zatarł nieznacznie i tak dalej mówił:

— Ta jednak nowina zrodziła drugą i przynosi w dom nasz gościa, który ze szczerymi intencjami serca przychodząc, ma tę nadzieję, że jako jego piękna chęć ku nam już od nas mężczyzn z należytem uszanowaniem i prawdziwym afektem przyjętą została, tak też i od was kobiet przyjętą będzie.

To mówiąc, Działott resztę już oczyma i rękami dał do poznania żonie i córce, ale im już i tego nie było potrzeba. Kobiety mają wielką domyślność, a chociaż pani sama zadziwienie swoje dziwnie wdzięcznym ku łowczycowi skłonionym umiała pokryć uśmiechem, to za to Julia zbladła nagle i tak zadrżała widocznie, że i łowczyc tego dostrzegłszy, poczuł mimowolnie, iż już kolój na niego. Jakoż powstawszy i zbliżywszy się do Julii, także już stojącej i ciągle jeszcze bladej i drżącej, zaczął w ten sens:

— Moja mościa panno, nie chciej mi wacpanna brać tego za złe, że cokolwiek jej mówić będę, nie będzie to ani gładkie, ani wymowne, bo anim ja to orator z natury, ani w szkołach do tego ćwiczony, ani nakoniec do dzisiejszej perory przygotowany, którą, gdyby nie przypadkowe jej ojca jegomości' odwiedziny, któremi mnie dzisiaj zaszczyścić raczył, śnać kto inny byłby miał do niej .w mojem imieniu, tak jak to w tym samym wypadku poradził sobie dnia wczorajszego mój brat kochany. Ale że to brak gładkiój wymowy nie jest wadą naszego serca i sentymenta choćby najszczerze nie zwykły siedzieć ani na ustach, ani w głowie, mam tę nadzieję, że waszmość panna uwierzysz temu co powiem, i acz nie gładkie, ale z serca idące słowa moje przyjmiesz prosto do serca.

Tu pan łowczyc odetchnął, chustką pot otarł z czoła i śród poważnego milczenia tak mówił dalej:

— Już to parę czasów jest temu, odkąd mając honor znać waszmość pannę i dziwnie piękny jój obraz zawsze w mojej nosząc pamięci, powziętem w gruncie serca mojego zamiar starania się u jej ichmość rodziców i u niej samej o trwalsze cokolwiek względy i afekta. Ale żem to ja przez czas długi mojej młodości był zaciętym celibatu zwolennikiem i w tej materii nie jednemu w głos powiedział kazanie, więc już żeby to się poprostu nie zbluznić przed światem, nie widziało mi się inaczej, jak jeno tę tajemną chęć moją zabijać w sobie i od niej uciekać. Teraz atoli, kiedy już prawie mi głowa usycha od narzekań jejmość pani łowczynój, a mojej matki kochanój na to, że takie mnisze życie prowadzę i nic o sobie nie myślę, a do tego jeszcze właśnie wczoraj i mój przyjaciel kochany wziął słowo od rodziców panny podkomorzanki, zdało mi się także na czasie dalej już się nie mordować niepotrzebną wstrzeźliwością i otworzyć się z temi tajemnicami mo-

jego serca, które tak długo dusić się musiały w zamknięciu. Owoż właśnie w chwili tego postanowienia mojego zdarzyło się tak, że zawitali do mnie ojciec waszmość panny z imć panem Pakoszem, I a że to zawsze rozumni chwałą to, jeżeli kto prędko z dobrej sposobności korzysta, ja też chcąc na pochwałę zarobić, upadłem do nóg jegomości jej ojcu i wypowiedziałem w mym domu to, z czem mi wedle starożytnego zwyczaju właściwie należało do tego zamku przyjechać. Ojciec jegomości jednak w swojej niewyczerpanej dobroci był tyle na mnie łaskaw, że nietylko nie wziął mi mego przeciwko staremu prawu wykroczenia za złe, ale ze szczerem sercem z ziemi podniósł i w swoim a jejmość dobrodziejki imieniu swoje błogosławieństwo obiecał.\* Z tem tedy zaraz przyjechaliśmy tutaj i oto stoi już przed waszmość panną najpokorniejszy jej sługa, i wypowiedziawszy rzecz swoją, z niecierpliwością oczekuje jej ostatecznego wyroku.

Napocił się srodze pan łowczyc podczas tej perory, a skończywszy ją, tak z głębi piersi odsapnął, że się aż w najodleglejszych oknach ciężkie zachwiały firanki, ale tóż miał po czem odetchnąć; bo ile ta mowa jego dowodziła w nim prawości charakteru, i rozumu i zdrowego wyrachowania na przyszłość, ile nakoniec delikatności dla Julii i troskliwości o jej wszystkie teraźniejsze i przyszłe uczucia i możliwe domysły, o tem wiedzieli tylko Dżianott z Pakoszem, którzy z natężeniem całej tej mowy słuchali, każde jej słówko odważyli i ocenili, i nakoniec sami sobie się nadziwić nie mogli, jak człowiek taki mógł tak łatwo popaść w ich ręce.

Na tę mowę atoli Julia nic nie odpowiedziała. Stojąc ze spuszczonej oczyma za krzepłem i wydając się przy olbrzymim łowczycu istotnie tylko małuczkim robaczkiem, była ona piękną jak anioł, ale zarazem tak pomieszaną, tak jeszcze drżącą prawie na całym ciele, że ani słowa wymówić nie mogła. Co widząc, ojciec odezwał się do niej:

— No, moje dziecko, trzeba się decydować. Pan łowczyc dobrodziej prosił już nas o twoją rękę i myśmy zezwolili..... teraz idzie o to...

— Ja... ja... — przerwała wtem ojcu Julia, zbierając w sobie wszystkie siły, na jakie się w tój chwili zdobyć mogła, — ja nie mam honoru znać o tyle pana łowczyca

— Mościa panno, — rzekł na to łowczyc, który poraż pierwszy przypatrzywszy się zblizka tej dziwnie pięknej dziewczeczce, widział, że to nakoniec nie będzie tak wielkie nieszczęście, zabranie jój do swego domu ratować honor i szczęście swojego brata, — nie ma tu żadnej kwestyi, że waćpanna mnie nie znasz, ani się dziwię temu, żeś się waćpanna mnie przestraszyła cokolwiek.. Nie jestem ja ani onym wymuskany gładyszem, którzy to w skok umięją chwytać panienki za serca, ani owym przymilającym się galantem, który nieraz' brzydotę nosząc w swóm sercu, jednak miód tak słodki

niesie na ustach... — i zaciąwszy się pan Stanisław, obrócił się wesoło do ojca i dodał: — no! panie ojcie! pomagajże mi z łaski swojej, bo jak mnie Bóg miły, żem zginął niemiłosiernie.

— Julciu! cóż tobie jest? — rzekła na to, wstając z kanapy, matka, — powiedzże swoje słowo, jak myślisz.

• —<sup>1</sup> Dziecko moje kochane, — dodał Działott, przystępując do niej z drugiej strony, — siądź sobie trochę i odetchnij, ale nie męczże już nas wszystkich. Przestraszona jest cokolwieczek, — dodał ojciec do pana łowczyca, — nieprzygotowana do tak solennego aktu... nió ma nic dziwnego.

I nastąpiło chwilowe milczenie i to milczenie dopióro, jakkolwiek krótkie, potrafiło Julią cokolwiek otrzeźwić, że podniósłszy oczy do góry, rzekła pół-głosem:

— Ja wprawdzie nie znam o tyle pana łowczyca, ażeby tu sama mogła coś decydować, ale kiedy rodzice już odpowiedzieli i taka jest ich wola. to ja się jój nie sprzeciwiam.

— Ano! otóż i rzecz gotowa! — rzekł na to łowczyc i nie wiedział w<sup>T</sup>cale, co dalej ma robić. Ale w tótm przystąpił stary Działott do niego i mówiąc ni to ni owo, zaczął go .całować w twarz z tej i owej strony, a rozmachawszy się dobrze, nawet go w ramię raz pocałował. Tó pocałowanie widziało się łowczycowi zanadto, jakoż zaraz odcałował Działotta w ramię napowrót, za co Działott jeszcze go raz pocałował, co mu tamten znów wrócił i tak kłaniając się coraz niżej i całując się wzajem, pędzili się ci panowie po całej sali od kąta do kąta. Te komplimenta atoli nie ro- zegrzały tego chłodu, który objął całe to grono; — a kiedy pan łowczyc, powracając z Działottem nazad do kanapy, przypomniał sobie dzień wczorajszy w Balogrodzie i owę chwilę, w której sam do nóg się rzucił podkomorzemu, to mu czegoś łyzy w oczach sta- nęły; Julią zaś, najmocniój to zimno czującą, dreszcz jakiś nieznanym przejmował co chwila.

Wkrótce atoli te łyzy i dreszcze zagadane zostały, i zalane. Pan Działott bowiem kazał dać wina, więc pito zdrowia i mówiono o w<sup>z</sup>ystrykióm—i było dosyć gwarno, a lubo zimno, jednak niby wesoło, chociaż -znów za to niedługo. Pan łowczyc bowiem wkrótce się za czapką oglądnął i pożegnawszy się jak mógł najserdeczniej z paniami, rzekł do Działotta:

— Jechać muszę, bo jest tego konieczna potrzeba. Każdój chwili wolnej użyję na to, ażeby służyć mojej panience, a kiedy w niedzielę na tych zrękowinach w Balogrodzie dzień się ślubu dla niego oznaczy, to ja tu będę w poniedziałek i my znów o swoje się ułożymy.

— Czekamy tedy, z niecierpliwością czekamy, — odpowiedział na to teść przyszły, — ale powiedz no waszmość, w niedzielę to te zrękowiny w Balogrodzie?

— W niedzielę.

— A myśmy właśnie w niedzielę wybierali się z moim synem oddać nasz pokłon podkomorzemu.

— A no! rzekł łowczyc,—to się tam obaczymy! tylko proszę waszmości—dodał półgłosem, — my i Pan Bóg nad nami! kie- dyby tylko jedno słowo » ■

—• Ale, ale, ale proszę już spuścić się na nas! — odpowiedział Dzianott.

— Ściele się do nóg! ściele się do nóg!—i wybiegłszy prędko, Stanisław pędem prawie poleciał do domu.

Jaka tam mowa i rozmowa była na zachoczewskim zamku po odjeździe łowczyca, to nas niewiele obchodzi; wspomnieć atoli wypada, że panowie mistrze tego aktu dzisiejszego ani matce, ani córce nic o swoich nie powiedzieli względem tego zabiegach, a zostawując je tylko przy wiadomości tego, co sam łowczyc o powodach swojej deklaracji powiedział, zabezpieczyli jako tako spokój i ambi- cyę Julii.

Łowczyc zaś, jak z każdej tak i z niniejszej .burzy nadewszyst- ko prawie unosząc serce i czyste sumienie, skoro tylko powrócił do domu, zaraz poszedł na matki pokoje.\* Tam, że to wieczór już był dość późny i właśnie już były pokończone wszystkie domowe roboty, zastał on tę staruszkę przy stoliku stojącą, przeliczającą klucze swoje, ażali są wszystkie i przypominającą sobie, ażali o jakiejś ważnej na przyszły dzień dyspozycyi nie zapomniała. Zastał ją więc pod dobrą porę i przywitał przytomnie, ale od czegoby miał zacząć, nie wiedział. Staruszka atoli, wiedząc że z jakiegoś sąsiedztwa powraca, i widząc że tak świątecznie jest wystrojony, sama go zaczepiła, mówiąc:

— Zkądże to Pan Bóg prowadzi? śnać gdzieś na wielkich byłś waszmość pokojach, że tyle złota na tobie?

— Niebardzo na wielkich, ale na bardzo ważnych, — odpowiedział łowczyc, i westchnąwszy potężnie, dodał: — ale to pełne wypadków nadeszły na nas czasy! znów gotów jestem jejmości powiedzieć nowinę.

— No, mów kochanie mo<sup>e</sup>, i owszem.

— Cóżbyś tóż jój mość dobrodziejka powiedziała ku temu, gdybym też i ja się zdecydował ożenić?

— Ach! mój Stasieńku, — zawołała na to pani łowczynya, siadając na krześle i zwracając całą uwagę na niego', — zarazbym ci do nóg upadła z podziękowaniem.

— A żebym ja to zrobił bez wiedzy matki i bez jej porady?

— Zaraz rezygnuję na jedno i na drugie, tylko się żeń, moje dziecko.

— Otóż już jestem po słowie, — rzekł na to łowczyc.

— Już! — zawołała matka jego, rzucając mu się z tym krzykiem w objęcia: — Panie! niechże Tobie będą dzięki na wysokościach !

Pan łowczyc ucałował matkę w ramiona i posadził ją napo- wrót w jej krzesło, i nastąpiła chwila krótka ale pełna wzruszenia, pełna łez, wykrzykników, westchnień do Pana Boga i wszelkich oznak obustronno- j radości. Wylawszy atoli już wszelkie ze siebie wzruszenie, staruszka zapytała wprost syna:

— No! ale któż jest ta twoja przyszła, mój synu, bo kiedy podkomorzanka już tak jak wzięta, panna Błońska jeszcze prawie jak dziecko, panna podczaszanka już także ma swego... to nie mogą się nawet namyślić...

— Kto nam jest najbliższy, — odpowiedział Stanisław, — cudnie piękna dziewczeczka, córka jmc pana Działotta.

— Córka pana Działotta!? — zawołała znacząco i z niejakim zadziwieniem łowczyna i pomilczawszy chwilę, dodała smutno: — ha! niech i tak będzie, mój synu.

W dalszej rozmowie, którą umyślnie przedłużył łowczyc, okazało się, że matka jego od najdawniejszych czasów całkiem nie była przychylna domowi Działottów; dała nawet do poznania pani łowczyna, że tak samo jak ona, nie lubił ich także .i mąż jej nieboszczyk, a co ważniejsza, że miał ważne do tego powody; jakoż nie tała się ona z tem wcale przed synem, że wiedząc o tem naprzód, nietylko byłaby mu odradzała była tój kolidacyi, ale dzisiaj, gdy już to się stało, o ile czuje radości ztąd, że jój syn się nakoniec żeni, o tyle ją znowu to martwi i niepokoi, że bierze żonę z zachoczewskiego dworu. Słyszac to, łowczyc srodze się zafrasował nieborak i była to pierwsza szpilka, którą mu się uczuć dała cierniowa poświęceń korona; jednakże jakoś zebrawszy wszystkie siły, jak zaczął matce przekładać, że to panna tak piękna, tak młoda, tak rozumna i w różnych naukach ćwiczona, jak nie- masz żadnej w powiecie, jak zaczął nakoniec wywodzić, ile już od dawna miał dla niej afektu, który musiał ukrywać, to lubo dzisiaj pierwszy raz w życiu przyszło ma kłamać, jednakże jakoś mu się przecie udało wybić matce z głowy stare ku Działottom niechęci i nawet ująć cokolwiek jój serce dla Julii.

Potóm długo jeszcze musiał się silić Stanisław, - ażeby wmówić w matkę konieczną potrzebę tajenia jego projektów przed całym światem, a głównie przed stolnikiewiczem, i niemało się na- mozolił nad wynalezieniem choć prawdopodobnych ku temu powodów; ale wszystko co mówił i co czynił, jakkolwiek to było, znalazło przecie nakoniec wiarę i przebaczenie w kochającym go sercu matki, i starusza ta z wielką jego pociechą położyła się do snu z zapomnieniem o wszystkim innem, a tylko z błogą i uszczęśliwiającą ją myślą, że rycerska linia Fryderyka i jego przodków nie zaginie w jej synu.

Dzień ten atoli rzeczywiście był pełen wypadków. Nie dosyć bowiem, że w nim tak niespodziewane a tak ważne zmiany po- zachodziły w Żernrczce i Zachoczewiu, ależ i na balogrodzkim zamku poczyniły się jakieś rzeczy, które nie musiały być bez pewnego znaczenia. Co było, nikt tego z pewnością nie umiał oznaczyć, to jednak pewna, że kiedy około południa pan Józef tam przyjechał, to już zastał burzę gotow<sup>r</sup>ą. "Barbarka była zła i nie chciała ani słowa do niego mówić, podkomorzy przyszedł, powitaj i przeprosił, że musi odejść na chwilę. Wincenty nawet jakoś nie miał czasu, ażeby bawić swego przyszłego szwagra. Był tedy ograniczony pan Józef na samego kapelana, który wyszedł do niego, wziął go pod ramię i wyprowadził do ogrodu, mówiąc że pomiędzy Bartkiem i podkomorzym zaszły jakieś familijne nieporozumienia, które dopiero teraz przy wyjeździe Bartka na wierzch wypłynęły. Pan stolnikowicz domyślał się po części, gdzie było źródło tych nieporozumień, jako zwycięzca nawet swojego przeciwnika, cieszył się w głębi serca z tego, że Bartek teraz zasłużoną za swoje niepotrzebne umizgi odbiera nagrodę, cieszył się nakoniec i z tego że, jako mówił kapelan, ten Francuz już sobie wyjeżdża; ale pomimo to wszystko przecie go te nieporozumienia trochę niepokoiły. Domyśliwając się, że kapelan musi koniecznie coś więcej wiedzieć o tem niżeli mówi, badał staruszka jak mógł narzeczony Barbarki, ale niczego się nie dowiedział. Kapelan bowiem wszystkie jego pytania ogólnikami zbywał, a kiedy już koniecznie coś musiał mówić o Bartku, to wymyślał na niego, rzucał plamy na jego serce i charakter, klął nawet na całą jego figurę i dzień ten, w którym na ten zamek przyjechał; ale niebawem znowu, kiedy się pomiarkował, że to wszystko pada na osobę noszącą nazwisko Karsznickich, cofał swoje wymysły i składał całą winę na los, na okoliczności i na zamorskie wychowanie..

Nie mogąc się od kapelana niczego dowiedzieć Bobowski, a niecierpliwiąc się coraz więcej z każdą uciekającą chwilą, począł go męczyć, ażeby powracali na górę, ale kapelan znowu zaklął go na słow<sup>T</sup>o honoru, ażeby szli do ptaszarni. W ptaszarni znów stolnikowicz począł badać staruszka, ale znowu na próżno, a kiedy nareszcie już zrezygnował z całkowitej wiadomości i chcąc się tylko dowiedzieć, co te nieporozumienia miały obchodzić Barbarkę, zapytał :

— A dlaczegoż panna Barbara taka zadąsana?—odpowiedział kapelan:

— A cóż to waszmość nie wiósz, że ona musi wszędzie wści- bić swoje trzy grosze?—i znów dalój rzecz swoją prowadził o ptakach.

Nakoniec przecie już i kapelan się znudził i mówiąc, że zapewne już się tam musiała ta burza uciszyć, którą (powiadał to kapelan wyraźnie) pan Bartłomiej wywołał, wziął stolnikowicza ze sobą i poszli obadwa na górę.

Wszedłszy do środkowej komnaty, dowiedzieli się że pani podkomorzyna zamknęła się z panną Barbarą w swojej sypialni <sup>1</sup> już od godziny tam siedzi; podkomorzy zaś z Wincentym i Bartkiem siedzieli w sypialni podkomorzego i żwawo coś rozmawiali. Na to kapelan chciał znów stolnikowicza gdzieś wyprowadzać, ale W tójże chwili wszedł do nich podkomorzy i witając się powtórnie z Bobowskim, rzekł do niego:

— Przepraszam waść, panie Józefie, że cię tak niegrzecznie przyjmuję, ale pan Bartłomiej nam się po diabelsku znarowił; wyobraź sobie, znudził się panicz w górach i przesiedziawszy czas najsmutniejszy, właśnie teraz, kiedy nam Bóg obiecuje wesołość, chce nas porzucać. Ale nie puszczę, żebym miał w klatkę zamknąć z Piekarskim, nie puszczę! Proszę was, pomagajcie mi także.

To rzekłszy, żadnej nie czekając odpowiedzi, poszedł wprost do sypialni jójmości i podczas, kiedy on został, Barbarka ztamtąd wyszła i weszła do środkowej komnaty. Bobowski zbliżył się do niój i ostrożnie a grzecznie pytał, czemuby była w tak złym humorze? Ale na niej już prawie ani śladów jakiegoś zgryzoty lub smutku nie było, a jeżeli co było, to tak gdzieś w głębi ukryte, że ani najbieglejszy twarzy ludzkich czytelnik niczy z jój powierzchowności był nie mógł wyczytać. Usta tylko cokolwiek jeszcze były ściśnięte i drżały czasami, ale to tak nieznacznie, że zupełnie nie uważał tego pan Józef, a tem mniej mógł uważać, ile że Barbarka była całkiem a nawet nad wszystkie spodziewanie wesoła i wszelkimi siłami starała mu się okazać, że go lubi, że z przyjemnością go widzi, i że rada jest temu, że teraz przyjechał. Ale czy to szczerze, czy z serca mówiła Barbarka, o tój prócz niój samej nikt nie mógł wiedzieć ni sądzić. Stolnikowicz atoli wierzył i jego serce rozlewało się w miłości i onój nadziemskiej rozkoszy, która nas przejmuję w każdej chwili przekonywania się naszego o upragnionój wzajemności i uczuć wspólnych harmonii. I był szczęśliwy pan stolnikowicz!

Barbarka uważała to nietajone szczęście pana Józefa i uśmiechnęła się na to; a że w tym uśmiechu była większa połowa ironii, to już była dla każdego oprócz dla niego widoczna. Jeżeliż tedy tak było w istocie, że te uczucia, które tak uszczęśliwiły jej oblubieńca, wychodziły tylko z jój ust a nie z serca, to jakżeż ona ważne odkrycie zrobiła jeszcze przed ślubem! Odkrycie to wraz z tem, które już dawniej zrobiła, a to że nad nim z wielką łatwością panować potrafi. Jakżeż to już obfite źródło niepomyślności małżeń- skiój było na jdni kilka przed zrękowinami! jaki silny strumień mógł już z niego wypłynąć do czasu ślubu! jaka ogromna rzeka urosnąć po ślubie!... Ale w niewiadomości tego co nas otacza, wiele nieraz jest szczęścia—i szczęśliwy był pan stolnikowicz.

Śród tój rozmowy, która, gdyby kto inny był na miejscu pana Józefa, mogła być ważne za sobą pociągnąć następstwa, a w danym razie nawet cały gmach jego szczęścia obalić i inny

dla Bartka może na jego miejscu wystawić, wszedł nagle do tej komnaty podkomorzy z podkomorzyną. Podkomorzy był jeszcze jaki taki, mówił wiele, wesoło i żadnego nie dawał po sobie poznać wzruszenia;<sup>4</sup> ale ona była bardzo blada i smutna, a na jej twarzy malowały się jaknaj wyraźniej głęboke jeszcze ją gryzące cierpienia i głębszych jeszcze daleko cierpień przecucia albo oczekiwania. I wyglądała tak, jak oni więźnie po przeczytaniu na długie lata kary ich skazującego wyroku, kiedy odrazu dają widzieć na sobie ogrom całego nieszczęścia i brak wszelkiej nadziei.

W krótkiej chwili wszedł do tej komnaty Bartek z Wincentym. Bartek zaraz przy wejściu spojrział na stolnikiewicza okiem pełnem gniewu, a nawet złości, i wśród tego spojrzenia zaczęła mu twarz krwią nabiegać tak prędko, że zdawało się, że ten ryw<sup>1</sup>al wzgardzony rzuci się na niego z pięściami, ale Bobowski twarz obrócił ku niemu spokojną i tak wyniosłą mu odrzucił pogardę, że Bartek oczy spuścił ku ziemi, i jak on zwierzą dziki, który uderzony oczyma swojego dozorczy, nagle mordę i ogon opuszcza i chowa się w ciemny kąt swojej klatki żelaznej, obrócił się w inną stronę i powolnym krokiem poszedł ku otwartemu oknu komnaty.

Tego nikt nie uważał z przytomnych, bo cała ta gra trwała jedną sekundę, a podkomorzy zaraz spytał Wincentego:

— No, więc jakże rzecz stoi?

— Ale pojedę, kochany stryjasku,—odpowiedział na to Bartek powracając od okna; ale odpowiadał tak wesoło i z taką wyszukaną uprzejmością dla , podkomorzego, że Bobowski, słysząc 0 jakichś nieporozumieniach i dopiero-co wzrok taki spotkawszy, aż usta otworzył od zadziwienia, — pojedę, kochany stryjasku, — mówił Bartek, .wykręcając się na pięcie paryzkiego trzewika, — państwo ani wiecie, ani wiedzieć możecie, jakie w<sup>1</sup>ażne sprawy mam w domu; wszystkoby przepadło, gdybym jaknajprędzej nie wrócił. A zresztą o cóż tu chodzi ? o to głównie, abym był na w<sup>1</sup>eselu. No, więc stanówcież państwo termin tego wesela, a potem pytajcie, czy tak długo zostaną czy nie?

— Ale jakieżś dziwny, — rzekł podkomorzy, sam dziwując się temu wesołemu tonowi, z jakim mówił Bartłomiej, — w niedzielę odbędą się zaręczyny, w niedzielę też postanowimy dzień ślubu, a cóż dzisiaj? czwartek podobno, więc cóż za daleka historia?

— No, ilo, rzekł na to Bartek z uśmiechem, — pomyślimy jeszcze nad tem, pogadamy, i jakoś się na to poradzi. Czegózbymfi też ja dla stryjasku nie zrobił.

— Niechże cię Pan Bóg kocha, co to za krew pocziwa! — zawołał podkomorzy i objąwszy Bartka w ramiona, po serdecznych ucałowaniach dodał: bo to widzisz, mój Francuzie kochany, jeżeli się. tem strachasz, że masz zostać się aż do ślubu, a tu jeszcze

1 zrekowin nie było, to niepotrzebnie. Bo ani my, chwała Bogu tak ubodzy, żebyśmy dopiero potrzebowali skupow<sup>1</sup>ać dla Barbarki



Wyprawę, ani pan Bobowski tak na powietrzu wiszący, żeby choćby i jutro nie miał gdzie żony wprowadzić.

— A, dla Boga! choćby i dzisiaj, — rzekł na to Bobowski, całując ręce Barbarki.

— No, więc to ślub może być w oka mgnieniu, — mówił dalej podkomorzy; — a osobliwie też dlatego, żebyś ty a nie kto inny panu młodemu družbował, coby nas bardzo cieszyło.

— A, dla Boga! — odpowiedział Bartek, przekrzywiając trochę stolnikowicza, ale zresztą aż do zbytku wesoło, — kiedy już tak koniecznie, to i družbować im będę i służyć w lot we wszystkim, jak tylko stryjaszek rozkaże.

— Widzisz, widzisz! — dokończył podkomorzy, na co było tych targów! Bobowski siedział ciągle jak na niemieckim kazaniu i nic a nic nie mógł tego rozumieć, a co go jeszcze nakoniec zadziwiło najbardziej, to to, że te jakieś nieporozumienia, które taką burzę podniosły nad balogrodzkim zamkiem trwały od samego rana i niby toczyły się tylko o to, że Bartek chciał koniecznie wyjeżdżać, teraz -w kilku słowach się skończyły i z taką obojętnością a uśmiechami ze strony jego rywala. Barbarka także jakoś zdawała się być tym dobrym humorem Bartka zdziwioną, ale musiała to rozumieć inaczej, bo nagle się przybliżyła do stolnikowicza, bardzo przymilająco mu coś szeptała i wśród tych szeptów tylko czasem pełne szyderstwa rzucała na Bartka spojrzenia.

Taka komedia, która coraz w inne się przystrajała koturn)" i w której po kolei brali swój udział i podkomorzyna, i kapelan nawet poczciwy i prostoduszny Wincenty, trwała aż do obiadu, którego dzisiaj dano o wiele później niżeli zwyczajnie; po obiedzie zaś Bartek z Wincentym wyjechali do Jabłonek do pana Urbańskiego, gdzie niby to byli na dzień jutrzejszy proszeni, a pan Józef, dosiedziawszy aż do późnego wieczora i doznawszy jeszcze wielu dowodów wzajemności od swojej panny, po trochę zamyślony ale w większej części upojony swem szczęściem, odjechał nie do siebie, ale wprost do łowczyca.

Łowczyc, z zawziętego celibatora nagły narzeczony zachoczewskiej panienki, po zwalczeniu już wszystkiego w sobie i po za sobą, coby mogło na chwilę tylko zamącić szczęście jego przyjaciela i brata, lubo już późny był wieczór, siedział z luleczką w ręku na onej fatalnej ławeczce w alei, na której go schwycili Działottowie, — i oglądał sobie dopiero powoli a zblizka wszystko to, co go dzisiaj spotkało.

Z daleka b)4o gdzieś słyhać żabek kumkanie, bliżej gdzie niegdzie ptaszek przez sen strzepotał się na gałęzi, koło domu furknął czasami niedoperz i cicho było zresztą i tak ciemno w około, jak w pajciemniejszej nocy jesiennej, ale jasno tam było w tej duszy poczciwej, jak w dzień letni słoneczny — myśli i czucia nad nią podnosiły się takie piękne i czyste, jako tęcze stubarwne, które po gromach i burzy zdobią niebieskie sklepienie — wszyst

kich myśli i uczuć harmonia grała mu w chór taki pełny i wzniosły, jak kiedy w nawie wspaniałego kościoła wśród ciszy poważnej odezwie się -głos olbrzymiego organu. Na wyrażenie takiego stanu duszy niema głosu w ustach człowieka, niomasz wyrazów w języku i czuć go może ten tylko, który czuł rękę Boga na swoim czole i słyszał głos Jejo mówiący: Synu! postąpiłeś wedle mojego zakonu.

Ten głos słyszał w onój chwili pan łowczy i czuł się wtenczas marmurowym posągim w swój enocie i aniołem w czystości duszy, ale lube uczucie to podnosiło go tak wysoko, że nogami dotykał głów bohaterów i serce jego w czysto niebieskiej się unosiło błogości, jednak prędko odtrącił od siebie te samolubne myśli, a podumawszy jeszcze prostym swoim umysłem nad całym ogółem główniejszych swego życia wypadków, tak rzekł do siebie poprostu:

— Mój Boże! jakież-to świat ten jest dzisiaj, jakie to życie! Przed kilku dniami jeszcze byliśmy obadwa z Józefem sługami sług Bożych; nasze serca były swobodne i wolne i do przyjęcia wszelkich poświęceń i zapalów przygotowane; nasze sumienia czyste i żadnymi troskami nieobciążone, nasze barki próżne i mogące wziąć choćby i cały powiat na siebie, ażeby go zanieść tam, gdzie go Bóg i obowiązek powoła; nasze życia naszą bezwarunkową własnością i mogliśmy je kłaść, gdzieby nam się upodobało. Nie mieliśmy wielkich czynów ani sławy za sobą, ale przed sobą mieliśmy drogę otwartą wszędzie i na wszystko, a przekonanie, że każdej chwili możemy wstać i pójść na wszystkie świata strony i rozdarować wszystko co mamy i grać o gardło na polu i o duszy zbawienie, czyniło nas wielkimi w sobie i szczęśliwymi! Dzisiaj, słów kilka, chwil kilka, i wszystko przepadło. I uczyniliśmy zadość obowiązkom względem ludzkości i otworzyliśmy sobie wrota ziemskiego szczęścia i — poszliśmy w niewolę wszystkich dni sączących się z niezglębionój przyszłości, w niewolę godzin i minut, w niewolę żon i dzieci i nianiek, w niewolę sukien, trzewików, czepców, tasiemek i nici! i w daleko gorszą jeszcze niewolę słodkich umizgów, które nam serce nasze rozerwać na drobne cząsteczki, i rozkoszy małżeńskich, które nam duszę i ciało zmiękczą i przywiążą do progu domowego, że będziemy jak psy przykute łańcuchami do budy! To są światy, w które dziś wschodzimy, panie Józefie! to losy nasze, dla których tyle podejmujemy trudów, tyle spełniamy ofiar i poświęceń! .....

Hej, panie Fryderyku i wy wszyscy ojcowie moi, którzyście byli chlubą i splendorem grunewaldskiej, chocimskiej, wiedeńskiej, patrzcież dziś na mnie z dumą i radością! jam się dał wziąć po rycersku w niewolę i sprzedawać jak bydło na targach, jam nakarbo- wał kilku sąsiadów walecznie, jam się nakoniec odważył wziąć sobie babę do domu, a teraz śpiewa mi dusza moja wielki tryumf uczynków moich! Patrzcież na mnie i cieszcie się z nowego goz-

dawity rycerza, a ty mularzu muruj mi grób murowany, rzeźb mi wieńce i zbroje snycerzu, pisz epitalamium poeto! Pisz, niechaj wie kiedyś potomność o wielkich ojcach swoich, którzy żyli za Sasów, niechaj zna ich żywoty, niechaj widzi ich czyny i niech się uczy. Smutno jest, Panie! rycerskiemu dziecku przyjść w takie czasy na ziemię, smutniej jeszcze czuć duch w sobie pragnący pomieszkania w pancerzu, a być przymuszonym mieszkać w sajetowym kontu - szu, siedzieć w grabowej alei pod lipą i mieć samych swoich i przyjaciół dokoła! smutno — iw zapomnieniu nieraz człek się uderzy po ręce i zaboli go, bo tam sukno nie karwasz, i w zapomnieniu pójdzie z łotrykami wojować na kresach, a powróciwszy, posiecze sąsiada lub przyjaciela... ale ja głupi! ja głupi! — mówił łowczyc do siebie, — Panie! dziękuję Ci, że w tej mojej głupocie mam choć czyste sumienie.

Na to wbiegł stolnikowicz do niego. Ale u stolnikowicza inne teraz były myśli, inne uczucia. Nie miał on jednej jakiejś żądy wielkiej, któraby w dzień i w nocy, w smutku i radości nad nim panowała, któraby jak jedna gwiazda wielka przyświecała jego całemu życiu, dla której służba byłaby główną i jedyną jego duszy rozkoszą; ale rozerwany na miliony cząsteczek, żył on każdemu dniowi, każdej chwileczce i z równym prawie zapalem przyjmował wielkie i małe uśmiechy tego żywota, na którejkoľwiek go drodze spotkały. I zawsze dość mu było jednego takiego uśmiechu, i mając jeden, mało dbał już o wszystkie inne. Kiedy się cieszył kwiatkiem świeżo pod jego oknami rozkwitłym, nie odwracał głowy od niego, choćby w innój stronie deszcz złoty padał na jego niwy; kiedy mu doniesiono, że stado dzików w jego lesie zasiadło na leżę i on już flintę zdejmował z kolka, aby za niem polecieć, byłby płakał z żalu, gdyby w tej chwili surma się odezwała i dała znać, że za kopcem jest najpiękniejsze stado Tatarów — i tak było zawsze i ze wszystkióm u niego. I dlatego dzisiaj cały promieniał miłością i tylko miłością a kiedy porwał łowczyca w ramiona i jął mu opowiadać swoje szczęście i swoje rozkosze, to niedługo mogły się tamtego już trzymać one smutne dumy rycerskie, a w kilka pacierzy stał się i z tego bole- sławowskiego żołnierza kupidynek maleńki, podający łuk i strzały miłośnikowi. Kiedy Bobowski kochał, to wszystko musiało kochać naokół niego, wszystko śmiać się i cieszyć, — i tak śmiał się już i cieszył i kochał się z nim i pan łowczyc aż do samej niedzieli.

W niedzielę miały się odbyć zrękowiny na balogrcdzkim zamku. Jakoż tego dnia już od rana skrzętne tam ku temu czyniono przygotowania. Gotowiono wina w piwnicy, przysposabiano potrawy w kuchni. Podkomorzy nie spodzjował się wiele gości, ale sam się chciał cieszyć do woli. Pomimo to jednak i goście się Pojawili. Przyjechał chorąży z Bereski z całą swoją familią, byli bracia ślubni obadwa, był pan Krajewski ze swoją magnifiką, był

?

nakoniec i pan Urbański z Jabłonek, z którym razem przyjechali Bartek i podkomorzyc.

I odbył się ten akt z wielką przyzwoitością i pompą. Po obiedzie, przy którym pito tylko do miary, wszyscy się zeszli w bawialnój komnacie. Tam kapelan miał stosowną przemowę, zamieniono pierścionki, a po ich zamianie nastąpiły błogosławieństwa, powinszowania i podziękowania. Naznaczono ślub na dzień czwarty miesiąca października, jako aniwersarz podkomorzego. I było bardzo wesoło, o trochę się ta wesołość była zachmurzyła, bo podkomorzy po tym akcie wyniósł ze swojej kancelaryi świeżo co uczyniony testament, mocą którego przeznaczył Barbarce Balogród, Wincentemu dobra w ziemi halickiej, gotowizny zaś i wszelkie wielkopolskie spuścizny zostawiał do równego pomiędzy nich podziału; ale kiedy się przekonano, że testament był dlatego tylko czytany przy gościach, aby uniknąć pisania interczyzy, dawna wesołość znów powróciła i osiadła w sercach i na twarzach wszystkich. Bartek i dzisiaj także grał swoją wczorajszą komedią i nieraz aż szalał od wesołości; ale już dzisiaj, kto go uważał pilnie i wiedział, że i samobójcze wystrzały nieraz uśmiech szalony poprzedza, temu ta wesołość jego łatwo mogła się widziść podejrzaną. Ale któżby tam na to uważał!

Wkrótce potem, kiedy się już zabawiano li samą rozmową i po trochę kielichem, głośny turkot powozu zajeżdżającego przed ganek zapowiedział nowych gości przybycie. Wszyscy bawiący się w wielkój komnacie poczęli zgadywać, ktoby to mógł być taki, ale nikt nie zgadł!

Podczas gdy bowiem z kolei najróżnorodniejsze wymieniano nazwiska, weszli obadwa Dziańottowie do sali. Już znalezienie się starego Dziańotta było dość dziwne, bo nie umiając trafić na właściwy tytuł podkomorzemu, i tytułując go jw., to jmc panem podkomorzym dobrodziejem, to kochanym sąsiadem, wyglądał jak ten, który pnie się do równości z panami a sam czuje w sobie, że mu to nie do twarzy — ale Pakosz daleko jeszcze większą uczynił sensację. Widziano wprawdzie już strój francuzki na, Bartłomieju, ale złożywszy go nakoniec na. to, że Bartek całą młodość przeżywszy w Paryżu, przyrósł poprostu do peruki i sukni obcisłej, wzięto to za szczególny przypadek i zaprzestano się mu dziwować; bogatemu zresztą paniczow<sup>1</sup> i pomiędzy wielu in- nemi i to mogło uchodzić: ale syn chudego szlachcica, mieszkający dla promocyi i chleba na bruku warszawskim, przybrany w fioki zamorskie, stał się odrazu dla wszystkich przedmiotem pogardy i otwartego szyderstwa. Jakoż nawet i podkomorzy, który zwykł był patrzeć na wszystko ze strony poważnej i nie lubił się z niczych słabości natrzęsać, tutaj przecie rzekł otwarcie do pana Dziańotta:

— Bardzo mnie to kontentuje, że jegomość dobrodziej, nacieszywszy się syna powrotem, w tóć szczęściu swoim nie zapo-

umiałeś i o mnie; ależ u milion milionów, jakże wychowujecie te dzieci? Czy chcecie nas już z kretesem zfrancuzić, czy zniemcz)^? Mości panie! bardzo to ładnie, że syn pracuje w biurze pana ministra i że się drapie od razu do pszennego cieleba, bo go w czasie będzie mógł i drugiemu udzielić; ale kiedy do tego droga idzie przez patynki i peruki, to pal diabeł taki chleb pszenny! Mnie, jak mnie Bóg miły, kiedym mego synowca z takim owo ogonem obaczył, rzewne łzy w oczach stanęły, bo bodajbym kłamał jak Żyd albo Cygan, ale przez skórę czuję, do czego to nas prowadzi! Ale proszę mi darować, mospanie sąsiedzie, to moje kazanie, — kończył pan podkomorzy, — staremu to wolno i mówię to z serca do waszeci.

Zgodność w tej opinii z panem Karsznickim malowała się na twarzach Avszystkich obecnych, a niektórzy nawet wcale się nie bali ję i głośno potwierdzać, pan Urbański, obejrzawszy Pakosza ze wszystkich stron dokumentnie, rzekł prawie głośno: -<sup>1</sup>- Jak małpy, mospanie, wyglądają z temi ogonami.

Takich jeszcze kilka komplementów spotkało Pakosza i uczył on tutaj już po raz wtóry, że się źle wybrał imponować szlachcie swoim rozumem i strojem, i zapewne musiał ztąd dla siebie jakąś na przyszłość wyciągnąć naukę, bo nauka to pożytek, a jego wszystkie siły pracowały li na pożytek; — jakoż stracił on zaraz humor i fantazyą i nie wiedząc gdzie się podziać i co zrobić ze sobą w tak obszernej komnacie, całą nadzieję oparcia się położył w Bartku i na niego zwróciwszy uwagę, do niego też się począł pomału przybliżać.

Bartek, raz tylko okiem rzuciwszy na Pakosława, poznał nieomylnie co to jest za figura, a sącił jego był o tyle pewniejszy, ile że on nie tak jak tamta szlachta, która dziwacznością powierzchowności uderzona, z stroju tylko sądziła i właściwie przeciw strojowi tylko się oburzała. — on znał ten strój daleko lepiej niżeli żupany i kontusze, i widząc dobrze pod strojem człowieka, jego sobie osądził. A osądziwszy, zaraz też się od niego odwrócił. Bartek bowiem był arystokratą z serca i przekonania, i nie dosyć na tem, że człowiek wedle niego poczynił się dopiero od szlachcica krwi czystej, ale i ten szlachcic jeszcze, jeżeli miał na sobie jakieś obowiązki służebne, których się nie przez zasługi rycerskie dorobił, albo był już tylko od kogo innego a nie od samego króla zawisłym, — była to licha figura, i - jego towarzystwa niegodna. Z takimi ludźmi, krom wtenczas, kiedy ich usługi potrzebował i za te usługi im płacił, nie miał on nigdy nic do czynienia — i inną rązą pewnieby nietylko był nic nie mówił do Pakosława, ale nawet byłby mu się nie odkłonił, jak chłopu albo Żydowi. Teraz atoli bardzo wyjątkowe zachodziły okoliczności. A pierwszą z nich było to, że Bartek, lubo sobie był dość upodobał w fantazyi i chrobrości sanockiej szlachty, jednak tak już był syt ich rubasznej, zamaszystój rozmowy i takiej ze samej kom-

panii, że byłby już nawet i gamena paryzkiego w szczerze pochwycił objęcia, gdyby mu się był nagle pojawił; powtórze, że takie przyjęcie Pakosza, którego przecie swym strojem trochę do niego przemawiał, choćby tylko na złość tej szlachcie, której poczynął nie lubić, rad był mu choć ze swej strony nagrodzić; a nakoniec, że w tym momencie tak go już dusiło to granie komedyi przed domowymi, przed gośćmi, a podobno i przed samą Barbarką, że rozgadanie się z kimkolwiek obcym o przedmiocie zarówno obcym, zbawiennem, a nawet upragnionóm być mogło dla niego lekarstwem. Kiedy więc Pakosz po długim krążeniu i mimowolnym nieśmiałości swej okazaniu, co się jednak dość podobało Bartkowi, wreszcie się przybliżył do niego i przemówił, a do tego jeszcze przemówił w języku francuzkim, Bartek wcale grzecznie mu odpowiedział, i zasunawszy się w kącik, w żwawą się z nim zapuścił rozmowę.

Przy piór wszem wprowadzeniu Pakosza wspomnieliśmy o tem, że miał rozum, a przy rozumie, jako od lat tyłu już ocierającemu się o świat ogładzony, nie brakło mu także i na onej ogładzie, której natenczas naprózno by ktoś był szukał i u najoświecześniejszych na prowincyi, a której brak tak mocno się dawał ucywać Bartkowi; rozmowa tedy pomiędzy tymi dwoma panami ożywiła się coraz bardziej, a w krótkim czasie stała się już tak głośną, że ani wątpić można było, że Bartek całe w tój chwili o lichocie figury Pakosza zapomniął.

O czóm się właściwie ta rozmowa toczyła, trudno było do- słyszyć; to jednak pewna, że była tak żwawą, że pan Krajewski ją zauważał i oczy wlepiwszy w mówiących, rzekł do swego sąsiada:

— Panie bracie! zdaje mi się, że po zamorsku gadają.

— A jakże chcesz! — odpowiedział sąsiad, — przecie słyszysz.

— No! — rzekł tamten — pewnoż tam nas muszą mleć na tych pytlach francuzkich! hej! żeby to wiedzieć.

— Et! daj pokój; psie głosy nie idą w niebiosy.

Ta uwaga jednak, lubo ją dobrze słyszeli mówiący, nie przerwała im ich zabawy; Bartek tylko spojrzął z pod oka na pana podczaszego i mówił dalej, ale kiedy Wincenty, mocen francuzkie- go języka, zaczął coraz bliżej krążyć koło nich, wyprostował się na swojej kanapce i rzekł do Pakosza:

I -r- Mais wraiment vous me racontez des choses si curieuses o tej naszój Warszawie, że ja nie mogę wyjść z podziwienia.

Na to Pakosz wyjął chustkę z kieszeni i obcierając nią twarz zapoconą, rzekł niby od niechcenia:

— Ach tak tu gorąco...

— A! prawda! — odpowiedział Bartek, — dobrze tym panom, którzy mając tak sute wyloty i zarzucając je co moment na plecy, chłodny wiatr koło siebie podnoszą, ale my... mais savez-vous,

jest tu ogród pod zamkiem, w nim tak chłodna aleja, jeżeli pan pozwolisz

— Z największą chęcią,—odpowiedział Pakosz, i powstawszy, wynieśli się obadwa ci panowie z komnaty.

Wszedłszy w ciemną, gałęzistymi grabami ocienioną i w kształt gotyckiego okna gładko wyciętą aleję, Pakosław długi czas się rozwodził nad dzikością i barbarzyństwem tój szlachty, która na wsiach siedzi; śród tej perory jednak często rzucał okiem na Bartka, i zdawało się tak, jak gdyby mu wcale nie chodziło o to, co teraz mówił, jedno jak gdyby od Bartka wyczekiwał zwrotu rozmowy do innój materyi. Bartek tóż wcale nie słuchał tego, co Pakosz mówił, jeno głowę ku ziemi spuściwszy, chodził równo ze swym towarzyszem i o czemś myślał, ale myślał z takim zajęciem że nic przed sobą nie widział i każdą razą przy końcu alei nie piórwój się nawrócił, póki go jasność czystego pola nie uderzyła i nie napomniała, że już jest za aleją. Nareszcie ocknął się Bartek i przytrzymałszy Pakosza za klapę sukni, rzekł głosem czystym i stanowczym:.

Słuchaj pan, panie Dziaott. Ja jestem człowiek otwarty i prędki, i gdzie idzie o rzecz, nie lubię długiego gadania. Paneś mi kilka takich słówek rzucił o stolnikowiczu, o podkomorzym,

O pannie Barbarze, że się muszę pana spytać otwarcie: czy wiósz pan co także i o mnie, czy nie?

— Wiem, panie hrabio, — odpowiedział Pakosz i zażył tabaki.

— Cóż pan wiósz? — spytał tamten.

— Wiem że się pan hrabia kochasz w pannie Barbarze i że jesteś odsądzony przez Bobowskiego,—  
odpowiedział Pakosz i znów zażył tabaki.

— To pan wiesz! — rzekł w pół do siebie Bartłomićj, a zamyśliwszy się trochę, dodał: — nó! i cóż z tego?

— Teraz...— mówił Pakosław, zwolna wzruszając ramionami

I prowadząc Bartka w głąb dalszą alei — teraz... zapewne, że już nic z tego, ale gdybym był miał honor poznać pana hrabiego przed ośmiu dniami, przed czterema tylko!...

— To co?

— Je vous donnę ma parole — rzekł Pakosław stanowczo— że dzisiaj byłbyś pan hrabia mieniał pierścionki, ale nie Bobowski.

Na to Bartek uśmiechnął się nieznacznie i głowę opuściwszy ku ziemi, milcząc, przeszedł całą aleję obok Pakosza, potem zaś popatrzywszy mu w oczy, rzekł:

— Albo pan jesteś frant, wy szlifowany pod ręką pana ministra i wyćwiczony na warszawskich intrygach, albo... kat pana wie! Zkąd pan wiósz o moich stosunkach do panny Barbary?

— Ja .wszystko wiem, panie hrabio, co się dzieje i jeszcze raz ręczę panu, że gdybym był tylko przed czterema dniami po

znał pana hrabiego, cała rzecz byłaby inny wzięła kierunek... ale teraz już późno... il faut battre le fer, quand il est chaud, ale teraz już wy chłodło. A szkoda! byłbym tak za łeb wziął pana Józefa, że byłby się stopił w moich rękach. Szkoda!

— Pan mi mówisz takie rzeczy — rzekł na to niecierpliwie Bartłomiej, — że ja ich nic a nic nie rozumiem. Powiedz mi pan otwarcie, jakie środki pan miałeś do zepsucia tego mariażu ? Daję słowo, że nikomu nie powiem, a może jeszcze coś da się zrobić. A gdyby nawet już nic nie zrobić, to żeby choć temu psu dać się we znaki...

— O! panie! — rzekł na to. Pakosz, kładąc rękę na piersi—że mu gorzko przyjdzie zapłacić to ożenienie, to już za to rękę!

Bartek znowu chodził przez chwilę milcząc i ciekawem na Pakosza rzucając okiem, potem zaś rzekł:

. — Nic nie rozumiem... cóż pan możesz mieć do niego?

— Daleko więcej, niżeli pan hrabia. Zachodzą tu pewne okoliczności, o których niema już co i mówić...

— Ale ja tego nie rozumiem, dlaczego pan się z tem taisz przedemną! ja panu daję słowo; czy pan nie wiesz, co to jest słowo? — spytał ostro Bartłomiej.

— Wiem, panie hrabio — odpowiedział Pakosław — jeżeli

0 to chodzi koniecznie, mogę nawet powiedzieć, ale to już się na nic nie zdało...

— No, ale cóż panu na tem zależy?—rzekł Bartek.

Wziął tedy Pakosz Bartłomieja pod rękę i długo mu coś opowiadał — ale gdy skończył, Bartek odstąpił o krok dalej od niego i patrzył mu w oczy z szyderstwem, a nawet z pogardą.

Pakosz się nie mógł połapać, co właściwie się stało; on już tak był oswojony ze swoją podłością i tak przejęty pewnością jej każdorazowych pożytków, że nawet nie mógł pojąć, że jest ktoś na świecie, któryby nią w razie potrzeby pogardził i dla przekonania Bartka o prawdzie tego, co mówił i myślał, chciał jeszcze dalej coś mówić, ale Bartek rzekł na to:

— Dziękuję panu bardzo za jego przychylność dla mnie, ale tą razą, sam widzę, że na nic mi się ona nie przyda.

— To może później kiedy, ja zawsze pragnę być wiernym sługą pana hrabiego...—mówił Pakosz z ukłonem.

— Nie, zostawiam panu tutaj tych zagonowych rycerzów, rób pan sobie z nimi co się podoba. Ja jutro jadę.

To rzekłszy, Bartek począł rozmawiać o obojętnych rzeczach

1 pomału zaprowadził się nazad z Pakoszem na górę.

\* \*

\*

W kilka dni potem Bartek uparł się już stanowczo i pomimo próśb i nalegań całej podkomorzego familii, z Balogroda wyjechał;



przrzekł, wprawdzie, że w krótkim czasie znowu stryja nawiedzi, jednak nie ugodziwszy się tutaj o podział owej wielkopolskiej spuścizny, wymówił sobie to, ażeby wpiórw Wincenty przyjechał do niego i te sprawy tam pozałatwiał.

I tak pozbyła się ziemia sanocka już jednego młodzieńca, odpowiadającego oświatą<sup>woją</sup> Europie ówczesnej, — ale czy się go pozbyła na zawsze, tó dopióro przyszłość okaże.

XT.

Kto miał więcej serca, my czy dziadowie nasi przed stu i więcej latami żyjący? Jest to pytanie, które traktowane gruntownie, obustronnych motywów swoich taborem mogłoby książkę całą zapełnić. Znając już nawet wszystkie tej i tamtej strony dowody, nie takby łatwo było z ostatecznym sądem wystąpić, jak się to zdaje na oko. Starzy oczywiście mają swoje vota za dawnymi wiekami, ale ich zdanie nie jest tu wiarogodnym, bo oni przez olśniewające ich oko promienie dzisiejszego rozumu nie są w stanie do głębi naszego serca zaglądnąć: młodym zaś dałoby się zarzucić, że nie pojmują uczuć minionych wieków. Bądź co bądź, jednak to niezawodna, że jeżeli starzy nie umieli czuć tak wszechstronnie, tak subtelnie, a nakołaec tak nad uczuciami rozmyślać i po rozmyśle nad nimi panować; to my znowu może, poczynając sercem pracować zawczasie i rozstrzeliwając je na miliony cząsteczek, nie umiemy czuć tak głęboko, nie umiemy działać już prosto ze serca i nie umiemy się tak dzielić naszymi uczuciami z sąsiadami i bracią, jak to umieli starzy. A serce?... serce nasze, jeżeli się zerwie, ażeby nas rzucić do nóe ubóstwionej kochanki, to jeszcze i tutaj prędzej zrywa się rozum, zatrzymuje nas i zaprasza na chwileczkę namysłu. Pokazuje się tedy ztąd, że jeżeli starzy mieli więcej serca w sobie, to my go mamy więcej dla siebie. Starzy sercem dokonywali wielkich czynów, wzbierali niem jako morze, podnosili się aż pod gwiazdy, ale też i upadali z pod gwiazd iapowrót na ziemię, a wielkie ich czyny nieraz wielką przynosiły im szkodę; my sercem naszym do niczego się nie zrywamy, nie spełniamy niem wielkich czynów, nie przynosi ono nam

wielkich pożytków, ale też nie przynosi i szkody. Nasze też życie zaczyna się robić podobnym do wielkiej rzeki, która ma obmurowane brzegi, głęb niezmierną, szerz rriepreścignioną. oczjrma, nie możemy się tóż nadziwić onym statkom olbrzymim, które po niej pływają, onym młynom żelssznym, które jej poruszone wodami na równo drobny pyłek miały zboże, kamienie, kości i ludzi; nie możemy się nadziwić jej głębi, która przezroczystością swoją nieodgadnioną dotąd okrywa nam tajemnice natury; jakoż po wielkość, po pożytek, po szybkość, po wszystkie nakoniec siły do tej rzeki się spuszczać będziemy i ona da nam to wszystko; ale po wzniosłość i piękność, i jutro, i za lat sto i dwieście, zawsze jeszcze będziemy chodzić do starych.

Tu leży przyczyna, dla której my, pomimo naszych sił i rozumu, tak zawsze mali się czujemy przy naszym ojczym, przyczyna dla której tak nam nieraz czczem się wydaje to życie, dlaczego nas nieraz tak śmiertelnie opanowują nudy, dlaczego, pomimo tak gęstego rojenia się ludzi na około nas, tak się zawsze czujemy samotni, dlaczego nakoniec nawet książki o nas piszące tak śmiertelnie są. czcze i nieraz nudne, dlaczego te książki, pomimo swego rozumu, mądrości, sztuki, zyskują nieraz ogromną sławę, ale nigdy nie zyskują miłości, ale my powracamy do rzeczy i powiadamy tjdko, że już nie umiemy tak podzielać się naszymi uczuciami i sercem, jak to umieli starzy.

Najwidoczniejsze też to było, kiedy podkomorzy miał wydać swą córkę. Ślub miał być dnia czwartego października, a od połowy września już czyniły się przygotowania do tego na balo- grodzkim zamku. ' I była to nie mała robota. Podzielono też się nią, ażeby jedno nie zawadzało drugiemu, i aby wszystko się wi- nęło jak z płatka. Podkomorzy tedy wziął pod swoje rozkazy wewnętrzne odnowienie pokojów, poodczyszczanie sprzętów i makat, których drugą połowę teraz przywieziono z dóbr ruskich, powy- gładzanie posadzek, uregulowanie obrazów a nadewszystko zwierciadeł, ażeby, kiedy światła w nich rozgorzą wśród nocy, sztuka podwoiła ich świetność i blaski. Podkomorzy też sam się zajął piwnicą, i posprowadzawszy swoje wina pozostawione na dawnym dworze, a dokupiwszy do tego wszystkiego kilkanaście antałów z Węgier, przez dni kilkanaście, ile mu tylko czasu zostawało ód urządzania pokojów, wszystek przesiadywał w piwnicy, a jak tą wszystką robotą był zajęty od serca, widać było ztąd, że nie mało dni było takich, w których ani razu nie zaglądnął do swojej ptaszarni. A nie wyręczył go w tem nawet i ksiądz kapelan, bo ten znowu, jako architekt uczony z książek i wielkie tej sztuce ćwiczenie z doświadczenia mający, prowadził berło nad mularzami, którzy tynkowali stare dziury zewnątrz zamku, naprawiali poobijane gzymsy, bielili stajnię i inne budynki, starą bramę przerabiali na nową. Nadto wszystko jeszcze stawiał kapelan na prędcie ogromną szatę za zamkiem, zdała od gumien i stodół (co mu dora

działa przezorność), w której to szatrze po obudwóch stronach poczynił stajnie dla koni gościnnych, w środku zaś wykleił osiem maluczkich izdebek dla takich gości, którzy będą z żonami i z dziećmi, a dla których miejsca nie wystarczy już w zamku. Stajnie choć tak budowane dorywczo, pozaopatrywał kapelan w drabiny i żłoby, w żłobach nawet nie pozapominał kazać dziury powiercić dla przywiązania przez nie uździenic, - do izdebek zaś kazał poczynić tapczany i łóżka, nie ozdobne i piękne, ale gładkie i wygodne, osobliwie też wzgląd miał na to, ażeby nogi w nich były mocne, bo był człowiek przezorny. Te obowiązki przypadły na niego- z podziału, ale duch jego zanadto był czynny, ażeby miał na tem tylko poprzestać, co naó z obowiązku przypada. Wynałazł on tedy sobie jeszcze i inną robotę, a to imiał ptactwo leśne, o tej porze właśnie najlepiej oblane, ażeby też była dla gości i delikatna zwierzyna. Więc codzień ten staruszek wstawał równo ze świtem, szedł w las gęsty jodłowy i wypatrzywszy tam one ścieżki, które przez pasterzy wydeptywane, także kurkom dzikim, jarząbkom a nawet i kuropatwom do przechadzki służą, — na nich siłki zastawiał. Miał on tedy ku temu gotowe już kabłąki, z laskowego strugane drzewa, z tych kabłąków, wtykając je obu dwoma końcami w ziemię, nad onemi ścieżkami na poprzek formował bramki, u tych bramek u góry wiązał mocne z końskiego włosienia plecione siłki, które otworami swojemi wisząc w pośrodku bramki, prawie aż do ziemi sięgały; jednakże zawsze uważał na to, ażeby te otwory nie były zanadto wielkie, boby się żaden ptak w nie nie ułowił. W tómże samem miejscu u góry bramki, w których kapelan końce siłek uwiązywał, były także grona jarzębiny lub innych jagód, a to tak, ażeby najpoważniejszą swą częścią w środek otworu siłki wpadały; więc ażeby ten ptaszek., któren głodem albo łakomstwem skuszony przyjdzie i zacznie szarpać mocno przywiązane jagody, głowę ku temu przelożywszy przez siłkę, przy cokolwiek mocniejszóm. szarpnięciu włosień ściągnął i na łowię pozostał. Takich zdradnych sieci na niewinne ptaszęta pozastawiał kapelan po kilka na ścieżce, a ścieżeczek takich wyszukanych miał kilkanaście; więc jaka to żmudna praca była dla niego, każdy łatwo zrozumie, a tem żmudniej sza, że wszystkie te miejsca siłkami osadzone, musiał dwa razy co dnia obchodzić: rano, aby popsute bramki ponaprawiać i zer świeży założyć, wieczór, aby ofiary swoje wyjmować. I wiele tam kurek kapelan tą misterną sztuką nałowił, nie umiemy powiedzieć, ale to w kilka dni po weselu pokazało się, że kilkanaście szkap podkomorskich, dostarczając na siłki włosienia, prawie całkiem postradało ogonów-. Pani podkomorzyna także miała zakręt niemały, pod jej opieką i dy- spozycją bowiem cała kuchnia została, a urządzać tak najprzód rzecz całą, ażeby potem dnia jednego nagie wydać obiad na osób sto kilkadziesiąt lub dwieście i jeżeli Bóg da, potom też same osoby żywić jeszcze przez jaki tydzień albo wyżej, to była rzecz

niełatwa onego czasu, niełatwa i dzisiaj, Miała wprawdzie matce w tem zatrudnieniu pomagać Barbarka i przyrzekła to nawet, ale nie dotrzymała; na nieszczęście bowiem oddysponowano już naprzód dwie izdebki na zamku, które miały państwu młodym służyć na dni kilka za pomieszkanie po ślubie i Barbarka tak się urządzeniem i upiększeniem tych izdebek zajęła, że całe dnie nad tórn trawiła.

Na próżno perswadował jój ojciec, że krajać z całych sztuk adamaszek na to, ażeby nim ściany wybijać takich pokojów, które mają służyć za pomieszkanie li przez dni kilka, nie jest rzecz gospodarna; napróżno prosił, żeby nie kazała wybijać posadzki makatą taką, którój szkoda pod nogi, napróżno nareszcie sprzeciwiał się temu, żeby drzwi nie wybijać w ścianie takiej, która i tak jest zasłaba i tylko cudem Bożym stoi w całości; napróżno — ona na to nic nie zważała i wszystko urządziła podług swojój woli. Oprócz tego miała jeszcze Barbarka niemałe zajęcie i z swoją wyprawą; bo lubo wyprawy tej nie potrzeba było teraz szyć lub przerabiać, jednak składała się ona z mnóstwa różnych rzeczy, a Barbarka chciała wiedzióc o wszystkióm. Była tedy najpierwej skrzynia pełna domowych sreber, pomiędzy któremi: wazy, talerze, półmiski, a że u rodziców prócz tego jeszcze więcej zostało niż drugie tyle, przeglądała ona tedy każdą sztukę z osobna, porównywała z takąż samą w demu rodzicielskim pozostającą i jeżeli ta była lepszą lub mis ter niej szą, uważała za potrzebne ją za swoję wymienić. To samo czyniła ze sztukami materyi, z dywanami i makatami, z koźmi, bydłem i domowemi sprzętami, to samo z półsetkami płócien, z naczyniem kuchennóm i ze wszystkiemi innemi dostatkami, które jój przeznaczono.

— Tój kobyły nie chcę,—mówiła ona do ojca, odbiórając naprzód swą własność, — stara jak świat i nie miała żadnego źrebicia. Niech mi ojciec za nią da tę skarogniadą, co jest po Pamfilu i po Waryatce. Tego źrebca także nie wezmę, wążki w piersiach i już raz się wyleczył, a to się z czasem odezwie. Do wozu tego, kiedy go mam już brać koniecznie choć stary, niech ojciec każe choć to koło dać nowe, bo przecie nowego gospodarstwa nie będę zaczynała od reparacyi.

Ojciec tylko słuuchał i przypatrywał się córce z upodobaniem, a co kilka jej wybródných wyrzutów, głaskał ją po twarzy, mówiąc:

— Oj! ty, ty, ty gospodymi! to to będzie miał mąż z ciebie pociechę!

Ale nie dosyć na tórn, że ta spodziewana mężowska pociecha tak pilnie swój inwentarz lustrując, co gorsze sztuki wymieniała za lepsze, starała się ona bowiem i oprócz tego, co jej oddano, wszystko to jeszcze, o- czem myślała, że jój się przydać może w jój gospodarstwie, zaraz zabrać, albo przynajmniej dla siebie zamówić. Ile też razy przyjechał do Balogroda pan Józef,

a przyjeżdżał prawie codziennie, zawsze ona z krzykliwą wyskakując do niego radością, brała zaraz, sama pod ramię i oprowadzając go po pokojach, stajniach i całym obejściu, ciągle wypytywała: — A jakie tam u waszmości pokoje? jakie stajnie, jakie w nich konie, jaki dobytek? jak sprzęt w domu i jakie wszystko? — a o czymby się tylko domyśleć mogła, że braknie, zaraz przedstawiała to ojcu lub matce i brała, bo u podkomorzyna znalazło się wszystko.

Więc nie miała czasu Barbarka pomagać matce w jej kuchennych zajęciach i stateczna ta pani musiała już sama wszystko zrobić i o wszystkim pamiętać. Jednakże cokolwiek pomagał jej w tem podkomorzyc. Przy podziale prac przedweselnych (poweselnie niestety wszystkie przyjąć musiał na siebie sam stolnikowicz!) włożono na Wincentego obowiązek zaopatrzenia spiżarni we wszystko, czego by wymagała pani podkomorzyna. Do niego tedy należało dostarczyć mąk przednich na delikatne pieczywa krup, cukrów, korzeni, bakalię i wszystkich innych kucharskich cementów, za czem wszystkióm sam jeździł aż do Pilzna (Pilzno było natenczas miastem powiatowóm i bardzo handlowóm); do niego należało dostarczyć konfektów i owoców, których nie było w domu, ryb, za którymi trzeba było posyłać do Węgier, i zwierzymy, na którą trza było zapolować. Dostarczywszy tedy tego wszystkiego i nasprawdzawszy kucharów, kuchtów i cukierników, pomyślał o polowaniu. I urządził łowy wielkie na sam święty Michał, a ażeby ci goście nie przeszkadzali zajęcióm domowym, przyjmował podkomorzyc całe myśliw<sup>T</sup>stwo we dworku w Bystrem, wiosce do balogrodzkiego państwa należącej i o małe ćwierć mili od Balogroda odległej. A kiedy na to polowanie zjechało się przeszło trzydziestu samej, szlachty, nie licząc w to strzelców, służby i innej łowieckiej czeredy, jakież to zjazd być musiał na samo wesele!

Jakoż rzeczywiście na dni kilka już przed świętym Franciszkiem ruch był taki w całej sanockiej ziemi, jakby się miano wiązać w konfederacyą, albo wychodzić na wojnę. Po wszystkich dworach i dworkach prano bielizny, szyto suknie, strojono fioki, sprzęgano konie, czyszczono wozy i nie mówiono o niczem innem\* tylko o balogrodzkióm weselu. Ruch ten i takie zajęcia się tym zwyczajem i pomimo znakomitości i zachowania ze sobą łączących się domów, wcale zresztą nie osobliwym wypadkiem, należy w części przypisać onój znanej skłonności szlachty do biesiadnictwa, która ją ogarnęła za Sasów; daleko więcej jednak nęciło ją jeszcze na tę biesiadę otwarte podkomorzego serce i progi, miłość dla stolnikowicza i jej własne uczucia, radujące się szczęściem swych bliźnich; bo nakoniec jazda na taką fetę o mil kilka lub kilkanaście, po takich drogach, które psy omijają ścieżkami, jadła i napoje w takim zgiełku, ścisku i wrzawie, mnóstwo zresztą niewygód i niejedna szkoda z takiej wynikająca podróży, nie miały nic tak

bardzo powabnego w sobie; ale radość i szczęście dwóch rodzin, to był powab właściwy, któremu się nie mogło oprzeć żadne serce sąsiedzkie.

Jakoż pomimo to, że dzień świętego Franciszka wypadł do- pióro w niedzielę, w piątek wieczorem już kilka powozów się pojawiło na zamku, przez całą sobotę co godzina prawie nowi wjeżdżali goście, a w niedzielę już od samego rana podkomorzy prawie ani na chwilę nie mógł s<sup>ę</sup> ruszyć z pod kolumn, bo co chwila gość jakiś zajeżdżał. Rano też zaraz przyjechali i bracia ślubni.

Pan stolnikowicz miał na sobie dnia tego żupan biały jedwabny, po którym porzucane były złote muszki dziwnie misternej roboty; pod szyją miał spinkę tak lśniącą ognistą, że jój na żaden sposób nie można było dotrzymać wzroku, był to bowiem soliter wielkości dorodnój fasoli, okrążony brylantami wielkości ziarn soczewicy. Ta spinka była najdroższą sztuką, przechowywaną w skarbcu jego domowym i miała pochodzić jeszcze od onego Zygmunta z Bobowy, który chorągwią Gryffów bijął Niemcy na cześć Władysława Jagiełły, a potwierdziła to gruba i staroświecka jój oprawa i na spodnim guziku wryty rok 1410. Na wierzch miał pan Józef kontusz sajetowy prawie purpurowego koloru; kontusz ten był staroświeckiego kroju i na szwach już dobrze wytarty; ale była to pamiątka droga i właśnie na taką uroczystość stosowna, miał go bowiem ojciec nieboszczyka stolnika na sobie, kiedy na elekcji króla Michała, jako kasztelan sanocki, przewodniczył swej ziemi. Kontusz ten był podszyty białym, ciężkim jedwabiem, guzy miał z wielkich granatów w srebro czyste oprawnych, a na podszewce przy brzegu pod lewą połą był podpis, czarną nicią wyszyty: Michałek fecit Varsoviae 1667. Na biodrach miał pan Józef pas, prawie z samego brantownego złota utkany i tak ciężki, że go nawet lada kto nie mógł nosić, boby mu były biodra omdlały od jego wagi. Pas też ten nie był tyle do noszenia, ile do figurowania w bogatej garderobie; dostał tóż go nieboszczyk stolnik od księcia Michała Radziwiłła w prezencie, kiedy jego trzech wiosek położonych pod Lwowem od napaści panów Antonowiczów, nieznanymi księżęcym plenipotentom dokumentami, na trybunale lubelskim obronił. Do tego wszystkiego ubierały pana Józefa buty żółte na srebrnych podkówkach, własnoręcznie kupione w Krakowie, szabla w srebrnej pochwie z rzeźbą i rękojeścią w perły i kamienie oprawną, i czapeczka biała, rogata, z kasztankiem i czaplem piórkiem, które także spięte było soliterem w brylanty oprawnym, ale już nie tak wielkim jak ten, który był pod szyją. Tak ubrany, przyjechał pan stolnikowicz karetą, z dwiema po bokach szybami, co było wielką rzadkością na one czasy i niemałe obudzało zdziwienie. Kareta była malowana zielono i żółte miała po wszystkich brzegach obwódki, a na wszystkich czterech jej rogach u wierzchu stały ptaszki misternie z drzewa wyrzeźbane i pozłoczone; brzegi zaś były osadzone galeryjką, która wyobrażała liście

zielone złotemi przeplatane jabłkami. Pudło to spoczywało na czterech kolosalnych sprężynach i mając pod sobą cztery ogromne koliska, było od ziemi tak wysoko, że sześć stopni wprowadzało do jego drzwiczek, kozioł atoli przed nióm był jeszcze wyższy i jeżeli sama karetą wyglądała jak mały kościółek, to kozioł doskonale przedstawiał dzwonnice. Na tym koźle siedział stary wąsaty woźnica, który służąc jeszcze u nieboszczyka stolnika, sam tylko jeden umiał wozić tę ogromną landarę; pomiędzy kozłem a nim, jego obudwoma rękami trzymając się fca ramiona, stał młody i smukły chłopaczek, po węgiersku od samego złota ubrany; za karetą zaś na desce malowanej na czarno, rękami się trzymając rzemieni do pudła przymocowanych, stało dwóch pajuków, ogromnych wzrostem, w hajdaw<sup>T</sup>erach czerwonych, kaftanach błękitnych szamerowanych złotem, przy szablach szórokich a krótkich i w kołpakach czerwonych z galonami i piórami. Do karety było zaprzężonych pięć koni siwo-jabłkowitych, rosłych i wy pasionych jak gałki, a na nich był szor z skóry glancownej, ze srebrnymi kłuczami i obwódkami, z herbami właściciela na okularach i z pękami piór -strusich na czólkach. Taki był ekwipaż pana młodego; ale oprócz tego miał on jeszcze i brykę czwórma gniademi końmi ciągnioną i wóz drabny, w którym biegły cztery bułane. Jak tylko pan stolnikowicz zajechał, zaraz szlachta będąca na pokojach i na dziedzińcu obstała tę całą karawanę, ażeby się statkowi pana młodego przypatrzeć; wyszedł też i sam podkomorzy a podczas- kiedy wszyscy nie mogli się dosyć nachwalić to karety, to koni, to sług ubioru, przyszły teś\*ć pana Józefa aż się uśmiechał z wewnętrznego zadowolenia, jednakże całując w głowę swego przyszłego zięcia, mówił przy wszystkich:

— Na co to panie Józefie! takie zbytki, takie przepychy dla ubogiego domu Karsznickich! cztery mierzynki, półkrytek wyplatany, ot! i dosyćby było.

Ale widać było podkomorzemu z oczów, iż to mówił tylko dla formy; jakoż zaraz na to odezwał się pan chorąży, który jako swat razem z Bobowskim w tej karecie przyjechał:

— Ot! bogdaj cię Pan Bóg kochał, panie Franciszku! a pamiętam kiedyś przed laty, en fallor, dwudziestu dziewięciu, albo zgoła trzydziestu, na tenże sam zamek po jmc pannę Urszulę przyjechał, to miałeś sześć koni w landarze, podobno pięć bryk szło za tobą i co większa! pół sotni twoich dworskich kozaków.

— Cha, cha, cha panie bracie! — rzekł podkomorzy, — a jak pamiętasz! prawda, prawda, — no! ale to inne były czasy natenczas.

W chwilę potem przyjechał pan łowczyc, i był także strojno i bogato ubrany, prawie tak całkiem jak stplnikowicz, z tą tylko różnicą, że jego kontusz był granatowy z koralowemi guzami, pozostały mu po ojcu i szyty przez nieznanomego krawca w Krakowie. Sztuki jego ubioru były równie kosztowne, ale nie tak już



pamiątkowe jak jego brata, bo jego ojcowie nietyle dbali o złote i srebrne, ile o laurowe dla swych synów spuszczony, więcej się bijali na wojnach niżeli Bobowscy i mieli to szczęście czy nieszczęście, że na nich najczęściej ginęli. Zostawały tedy prawie zawsze próżne lamusy i skarbcze po Osuchowskich a każdy syn sam się starać musiał o bogate swojego ciała, jeżeli je lubił, ozdoby; ale nie kochali się. w błyskotkach ci Gozdawici.

Z łowczycem razem przyjechał Grott także, który się teraz znowu z kądeś zjawił nagle jak chmura, a któremu łowczyc już koniecznie musiał się zwierzyć z swój tajemnicy, bo przecie bez drużby nie mógłby był wziąć ślubu. Jakoż temu wszystkiemu nikt się nie dziwował: ubierać się bogato i lśniąc na takie festyn)', było zwyczajem u wszystkich,, a mieć przyjabiela i przywieźć go z sobą na wesele, także nie było nowiną; ale że łowczyc równie jak stolnikowicz zjechał w wielką na czterech resorach landarą, pięcioma końmi zaprzęzoną i z służbą w nową barwę ubraną, to cokolwiek niektórych dziwiło; byli nawet i tacy, którzy, jak to o to u szlachty nietrudno, pozwalali sobie uwag nad tem, czasem tylko zanadto ciekawych, czasem jednakże uszczypliwych. To łowczyca trochę niecierpliwiło, a niecierpliwiło tórn więcej, ile że rozgadanej szlachcie, nawet z Grottem, umiejącym dobrze ciąc swoim językiem, ust nie mógł zamknąć, aż dopiero, kiedy niecierpliwość jego do najwyższego doszła stopnia i właśnie mu rzekł pan podczaszy:

— Ot, nie taj się waszmość, masz już coś gdzieś, na pieńku.

Łowczyc zęby zacisnął i rzekł:

— A mam.

— O! i cóż się stanie z celibatem?

—v Mospanie! — rzekł na to łowczyc, bo ten celibat zaczynał już być jego najslabszą stroną, — jam na celibat nie składał przysięgi, ale waszmość przysięgałeś żonie miłość i wieczność, cóż z tem się dzieje?..

— A! nic do tego waszmości! — odpowiedział na to podczaszy, rumieniąc się cały, bo wiadoma rzecz była, że niebardzo w swem życiu oglądał się na tę przysięgę.

— Otóż i waszmości nic do mnie, — zakończył łowczyc, ale zasmuciło go to niepomału, bo w całym tem ożenieniu się najbardziej dojmowało go to, że każąc przez całe życie za celibatem, teraz mu z gęby przyszło uczynić cholewę. Przeczuwał on jasno one przycinki szlachty, które z tej przyczyny będzie musiał połykać i oto jeszcze nikt nawet nie wiedział o jego projektach, a już się poczynało ziszczać jego przeczucie.

Wszakże niebawem wszelki smutek musiał ustąpić weselu, bo szlachty najechało się tyle i sam widok tych ludzi otwartego czoła, śmiejących oczu, pięknych postaci, kapiących od złota, drogich kamieni i karmazynu, był tak śmiejący i tak wesoły, że dosyć spojrzeć było na niego zdaleka, aby się pozbyć odrazu wszelkich

myśli i uczuć chociażby najsmutniejszych. Wkrótce też dziedziniec tak się napełnił końmi, powozami i ludźmi, że nawet przejść nie było którędy; równie tłumno było w pokojach, tłumno po oficynach, a kiedyby kto był okiem rzucił w ogród, to i tam jeszcze kilka par przechodziło się po alejach, grupa szlachty siedziała w altanie, a pomiędzy drzewami i różną krzewiną tu mignął wylot biały od karmazynowego kontusza, tam • płynęło kilka czapek z piórkami ponad strzyżonym szpalerem, owdzie brzękały szable, a gdzieindziej migwały buty żółte i czerwone naprzemian pomiędzy pniami drzew krzaczystych u góry, ale okrzęsanych u dołu.

Śród tego rozproszenia się goście po wszystkich kątach zamkowego obejścia, pannę ubiórano do ślubu i wkładano na nią suknie ciężką jedwabną, cielistego koloru, wkładano wieniec mirtowy we włosy i zarzucano welon długi na głowę, jak to kazała nowa moda onego czasu, — a kiedy już i pannę ubrano i przybyli wszyscy oczekiwani goście, poczęło się to wszystko gromadzić w wiel-kiój gościnnej komnacie, i przystąpiono do ceremonii oddawania pannie i panu młodemu błogosławieństwa.

W tym celu rozścielono pyszny kobierzec na środku komnaty, na nim poustawiano przy jednym brzegu krzesła szeregiem, na których najpierw usiedli podkomorstwo oboje, za nimi zaś wujowie, stryjowie i ciotki panny młodój, a przed podkomorstwem, więc niby na pierwszóm miejscu, posadzono jeszcze jedną osobę, naokoło której najciekawiej gromadziła się całą prawie komnatę tłumnie zajmująca szlachta i panie. I było się tam rzeczywiście czemu przypatrywać ciekawie. W tem krześle bowiem siedział bardzo już zgrzybiały staruszek, który głowę pochyliwszy na piersi, martwemi oczyma patrzył na malowane kwiaty kobierca i zdawał się już prawie mało co być przytomnym. Staruszek ten, istny grzybek nad otwartym grobem stojący, nie miał już na głowie ani jednego włosa i tylko naokoło karku się snujący i ponad uszema urwany wieniec z włosów bielutkich, istna zgrzybiałej starości korona. Twarz tego starca była w samych zmarszczkach i cer)' już prawie brunatnej, od której dziwnie pięknie odbijały gęste brwi srebrnego koloru i także wasy krótko podstrzyżone i tylko końcami zawieszisto na brodę się spuszczone. Staruszek ten miał na sobie żupan biały jedwabny, na nim kontusz karmazynowy także jedwabny, ale cały popielicami podbity, dalej pas cieniuteńki bawoli i bóty żółte safianowe, futrzane i iuterkiem wyłożone na brzegach cholewy. Przy boku miał kordzik niewielki i lekki, w skórę czarną i srebro oprawny, i ten trzymał w swój lewój, prawą rękę zaś mając opartą na grubej trzcinie ze złotą gałką, siedział tak i patrzył na one kwiaty kobierca.

Staruszek ten był to pan Bał ze Średniej wsi, miał już wtenczas sto i dwa lata, rodził się jeszcze za Jana Kazimierza, chłopcem młodym był na dworze króla Michała, przez całe panowanie Jana III służył wojskowo, był pod Chocimem, pod Kamień

cem, pod Żurawnem, pod Wiedniem i Parkanami; sprawował potem różne powiatowe urzędy, a kiedy nakoniec podkomorstwa swej ziemi dla podeszłego już wieku przyjąć nie mógł, osiadł w Średniej wsi i tam od trzydziestu lat czekał spokojnie, rychło go anioł śmierci powoła przed oblicze Tego, któremu wiernie służył przez całe życie. Starzec ten był pani podkomorzynęj stryjczo-stryjecznym dziadem, więc już prawie nie krewnym, szanowano jednak onego czasu i tak dalekie krewieństwa i uprosiwszy staruszka, ażeby swoją stuletnią ręką pobłogosławił to nowe małżeństwo, posadzono go przy tym obrzędzie na pierwszym miejscu.

Kiedy już wszyscy na swoich miejscach zasiedli przy drugim brzegu kobierca, oparty o tłum szlachty ciekawój, stał już stolnikowicz, z łowczycem po lewej a z panem Błońskim po prawój swej stronie, zrobił się nagle szmer między gośćmi, tłumy się rozsunęły i weszła wraz z družkami i starościną panna młoda do tej komnaty. Była ona piękną jak zawsze, a dzisiaj przez wspaniałość ubioru i przejęcie się uroczystością chwili jeszcze piękniejszą, i miała coś tak wyniosłego i prawie imponującego w swej całej postaci, że już weszła i stanęła naprzeciw pana młodego, a on szmer podziwienia pomiędzy szlachtą jeszcze nie mógł ucichnąć. W krótkiej chwili atoli wystąpił z poza krzeseł kapelan, przysunął się do Barbarki i ujął ją delikatnie za rękę, spojrział potóm na rodziców, na gości, na stolnikowicza, a odchrząknawszy i obróciwszy się wraz ku panu młodemu, zaczął swoją perorę w ten sens:

— Niechaj będzie pochwalony Pan Jezus.

Pan Błoński odpowiedział na to: — Na wieki wieków;— a kapelan tak zasie:

— Nizkiemu słudze znakomitego domu tego a najniższemu w kościelnej hierarchii, powierzony jest mnie dostojny urząd oddawania panny oblubieńcowi. Akt ten razem z wieloma świętościami dawnego czasu, idzie już dziś w poniewierkę i z każdym dniem coraz bardziój upada w swoim dawnym znaczeniu i wadze... a jako my sami z błogosławionych od Boga i duchem a sercem na wieczne zbawienie zarabiających rycerzy, staliśmy się ciałem grzesznem bez ducha, mięsem i trunkami żyjącem, tak i on obrzęd święty przyszedł do tego, że się stał wszędzie martwą li formą, z pustych słów uklejoną. Ale nie patrz ty na to, mój panie młody, co się dzieje na okół ciebie, nie patrz na złości i upodlenie tego wieku, a podniósłszy się duchem na one wysokości, na których starzy stawali Gryffowie, patrz na spuszczącą się ku tobie Leliwę i słuchaj co powiem, — Oto jest dzisiaj dzień i ten moment, w którym dawno już uproszoną i przyrzeczoną do rąk własnych odbierasz upodobaną przez siebie towarzyszkę przyszłego życia. Pannę samę, jako kwiat wiosny jaśniejącą wszystkimi promieniami młodości i życia, oddają ci j. wielmożni tu przytomni

rodzice i mówią przytem: Bierz, szanuj jak matkę, kochaj jak siostrę i prowadź jak dziecko tve własne przez przepaściste drogi tego ziemskiego życia.

Na te słowa ostatnie Barbarka uśmiechnęła ironicznie; niektórzy to uw<sup>r</sup>ażali, drudzy na oratora li patrząc, nic nie widzieli, a staruszek tymczasem tak mówił dalej:

— Owo w dziedzińcu stoją fury ładowne, są w nich srebra, klejnoty, złotogłowia i różny sprzęt drogocenny; za furami pójdą dobytki, a za tem wszystkim później obszerne ziemie i gotowizny; to jest posag, który rodzice przydają do dziecka, oddają tobie w ręce i mówią zasz: Bierz, to i rządź tem wedle twej woli: niechaj dobytki nasze użyżniają twą ziemię, niech skarby nasze podsycą twe skrzynie i niechaj się mnoży to wszystko pod łaską Bożą w nieskończoność, ażeby wam obojgu nie zbywało na niczem w tem życiu, ażeby się głodny przy was nakarmił i napoił łaknący i ażebyście dzieci wasze zostawili w tym statku, w jakim was zostawili ojcowie. Ale za tem dzieckiem, które tu widzisz przed sobą, mój panie młody, idzie jeszcze i drugi posag, daleko od tamtego ważniejszy i droższy, o którym nic nie wspominają rodzice, a który wyliczyć i oddać tobie w ręce, moim jest obowiązkiem. A posagiem tym jest ów promienisty splendor i odwieczna sław'a tego znakomitego rodu, z którego wychodzi tobie się dziś oddająca dziecina; a posagiem tym jest ona niepokalana cnota, która zwalisto się rodząc w tej dostojnej Leliwitów dzielnicy, od niepamiętnych czasów nietylko złotemi promieniami oświecała ich miecze, ale nieprzeliczone blaski także roznosiła po świecie przez swe kądziele. Sławy onej olbrzymiej, którą niezliczeni tego świetnego rodu rycerze przez tyle wieków na swych mieczach szerokich ze wszystkich stron świata naznosili pod starożytną tarczę Leliwy, ja wyliczać nie będę... albowiem tacet de Ach ile, qui non est Homerus. Nie będę więc przypominał, że protoplastowie tego rodu w egipskich śpią katakombach, nie będę wyliczał tych, którzy z wyniosłemi wojowali Grekami, ani tych którzy rozpustą spodłone bijali Rzymiany; tem mniej w to potrafię, ażeby w owych Leliwitów tysiące, które pod przenajświęszem Krzyża Chrystusowego znamieniem żywoty swoje kładli, godnie zaprezentował; a niechaj mnie w tem zastąpią one księgi przesławne, które o tych rycerzów dostojności i sławie piszą a które ty, panie młody, w ka- dej chwili spokojnej bierz do twej ręki i czytaj w nich one rzeczy nieporównane, dzisiaj przez oto tę dziecinę niepospolitą swą częścią w dom twój się przenoszące. A kiedy będziesz czytał one księgi przesławne i umysł twój olśni od owego słonecznego blasku, który tę starożytną otacza Leliwę, nie myśl mój, panie młody, ażeby to był już ten skarb wszystek, którego się z nią razem w twoje dostaje ręce. Nie myśl tak, albowiem to jest dopiero jego połowa. Białogłowy, pod tą promienistą zrodzone tarczą, w niczem nie ustępowały swym braciom, a jeżeli oni z mieczem

w ręku zapędzali się w dalekie tej ziemi kraje, ażeby tam coraz nowe laury zdobywać i znosić pod wspólną strzechę, to one umiały z całą skrętnością i powagą, jaka bogobojnym niewiastom przystoi, utrzymywać w wiecznej świeżości te wieńce, splatać je ze starymi, nasiona z nich zbierać i zasiać niemi żywe serca swych dzieci. Nie potrafią nigdy moje usta nieudolnie wypowiedzieć tych cnót niezliczonych, które błyszczą wszystkie Leliwitki w przeszłości. Czyż serce bowiem sprosta onej pół świętej bogobojności, która stanowiła treść ich żywotów, onej skromności anielskiej, z którą od ołtarza wracając, raz na zawsze wyrzekały się wszelkich uciech i błyskotek doczesnych, onej miłości nakoniec, która jako drugi stróż anioł pilnowała serca i sumienia swojego męża i pana, która białym swym skrzydłem odganiała wszystkie ciemne myśli o d niego, która jako gwiazda biała unosiła się wiecznie nad jego głową, towarzyszyła mu we wszelkich sprawach, oświecała niewinność przed jego sądem postawionych, objawiała nędzę pomocy od niego łaknących, wstawiała się za pozbawionymi łask jego, strzegła jego mądrości na sejmach, jego przytomności na kołach, dodawała odwagi w boju i niewczesne chłodziła zapawy w niebezpieczeństwach! Kto wyrówna takiej miłości, która sama pod niebytność męża całym rządziła domem i rozległą fortuną, która umiała własnoręcznie pielęgnować nędzarze, karmić głodne i napawać łaknące, która pod swoją opiekę brała wszystkie wiejskie sieroty, która umiała pomimo to ani na chwilę nie spuszczać oka i serca swych dzieci i przy tem wszystkim tyle jeszcze oszczędzać czasu od swych zatrudnień, ażeby jej własnoręcznymi robotami przyozdobione były ołtarze wszystkich parafialnych kościołów ! Te, które tu wyliczył, serca i umysłu przymioty zdają się już być ogromem, a przecie to nie jest jeszcze połowa onych skarbów wybornych, które zwykła błyszcząć dusza tych Leliwitek. Umiały one bowiem nieraz przyrodzonym rozumem, przenosić męża z mądrości w narodzie słynące, umiały naukami wyrównywać najslawniejszym uczonym, umiały mężstwem słynąć rycerskim, a rzadko z nich która, coby w swojej młodości dzikich nie dosiadała rumaków, nie strzelała celnie za samopalu, nie potrafiła całą swą siłą zestrzelić w rękę i pałaszem zawładnąć. Nigdy jednak się nie zdarzyło, aby ta przyrodzona krzepkość ich ducha zatarła sobą dobroć i uległość ich serca, a lubo nieraz bywały wypadki, że która z nich na swym zamku męża swego w hetmaństwie nad załogą musiała zastąpić, toż przyczyniwszy przez to nowy listek sławy do wieńca koronującego Leliwę, w skromności swojej i anielskiej pokorze żadna się to nie chępiła, i poddając siebie i losy swoje pod rozkazy swojego męża i pana, każda z nich była nie dorównanym wzorem najlepszej matki i żony. Takie usposobienia znajdują się w Leliwtkach, taki posąg moralny dawać zwykła ta starożytna pani swym córkom; takiż sam posąg, luboć jeszcze m criido na dnie duszy i serca spoczywający, bierzesz i ty, panie

Tom IX

młodyl Bierże więc i pamiętaj, że ci dają do ręki bryłę szczerego złota, że ci dają klejnot najpierwszej wody, złoto to nie jest jeszcze brantowne, kamień to nie doprowadzony do najjaśniejszego blasku, skarb ten bowiem był dotychczas w domowej zamkniętej komorze i owinięty w opiekę i miłość rodzicielskiego serca: ty go dzisiaj z tój komory na świat w<sup>T</sup>ielki wynosisz, ty go z onych pieluch niemowlęcych rozwiniesz i do słońca postawisz; pamiętajże na to, ażeby kiedy weń promienie ludzkiego wzroku uderzą, nie topiły się w skazach jakich i plamach, jeno żeby się odeń odbijały w takiej jasności i blasku, w jakich świeciły przez tyle wieków! Crescite ergo et multiplicamini, et multiplicetur in vobis on splendor starożytny, multiplicetur dostojności i cnoty, ażeby wam była sława i cześć po ostatni dzień życia waszego, a po nim wrota otworzone do przybytku Pańskiego i wieczne z jego ręki najświęt- szój zbawienie.

Tak skończył kapelan. Tymczasem pan chorąży Sanocki, swat niegdy stolnikow<sup>r</sup>icza a teraz tuż przy jego boku stojący, pokłoniwszy się kapelanowi głową, lekko węża pokręciwszy i poprawiwszy wylotów, z przyzwoitą powagą i gestykulacją zaczął w ten sens:

— Starym obyczajem pradziadów naszych, które w tym bogobojnym ziemi naszój zakątku nie poszły jeszcze w zupełną poniewierkę, summapietate devotU my, primus tego nowego mariażu motor et dziew<sup>T</sup>osłąb, ze czcią i uszanowaniem przyjęliśmy na siebie obowiązek, w imieniu tu przytomnego pana młodego, przyjmowania, odpowiadania i dziękowania pro ineffabili honore, którego w dniu dzisiejszy waleczny Gryff: doświadcza od strzelno-promie- nistój Leliwy. I prawda! rzadko komu przy końcu chwalebego i pełnego czynów walecznych żywota tyle lucet jasności, ile ich świeci Leliwitom już przy samej kolebce. Prawda! protoplastowie rodu tego, którego imienia nigdy bez czci i poszanowania nie wymawiamy, — (tu się pan Błoński zgrabnie podkomorzemu uklonił) — śpią około piramid, późniejsi wojowali z Grekami, bijali Rzymiany, a ich wnukowie, do blasku swoich starożytnych gwiazd i księżyców słońce Krzyża świętego dodawszy, stali się i są do dziś dnia jedną z najświetniejszych ozdób tój ziemi, która tysiącami samych najwyborniejszych światel jaśnieje. Ale jeżeli pomiędzy temi światłami jedno z najprzedniejszych miejsc tenet promienista Leliwa, toż tam w tej chwalebnej hierarchii non liumi- liorem locum dzierży i Gryff starożytny, unguibus et rostro contra, hóstem armatus. Gryff, ptak wspaniały, błękitnymi i złotymi piórami pancerny, w meridionalnych tylko regionach patriam suaitt mający i w gorących piaskach pustyni prolem suam wywodzący, a dziś już ut ajunt ornitologowie, całkiem już z tój ziemi wyrugowany, Gryff mówię, sam to dostatecznie zaświadcza, jak starożytnym? musi być ród ten, który się pod jego urodził skrzydłami. A jak walecznymi w boju być musieli tego znaku rycerze, dowo

dzi Aristaeus, autor pogański, na sześć wieków jeszcze przed Narodzeniem Pańskim żyjący, który *ges longum et latum* opisuje one sławne wojny, które ten ptak starożytny, złotych kopalni swoich strzegący, z jednookim Arimaspów narodem przez długie wieki prowadził, a to z takim skutkiem, że to skytyjskie pokolenie nakoniec od jego broni wyginęło do szczętu. Późniejszymi czasami, chorągiew, tym czworonożnym orłem ozdobna, także nie spoczywała: i widzimy ją w Grecji, widzimy na ruinach zwyciężonego Rzymu, widzimy pomiędzy sztandarami Sasów i Niemców, aż nakoniec nam się jawi w służbach u Bolesławów i w całej świetności a blasku bije Niemce pod Grunewaldem. I ta pamiątka już nam jest najmilsza, bo tutaj pod onym lwem skrzydlatym, złotymi literami wyryte, jaśniej imię pana Zygmunta. *Comitis de Bobowa*, a w prostej linii pra-pradziada oto tutaj przed wami stojącego pana młodego. Dalszych dziejów tego sławnego rodu opowiadać nie będę, bo któż jest w stanie przytoczyć choćby jeden taki plac boju z całego ciągu naszój historii, na któryby przynajmniej pułk jeden nie był wystawiony sumptem jmc panów Bobowskich? A że ten ferwor ku służbie rycerskiej, któren tak świetnie jaśniał pod Warną, jak pod Chocimem, Cecorą i Kircholmem, i do dziś dnia w tej samój sile żyje we krwi tego pokolenia, świadkiem będą ci wszyscy którzy wiedzą, że jeden tego rodu potomek, któremu młodość wypadła w czasy ciche i spokojne, kiedy się wojny nie mógł doczekać w kraju, poszedł i znalazł ją na kresach.

Na te słowa szmer przyznający i niby pochwalny dał się słyszeć pomiędzy przytomnymi, stolnikowicz skromnie oczy spuścił ku ziemi,, a pan chorąży tak mówił dalej:

— Więc tuszmy sobie i mamy tę nieomylną nadzieję, że chociaż ten Gryff nasz ukochany, nad którego głową sam żywy księżyc nie świeci, nie sprosta w świetności promienistej Leliwie, jednakże walecznością swoją potrafi w przyzwoitym blasku utrzymać onę sławę wiekopomną, która teraz do jego domu spływa, a jako żaden promień jeszcze, któren po kądzieli wpłynął pod strzechę Bobowskich, w chmurach lub ciemnościach nie zginął, tak i ten świecić będzie w czystości swojój po wieki wieków. Co tedy oddawna jest najgorętszóm serca naszego pragnieniem a co się dziś ze wspaniałej łaski waszej nam ziszcza, przyjmujemy naj- pierwej w otwarte serce nasze i progi, a potem dziękujemy wam jm. rodzice \ prosimy, ażebyście tu o nas byli sobie spokojni, nie tęsknili bardzo za nami i łez nie wylówali obfitych: my bowiem, chociaż się od was oddaliśmy, pamięcią, miłością i posłuszeństwem zostajemy przy was na zawsze a całym naszego życia staraniem będzie, ażebyśmy mniej żyli dla siebie i świata, a więcej dla was i stali się pociechą i podporą waszój, oby to dał Bóg! jaknaj- dłuższej i najweselszej starości. Czego życzę z całego serca, — dodał pan Błoński, kłaniając się podkomorstwu, stolnikowiczowi

i Barbarce, — czego życzę z całego serca w mojej i całej tu zgromadzonej kompanii imieniu!

Na to powstał znowu szmer przyznający w całern zgromadzeniu, niektórzy nawet głośno wymawiali: życzymy! winszujemy!, daj panie Boże! — za co podkomorzy z podkomorzyną, z miejsc swoich powstawszy, kłaniali gościom w tę i owę stronę, goście zaś im się kłaniali i to trwało przez długą chwilę. Śród tych ukłonów atoli stolnikowicz, wzięwszy pannę młodą za rękę, przystąpił do rodziców i rzucił im się do nóg z nią razem: w ten moment tóż ustały poklony a poczęły się błogosławieństwa. Błogosławili tedy naj pierwiej śród łez i głośnego płaczu rodzice, kładąc ręce swoje na głowach obojga młodzieży, którzy ich ściskali za nogi... błogosławiły potem stryjenki i ciotki, błogosławili wujowie, a wszyscy ze łzemi w oczach i niezrozumiałemi słowami w ustach, aż kiedy się państwo młodzi onemu stuletniemu staruszkowi rzucili do kolan, wstał tenże ze swego krzesła i laskę swoją opuściwszy na zaścielony kobierzec, podniósł obiedwie ręce nad ich głowami i bez łez w oczach i gardle chropawym, trzęsącym się głosem powiedział te słowa:

— Błogosławię was, dzieci moje! Trzymaj panie Bobowski Karsznicę, ażeby w czasie nie stała się ona mężem a ty żoną, bo wielkie w tych kobiótach bywają za regimentem pochucie; pilnuj panno twojego męża, bo Gryffowie, acz rzadko giną od strzał, które ich trafiają na polu Marsa, często jednak pod strzałami upadają, które rad do nich wypuszcza Kupido. Silnie się tedy musi trzymać waleczny Gryffus, biorąc za żonę Leliwę, bacznie się opatrywać musi Leliwa, biorąc za męża Gryffa. Tę przestrozę przyjmijcie odemnie starca, który już miliony widział kolebek, milionom się przypatrywał maryażów i miliony trumien pogrzebał. Ale że się przeciwnościom tego świata obronić i wiktoriją nad niemi odnieść potraficie, tuszę po waszej miłości i wzajemnych cnotach waszych.... więc błogosławię was do tej walki i życzę, ażeby wara się stało tak długie szczęście, jak długim jest moje życie.

Ta krótka ale niezwyčajna perora stuletniego starca niemałe zrobiła wrażenie na wszystkich. Powiedziana nad głowami kię. czącój pary głosem twardym, chropawym, urywanym i jak gdyby wychodzącym z zagrobów, zdawała się ona raczój jakąś fatalną być przepowiednią, niżeli błogosławieństwem. "Wstali też z pod niej smutni i z zaschniętymi na twarzach łzami państwo młodzi a wstawszy, oczu nie mogli podnieść do góry; Błoński, kapelan i kilku innych starszych a dobrze domowi życzących, aż się pood- wracali od mówcy. Podkomorzy stał chwilę w osłupieniu i to obawa jakaś pomieszana z boleścią, to niechęć malowała się na- przemian na jego twarzy, podkomorzyna zaś sama łzy coraz ob- fitsze lejąc, nakoniec w głośny płacz wybuchnęła. Co gdy się stało, wrażenie, które zrazu ogarnęło wszystkich, jeszcze się wy



■  
rażniej odbiło; niektórzy z gości poczuli się rozwlekać po tej i innych komnatach, drudzy zgromadzili się w kółka, i coś ze sobą gwa<sup>r</sup>rzyli, a w jednym z takich kółek pan Rossowski z Myczkowa, mąż naukami różnemi a głównie astrologią się zabawiający, dowodził półgębkiem wprawdzie ale dobitnie i jaśnie, że w konstelacji herbownych znaków tych domów obudwóch ominując, żadnym sposobem nie można wywróżyć szczęścia dla tego małżeństwa. Przeczył jemu stanowczo pan Jundziłł i argumentami zdrowego rozumu jak taranami walił w misterne wymanierowanego dowcipu budowy, ale pan Rossowski, jak ono dziecię, które budki z kart stawia, kiedy mu jedną powalono, stawiał wraz drugą i nakoniec nie utrzymywał koniecznie, że w przyszłych walkach ta albo owa strona paść musi, ale też i nie odstąpił od tego, że musi tam być niezgoda i bój pod tą strzechą, pod którą Gryff się połączy z Le- liwą.

Tymczasem w głównej komnacie dawno już wszyscy z miejsc swych powstali, ruch się zrobił niezwykły, gwar nawet podniósł się w całym zgromadzeniu, bo družbowie z panną młodą już siedzieli w powozie, pan młody z družkami już był na wschodach a reszta gości zbierała się także, szukając swych czapek, przypinając szable i podając damom chustki, szale -i inne zarzutki.

Wkrótce potem przed kościołem murowanym z kamienia a stojącym przy samym rynku w miasteczku, stało kilkadziesiąt powozów. Około nich zbijały się nieprzeliczone tłumy różnego ludu, które ciekawość z okolicznych wsiów posprowadzała, a pomiędzy temi tłumami, garnącemi się do powozów i koni, to do drzwi kościelnych, można było zarówno widzieć i chłopstwo pospolite i Żydowstwo, nakoniec ekonomowe i szlachcianki uboższe wraz z swoimi mężami, których zaprosiny podkomorzego, na to wesele ominęły. Niewielką nawę domu Bożego, dziś przystrojoną w światła, kobierce i kwiaty, zalegli całkiem goście zamkowi i był to widok dziwnie piękny i niecodzienny, które przedstawiał tłum ludu, cały od stóp do głowy strojny w jedwab, karmazyny i złoto. Przed ołtarzem, otoczeni družbami i starostami, stali państwo młodzi a kapelan w komżę i stułę ubrany, na stopniach ołtarza stojący, miał do nich mowę długą i obszerną, w której wykladał im przyszłe ich obowiązki, przestrzegał przed różnemi pokusami tego świata, które zwykły podkopywać miłość i zgodę małżeńską i dziwnym trafem, albolitóż z umysłu także, napomniał pana młodego, ażeby był mężem i wszystkie siły swojego serca i rozsądku skupił ku temu, iżby zachował godność swoją i władzę, która mu wedle wszelkich praw Boskich i ludzkich należy. Ustęp ten kapelańskiej perory nanowo poruszył umysły słuchaczów i nanowo obudził jakieś niedobre względem przyszłości tój młodej pary. przeczucia: jakoż z tego powodu znalazło się wielu takich, którzy parę ślubującą jeszcze mocniej ścisnęli, a to w celu czynienia zwykłych ominujących spostrzeżeń z palenia się świec, z podawania sobie rąk,

z zamieniania pierścionków i innych okoliczności, które onego czasu: służyły za prognostyki przyszłego szczęścia i pożycia. Ślub jednak odbył się po wszelkiej formie i bez żadnych niezwykłych wypadków, a kiedy po skończeniu się tój ceremonii powozy, jeden za drugim ręczo ruszając z miejsca, długim łańcuchem posuwały się ku zamkowi, można było widzieć podkomorzego, jako pchając się między tłumy tę i owę przytomną tam szlachtę drobną, szlachcianki podstarościne a nawet i lud prosty na przekąskę do zamku zapraszał.

Po powrocie weselników na zamek, dano natychmiast obiad a właściwie mówiąc obiady, — bo któżby był tyle osób przy jednym albo dwóch stołach pomieścić? Był tedy stół jeden ustawiony w podkowę na wielkiej sali, na górze, przy którym zasadzono co najprzedniejsze osoby; bliżsi przyjaciele domu i młodzież, w każdym razie swobodę nad wszelkiego rodzaju niewolę przenosząca, jadła w drugiej komnacie; pospolita szlachta, panowie dzierżawcy i wszyscy niżsi a jednak do równości z wszystkimi wszelkie prawo mający, jedli w trzeciej komnacie; dla nieuchylenia im jednak zasiadło z nimi kilku starszych i przedniejszych, towarzystwa dam nie lubiących, a służył tym gościom sam podkomorzyc; w dolnych izbach teraz wybielonych i przystrojonych były znowu stoły dla zagonowych, dla szaraków, dla dworzan gościnnych, dla sług sąsiedzkich, w oficynie zaś jeszcze stoły dla sług najniższych i wszelkiego innego tałałajstwa.

Pan młody, jako piórwsza osoba tej fety, siedział oczywiście przy pierwszym stole, ale brat jego ślubny, lubo jako družba koniecznie tam był sadzony, wyprosił się jednak i wraz z Grottem zasiadł przy stole drugim między młodzieżą, gdzie był ustawiczny gwar, krzyk i nieład i z kąd ciągle powstawano, przechodząco z pełnemi kielichami do pierwszej sali i gdzie poprostu najmniej gość każdy był na oczach sąsiadom. Nad tę przezorność uprosił pan łowczyc jeszcze Grotta i zaklął go na wszystko, ażeby na ten moment wszelkich dykteryjek swoich i wszelkiego oratorstwa zaniechał, ażeby przez to niczyjej przy sobie nie uwięził uwagi. Grott przyrzekł to swemu przyjacielowi i pomimo to, że go ze wszech stron nagabywano i różnemi środkami do otwarcia gęby kuszone, milczał jak głaz i tak udawał smutnego, jak gdyby go zęby bolały, albo inne jakieś spotkało nieszczęście. A kiedy już wszystkie co główniejsze toasty swoją kolej obeszły i umysły się rozigrahC na dobre, a przez to oczewiście wszczynać się począł coraz większy nieład przy drugim stole, pan łowczyc ze swoim družbą wynieśli się milczkiem z pękajów, krytym sztychem się przekradli przez dziedziniec za bra-mę, i wsiadłszy na czekające tam na nich dwa konie wierzchowe, puścili się pełnym biegiem do Zahoczewia.

Z Balogroda do tej opustoszałej Dziańottów siedziby rachują ludzie na mierze dróg się znajdujący trzy ćwierci mili, a że to przestrzeń niewielka, droga równusieńko jak po stole idąca i konie

pod jeźdźcami były nogi dobrych, piersi szerokiej i chrap rozdartych, więc nie minęło i trzy pacierze, kiedy ci obadwa družbowie, zatrzymawszy się przy brodzie Hoczewki, o kilkaset kroków od zahoczewskiego zamku będącym, tam się przesiedli do czekającej już na nich łowczyców landary, i w mgnieniu oka zajechali przed ganek.

W zahoczewskim dworze podówczas było cicho jak zawsze, gołębie po staremu Współ z domowym brytanem przechodziły się najspokojniej po dziedzińcowej murawie, żadne przed gankiem nie stały zaprzężone powozy, sługi się nawet nie kręciły pó sieniach... a przecież i tu być miało wesele.

Miało być i było. Ledwie bowiem panowie młodzi weszli na górne pokoje, wpół pacierza można ich było już widzieć wychodzących napowrót współ z małą tego wesela drużyną. I ciągnęła się ta\*drużyna pieszo przez dziedziniec i bramę, przez kładkę na małej rzeczulce leżącą, przez wieśne łąki i sady prosto ku drewnianemu kościółkowi, na zielonym pagórku stojącemu.

Ale i domek ten Boży nie przyjmował ich żadnymi oznakami niewyczajności. Stał on sobie jak zawsze cichuteńko pomiędzy starymi jaworami, które górnymi konarami swymi ponad jego dach się przeginały, po jego dachu i po dzwonnicy niespokojnie przelatowały się kawki i wrony, zaglądając w czerwono zachodzące za lasem słońce i wróżące wiatry i niepogodę; nikt z ludzi nie stał około bramy, nikt pod dzwonnica, żadne twarze ciekawych nie wyglądały z kościółka, a przychodzących witały tylko drzwi przez połowę otwarte i małe krzyże drewniane, naokoło kościoła na grobach zapadniętych stojące, popróżniałe, w zwiędłą zieleń po- obwijane i w różne strony starością swoją i zapomnieniem pona- chylane.

Wpół otwarte drzwi kościółka rącho weszli ci weselnicy. I weszła naprzód Julia z Grottem pod ramię ją prowadzącym, za nią pan Stanisław pannę służebną Julii przy sobie wlokący, za nimi pani łowczyzna ze starym Dziańnottem, a na koniec Pakosz w ogoniastą suknię ubrany i ogon tego weselnego zastępu czyniący.

Prędkim krokiem przystąpili wszyscy przed ołtarz, na którym bladym światłem jaśniały dwie świece woskowe, robionymi różami wpół przewiązane a przed którym na krześle siedział ksiądz staruszek, pleban Iioczewski, ten sam, który niegdy przyjmował vota braci ślubnych w swoim kościele. Na widok weselników, staruszek powstał i powitał ich ukłonem, ale pan łowczy, który się ciągle oglądał, jak gdyby nad nim gorzało, mało zważał na te ukłony i zaraz dobył indult z kieszeni i oddał go księdzu. Ksiądz papier odebrał, włożył na nos okulary, pismo półgłosem przeczytał, i spojrzawszy na pana młodego, zapytał:

— A spowiadałeś się, panie młody i przyjmowałeś Przenajświętszy Sakrament?

— Tak jest, — odpowiedział łowczyc, — spowiadał i komunikował mnie ksiądz ze Żernicy.

— Hm! — rzekł na to do siebie staruszek, wychodząc na najwyższy stopień ołtarza, — hm!... nie było to do Hoczewki przyjechać?

Ale ponieważ zresztą żadnej innej kanonicznej przeszkody nie było, ślub się odbył w mgnieniu oka a weselnicy, przyjąwszy od plebana krótką i zwięzłą gratulacją i powiększywszy nim swoje niewielkie grono, szybkim krokiem powrócili do zamku.

W zamku czekała już na nich zastawiona cukrowa wieczerza, ale pan łowczyc ani spojrział na ten stół światłem, kwiatami i róż- nemi wybornymi cukrami ozdobny, którym się rad był przed całym światem pochłubić pan Działott—pan łowczyc ani się patrzył na to wszystko, jeno pokręciwszy się tu i owdzie, poprosił aby mu kielich podano, nim spełnił zdrowie rodziców swój żony, odebrał napowrót zdrowie państwa młodych, pogadał coś z matką swoją staruszką, oddał pod jój opiekę Julię, zostawił im swoją pięciokonną landarę, ażeby nią nazajutrz do Żerniczki jechały, pocałował potem w rękę swą żonę, pokłonił się domownikom i wraz ze swoim družbą wsiadłszy na koń, pędem się puścili nazad. ku Balogrodowi.

Tymczasem na dworze zmierzchało się coraz bardziej, czarne jakieś chmury nadciągały jedna za drugą, to od północy, to od zachodu i wieszały się na niebie, osiadły na szczytach gór Karpackich, podchodziły jedna pod drugą, że aż strach było patrzeć jako czarnem się zrobiło niebieskie sklepienie. Naszym jeźdźcom wpół drogi już prawie noc zapadła zupełna, ale też i wpół drogi także pokazała się błada zrazu lecz coraz bardziej czerwieniejąca luna nad Balogrodem. Na widok tego zastraszającego zjawiska, które tem okropniej szóm się wydawało, o ile coraz czarniej szemi chmurami obciążał się firmament, z początku przerazili się jeźdźcy, ale kiedy nie. powstrzymując koni niebawem ujrzeni balogrodzką granicę, i tam zaraz przy kopcach dwie beczki smolne czerwonym buchające płomieniem i dymem, ochłonęli z przestachu i w milczeniu pędzili dalej, oglądając się wszakże co moment i dziwując się temu niezwykłajnemu widokowi.

Widok też to był rzeczywiście wielki i niezwykłajny. Pod tem czarnóm niebem bowiem, które już teraz wyglądało jak okopcone dno wielkiego kotła, cały prawie Balogrod gorzał ogniem piekielnym. Beczki smolne oświecały całą drogę od samej granicy, beczki takie gorzały na czterech rogach rynku a oprócz tego wszystkie domki miasteczka, w dowód przywiązania do swego pana, oświetlone były kilka razy rzęsiściej, niżeli w dzień świętego sabatu. Droga prowadząca od miasteczka do zamku znowu obsadzona była smolnemi beczkami, takiemiz światłami objaśniony stromy pagórek, pod którym złoto-niebieską wstęgą wiła się sze

roka Hoczewka a na którym stał zamek cały prawie od światła płonący. Nietylko bowiem jego okna rzucały od siebie promienie światła w ciemność nocną i wyglądały jak komety, ciągnące za sobą złowróżbne ogony, ale jeszcze i pod znakiem, przy bramie, przy stajniach, przy altanach jaśniały kagańce, na onej baszcie narożnej, na której gzymsach niegdy chodził pijany Bartłomiej, błyszczały cztery smolne donice, które pnąc się płomieniem i dymem do góry, oświadczały straszną czarność chmur zawieszonych nad zamkiem.

Widok to był wielki i niezwykajny, ale zarazem tak straszny, że pomimo wszystkiej swojej jasności i wiedzy o tóć że pod nim się ukrywa wesele, nic nie miał w sobie wesołego. Czarność brzemiennej jesieniami burzami nieba, czerwoność światłał gorejących w tej dzikiój, lasami okolonój kotlinie, ludzie czarni snujący się pomiędzy jaskrawe kagańce, zapach smoły rozścielający się po powietrzu, zamczysko stare, czarno się rysujące na tle ognistem, dziki szum górskiej rzeki płynącój pod nim a z niego wydobywające się niesforne tony. z dętych instrumentów złożonej kapeli, na którymś ganku grającej... wszystko to razem zdawało się jakąś nieludzką rękę stworzone, nie na tój pięknej, słonecznój ziemi ale gdzieś w jej wnętrzościach się znajdujące, i serca czule napawało jakąś grozą i niepokojem.

Powracający jednak z Zahoczewia družbowie nie mieli czasu na to, iżby się zastanawiać nad widokami i ich wrażeniami; ich serca zanadto miały już wrażeń w sobie, ażeby mogły jeszcze nowe przyjmować; obawa zresztą ażeby nieodkryto ich zniknienia na zamku przyspieszała ich jazdę, że jako strzały przelecieli przez wszystkie światła i w mgnieniu oka stanęli przed bramą. Pacholek tam czekający odebrał konie od nich a oni znowu milczkiem się przekradli przez napelniony dziedziniec i wschody i milczkiem weszli na górne pokoje. I przyjechali w samo prawie, przy ich wejściu bowiem właśnie co powstawano od stołów i dopijano klęcząco wiwatów. Jak więc ich zniknieniu nikt nie stanął na drodze, tak i powrotu ich nikt nie dostrzegł. Tak czasem smutne naszego serca przecucia opuściwszy nas nieświadomie na chwilę, powracają znowu niepostrzeżone, nie zostawując ani śladu w nas tego czasu, kiedy ich w sercu naszym nie było.

Po obiedzie rąca służba podkomcrska i gościnną w jednóm mrugnieniu oka sprzątnęła stoły, co zawsze o tyle szybciej się dzieje, o ile pełniejsze zostają na tych stołach półmiski i mniej wypróżnione butelki; — po uprzątnieniu zaś wszystkich stołów weszła do sali kapela i nastroiwszy tam instrumenta, bo z nastrojoniemi żadna wejść nie umie kapela, pełnemi tony i poważnie rozpoczęła polskiego. Na odgłos muzyki roześmiały się podweselone twarze, ożywiły się ruchy wąsatych figur, pozarzucały się wyloty, krótko poprzypinały szable... państwo młodzi ruszyli w pierwszą parę, za nimi poszły inne... a podczas kiedy nad zamkiem coraz

czarniejsze gromadziły się chmury, wichry się zrywały od strony zachodniej, gromy się gdzieś dawały słyszeć na lasach i straszna burza się zbierała w powietrzu: w zamku coraz się robiło jaśniej, coraz głośniejsze i huczniejsze i do szczytu wesołości dochodziło to pamiętne swoich czasów wesele.

Za spokojnego panowania drugiego Sasa, mało którego rok stał się tyle pamiętnym dla ziemi sanockiej, jak miesiąc październik roku 1760. Imć pan Nieczuja, skarbnik zakroczymski, który każde ważniejsze zdarzenie swojego czasu zwykł był zapisywać w swym kalendarzu, a przycm nieraz, gdy się rozpiął, nie darował i mniejszym, przy tym miesiącu onego roku aż kilka kartek nowych przykleił, ażeby miał dosyć miejsca do zapisania tego wszystkiego, co mu się godnym zdawało pamięci. Na tych też kartkach trwają do dziś dnia słowa, jego skreślone ręką, a lubo inkaust nieosobliwy dobrze już pożółkł i wypłowił i niektóre miejsca od wilgoci i pleśni w puste plisze się zamieniły, jednak jeszcze można wyczytać co następuje:

— „Ten miesiąc szkaradnie był fatalnym dla naszej ziemi. Omimowoli to ludzie naprzód z różnych konstelacyj, a mianowicie z gwiazd, z nader prędkiego trawy wędnienia i z monety fał- szywój, która przez żydowskie szachrajstwa wprowadzona do Polski, szybko zaczęła biegać po kraju; ale byli i tacy, którzy prosto przepowiadali rwanie się chmur, ogniów niebieskich spadanie, trzęsienia...”

„Ja sam jadąc die prima currentis do pana Górskiego, do Stefkowój, na samym szczycie Zokowa zdybałem człowieka wędrownego, ubranego z niemiecka, kuso i w wązkich pluderkach, który ognia nanieciwszy pod drzewem, grzał się przy nim i patrzył prosto do góry. Zapytany przezemnie, kto jest za jeden, circumy wit odpowiedź, a natomiast powiadał rzeczy, których rozumieć nie mogłem; to tylko z jego kulawiejacój perory suscepi, że

przepowiadał jakieś wielkie nieszczęścia dla tej okolicy. Chciałem wziąć go na smycz i poprowadzić przy koniu do wioski pobliskiej, aby tak z nim trochę rozumniej pogadać, jakoż w tym celu sięgnąłem już ręką po niego, ale mi się wyśliznął i uciekł. Mój pacholek puścił się za nim na koniu na dół Żukowem, ale . się szkapą pod nim związała i dała nieborakiem o ziemię. Tamen nie utonęło co miało wisieć. Prorok ten bowiem zaraz nazajutrz w Łobozwi pojman, odstawiony jest do Sanoka, tam brany na konfesaty i przez oprawcę na męki, — ale niczego się nie dowiedziano od niego.

„Die quarta currentis, odprawiło się huczne wesele. Ożenił się pan Bobowski, stolnikowicz sanocki, z imć panną Karsznicką, podkomorzanką halicką. Gości rachowano do dwadzieścia osób samych honoratorów. Całe obywatelstwo się tam znajdowało. Trzy było kapele, które grały luzując się, wina były przednie i wszelki traktament wyborny. Ze zmrokiem wielka była od kopców do kopców w całym państwie illuminacya, przy drogach paliły się beczki smolne, stosy ogniste po górach, zamek gorzał od światła, nawet na basztach jaśniały kagańce. A kiedy przy takiej illuminacyi zewnątrz w samym zamku tańczują wesoło i zapijają rozkosznie, nikt tego nie widzi, że Pan Bóg srogie kary gotuje tymczasem na ludzi. Jakoż zaraz z północy zaczęły się straszliwe grzmoty, które taki huk czyniły, że aż się ściany trzęsły zamkowe i szyby w oknach dzwoniły, jak gdyby z armaty &gt;ito gdzie blisko zamku. Wszyscyśmy potruhleli i poklękali w wielkiej komnacie, jaki taki się modlił, drugi trzął się z przeztrachu wraz ze szybami, inni powystawiali obrazy Matki Boskiej, szkaplerze i inne "święte relikwie do okien, — ale nic nie pomogło. Zaraz bowiem zaczęło się łyskać na zimowym zachodzie słońca, że nie były to owe nasze fulgura, które w lot znikają, ale poprostu niebo rozgorzało i było jako sam płomień. Rzecz to była tórn dla nas straszniejsza, że advenit w niezwyčajnej dla siebie porze, jako świadczy powyższa data. Wraz też poczęły bić najstraszniejsze pioruny, ale to tak symetrycznie jeden za drugim, że niektórzy z nas nullo modo wierzyć temu nie chcieli, żeby to były pioruny, jenośmy koniecznie opiniowali, że nieprzyjaciel gdzieś zblizka podjechał z armatą i z niój tak bije. Tamen kiedyśmy dosłyszeli, że to wciąż bije na lasy i że się drzewa walą trzeszcząc i łomocąc gałęźmi in intermedis, i kiedy potem zaczęła gorzeć czupryna lasu czarneńskiego, uwierzyliśmy i prosiliśmy tylko Boga, ażeby się te gromy nie posunęły na zamek. Ale jakoś nie dopuścił tego Stwórca Najwyższy w łasce Swej przenajświętszej. Całe te spec- tulum bowiem nie trwało dłużej, jak przez pięć pełnych pacierzy, chociaż niektórzy co podlejszego ducha odmówili ich za ten czas pewno po jakie pięćdziesiąt. Po zapałowaniu piorunów zaraz woda puściła się z nieba, ale to verbaliter tak, jak gdyby ją kto lał z konwi i cebrów. Chmury się darły nad naszemi główkami



tak, żeśmy słyszeli wyraźnie, jak gdyby kto co moment darł jaką ciężką materyą, a potem zaraz plusk ogromny na ziemię, a wśród tej ustawicznój alternaty na czas jeszcze i piorun sobie strzelił na stronie. Przy takiej robocie w lot wszystkie illuminacje pogasły i ona czupryna lasu przestała gorzeć a na dworze zrobiło się tak ciemno, że który śmielszy głowę wyścibił ze sieni, zaraz umykał nazad do kompanii, ażeby choć razem zginąć, kiedyby na to przyszło. Potóm ono darcie chmur coraz jęło ustawać a począł deszcz się puszczać, ale tak gęsty i taki kroplisty, że szyby powybił na poły i dach podziurawił, że się do państwa młodych sypialni przez pułap pełno wody nalało. Potrzeźwiwszy się tym evenementem i pacierzami a chłodem przez dziurawe okna bijącym, nie bez strachu dotrwaliliśmy do rana. A. kiedy odniało i wejrzelśmy na świat przez okna, strach Boży! na całej dolinie Hoczewki mokry ten element szumiał jak morze, wszystkie domy pływały w wodzie, szczęście, że zamek.....

.....o wyjeździe. Musieliśmy tedy wszyscy pozostać.....

„Die sexta deszcz jeszcze padał ciągle, ale wody już trochę opadły. Niektórzy, o swoje domki i dobytki w przestrachu i niepewności, rwali się jechać i ruszyli ze zamku. Pierwszy na rzókę puścił się imć pan Cieszanowski, i zaraz elementem porwany, utonął. Wszyscyśmy widzieli jak tonął, bę z pomiędzy bałwanów czasem jeszcze rękę a czasem głowę wynurzał, ale nikt się jemu nie rzucił na ratunek, taki respekt mieli wszyscy przed wodą. Na wieść tę, podkomorzy wybiegł aż na terażniejszy brzeg rzeki, który był dużo wyżój od starodawnego, i pospędzawszy chłopów, kazał im tonącego ratować. Ale wszystko to frustra! Gdzie grozi Pan Niebieski, tam niema nic do rozkazu pan ziemski. Chłoptwo nie usłuchało dyspozycyi podkomorzego, a kiedy ich tuzował i bardziój nalegał, pouciekali wszyscy. Tymczasem podkomorzy, namokłszy się dosyć na deszczu jesiennym i naziębiwszy się, zaraz przed wieczórem zaniemógł. Około północy zrobiło mu się gorzój i poczęto desperować o niego, bo stary już był i styrany, a jak na nieszczęście doktora żadnego nie było, ani go zkąd dostać.

„Die septima nad ranem słabość się jeszcze bardziój wzmogła i puścił mu krew z prawój ręki jakiś dworzanin, który się powiadał do tego sprawnym, ale już i to nie pomogło. Rano bowiem przyszła swoją drogą gorączka a w samo południe obiit ten staruszek, w obliczności całego obywatelstwa. Wszyscyśmy go unanimiter żalowali, bo był mąż znakomity in loga et in sago, za młodych czasów i lubo tutaj przybył z obcego powiatu, prawdziwy zaszczyt ziemi sanockiój, co się rzadko zdarzało. Okropnością tego wypadku, że to zaraz po weselu śmierć nawiódziła tę strzechę, omnesconsternati do gruntu radziby byli wyjeżdżać, bo straszny się lament zrobił w tym domu, a lamentowała nietylko familia, ale i dwór cały i słudzy, bo był dobry dla wszystkich; ale

z drugiej znów strony przestraszeni falami imć pana Cieszanow- skiego, którego połknęła Hoczewka, nie mieli odwagi narażać gardła swego dla jednej doby, bo przecież miano nadzieję, że ten potop się skończy.

„Dies octawa, smutny dla wszystkich i bardzo fraszliwy. Bo to dwieście blisko osób było w domu, którzy na weselisko zjechali a tu gospodarz leży na katafalku i zaprasza na pogrzeb. Nie wiedziano co z sobą. zrobić. Każdy czuł że jest domowi ciężarem, mało który mógł płakać za nieboszczykiem, bo sam drżał z obawy, co się tam dzieje w jego domu, więc nikt nic nie jadł, nic nie pił, jeno każdy chodził osowiały i zasmucony, że aż groza była na to się patrzeć. Niektórzy przemyślali nad tem, czyby nie można górami jakoś przedrzeć się w czyste pole, ale nikt nic nie wymyślił. Przecie nad wieczorem jakoś niebo się . wytarło cokolwiek i było trochę na jutro nadziei.

„Die nona piękna zajaśniała pogoda, wody całkiem opadły, ale straszny był widok na świecie. Iście jak po potopie. Szlam, kamienie, drzewa, pnie całe, ruiny chat i domów zalegały całą dolinę Hoczewki; z dróg dawniejszych i ścieżek nec locus, a pomimo naniesionych bałwanami przedmiotów, woda w niektórych miejscach powymywała sobie koryta na parę sążni głębokie. Dużo ludzi się wytopiło, a na niektórych chałupach leżały trupy, które się tam potopiły. Więc chociaż dla samój wody można już było puszczać się do domów, jednak dla dróg pozawalanych i całkiem niesposobnej ledwie o pieszój można było pomyśleć wędrówce. Tamen dnia tego wielu odjechało konno, drudzy powychodzili pieszo, ale komu nie było pilno, został jeszcze na zamku, zostały też wszystkie ł^obiety.

Tegoż dnia przekonawszy się, że o sprowadzeniu księży, światel i innych przyborów do pompy pogrzebowej potrzebnych, ani myśleć nie można, przystąpiono do pogrzebu podkomorzego. I odbyła się przed wieczorem ta ostatnia posługa. Chował go ksiądz łaciński, kapelan zamkowy. Trumnę niosła szlachta na swoich barkach, luzując się po drodze. Za trumną postępowała familia i państwo młodzi jedno przy drugim, ale żal wielki było patrzeć się na nich, którzy tak smutnie poczynali pierwsze dnie swego małżeństwa. Za nimi postępowali wszyscy goście na wesele proszeni i wszyscy słudzy — i byłby to innego czasu pogrzeb bardzo paradny, gdzie tyle było nagromadzonego obywatelstwa, ale wtenczas aż nadto wiele smutku było widać na wszystkich twarzach. Zdawało się, jak gdyby wszyscy ci, którzy formowali ten orszak pogrzebowy, szli za trumną swojego ojca.

„Die decima, ponieważ spędzonym z okolicznych wsiów chłopstwem po większej części podwalano już drogi, większa połowa gości rozjechała się z zamku. Nadeszły tóż wieści pewne, że ona straszna rewolucya niebieska nie zajęła sobą więcej jak parę mil kraju, a z różnych relacyj pokazało się jawnie, że główny korpus

tego niebieskiego zastępu uderzył właśnie na państwo balogrodzkie, bo gdzieindziej ani w połowie rze było tyle gwałtowności i szkody. To wzięwszy na uwagę, różni różnie o tem mówili ->-- pewna atoli jest, że jeżeli to była kara Boża, to nie było ani jednego człowieka, któryby wiedział, czómby podkomorstwo na tak srogą karę sobie byli sasużyli, bo całe ich życie było godne i uczciwe. Pomimo to jednak, Pan Bóg jeszcze jednym ciosem dotknął dom ten nieszczęsny.

„Die undecima bowiem podkomorzyna sama, pani nie bardzo jeszcze wiekowa, ale bardzo serca czułego i po zakonnemu nabożna, siedząc w krześle w swojej komnacie, jak powiadano nad modlitwami, zakaszła się, podniosła się cokolwiek z siedzenia, ale zaraz nazad upadła, Bogu ducha oddała. Nie pokazywała ona wiele żalu po nieboszczyku i prawie zawsze bez łez wychodziła do gości; ztąd domyślano się, że ten żal ciężki, który gwałtem w sobie tłumiała, nagle zerwał się przy modlitwie za nieboszczyka i ten ją zabił. O tym jej skonaniu nikt nawet zaraz nie wiedział; służebne wprawdzie słyszały jej zakaszlanie się i posunięcie się z krzesła, ale żadna z nich, niechcąc pani przerywać modlitwy, wejść tam nie śmiała. A kiedy się spostrzeżono, nieboszczka już prawie całkiem ochłodziła, zasnęła nagle, książka jój nawet z rąk nie wypadła, a co w tym najdziwniejsze, to że ta książka była właśnie otwarta na modlitwie o śmierć spokojną, quod ipse vidi. Widać żal ją tak rwał za nieboszczykiem, prosiła łana Boga

o prędkie się z nim połączenie na wieki, i Pan Bóg ją zaraz wysłuchał. Śmierć ta jednak, już druga w tych fatalnych dniach kilku, tak przeraziła wszystkich, że w parę godzin potóm, jak gdyby wymiótł, z obcych już nie było nikogo na zamku. Został tylko jeszcze ten, który to pisze i pan Urbański, który był przyjacielem domu Karsznickich, a wieczorem dnia tego imć pan łowczyc sieradzki, przyjaciel wierny i brat pana Bobowskiego, od siebie nazad na Balogrod powrócił. Powrócił i przywiózł wieści zaspakajające od siebie, ze Zernicy, a nawet odemnie, dokąd z łaski swojej umyślnego poselał, że się nic złego nie stało; u mnie nawet

1 po moich sąsiedztwach przez ten czas strasznych gromów i chmur pękania tylko deszcz skromny padał, jaki często bywa w jesieni i żadnój nie zrobił szkody. Za co niech będzie chwała Panu na wysokościach.

„Die decima tertia odprawiliśmy cichuteńko pogrzeb imć pani podkomorzynej i rozsórzywszy grób nieboszczyka, położyliśmy ją obok jego trumny. Niechaj tak oboje spoczywają w Bogu aż do dnia onego, w którym ich Ten, który śmierć na nich dopuścił, powoła do Swojego Królestwa na wieczne zbawienie. Przy tym pogrzebie nie tak wiele już było lamentu, wszyscy się już wyplakali do gruntu i łez już na to nowe nieszczęście w oczach zabrakło. Jeden tylko syn Wincenty, człek młody ale cnót pełen i waleczny w boju jak Agamemnon, jak mi to o nim powiadał mój

powinowaty, pan Michał, który z nim kolegował na kresach, ryczał prawie z bólu, kiedy spuszczano trumnę. Aż my przytomni trzęśliśmy się od bólu, patrząc na niego, bo porywa nas za sobą żal małego dziecięcia, ale widząc męża i żołnierza płaczącego krwawymi łzami i upadającego pod srogimi ciosami żalu, dusza nasza drży od współczucia i od łez się powstrzymać nie może. Przecieśmy go nakoniec oderwali od grobu i prawie na rękach zanieśli do zamku, a na drugi dzień namówili, aby gdzie w świat trochę wyjechał. Jakoż zabrał go z sobą imię pan Urbański, a teraz, jako się dowiaduję, wyprawił do Wielkopolski, gdzie ma brata stryjecznego i gdzie go czeka jakaś znaczna po babce sukcesya.

„Do powyższych relacyj dodaję jeszcze na końcu tego fatalnego miesiąca, że teraz już wszystko spokojnie, jak gdyby nic nigdy nie było. Aż strach patrzeć na to, jak świat idzie spokojnie swoim torem, chociaż dopiero co tyle po nim przeszło nieszczęścia, tyle ludzi zginęło, tyle domów wściekły pożarł element, tyle pochłonął dobytów! Ledwie dni kilkanaście minęło, a już ani je- dnój lzy na to wszystko niema, ani jednego westchnienia. Głuche wieści tylko chodzą po kraju i kryjąc się po zabobonnych umysłach, dziwne wyplatają androny. Pomiędzy temi wieściami łameń jedna jest dość ciekawą, a przytem prawdziwą. Powiadają enim, że die quarta currentis, to jest dnia tego samego, kiedy się odprawiało ono balogrodzkie wesele, imię pan łowczy sieradzki brał ślub z panną ze Zachoczewia, imię pana Działottową dziewczką. Że się ten ślub odbył w rzeczy o samym zachodzie słońca w zachoczewskim kościółku, nie podlega żadnej wątpliwości; wiem to bowiem sam od zachoczewskiego plebana, ritus latini, który był egzekutorem tego sakramentu, co nawet stoi napisano w metrykach kościelnych, quod ipse legi: „Die quarta Octobris, na godzinę przed zachodem słońca hora videlicet quinta ślub urodzonego Stanisława Osuchowskiego z urodzoną Maryą Julianną Działottówną; świadkami urodzony pan Grott herbu Mora, z Magdaleną Mroczek, służebną". Ale co w tem dziwnego, to żeśmy tegoż imię pana łowczyca przez cały popołudniowy czas wszyscy widzieli na Balogrodzie; przyjechawszy, bawił z gospodarzem na ganku i innymi gośćmi ze dwie godziny, družbował potóm panu młodemu, po ślubie siedział z nami wszystkiemi przy stole, spełniał kielichy kolejną i o zmroku szedł polskiego z imię panią podczaszyną przemyską, jak to mi sama komunikowała. A tymczasem wziął ślub o zachodzie słońca o milę od Balogrodu. Takie Alibi, którego przyczyny ani sposobu wykonania nikt nie wie dotychczas, ani odgadnąć może, stało się źródłem do różnych pogłosek. Wierzą już dzisiaj wszyscy, że się Sakrament odbył wedle wszelkiego zakonu, ale o przyczynach jego tak sekretne spełnienia różne chodzą domysły. Złe języki, na które w tej ziemi chwała Bogn wielki jest urodzaj, wymyślają rzeczy paskudne; ale inni, którzy są przyjaciółmi młodego, bronią go i nie wiedzą gdzieindziej tego dzi-

wnego wypadku przyczyny, jeno w skąpstwie imć pana Dziańotta, który wszędzie zbyt mędrze goli i mija wszelkie wydatki. Tandem imć pan łowczyc, który wie o tych wszystkich pogłoskach i mógłby jednym otworzeniem gęby pozjadać tych wszystkich plotka- rzów, nic na to nie odpowiada, siedzi cicho w Żerniczce k drwi sobie z sąsiedzkiego szczekania, bo srodze to giadka i rozkoszna panienką.. Owo i to mądrość także. Beatus qui tenet, powiedział Wenett.

„A no jeszcze Bobowscy oboje płaczą niebożątka za podko- morstwem. Oj! smutneż to im dał Pan Bóg miodowe miesiące! Widują ich ludzie często na grobie rodziców, a co już się mszy odczytało za nich po różnych kościołach, co naodprawiało egze- kwij, tego nikt nie zrachuje .. ■ Ale i to minie za czasem.”

Tu się kończą imć pana Nieczui notatki, my zaś, umiając czytać i niepisane, i odgadywać resztę z podań już dawno zatartych, tak dalej prowadzimy tę powieść:

W kilka dni po pogrzebie matki, państwo Bobowscy, nie mogąc się napatrzeć nd.- mury fatalne, które im tyle przypominały smutku i nieszczęścia, oddali gospodarstwo balogrodzkiego państwa sługom nieboszczyka podkomorzego, a sami przenieśli się do Żernicy. Ale i tu jakoś im nie było weselej. Oni uciekali od smutku, myśląc że on jest przywiązany do zamku, a tymczasem on był w ich sercach i włókł się wszędzie za nimi. Jeszczeż pani sama, mężnie zniósłszy te srogie ciosy, które w nią uderzyły, i teraz jako tako opierała się nagabującym ją łzom i żalom, i zatrudniając się to gospodarstwem, to robotami, to urządzaniem swego nowego domu, które nie zewszystkiem sobie po myśli znalazła, starała się jak mogła ona nieznośną próżnię czasu wypełnić, w której nie proszone wszystkie smutne myśli nawiedzać nas zwykły; ale pan Józef, człek miękkiego serca i wszystkim zdybu- jącym go wrażeniom bez oporu się poddający, był nie do pocieszenia. Wypadki ostatnich dni kilkunastu wstrzęsły całą jego istotą do gruntu i otrzęsły z niej wszystkie najpiękniejsze kwiaty i naj- zieleńsze listeczki, które na niej do dnia wesela zakwitły; że był jako ono drzewo samotnie na polu stojące, w które po burzy gwałtownej suchy grom uderzy, i widać było po nim, że już chyba aż druga wiosna odżywi w nim soki i w no\Ve go liście ubierze.

I nie można powiedzieć, żeby śmierć obojga żoninych rodziców tak srodze go powaliła, nie; śmierć ta sama i towarzyszące jej niezwykajne wypadki nie byłyby nigdy tak gwałtownego nań uczyniły wrażenia... gdyby tylko były przyszły w rok jeden po ślubie; ale teraz, w chwili kiedy 011 po długich i pracowitych usiłowaniach nakoniec doszedł do kresu najgorętszych swych życzeń, kiedy wszystkie siły umysłu i serca usposobił ku temu, ażeby z jaknaj wyższym zapalem przyjąć i z jaknajgorętszą rozkoszą używać tego szczęścia, które raz tylko w życiu naszym może być wielkiem i światlejszem nad wszystkie tego ziemskiego słońca

uśmiechy —w takiej chwili, kiedy go cios tak gwałtowny uderzył, że odrazu powalił jego najpiękniejsze marzenia i najśłodsze nadzieje, że czarę, pełną niebiańskiego napoju, którą miał spełniać wielkimi haustami, od ust mu oderwał i kazał tylko zażywać po kropli, każdą jeszcze kropelkę czarną zaprawiając goryczą: w ta- kiój chwili pan stolnikowicz nie umiał się znaleźć ze sobą, nie umiał pogodzić się z niespodziewanym swym losem i do połowicy tego szczęścia, które mu przyjsć miało w całości, nie umiał nawet ust swoich przyłożyć. Chodził tedy po całych dniach smutny i znękany i do niczego nie czuł żadnego pociągu; nie smakowały triu potrawy, nie gasiły wewnętrzznego pragnienia napoje, nie zajmowało go gospodarstwo ani żadne sprawy domowe, na żonę na- wet spoglądał tylko z ukosa i siadywał od niój zdaleka, jak gdyby się bał myślą jaką światową spłoszyć bladeść tego świętego smutku, która osiadła na młodocianych jej licach.

A cudnie piękną była w onych czasach Barbarka. W czar- nój sukni, białemi lamowanój wstążkami, z czarnym jako nocną mgłą lekkim na głowę zarzuconym zawojem, z twarzą ową smagłą lecz świeżą, jako lice wczoraj dopióro dojrzałój brzoskwini, z oczami wielkimi i Czarnemi jak węgle, z których przez smutek i poważny przecie wyglądały ognie najgorętszej miłości, — do olśniewającej piękności, która topi serca i rzuca iskry po nerwach chciwej życia młodzieży, łączyła ona jeszcze i owę godność i powagę, która tej piękności zwykła stawać na straży i odrazu chłodzić wszystkie serc przedsiębiorczych zapały. I wyglądała, ona jak posąg tchnącój miłości Wenery, ale stojący w framudze rzeźbami świętych pokutnic ozdobnej i w one święte pokutnice pa- trzącój.

Ale ona, niestety! tylko tak wyglądała. W jej sercu działa się wcale inaczej, nizeli świadczyły pozory, a i pozory te świadczyły mimo jej woli. Barbarka zawsze była Barbarką i przy wszystkich swoich niedobrych przymiotach miała tę jedną cnotę, że nigdy być nie umiała kim innym, nigdy nic nie umiała udawać a nawet ukrywanie czegoś, gwałcenie siebie, panowanie nad sobą było dla niój nieznośnym ciężarem i niedługo się taką sztuką bawiła.

A właśnie piórsze dni ich zamieszkania w Żer»icy i zachowanie się jej męża podówczas niewoliły ją do gwałcenia swych uczuć i myśli, niewoliły ją do gwałcenia tego w sobie, coby rada na jaw wydała i to ją srodze męczyło.

Bo jeżeli owe podczas ich wesela zaszłe straszne i okropne wypadki uderzyły tak gwałtownie w jój męża, że całą jego istotę rozprzęgły, że zasypały śniegiem i zawaliły lodami całą jego pię- kniejszemi marzeniami umajoną krainę, to Barbarkę wprawdzie wielki żal ścisnął za serce za rodzicami, bo czyjeż oczy nie płaczą na takim grobie! ale powiedziała ona sobie: Umarli! wielka szkoda i boleść dla nas ogromna! ale my przez to jeszcze zawsze

żyjemy- Wszakże i ich rodzice kiedyś także pomarli, a oni przez to pozostali przy życiu i żyli. I jej marzenia po dniach poślubnych, jej pragnienia, które już zawczasu stubarwnymi motylami powylatywały z popielatych gąsienic, żyły w całej pełni wiosennej i latając około jej głowy i serca, skrzydełkami swojemi coraz bardziej rozniecały te ognie, które w niej rozgorzały. O! bo Barbarka, lubo była panną jeszcze, miała swój rozum, przenoszący daleko granice panieństwa.

Ledwie tedy minęło dni kilkanaście, kiedy patrząc na ciężkie smutki, naginające ku ziemi głowę jój męża, brakło jej cierpliwości... I wtedy zaraz nadeszła chwila, w której Barbarka rzuciła się jemu w objęcia. I lubo jesień była natenczas, zaraz rozkwitnęły w ich oczach majowe kwiaty, zaścieliły się zielonemi aksamitami łąki, dało się słyszeć milutkie świegotanie ptaszątek, w chór donośny uderzyły słowiki, słońce wiosenne weszło na lazurkowe niebiosy i gorącymi promieniami oświeciło ich ziemię. A gruba kotara wysunęła się z pod uwiedłego trawiska i zasłoniła przed niemi smutne groby rodziców!...

W tak nagłych alternatach smutków i szczęścia, rozkoszy i żalów, łez i uśmiechów, choć się dowiedział Bobowski, że się jego brat ślubny tak niespodziewanie ożenił, żadnego to na niego nie uczyniło wrażenia. Wiemy już z dawna, że w panu Józefie nigdy razem nie mogło istnieć dwoje uczuć, nigdy żyć razem dwie myśli, wiemy i to, że nieraz drobnostką jakąś zajęty martwym już przez to był na istotne wielkości, więc nas dziwić nie będzie, że teraz na ten także całkiem niespodziewany wypadek prawie żadnej nie zwrócił uwagi. Pytał się wprawdzie łowczyca, dlaczego to uczynił, dlaczego tak uczynił i zresztą o inne szczegóły, ale zawsze czemś innym zajęty, nigdy nawet nie słyszał jego odpowiedzi. A dzieląc się pomiędzy smutne, dosyć jeszcze wymowne bo niedawnej przeszłości wspomnienia i pomiędzy użycia najwyższych rozkoszy w teraźniejszości, nie myślał o ni czem i prawie nie wiedział na teraz, że miał przyjaciela za kopcem.

Tymczasem w Żernicze działo się wcale inaczej.

Pan łowczyca duchem swym zawsze do wyższych podnoszący się myśli i drobne tego prywatnego życia przygody niewiele sobie ważący, ani się umiał do malutkich rozkoszy zapalać, ani nie- wielkimi dać zabijać smutkami. Jednakże przy tem wszystkim rygorycznie sumienny, rzetelny aż do pedanterii i kaźden obowiązek na siebie wzięty za świętość sobie mający, oczówiście całkiem innym był mężem niżeli Bobowski.

I tak, skoro tylko przez powódź i drogi zalane mógł się wydobyć z balogrodzkiego zamku, pobiegł czómprędzej do siebie. Tam zastał matkę swoją i Julię, i zastał je w całości i spokoju. Oglądnął tedy dom cały, wydał w gospodarstwie stosowne rozkazy, zapytał swoje panie, czyli im czego nie brakuje, i poczuwa

jąc się do obowiązku nie opuszczania Józefa w tak fatalnych zdarzeniach, nazad do Balogroda powrócił.

Smutnie na to patrzyła Julia, ale że ją z łowczycem nic nie wiązało jeszcze nad słów kilka, powiedzianych sobie w obecności księdza, piersi jój nawet nie zdobyły się na westchnienie.

Po pogrzebie podkomorzynnej znowu łowczyc do Żerniczki przyjechał, ale nie mogąc jeszcze nie wyręczyć osmuconego brata w jego zatrudnieniach przy wyjeździe z balogrodzkiego zamku, jeszcze raz tam pojechał. Dopiero przeprowadziwszy państwa młodych do ich nowój siedziby, i przyznawszy się Józefowi, że dla kompanii i on sobie żonkę przywiózł do swego dworu, zadowolony wreszcie tórn, że z tego'kroku swego nie potrzebował się długo przed nim tłumaczyć, wrócił do siebie i do swych własnych obowiązków.

Ale o obowiązkach, jak wiemy, dziwnie surowe miał pan łowczyc pojęcia. On kiedy komu był winien dług jaki, wypłacił zawsze wraz z prowizją do grosza; kiedy jemu był kto co winien, jeżeli mógł, musiał oddać także do grosza; kiedy karał kogo i przeznaczył mu sto bizunów, to tam ani jeden nie chybił, a znów kiedy nagradzał, to i nagrodę wylczył wedle obietnicy do joty. A kiedy już było po nagrodzie lub karze, to już ani słowa nie wolno było wspominać, boć są jeszcze i inne obowiązki do wypełnienia, a życie ludzkie przecie nie z samych kar i nagród się składa. Z pod takiój reguły nie wyjmował pan łowczyc i obowiązków względem swój żony, boć przecie marny ślub nie powinien odmieniać zasad wyrobionego człowieka. Więc co się matce należało, to matce; co żonie, to żonie, a co innym zatrudnieniom, to innym, i zresztą sza! — bo są inne ważniejsze obowiązki w tem życiu.

Biedna Julia!

Róża ta piękna, która na to w takiej pełni rozkwitła, ażeby swoją pięknnością oświócać i wonią napelniać cały okrąg tój, w którój rosła donicy, dzisiaj nagle zerwana, dostała się w rękę taką, która oskubuje z niój listki, aby z nich zrobić olejek — dla domowego użytku.

Konik ten piękny, który miał bujać po stepie i być ozdobą swojego stada, a potóm wiernie służyć swojemu rycerzowi i przynosić mu rozkosz, pożytek i sławę, zaprzężony- został do turkota- jącey telegi, ażeby woził glinę i piasek — dla gospodarstwa.

Domek ten piękny jak wielkanocna kraszanka, przeznaczony n\$L to, ażeby stanął pod błękitnym Italii niebem, nad przezroczy- stem jeziorem, w sąsiedztwie róż i słowików, i aby służył młodój parze uniesionych miłością kochanków, obrócony został na pożyteczną spiżarnię, która ma przechowywać nasienie pod zimę, aby z niój chleby wychodziły na wiosnę.

Biedna Julia!



► Takie zamieszkały odtąd pożycia i szczęścia te domy sąsiednie, aż przyszło do tego, że tym nowym małżonkom wypadło sobie wzajemnie odwiedzić. -

Obadwa domy czuły zarówno tych odwiedzin potrzebę, ale obadwa długi czas się jakoś z tem ociągały. Żaden z nich nie wiedział, który ma to pierwszy uczynić. Wprawdzie temu ociąganiu się żaden z małżonków nie był właściwą przyczyną, oni bowiem obadwa wciąż o tem przypominali swym żonom i codziennie się wybierając, codziennie odkładali do jutra. Ale wina tego była przy żonach obudwóch. Pani Julia, czując się i pod względem urodzenia i pod względem majątku niższą od pani Barbary, nie chciała pierwsza zrywać się do tych odwiedzin, ażeby jój nie posądzono, że się pnie nie proszona do wysokich progów; pani Barbara zaś, mając sobie za hetkę pętelkę taką łowczycę, urodzoną z Dzianottów, oczekiwała od niej atencji. I tak niepostrzeżenie cała jesień minęła, a żony braci ślubnych ani się nawet wzajemnie nie znały.

Aż zwrócili na to swoje zawsze baczna uwagę sąsiedzi i poczęto sobie to komunikować w sekrecie. Aż niebawem ten sekret, upstrzony mnóstwem ciekawych komentarzów, zaczął biegać po całej okolicy, czyniąc sobą hałas ogromny, właśnie jak kot, kiedy mu chłopięta pęcherz grochem nadziany do ogona przywiążą. A cały ten hałas - walił się na pana stolnikowicza i na panią Barbarę. Powiadano że oni, Gryffa połączywszy z Leliwą, tak się już tem nadęli, że już za nic sobie wazą nie pana Osuchowskiego, ale całą szlachtę sanocką. Bo onego czasu za urojoną obrazę, wyrządzoną jednemu, zawsze wszyscy się rwali do kordą, za rzeczywistą już tylko niektórzy, a za krzywdę uczynioną całemu ogółowi, nikt zgola.

Więc się gwałt podniósł ogromny, że aż wieść o nim i niektóre dowcipy, które, z niego tryskały, doszły do uszu stolnikowicza. To go oburzyło cokolwiek, bo czuł całą niesprawiedliwość tego walącego się nań zarzutu, ale czuł zarazem i potrzebę zatknięcia źródła tego nieprzewidzianego przezeń hałasu. Przystąpił tedy dnia jednego do żony (a działo się to w adwencie i na czas krótki przed świętami Bożego Narodzenia), i pogłaskawszy ją po pod brodę, rzekł jej głosem pieszczotnym i miłym.

— Dzisiaj, moje dziecko, pojedziemy do Osuchowskich.

Ale Barbarka była w złym jakoś humorze a nadto, rzeczy wszystkie biorąc z realnej strony, nie lubiła wszelkiego głaskania; więc odrzekła porywczo mężowi:

— Dajże mi pokój! kiedy ty chcesz, to jedź, ja nie pojedę.

— Ale moja duszko — mówił na to pokornie i przestraszony tem pierwszym fuknięciem pan Józef — trzeba koniecznie pojechać, bo już ludzie na to sarkają.

— To niech sobie sarkają—odpowiedziała surowo Barbarka— dlaczegóż koniecznie ja pierwsza mam jechać?

— W tem masz racją, moje dziecko kochane — mówił na to podstępnie pan Józef — bo już ci im by się należało pierwiej do nas przyjechać, ale kiedy ktoś ma zamało grzeczności, to go w niej trzeba uprzedzić.

— Obejdę się bez ich grzeczności — odpowiedziała Barbarka.

— Jakto? — zapytał znowu łagodnie i patrząc jój w oczy pan stolnikowicz — ani dla mnie tego Basieńka nie zrobi?

Na to żona jego spojrziała mu w oczy, uśmiechnęła się i rzekła:

— No, to każże zaprzęgać.

Tym sposobem się stało, że dnia tego po południu, kiedy pięcioma końmi uprzężona landara, niosąc w sobie państwa stolni- kowiczów, ciągnęła się wolno po drodze do Zerniczki wiodącej, wpadł kozak na koniu na dziedziniec łowczy co wego dworu i jemu samemu, idącemu właśnie do staj en, krzyknął w samo ucho: — państwo Bobowscy tu jadą! Pana łowczyca, który, widząc nagle wpadającego żernickiego kozaka, trochę się był przestraszył, na tak marną wiadomość złość raptem porwała, krzyknął więc do niego:

—, Won! gałganie! czego mnie straszysz!

Kozak jak zmyty nagle zeskoczył z konia i powlókł się smutno ku stajniom; pan łowczyca zaś na złość kozakowi czy komuś nie chciał właśnie żadnego użytku czynić z tej wiadomości i puścił się w swoją drogę, ale tymczasem landara Bobowskiego także się pokazała już w bramie. Wrócił tedy Stanisław i dawszy znać żonie, że Pan Bóg przynosi im gości, sam pozostał na ganku, ażeby ich witać. Nastąpiły tedy powitania na ganku, potem wprowadzania do bawialnej komnaty, w której pani łowczyca z łowczycą już koło kanapy czekały, i znów powitania, komplimenta, ceremonie i konwersacya urywana, przy której Barbarka nie mogła się dosyć nacedzić frazesów i nosem nakręcić, ażeby dać poznać, jak sobie niewiele waży ten mały domeczek, a pani Julia nie mogła się znów dosyć nadziwić, że Barbarka z pierwszemi do niej odwiedzinami przyjechała w starej i zmiętej sukni i w nocnym czópku.

Pani łowczyca, która sumiennie ceniła ród znakomity w Barbarce i niewiele zwykła dawać baczenia na takie rzeczy\* jak strój i jego ozdoby, a do tego jeszcze jak drugiego syna swojego kochała pana Józefa, była serdecznie grzeczną dla swej nowój sąsiadki i obsypywała ją nieustającemi komplimentami. Chłodno tedy lecz z ciekawością poglądała Julia na panią Barbarę, ta zaś na nią z lekceważeniem i z piętra, a pani łowczyca gościem swoim zajęta, ustawicznie gadała i tak się bawiły między sobą kobiety.

Pan stolnikowicz atoli, kiedy wszedł z swoją żoną do bawial- nój komnaty i najpiórwej przed sol ą obaczył Julią, zadrżał w miejscu i zadziwił się, tak jak gdyby nie wiedział, że ją tam zdybie.

Wypadek taki jest zwyczajnym u tych wszystkich, którzy mało myślą nad sobą i których życie całe ' składa się z samych wrażeń i uczuć. Julia także spojrzała na pana Józefa a w jój oczach odbiło się trochę żalu, trochę wyrzutu, najwięcej zaś smutku który jeszcze bardziej przeraził stolnikowicza. Ztąd wyniknęło, że dawniejszy Julii kochanek jak usiadł w kącie przy swoim przyjacielu, tak od czasu do czasu rzucając wzrokiem na panią łowczy- cowę, zamyślił się i ani słowa nie umiał wymówić. Julia tak była obróconą, że nie mogła ani razu rzucić okiem na pana Józefa; boby to mogło być zwrócić czyją uwagę\*, więc posunęła się z krzesłem dalej i w tym momencie nań szybko spojrzała. Ten-ruch nie uszedł uwagi Barbarki; nie mogła ona wprawdzie nic sobie o nim pomyśleć, ale dziwne to czasem kobiety miewają instynkta. Rzekła tedy Barbarka do męża:

— Czemuż mój mąż tak się zadumał?

— Bez żadnej przyczyny, moje dziecko kochane — odpowiedział na to pan Józef, wystając i przystępując do stołu stojącego przed kanapą — siedziemy sobie tak z panem Stanisławem i w milczeniu prowadzimy ze sobą rozmowę, jak to się nieraz praktykowało za dawnych czasów.

Julia na to cichuteńko westchnęła, jak gdyby te ostatnie słowa pana Józefa przywołały jej jakie miłe wspomnienie, a tymczasem Barbarka odpowiedziała:

— Za dawnych czasów? oj! ty staruszku zgrzybiały! — i powstawszy, przyglądała mu rozrzuconą czuprynę nagłowię, pocałowała go w czoło i rzekła: — Mój staruszek!

Julia wstała i wyszła wolnym krokiem do przyległego pokoju a Barbarka odprowadziła ją oczyma tak daleko, jak mogła.

Potem rzekł łowczyc:

— Poczęstowałbym pana brata po staremu luleczką, nim nam jakie przekąski przyniosą, ale podobno jejmość jest z ulubionym dymkiem naszym w niezgodzie.

Na słowo jejmość zakręciła noskiem Barbarka a stolnikowicz odpowiedział wesoło:

— Moja żona nie przyzwyczaiła się jeszcze do dymu...

— I nigdy się do niego nie przyzwyczai — przerwała Barbarka.

— Ale chodźmy na lulkę do twojej kancelaryi — dokończył stolnikowicz i wyszli obadwa bracia na drugą stronę.

Tam zasiadłszy przy lulkach, pierwszy raz dzisiaj rozgadali się na dobre o swoich małżeństwach. Pan Józef nie znajdował się wprawdzie w tym peryodzie małżeńskiego pożycia, kiedy się łaknąć poczyna postronnej i li męzkiej pogadanki; nie spowszedniało mu jeszcze to nowe szczęście, ale zawsze, obznajomiwszy się już dokładnie z jego wszystkimi możliwymi darami, czuł już potrzebę udzielenia się komuś drugiemu, wygadania się, pochwalenia się tem, co

mu ten nowy stan i wieczorem i rankiem, i dniem i nocą przynosił: on też pierwszy zaczął w ten sens:

— Panie bracie! szatan to podobno ludzkiego szczęścia zazdrosny, przemawiał z ciebie natenczas, kiedyś z ferworem propa- gował celibat. Ot, przyznaj się otwarcie, jak mnie kochasz.

— Hm! zapewne, — odpowiedział na to z uśmiechem pan łowczyc, —przyjemniej jest człowiekowi dbać o to, ażeby rodzaj ludzki nie zginął; ale zawsze tamto jest marna tylko uciecha i obowiązek taki, który miliony z największą skrupulatnością spełniają; o tym drugim zaś mało który pamięta. Co się zaś celibatu dotyczy, to zawsze nie pozwalam naśmiewać się z tego, bo ta myśl, tak jak ja ją rozumiem, nie wyszła z szatana, jeno z Boga samego.

— Gdyby celibat nie był już pierwój znanym światu, nim objawiony został chrystyanizm!— dodał do tego Bobowski, — wszakże, jeżeli mnie pamięć nie myli, już w Egipcie, gdzie czczono bóstwa Isis i Osiris, kapłani i kapłanki przy tem nabożeństwie służący, ślubowali bezżeństwo.

— Bezżeństwo, — odpowiedział na to pan łowczyc, — nie jest to wynalazek tak trudny, ażeby na niego przez lat tysiące miało być czekać człowieczeństwo: ale tu o to idzie, do czego ten wynalazek został zaaplikowany. Nabożeństwo do bóstwa Isis, jako to od ludzi uczonych słyszałem, z Egiptu zostało przeplątano do Rzymu. Tam ta bogini miała kilka sobie wystawionych kościołów; kapłani jej i kapłanki także ślubowali bezżeństwo, ale pomimo to, każda taka świątynia była to tylko dla pozpru. Owóż do czego prowadzi i najpiękniejsza myśl, kiedy ją aplikuje pogaństwo. Ale celibat ten, który ślubowali rycerze krzyżowi, młodzież rycerska do czasu póki się czynami nie wsławi, święci nasi chrze- ścijańscy, kawalerowie maltańscy, a nakoniec księża nasi, zakonnicy i zakonnice, ten do czego zwykł dusze nabożne prowadzić, każdemu, wiadomo: a ja właśnie o takim myślałem.

— Nióma tu kwestyi, — rzekł na to stolnikowicz, — że myśląc o celibacie, nie miałeś przez to projektu zostania kapłanem bogini Isis; ale chociaż co innego miałeś na myśli, jednak przyznaj się szczerze: żal ci teraz, żeś celibat porzucił, czy nie?... Bo ja, jak mnie Bóg miły, choć to już dwa miesiące od naszego ślubu minęło, jeszcze się z sobą obaczyć nie mogę, czym jest ten sam, którym był pierwój, czym zgoła inny? I jak mnie Bóg miły, jam zgoła inny. Czas ten, któryśmy dotąd, panie bracie, przeżyli, nie wart nawet nazwiska życia'. Człowiek wegetował jak planta, albo leżał jak kamień. Miał swój dom własny i dobytki i ziemię a przecież i kładł się i wstawał jakby w celi klasztornej, a przez dzień cały był jakby na popasie w gospodzie. Człowiek wiedział że żyje, ale nie wiedział dla kogo żyje, a chociaż się niby to tylu miało naokoło przyjaciół, przecie nie było nikogo takiego, któryby nam to pokazywał, że go cieszy to nasze życie, że dba o nie, że

bez niego i jemu nie byłoby życia. Dzisiaj jakżeż to wszystko inaczej! Mamy dom własny, i wiemy że to -jest nasz, że własny; dawniej pusty i nudny, dzisiaj jakże się nam stał drogim, jak przyjemnym, jak miłym! Jedna osoba do niego przybyła, jakże się zaraz zaludnił, jak rozweselił, jak upiększył w każdym kąciку! Ale bo cóż to i za osoba! co to za duch wyniosły jest w tej kobiecie, jaki rozum wyborny, a jakie serce! Ileż to tam niebieskich promieni w oczach, ile- słodczy w ustach, ile- pieszczotliwości w tej ręczce drobnusieńkiej a białej jak alabaster! Jedna maluczka kobieta, a cały świat w niej rozk@szy. Nigdy nie umiałem dojrzeć mądrości sławnego Salomona, -ale teraz widzę ją jawnie i powiadam, że był najmądrzejszy, kiedy siedemset żon trzymał na swym pałacu. Tam to musiało być jasno, tam kwietno, tam rozkosznie!... I cóż ty na to, panie bracie?

. — Tfu! i koniec; — rzekł na to łowczyc., i powstawszy, poszedł zwolna ku oknu.

Nieprzygotowany na taką odpowiedź pan Józef, umilkł na chwilę i sam nie wiedział co ma rozumieć o tak jawnie wypowiedzianej indygacyi pana łowczyca; tymczasem tamten, nierucho- memi oczyma patrząc przez okno, srodze się zafrasował. Teraz dopiero dojrzał on jasno, jaka to miłość pociągnęła Józefa ku pannie Barbarze; zmysły w nim rozgorzały, głowa się zapaliła i prócz tego nic więcej. I ażeby tak znikomemu, tak brudnemu jego pragnieniu dogodzić, on się do tyła poświęcił, — ażeby się tak nędzna chatka, wybudowana przez rozdrażnioną imaginacyą jego brata, nie zamieszкана, nie rozbryzgnęła, on najulubieńszą myśl swoją podeptał, on się wyparł swojej tak głośno i tyle razy prelegowanej zasady, on się na przycinki sąsiadów naraził, on się krw<sup>T</sup>ią związał z takimi ludźmi, którymi jakby gadem plugawym się brzydził, on na wieczne czasy wziął do domu swego kobietę, która mu ani na chwilę nie była potrzebną... to wszystko razem stanęło jemu teraz przed oczyma i szarpnęło go tak boleśnie za serce, jak gdyby go kto rozpalonem był piekiel żelazem. Ale przy największych boleściach umiał milczeć pan łowczyc. Serce jego, lubo głęboko czujące, zawsze było rozsądkowi posłusze, a rozsądek nie każe takich błędów na oczy wyrzucać, których nie może naprawić, ani się każe w żalu rozwodzić nad takimi rzeczmi, które już są niepowrotne. Więc się odwrócił od okna pan Osuchowski i usiadł spokojnie na dawnym swym miejscu.

Tymczasem stolnikowicz, ochłonawszy z swego niemiłego wrażenia, zabrał znowu głos i zapytał:

— Czemuż ci się to tak nie podobało, com dopiero powiedział, żeś aż splunął przed siebie? czy cię to razi, że twój brat dzieli się z tobą swóm szczęściem ?

. — Nie, wcale nie, — odpowiedział pan łowczyc, — ale wiesz, jak mi są przeciwne wszystkie rzeczy wszeteczne. Porównanie

chrześcijańskiego małżeństwa z siedmiuset salomonowemi żonami tak mnie obraziło, ale nic więcej.

— No! chwałaż Bogu, — odpowiedział pan Józef, — myślałem że ci si<sup>^</sup> tak niepodobały moje ziemskie uciechy. No, prawdać, że człowiek może się trochę zanadto unosi nad temi marnościami, ale komuż poszaleć, jeżeli nie młodemu i kiedy, jeżeli nie z miłą żoneczką w pierwszych czasach po ślubie? Przyjdzie czas, wszystko to minie! — dodał z westchnieniem pan Józef, ale zadrżał zarazem z obawy, ażeby kiedyś w rzeczy nie przeminęło.

— Otóż to o to idzie, — mówił zasie zwolna mąż Julii—żeby nie minęło zaprędko. Bo trzeba wiedzieć, że cokolwiek tulił swe punctum, zaraz ginie i prędko odkwita. Po opadnięciu świetnego kwiatu sucha zostaje łądyga, a skromna trawka długo bywa zielona. Mile nam smakują ogrodowe nowalie, ale kto się niemi od- razu obeżre, ten już przez cały rok potem znieść nie może jarzyny. Miara, panie bracie, miara i waga, to jest rozum tego życia naszego.

— Tak, tak, niema co mówić, — odpowiedział mąż pani Barbary, — no, ale jakżeż u ciebie, jakżeż ty szczęśliwy z twoją piękną dziewczeczką?

— Ja? jam dosyć szczęśliwy: żona mi zdrowa, wesoła dosyć, jest na potomstwo nadzieja, czegoż więcej potrzeba?

— Jak to? już jest nadzieja? <sup>^</sup> . —o |

— A zapewne, bo gdzież u kata dzieci się rodzą, jeżeli nie w młodych<sup>^</sup> małżeństwach?

<sup>^</sup> A! tak .....

— Ale chodźmy już do komnany, bo się znudzą bez nas kobiety, — zakończył łowczyc i przeszli na drugą stronę. Na tem skończyło się pierwsze młodych sąsiadek poznanie.

Tegoż dnia, późnym wieczorem powróciwszy do siebie, stolnikowicz, siedząc w poręczowem krześle przy piecu, opowiadał przechodzącej się po pokoju żonie różne sceny swojego życia. W dwa miesiące po ślubie panowie młodzi robią się bardzo rozmowni i o jakich tylko kiedykolwiek słyszeli, wszystkie opowiadają swoim paniom historye, ale panie młode i we cztery jeszcze słuchać wiele nie lubią i udając tylko uwagę, nic nie słyszą i myślą wcale o czem innem. Więc i Barbarka zgoła nic nie wiedziała co jój mąż opowiadał, a skoro tylko jakiś ustęp z bajdamackiój wojny ukończył, spytała go z uśmiechem:

— Alepowiedzno mi, panie bracie, czemu to się Osuchowski tak sekretnie ożenił?

To, że"się nagle pan łowczyc ożenił, często już w oczy wpadało stolnikowieżowi, ale że się sekretnie ożenił, o tem on jeszcze nie pomyślał ni razu. Odpowiedział więc swojej żonie:

— Nie wiem, moje dziecko, czy to tak bardzo sekretnie, wszakże wszyscy wiedzą o tem.

—'Teraz wiedzą,—odpowiedziała Barbarka,—ale przed ślubem nikt nie wiedział. Wszakżeś i ty nic o tym nie wiedział?

— Prawda, nic nie wiedziałem... — mówił, zamyślając się, mąż jój, — ale... ale widzisz moje dziecko, bo i on sam zapewne nie długo naprzód o tym co wiedział. To dziwny człowiek, ten Stanisław: nikt tak długo nad najdrobniejszą rzeczą nie będzie się zastanawiał jak on, ale jak pioruny z nieba na ziemię, tak lecą jego uczynki. Ma on nawet na to swoje osobne przysłowie, które tak wyraża:

Długo myśleć, w skok czynić, jest-to zwyczaj stary;

Tym sposobem pan hetman pogromił Tatary.

— To wszystko dobrze, — rzekła na to Barbarka, — długo myślał i w skok uczynił, ale zawsze do tego myślenia i uczynienia miał jakąś ważną przyczynę.

— A... zapewne... ale on powiada, że się ożenił tylko dla mojej kompanii.

— To głupstwo, mój kochany, Osuchowski nie taki głupi, jak się wydaje... i ani dla twojej, ani dla czyjejkolwiek kompanii nie żeniłby z jakąś tam Dziańnotówną. Wprawdzie pyszczek gładki, ale na taką wędkę nie złapałby się twój niedowiedziowaty braciszek. W tem mi się widzi coś podejrzanego...

— Ej! coś ci się także przy widuje! — odpowiedział na to Bobowski-, przyciskając żonę do piersi, — rozumek bystry, niema się czem zająć, to sobie jakieś widziadła wymyśla.

— No., no, — zakończyła z przymileniem Barbarka, — jakieś tam kawalerskie sekreta pogrzebane w tym ślubie... nie podoba mi się ta wasza Julia, choć się ładnie nazywa. ^

Dalsze dni małżeńskiego pożycia w Żernicy były jeszcze dosyć do minionych podobne, ale przecie już od czasu do czasu tu i owdzie poczęły się pokazywać malutkie chmurki na jasnym niebie dawnego szczęścia.

Pani Barbara bowiem, obeznawszy się z każdym kątem swego nowego domu i nabrawszy już dosyć śmiałości do wykonywania należącego jej prawa gospodyni, przy coraz bardziej przedłużających się historyjkach swojego męża zaczęła pomału objawiać swoje zdanie o rzeczach domu, gospodarstwa i fortuny tyczących. Od objawiania zdania przeszła pomału do rozporządzeń, a dalej do uczynku. I tak: najpierw nie podobały jój się konie cugowe, że były siwe, a ona nie lubiła tej maści, i namówiła męża, że sprzągnął kasztanowatą furmankę. Kasztany wszystkie z rodu waryaty, ledwie co sprzęgnięte, rozbiły na drobniuteńki proszek ową misterną landarę, ale to nic nie szkodziło, bo jak powiadała pani, była to i tak arka przedpotopowa.

Dalój nie podobały się pani w dwóch pokojach obicia, bo były karmazynowe, obdarto więc je niebawem i sprowadzono błękitne w złote kwiaty i pasy. Sprowadzając obicia, ażeby dobrej nie

opuścić sposobności, sprowadzono zarazem i kilkanaście sztuk różnych gratów do ozdoby pokojów. Pan stolnikowicz skrobał się w głowę, bo ta posyłka pochłonęła kilka tysięcy, ale kiedy już' to wszystko nadeszło, cieszył się bardzo, bo pani była kontenta. W krótkim czasie potem odprawiono sług kilka, bo się pani nie podobały, i temu się pan Józef nic a nic nie sprzeciwiał; ale kiedy pani zażądała niebawem, ażeby starego dyspozytora oddalił, który od maleńkiego chłopca służył w domu Bobowskich, pan Józef stanął okoniem i nie chciał na to żadną miarą pozwolić. Długi spór toczył się o to pomiędzy małżonkami, w którym przecie nakoniec pan mąż odniósł zwycięztwo. Ale dano obiad, pani do obiadu nie przyszła, dano wieczerzę, pani do wieczerzy nie przyszła, a na noc zamknęła się w swojej garderobie i nikogo nie wpuściła do siebie. Na drugi dzień wielka zgoda nastąpiła pomiędzy małżeństwem, i były tam łzy, i uśmiechy, całowania rąk i klęknięcia, — ale dyspozytor dwór porzucił a pan Bobowski musiał mu w sekrecie aż dom z gruntami zakupić w miasteczku, ażeby świat nie krzyczał na niego, że porusza w grobie ojca swego popioły.

Przez ten czas Grott bawił przy panu Józefie. Nie -siadywał on wprawdzie wiele w Żernicy, jeno gospodarował na \_ Rogach, ale pomimo to i gospodarstwem żernickiem on głównie kierował, i często się tu pokazywał.

— Kto jest ten twój Grott, mój Józefie? — mówiła dnia jednego Barbarka; — na przyjaciela zanadto lichy, na sługę za poufały. Nie chcę ani takiego przyjaciela, ani takiego sługi. Daj mu co, niech sobie idzie na cztery wiatry; ja nie mogę znieść tego człowieka.

— Ale moje dziecko, — odpowiedział na to pan Józef, — żądasz odemnie takich rzeczy, które nie są podobne, a gdyby były podobne, toby nam tylko szkodę przyniosły. Grott mnie jest prawą ręką, jabym bez niego ani tygodnia nie przeżył, a gdybym go nie miał, tobym sam musiał pracować we dnie i w nocy. Mi- nęły już te czasy, kiedy nam szlachcie pieczone gołąbki same leciały do gąbki; przemysł się wzmacnia, konkurencya wielka, gospodarstwo wymaga pracy i pilności. A Grott jest drugim mną w gospodarstwie. On mi jest sługą, bo go płacę i co mu zadysponuję, to zrobi; on mi jest przyjacielem, bo po przyjacielsku mnie od złodziejów pilnuje, i koniec końców sprawuje nieraz rzeczy takie, których żaden sługa nie sprawi.

— A zapewne! kradnie tak, jakby żaden sługa nie ukradł. Z małej pensyi tyle ma jedwabiu i złota, na sobie, ile ty sam, który masz Żernicę i Rogi.

— Moje dziecko, Grott nie miał żadnej pensyi, a miewał jeszcze więcej jedwabiu i złota na sobie, niż teraz. To jest człowiek przemyślny. A przy tórn" cały diabeł w nim siedzi. Co zechcesz, to masz z niego. Trzeba w piecu zapalić, to Grott zapali, a trzeba oracyą powieźć na sejmie, ażeby aż w pięty poszła



wszystkim senatorom, to ją Grott powie. A jaki sprytny w handlu, w spekulacjach i w innych sztukach! Powiedz sama, ktoby się tak prędko był wrócił z Krakowa i tak doskonale ci porobił sprawunki, gdyby jego nie było?

Na to Barbarka już tylko się nieznośnie skrzywiła i milcząc odeszła, a Grott jeszcze tą razą ocalał.

Takie sceny powtarzały się teraz dosyć często pomiędzy małżonkami, i srodze nieraz smuciły rozczarowującego się pomału pana Józefa, ale że każda z nich kończyła się przeprosinami i była niejako zwiastunem stałej na dni kilka albo kilkanaście pogody, więc nietylko że te chwale ponure nie psowały uczucia szczęścia rozmiłowanego małżonka, ale, przecierwie nawet, będąc tylko przemijającymi cieniami, podniosły jeszcze sobą wartość dni promienistych.

W tak dobitnej i szybkiej alternacji światła i cienia, szczęścia i zgrzyoty, rozkoszy i cierpienia, mijała rączo zima na dworze żernickim, w takich samych okolicznościach zbliżała się wiosna.

W mglistej cokolwiek, ale stałej i jednostajnej pogodzie, mijały też dnie i na małej Żernicze.

A na zahoczewskim dworze tymczasem wszystko szło po staremu. Pakosz, ministeryalnym rozumem swoim dokazawszy niemałej sztuki, bo wyswatał pannę, która już prawie nie mogła mieć za męża pójsia nadziei i kawalera, który sobie sto razy bez-żeństwo ślubował, zaraz w dni kilka po ślubie na swój urząd do Warszawy pośpieszył. Starzy tylko sami zostali, a przy ustawicznej pracy i zapobiegliwości ojca Julii i przy milczących modlitwach coraz bardziej w swoją chorobę zapadającej matki, cisza grobowa się osiedliła w tej starożytnój ruderze. Czyn tylko podły zawisł nad jej omszonymi dachami, i jak zła gwiazda, błyszczał czasami czerwonym płomieniem, -włokąc za sobą złowrózne ogony, i odzywał się w nocy strasznym głosem puszczyka i łomotał sobą, jakby straszycło po próchniejących krużgankach. Wszakże na zahoczewskim dziedzińcu nie czyniło to żadnego wrażenia. Kradzież, mord, ni zabójstwo nie paliło jego sumienia, a z wyrzutami takich uczynków on już dawno był oswojony.

Ale miały przyjść i na niego ważniejsze postrachy. Czas nieszczęściami brzemienny, kiedy się nad którą okolicą zawiesi i chojną ręką swoje czarne rozdać podarki, nierad nikogo pomijać. Więc i nad zahoczewskim zamkiem gromadziły się już chmurki zdaleka, chociaż ich nikt jeszcze nie dojrzał

Kiedy burza ma nagle uderzyć o ziemię, jeszcze ani jednej chmurki nie widać na niebie, a już ją umie przeczuć wszelkie żyjące stworzenie. I człowiek nawet, który wysoko się wzbiwszy swoim rozumem i sztuką, całkiem już zabił w sobie wrodzoną umiejętność rozmawiania z naturą, także jeszcze jest w stanie rozeznaczyć takie wstępne przegrywki przed rewolucjami żywiołów. Wtenczas bowiem, lubo piękna jeszcze do koła panuje pogoda i głucha cisza osiada na ziemi, jednak nad nią szum jakiś straszny daje się słyszeć w powietrzu; grają wichry ze sobą gdzieś w górze, jak gdyby próbowały sił swoich wprzód, zanim w szranki wystąpią, a któregoś z nich tam zwyciężony zostanie pod błękitami, pada z świstem na ziemię, a kędy padnie, rozpryskuje się przed nim na wszystkie strony piasek, jak woda przed rzuconym w nią głazem, ścielą się na ziemię zboża i trawy, opadają z liści drzewiny. W tej chwili przestaje bydło skubać trawkę pastewną, wznosi mordę: do góry, ogląda się niespokojnie i z rykiem często z paszy ucieka, do domu. Ptactwo polne się zrywa, odyma piórze i krążąc po powietrzu, ucieka ku lasom, jaskółki wartko szybują powietrze i kryją się do swych gniazdek, psy, pospuszczawszy ogony, wietrzą dokoła domów i wyją, a słońce, coraz bardziej mdlejące, coraz, czerwieniejąc, rzuca na konającą pogodę promienie.

Takie chwile, pełne duszności i niespokojności, poprzedzają nieraz spaść na nas mające nieszczęścia. Nie są one nam jasne, nie przemawiają do nas zrozumiałym językiem, nie są to duchy powstające z rodzinnych grobowców, ażeby przepowiedzieć wnukom

nieszczęścia i . przestredz przed nimi; ale są to raczój ciemne, złowieszcze przeczucia, są to owe gwiazdy czerwone z miotłami, które dawnych czasów przepowiadały pomory, głody, śmiercie królów i wojny.

Taka chwila niedobrego przeczucia nawidziła z wiosną pana Działotta. Zrzucił on z karku swego co najważniejsze ciężary, umniejszył sobie starań i trosków, i na pewnym gruncie najpiękniejsze na starość wybudował sobie nadzieje; a tymczasem właśnie teraz, kiedy córkę wydał daleko lepiój za mąż, nizeli się ostatniemi czasy spodziśwał, kiedy syn jego już ręką miał dosięgać jakiegoś znakomitego urzędu, kiedy gospodarstwo jego, umniejszywszy sobie wydatków, miało iść kilkakroć lepiej, kiedy nakoniec miały nadchodzić chwile spokojnój starości i za trudy całego życia nagrody, umysł jego jakoś sposepniał, z niewiadomych przyczyn zniepokoiło go serce, ciężki i jednostajny smutek osiadł na jego dworze, a do tego jeszcze kaźden dzień nowe przynosił ze sobą zgryzoty.

I nie umiał sobie pan Działott zdać sprawy z tych niespo- dzićwanych wypadków. Rachuba jego go omyliła i wszystko jakoś się kierowało inaczej, nizeli kierować się miało; ale dlaczego tak było, kędy była omyłka w rachubie, tego dojść nie mógł na żaden sposób. On, któren przenikliwym swym wzrokiem nieraz mury przebijał, który uchem słyśzał o kilkanaście mil naokoło, który rozumem swoim przez kilkadziesiąt lat tak umiał miarę zachować we wszystkióm, że nawet wątpliwa była o jego charakterze opinia w powiecie; dzisiaj chodził jak głupi i jednój cyfry naprzód nie umiał postawić. A im więcój myśłał nad sobą, tóm go to myślenie więcój konsternowało, tem • większa trwoga go ob- imała, tem cięższe opanowywało zwątpienie. Chociaż gdyby nateczas tylko raz się był po za siebie oglądnał, to byłby ujrział jasno, że nic złego właściwie nie było w nim, ani przed nim, ani po za nim; ale on włazłszy już raz w obłędne koło swoich przeczuć i myśli\* brnął w nich coraz głębiej i coraz bardziej ze sobą samym się gmatwał, i. nie było już dla niego ratunku. Raz na tę drogę wyszedłszy, gdyby nim nawet żadne nie wstrząśły nieszczęścia, nigdyby już do swych dawnych sił i czerstwości nie wrócił, i. juźby był spróchniał w nieruchomości i powalił się od własnego ciężaru.

Tak ludzie, wierzący w gwiazdę swojego szczęścia i niezwy- kłemi drogami do niezwykłych dążący celów, pędzą niepowstrzymaną siłą naprzód jak strzały. Z okiem patrzącem w przyszłość, póki biegną przed siebie, najgwałtowniejsze zapory ustępują przed ich palca skinieniem, a żywiły przeciwne jeszcze im żwirują go- ściniec. Raz tylko niechaj trącą o myśl obłędna, raz niech się po za siebie obejrzą, skamienieją na miejscu i już nic im więcój nie trzeba, aby runęli w tę samą nicość, z której wiarą swoją się wydobyli. Takim atoli chwilom zwykłe jeszcze w pomoc przychodzą

złe losy, nieszczęścia, wypadki, a siły niegdyś na odporność skazane, stają się czynnymi i przyśpieszają ostateczny upadek.

Gra życia pana Dzianotta nie była tak pełną i niezwykłą, ażeby bardzo głośnym miał być jakikolwiek jej ustęp. Tu się toczyło to wszystko na bardzo małą skalę, co u innych bywa toczonym na wielką, ale i tutaj jednak konieczność odegrała zwykłą rolę. Chwila jego zastanowienia się w pędzie tego sztucznego życia, chwila namysłu nad sobą i zmienienia dawnego trybu sterowania swą łódką, ubezwładniła w nim wszelką siłę żywotną, pokrzyżowała wszelkie dawne drogi i ścieżki, postawiła od razu nad przepaścią moralnego i materialnego upadku, a tuż zaraz w pomoc się pojawiły nieszczęścia.

Jakoż zaraz na wiosnę zaniemogła żona jego zupełnie. Posłano po lekarzy, podwojono starania, ale śmierć już stała u łóżka.

Spokojnie, bez skarg, bez jęków, błogosławiąc swą córkę i żegnając się z mężem, umarła ta pani z początkiem maja. Julia była nieutuloną w żalu, płakał rzewnymi łzami pan Dzianott.

Kiedy już była wszelka pewność że umrze, posłał on sztafetę do Warszawy po syna, a kiedy umarła, rozesłał po całej okolicy listy zapraszające na pogrzeb. Pakosz wszakże wymówił się obowiązkami służby, niedawno co brany i przetrzymanym urlopem, a nawet coś wspomniał o zmienieniu się dla niego jw. ministra, a więc i o wynikającej ztąd potrzebie podwojenia pilności i nie przyjechał; ale szlachta także nie przyjechała na pogrzeb. I odbył się ten obrzęd tak ponuro, tak smutno, że wyglądał prawie jak łowczykowe wesele, a nie było to we zwyczaju tamtemi czasy. I najędźniejsze to już było ubóstwo, kto nawet gości miśc nie mógł na stypach. Czuł to całym sercem pan łowczy i srodze był smutny i zindygowany na tym pogrzebie, ale czuł to także i teść jego i rwał sobie włosy z głowy, nie tyle z żalu za żoną, ile z bólu nad sobą.

Ale na, razy takie, które komuś zadaje opinia publiczna, nic masz podobno ratunku; nie pomoże tam ani płacz, ani jęk, ani włosów rwanie. Wielowładna ta pani po macierzyńsku pieści swych ulubieńców, ale po dlabelsku obchodzi się z tymi, których nienawidzi, i chłoszcząc ich ustawicznie, miliony uszów swoich na ich jęki zatyka, a milionami ust ich niecierpliwość wyszydza. I prędzej podobno chłoszczącą jój rękę odwróci od siebie ten który za to plunie jej w oczy, niżeli ten, który wijąc się w bólu, chce jej miłosierdzie wyżebrać. Ale pogardzenie opinią publiczną, także to lekarstwo nie dla tych, którzy przez zwątpienie o sobie, przyprowadzili się do upadku.

Więc rwał sobie włosy pan Dzianott i jęczał z boleści, a kiedy po pogrzebie do domu powrócił i został sam w tem pustym zamczysku, sam, z upadającym swym duchem, z pogmatwanymi myślami swymi i z puszczykami gnieźdzącymi się na poddaszach i basztach, to nie było nędźniejszego człowieka nad niego.

Jaki był stan jego duszy, jakimi głosami się w nim odzywało sumienie, jakie mu na to- rady dawał blakający się jego rozum, nikt nie jest w stanie odgadnąć, bo nikomu nie jest znane dawniejsze życie Działoty. Któż więc, jakie z przeszłości wołały dzisiaj doń głosy, jakich cienie uczynków wstawały przed jego pamięcią, jakie dusze pukały do jego sumienia? nikt tego nie wie z pewnością; to jednak pewna, że podczas tój jego samotności, po śmierci żony, różni ludzie się zaczęli jawić na zamku. Rankiem widziano chłopów, którzy pustkami pozostawili swoje chaty i grunta, niegdyś puciekali z Zahoczewia, a dzisiaj w brudnych strzępowatych lachmanach, żebraczami kijami pukali do drzwi zamkowych ; w południe widywano jakąś kobiętę, która z dwojgiem dzieci obdartych i nędznych kręciła się po galeryi i przypominała się przechodzącym, jako jest żoną onego podstarościego, który niegdy służył na Zahoczewiu, a później, bydło swoje i wszelki dobytek pozostawiliwszy, wyścigany został za kopce graniczne; wieczorami stawał jakiś starzec w wyszarzanój kapocie przy bramie, który się powiadał bratem tutejszego dziedzica, mającym prawo do połowy Zahoczewia, i opowiadał przytóm historiją, jako małym chłopcem tu mieszkał przed laty, jako poszedł potóm na służbę, jako późniój przez lat kilkadziesiąt służył w wojsku kró- lewskiom, jako nieraz z wojska grosz swój krwawo zapracowany posyłał swojemu bratu dziedzicowi, jako mu-posłał swoją malutką siórotkę na wychowanie i sam głodem przymierał w obozach, a posyłał grosze dla dziecka: gdzież te grosze, gdzie dziecko, gdzie wsi mojej połowa?

Takie i tym podobne subjekta jawiły się teraz ustawicznie na zamku. Ku jednym wychodził pan Działota do sieni i tam z nimi rozmawiał, z drugimi się zamykał w komnatach na długie godziny; trzecich kazał z dziedzińca wypędzać. A kiedy został sam, chodził smutny, ponury, i albo głośnie sam ze sobą rozprawiał, albo się rzucał na kolana przed przenaświętym obrazem, i patrząc weń jako w tęczę, długie tak trawił godziny.

Wstawszy od niemej modlitwy, szedł, i w gospodarstwie wydawał rozkazy. Ale ludzie się nadziwić nie mogli, jakie nieraz z ust jego wychodziły sprzeczności, jak i tych sprzecznych, już po staremu sam nie dopilnował rozkazów; jak mało dbał o zasiewy, jak się już prawie nic nie troszczył i jak wszystko dokoła upadło i gniło. Jedni widząc to, powiadali że pan ma jakieś kancelaryjne zajęcia, drudzy, że nazbierawszy pieniędzy, usiadł na nich i nie dbał o resztę, trzeci utrzymywali, że go śmierć żony tak głęboko dojęła, że mu aż życie niemiłe; ale inni, zastanawiając się bacznie nad wszystkióm, szeptali z cicha po kątach: — Broił całe życie rozumem, otóż i p<sub>a</sub>n pokarał go na rozumie.

A kiedy tak osamotniał dwór z<sup>h</sup>oczewski, dziedzic jego codziennie stawał smutniejszym i coraz bardziej upadał na duchu, niszczały po oborach dobytki, pustkami stawały pola,— dnia

jednego wieczorem, prosty wózek półdrabny zajechał śmiało przed sarną galeryą. Do wózka były zaprzężone dwa chłopskie koniki, a na nim pomiędzy kuframi i skrzyneczkami, na wiązce słomy, siedział syn pana Działoty, Pakosław.

Zajechawszy, zlął z wózka, ale nie odstępował od niego, jak gdyby się bał, żeby go nie okradziono w domu ojcowskim, jeno ludzi zwoławszy, kazał rzeczy pozabić i wraz z nimi poszedł po wschodach na górę. I pchając swoje manatki przed sobą, przeszedł jedną izbę, i drugą i trzecią, aż gdzieś w ostatniej narożnej zastał ojca siedzącego samotnie w kącie, trzymającego głowę swoją nad stolikiem w obudwóch rękach i srodze zamyślnego.

Pan Działota, obaczywszy Pakosza, zerwał się, przetarł oczy, stanął na chwilę zdziwiony, lecz potem z głośnym płaczem rzucił mu się na szyję. Była to jedna gwiazda, która wejść mogła na jego chmurnem niebie i weszła. Nastąpiły więc powitania i uściski i łzy, a wszystko nie skłamanie i z serca. Pan Działota bowiem szczerze był rad przyjazdowi swojego syna, — jakoż niedo- puściwszy go prawie do słowa, opowiedział mu wszystko co mu ciążyło na sercu. Pakosz zrozumiał doskonale położenie swojego ojca, może mu nawet ten wypadek właśnie był teraz na rękę; nie frasował się więc nadto, ale zawsze, lubo przyrzekał wszelką pomoc od siebie i dawał nadzieję otrząśnięcia się z tylu pretensyj i nagabywań różnych ludzi, nie zabijał w swym ojcu tego przekonania, iż to wcale, niesłodkie jest położenie i bardzo skomplikowana historia. Pocięszywszy się jako tako, pan Działota jednak nakoniec niepomału się zadziwił nad Pakosza przyjazdem. Tu dopiero opisał, że się od swojej służby nie może oderwać i po błogosławieństwo konającej matki nie przyjechał, a tu nagle się jawi bez żadnej przyczyny.

Hubo przybycie syna zawsze sobie miał za bardzo szczęśliwe zdarzenie, jednak ta uwaga zniepokoiła go cokolwiek — zniepokoiła bardzo i zaczął w tym przeczuwać coś niedobrego. Iż daleka jęł o to wypytywać Pakosza. Ale Pakosz nie miał na to pewnej jasnej odpowiedzi. Plótł ni to ni owo przez długą godzinę i jak mógł tak pmijał właściwe swojego opuszczenia Warszawy powody. Powiadał tylko, że od czasu jego powrotu do biura, zaraz się zaczął mienić w łaskach pan minister dla niego, że mu ktoś tam stołka przystawił, że nielaska potem zaczęła się zmieniać w prześladowanie, że przez to tracił chęć do pracy i obrzydziła mu się ta służba, a nakoniec opowiedział jakąś historią, że niby gdzieś jakieś pofalszowane dokumenta miały się zjawić między ministeryalnymi aktami, że ktoś tam śmiał jego obwinąć o udział w tym haniebnym uczynku, że pan minister, któremu tak wiernie służył przez tyle czasów, nie ujął się za nim w tym wypadku, że go to zindygowało, że wziął urlop na czas przydłuższy i sam jeszcze nie wie, ale może być, że już całkiem nie wróci.

Śród tego opowiadania, ojciec często spoglądał na syna i różne

mu się snuły domysły po głowie, ale nakoniec westchnął tylko i rzekł:

— Ha! stało się; dajże Boże, żeby tylko co gorszego jeszcze z tego nie było.

Odtąd częste i długie toczyły się pomiędzy ojcem i synem rozmowy. Do tych rozmów zamykali się oni w narożnej komnacie i nikogo nie przypuszczali do siebie, a rozmowy te musiały się toczyć o jakichś Ważnych rzeczach, kiedy pomimo to, że ich już dwóch teraz było, gospodarstwo tak leżało odłogiem, jak pier-wój. Stary Działott nawet coraz rzadziej się pokazywał w dziedzińcu a Pakosław, rozmawiając z ustawicznie na dwór zahoczew-ski cisnącymi się ludźmi, nie raz twierdził jaknajwyraźniej, że bjeciec jego wyjechał na Żmudź czy na Litwę, gdzie na nich po jakimś stryju niespodziewana spadła spuścizna.

Wkrótce potem wieść się rozniosła po okolicy, że Pakosław . kupił Zahoczewie od ojca; prawny dokument, sprzedaż tę zaświadczający, został po wszelkiej formie wniesiony do akt grodzkich sanockich, a pan Działott, pożegnawszy się z córką i zięciem i mówiąc, że do krewnych żoninych na czas dłuższy wyjeżdża, zniknął nagle, jak gdyby go nigdy nie było.

Niespodziewany ten wyjazd teścia, zrazu prawie nic nie obszedł łowczyca. On tego człowieka ani lubił, ani nienawidził, pogardzał nim tylko z daleka jako lichem stworzeniem, ale i to uczucie tłumił w sobie o ile mógł i starał się tylko być zimnym i obojętnym. Wyjazd ten nawet byłby go pocieszył pod pewnym względem, gdyby wzamian za ojca nie był dostał w sąsiedztwo szwagra. Do tego ministeryalnego aplikanta bowiem czuł on niepowściągniętą antypatyą, a ta antypatya nietylko zasadzała się na tem, że Pakosz nosił perukę i wążkie pluderki, chociaż i tego byłoby podobno już dosyć, ale pan łowczyc całość tej figury jakoś znieść nie mógł. J<sup>^</sup>ie wiedział czemu, ale wyraźnie coś go odrzucało od niego. Deliberował tedy różnie nad tém mąż Julii, który lepszy: stary Działott czy Pakosz? ale że całą rzecz tę zbyt mało sobie ważył, nie zdecydował nic i przestał deliberować.

Ale tymczasem rozniosła się wieść o formalnej sprzedaży wsi Zahoczewia; łowczyc i to za nic sobie uważał\* i nic w tém nie widział, ale widzieli w tem wiele sąsiedzi. I zrobili na to uważnym łowczyca i powiedzieli jaknajwyraźniej: Stary Działott sprzedał synowi Zahoczewie, ażeby od sukcesyi wykluczyć i z kwitkiem puścić twoją żonę. Jest w tém sztuczka ministeryalna, wszystko to Pakoszowa robota. Miej się zatem na ostrożności, dopóki czas \* jeszcze, a może teraz już jest i po czasie, bo transakcyja Zahoczewia jak byk- stoi już w aktach

Ta uwaga poruszyła trochę pana łowczyca; nie chodziło jemu tak bardzo o wiano żonine, onby je był bez wahania się zaraz Działottom darował, gdyby był wiedział, że to do ich zbawienia

potrzebne; ale dać się oszukać, dać sobie coś wydrzeć podstępem i żeby za to jeszcze miała spaść hańba na krewnych jego żony, tego znieść nie mógł. To mu się nawet w głowie pomieścić nie mogło i nie dawał wiary temu, chociaż już wszyscy o tym mówili. Przedstawił też tę całą rzecz Bobowskiemu jako tak sławnemu legiście i jego opinii zasięgnął. A Bobowski, rozpatrzywszy się w tój sprawie dokładnie, tak mówił: •

— Panie bracie! pomimo to że znam się na prawie, ja ci tu nic pewnego powiedzieć nie umiem. Albo ludzie mają w tsm prawdę co gadają, albo nie, mają. Tu bowiem wszystko od tego zależy, jaka jest wola Dziańottów, a tój jeszcze nie znamy. Wszakże wątpić godzi się o tsm, ażeby chciał ojciec córkę, brat siostrę obdzierać z majątku. I

> — Jakto? a prawo? — zapytał łowczyc. •

— Prawo tu już nie ma nic do gadania. Bo jak tylko stary Dziańott sprzedał Zahoczewie synowi, a ten z tranzacją formalną jako dziedzic siadł na gruncie i w aktach, to jakież ty prawo możesz mieć do majątku Pakosza?

— Tak? to mnie widać obdarli! — zawołał łowczyc.

— A! to jeszcze nie wiedzieć,— odpowiedział Bobowski;—bo chociaż Pakosz ma na to dokument, że jest wsi właścicielem, jednak w tym dokumencie może być jeszcze założony warunek, że ma spłacić tyle a tyle swej sipstrze.

— Kata tam! powiadają że .niema żadnego' warunku.

— To trzeba obaczyć,—odpowiedział jurysta—w takich rzeczach niemożna się spuszczać na cudze oczy. A gdyby nawet nie było żadnego warunku, to może ten warunek założony jest ustnie...

— "Oho! tyleby też go dopełnił ten krętacz warszawski!...

— Poczekaj-no, ten warunek może być założony i na innym papierze, który stary Dziańott zachował u siebie, a na prośbę Pakosza nie wciągnął w akta. Bo i tak bywa.

— To byłby go przecie ojciec oddał mnie albo córce, a nic nie oddał.

— A zresztą może tu zachodzić jeszcze i taki wypadek, że ta sprzedaż jest tylko zrobiona na oko a drugą znowu tranzacją od Pakosza na siebie, ma stary Dziańott w zanadrzu. Kto to więc? być może, że Pakoszowi akt ziemskijsj posesyi był do jakiego urzędu potrzebnym, być może że dla kredytu, być może że stary miał długi i obawiał się, że mu za nie kt;o ziemię zahaczy, albo zresztą i co innego, bo to różnie bywa na świecie, a w prawie nie wszystko jeszcze jest 'consumatum, co stoi czarno na białem, a choćby też nawet i w aktach. W każdym razie trzeba pogadać z Pakoszem, ale wyraźnie i finalnie, bo jeżeli w tem jest rzeczywiście jakie oszustwo, to możebyśmy. coś na to pomogli. Niechby choć raz się przydały nieboszczyka ojca nauki, które, jak mnie Bóg miły, jeszcze mi tak tkwią żywo w pamięci, że za głowyby



się brała palestra, jakbym się odezwał z za kratki. Jeźdź tam i przywoź czempredzej rezultat.

N Pakosz tymczasem, odebrawszy wieś w posiadanie, jako to młody, pełen ufności w swój rozum, w swoje siły i worki naładowane pieniędzmi, zawinął się koło gospodarstwa z całą energią. Kilka tygodni dopiero minęło, jak ojciec jego odjechał, a już cała wieś wyglądała jak inna. Pełne była obory, pełne koni stajnie, pola zasiewane chód cokolwiek zapóźno, łąki pokoszone zawczasu, i wszędzie pełno ruchu, pełno życia i pracy. Aż się zapomniał pan łowczyk, widząc taką odmianę, a ledwie swoim oczom uwierzył, kiedy ujrzał Pakosza, którego ręce małe, prawie tylko do pióra zdawały się być stworzone, pokazującego parobkom płoty grodzącym, jak chrust mają zaplatać, ażeby ściana była gęsta i trwała. Widok ten nawet ujął go trochę dla swego szwagra, bo czyż może źle zalecać młodego człowieka pracowitość i dbałość? Przystąpił więc z koniem do niego i: — Daj Boże .szczęście! — zawołał.

— Daj Panie Boże! — odpowiedział Pakosław, ale obaczywszy łowczyca, rzucił się jemu w objęcia i serdecznie ale z pewnym uszanowaniem go przywitawszy, począł go oprowadzać po swoim gospodarstwie, opowiadając przytóm ze szczegółami wszystko, co zrobił dotychczas, co jeszcze zrobić zamysła, i zasięgając rady szwagra w niektórych materyach.

Wszystko to niezmiernie się podobało Osuchowskiemu, a nie mogąc się dosyć nadziwić przezorności i rozumowi człowieka, który ♦ rego dotychczas tylko za sprytnego i żydostwem trącacego miał pisarczyka, chwalił go w oczy i mówił:

— Panie bracie! nie musiałeś ty mieszkać na rynku warszawskim, tylko gdzieś na przedmieściu, gdzie to gospodarują na polu, tak jak u nas w ogrodzie; bo gdziebyś ty się takiego rozumu nauczył. Ta to, jak mnie Bóg miły! nam starym wygom, którzy cały dzień siedzimy w bruździe, a całą noc śpimy w stajni, je- szczeby do ciebie iść na naukę. O! panie bracie, daleko ty zajdziesz, kiedy ty tak zaczynasz.

— Jakże mnie to raduje, — rzekł na to Pakosz, — że mnie waszmość dobrodziej chwalisz tę lichą robotą. Będzie to zachęcenie dla mtiie i da Bóg, na co się przyda. Prawdę bo mówiąc, nie było już innego ratunku. Ojciec mój już ód lat kilku nieosobliwie prowadził to gospodarstwo, ale teraz od śmierci matki tak się już jakoś opuścił, że aż strach było patrzeć. Za lat kilka byłoby pewno ani śladu nie zostało z całej fortuny, zwłaszcza przy interesach. Ja tóż właściwie tylko na dni kilkanaście za urlopem tu przyjechawszy, ot ! aby pocieszyć trochę ojca po śmierci matki, anim myślał zasiadać na Zahoczewiu. Ale obaczywszy co się dzieje, pomyślałem sobie: Służbę moją kto wie, jak doprowadzę daleko? tam nie popłaca uczciwość i praca, tam nie można iść prostą drogą, tam potrzeba koniecznie lizania się, pochlebstwa, in

tryg-, a między nami mówiąc, nawet poprostu podłości, — a ja tego wszystkiego nie umiem. Bóg widział, ile nieraz głowy musiałem sobie nałamać nad tó'm, ażeby służąc panu, zręcznie się wymówić od służb takich, którymby się nie poddało serce uczciwe chłop'a, a nie dopićro szlachcica. A i tego' wykręcania się je- szcem znać dobrze nie umiał, kiedym przez lat tyle nie potrafił sobie radzić na łaskę pańską i na jaką taką prbmocą. A cóż dopiero mówić o tem, żebym się miał nauczyć i nakłonić do owych tysiącznych sztuk i podłości, któremi tam się fory tują subjekta? Nigdy podobnoby nic z tego nie było. Owóz tak myślę sobie: ja tam uganiam się za splendorami, które może mnie nigdy nie dojdą, a tu fortuna gotowa już stoi na krawędzi. Czyż nie rozumniej sza jest ratować i ulepszyć gotowe, niżeli uganiać za-łaską pańską, króra jest jak pogoda marcowa? Mając tóz jeszcze do tego parę groszy gotowych, ręce zdrowe i głowę jaką taką na karku, zdecydowałem się prędko, a porzuciwszy one pisarczyko- stwo, prawdę mówiąc, nawet mojemu sercu przeciwne, zasiadłem tu... no i Bogu dzięki, nie najgorzój się dzieje, kiedy waszmość mnie chwalisz.

Taka mowa Pakosza, którój z pewnóm nawet ukontentowaniem co do słowa uwierzył łowczyc, bardzo go chwyciła za serce. Zastanowiwszy się jeszcze cokolwiek nad tem,' nie mógł on się dosyć nadziwić swojój lekkomyślności, z jaką tego tak pełnego najlepszych chęci i rozumu człowieka znienawidził bez żadnój przy- czyny. A im więcój się z nim rozgadywał, tóm śpiesznić z jego serca znikala wszelka dawna przeciwko szwagrowi nienawiść a zapalało się współczucie i miłość, a to do tego stopnia, że kiedy weszli do górnych pokoi i w Pakoszwój izdebce zasiedli, to pan łowczyc już tak był uniesiony dla niego, że gdyby był o sprzedaży Zahoczewia ze stolnikowiczem nie rozmawiał, i nie obiecał mu wyraźny i finalny o tej sprawie przywieść od Pakosza rezultat. to byłby już nawet nie żądał od niego wyjaśnienia tej niepewnej materii.

Poczynając atoli rzecz swoję o nią, przystępował do tego z wielką delikatnością, i bojąc się tego, ażeby poświęcającego się ratowania familijnój fortuny szwagra na samym wstępie nie zraził, tak rzekł do niego:

— Cieszę się z tego bardzo, mój kochany Pakoszu, że zastaję w tobie całkiem innego człowieka, niżeli ten, któregom dotychczas widywał. Nieprawdziwe to było przeczucie we mnie i przesąd, który się do twojój peruki przywiązał. Daj Boże, ażebym odtąd coraz więcój znachodził powodów do kochania i szanowania ciebie, com już począł dnia dzisiejszego. Ale tandem przyznać się muszę, że mam i interes do ciebie.

— Słucham pana brata — rzekł na to Pakosz — i. wyznaję, że za-największe szczęście to sobie mióc będę, jeżeli mu w czymkolwiek usłużę.

. ■ —  
ł 1  
—

— Owóż tedy, — rzekł na to łowczyc z ciężkiem westchnieniem, — wiadomo jest tobie, jak ja niewiele sobie ważę wszelkie ziemskie majątki. Nigdy mnie nikt nie dojrzał uganiającego za groszem i nikt w tóim już mnie nie dojrzy. Wiósz zresztą sam, że chociaż mało mam, żyjąc uczciwie, a wedle' staniku, i na tem mam dosyć, a twojóij siostrze snać nie gorzej jest u mnie, jak jej bywało doma.

— A dla Boga, — zawołał Pakosz, gdyby i za senatora była wyszła, nie rozumiem, żeby jej mogło być lepiej.

— Owóż tedy nie zechcesz mnie posądzić, ażebym, tykając spraw ojcowizny i wiana, czynił to przez łakomstwo, w czem niechaj mnie jeszcze i to otwarte wyznanie wyświadczy, że jakom dotychczas nic od was dla mojsój żony nie żądał, tak i dzisiaj nie żądam. Ale wiesz, co to są ludzkie języki; kiedy się wezmą do kogo, kamieńby poruszyły, kiedyby się na niego uwzięły. Poruszyły tóż one i mnie, chociaż prawie jestem jak kamień na takie rzeczy. Idzie tu tedy o to, że wieść o ustąpieniu Zahoczewia tobie przez ojca rozniosła się po całym powiecie, i nic to jeszcze, ale do tój wieści łączą się i wraz z nią chodzą takie paskudne o waszych względem mojej żony intencyach domysły, że mnie to nakoniec znieczierpliwiło i postanowiłem z tobą rozmówić się o tem.

— Hm! mój Boże! — rzekł na to Pakosz ze żalem, —i cóż powiadają ?

— Powiadają poprostu, — odpowiedział łowczyc, — żeście na to te jakieś tam porobili pomiędzy sobą tranzakcye, ażeby moję żonę od wszelkiój po ojcu sukcesy i odsunąć.

— Mój Boże! — westchnął jeszcze raz na to Pakosz i z uprzedzającą grzecznością tak mówił dalej: — Cieszy mnie to bardzo, że mnie waszmość dobrodziej sam zapytujesz o to i że mnie podajesz sposobność wypowiedania się z tego, co mnie bardzo ciąży na sercu, a czegobym z własnego popędu snać nie tak prędko był dopełnił, chociażem był powinien. Bo, jak mego ojca wstyd powstrzymywał od tego, ażeby tę nieszczęsną sprawę przedstawić waszmości, tak i mnie wstyd powstrzymywałby był dopóty, dcpó- kibym jój był nie postawił na nogi. Bo, panie łowczycu dobrodzieju, wy wyobrażenia nie macie, do jakich fatalnych rezultatów przyprowadził mój ojciec tę swoję fortunę. Pracował przez lat kilkadziesiąt, kręcił się jak wąż, zapobiegał wszelkiemi siłami i jam myślał, że Zahoczewie jest czyste i prócz niego jeszcze z kilkanaście tysięcy w komorze — a tymczasem, czy uwierzycie wy temu, że jakeśmy się obliczyli dokładnie, to się pokazało, że więcej jak trzy czwarte wartości jest długów? Inwentarze porujnowane, gospodarstwo zniszczone, szpichrz pusty, a gotowizny ledwie tyle, że miał ojciec za co na tę tam Litwę pojechać. Ale to jeszcze nie dosyć; oprócz długów bowiem, na które są skrypta po ludzkich rękach, mnóstwo jeszcze po świecie do. niego pretensyj. Ażem się wziął za głowę, kiedym obaczył, jacy to ludzie i z ja-

kiemi żądaniami poczęli się jawić na zamku! Owóż chłopci jacyś, którym grunta na dwór miano zabrać tam kiedyś, potem podstarościna, której mężowi nie wypłacono kilkuletnich zasług i zabrano dobytki, więc Żydzi, którzy mieli dać ojcu jakieś woły na wiarę, aż nakoniec i brat stryjeczny ojcowski, który sobie rości pretensy do połowicy Zahoczewia, i nadto jeszcze powiada, że ma sumy gotowe u ojca. Ażem łzami krwawymi zapłakał, kiedym to wszystko obaczył, bo cóż począć w takim wypadku? Należy się ludziom, oddać trzeba, niechże więc biorą sioło — a już dla ojca chyba tylko kosztur żebraczy i droga w świat za oczy, bo kiedy by to chcieć wszystko wypłacić, to i dwie takie wsieby nie wystarczyły. Ale rozmyśliwszy sobie tę rzecz całkowicie, przyszła mi ta myśl nagle, że gdzieby to być mogło, żeby ojciec, gospodarując jako tako i żyjąc z wielkim rachunkiem, przyjść mógł do takich długów? Czy podobna jest, żeby człowiek, który wziął po ojcu wieś mało że nie czystą zupełnie, po żonie kilkanaście tysięcy, gospodarował dobrze, spekulował szczęśliwie, żył bardzo pomierne, gości nie miówał, styp nie wyprawiał, sam siedział w domu, jadał po gospodarsku, trunków prawie nie pijał, żeby taki człowiek na końcu życia prawie dwa razy swoją fortunę utracił? Poczęłem się tedy rozpatrywać w każdej sprawie z osobna, powypytywałem ojca o wszystko, przeglądnęłem jego papiery — i cóż mi się pokazało? Oto że ojciec sam, sobie we wszystkiém poczynając uczciwie, za uczciwych miał także tych wszystkich, z którymi miał sprawy, ufał im po nad miarę i to go teraz przyprowadziło do zguby.

— Jakże to, panie bracie?

— To jest rzecz bardzo prosta, — powiadał dalej Pakosław — a chociaż wszystkiego panu bratu nie wyłożę jakby na dłoni, boby na to potrzeba kilka dni czasu, ale przecie dam jakieś wyobrażenie. Więc np. chłopci się upominają o grunta i powiadają, że to ich były. Prawda, siedzieli na nich, ale to były miarki, które ojciec sam odciał z dworskiego ładu i ich tam pod pewnymi kondycjami sam już osadził. Nie dopełnili kondycji ojciec grunta odebrał; czy jest co słusniejszego na świecie? Dalój, podstarościego odprawił, należyłość zapłacił i nie wziął kwitancyi od niego, bydło od niego za gotowe pieniądze zakupił i wypłacił pieniądze. Teraz podstarościna, podbechtana przez kogoś, upomina się o swoje bydło, mówiąc że jśj mężowi jedno zostało zatrzymane, drugie gwałtem zabrane. A tymczasem jak byk stoi w kalendarzu ojcowskim z onego roku notatka: Dnia tego i tego odprawiłem Karkiewiczza, wypłaciłem mu reszty zasług złp. 130 gr. 14 — a że za bydło mu gotowizną zapłacił, jest na to dwóch świadków. Ale zaraz to waszmości pokażę.

To rzekłszy, Pakosław poszedł ku szafie, która stała w rogu, izdebki, i wydobywszy z niej olbrzymi fascykul luźnych papierów, rejestrów i kalendarzów, położył koło łowczyca na stole, a mó

więc dalej, prezentował swojemu szwagrowi przy każdym twierdzeniu odpowiedni dokument, notatkę w kalendarzu, albo pozycją w rejestrze.

— Pożyczył ojciec -od pana Jackowskiego dwanaście tysięcy na trzy lata i wydał mu na to skrypt. Po trzech latach oddał ojciec tę sumę cio grosza. Pan Jackowski przez lat parę potem siedział cicho i nic nie mówił, teraz nagle wyjeżdża ze swoją pretensją i pozywa ojca do sądu. A cóż to jest, panie bracie? — spytał Pakosz łowczyca, dając mu papier jakiś do ręki. Łowczyk papier obejrzał i rzekł:

— A prawda, skrypt twojego ojca wydany Jackowskiemu na dwanaście tysięcy.

— Takież sam wypadek, — mówił Pakosz znowu, chowając ten dokument a biorąc inny, — mamy i z panem Tarnowieckim. Wziął od niego ojciec dziewięć tysięcy na i pięć i dał skrypt na to. Skrypt ten czyli darował, czy sprzedał nieboszczyk panu Konieckiemu nieboszczykowi i dał mu do odebrania tej sumy pełnomocnictwo na piśmie. Ojciec tę sumę wypłacił panu Konieckiemu do ręki, świadkiem tego jest pan Jermołowicz, który jeszcze ojcu na wypłacenie tój sumy dopożyczył był dwa tysiące. Teraz sukcesorowie pana Tarnowieckiego upominają się o ojcowskie dziewięć tysięcy i wjechał już z tą pretensją do ziemstwa. Skryptu ani oni nie mają, ani go niemasz w ojcowskich papierach, ale ządzeż jest tutaj owa panu Konieckiemu wydana plenipotencyja ?

— Hm! prawda! — rzekł na to łowczyk, oglądając dokument.

— Ządzeż, — mówił dalej Pakosz, pokazując palcem notatkę w kalendarzu, — tutaj te słowa: Die 24 ij unii pożyczyłem od imć pana Jermołowicza dwa tysiące złp. 'na rok jeden, i temi pióńgami zapłaciłem dług Tarnowieckich do rąk imć pana miecznika. Dalój, — ciągnął znów Pakosz, kładąc na swoje miejsce kalendarz, — wyjeżdża stryj pana brata, imć pan cześnik bielski, na. nowo z swojemi pretensjami o haszcze zahoczewskie.....

— Jaktó! — zawołał łowczyk, — a wždy się już raz pogodził!

— Pogodził się, ale teraz wzięwszy na kiel z niewiadomych powodów, renomował sprawę w sądach podkomorskich, i jako słyszę, ma niebawem zyskać już provisorium.

— A! to się nie godzi! — zawołał łowczyk, — poczekajże, to ja pojedę do pana cześnika.

— I owszem, proszę, ale wątpię, żeby to się na co przydało, bo stary wyga i twardy. Młode latka strawił w palestrze i podobno nie ladajakich sztuk tam dokazywał; dziwne rzeczy powiadają mnie o nim. Ale to zresztą mniejsza; ojciec karki kręcił za temi chaszczami, a to trzech groszy nie warte. Kapitał niewielki, od niepamiętnych czasów in contr ov er sta i martwy, bo nic zgoła nie niesie. Mammy my tu ważniejsze rzeczy. Jest jeszcze sprawa

z Balami o trzydzieści i kilka tysięcy, która się jeszcze od tego czasu datuje, jak mój ojciec trzymał Nowotaniec dzierzawą i administrował przytóm Płonne i Szczawne. Spało to wszystko przez lat prawie trzydzieści, a teraz czy zakłete przez kogo, czy co, także rwie się do światła. A rzecz to taka.

Tu opowiedział Pakosz całą tę sprawę balowską, a po niej jeszcze i kilka innych, a podczas kiedy każda z nich coraz więcej była powikłaną i coraz mniej czystą ze strony starego Dzia- notta, nie było przecie ani jednój takiój, któraby w ustach Pakosza jiiie wydawała się sprawiedliwą i jasną, i tylko przez złość i chytróść strony przeciwnój, a przez zaniedbanie się ojca, do takiej komplikacji wyrosła. Opowiedziawszy te sprawy, począł Pakosz znów inne, aż mu nareszcie rzekł łowczyc:

— Ej! daj pokój, panie bracie, tym opowiadaniom, bo ani mnie tćm ubawisz, ani ja ci na to poradzę, a że licho jest koło Zahoczewia, widzę dostatecznie z tego, com już dotąd wysłuchał. A chociaż im więcej słyszę, tem więcej rosnę dla ciebie w szacunku, że się poświęcasz tym rzeczom, jednakże śmiem wątpić o tćm, żebyś ty przy najlepszych chęciach i głowie najtęższćj wyszedł z tem wszystkióm na czyste pole.

— Prawda, — rzekł Pakosz, — ja sam, kiedy się tak na to wszystko popatrzę, jaki tu chaos jest przedstworzenny, nieraz wszelką chęć tracę, a nawet nadzieję. I myślę sobie czasem, kto. wie, czy ja w tej gmatwaninie jeszcze sam gdzie karku nie skręcę

I czy włożywszy w to pracę i te kilka krwawo zapracowanych rba, może i głodem na sobie wymorzonych groszy, po latach kilku nie wyjdę ztąd na ten sposób, jak wyszedł ojciec? i kto wie, aza- liby może nie lepiój porzucić to wszystko, niechaj się dobrem na- szem nakarmią sądowi pieniacze i palestranty, a samemu wziąć gdzie dzierzawę, i kiedy pracować, to już pracować na swojóm? Ale znowu mi chodzi o ojca, ba, chodzi o siostrę. Jakżeż starego, który koniec końców kiedyś powróci, zostawić w tćj oplakanej pozycyi, żeby aż musiał osiadać przy mnie albo przy was na łasce? No, wprawdzie, jabym tego nie przeniósł nigdy na siebie, żeby on się stał ciężarem waszmości i oddałbym jemu ostatnie; ale cóż . ztąd za konsekwencye ? Drugie i co ważniejsze, ja aż się trzęsę z obawy, żeby do tego nie przyszło, żebyście wy z ojcowskiej fortuny nic nie wzięli za moją siostrą. \* Myśmy się stali waszego ożenienia powodem, myśmy was prawie gwałtem w to pociągnęli, ja sam, prawdę mówiąc, z miłości dla mojej Julci kochanej, także dobrze do tego przyłożyłem mej ręki, chociaż zupełnie nie wiedziałem, że to się o was oprze; więc jakżeby mnie teraz to prze- rtieść na sobie, żebyście wy z kwitkiem odeszli? Nie, ja znam siebie, jabym był najnieszczęśliwszym z ludzi, jabym się zagryzł ze wstydu.

— Ej! o to się najmniej turbuj, mój bracie, — rzekł na to łowczyc, — twoja siostra nie potrzebuje posagu i możesz być

pewnym tego, że póki mnie stanie, bez bótów będę chodził a jej na niczóm nie braknie.

— Dziękuję wam, panie bracie! — zawołał na to Pakosz, ze łzami w oczach, całując i ściskając łowczyca — wiem ja dobrze, ile w was jest szlachetności, ile dobroci dla tój poczciwój Julci, i wiem, "że i w niebie jej lepiój nie będzie jak u was; ale zawsze ja przez to nie powinienem przepominać, co moim świętym jest obowiązkiem. No, i uważając znów z drugiój strony, to właściwie nióma żadnego powodu, dla którego bym się miał przywiązywać do Zahoczewia. Bo jeżeli mi Pan Bóg da szczęście, to go da i gdzieindziej, a mówiąc otwarcie i szczerze, czy ja tutaj co zrobię, czy gdzieindziój, wszystko to będzie dla mojoj Julci. Ja się żenić nigdy nie będę, rodzeństwa nie mam...

— A, a czemuż ty się żenić nie będziesz? — spytał ciekawie łowczyc.

— To rzecz nie dla mnie — rzekł Pakosz — to zachody, to korowody, to wydatki, to wielka niewola, a potem mówiąc po prostu, człowiekowi, w którego głowie są myśli większe, w którego sercu jest niezmyślona chęć wydobycia się z pospolitego tłumu na widok publiczny, żona i dzieci to wielka zawada. Nie jeden, coby był może dzisiaj co kartka powtarzanym w kronikach, ugrzązł w błocie za życia, a po śmierci ani pies o nim nie brzechnął, bo mu kroku nie dała zrobić żona i domowe kłopoty...

— Jak mnie Bóg miły — rzekł na to łowczyc — ten człowiek ma wielki rozum.

— Owóz więc—prowadził dalej, uśmiechnąwszy się, Pakosz— tak i owak to sobie przemyśliwszy i pokombinowawszy ze sobą, chociaż w gruncie to jedno czy ja tu pracować będę, czy indziej, jednak żal mi jest ojcowizny. Niewielki to i nieosobliwy kawałek ziemi dla każdego innego, ale wielki i osobliwy dla tego, którego ojcowie się tu rodzili i umiórali, którego matka tu leży, który nakoniec sam się tu urodził i chował, i prawdę mówiąc ze serca, to nie wiem jak tam kto inny, ale ja przynajmniej, chociażbym gdzieindziój Bóg wie jak wielkie ponąbywał fortuny i na ogromnych rozsiadł się ziemiach, kiedybym ojcowiznę uronił, zawszeby mi się zdawało, że nic nie mam i że jest żebrak ostatni.

— A! co to, to się chwali waszmości—rzekł na to'łowczyc— bo utrzymanie ojcowizny jest zawsze dla każdego szlachcica magnum, a powiadają że in magnis et voluisse sa est. Więc chociażby tylko tentare utrzymać tę rodzicielską siedzibę, już to będzie czyn piękny i wielka rozkosz dla własnego sumienia.

— Tak, tak -r- rzekł znowu Pakosz — ślicznie to waszmość mówisz, właśnie to, co ja czuję. Więc chociaż ja tu nieraz krwawo na tej ojcowiznie zapłacę, przecież nie spróbowałem jój ratowania, tak jój nie rzucę. I mam w Bogu nadzieję, że mi do tego pomoże. A lubo kto inny, wiem pewnie, żeby tu nic nie zrobił, mnie jednak łatwijsz to pójdzie. Młody jestem, dbały z natury,

pracy przyzwyczajony z dziecka i do walczenia z trudnościami także przyzwyczajony; przytem mam parę groszy w kieszeni, których nie pożałuję, na prawie się znam, mecenasom się w ręce nie oddam, za kratkami w każdej sprawie sam stawać będę, uczciwie sobie z każdym postąpię, co się komu należy, to oddam bez kwe\* sty — więc może też przecie Bóg będzie łaskaw, wejrzy na nas sieroty i dopomoże.

— Ha! no! — rzekł na to łowczyc — źle jest, bo źle, ale bierz się waść ad rem, a może to jakoś będzie. Najpierw więc ufaj Bogu i Jego proś, bo bez tego nic; potem ufaj sobie, bo i bez tego nic. Na mnie rachuj dobrze, bo co będzie można, to pewno pomogę; złe gęby, które są przeciw tobie, pozamykam na klucz, a i pieniędzmi zaratować mogę, bo się znajdują w potrzebie.

— Dziękuję panu bratu, dziękuję — zawołał Pakosz — wiem że masz serce i nie opuściłbyś; wszakże teraz więcej mi głowy potrzeba, niżeli pieniędzy, ale jeżeliby tak wypadło... wszakże to nasza wspólna sprawa, bi prawie wasza, bo ja dla siebie, jak Pana JBoga kocham, nic a nic nie potrzebuję.

\ — No, więc jak będzie potrzeba, to powiedz, ani głową się także zaratujesz u mnie, a choć nie mnie, to u pana Józefa; wielki to jest legista i ręczę za to, że cały gród i ziemstwo w mysze dziury pozapędzą, a kto wie czy i trybunalskie rozumy nie zmoże. Więc tak rób, nawiedzaj mnie często i bądź zdrów.

To rzekłszy, pożegnał się i chciał już iść pan Osuchowski, ale jeszcze się wrócił i rzekł:

— Ale wiesz co, Pakoszu, zruć najpierw ze łba tę paskudną perukę i przebież się zgoła po ludzku. Takie rzeczy nie podobają się Bogu ni ludziom, a śnać bez błogosławieństwa Bożego i ludzkiej przyjaźni trudno się kusić o powodzenie i szczęście. |

— Myślę ja sam nad tem, ale, panie bracie, to koszt — rzekł na to Pakosz — bo tak to się gada, ale dużo na to trzeba -pieniędzy, aby dobrze ubrać Polaka, a tu u mnie ani jednego pasa niema, a cała skrzynia francuzkieli szat... ale myślę Ja nad tém, myślę.

— Myślże sobie jak długo chcesz, ale nakoniec zrób i bądź zdrów — odpowiedział łowczyc i pożegnawszy się jeszcze raz, wsiadł na koń i odjechał do domu. Pakosz odprowadził swojego szwagra aż na galeryę, ale chociaż tamten już odjechał i zniknął pomiędzy drzewami, ten jeszcze stał i oparty o poręcz długo się nad czemś zamyślał, A myślał spokojnie, nie pociśrając czoła, nie ruszając rękami, nie -przestępując z nogi na nogę, oczy mu się jeno czasem świeciły i twarz uśmięchala: aż nareszcie, jak gdyby kończył myśli swe głośno, ruszył się i patrząc w tę stronę, w którą łowczyc odjechał, rzekł niby do niego:

— I wy być chcecie narodem? z takim sercem nie pójść w żebraki? z takim rozumem nie w służbę do innych?... Panie łowczycu, tyś wielkich rycerzów potomek, tyś ich męztwo i rozum



i .cnoty odziedziczył w kolebce, tyś pan i król na twych dobrach, za tobą stoi cały powiat i opinia publiczna: jam chudzina, lichy Działota bez przodków, podły torbifer warszawski, sam jak palec na świecie, — a przecie, ja ci ani kęsu nie dam z Zahoczewia, twoje summy wezmę do siebie, Żerniczkę ci zabiorę i będziesz u mnie chodził za pługiem, jak prosty parobek.

Ale zerwawszy się prędko, .poszedł znowu płoty grodziec dookoła zamku.

W następnym czasie Pakosz często odwiedzał swojego szwagra, a postępowanie jego przeciwko niemu zawsze było jednakie; zawsze był sługą unizonym, zawsze mu czemś nowóm pochlebił i to żądaniem rady od niego, to zastępowaniem go w gospodarstwie, to w handlach w coraz bliższe z nim wchodził stosunki, — a wkrótce potem owa suma dwunasto-tysięczna, którą łowczyca miał u pana Górskiego na Lutowiskach, była już w Pakoszowej kieszeni. Pomimo to jednak Pakosz nie zmienił swojego postępowania ani na jotę i oprócz koła łowczyca, czując władzę jego matki na tym dworze, a do tego jeszcze i w jej skrzyni pióńiądze, deptał także koło niej i pomału pozyskiwał jój zaufanie.

Przy takióm postępowaniu Pakośza, prowadzonym z najmi- sterniejszą chytrnością, wszystko mu się winęło jak z płatka. Inte- resa ojcowskie, które wszakże ani w połowie nie były tak zgubne, jakii je wystawił szwagrowi a zapewne i ojcu, kiedy go z ich przyczyny w świat za oczy wyprawił, w krótkim czasie zupełnie swą postać zmieniły. Więc jedne sprawy załatwione zupełnie, drugie sztucznie odwleczone do czasu, trzecie zaś sprowadzone na drogę prawną, grzęzły po aktach sądowych , i kierowały się jaknaj- lepiej, bo wiadoma rzecz jest, czego nie można było dokazać w sądach polskich owego czasu. Jakoż nie mając już ani chłopów ani Żydów codziennie na swoim karku, ani podstarościnój z obdartymi dziećmi w cotygodniowej wizycie, ani listów niemiłych od wierzycieli sąsiadów, z tem dokładniejszą pewnością dobrego skutku mógł Pakosz tkać swoje sidła na fortunę swojego szwagra, i tkał je, i byłby już niebawem począł podobno zasnuwać sidła na któ-| rego z drugich sąsiadów^ ^gdyby nie jedna sprawa- jeszcze, która go wiele martwiła, gdyby nie jeden gość jeszcze, który go nie prze-| stawał od czasu do czasu nawiśdzać i dotychczas jeszcze żadnym sposobem nie dał się ani załagodzić, ani swoją sprawę odwlec do^ czasu, ani oddać do sądu.

A tym gościem był starzec już prawie sześćdziesięcioletni.] Był on wzrostem dość słuszny i krzepkiej budowy. Głowę miał\* łysą na ciemieniu a zresztą siwymi otoczoną włosami, twarz^ długą zmarszczkami i szramami okropnie zoraną, nos orli wielki, białeJ strzępiaste wąsy zakrywały mu usta, a także brwi gęste zwieszały! się nad wielkimi błękitnymi oczyma? Ubrany on był w siermięgę! z grubego prostego sukna, kontuszowym krojem uszytą, pod którą widać było żupan płócienny, buty na nim były stare i wychodzone

czapka rogata zasmarowana i serpentyna w wężowej pochwie u boku. Ktoby był ten starzec, nikt nie umiał powiedzieć; niczyjej też nie zwracała uwagi jego uboga, wędrująca i w tamtych czasach bardzo pospolita figura; to wszakże pewna, że tylko powierzchownością zdawał się on podobnym do onych włóczących się od wsi do wsi zbankrotowanych szaraków, którzy grunt lub służbę rzuciwszy, jak mrówki krzyżowali po całym kraju za łatwym chlebem, za jarmarkami, za najmowaniem się na popleczników sejmikowych, na zajezdników, a kiedy tego wszystkiego nie było; to za jałmużną. Jemu widać było z całej postawy, że nie prze wałęsał swojego życia bez celu, a pewna duma i pogarda prawie dla świata całego odbijały się w każdym ruchu jego i w każdym spojrzeniu. Twarz jego, lubo szpetna, miłe czyniła wrażenie; widać w niej było determinacją i mężstwo, a oczy, chociaż chciały być surowymi, zdradzały jego wrodzoną dobroć i głębokie uczucie.

Ten starzec już się był pojawił za starego Działoty i potem długi czas go nie było ale z końcem wiosny znów się pokazał i wszedłszy na dziedziniec, śmiało szedł na galeryę; ale Pakosz wyszedł do niego do sieni i krótko z nim pogadawszy, prosto z sieni odprawił. Drugiego dnia potem przyszedł znowu ten starzec, ale pan, ujrzawszy go z ganku, kazał wypędzić, i słudzy, wzięwszy go za ramiona, wyprowadzili za bramę. Starzec płakał i zataczał się w rękach swoich oprawców, ale oni śmieli się z niego i zdali panu relacją, że był srodze pijany. W kilka dni przyszedł znowu i był rzeczywiście podпиты. Wszedł na galeryę, ale drzwi do pokojów zastał zamknięte. Stał więc pod niemi i plótł różne rzeczy; potem dobył szabli i tłukł głownią we drzwi, że aż się zamek trząsał cały, ale po chwili przestał, i z gołą szabłą w rękę a przekleństwami na ustach przeszedł przez dziedziniec i zniknął. Od tego czasu często się on jawił u dworu, ale nie idzie już w dziedziniec, tylko siada na kamieniu u bramy, i patrząc to na wieś, to na zamek, czasem coś mówi dć> siebie, czasem płacze. Ale kiedy się Pakosz pokaże w dziedzińcu, on się zrywa i woła do niego. A woła rzeczy straszne, że aż włosy wstają na głowie\* Pierwszy raz, kiedy ten głos słyszano, wołał do pana:

— Chodź tu, ty nowy Zahoczewia dziedzicu! zdaj mi sprawę z mojej fortuny! Obdarliście mnie, zrabowali, okradli! Gdzie ojciec twój, ten łotr! dziecko mi zaprzepacił!

^ragą razą wołał do niego:

— Dobranoc twoja, ty psie przekłety! bogdajby ciebie diabeł całą noc męczył i rwał tak za serce i palił duszę, jak mnie rwie nędza moja!

Ze aż Pakosz, który przez to był niewolnikiem w własnym swym domu, odtąd po całych nocach świecił i kazał spać pacholęciu przy sobie, a Aż dnia jednego, kiedy nie widząc starca na głazie, wyszedł nieopatrznie ku bramie, za bramą zaraz stanął nagle jak wryty. Lecz ochłonawszy, zerwał się i chciał uciekać.

Ale' starzec zawołał: stój! — i Pakosz stanął blady i drżący jak liść. A starzec przystąpił ku niemu, patrzył nań chwilę z gniewem i pogardą a potem rzekł:

— Słuchaj, ty czeladniku brylowski! ja tu z tobą długo roz- j mawiać nie będę! Zmiałbym ciebie jak kartkę papieru, kiedy bym ' cię wziął w moje ręce! Oglodziłbym cię z chleba, obrzucił wieczną hańbą na twoim zamku, chociaż pan!... na moją wsi! — Ale nie chcę! Niechaj diabeł bierze tę duszę, która mu się należy; niechaj świat piwa w moje własne nazwisko, ale nie ja! Idę precz i słuchaj! Jeżeli dziecka mego nie znajdę, to wasze szczęście! Karmcie wasze brudne sumienia moją fortuną; ja umrę z głodu w łachmanach, a policzymy się w dniu ostatecznym! Ale jeżeli znajdę moją dziecinę, wtedy drżycie wszyscy jak tu jesteście — bo się rachować będziemy tu! A teraz precz mi z oczu, ty podły gadzie! precz!

Pakosz, który stał jak posąg przez cały czas tój perory, nagle się teraz odwrócił i szybkim krokiem pobiegł w dziedziniec. Z dziedzińca jeszcze raz się oglądnięł ku bramie, jak on pies, który spuszczone z łańcucha, ubiegłszy kilka kroków, ogląda się ku swój budzie, czy go jeszcze nie zawołają i nanowo nie przypną. Ale starca już nie było przy bramie i zdawało się z jego mowy, że tak prędko nie przyjdzie — wszakże zawsze na to nie było żadnej rękójmi. I to gryzło Pakosza, i nie dawało mu sypiać po nocach, i napelniało go grozą w każdój godzinie, w każdój, chwili — ale na to nie było lekarstwa. Starzec plunął na kilka tysięcy złotych, któremi chciał raz Pakosz u niego zakupić wieczną zgodę — wsi oddać mu nie mógł, bo cóż to wieś w owe czasy! — a podczas kiedy przy pożegnaniu się z ojcem o wszystkim pamiętał, spytać go się, gdzie jest owa niegdy mu powierzona dziecina, na śmierć zapomniał. I nie było na to żadnego ratunku — i pręko wszelkióm swojóm szczęściu i powodzeniu, musiał on tego starca cierpieć, jak robaka gryzącego mózg jego pod czaszką, jak miecz Damoklesowy na włosieniu wiszący — jeżeli jeszcze więcej takich mieczów nie wisiało nad jego głową!

Tymczasem z siostrą jego działo się wcale inaczej. Jej zamąż pójście zmieniło stan jój, ale nie zmieniło w niczóm jój uczuć i myśli. Do jój głowy przybyły teraz nowe myśli, nowe pojęcia, w jój sercu pokazało się miejsce na nowe uczucia i nowe pragnienia — ale treść jej istoty pozostała zawsze ta sama, co była niegdy. A podczas kiedy coraz jaśniejszóm okiem przypatrywała się światu i życiu, i wszystkie dawne jój marzenia i dawne nadzieje w coraz wyrazistszych stawały przed nią kształtach, jój położenie teraz o tyle stało się gorszóm, ile że z nieograniczonój krainy swobody przeszedłszy w ciasne obowiązków obręb}, czuła całą świętość tych obowiązków i całą duszność, którój dozna\yła od ich nieznośnego ciężaru.

Przyczyną takiego stanu jój duszy i serca była zapewne sama

wnętrz jćj istoty, którćj ani świat ją otaczający nie odpowiadał, ani ona się nie mogła nagiąć i zastosować do świata — ale wiele także do takiego jój położenia przyczyniały się i zewnętrzne stosunki. Nieszczęście bowiem tak chciało, że lubo to, co ją otoczyło od czasu ślubu, było samo w sobie dobrśm i najpocziwszćm, jednak to Wszystko na nią, także dobrą w sobie, działało zgubnie i fatalnie. A najpierwszą fatalnością dla nićj był sam jćj małżonek. Dobry dla niej niezmiennie, dbał o jćj wygody, grzeczny, łagodny, a nawet już przywiązany, tak jednak nie odpowiadał całą swoją istotą jćj uczuciom i myślóm, że lubo się siliła z początku na to, aby się do niego przywiązać, potćm już aby tylko obojętną pozostać, nie potrafiła przecież ani w to ani w owo, i pomimo jćj woli a często nawet pomimo wiedzy, z każdým dniem nowe rosły w nićj ku niemu niechęci, nowe do niego odrazy, że w krótkim już czasie po ślubie przyszło jćj z sobą stanąć na tym punkcie, na którým zimna niechęć zaczyna się przeradzać w nienawiść. Przyzwyczajonej oddawna wiele czuć w sobie i nad sobą, nie uchodziła'ta ciągle postćpująca zmiana wewnćtrznego usposobienia jej bacznćj uwagi i myślała ona nad sobą i nad swym mćżem — a kiedy myśląc, nie znachodziła w rzeczy nic w nim takiego, czemu ją gorszył albo obrażał, stanowiła zawsze u siebie odtąd być inną, inaczej czuć i myślcć i całkiem się odmienić. Ale postanowienia takiego nie dotrzymała nigdy, bo lada słówko niewinne powiedziane przez mćża, lada żart jakiś, lada drobny jego uczynek, wzruszał jćj serce do samej głćbi i wtrącał ją znowu w przepaść trawiącego ją smutku, nie objawiającego się nigdy inaczej, tylko niemą ku mćżowi niechęcią.

Drugim, równie fatalnie na nią działającym wypadkiem, był brak wszelkiego zajćcia się, brak zupełny owego tysiąca drobnych, domowych zatrudnień, które zajmować powinny trzy czwarte części życia kobiety. Wiadomy nam wewnćtrzny porządek łowczy- cowego dworu, znajoma owa wiecznie czynna, niespracowanie skrćtana i samowładności łaknąca starćj pani łowczynćj figura, i zdaje nam się że dość ją sobie przypomnieć, ażeby być przekonanym, że Julia przy najlepszych swych chćciach, przy najgwał- towniejszóm nawet pragnieniu zatrudnienia' się czymkolwiek, domowego gospodarstwa tyczącem, ręki do niczego przyłożyć nie mogła. Jakoż rzeczywiście tak było. Pani łowczyna, lubo w ni- czóm nie chciała ubliżyć swojej synowćj i nawet dosyć ją nawi- dziła, jój wszakże w dom swój przybycie za mało co inny uważała wypadek, jak gdyby jćj nowa sługa przybyła. Nie znaczyło to wcale u niej, żeby ją chciała jako sługę traktować, ale też ani jej przychodziło to na myśl, że odtąd urząd gospodyni powinien właśnie tej przybyłćj przysłużyć. U nićj zanadto wiele ważyło to berło nad spizarnią i saganami, ażeby je miała komukolwiek powierzyć. — wszakże niegdyś spór o nie zakwaszał jej pozycie z nieboszczykiem jej mćżem. Śmierć nawet jego o tyle się stała jćj

lżejszą, o ile oddawała jój władzę nad domem na wieczne czasy. Nieograniczona tylko miłość dla syna potrafiła uszczuplić zakres tej władzy, — miałażby jeszcze tę resztę, stanowiącą całą treść jej żywota, oddawać na to, ażeby się patrzeć na nieopatrzne rządy nieumiejętnej dzieciny? Więc niech się uczy, — mówiła sobie pani łowczyna, — niech mi się przypatruje zdaleka, a po mojej śmierci niechaj doświadcza rozumu swego na tej drodze i pozna co to jest gospodarstwo. I tak od wieczora do rana Julia skazana była na zupełną bezczynność, na przypatrywanie się zapobiegliwości pani łowczynój, na przysłuchiwanie się jój zrządzeniu, hałasom, skargom i żartwieniom, a już to dzień był bardzo szczęśliwy i dowód wielkiego zaufania od starej jójmości, kiedy jej powierzała klucz od piwnicy i pozwoliła być przytomną przy zbioraniu śmietanki.

Ta niesprawiedliwość, wyrządzana Julii w jej własnym domu, nie uchodziła uwagi jój męża, wszakże nie uważał on tego wypadku za nic łnego, jak tylko za ujme jój osobistego honoru, za obdzieranie jój z przynależnej jój władzy; i przeproszał ją za to po kilka razy i tłumaczył jej się, że już temu żadną miarą niepodobna zaradzić, ale o naturalnych a niedobrych ztąd skutkach, któreby żadnej młodej nie ominęły kobióty, ani mu się kiedykolwiek marzyło. A tymczasem ten brak zajęcia może najdzielniej się przyczyniał do ustawicznego pogorszenia wewnętrznego usposobienia Julii.

On bowiem przynosił owe długie, nudne godziny, w których głowa do marzeń skłonna, przebłądziwszy już wszystkie znane sobie gościńce i ściózki, pnie się na najdziksze skały i żadną nogą nietknięte manowce, — on przyprowadzał i odświeżał najdawniejsze wspomnienia, — on wykazywał i uwydatniał wszystkie choćby najdrobniejsze chwil terażniejszych niedogodności, — on dopomagał do przedzenia najniepodobniejszych tkanek i do budowania najpiękniejszych zamków na lodzie, — on nakoniec wyrabiał wszystkie niesmaki życia, poduszczał żale, obudzał chętki i pragnienia, i rodził owę suchą piekącą czczość duszy i serca, która w najdziksze błędy zwykła rzucać najmoralniejsze przedtóm kobióty.

W tak nieprzyj&znóm dla swoich grodzonych usposobień położeniu znalazłszy się, Julia, lubo się ciągle po przed jój oczy kręcili ludzie i gwar ich ustawicznie jej uszu dochodził, czuła się dziwnie samotną. Nie miała ona ani jednego serca, któreby razem z nią czuło, nie miała ani jednej duszy, " którejby się sama udzielić i nawzajem jój wyznaniem zajmę się mogła, i trawiąc długie, samotne nad robótką albo nad książką godziny, nieraz wpadała w tak martwą zadumę, jak gdyby tylko jój ciało pozostało przy życiu, a dusza jej położyła się śmiercią.

Jeszczeż to jeszcze, póki matka jej żyła, miała ona choć jakie takie zajęcie. Matka jej nie była to także istota zupełnie jój odpowiednia, innym torem szły u niej myśli, innym tokiem uczucia,

śle zawsze znały się te kobiety oddawna, umiały siebie choć przez połowę rozumieć, wiązały ich wspólne ziemskie stosunki i wiązała je miłość, która umie ogień pomieszać z wodą i stawać się źródłem najtrudniejszych poświęceń. Jeździła tedy Julia po parę razy w tygodniu do matki, zostawiała u niej wszystkie swoje smutki i wszystkie niechęci, odżywiała się jój miłością, i zapełniwszy cześć swojój duszy jój wyznaniem, pokrzepiona i silniejsza powracała do domu.

Ale ze śmiercią matki zniknęło dla niój ostatnie, źródło ochłody i pociechy. Ostatnią palmę zieloną, która jedyny cień chłodzący rzucała na piaszczystą pustynię jej życia, wicher wyrócił z korzeniem i postawił tylko pień jój zeschnięty na zasypanej oazie, — grób jej na zahoczewskim cmentarzu. Na ten cmentarz często jeździła Julia i modliła się nad tym grobem, \*i po modlitwach rozmawiała z onym krzyżykiem drewnianym, który stał na nim, ale tylko ona mówiła do niego, on głowę pochylał ku niej, kiedy go świeżym zdobiła wieńcem, patrzył na jój łzy, słuchał jej żalów, — lecz milczał. I grób milczał jej matki — i żadnego głosu nie było na całym świecie, któryby do jej serca przemówił, któryby przerwał tę zakłątą ciszę, panującą w jój duszy, któryby choć zadrzał w powietrzu gdzieś daleko koło niej.

I zdawało jój się, że jest puszcza naokoło piaszczysta, że nic nie widać dokoła, tylko morze piasku na ziemi i morze błękitów na niebie. Na całej ziemi nie widziała ona ani drzewka jednego, ani kropelki wody, ani jednego żyjątko, — na niebie ani słońca, ani gwiazd migających, ani mdlejącego księżycy. Tylko krzyżyk drewniany na grobie matki gdzieś w oddaleniu widziała. A kiedy się tak długo wpatrywała w ten grób i ten krzyżyk i zupełnie zmartwiała w terażniejszości i przyszłości, poczęły jój się jakieś mgły cieniuteńkie jawić ponad grobem, a na tych mgłach rysowały się jój lat młodszych wspomnienia. Więc pokazały jej się najpiórw jój lata dziecięce, kiedy bawiąc się wstążeczkami, siadywała u kolan matki; potem pokazały się jój ogródki i wiry darze; jej kwiaty w donicach, jej suknie i ozdoby, w których cichy hołd swojój urody odbierała na sąsiedzkich zebraniach; potem stanęły przed nią jój ulubione książki i myśli w nich zawarte i z nich po- wysnuwane marzenia. Ale to wszystko, przesuając się w mglistych postaciach, mignęło szybko i zniknęło pomiędzy morzami piasku i błękitów, — tak jak nam jadącym statkami po rżóce wspaniałój znikają prędko z przed oczu ozdobione zamkami i ogrodami brzegi, i giną gdzieś za nami pomiędzy niebem i ziemią.

Ale przecie nakoniec po tych prędko zniknionych obrazach przyszedł jeden wyrazisty i większy. Przyszedł i stanął jak wryty, jak gdyby po długiój wędrówce chciał przed jej oczyma odpocząć. A na tym obrazie wymalowany był człowiek młody, pięknoj, białej twarzy, z czarnym wąsem i czarnymi oczyma. Aksamitną miał szatę na wiórzchu, białą atłasową pod spodem, pas kapiący od

złota i czapczką z białą kitką na głowie. Julia mu się przypatrzyła dokładnie, poznała go i serce jej uderzyło gwałtownie. I przypominały jej się wszystkie z nim strawione godziny, wszystkie jego westchnienia, jego słowa. O! jakież to inny człowiek, niż mąż jej! I długo go jeszcze przed oczyma widziała, — ale potem pokazała się jój nagle Barbarka. Na jój widok, Julia sobie ręką zakryła oczy i krzyknęła pomimowolnie. Potem długo płakała — a po płaczu postanowiła nigdy już nie myśleć o panu Józefie.

Tak wiejskie dziówczyta chyłkiem się zakradają do pańskich sadów i obrywają zakazane owoce, lecz kiedy nagle usłyszawszy groźny głos sadownika i pogoń stróżów za sobą, przez ociernione płoty uciekną: to za płotami, oglądając swe ręce na cierniach podrapane i sukienki rozdarte, przysięgają sobie nawzajem, że już nigdy nawet "na sad pański nie spojrzą, — ale na przyszłą niedzielę znowu się przekradają przez płoty.

Tak się stało i Julii. Drugiego dnia po tym pierwszym znowu jój stanął przed oczyma dawny kochanek, w trzecim i w czwartym to samo, a potem grobek matki zapadał się eoraz głębiój na ziemi i w jój pamięci, krzyżyk napróżno ku świeżym wieńcom długie wyciągał ramiona i chylił się ku ziemi bez wieńców... a na onej puszczy bezludnej i głuchój wytrysnęło nowe źródło ochłody, i nowe dla jój myśli oparcie w coraz żywiój się malującym dawnego kochanka obrazie.

Taką wynalazłszy dla swego nudnego życia rozrywkę i taką karmę dla swojój czczości i rozgrzószywszy się do niój nie swoim sumieniem, ale przyzwyczajeniem, urozmaicała ona ją sobie wszel- kiemi sposoby. Więc otaczała ona ów obraz wszelkimi należą- cemi doń wspomnieniami, % przypominała sobie wszystkie sceny, w których on jakąkolwiek odgrywał rolę, przypominała sobie jęga słowa, jego ubiory, jego konie i sługi, a nawet osoby, które go otaczały onęgo czasu. I wszystko to miłóm jój było nadzwyczaj. Miłym więc był jej Grott, który z nim często do Zahoczewia przyjeżdżał, miłym mąż jej własny, który jego był przyjacielem, ale miłą nad wszystko Ewa, owa wróżka z balogrodzkiój > granicy,.<sup>1</sup> która pierwsze jego przepowiedziała przybycie. — Ewa nie zaprzestawała dotąd rzemiosła swęgo. Jak" dawniój tak i teraz nawiedzała ona często znajome sobie domy, i umiejac się w każdym do czegoś stać pożyteczną, ciągle ze wszystkimi utrzymywała sto-' sunki. Po zamążpójściu Julii kilka razy już ona jawiła się na Żernicze i za każdą razą to coraz nowe zarzucała wędki, aby tę młodą panię częms do siebie pociągnąć, wszakże nie udawało jój się to dotychczas; Julia ją zawsze zimnemi słowy zbywała, a Ewa,, gdyby nie to, że miała : trwałe łaski u starej pani i zawsze jój z kart wróżyła, lekarstwa podawała dla. bydła, sługi stręczyła i przynosiła nowiny z sąsiedztwa, byłaby nawet nie miała czego' pokazywać się na tym dworze. Teraz atoli już kilka razy sama zaczópiała ją Julia. i o różne rzeczy pytała. Ewie dosyć było i na

tem, była to bowiem bardzo przenikliwa kobieta, a posiadając wszystkie tajemnice całej okolicy i wieloma z nich własnoręcznie kierując, posiadała przez to i klucz do wielu serc ludzkich i obfite dla swego wróżbiarstwa natchnienie. Zaczópiona raz przez Julię, wiedziała ona dobrze, kędy szukać tój zaczópki powodu, jakoż go zaraz odkryła. A rzuciwszy natychmiast kilka niechętnych dla jój męża wyrazów, kilka delikatnych politowań nad nią i kilka ciemnych domysłów, że jój dawny kochanek niebardzo w swera dzisiejszem pożyciu szczęśliwy: tak tem odrazu przyciągnęła do siebie i zniewoliła tę tęskniącą za jakiómś zajęciem kobietę, że odtąd stała się jój najpoufalszą powiernicą i iajwiarogodniejszą rad- czynią. Tój wszakże władzy, którą świeżo co uzyskała nad Julią, używała ona z wielkiem umiarkowaniem. Gdyby była chciała, mogła była cdrazu odżywić całą dawną jej miłość, mogła była temu niegdy czystemu uczuciu, które mieszkało w sercu dziewi- czem, nadać taki kierunek, jaki ono brać zwykło, kiedy zamieszka w sercu kobiety, mogła może była tę rzecz przyprowadzić i dalej i przyszłego jakiegoś związku zaraz zasiać nasiona...." ale ona tego nie uczyniła. = Ona poddawała Julii tylko po drobniutkiój kropki tej miodowój trucizny, której mogła jój poddawać po czarce, a przyszłość zostawiając czasowi i swojój woli, starała się tylko nie stać na jednóm miejscu i coraz dalej\* wieść tę posłuszną ptaszynę na owej nitce, na którą ją Ułowiła. I Julia dała się wieść tój czarownicy, z szatanami zmwę mającój, i zrobiła krok jeden i drugi.... że wkrótce została niewolnicą rozchorzałegp serca swego i tej baby przekłętój.

Zwyczajnie to tak bywa na świecie, że kiedy sobie człowiek z wielkim mozolem i trudem drogę do dobrego otworzy, to nie- tylko że ją znajduje odrazu ostremi cierniami -i głazem zjeżoną, ale postępując nią dalej, codziennie nowe znajduje zapory i nowe trudności; ale kiedy się przed nim sama przez się do złego roz- ściele droga, to nie dość że to będzie od razu bity i równiusieński gościniec, ale będą stać na nim już gotowe podwody, będą stać przewodnicy i towarzysze podróży • i jeszcze tacy, którzy swoje szaty jemu pód nogi podścielą, i drudzy, którzy zgoła na swoich barkach nieść go się dalej podejmą. Tak się zdarzyło i Julii. 3

Niedość bowiem, że same przez się odezwały się w jój sercu afekta, które powinna była już dawno jaknajgłębiój zagrzebać i głazem wielkim przywalić, aby nigdy nie wstały, niedość że jej się w oną fatalną chwilę taka stara pojawiła grzesznica i .wzięła odrazu wielki wpływ nad nią i\*władzę trzebaż jeszcze, ażeby miast sztuką przywoływanego obrazu, właśnie teraz sam dawny zaczął jej snuć się często po przed oczy kochanek.

W samój rzeczy właśnie jakoś przy końcu lata zaczął się coraz częściej na Żerniczce pokazywać pan Józef. Nie powinno to było nikogo uderzać w oczy, boć przecie przez lat kilkanaście



ledwie nie codziennie go tam widywano, a przecież teraz zarówno to zastanowiło łowczyca, jak jego żonę.

Julia, zastanowiwszy się nad tem, przecuciami swego rozigranego serca 'wiedziona, zaraz tóż i odgadła, jaki jest powód tych .tak częstych odwiedzin, ale odgadła go najfałszywiej. Jój się bo- 'wiem zdawało, że ta sama miłość, która w niej zmartwychpo- wstała, wstała także i w panu Józefie, i że ona, wiążąc mu oczy i niewoląc dla siebie serce, tak go często do Żerniczki sprowadza: a tymczasem pan Józef, na dwór przyjechawszy albo i pieszo przyszedłszy, rzadko kiedy z nią dwa słowa wymienił, często nawet ani poglądał w tę stronę gdzie była, a zawsze tylko z samym rozmawiając łowczycem, kiedy go w domu nie zastał, nawet z konia nie zląził i smutny powracał do siebie.

Łowczy co wi także wpadły w oko te częste wizyty; nie starał on się odgadywać ich właściwój przyczyny, bo się rzadko wdawał w te rzeczy, ale tak różnie myślał o tem a tymczasem pilne dawał baczenie na każde słowo swojego brata. Dziwne bo tóż czasem rzeczy gadał pan stolnikowicz. I tak dnia jednego, siedząc wespół z łowczycem na darniowój ławeczce w grabowej alei, tak mówił:

— Dziwnie to, panie bracie, Pan Bóg ukształtował ono najprzedniejsze stworzenie na ziemi, które się zowie człowiekiem. Myśląc nad nim i równoważąc sobie w duchu różne jego głowy i serca przymioty, raz się mój rozum zdumioła nad potęgą ludzkiego ducha i wielmożnością, ale drugi raz zaraz żał mnie ścisła za serce i lży stają w źrenicy - nad jego głupstwem i słabością. I tak te różne rzeczy wielkie i maluczkie, wspaniałe i podłe, mądre i głupie w nim są połączone i pogmatwane ze sobą, że kiedy którego człowieka pomacasz, to nigdy nie wiesz co ci tam padnie pod rękę, złoto czy błoto, a paść może i jedno i drugie, bo pewno w każdym jest to oboje. A że tak jest, nióma co mówić

0 tem, bo niedosyć że już tego sam doświadczałem w życiu i powalałem się nieraz o takiego człowieka, który lśnił się od słońca jako czerwony złoty dopióro wydany z mennicy, ale to samo stoi także po księgach, które wielkich ludzi opisują żywoty; naliczywszy siła ich cnót i wielkości, liczą także na końcu i ich słabizny  
1 jako żywo ani się najdzie który taki, coby nie miał w sobie dosyć onych pierwiastków błotnistych, które w nim koniecznie być muszą na znak tego, że jest synem tój ziemi. To się mówi o ludziach wielkich, które opisuje historia; ale na tych małych, których pełno jest w każdym powiecie, chwała Bogu, jeżeli na którym dobrego i złego jest po połowie, a najwięcej pewno jest takich, na których ledwie kilka sztuczek jest złotój łuski, a reszta wszystko ziemia a kał. A kiedy tak jest, jakimże tedy trybem się to dzieje, że niejedna taka z szczórój gliny ulepiona łąteczka, kiedy na nią spojrzysz z daleka, świeci się tak do słońca jako pancierz

w polerowany na glanc, albo jak on ze szczonego złota ulany apostoł, których ma być dwanaście na katedrze w Krakowie? I to nie tylko raz ci się tak widzi, ale razy sto i więcej i przysięgłbyś na to, że w niej niema ani grudeczki ziemi, ani żadnego brudu, aż przyjdzie czas, a tu ci się pokazuje, że tam owego złota ledwie jedna grudka lub dwie, a reszta wszystko ziemia a proch. Zkądże, to idzie? Owóż tedy ja tak myślę, że ci ludzie, mając kilka łusek szczonego złota, kowają sobie z nich suknię cieniutką a lśniącą i chowają ją w skrzyni, tak jako my chowamy nasze odświętne; kiedy nikogo niema koło nich, to oni tak chodzą jako są, ale kiedy się komu mają pokazać, to wdziwiają prędko oną złotą sukienkę i wydają się ludziom jak gdyby byli ze złota na wskroś. Ano to psia jest sztuka i bardzo chytra łapka na ludzkie uczciwe i łatwowierne !

Inną razą znowu tak mówił Bobowski:

— Niechaj sobie kto chwali jak chce starożytnie filozofie arabskie, niechaj czołem bije przed siedmioma mędrkami Grecy i, niechaj się zdumiewa nad księgami rzymskich prawodawców i mówców, niechaj hołd oddaje misternemu dowcipowi Francuzów, niechaj poklaskuje teraz głos poważny w naukach zabierającym Niemcom<sup>ra</sup> ja. przecie zawsze tak mówić będę, że rozum ludzki to bardzo znikoma a marna rzecz. Wszystko to, co rozum ludzki uprzedzie, choćby jak się mądrym zdawało na oko, kiedy mu się bliżej przypatrzeć, a wziąć na dobry kamień probierczy, rozejdzie się i zniknie jak mgła, bo wszystko to nie ma żadnej trwałości i stateczności, jeno jest jako błyskawica i blichtr. Prawdać to jest i trudno przeczyć, że rozum ludzki wielkich rzeczy już dokazał na świecie; dziwić się trzeba niejednym księgom, jako ten, który je pisał, stał wysoko nad wszystkimi pospolitemi ludźmi; ale co mnie po onych głębokich teoriach, co po jasnej jak kryształ logice, co po onych sylogizmach rogatych, co po dylematach i wszystkich innych najmisterniejszych figurach, kiedy to wszystko nie nauczy mnie ani jednego kroku pewnego zrobić w tem życiu, które prze- I cie trwa kopę lat? A żeby też człowiek prawił jak Domostenes, umiał na pamięć całego Senekę, pisał takie wiórsze jak Horatius, gwiazdy umiał rachować jak Kopernik i znał drogi po. wszj<sup>^</sup>stkich morzach jak Columbus, nic mu z tego wszystkiego, kiedy nie będzie trafiał na gładkie drogi tego żywota i nie będzie umiał rachować kamieni, które co krok sterczą na tych drogach i srodze kaleczą nogi wędrowców. Co pomoże znać martwe książki, które cicho leżą na półkach i nie szkodzą nikomu, skoro się nie zna ludzi, którzy się wciąż podsadzają pod drugich i okrutnie nieraz zakwaszają to życie, któreby mogło upływać tak słodko ! Co może rozeznawać po kompaturkach Pandekta od Voluminów, Her baria od konstytucyi, kalendarze od głosów pochwalnych, kiedy człowiek rozeznac nie zdoła, w której kobioćcie anioł zamieszkał, a w której się diabeł zataił? Owóż tedy ty człek srodze mądry, we wszystko

twym rozumem potrafisz. Cycerona bierzesz na jeden palec, mio- I tasz Seneką na wszystkie strony jak piłką, Volumina i Statuta to J twój Ojciec nasz, a Zdrowaś, a konstytucje to Credo; kiedybyś® rzekł co na sejmie, toby wszystkie senatory gębę rozdziawili od ucha do ucha, kiedybyś się odezwał od krated, toby padł plackiem przed tobą trybunał, a i szablą kiedybyś uderzył w nieprzyjaciół, J to już jeno je potóm gonjć a brać na łyka, jak ryby na łące: a tuł baba kiedy krzyknie na ciebie od kądzieli, to ty uszy po sobie I i za piec.

— A to licha wart, panie bracie, mąż taki, — rzekł na to I łowczyc, — który za piec idzie przed żoną.

— A zapewne że licha, — odpowiedział na to Bobowski, — ale przecie to samo powiadają o onym wielkim Zamojskim. Mąż I to był jakich mało; żrenica w oku monarchy, primus constel na I sejmie, istny heros na polu, samowładny pan całego rycerstwa I i szlachty, a przecie nieraz motki trzymał\* Gryzeldzie, że mu aż I ręce mdlały, a potem szedł za piec i płakał.

— Ej! bajka to, panie bracie, — rzekł Osuchowski, — którą I pewnie Mora wymyślił.

Innym znowu wieczorem, pan stolnikowicz, zasiadłszy do zwy-B klej z swoim bratem gawędki, taką mu opowiadał historiją:

— Dnia wczorajszego wpadła mnie w .ręce książka, którał pisze o zakonie krzyżackim. Bijali ich niegdys suto nasi ojcowie, M a nawet i mój dziadunio srodze ich był poparzył pod Grunewal-J dem, parzyli tóż równo i inni, ale jednak dziwna siła i wytrwałość® była w tych ludziach. Przez wszystkie bowiem wieki ich egzy- ■ stencyi, mało nie co lat kilka, a przynajmniej co kilkanaście, taki I czas na nich przychodził, że już jeno co trochę dychali. Zbici, ■ złupieni, z zamków powypędzani, od swego ludu i od swych miast M opuszczeni, od sprzymierzeńców zdradzeni i rozsiani po całym świe-fl cie, zdawało się, że już ich koniec nadchodzi i że już nigdy nafl nogi nie wstaną. A ono w rok lub w dwa lata całe Prusy leżą I plackiem przed nimi, wszystkie zamki w ich mocy, \yojska wiel-■ kie na lądzie i na morzu, v pieniądze, skarby, dobytki, sprzymie- I rzeńców pełno dokoła, wielkim głosem gadają na'sejmach rzeških, cesarzowi ledwie że się pokłonią, statki rozbijają na Wiśle, I zamki biorą graniczne, ba, ziemię z /pod nóg wydziórają. Mało co I potóm znowu biorą po łbie z tej strony i z owej, a czasem i do ■ tego przychodzi, że ich zpieszonych i rozpierzchniętych ich własni I chłopci wybijają po lasach, jako młode wilki i inny zwierz szkodny. I Ale przecie nigdy nie wyginą od tego, a po największój klęsce I wcale niedługo trzeba czekać na to, żeby ich znowu ujrzeć w da- I wnoj chwvale i mocy. Owóz długo myślałem nad tóm, kiby to I diabeł mógł być, który w nich utrzymuje takiego ducha, który. I się żadną miarą nie da pognębić i taką siłę, która już pognieciona I na nic i prawie przydeptana do ziemi, wstaje znowu i tak się I wzmaga w lot, że jeszcze mistrz nosi sińce na rękach od sznurów, I

któremi był związany w nieprzyjacielskim obozie, a już rozkazuje znowu po całych Prusiech i stutysięcznym wojskiem na swe wrogi uderza. Otóż doszedłem tego, — i nie był to, panie bracie, w nich ani żaden duch osobliwy, ani siła nadludzka, ani żadne pomazanie Boże, ani tóż czarownictwo, jeno to jedno, — że żon nie chowali!

Gdyby był przed rokiem lub dwoma pan łowczyca usłyszał taką mowę z ust swego brata, to bjałby mu się z wielkiej radości rzucił w ramiona, albo do nóg mu upadł i zawołał: Owóż to mi jest rozum nad wszystkie rozumy! — ale teraz, kiedy już obadwa chowali żony w swych domach, i kiedy przyjdzie do tego dobytku tyle ich kosztowało trucizny, tyle zgryzot i tyle poświęceń, to takie i tym podobne stolnikowicza sentepcyce coraz większy tylko niepokój rodziły w sercu pana łowczyca. Nie chciał on się domyślać, ani domyśliwszy się, mógłby był u siebie dopuścić, żeby źródłem takich jego brata sentencyj były rzeczywiście już jakieś kwasy małżeńskie; wszakże znając go dobrze i wiedząc, jak zwykł był w szczęściu milczóc i tylko cały oddawać się swemu użyciu, musiał choć w to uwierzyć, że po nieumiarkowanym nakarmieniu się słodyczami, nastąpiła chwila nudy i przesycenia. I to bardzo było przykro panu Stanisławowi.

Ale wiara pana łowczyca zawiówała tylko połowę prawdy. Nietylko bowiem nuda i przesycenie dawały się uczuwać panu Józefowi i naprowadzały go na takie zastanowienie się na!d samym sobą i światem, ale dawały mu się uczuwać nieznośne przymioty Barbarki, które wypędzały go z domu.

X nie były to żadne przywidzenia z jego strony, nie była to niecierpliwość, która zwykła bywać w ludziach gorących a prędkich, nie była to nakoniec. nie wyrozumiałość i niepobłażliwość, która spółkę trzyma z innymi usposobieniami Polaków; przeci- wnie>— Bobowskiemu nie przy widywało się nic takiego, coby nie było w rzeczywistości; był on cierpliwy aż nadto, wyrozumiały i pobłażliwy do tego stopnia, że nieraz za jój dąsania się, za jej zrzędzenia i gniewy, sam swoją żonę przepraszał, — ale położenie jego istotnie było takie, że znosić ją bez szemrania było już niepodobna.

Barbarka bowiem, niedość że się w nią z dniem.każdym coraz gorsze objawiały przymioty, jeszcze nim rok minął od ślubu, już sama siebie obdarła ze wszelkiego uroku, jaki ją dotychczas otaczał w oczach męża, Była to niegdyś piękna, czysta, zawsze schludnie a nawet wyszukanie ubrana panienka, i teraz była to młoda i piękna i piękniejsza może niż przedtem kobieta, ale tak jakoś zawsze opuszczona i brudna, że kto na nią popatrzył, temu się zdawało, że widzi perłę w śmieciaku. Nieuczesana, nieumyta, w pomiętym jakimś pudermanie, w brudnym czepcu na głowie, w kłapających pantoflach na nogach, włóczyła się ona od rana do wieczora po całym dworze i nieznośnie zrzędziła. Przy zrzędzeniu swm i łajaniu nie dobierała wcale wyrazów, a jako już

dawniej sam ojciec nieboszczyk delikatnie karał ją za to, że z jej ust nieraz zanadto szorstkie wylatywały słowa, tak teraz aż włosy powstawały na głowie słuchającym, jakimi ona szkaradnymi miotała na około siebie przekleństwa. Ale pomimo przekleństw\* działały się jeszcze i gorsze rzeczy. Karając bowiem sługi za jakie przewiny, nie tylko nie spoczywały przytóm jej usta, ale nieraz nie spoczywała i ręka, a gdzie tylko dała się słyszeć jej groźba, tam się pewno pokazał i siniec. I to jeszcze dobrze, jeżeli tylko sam siniec, bo trafiły się także i lepsze rzeczy. Kilka dziówek odeszło ze służby z poobcinanymi za karę warkoczami, klucznica omal że na waletę nie została ociętą różgami, a kilku parobkom dostały, się najaktualniejsze bizuny.

Na to wszystko patrzył własnymi oczyma małżonek i z po-1 czątku porwał się tego zabraniać, jakoż raz albo drugi udało mu się rzeczywiście wyjednać sobie posłuszeństwo u żony; ale kiedy I się za trzecią razą znowu w swojej sypialni zamknęła, za czwartą] pogroziła, że go precz odjedzie i zostawi, niechaj go rozkradnie i rozbije jego rozpuszczone hultajstwo, a nakoniec i jemu samemu skoczyła do oczu z całym słownikiem prawie karczemnych wyra-J zów na ustach, pan Józef odskoczył od niej jakby pies od jeżaJ przeżegnał się i uciekł do pana łowczyca.

Odtąd pani Barbara\* coraz obszorniejszą władzę zyzkiwała w Żernicy i coraz głośniej a czynniej ją sprawowała, a pan Józef,! ustąpiwszy raz z placu i ratowawszy się od kłęski ucieczką, pomimo to, że się ciągle odzywała w nim chętką wzięcia kiedyś nai kiel i oparcia się temu babskiemu hetmaństwu, nigdy jednak już nie potrafił zdobyć się na to, a lubo parę razy się postawił oko-' niem i w kłótni domowej, mitygując ją ciągle i przewlekając na długość, plac otrzymał zwycięzko, toż jednak na przyszłość za- dnój z tego zwycięztwa nie utrwalił dla siebie korzyści — bo co- z chwałą zdobył dla siebie we dnie, to haniebnie utracił w nocyJ Pan Józef jeszcze ciągle kochał Barbarkę i jakakolwiekby mógł był mieć siłę, mającą źródło swoje w rozumie, to wszystką tę siłę (zabijała namiętność, mająca źródło swe w sercu.

Krom tych kłesk wszakże, które pan Józef w sporach domowych odnosił, cierpiał on jeszcze i inne rzeczy, a to były długiej i <arcy-nieznośne jego żony kazania. Cokolwiek bowiem w domu I stało się złego, to niedość że Barbarka krzyk za to głośny podnosiła w kuchni, - w stajni albo w dziedzińcu, ale jeszcze powró- | ciwszy na pokój, ognistą\* reprimandę za to paliła mężowi. Mąż słuchał i patrzył a potem tłumaczył się żonie, że sam nie wieJ zkad nagle tyle złego cię bierze na jego dworze, że on tu lat tyle gospodarował i zawsze był wielki porządek i cisza, i spokój,] i wszystko dobrze; ale Barbarka nie zawsze pozwoliła mu się na-1 wet tłumaczyć\* a często od wymyślania na gospodarstwo przechodziła do przycinków wystosowanych do jego własnej osoby. A przycinki te o tyle były nieznośniejsze dla niego, ile że coraz

bardziej rosły w dowcip a nareszcie w dojmującą złośliwość, że nakoniec nieraz zdarzyło mu się usłyszeć od żony, że się srodze na nim oszukała, że go iniała całkiem za kogo innego, a teraz jej się pokazuje kto inny, że jest człowiek bez rozumu, bez swojej woli, rozlazły, mazgaj i do niczego.

Takie niezasłużone wyrzuty, do których prawo raczej mężo- wiby było przysłużyć niż żonie, wiele zmartwienia sprawiły panu Józefowi. Widział on należycie ich źródło i wiedział dobrze, co by mu wypadło czynić, ażeby temu wszystkiemu zapobiedz, ale oswajając się ze swoim nowym położeniem pomału i nauczywszy się uśmiechać w nieszczęściu i obojętnie znosić ciosy tego domowego nierządu, miał zawsze krok jakiś stanowczy na myśli, ale zbierając zię nań codziennie, coraz sobie dalszy termin wyznaczał i Wciąż go odkładał, a tymczasem kiedy tylko mógł, do Żerniczki uciekał.

Przy swoich rozmowach z łowczycem miał on teraz na celu, aby nakoniec jemu się ze swoich cierpień wypowiadać i przed przystąpieniem do czynu, jeszcze jego rady zasięgnąć, ale i na tę spowiedź nie mógł się jakoś zdobyć pan stolnikowicz i także ją zawsze odkładał do jutra. Tymczasem Barbarce, rosnącej ciągle dla męża w niechęci i niespracowanie wad w nim i złych przymiotów szukającej, nie podobały się te częste męzowskie wycieczki, i wymówiwszy mu je po kilkakroć, nakoniec całkiem je sobie wymówiła. Pan Józef i temu rozkazowi się poddał, i zaprzestał nawiedzania łowczyca, ale ponieważ ci ludzie żyć bez siebie nie mogli, a już najmniej pan Józef w tym położeniu mógłby się być obejść bez przyjaciela, więc natomiast łowczyc codziennie prawie bywał ,w Żernicy. I znowu były pomiędzy nimi gwędki, ale jednakże sposobność do wypowiedzenia się z swoich zgryzot stała się tutaj Józefowi trudniejszą, bo bystre oko i ucho miała pani Barbara, — więc ów przedsięwzięty termin jakiegoś stanowczego kroku odwlekał się jeszcze dalej, a tymczasem złe rosło coraz bardziej i nie doznając z nikąd żadnego oporu, wzmagala się coraz więcej i coraz głębsze zapuszczało korzenie.

Dziwią się ludzie temu, że z tysiąca zamków warownych i grodów, którein kraj ten był najdzony, w lat kilkadziesiąt zaledwie kilkanaście zostało ruin, a nie pomyślą nad tím, jak. to mało potrzeba czasu na to, ażeby najpiękniejsze rąk ludzkich dzieło niszczało. Żadne tóż podobno z dzieł takich tak nagłemu nie podpada zniszczeniu, jak zamki, pałace i domy. Niechaj tylko przez lat kilka pozostaną bez ludzkiej opieki, oddane samym sobie i nieprzyjaznemu wszelkiej stagnacji czasowi, a zachwieją się najsilniejsze baszty, mchami malowane porosną dachy, szernieją i podziurawią się mury, a potóm jednój tylko silniejszej potrzeba burzy, ażeby z onej wyniosłój twierdzy, o którą niedawnemi jeszcze czasy napróznp się kusili łupów Tajtarzy, bezkształtna tylko pozostała ruina.

Daleko śpieszniej wszakże chylił się ku ostatecznemu upadkowi zamek na Balogrodzie, niżeli jego bliżsi i dalsi sąsiedzi. Starożytna budowa ta widać tylko sztuką i starannością swojego pana utrzymywała się wjakiój takiej całości: zaledwie bowiem rok niepełny minął od śmierci podkomorzego, a już nikt obcy byłby nie powiedział inaczej, jeno że przynajmniej lat kilkanaście w opuszczeniu stać musi ta poczerniała rudera. Świetne to podkomorzego mieszkanie rzeczywistą już było rudera.

Mury, dopióro co przed weseleni Barbarki świeżo otynkowane i połatane, teraz już poczerniały, jak gdyby je kto dymem okopcił, i podziurawiły się znowu. Okna na całym górnem piętrze powybijane na poły, w drugiej części z ramami powylaływały w dziedziniec; dach się przez połowę zapadł na strychy, drugą

część jego burza zimowa zerwała i z góry do Hoczewki rzuciła, a na jego miejsce sterczało tylko siedem obdrapanych kominów. Na brzegach murów mchy po wyrastały i zielska różne, które się z nich na zewnątrz zwieszały; połowa baszty rozsypała się gruzem i powaliła sobą ono kolczaste drzewo, po którym niegdy Bartek wspinał się w górę, a teraz wróble i pośmieciuszki skakały. Ga- lerya frontowa się w jednym końcu obdarła i ku ziemi obwiesiła, a pod nią z sześciu czystych i białych trzy tylko wilgocią poza- ciekane pozostały kolumny. I tak wszystko poniszczano i poupa- dało, a czemu sam czas z burzami zimowymi nie podolał, temu ludzka ręka, na gwoździe i kołki łakoma, tak dobrze pomogła, że aż strach było spojrzeć na ten szkielet szlacheckiego mieszkania.

Widok ten atoli o tyle, był jeszcze straszniejszym, o ile jeszcze także same zniszczenie w całym się rozpostarło obejściu. Od śmierci podkomorzego bowiem, całe gospodarstwo, poruczone dawnemu marszałkowi domu, przeniosło się ze wszystkimi na folwark, a tutaj pustką stały oficyny i kuchnia, stajnie i obory. Marszałek, człek już wiekowy i nieutulony w żalu po swoim panu, nie dogładany nawet przez nikogo w administracji, bo rozrządzenie nieboszczykowskiemi dobrami aż do powrotu podkomorzycza zawieszono, pilnował jako mógł roli i dobytków, ale siedzibę pańską, na którą bez łez ani popatrzeć nie mógł, wraz z tem wszystkimi co ją otaczało, Boskiój porucił opiece. Więc padały dachy na stajniach, zaciekały wilgocią mury, kładły się na ziemię parkany i płoty, i dzikiemi chwastami zarastał dziedziniec, którego przez całe lato. obca noga się nie dotknęła. I tak wszystko do koła, patrząc na zamkową ruinę, samo się chyliło w proch i zniszczenie.

Na całym tym zamkowym obejściu teraz nikt już nie mieszkał: stary tylko kapelan, wybrawszy sobie małą izdebkę na dole i obwarowawszy ją jak było można przeciwko wichroń i wilgoci, resztę dni swoich samotnie tam pędził. Staruszkowi temu ofiarowało kilku sąsiadów ciepły kącik u siebie; więc chciał go brać na Zernicę pan stolnikowicz, zapraszał do siebie pan łowczyc, bardzo nawet nalegał nań pan Urbański, iżby u niego w Jabłonkach zamieszkał, ale on się wszystkim wymówił i w swój izdebce pozostał. Przykry mu był widok tój opuszczonej przez przyjaciela siedziby, ale przykrzójby mu było jeszcze, gdyby był zdała od jego grobu. Jakoż w czas pogodny, najwięcej godzin spędzał ten srodze osowiały staruszek na balogrodzkim cmentarzu; tam w nogach grobu podkomorstwa obojga kazał on sobie kamień wielki położyć, na tym kamieniu, stać już ani klęczyć nie mogąc, siadywał on nieraz przez całe wieczory i przesuwając w rękach bursztynowe różańca koliwa, liczne posółał pacierze za swoim jw. panem. W tych wędrówkach na grób podkomorstwa towarzyszył mu zawsze kruk Nestor, sroka Rusinowska i szpak Samozwaniec, —. ostatnie troje ptactwa, które kiedy kapelan udarował wolnością nieboszczykow- Tcm X.



ską ptaszarnię, nie chciała porzucić rąk swego karmiciela, —I a z niemi pies legawy nieboszczyka podkomorzego; a kiedy kape- I lan, siedząc na swoim kamieniu, po ukończonych pacierzach, za- I myślił się nad onemi latami spędzonymi z tym, który teraz przed I nim leżał pod ziemią, i popatrzył na to ptactwo skaczące i lata- I jące około grobu, i na psa leżącego pod krzyżem, i przypomniał sobie Barbarkę, która od przeszłej jesieni ani razu nie nawiodziła tego cmentarza, to mu łzy w oczach stawały, mrucał coś sobie pod nosem i płakał.

W innych godzinach siadywał ten staruszek w ganku pod kolumnami i bawił się ptactwem, które koło niego chodziło i brało I z jego ręki resztki niespożytego obiadu; a kiedy ptaki pokarmił i nagadał się z niemi do woli, to zakładał ręce na krzyż na pier- I siach i patrzył w niebo, jak gdyby w ścianę swego przyszłego mieszkania. Ale czasem się zrywał i szedł na górne piętro. Tamte komnaty dziwnie teraz wyglądały. Chociaż bowiem w kilku miej scach niebo było widać przez pułap, chociaż okien nie było ani połowy i drzwi wszystkie pootwierane, większa połowa sprzętów pozostała w nich na tych miejscach, co dawniej. Czasy były do- | bre, każdy miał dosyć swego i nikt się po cudze nie kwapił; były to zresztą rzeczy stare i nader małej wartości, jak skoro z pomiędzy nich co kosztowniejsze wybrano; teraz zaś wartość ich była prawie już żadna. Więc stały jeszcze na popaczonych posadzkach stoły, kanapy i szafy, leżały powywracane stołki i małe stoliki, leżały drzwi poodry wane z wrzeciędzów, wisiały z ścian całe płyty poodzióranych makat, a z pomiędzy nich ówdzie wyglądało potłuczone zwierciadło, tam stary obraz jakiś brudem i pleśnią okryty, a gdzieindziej puste ramy tylko, z których przodek jakiś w pancierz zakuty i skórą niedźwiedzią okryty, wypadł i twarzą do ziemi leżał na wypłowiałego kobierca łachmanach. Po tych komnatach wzdłuż od- rogu do rogu się nieraz przechadzał kapelan, milcząc i w niektórych miejscach w zamyśleniu stawając, jak gdyby sobie chciał przypominać niektóre sceny z tamtych czasów, kiedy tu było życie; potem dobywał klucza z kieszeni i otwierał drzwi I onych pokojów, w których była sypialnia i kancelarya podkomorzego. Te dwie izby najmniej podległy zniszczeniu; stało tóż w nich wszystko jeszcze na dawnym miejscu, i szafa z książkami i pult z papierami i naczynie do mycia i wszelkie inne sprzęty, nawet łoże nieboszczyka na podniesieniu, tylko trumny pod łożem i papug przy drzwiach nie było. W trumnie spał dzisiaj sam podkomorzy, a papugi pozdychały wkrótce po śmierci swego pana.\* W onych izbach nieraz kapelan się zatrzymywał, drzwi od ganku otwierał, potem przy swym dawnym pulciku zasiadał i patrząc na ów włóczek niedokończony i na krzesło rozpięty, kartki w kiędze przed sobą leżącej przewracał, tak jak gdyby jw. pan miał nadejść za chwilę i słuchać jego czytania. Ale potem nagle się bu

dził, pult i księgę porzucał a prędko zbiegłszy do swojej izdebki, długo się nie pokazywał na górze.

Tak wyglądał teraz zamek na Balogrodzie,—takie było życie staruszka w ruinach. Szlachta, przejeżdżając tamtędy i poglądając ciekawie na te coraz bardziej czerniejące murzyska, zatrzymywała się nieraz na dolinie Hóczewki, ażeby nad marnościami tego świata podumać. A te ich dumy obwijały się w jakąś szatę dziwną i fantastyczną, pamiętną bowiem wszystkim była owa burza piekielna, która jak kara Boża niegdyś na grzeszną Niniwę nagle z nieba wypadłszy, przyniosła prawie nagłą śmierć podkomorstwu i równie nagle zniszczenie ich pomieszkaniu. Tak straszemu i niespodziewanemu zdarzeniu nie umiając właściwej wynaleźć przyczyny, a nie mogąc go do przypadków policzyć, dziwne baśnie przywiązywała szlachta do niego. Z tych baśni nie pozyskała żadna tak pospolitój wiary, ażeby już na wieki pozostała w ustach okolicznych mieszkańców; wszakże powszechnem stało się to przekonanie, że karząca ręka Boża zniszczyła zamek balogrodzki za grzechy jego mieszkańców. Tych grzechów nikt nie umiał wyliczyć, ani się nawet domyślić, bo zanadto prawe a nawet świętobliwe było życie rodziców Barbarki, ażeby i najzłośliwsze języki mogły być coś na nich wymyśleć; Avszakże nie przeskadzało to nic do utwierdzenia się tego przekonania, że musiały być grzechy jakieś, kiedy tak straszne nastąpiło przekleństwo. Ale jak podkomorstwu dostała się od sąsiadów niedobra sława za jakieś niewiadome przewiny, tak znowu kapelanowi, który śród tego nieszczęścia ocalał, przyczepiano koniecznie jakieś cnoty niepospolite i łaskę Bożą. I w jakim stopniu wzrastał żal i politowanie nad grzesznym podkomorstwem, w takimże samym rosła cześć i sława dla kapelana; a ponieważ ten starzec ciągle mieszkał w owych czarnych ruderach, które były grozą dla wszystkich przejeżdżających, więc to roznoszącej się wieści o jego świętobliwości tylko tórn więcej jeszcze dodawało uroku, że nakoniec, przyznając mu ciągle wielką z cnot sławę i tę coraz bardziej stopniując, poczęto go nazywać prawdziwym ulubieńcem Bożym, świętobliwym człowiekiem i prawie świętym.

Wieść ta, której wzrostowi i rozwijaniu się między szlachtą dobrze sprzyjały czasy, bardzo spokojne i zupełnie bezczynne, daleko bujniój i wznioślej się krzewiła między ludem, który na swoją wieczną nędzę i cierpienia znaleźć nie mogąc pociechy u tych, którzy mieszkają na ziemi, szuka i zawsze znajdzie pomiędzy sobą ludzi takich, którzyby mu ją przynosili z nieba. Jakoż w opinii wiejskiego ludu prędko kapelan postąpił na zupełnie świętego, a ztąd na wybranego pośrednika pomiędzy Bogiem i ludźmi, na umiejącego dawać rady niemyślne, uzdrawiać chore i ledwie że nie wskrzeszać umarłe. •

Przemieszkawszy tedy w zupełnój -ciszy i samotności całą zimę i początki wiosny i wiedząc o tem, jak wszyscy ludzie, pacierz

mówiąc i krzyż robiąc na piersiach, zdaleka omijają tę straszną rudę, niepomału się zdziwił kapelan, kiedy z początkiem lata poczęli przystępować różni ludzie ku niemu, prosząc go to o rady J dla siebie, to o lekarstwo dla swoich chorych\* to o pacierze za J dusze zmarłe. Przyjaciel podkomorzego, który swojego długiego I życia nie strawił daremnie, oprócz tego, że był żołnierzem i księ-1 dżem, rolnikiem i budowniczym, ptasznikiem i rybołowcą, umiał także i wiele jeszcze sztuk innych, a już też znał się także i na I medycynie domowej, bo któż się na niój . nie znał onego czasu, j w którym zaledwie na dworach pańskich utrzymywani byli lekarze? Znając się więc na tórn, i mając po pani podkomorzynie pozostałą apteczkę u siebie, a nie będąc zresztą w kłopotcie o dobre rady i paciórze, rad był nakoniec z tego, że się może choć na coś jeszcze przydać na świecie, i nietylko że się nie zamykał przed przychodzącymi doń ludźmi, ale nawet nikt od niego nie odszedł, któryby jeśli nie ulgi, to prz3majmniej pociechy nie odniósł. Ale nie dosyć na tem, że do niego się tak licznie garnęli ludzie, że | nieraz po kilkanaścioro tega ubóstwa stało na zamkowym dzie- j dniu; musiał on wszakże jeszcze i do wsi nieraz się spuszczać, i do chat wieśniaczych wstępować, ażeby tam nad konającymi choć jedną odmówić modlitwę. A kiedy się tak kilka razy zdarzyło, że taki, którego miano już za konającego, po przeczyta- nój nad nim modlitwie wolniej odetchnął a za parę dni powstał z łoża i poszedł za pługiem, to kapelana sława rozniosła się aż po ziemię sanocką, klękali i żegnali się przed nim przychodzący do niego, lub na cmentarzu go siedzącego widzący, nachodził go lud wiejski i kapoto wy i szlachta nawet niektóra, a o jesieni rzadko już który dzień tak minął, ażeby jakaś twarz ludzka nie przesunęła się przez zamkowy dziedziniec.

Niedługo atoli te zamkowe ruiny miały służyć li za kapelań- ską pustynię, — żyli bowiem jeszcze podkomorzego następcy, żyło pokolenie nowe i młode, które niezwykle ruinami zostawiać intratnych ojcowskich siedzib.

Jakoż dnia jednego, prawie w samą rocznicę onych fatalnych dni wesela i śmierci, kiedy o samym zachodzie słońca kapelan, odprawiwszy swoich natarczywych klientów, bawił się ptactwem koło niego skaczą^m, dał się słyszeć turkot jakiś niedaleko od bramy, a w parę minut potóm czworokonna kareta zajechała przed ganek. Karóta ta była uprzężona czterema końmi karemi, jak gałki, na jej koźle siedziało dwóch ludzi po niemiecku ubranych... owo zgoła nie trudno było poznać odrazu, że to Bartków ekwipaż.

Jakoż, skoro tylko sługa drzwiczki od niój otworzył, w które kapelan z miejsca swego powstawszy z ciekawością zaglądał, wyszli z niej i przed kapelanem stanęli oba młodzi Karsznicy. Wincenty, ujrzawszy przyjaciela swojego ojca a swego mentora, z.szczerym afektem rzucił mu się na szyję, i staruszek objął go oby- dwiema rękami i w głowę całował. A kiedy się wypuścili z wza

jemnego objęcia, ażeby się dalej słowami już witać, to spojrzawszy po sobie, rozplakali się oba i słowa wymówić nie mogli. I długą chwilę potem jeszcze płakali, a Wincenty, chustką łzy obciórając obficie, poszedł na środek dziedzińca, i patrząc ztamtąd na zamek ojcowski i na całą tę pustkę i zniszczenie dokoła, łez już swych powstrzymać nie mógł, i przyciskając obydwiema rękami chustkę do oczu, aż się w głos zachodził od płaczu jak dziecko.

Tymczasem Bartek przystąpił ku gankowi i oparłszy się o kolumnę, smutno patrzył przed siebie; o drugą kolumnę, równie smutny, z rękami założonemi przed sobą, stał milczący kapelan.

A wtém wjechał w bramę wóz trzykonny, na którym siedział Halecki i inni słudzy; ten wóz obaczywszy, ruszyła karóta z przed ganku, i przejechawszy po pod zamek wraz z onym wozem, zatrzymała się przed stajniami, ale w tymże momencie, otrzęsiona tym turkotem baszta, pękła przez połowę na długość, a kawał ogromny muru urwawszy się z nią, z trzaskiem i łomotem upadł w chwasty pod basztą rosnące i podniósł nad sobą gęstą chmurę kurzawy.

Na ten huk podkomorzyc odjął chustkę od oczu i łzy zatamował, ale przystąpiwszy do Bartka i kapelana, rzekł łzawym głosem:

— Nie, już niech się dzieje z Balogrodem co chce, ja ani do tego zamku nie wejść, ani tu chwilę dłużej zabawię. Jabym tu duszę wyplakał na tych miejscach.

— Jedź, jedź, mój synu — mówił na to kapelan — starego to trzeba serca na to, ażeby zniosło tyle boleści. Jedź — i tak w onych dobrach, halickich, które tobie ojciec przeznaczył, kto wie co się dzieje. Jedź a kiedy z czasem się oswoisz z tym bólem twoim, to przyjedź tu, ażebym się choć jeszcze raz, nim umrę, pomodlił wespót z tobą na grobie rodziców.

— Ach\* ojczy — rzekł z nowemi łzami Wincenty — ja nie odjadę ztąd, ażebym nie uklęknął na ich grobie i chodźmy tam zaraz... ale w zamek ten ani nogą nie wstąpię; mnieby serce pękało od żalu.

Kazali tedy wyjechać swym powozem z zamkowego dziedzińca i stanąć na rozstajnej drodze; sami zaś tymczasem wraz z Bartkiem szli na cmentarz balogrodzki, albo raczój stężnicki, bo tu na wsi a nie przy mieście były pochowane ciała Karsznickich. Szli tedy w górę a za nimi leciało ono ptactwo podkomorskie i włókł się pies ze spuszczonego ogonem, i szedł dalej marszałek i inni słudzy nieboszczykowscy, którzy przyszli z folwarku pana młodego powitać, a nie mogąc z nim mówić przez jego żal i łzy, postępowali zwolna za nim na cmentarz.

<sup>1</sup> Podkomorzyc to widząc, wciąż płakał, chustkę przed oczyma trzymając i milczący szedł naprzód. I był to jakoby drugi pogrzeb, posuwający się ku cmentarzowi, jeno że trumny nie było.

A kiedy tam przyszli,, uklękli wszyscy około grobu i długo

się tam modlili, aż i słońce zaszło i mrok już dobry począł się ścielić po dolinach i górach.

A potem wstał, podkomorzyc i witał wszystkie sługi ojcowskie, pytając" po staremu o ich powodzenie, o zdrowie, o żony i dzieci, a oni mu odpowiadali, kłaniając do kolan i pytając nieśmiało, czy ich znowu na długie czasy odjeżdża? A kiedy się dowiedzieli, że zostałyby z nimi chętnie, jeno dla swój ciężkiej żaloby nie może i że chociażby został, to nie na długo, bo Balogród z woli ojcowskiej przypada na jego siostrę, jmc panią Bobowską: ,to oni mu się jeszcze kłaniali i prosfli, ażaliby tak być nie mogło, żeby przy nim się ostał Balogród? — Ale to już nie mogło być; podkomorzyc tylko dziękował za afekt i obiecał im to pamiętać od siebie, i dobrze za nimi się wstawić u siostry.

lak potem pożegnawszy się ze wszystkimi i pokłoniwszy się księdzu kapelanowi, odprowadzeni przez cały dwór balogrodzki, wsiedli panowie młodzi do swojej karety i pojechali wprost do Żernicy.

A tymczasem w Żernicy nikt ich się ani spodziewał, ani mógł nawet spodziewać. Wprawdzie podkomorzyc pisał parę listów do siostry podczas swej niebytności i w każdym z nich obiecywał, że już w krótkim czasie na zagon ojcowski powróci; ale skoro z jednego z tych listów wyrozumiano, że wraz z Bartkiem do onych dóbr wielkopolskich, które po pani podstolinie na nich przypadły, odjechał, z drugiego, że z temi dobrami wiele mają kłopotu i żej zapewne przyjdzie z niejedną sprawą aż na rok sądowy poczekać, nim się od nieporozumień sąsiedzkich uwolnią, a z trzeciego nakoniec, że miasto podstolinej umarłej, jest w ich sąsiedztwie jakaś podstolina żywa, która ma córeczkę dziwnie miłą panienkę, i że to ich tylko jedno jeszcze ratuje, boby im przyszło się zanudzić z kretezem z onemi Wielkopolaki: tedy ani myślano o tóm w Żernicy, żeby miał temi czasy wrócić się podkomorzyc i spo- dziówano się prędjój od niego listu, któryby ich na wesele zapraszał, aniżeli jego samego. Tóm też mniej jeszcze spodziowano się Bartka. Jakoż wieczora tego, a był to dzień jakiś pogodniejszy pomiędzy tem młodem małżeństwem, kiedy na kominie gorzał ogień suchemi karmiony drzewy i pryskał iskrami na płyty kamienne, które przed nim rozścielone były na miejscu posadzki, a na stoliku paliła się świeca woskowa zasłoniona umbrelką, na której dziwnie pięknie była wymalowana męka Pana Jezusa, siedział pan stolnikowicz w swoim krześle przy stole, i to kartki po jednej w jakiójs księdze przed sobą leżącej obracał, to znów słuchał Barbarki, która swoim zwyczajem chodząc wzdłuż komnaty, wyprawiała przy kominie grzejącego się Grotta na jarmarki podolskie, ażeby na nich nakupił wołów, które wy karmione przez zimę w Żernicy i Rogach i zakupywane przez kupców niemieckich, znacznie podwyższały intratę. A kiedy mu już wszystkie naprzód

oznaczyła popasy i noclegi w tój drodze, opisała naprzód woły od rogów do racic i prawie ceiiy ich powiedziała, dodała nakoniec :

— Ale co to! ja sobie głowę suszę nad tem, ażeby waszmo- ści jaknajdokładniój wszystko zadysponować i ażeby mu zgoła te trudności opisać, które w takiój sprawie się mogą nawinać, a on jednym uchem słucha a drugióm wypuszcza, jak gdyby tylko wiatr wiał koło niego. I założę się o to, że albo nad miarę drogo to bydlę popłaci, albo przyprowadzi takie gałgany, że ich i bobową mąką nikt nie wypasie, albo jako człek mądry i przezorny, co to zawsze tu strzyże tam goli, zgoła bez wołów powróci.

Grott, już przyzwyczajony do wymyślań Barbarki, nic na to nie mówił, a ona znów dalój:

— Ale to zawsze temu tak bywa, który sam się niczego nie imię; więc go tu kradną, tam oszukują, a gdzieindziój zabiórają z przed oczu, aż on się dziwi, że za ojca bywało, a on pracuje i pracuje i nigdy nic nie ma. Ale co to gadać napróżno! Trafí się taki, który stanąwszy pod rynną, choć mu się woda leje za kołniórz, nie ustąpi się z pod niój przez samo lenistwo: dlaczego niema być drugi taki, który woli grosz leżany wybrać do dna ze skrzyń, i potem u drugich pożyczać, niżeliby miał popracować.

— Już do mnie pijesz, — rzekł na to, kładąc rękę na książce, Bobowski, — a zinowu niesłusznie, bo było za ojca, jest za syna i zostanie jeszcze dla wnuka, żeby go jeno Pan Bóg dał kiedy doczekać. Jest i jest dostatecznie, a choć ja tak nie pracuję jako drugi chudzina na kilku zagonach, toż to nic nie ma do rzeczy; wždy ja dbam przeto o wszystko i pracuje za mnie Grott z takim skutkiem, że jak mnie Bóg miły, tyleby miała Polska pióńiedzy, ' ile ma zboża w jesieni, kiedyby wszystkiej, szlachcie tak wiodły się gospodarstwa. A co się tyczy tych wołów, to już darmo jest moje dziecko; żeby mi Niemcy na wagę złota je popłacili, to ja nie pojedę za niemi. Żaden Bobowski takim handlem się nie zabawiał i nie szachrował po jarmarkach wespólek z Ormiany i Żydy, toż i ja się tego nie podejmę. A trzebali mi będzie koni choćby i całe stado, to i na dziesięć jarmarków za niemi pojedę, i kiedy będę miał co na sprzedaż z mój stajni, także sam poprowadzę, bo to jest zwierz mnie godny i prawie mój przyjaciel, zwierz szlachetny, waleczny, chędogi i od najdawniejszych czasów z naszą szlachtą zbracony; owóz z takim to ja się i prześpię i ubiorę go i przedam- albo zamienię, zgoła z nim gdzie się pokażę, to mi wszędzie będzie do twarzy; ale wół, a baran, a inny zwierz domowy, to bydlę ręki mojej niegodne; jakoż zostawiając zabawkę z niem mieszczuchom a Żydom, sam go się ręką za nic w świecie nie dotknę, a nie dopierobym miał za. takimi rzeczami walać się ' po jarmarkach. Powiedziałem, rzeknę jeszcze raz wtóry i dziesiąty, i na tem koniec, bo inaczej nie będzie! — Skończył ostro pan stolnikowicz, i zaczął czytać w książce, bo już zbiórała go

niecierpliwość na te żonine zrzędenia, a zwłaszcza tóż kiedy to I się działo przy Grocie. Grott tóż aż się uśmiechnął z radości, że to przecie choć raz w tym domu mąż zagadał. swym głosem, I a Barbarka, popatrzysz na stolnikowicza spokojnie, tak jak gdy- | hy ją to także uradowało, że przecie opór jakiś znalazła, parę I razy milcząc przeszła się po komnacie, ale potem tak znowu mó- I wila:

— Cc ty mnie zawsze z tem wyjeżdżasz, co ciebie może plamić, albo co ci może plamę przynosić! Jużem ci tyle razy mówiła, | że w tóim wszystkióm co zawsze klepiesz, niemasz racyi ani za •grosz. Gadasz z książki albo z tego, co ci jeszcze ojciec powiadał, jakoby to słyszał od swego dziada, któremu to znowu jego ] dziad opowiadał... a nie patrzysz na świat i to wszystko co się ] dzieje koło ciebie. Szlachcic i szlachcic! to go plami, tamto go I kała, a tego jego ojciec, ani dziad, ani pradziad nie czynił. Jakbyś I tóż ty to był taki sam szlachcic, jaki był twój pradziad i dziad! Anóż tamto rycerze byli, którzy małemi chłopięty szli na wojny, I na nich trawili życie i na nich ginęli. A prowadząc takie świetne rzemiosło, byli czyści jak lza, i pewno, że takich lada co plamić I mogło i już inna rzecz im nie przystała krom tej, której się po- I święcili. Im zresztą wolno było, kiedy powrócili do domu, spo- I czywać, w gospodarstwie przyjaciółmi albo sługami się zastawiać. I Ale wy co! Szlachtaście dlatego, że wasi ojcowie szlachtą byli, I ale was nie stać ani za dobre chłopcy, bo ani wy się rycerską ba- I wicie, jako szlachcie przypada, ani pracujecie na roli, jak chłopcy I czynią. Jedno leżycie w domu, wygrzewacie się w łózkach, ubić- I racie się świetno, pasiecie się jakby na jatki, pijecie jak bąki i ka- I leczyście się czasem na biesiadach — i owo całe wasze szlachectwo! J Więc was nie plami bezczynność wasza, obżarstwo, opilstwo,-! a plamićby miała dbałość o tp, żeby gębie waszej na mięsie i wi- I nie nie brakło? Więc ja nie -przeczę temu, że handel plamił I szlachcica czasu Zygmunatów, ale boście wy nie Zygjnunty, czasy J koło was insze, a ludzie poczynają już sobie dobrze brać na uwa- I gę, że można i pobić się kiedy wojna, i gospodarować sobie, gdy | spokój. Jakoż, proszę tylko popatrzeć po świecie, czy się dzisiaj I ten kto ma rozum sroma takiej rzeczy, która uczciwie przynosi I zyski? i czy niómasz tłumów szlachty na naszych jarmarkach? I i założę się o to, że dzisiejszych czasów, ten, który dobrze dba I o swe śpichrze i skrzynie, piórwszy także stanie na wojnie, a który I klejnotu swego boi się pokalać jarmarkiem, będzie się go bał po- I kalać i wojną, i w domu zostanie. Ale. co to wam gadać!

— Owóż co można usłyszeć, kiedy podvika ubierze się ■ w komżę i porwie się dp kazania! — rzekł na to Bobowski do I Grotta, a tak znowu do żony: — Gdybym tego nie wiedział, że to J co mówisz, nie idzie ci z serca i z przekonania, tobym ci siła- rze- \*<sub>t</sub> czy takich nagadał, któreby cię przekonały najjawniej, jako to J nieprzystojno kobiecie jest sądzić o sprawach mężów, ale tak i ja

także powiadam: ale co to wam gadać! To wszakże zawsze dorzucę, że mi i dziś i jutro i do śmierci jedno będzie zupełnie, co tam robi szlachta niemiecka, albo która inna. Żal mi jest, jeżeli się mój brat błazni lub plami, ale ja przez braterstwo a miłość dla niego ani tego nazwę rozumem, ani sam zasię uczynię. Bo to nie rozum, jeno głupstwo jest i hańba wielka dla tego, który, że to nie Zygmunt dzisiaj jeno Sas siedzi na tronie, zaraz też po sasku sobie poczyna i ze szlachcica robi się kupcem lub wolarzem; a drugie głupstwo jest. myśleć, że kiedy przeszło lat kilkanaście spokojnych, już też tak zawsze będzie; a trzecie głupstwo jest brać, to za winę szlachcie, że kiedy ją wojna nie nadchodzi, ona jej sama nie szuka i Panu Bogu dziękując za spokój, jest dobrój myśli i nie trapi siebie w swym domu głodem, pragnieniem i wo- jennemi niewczasy; a czwarte głupstwo jest, kogoś takiego, który z łaski Bożój ma dosyć dla siebie i jeszcze drugich przy sobie pożywi, napędzać koniecznie do tego, ażeby na gwałt fortunę robił, pieniędzmi skrzynię napychał, inwentarzami się obsadzał, ziemię zakupywał i co tam jeszcze i wmawiać w niego, że mu tak będzie lepiej — i owo wszystko to głupstwo jest, co kto powie o rzeczy takiej, którój nie rozumie. I podobno takby było najle- piój, żeby nietylko nie kazać komu drugiemu wojny szukać na stronie, ale i nie poczynać jój w domu.

— Cóż ty mnie gadasz o wojnie w domu! — zawołała na to Barbarka i poczęła znowu po swojemu wymyślać ni w pięć ni w dziewięć, na co pomimo swój woli przecie jeszcze replikował Bcbowński, i tak ten spór o nic i tylko dla ćwiczenia się w wymowie przydatny trwał między nimi długi czas. Inną razą byłby się skończył wcześniej, bo mąż miał zwyczaj, kiedy się to działo we cztery oczy, jak najprędzej zamilczać; ale teraz ze wstydu przed Grottem nie chciał tak ustępować z placu i zawsze chcąc rzecz zakończyć, tylko ją jeszcze zapalał nanowo. A Grott do tego się nic nie odzywał, tylko słuchał pilnie i uważał; jakoż dziś zauważał to, że ci małżonkowie nauczyli się już między sobą klócić na zimno i miał to sobie za znak bardzo niedobry, bo był tego zdania, że pomiędzy klójącymi się z sobą na zimno niema już ani krzty jedynój miłości, tylko złość i nienawiść.

I byłby się ten spór i w przytomności Grotta pewno tak samo zakończył, jak i bez niego, to jest kapitulacją męża, bo pani nie ustępowała nigdy, a jeżeli ustąpiła kiedy, to tylko to był ro- zejm z jój strony wzięty na to, ażeby na drugi dzień z większą furią wystąpić — ale tą razą skończył się cał inaczej, bo przerwany został turkotem powozu, który zajechał przed ganek.

Na ten głos ucichli małżonkowie oboje, a Grott, wybiegłszy na chwilkę do sieni, zaraz powrócił i przyniósł wiadomość kto jest. Wbiegli tóż i Karsznicy obadwa i padł zaraz podkomorzyc swojej siostrze w ramiona, nuż go z jój rąk wydarł pan Józef, to znów nazad go odebrała Barbarka, i tak witali się serdecznie; aż też



się popłakali z radości. Bartek tymczasem stał koło stołu i wi-ł dząc, że go zrazu traktują per non sunł., myślał już że źle będzie, ale państwo skoro się tam powitali, przyszli tóż i do niego. I wi-ł tała go trochę pomieszana Barbarka, ale pan Józef tak jak gdybyJ n\c nigdy nie było i już wszystko dobrze się stało.

Jakoż po powitaniu poczęła się pogadanka prędką i żywaj jak to zwyczajnie bywa pomiędzy krewnymi, kiedy się po długiomi niewidzeniu niespodziewanie obaczą. Ale ledwie co trochę pogal dali o rzeczach ważniejszych około siebie, przyszli zaraz na swoich rodziców; więc znowu zamiast wesela zasiadł smutek pomiędzy nimi i były chwile, w których nikt nic nie mówił, jeno wszyscy! płakali. Jakoż po tych łzach nie szła im już dobrze żadna roz-ł mowa, bo co kto tylko jakie słowo wrzucił o innej sprawie, toł ktoś drugi niechcący zaraz to nakierował na nieboszczyków, po-ł czóm znów zamióraly słowa, a następowały łzy i westchnienia! Więc już widząc że to nie idzie, dano wieczerzę, a po niej rozeszła się wszyscy na swoje noclegi, ofiarując już ten dzień słusznej za-ł łobie, a zabawę i sprawy familijne zostawując na późniój. Bartekł tylko jeden jakoś nie brał w tój żałobie udziału i snać inne myślił mu musiały chodzić po głowie, bo kiedy rozkwaterowawszy sięł w oficynie razem z podkomorzycem, został z nim tylko sam na I sam, to robiąc różne uwagi nad tómi, jak tu przez jeden rok tylej rzeczy się całkiem podmieniało w ziemi sanockiój, parę razył wspominał o tem, jako cudnie piękna kobióta zrobiła się terazj z Barbarki.

Następnego dnia tedy, kiedy wszyscy zesšli się przy śnia-ł daniu, zaczęły się dopióro dobre o różnych sprawach familijnychj rozmowy. Opowiadał tedy najpiórw Wincenty, jakie widział tamł kraje, jakich ludzi, jakie zwyczaje; wspominał o swoich znajomych! i przyjaciólach, z którymi służył razem na kresach albo był w kon-J wikcie w Warszawie, a których ponachodził niespodzianie po Wielkopolsce a nawet na Kaszubach i Pomorzu, dokąd dla widzeH nia kraju jeździł z Bartkiem; wspominał o pani podstolinie i jój dziwnie miłej córeczce, opowiadał przytóm, jako ród jest świetny] tej panny, jako znaczne na nią spadają fortuny, jako wielu naj-j przedniejszsj kręci się koło niój młodzieży, i nie tał się z tómi wcale, że za prawdziwe szczęścieby to sobie mał od Pana Boga.ł gdyby się mógl z nią ożenić; jakoż nadmieniał zdaleka, że chociaź nie ma jeszcze teraz żadnej nadziei, jednakże kto wió, ażali z wio-J sna znowu tam nie zagłądnie. Potem przeszedł na one dobra w Wielkopolsce, spadłe na nich po babce, i wyliczył kolejją, jakie to grunta egipskie, jakie lasy a jakie łąki! jaki dwór jest wspa-ł niały, wszystkie budynki gospodarskie z kamienia, wszystkie płoty z drzew żywych, wszystkie granice okopane rowami i jaki tan<sup>1</sup> zgoła wszędzie jest. ład i porządek, chociaź babka już tak dawno umarła. Mówił tedy, że namawiał Bartka koniecznie, aby to zatrzymał dla siebie, że to tak niedaleko od niego, i żeby mu to

bardzo było na rękę. Ale ponieważ Bartek, mając sam dobra rzęgle i taki niemiecki w gospodarstwie porządek nie jest jemu nowiną, bo też to wszystko jest i u niego, i wcale nie chciał tych dóbr przyjmować; tedy on się zdecydował je przyjąć na siebie i przyjął, obowiązawszy się Bartkowi gotowizną zapłacić jego połowę; jakoż z pieniędzy gotowych, które się tam znalazły, a któ- remi się podzielili, zapłacił mu już .część jakąś, a resztę ma mu tutaj zapłacić z sum pozostałych po ojcu. Na taką o tamtych dobrach wiadomość, rzekła zaraz Barbarka:

— Bardzoś to dobrze zrobił, kochany Wincenty, żeś tamte dobra, kiedy ich nie chciał pan Bartłomiej, przyjął na siebie; jakoż tak myślę, że jeszcze wcale gotowizny ojcowskie na to wystarczą, ażeby je do reszty zapłacić; ale przecie mnie. to nie cieszy.

— Dlaczegoż to, moja siostrzo? — zapytał podkomorzyc.

— Raz dlatego, — odpowiedziała Barbarka, — że może ci się tam tak bardzo podoba, że aż tam zamieszkaż i tak daleko się od nas oddalisz; powtóre, że cóż ja tu pocznę teraz z Balo- grodem?

— Jakże to? — spytał jeszcze raz pan Wincenty.

— Bo ja Balogrodu nie utrzymam na żaden sposób; to jest dziura paskudna, gospodarstwo wielkie i pracowite a niewiele intratne, a do tego jeszcze takie tam nas spotkały nieszczęścia, że kiedybym go zatrzymała przy sobie, toby mi się ciągle zdawało, że nad naszymi głowami wiszą już jakieś gromy i błyskawice. A potem, ma mój mąż ziemi tyle, że i tak trudno dać radę gospodarstwu, na co nam jeszcze Balogroda? Więc krótko mówiąc,— dodała z uśmiechem pani Bobowska, — kręć panie bracie głową jak umiesz, ale kręć tak, żebyś sobie wziął odemnie Balogród.

Podkomorzyc westchnął tylko na to głęboko i milczał, a siostra go zapytała:

Coś ciężko z tem panu bratu?

— Ciężko,odpowiedział Wincenty, — bo i ja za nic w świecie Balogroda nie wezmę.

. — A to smutno, — odezwał się na to sam stolnikowicz, — fortuna to wprawdzie matczyną, ale już się prawie j osiedziała w domu Karsznickich; są tam groby rodziców, nie ładnieby to jakoś^ wypuszczać z ręki; ale myśmy już nad tem na różne strony myśleli z moją miłą dzióweczką i takeśmy postanowili, żeby się tem nie obarczać.

— Ja za nic w świecie Balogroda nie wezmę! — rzekł znowu z westchnieniem Wincenty.

— Ja go także nie wezmę! — rzekła z swojej strony Barbarka.

— No, i cóż tu z tórn robić? — zapytał brat jej.

— Cóż robić? — odezwał się na to Bartek, — brat nie chce,

siostra nie chce, to sprzedać do kata, a pieniądze potem weźmiesz z was którekolwiek.

— A zapewne, — odrzekł na to pan Józef, — że to by naj-l lepiój, ale bo to najpiórwej nieprzyjemna kolizya wypuszczać' z imienia majątek, jakożby się nie obeszło bez tego, żeby" za to świat na nas nie krzyknął, a powtóre i sprzedać taką fortunę dziś<sup>1</sup> nie tak łatwo, a kiedy by do niój który sąsiad się nie dał nakło-i nić, to wątpię, ażeby kto do ziemi położystej i urodzajnoj przy-J zwyczajony, chciał się zakopywać tu w górach.

— To więcej jak pewna, — rzekł na to Bartek, — a już to snąc w tem najwazniejsza, że nie przystoi Karsznickim, ażeby się\*

kto inny po ich ojcowiznach rozsiadał, ale..... możebym ja co na to poradził.

— A cóż ty zrobisz? — zapytał Wincenty.

— Ja kupię Balogród, — rzekł Bartek, — a będzie i wilk syty i owca cała, bo i wy się go pozbędziecie, i przy Karsznickich zo-| stanie.

— Ej! panie bracie... — zarzucił na to Bobowski i chciał mó-J wić coś dalej, ale Barbarka, stanąwszy twarzą do niego a plecyma-J do tamtych, tak ostro nań spoglądnęła, że urwał i nic już daleM nie mówił; a wtóm rzekł Wincenty:

— Otóż toby było najlepiój, ale cóż tobie potóm?

— Mnie tych dóbr wprawdzie nie potrzeba koniecznie, —tłu-' maczył się Bartek, ~ bo mam dość swoich; ale tak: primo, od przybytku głowa nie boli; secundo, miałby mi leżeć grosz gotowy w kieszeni, to woli leżóć ziemia, bo grosz się rozejdzie a ziemia zostanie; tercio, łatwo do tego przyjdę, bo mi się jeszcze znaczna' suma od was za tamte dobra wielkopolskie należy, więc jak uważam niewiele mi już dopłacić przyjdzie; quarto, wam zrobię dogodność, bo was uwolnię od tego straszliwego) zamczyska i około familii się zasłużę, bo fortunę utrzymam w imieniu, a nakoniec i sobie zrobię przyjemność, bo choć tu siedzieć nie £>ędę, jednak kiedy mi się uprzykrzy bić chomiki i łaski u siebie, to będę mógł sobie pojechać na niedźwiedzie i dziki do Balogroda.

Tedy przyskoczył do niego i wyściskał go jeszcze za to Bobowski, mówiąc, że gdyby go był piórwszy mecenas trybunalski do tego kupna namawiał, toby był lepszych argumentów nie postawił.

Jakoż w dniach następnych przez całe dwa tygodnie prawie dwór żernicki był jakby jaka adwokacka komnata; przeglądano- inwentarze, wyrachowano dochody, z nich ustanowiono wartość realności, szacowano dwory, stajnie, budynki, ruchomości, zliczano gotowe i niegotowe kapitały, doliczano do nich zaległe prowizye, odciągano długi, ustanawiano dla starych sług gracye i odprawy, godzono się, targowano! a pomimo to, że się te sprawy odbywały pomiędzy rodzeństwem, i żadna strona drugiój nie chciała ukrzywdzić, jednak taka się masa nakoniec nazywała różnych wątpiwo

ści, punktów, punkcików, warunków i po wyjaśnieniu tego wszystkiego tyle jeszcze trzeba było pisać cesyj, transakcyj, pe- tycyj do ziemstw i do grodów, że pan stolnikowicz, który jako taki tęgi legista, sam to wszystko prowadził, nakoniec oświadczył, że aby to wszystko zrobić porządnie, tak jak tego prawo wymaga i na kaźden akt odpowiedni wystosować dokument, potrzeba jemu koniecznie kogoś do pomocy, bo to jest praca her- kulesowa. Chciano tedy posłać po dwóch palestrantów do Sanoka, ale pan łowczyc, który był temu przytomny, powiedział, że na co to brać cudzych ludzi do spraw familijnych i zaręczał, że jego szwagier, imć pan Pakosław, który ma taki rozum, że wszystkich sanockich legistów jednym palcemby na ziemię obalił, wszystko to zrobi w jednym momencie.

Zaproszono tedy Pakosza, który z największą chęcią podjął się tego wszystkiego, — jakoź najprzód kazał sobie po krótcie opo- wiedzieć rzecz całą. Tego obowiązku dopełnił już sam stolnikowicz bez czyjójkolwiek pomocy, a zasiadłszy z nim w onój komnacie, w której na wielkim stole rozłożone były niesłychane pliki papierów tych spraw dotyczące, tak się ci panowie ze sobą zagadali, że ich przez cały dzień ani widać było w innych pokojach, i tak się sobą wzajemnie zajęli i takiój admiracyi dla siebie nabrali, że potóm wieczorem na chwalić się nie mogli przed resztą familii swoich jurystowskich rozumów. Barbarka zaś, która przez cały dzień jako gospodyni bawić musiała Bartka, powiadała po kilka razy, że obadwa ci panowie wielkie mają rozumy. Ale potem Pakosz jeszcze na większą u wszystkich zarobił pochwałę, kiedy przysiadłszy fałdów, za trzy dni i trzy noce tak tę całą sprawę ukończył, że już nic nie brakowało, tylko wzajemnych podpisów. Tak tedy podpisały strony, Pakosz i łowczyc jako świadkowie, a rezultat pokazał się taki, że podkomorzyc otrzymał dobra wielkopolskie i ruskie, Barbarka resztę gotowizny ojcowskiej i jeszcze znaczne sumy zahypotekowane na braterskim majątku, od których coroczną miała pobiórać prowizyą. Bartek zaś ogłoszony dziedzicem dóbr balogrodzkich, które nabył za niewielkie pióńiadze, a nawet poniżój wartości, ale z tóim zastrzeżeniem, że miał wymurować piękną i trwałą kaplicę na grobie pod- komorstwa, kapelanowi płacić po tysiącu złotych rocznie do jego śmierci, wioskę Bystrę dać dożywociem marszałkowi nieboszczyka podkomorzego, starego arendarza z balogradzkioj karczmy nie ruszać, a kiedyby sam zszedł z tego świata, nie zostawiając syna, balogradzkie państwo miało przypaść na dzieci "Wincentego, a kiedyby Wincenty nie miał potomstwa, tedy na potomstwo Barbarki, a kiedyby i Barbarka nie miała potomstwa, tedy Panu Bogu na chwałę a na oo. franciszkanów w Zagórze.

To wszystko pięknie wypisawszy, Pakosz wziął po sto czerwonych złotych od kaźdój z trzech stron interesowanych w tój sprawie i pokłonił się cofając przez wszystkie pokoje i P<sup>rzez</sup>

sień i przez ganek, precz do domu odjechał; ale drugiego dnia zaczęli się także zbierać i panowie Karszniccy.

Nie spodziewając się ich tak prędkiego odjazdu, prosił ich stolnikowicz, prosiła i pani Barbara, iżby jeszcze zostali, ale już to jakoś nie mogło być, Wincenty ani sobie co mówić dawał i\*wyJ mawiając się pilnymi sprawami, śpieszył się do swojej nowej własności, do Wielkopolski, a w rzeczy podobno do onej tam swojej panienki; Bartek zaś mówił, że chociażby teraz mógł jeszcze czas jakiś zabawić, toż zawsze zasiadać tu jeszcze nie może, bo także! pilne sprawy w domu; tedy tylko poczynił dyspozycje sługom ażeby mu zamek balogrodzki trochę oporządził, zostawił swego kamerdynera Francuza, aby mu tu lasów pilnował, żeby mu nie wybijali zwierziny, dał pieniądze na zakupno drobniejszych inwentarzy, pomiędzy którymi psy gończe a brytany główni trzymały miejsce — i zabrawszy się wraz z Wincentym, odjechał!

Przy ich odjeździe Barbarka była jakaś smutna, nieukontentowana i prawie nic mówić nie chciała, ale ledwie się co powóz ich schował, za bramę, taka ją nagle złość porwała, że przyszedłszy do izby jadalnej i zastawszy w niej jeszcze niezabrane na-1 czynnie ze stołu, porwała czarę kryształową z konfektem i w łeć ją służącemu rzuciła, a potem ją się zmiatać wszystko naczy] nie na ziemię. Na ten brzęk i trzask wpadł pan mąż do jadalni\*] a obaczywszy co się dzieje, przebrodził prędko przez leżące na ziemi skorupy szkieł i porcelany, przez łyżki i noże, przez sosy masła i sóry, i przystąpiwszy do żony, sam nie wiedząc co jest, chwycił ją za obiedwie ręce. Ale Barbarka wydarłamu się z rąk i wołając: — Precz! precz odemnie! jesteś człowiek nieznośny^ mazgaj, nudziarz, nie chcę ciebie na oczy! — uciekła do swojej sypialni.

Pan stolnikowicz został w osłupieniu na środku izby i my-j ślą, coby to być mogło, ale nic nie wymyślił. Potem poszedł za żonę, ale drzwi zastał zamknięte; tedy pukał do nich, mówiąc" łagodnie:

— Basiu! dziecko moje! puśćże mnie i powiódz, co ci jest.

— Idźże sobie precz! i daj mnie pokój! — wołał głos z za drzwi.

— Ale Basiu! -kochanko moja! — prosił pan Józef, — po-1 wiedzże dziecko, może ci kto co zawinił, możeś chora .....

- A wtem tylko huk się rozległ odedrtwi i coś upadło z tamtej- strony przed niemi; widać pani cisnęła czołm do drzwi. Stolnikowicz wicz przestraszony odskoczył i srodze zafasowany stał jakąś chwilę jeszcze zdaleka odedrtwi, a potem poszedł i pytał Józefki» co pani robi, ale się nie dowiedział niczego więcej, tylko że pani- zła jest i płacze. Pytał dalej onego sługi, który wziął guza, co była za przyczyna gniewu pani, ale sługa kłął duszę i ciało, że ani się odzywał natenczas i zgola nic nie wió. Chodził tedy pan stolnikowicz jak gdyby podcięty i nic nie mogąc wymyśleć, przecie

myślał i myślał. \* A pani już się nie pokazywała przez cały dzień.

Nad wieczorem przyjechał łowczyc i wydziwić się\* nie mógł, że kawalerowie tak prędko wyjechali, bo wszakże nic o tórn naprzód nie wspominali. Pan Józef, który przed nim jeszcze żadnego wyraźnego nie uczynił zwierzenia ze swoich kłopotów domowych, zataił się ze swym smutkiem dzisiejszym i udawał, jak gdyby nic się nie stało. Ale łowczyc jakiś był smutny i nie swój. Pytał tedy go stolnikowicz, coby mu było, a on tak mówił:

— Kontent jestem z tego, żeście ten dział majątkowy zrobili, bo to zawsze jest rzecz, która waży niemało. Rodzeństwo kocha się między sobą i pewnoby jedno dla drugiego nietylko fortuny swej, ale i szyi nastawiło, kiedyby tego była potrzeba; niómasz tedy co mówić o tórn, żeby jedno drugiemu zawidziło fortuny i Chciało go na niój ukrzywdzić. Ale przecie to lepiój, że się dział robi czysty jak dzień, bo lubo to się rzadko trafia, żeby między rodzeństwem były spory o ojcowiznę, ale kiedy się trafia, to wielki ztąd wstyd i wielkie zgorzenie. A nie stanie się to między rodzicami, nuż się stanie między ich dziećmi, a choćby też i między wnukami, to i to ile. Owóż przednia rzecz jest ten dział. Druga rzecz dobra, coście zrobili, to żeście Balogród sprzedali- niefortunna to ziemia jakaś i jak gdyby kara Boża nad nią wisiała, na cóż to taką rzecz mieć.? Ale przecie w tórn dobrem nachodzi się także i złe.

— Jakież tc, panie bracie?

— Złe, żeście to Bartkowi sprzedali a przeto wpuścili tu między nas takiego człowieka.

— A cóż to jest panie bracie?—rzekł na to Bobowski,—przecie się nic nie pokazało na niego. Kawaler piękny i czysty jak łza, imie dobre i krew, i chowa to czysto, serce wielkie i odwaga w nim jest, boć dał tego dowody. Zawijał się wprawdzie koło mojej Barbarki, ale he, he, he! panie bracie, za Bożą pomocą odsądzony jest, sobie na wstyd a nam na sławę i cześć. Gniewał się podobno cokolwiek na to, no! ale teraz już się wygniewał i po- korniuteńki jest a gładziutki, jak przynależy. Chybażby mu tedy to tylko brać za złe, że się stroi z niemiecka, ale to darmo; nie lubieliby my tego, gdyby nam kto przykrawywał nasze żupany, nie przykrawajmyż mu jego kurty. Owóż zgoła nic ja złego nie widzę na nim.

— Już to prawdę mówiąc,—replikował na to pan łowczyc,— i ja tak znowu dokumentnie nic nie wiem, coby jego plamiło; ale przecie mi się tak widzi, że mu jakoś niedobrze z oczu patrzy. Gładki jest, męztwo ma i duch w nim wcale rycerski, a nawet do kompanii nie zły jest, ale zawsze jakoś mi tak Niemcem pachnie, że ja przynajmniej nos zawsze przy nim zatykać muszę. A co już zgoła mi się w nim nie podoba, to jest mores; słyszałem ja nieraz jego maksymy, jako je z drwinami ciskał nam w oczy, i to mnie

się bardzo nie podoba. Tu u nas kącik cichy i spokojny, chowa I się jeszcze cnota stara i ojcowski obyczaj, po Bogu, po cnoście, ^ skromniuteńko a wedle staniku; pobożność, pokora, a zgorszenia I żadnego ani na oko, ani też o nim gdzie słychu. Nuż wpuść ta-1 kiego diabła rogatego pomiędzy te białoszyjki nasze, a to diablakB czysty jak lalka, a zwinny jak wąż, a wonie od niego lecą jaki z wirydarza, a do tego jeszcze ma sztuki różne, gęba jak koło-1 wrotek, komplementów cały wór, ręka jak na sprężynie, nogi jaki u linoskoka, ba, i cały gniew się jak pręcik wiórbowy, — nuż gdzie 1 zabałamuci jakie dziecko uczciwe, nuż świśnie potem na czteryM wiatry, nuż zapłaczą rodzice, a na kogo zapłaczą? na was, żeście\* go tu wpuścili. Owóż to mnie niepokoi i smuci. Drugie znowiifl co mnie tak niepokoi i smuci, to jest de publicis. Frant panie ja-J kiś i okrutnie przebiegły, tenax przytóm proposiij, bo to widać po | nim. Więc co przedsięweźmie, to zrobi; a wiesz panie bracie za j kim on trzyma?

— A wiem.

— Owóż tedy. Nuż w nim czartoryszczyk ukryty, nuż czapka I biała, nuż skórka na buty. Nuż weźmie wichrzyć, nuż szlachtę tu- ] nianić, nuż podchodzić, nuż sejmikami trząsać—a wiósz panie-bra-I cie, co szlachta nasza. Nie lubi, nie lubi, ale kiedy polubi, to źlejl nuż jej . się podoba ten diablak gładziutki, który chodzi po rynnach\* 1 nuż przystanie do niego i da się mu wywieść w jakie sto szabel , . albo i więcej, i zburzy gdzie co przeciwko woli króla i pana na-1 szego, przy którym my? — A cóż to, burdę zrobić wcale malutka I rzecz, ale co potem? przyjdzie żal, smutek i zgryzota sumienia I a nakoniec i lzy — a na kogo to wszystko? na was, żeście go tu sprowadzili. Owóż to mnie wszystko niepokoi i smutno mi jest.

-fi Ej! bo sobie to bardzo dopuszczasz, — rzekł na to Bobowski, — ano potem z tego wszystkiego pokaże się nic.

— Daj że Boże, ażeby nic,— odpowiedział łowczyc,—a choćbył też co mało nie wiele, to i temu się jeszcze jakoś zaradzi, ale nuż będzie dużo? Bo to, panie bracie, tak mnie się to widzi, że od tego człowieka tak złe strzela na wszystkie strony, jak owo ta woń, która od niego idzie. Ledwież wstąpił teraz pomiędzy nas,j już mi zaraz przyniósł zgryzotę.

— No, cóż takiego?—spytał stolnikowicza na to łowczyc.

— Co! otóż spaskudził mi szwagra. I pięknaż rzecz, żeby szlachcic, posesyonat, za przyjcielską posługę dał się płacić jak Żyd na jarmarku, który przy jakim kupnie służy!, anuż był takl z. respektem głupi który dał, byłże zaraz i głupi który wziął. A to jest wielkie paskudztwo i wstyd. Wybuzowałem za to jak burą sukę, ale tandem, się stało i przepadło.

— A toż to tobie się niepodoba, że Pakosz wziął od nas trzy sta dukatów?

— No pewna rzecz, bo jużci pytam się ciebie, jak może człowiek taki konsyderacją mieć, który się płacić daje jak Żyd?

— A! to najniesprawiedliwsza pod słońcem! — zawołał pan Józef.—Pakosz jest jurysta i każdy o tóć wió! toż to już u nich jest taki obyczaj, że każda rzecz płaci się im na rękę. Przyjaciół przyjacielowi, czasem krewny krewnemu, jeden tylko pozew napisze i bierze za to grosz, który się u nich zwie honorarium; i nió- masz u nich za to wstydu,, i owszem jeszcze cześć, jeżeli tylko rzecz była zrobiona jak należy. A już ani mówić nic o tóć, kiedy kto co weźmie za dział. Dział majątkowy,' kiedyby robił i komornik a nawet sam podkomorzymi., z przyjaźni to robił, to jeszczeby wziął, a choćby nie wziął gotowizny, to bez prezentuby obejść się nie mogło. Bo już taki jest zwyczaj.

• — Tak to mnie mówił i Pakosz, — dodał do tego łowczyc,— a przecie ja powiadam, że choć jest zwyczaj, toż to zwyczaj paskudny. I tak mnie to jedno to drugie to martwi, to niepokoi, żem przyjechał do ciebie trochę pogadać i porozpędzać te chmury brzydkie z czoła, które coraz to czarniejsze- — Na to Bobowski z ciężkióm westchnieniem:

— Ej! panie bracie! ot nie grzeszyłbyś przeciwko Panu Bogu, bo co to wymyślać, kiedy tak prawdę mówiąc, niema na co. Mam ja sroższego móła, który mnie gryzie, a przecie milczę i znoszę cierpliwie.

— Już to prawdę mówiąc po Bogu, — zaczął z powagą Stanisław, — uważam ja to nie od dzisiaj, że coś niebardzo pogodno na firmamencie waszmości. Pani żona gładka i rozumna kobióta, ale widzi mi się jóć rozum cokolwiek zaostry. Masz i ty rozum i pewno nie ladajaki, ale przecie u nióć albo go więćój, albo zasie prędszy, a czy tak jest czy owak, to zawsze niedobrze; bo biada temu domowi, gdzie krowa dobodzie wołowi, a i tego darmo nie mówią, że zawsze tam wierzimak błądzi, gdzie donica rządz. Ani na wsi ani w mieście, nie trza dowierzać niewieście, a co powie białogłowa, pisz na by strój wodzie słowa. Z tego widać, że i. nasi Polaczkowie, chociaż srodze gromili Turki i Tatary i na miazgę zgniatali żelazne Niemce, jednakże dużo nadokazywawszy rycerstwa a do domu wróciwszy, często gęsto w spóćniczkach chadzali; ale nie nam pamiętać, że im tak bywało, ano racjóć z ich nauki korzyści brać i chronić się tego, bo zawsze lepióć cudze ucho gryźć, niż swoje. Ale to darmo gadać o tóć po czasie, bo u nas tak,, kiedy się który z nas rozmiłuje w kobióćcie, zarazże jej to powiói ano to głupstwo jest, bo miłość taka to słabość, a ze słabością się odkrywać nie rzecz, i I nie tylko nie 'rzecz, ale i szkoda, bo nieprzyjaciół słabość odkrywszy, nuże bić w tę stronę i przecie zabije. A niemasz takióć niezaradnoj kóbiety, żeby nie korzystała ze słabości mężowskiój, a kiedy raz weźmie górę, to już dużo trzeba na to, aby ją z tego placu spędzić; tedy pan mąż, chociaż sam rozum ma, chodzi chyłkiem przed zoinym rozumem, a żona górą, pan mąż na stopniu, a żona w landarze. Jeszczeć to póki miłość jest taka, że ją ludzie widzą, toż i myślą, że tak pan ustę-

Tom X.



puje z miłości; ale kiedy się one ognie wyburzą a kwiateczki od-l kwitną, a obyczaj stary wciąż trwa, tedy już wstyd i sromota]

Owóż uważam ja to już nie od dziś, ale nie mówię nic..... twoja] rzecz, tobie piórwszeństwo.

— Kochany Stasiu! — zawołał na to pan Józef, — nie spodziewam się przecie, żebyś mnie to chciał za złe brać, żem cię niel nudził onemi drobniutkiemi chmurkami, które w małżeństwie zda-J rzają się w każdy dzień. Bóg świadkiem moim, żem się już do tego zabióral po kilka razy, ale zawsze mnie powstrzymywał tem widok, że przecie to Bóg da inaczej. Myślałem sobie: młode to, l płoche, rozpieszczone przez ojca, toć bryka jeszcze, ale przyjdą inne czasy, zastanowienia się i powagi, zdarzy Bóg z dzieci pocie-l chę, ztąd inne zajęcie, inne myśli i inne uczucia, i wszystko się to odmieni. I niewiele dawałem na to, że mi się to pogodne piórwszych dni niebo chmurzyło, — ale tymczasem nadzieje mojej przez nieopatrzność matki pękły na niczóm, inne myśli i uczucia] nie przyszły, a niebo moje stało się szczórą ziemią.

Tu zaczął pan stolnikowicz opowiadać swojemu bratu wszyst-l kie swoje zmartwienia, których doznawał od swojój żony aż do, najdrobniejszych szczegółów. Mówił więc, jako on jest do dziś dnia pełen dla niój miłości, jako stara się być delikatnym i wyrozumiałym na wszystko, jako przewiduje naprzód jój humorinaj-l staranniój unika tego wszystkiego coby ją razić mogło albo być jój niemiłem, jako nakoniec stosuje się już do jój woli we wszyst-l kióm: a jak to przecie wszystko nic nie pomaga, bo niómasz na całym świecie tego rozumu, któryby naprzód oznaczyć potrafił, l co ją rozgniewa a co ukontentuje. Opowiadał tedy wszystkie jejl kaprysów rodzaje, wszystkie fochy i dąsy, i wyliczał z kolei, jako często zrywa się nagle do gospodarskiego zarządu, prędko dyspo-J zycye wydaje, jego dawne rozkazy kasuje i nie po ludzku obchodzi się z tymi wszystkimi ludźmi, którzy śmia jej się sprzeciwić.] jak on już wiele sług dawnych przez nią postradał, a nie chcącJ ażeby krzywdy swe roznosili po świecie, co go to kosztowało; jak' już i Grotta raz chciała koniecznie wysadzić, jak nakoniec nierazi w niepohamowany gniów wpada, jak wtenczas jest niegrzeczna i na nic nieuważająca, i jak mu nieraz przez to tyle wstydu przynosi, że aż się ukryć musi przed ludźmi; koniec końców, wszystko coi tylko było i jest, aż do onój gwałtownój sceny, która się dziś wy-f darzyła.

Pan łowczyc słuchał tego opowiadania z uwagą i jeszcze się wypytywał o rzeczy te, których niezupełnie zrozumiał, a poją w-, szy nakoniec całą tę fatalną historiją, wzdychał tylko i nic nie mówił.

Śród tego milczenia łowczycowego, pan stolnikowicz jeszcze uzupełniał obraz swój biedy, objaśniając go przedtem zapomniani- nemi szczegółami, ale podczas, kiedy on, ciężar zrzuciwszy ze swego serca, trochę wolnój odetchnął i nawet się zrobił wesel-

m braciaTłubni. \_\_\_\_\_ 5<sup>1</sup>

szy, łowczyc tylko smutniał i. smutniał coraz to bardziej. Nakoniec lży mu w oczach stanęły. Temu wcale nienaturalnemu smutkowi nie mógł się dosyć nadziwić pan Józef, jakoż zapytywał o to od serca swojego Stasiénka, ale Stasiénko żadnych na to nie dawał objaśnień, jeno posiedziawszy jeszcze chwilę a nawzdychawszy się do woli, powstał i rzekł:

— Tak to, panie bracie, zawsze bywa w tóim życia. Kto raz sobie nieuczciwie postąpi, temu już nie być wolnym od kary Bo- zój na długie czasy; a kto zgrzeszy miłością, tego Bóg karze nienawiścią. Było mnie słuchać albo swego własnego sumienia, a byłoby tego wszystkiego nie było, a tyś posłuchał swojój namiętności, i oto jesteś w rosole. Bądź gotów, pogadamy jeszcze o tem wyraźnij.

To rzekłszy, ze łzami w oczach uściskał swego brata i odjechał. A stolnikowicz długo jeszcze po tóim myślał i nad onym smutkiem łowczyca i nad jego zagadkowemi słowy. Ale nic nie wymyślił, — bo tóiz i nie mógł wymyślić, nie wiedząc o tóim, dlaczegó łowczyc ożenił się z Julią.

Wszakże te wszystkie smutki niczem jeszcze prawie nie były w porównaniu z tem, co się odtąd zaczęło dzieć w żernickim dworze. Niczem mówię, .od tego czasu bowiem istny szatan wlaźł w panią Barbarę, i nie gniewał się, nie wymyślał i zrzędził, ale łomotał i nabijał tem wszystkim, co mu się nie nawinęło pod rękę. Wprawdzie te furye nie napadały ją codzień, ani nawet co drugi, a często nawet się tak zdarzało, że po całych tygodniach siadywała w swojój sypialni jak mrukuj nic do nikogo nie mówiąc, ale też za to, kiedy na nią przyszła ta chwila, straszne rzeczy .co wyrabiała. Ludzie dworscy się temu nadziwić nie mogli, bo czy słyszał kto kiedy, ażeby marna kobiócina taką grozą napełniła dwór cały, żeby przed nią drżało wszystko co żyło? a przecież tak było w istocie. Cały dwór chodził przed jój rozkazami jak na zawiasach, a kiedy sam pan nie potrafił się jej w niczóm sprzeciwić, toż inni już na jej samo skinienie upadali na ziemię. I zaiste lepiój było zawczasu upaść na ziemię, niżeli placu dotrzymać, bo u niój uderzyć własnoręcznie w twarz kogo, rzucić komuś flaszką lub talerzem do głowy, albo kazać sypanąć kilkadziesiąt bizu- nów, była to rzecz nie wymagająca żadnego namysłu. Służący szepotali sobie nawet po kątach, że i u pana samego czasem pokazują się guzy, że i on Czasem całe dnie przesiaduje po oficynach, i różne inne rzeczy jeszcze, a chociaż temu niepodobna było dać wiary, toż jednak pewna, że pani dnia jednego kazała łóizko męzowskie wyrzucić ze swojej sypialni, że późnij odebrała mu wszystkie klucze i u siebie schowała, że mu nie wolno było bez. jój pozwolenia ani krokiem ruszyć się z domu, że mu zakazała ty- tuń palić przy sobie, że kiedy na niego krzyknęła, to on drżał jak liść osikowy i jaknajprędzej się jej z przed oczu wynosił, — a wszystko to się działo z taką gwałtownością, że w samej rzeczy

nic nie pozostawiało innego, jak albo jej rozkaz wykonać, albo I czempredzej uciekać.

Gdyby był ktoś cokolwiek tylko baczniejszym na miejscu! pana Józefa, ten byłby nie mógł tego nie dostrzedz, że Barbarkę J napadały te furyc prawie zawsze li wtenczas, kiedy jej coś przy-1 pomniało Bartka Karsznickiego; wszakże nawet mało sto razy najwyraźniej to wyrzucała mężowi, że jój braci tak prędko ze Żer-1 nicy wypuścił, że podstępem wymógł to na rodzicach, że mu jój] rękę przyrzekli, że najpodlejsze dołki kopał pod Bartkiem, że wrazi ze swoim przyjacielem oczernili go przed całym światem, że na-1 wet na jego życie nastawali; kto inny, mówię, byłby takich rzeczyI nie puścił pomimo siebie a raz na trop wpadłszy, byłby pewno niebawem doszedł i do onego źródła, z którego wypływały onel furyc Barbarki — ale pan Józef był tem nieszczęściem swoim tak ] odrazu rzucony o ziemię, że nawet nie wiedział ażali żyje. On już chodził jak ogłupiały, stapał na palcach przed swoją żoną; kiedy była w dobrym humorze, klękał przed nią, ręce jój całował i płakał, a kiedy \*zła była, uciekał od niój i chował się w jaknajodle-1 glejsze zakątki. Zgoła, zamiast co złość i szaleństwo żonine miały | w nim także zółć poruszyć, ambicyą mężką zapalić i pogardę a nienawiść dla takiego tyrana podniecić, to on z tego wszyst-1 kiego tylko coraz głębiej czuł swoje nieszczęście i coraz bardziej smutniał na humorze i upadał na duchu.

Taki stan rzeczy trwał od wyjazdu Bartka przez całą jesień! i zimę — iw niczóm się zupełnie nie zmieniał. Przez ten czas,| ponieważ stolnikowieżowi niewolno było ani krokiem ruszać się z (domu, często bardzo bywał łowczyc w Żernicy i wiedział zawsze] o w<sup>T</sup>szystkióm. Jakoż zrazu najpiórwszy on podał tę myśl swemu! przyjacielowi, ażeby koniec końców zrzucić te nieprzyjemności domowe ze siebie, i różne na to rady podawał; ale kiedy raz mu się zdarzyło widzióć i słyszeć zdaleka, jako pani Barbara w paroksy- imie swym obeszła się z nieposłusznemi sobie sługami, nabrał także respektu przed nią i umilkł z kretesem. Odtąd i on już jakoś głowę opuszczał coraz niżój ku ziemi, smutniał z każdym dniem j bardziój, posepniał i wzdychając tylko z głębi piersi', milczał na wszystko.

A smutek ten jego i sponsepnienie nie było li samą manife-1 stacyą współczucia dla swego brata — zaczęły bowiem i jemu dokuczać jego własne zgryzoty.

Źródłem tych jego zgryzot był wprawdzie li sam szwagier| jego, jmc pan Pakosław, człowieczek mały, niepoczesny i tak słabiutki, że go łowczyc mógł był zdusić w dwóch palcach; ale przecie zgryzoty, których ten olbrzym od niego doznawał, były tak wielkie, że go mogły nawet obalić. I nic w tóm dziwnego — wszakże próchnieją nieraz i upadają na ziemię niebotyczne dęby, stoczone tylko przez małego robaczka.

Owóz w tym krótkim czasie, jak na Żernicy zapanowała

słaba niewiasta nad panem Józefem, tak tam znowu zapanował lichy kancelaryjny aplikant nad panem łowczycem. Pomiędzy panowaniem tem a tamtóm była wielka różnica, bo jeżeli Barbarka swoje berło zdobyła sobie siłą i przemocą i strzegła go swoją gwałtownością i nieprzełamanym uporem, to Pakosław i zdobywał sobie władzę i zachowywał ją w sposób zupełnie przeciwny. W aplikancie brylowskim nie było żadnej gwałtowności ni siły, nie było nawet tego oporu, któren, odkrywszy się całkowicie odrazu, nie ustępuje -już ani kroku; nie robił tóż on nic nagle, nic prędko, nic z namiętnością, ani też dla ambicyi. Ale był u niego ustawicznie czynny praktyczny rozum, była najchytrzejsza przebiegłość, ona może najpożyteczniejsza wytrwałość, którą w tak wysokim stopniu znajdujemy u Żydów: robił on tóż wszystko zwolna, przezornie i zawsze li dla pożytku. Celem jego zachodu około pana łowczyca nie było właściwie zapanowanie nad nim i jego domem, tylko li zapanowanie nad jego fortuną, obdarcie go z niej z czasem zupełne i wtrącenie tego poczciwego człowieka w nędzę i nicość, bo Pakosz nienawidził poczciwych i szlachetnych ludzi. I co można było ku temu celowi, uczynić przez czas tak krótki, to już wszystko uczynił Pakosław. I tak najpiórw, pod pozorem oczyszczenia wspólnego im Zahoczewia z ciężarów, pood- bierał on wszystkie łowczycowe kapitaliki i pochował je do swej skrzyni; potem wytumanił od starój pani łowczynój kilkanaście tysięcy i także je schował. Dalej zaczął się mieszać w gospodarstwo swojego szwagra, a że pan łowczyc o tyle tylko był gospodarzem, o ile nim być musiał dla chleba, więc z ochotą nawet pozwolił wyręczać się w tóim Pakoszowi. Pakosz tóż prędko powybierał co lepsze woły i przeniósł do siebie, dawszy natomiast gorsze, kilka stadnie rasy tureckiej wziął niby na zimowłę do siebie, a swój własny jałownik postawił na stajni szwagrowskiój. A kiedy łowczyc oponował coś przeciw temu, to Pakosz składał przed nim ręce, mówiąc: Panie bracie! o có chodzi? wszakże to wszystko wasze, ja dla siebie nic nie chcę.

W dalszym czasie Pakosz pościągał długi, jakie łowczyc miał na gromadzie, powyduszał zaległości na propinacyi, powysprzedawał ze spichrzów zapasy. Późniój kilka drogocennych wyniósł ze skarbcza klejnotów, a nawet doprowadził łowczyca do tego, że się jeszcze zapożyczył na kilkanaście tysięcy i dał to szwagrowi na zahoczewskie potrzeby.

Takie czynności, prowadzone z wielkim taktem i przezornością, pociągnęły niebawem i to za sobą, że się pomału służy po- odzwyczajają od dawnego posłuszeństwa dla swego pana, ^ Julia poczęła się robić ostrzejszą i surowszą dla męża, Pakosza głos coraz samowładniejszy się stawał na łowczycowym dworze; tylko jedna pani łowczyca stara utrzymywała się przy swej dawnój władzy w swoim szczupłym obrębie, — a pan Stanisław, zajęty to nieszczęściami swojego brata, to jakimiś wielkimi myślami, to na-

koniec sprawami publicznymi powiatu, z samowładnego pana na swoim dworze, z onego króla na swoim małym królestwie, stawał się figurą coraz podrzędniejszą w swym własnym domu, i niby jakby jakimś ubogim szlachcicem, siedzącym na respekcie u Pa- kosza i swojej żony.

Nim Pakosz przeprowadził to wszystko, co się dotąd już stało, nieraz pomiarkował się był pan łowczyk i oburzył się przeciw niemu, ale szwagier jego w takim razie nigdy się mu nie sprzeciwił i nie upiórał przy swoim. I owszem, ustępował na ten raz, wszelką słuszość dając szwagrowi, ale za kilka dni, czy to pochlebstwem, czy tumanami jakimi, czy obietnicami, czy odwróceniem jego uwagi gdzieś w inną stronę, nie tylko dawne sobie zdobywał miejsce, ale jeszcze o krok dalej postępował po swojej drodze. I zawsze tak było, — dość na tym, że pan łowczyk i widział czasami, jak go jego szwagier coraz ciaśniejszym jarzmem przygniata, i powstał przeciwko temu, wszakże za każdą razą nie tylko że jarzma ze siebie nie zrzucił, ale i sam go głębiej wtłoczył, i jeszcze słuszość przyznał jarzmielowi.

Wszakże z wiosną, kiedy, z powodu jakiegoś nowej sztuki Pa- kosza, pan Stanisław był przymuszony zastanowić się nad swym stanem, i to rzeczywiście uczynił, — to kiedy sobie zesumował wszystkie wypadki, które z jego bliższych ze szwagrem stosunków wyniknęły dla niego, aż się sam siebie przestraszył. Jakoż zaraz pod pierwszym wrażeniem tego przestrachu srodze wjechał na Pakosława i mało co, że go zgoła nie wypędził ze swego domu, ale Pakosław znowu jak wąż, jak się wziął giąć i łąsić, a pochlebiać, a obiecywać, tak się znowu wykręcił, a pan łowczyk, choć czuł, że to wszystko są tylko 'sztuki łamane i wykręty, jednak nie umiał i nie wiedział już co na to mówić.

Potem, wzięwszy jeszcze raz całą tę rzecz na uwagę i pomyślawszy nad tym, za wiele to go już Pakosław tysięcy zahaczył, na które ani świstka' nie ma od niego, jeszcze się bardziej przestraszył, ale zarazem i tak upadł na duchu, że już nie czuł nawet w sobie dość siły, aby się przeciw temu oburzyć.

I ztąd zesmutniał, skwaśniał, i myśląc nad sobą coraz więcej, coraz bardziej się tylko wikłał w swych myślach, tracąc fantazję, humor, odwagę i wszystkie te piękne przymioty serca, któremi się szczycił dawniej.

W takim usposobieniu nawiódził on raz kwego brata. Stolnikowicz na samym wstępie przywitał go znowu jakąś święzą cięgą, którą dostał od żony, i -opowiadał to z żalem i ze łzami w oczach, tak, jak on stary kaleka, który się skarży na nędzę i ubóstwo. Łowczyk przyjął te skargi z prawdziwom współczuciem i w rozdrażnione swe serce, — ale tóż już dalej i o sobie nie mógł zamilczć.

I opowiedział swojemu bratu wszystko, wszystko, co tylko się z nim stało, i jak się to stało.

Po objaśnieniu sobie swoich wzajemnych położeń, z początku poczęli sobie panowie bracia dawać wzajemne rady i podawać lekarstwa. Wiedział tedy stolnikowicz, jakby sobie postąpił będąc na miejscu łowczyca, wiedział łowczyc, coby uczynił na miejscu Józefa. Bo zawsze to jest w nas ludziach, że tylko swoje czuć umiejac nieszczęścia, nie umiemy pojmować nieszczęścia drugich,— i to jest jeszcze w nas zawsze, że tylko siebie uniewinniamy z niedopełnionych uczynków, a potępiamy za to naszych sąsiadów. Więc za nic sobie miał zrazu stolnikowicz opętanie łowczyca przez szwagra, za nic łowczyc tyraństwo Barbarki.

Ale kiedy sobie dokładnie opowiedzieli wszystkie szczegóły swoich wzajemnych sytuacji, kiedy się zrozumieli i pojęli wzajemnie, tak jak to oni umieli, i kiedy sobie otwarcie przyznali swoją wzajemną bezsilność, brak wszelkiej nadziei i na duchu upadek; to popatrzyli sobie strasznie przeciągniętymi twarzami w oczy, i powiedzieli sobie straszne słowo: — niewola.

Ale cóż z tem robić? — opuścić głowy ku ziemi, czekać spokojnie śmierci, w grób się potem położyć, a w grobie czekać zmartwychpowstania na sąd ostateczny, na którym winnym będą dawane kary a niewinnym nagrody? — nie, — my sobie będziemy radzić! — powiedzieli na to panowie bracia.

I odtąd poczęli się oni zniżać pocichu. A zniżali się tajemnie, po kątach i z wielkim namysłem. Więc najpiórw prze- trutyłowali wszelkie prawa, które im przysłużyły, a które potracili; potem wyliczyli wszystkie nadużycia, jakich się dopuszczali przeciw nim chytry Pakosz i gwałtowna Barbarka, a nakoniec poczęli sobie głowę łamać nad sposobami, jakimiby mogli w naj- gładzsy i najpewniejszy sposób sami powrócić do onej władzy, która się im należała, a swe nieprzyjacioły zepchnąć napowrót na one stanowiska, z których powychodzili.

Śmieszna to była, jak ci silni i rozumni zkađinad mężowie suszyli sobie głowy nad tórn, jak wykonać rzecz taką, do której wykonania nie potrzeba było właściwie więcej, jak tylko niewzru- szonój ich woli a potem jednego słowa; śmieszna była, jak oni nad tórn, co im w obec całego świata przysłużyło z natury, naradzali się pokryjomu, z jaką ostrożnością i z jaką bojaźnią: ale i śmiać się już z tego nie było można, bo oni, skołatani i oszołomieni swojemi nieszczęściami, potracili już i sił swoich i praw swoich świadomość — a nad takimi ludźmi raczój płakać należy.

Ale przecież pomału przemyślili oni wszystko, co było potrzeba, i nakoniec ukuli całą plantę dokładną, jak i co im uczynić wypadnie, a kiedy już to wszystko mieli gotowóm, byli weseli i radośni próżną nadzieją, tak prawie, jakby już sama rzeczywistość nadeszła. Dnia tedy jednego, prawie w sarnę wigilią tego, kiedy łowczyc miał wziąć za łeb Pakosza a pan Józef do komory napędzić Barbarkę, siedzieli oni sobie w stolnikowicza pokoju a Osuchowski tak mówił:

— Rzecz tedy skończona, amen i niech Pan Bóg da szczęście. Ja jutro zaraz, skoro mi się tylko Pakosz pokaże na dworze! przystąpię sobie po swojemu do niego, ani słowa nie mówiąc. Porwę go za łeb i cisnę na ziemię. A kiedy już będzie leżał naj ziemi, przydepcę go zlekka nogą na piersi i rzeknę: Teraz, paniej bracie, obrachuj się ze mną. Gdzie są moje pieniądze, gdzie mojej dobytki, gdzie tureckie stadnice, gdzie grosz za zboże, gdzie klej-I noty ze skarbcza? Na coś to brał, kiedy to nie twoje a cudze! czego mi się pchasz w moje obejście, czego moim sługom wydał jesh rozkazy, czego mi żonę poduszczasz i bałamucisz? czego ml tu wpuszczasz na dwór tę czarownicę z balogrodzkiej granicy! czego dla niej zawsze żebrzesz u mnie? czego moim domem rządzi dzisz, kiedy ja cię o to nie proszę? — Dawajże teraz moje sumy. J któregoś pewno pochował do skrzyni, boś jest frant i oszust; dawaj moje dobytki, dawaj grosz wzięty za zboża, z arendy i od groł mady, boś go pewnie w moje gospodarstwo nie wraził, które znił szczało pod tobą — a bierz swoje jałowniki, które pasiesz my ni chlebem i ruszaj sobie do kroć sto tysięcy, póki kości masz całe!

To mówił łowczyc głośno i dobitnie z wielką emfazą, bo już był przy dobrój fantazyi a stolnikowicz, który aż się uśmiechał z radości, dodawał ciągle:

— Tak, tak, panie bracie. Szkodzić mu nie trza, bo brat, alei przestraszyć, zgromić i napędzić. — A łowczyc tak zasie dalej:

— A ty, panie bracie, również przystąp do twojej żony, po! patrz jej srodze w oczy, jak gdybyś ją zgoła chciał zjeść a miel tóż jaki karbaczyk przy rękę, nie dlatego, ażeby Boże uchowaj goj użyć, ale tak dla postrachu...

— O tak, tak — mówił Bobowski — trzeba będzie postrzał szyc...

— Tak tedy groźnie się postawiwszy — ciągnął dalej łowczyc — rzeknij: mościa pani! dosyć już tego! czekałem, wyglądał łem, znosiłem, bom miał nadzieję że się upamiętasz, ale kiedy niej to ja inaczej!

— Tak, takt

— Inaczój, i oto dzisiaj koniec jest twego regimentu! Leliwał nie Leliwa w ką i do komory, 'do przęślicy, do garnków, do mi-| sek, do saganów!

— Do misek, do saganów i do komory! — zawołał śmiejąc się stolnikowicz.

— Do komory! — krzyknął jeszcze tubalnym głosem St&i nislaw.

A wtóm drzwi się roztrzasnęły na ściężaj i jakby z obłokó^l spadła, stanęła nagle przed nimi Barbarka.

Obadwa bracia struchleli.

Ale ona nie dała im długo truchlść, jeno obróciwszy się do skamieniałego na środku izby łowczyca, poczęła z wielką złością a prędko:

— Do komory! do przేశlicyl do garnków! do misek! do saganów! i jeszcze gdzie? no, mów wasze, mów teraz, konsyliarzu, rajco, bracie ślubny, Salomonie, burmistrzu! mów, oto stoję przed tobą i słucham co każeś!... Toż to waśc męża będziesz buntował na mnie, będziesz poduszczał tego mazgaja, któren i tak nic nie robi, tylko się karmi po samę szyję, pije jak susel i wysypia się po całych dniach i nocach, że mu i w niebie lepiej nie będzie? To taka to przyjaźń wasza? na toście ślub brali przed księdzem, po to tu waśc przyjeżdżasz, ażebyś niezgodę w dom wnosil, kłótnię zaszczeniał pomiędzy małżeństwem, na wstyd, na hańbę, na sromotę przed całym światem? W oczy mi niech srodze popatrzy, karbaczyk niech weźmie do ręki? Karbaczyk do ręki! — zawołała z wściekłą złością Barbarka — ruszajże sobie wasze na cztery wiatry z mojego domu i żeby cię oko moje tu nie zajrzało!

Na tę przemowę, która wyleciała z ust Barbarki jak garść kulek z garlacza, stolnikowicz aż się zachwiał na nogach i zatoczywszy się pod ścianę, usiadł bezwładnie na ławie; ale Osuchowski ochłonał tymczasem \*i jak tylko Barbarka trzepać przestała, obrócił się do swego brata, mówiąc miękkiem głosem: — Józefie! — jak gdyby go tem chciał napomnieć, że i teraz jeszcze jest pora plan zamierzony wykonać. Ale Józef tylko głowę opuścił ku ziemi i milczał. A na to znowu Barbarka:

— Józefie! Józefie! ruszajże sobie waśc do kroć sto tysięcy!— Na to znów łowczyc smutno- do brata:

— Bądź zdrów! więcej tu moja noga nie postanie!

Na te słowa Józef. się trochę ocucił i wyciągnąwszy obiedwie . ręce do niego, bolesnym głosem zawołał:

— Stanisławie!

— Siedź tu i ani się rusz! — krzyknęła srodze do niego Barbarka.

Poczem łowczyc wyszedł z gniewem, Józef został na swoim miejscu.

Tak się o silną wolę i gwałtowność Barbarki rozbiły na nic wszystkie przez braci ślubnych mozolnie ukute plany, zaciemniły się wszystkie widoki i upadły nadzieje. I Józefa położenie jeszcze się nawet pogorszyło; łowczyc zaś, przyjechawszy gniewny do domu i zastawszy Pakosza u siebie, nietylko jego samego, ale nawet i wszystkie jego jałowniki powypędzał ze swego domu, wszakże będąc już w dawnym swym planie zwichnięty, nie powiedział mu dlaczego to czyni i nie zabezpieczył, się od niego na przyszłość.

A tymczasem nadeszła wiosna, a z nią się nowe gotowały wypadki.



Wiosna była zawsze ową porą roku, którą z największymi upragnieniem wyczekiwano. A przyczyną tego nie tylko to było, że słońce wiosenne, zwiastujące świeży oddech i nowe życie tej ziemi, jest najmilszym gościem, nie tylko że w kraju rolniczym czas zasiewów ważną, uroczystą odgrywa rolę, ale także i to, że dawnych czasów wraz z usypiającą naturą kładła się do snu wszelka czynność i dopiero z wiosną się to wszystko budziło! Z wiosną wstawał ze snu zakrzepły na zimę handel, i poczynały się owe sławne i gęste jarmarki, których ze wzrostem miast i upadkiem prowincji ledwie setna część pozostała; z wiosną zaludniały się tratwami i galarami rzeki ku dwóm morzom płynące, i zabierając ze swymi wodami towary przez całą zimę przygotowane, dawały nadzieję rychłego przybycia pieniędzy; z wiosną ożywiały się nanowem zaspane sądy, stanowiły się roki i zapowiadaly pokrzywdzonym i cierpiącym przyjscie sprawiedliwosci i kres ich uciskom: z wiosną ruszał się najczęściej król z stolicy i podawał przeto łatwiejszą sposobność przystępu do siebie tym, którzy łaknęli jego łaski albo pomocy; z wiosną poczynały się zjazdy, sejmiki deputackie, komisye i kondescencye; z wiosną po błogosławionych miejscach odpusty; z wiosną budziły się ze snu rozsypane po domach chorągwie, zbiegały się na swe leże, odbywały koła, wybory, i często się z leż swych ruszały; z wiosną nakoniec przychodziły wiadomości o wojnie, a częstokroć i sama wojna, owo najulubieńsze do popisu i najposobniejsze do zasług i dorobku pole dla rycerskiej i nienawidzącej spokoju młodzieży- Wyginano też tej pory tajenia śniegów i przybywania bocianów,

jak pewnego zbawienia, a nie bywało człowieka w powiecie, któryby o tym czasie nie przygotowywał się do czegoś.

Panowanie drugiego Sasa, najuboższe w zdarzenia z całej prawie' historii, niemniej spokojne i głuche miewało wiosny, jak jesienie i zimy. Nie było wojen i najazdów, nie było zatargów granicznych, rzadkie zmiany wysokich urzędników, a cały ruch publiczny owój .epoki zaczynał się na machinacjach sejmowych u trybunalskich, przedsiębranych i dokonywanych przez partją familii; wszakże i wtedy co gdzie przychodziło nowego, to przychodziło na wiosnę. Wiosna tóż i w opowiadającój się braci ślubnych historii przyniosła nowe i stanowcze wypadki.

Najpiórwej tedy, wkrótce jakoś po Wielkiójnocy, która przypadała wczesnie onego roku, wjechał pan Bartłomiój Karsznicki na balogradzkie dziedzictwo. Wjazdu tego nie odbywał on z żadnym szumem ani pompą, jak to bywało zwyczajem za dawnych czasów, bo wjechał tylko swoją znajomą nam czwórkonną landarą i pięcioma za nim się ciągnącymi wozami, obładowanemi dworem, myśliwstwem i kuchnią, a całą stajnią koni i dwudziestoma sforami ogarów; więc zajechał dość cicho i skromnie; ale los sam nie chciał, ażeby wjazd tego znakomitój krwi kawalera odbył się tak potulnie — iw godzinę po jego przybyciu, z wielkim łomotem i trzaskiem obaliło się całe prawe skrzydło zamku, kędy bywały nie- gdy pani podkomorzyny i Barbarki pokoje, a to tak dobrze, że jeno wielka stórta gruzu na tóim miejscu została. Stary marszałek i dworscy,, będący świadkami tego wypadku, prognostykowali ztąd coś nie dobrze dla pana i radzili mu, ażeby w oficynach zamieszkał; kapelan nawet sam mówił: — Ot, nie zasiadaj tu panie i nie kładź zdrowój głowy pod ewangelią; — ale Bartek, który właśnie natenczas' był w przyrządzonych dla siebie izbach na lewem skrzydle, a mianowicie tam, kędy dawniej była podkomorzego sypialnia i wielka bawialna komnata, śmiał się l z tego i mówił:

— Jeżeli mnie dlatego nie radzicie tu mieszkać, że się i to zwalić może niebawem, to źle, bo właśnie dobrze mocne musi być to skrzydło, kiedy się przy tóim wstrząśnieniu nie powaliło, a jeżeli dlatego, żeby tu miał zły duch jaki wojować, to się nie bójcie, prędzój ja diabła ztąd wystraszę, niżli on mnie.

Na te słowa przeżegnał się marszałek i milczkiem Credo odmówił, — a odtąd nie tykał już więcej tój.materyi przed panem.

Tymczasem Bartek zakwaterował się w zamku. Po upadnię- ciu prawego skrzydła niewiele już tam zostało pokoi, ale on i te jeszcze nie wszystkie zajął dla siebie. Więc tylko oną ogromną bawialną komnatę, kazawszy w nią wielki komin zmurować, wziął na sypialnię, drugi przyległy pokój urządził jaknajwykwintniej, zapewne dla przyjmowania- w nim co przedniej szych gości. Podkomorzego kancelaryę kancelaryę zostawił, a reszta została tak jak była, krom tego, że wszędzie drzwi były i okna opatrzone,

posadzki naprawione, dach pokryty, zgoła tak, aby było mieszkałóm. Na wystawność pomieszkania widać Bartek niewiele dał wale, bo nietylko że się szczupło pomieścił i o podniesieniu tego zamczyka z upadku nie myślał, ale nawet onych gruzów kup\* leżących .sprzątać nie kazał, i baszty narożnej, która przytykała do mieszkalnych pokoiów, nie reparaował. W ogóle nawet i w innych rzeczach, oprócz w ubiorze swoim i służby, o żaden przebieg ani wykwintność się nie kusił, — ale za to kucharza miał doskonałego, który był Francuz rodem i gotował wybornie; pij wnicę swoją napelnił najprzedniejszymi winami, koni miał pełnej stajnię takich, żeby się ich była nie powstydzila i stajnia króle\*?! ska, i sług miał tylu, że aż tłumno było w anty kamerach i nfil dziedzińcu.

Takiemu urzędzeniu domu odpowiadało i życie nowego Balofl grodu dziedzica. Gospodarstwem on się nie zajmował, ani wszystkimi temi rzeczami, które do tego należą; natomiast za\* najwięcej bawił się polowaniem i nie przebierał wcale pomiędzy zwierzem; więc z taką samą ochotą, z taką fantazyą i krwią i mną szedł na niedźwiedzia z oszczepem, z taką fantazyą rzucał się z kordelasem za odyńcami, z jaką strzelał wróble z pistolet\* po płotach. Przy polowaniach lubił on głośno uczyć i biesiady\* a w ogóle dobrą i wesołą kompanią, więc jeżeli sam gdzieś siedział w gościnie, to zawsze pełno szlachty bywało u niego. A bywali i dalecy i blizcy, i zagonowi i wielcy czasem panowi osobliwie też z Węgrami czule zachował braterstwo, a że granic! od Balogrodu jest tylko o dwie mile, więc pełno było tych siadów u niego. Przy biesiadach lubił dokazywać sztuk różnic i drugich na takie popisy wyciągać; więc strzelanie do tarcz! chodzenie po niebezpiecznych miejscach, karkokonne jeżdżenie koniu, sadzenie przez nieprzebyte parkany i jamy, to była nieo bita przy biesiadach igraszka, a nieraz można było natenczas okolój Balogroda zdybać dwudziesty albo i więcej szalonych jego komj panów z nim na czele, jako z którąś góry, często zrabanem! drzewy i sterczącymi pniakami zawałonej, albo skalistej i tak stroi mój, że kto pieszo szedł tamtędy, to się zsuwał noga za nogą, konn<sup>o</sup>f pędząc na dół co koń wyskoczy. Przy takich wyprawach częst! działy się różne nieprzyzwoite rzeczy,, o których szkoda wspominać, i Jył za to często gęsto hałas i krzyk w okolicy, ale że kaH den pokrzywdzony dostawał od nich sowitą nagrodę, a przytór\*! w domu Bartkowym chłób i mięso nie schodziło ze stoła, a wifl<sup>l</sup> się lało strumieniem, a nadto jeszcze wiele i od niego i od jego<sup>o</sup> gości szło w obieg piónędzy, więc więcej jeszcze było takich którzy tego szaleńca, jak go. pospolicie nazywano, tu zamieszkał! byli radzi, niżeli takich, którzy krzywo na to patrzyli.

Nie było bo zresztą o co się gniować na Bartka, ani m<sup>o</sup> nawet co zarzucić. Ze sąsiadami żył w zgodzie, kłótni żadnej ani granicznej ani innej nie wszczynął, rzetelnym był aż do skrupui

latności, sługom laffy wypłacał sownie, poodprawianym sługom podkomorzego trójną podawał odprawę, marszałkowi zaraz oddał co mu należało i jeszcze piękny procent w bydle przydał od siebie, kiedy go o co proszono, rzadko odmówił, ubogiemu nieraz . dopomógł, chociaż nie był o to proszony, za brata szlachcica chętnie łba i kieszeni nadstawiał, a chociaż był do burdy pochopny i często o nic z najlepszymi przyjaciółmi się bijał i chociaż suknia jego jeszcze niektórych razila, toż zawsze cnoty jego tak przeważały, że mało kto śmiał co przeciw niemu powiedzieć i to tylko ktoś z dalszych, bo ci co go znali zblizka, prawie go wszyscy kochali.

»

Jeden tylko kapelan, od czasu jak Bartek w Balogrodzie zamieszkał, mrucał ciągle na niego. Ale mrucał tylko u siebie, z rzadka tylko prawiąc coś marszałkowi na ucho, wszakże i to mruczenie niedługo trwało, staruszek ten bowiem niebawem wyniósł się z zamku. A wyniesienia się tego dwie były" przy czyni: jedna, że tego hałasu, które był ustawicznie na dworze Bankowym, nie mógł znieść starzec, spokoju na stare lata łaknący, a powtóre, że słudzy pańscy pilnie odpędzali wszystko to ubóstwo od zamku, które się garnęło do swego lekarza, cudotwórcy i dobrodzieja. A to jeszcze jedno było, .co go mogło zajmować w tóm życiu. I nietylko zajmować, kapelan bowiem, coraz częściej i gę- ściój przez to pospółstwo nawiedzany i coraz dowodniój o dobrych 'skutkach swoich lekarstw i modlitw przekonywany, sam nareszcie uwierzył, że Pan Bóg na starość jakieś niezwykajne łaski zlał na wiernego sługę swego. A tu dwór cały Bartka ledwie go miał za pospolitego człowieka, w jego leki ani modlitwy nie wierzył i jeszcze mu pacyentów odpędzał; zabrał się tedy kapelan i wyprowadził się do marszałka, które już na swóm dożywociu w B3<sup>1</sup>- strem gospodarował, a dając mu połowę swojej dożywotniej pen-' syi za wikt i usługę, chętnie był przez niego trzymany.

Wszakże i tam niedługo siedział przyjaciel podkomorzego. Jego świętość przez lud pospolity uznana i jego urząd proroczy, które jakby widmo jakie zasiadł w głowie staruszka, zanadto go u niego samego postawiły wosoko, ażeby mógł ze zwyczajnymi ludźmi brat za brat przestawać; zdaje się nawet, że. na starość wskrzesiła się w nim jakaś chorowita a dość jeszcze bujna fantazja; tego lata już bowiem wybudował on sobie dziwną architekturą chatkę drewnianą w lesie nad Balogrodem, \_a opatrzwszy ją w to wszystko, co mu się do pustelniczego życia zdawało potrzebnóm, kupił sobie kilka koszul włosiennych, kazał sobie uszyć suknię długą pielgrzymką z wiszącym kołnierzem, szablę przypasał do boku, kosztur długi wziął w rękę — i wyszedł precz od marszałka. -

Odtąd mieszkał on w swej chatce, gdzie także nieboszczy- kowskie ptaki miał z sobą; tam po całych dniach zabawiał się swemi klientami, którzy się do niego tłumami garnęli, ale często

także wychodził ze swego lasu i nawiedzał wsie i domy szlacheckie, to jako lekarz, to jako prorok jakiś i błogosławiony. Wiara bowiem i w jego zdolność lekarską i proroczą nietylko nie upadła, ale się ustaliła a gdzie już nikt inny jakiemuś złemu nie umiał zaradzić, tam posyłano zawsze po niego. I takie życie pędził odtąd przyjaciel podkomorzego.

Kiedy Bartek wjechał na swoje dziedzictwo, w kilka dni zaraz nawiedził stolnikowiczów w Żernicy. Barbarka witała go z nie- tajoną radością i ciekawie wypytywała o powodzenie swojego brata, który został się w Wielkopolsce i tak szczęśliwie swoje rzeczy około panny podstolanki prowadził, że napisał przez Bartka, iż ma już pewną nadzieję; stolnikowicz także witał Bartłomieja od serca i witał go szczerze, chociaż gdyby był miał jaką odrazę ku niemu, to byłby jój nie śmiał pokazać po sobie, skoro Barbarka witała go grzecznie i z radością. Bo tak już było wtenczas z panem stolnikowiczem: przy pani był jaknaj wszechwładniejszy regiment, a owo straszne słowo niewola, po nieudanym i rozbrojonym zamachu, rozpostarło się ze wszystkimi swemi przyborami i następstwami w nieubłagany sposób nad obalonym mężem.

Później Bartek jeszcze kilka razy raz po raz był na Żernicy, i pani zawsze po jego bytności jakiegoś lepszego nabierała humoru, co widząc mąż jój, znudzony, przygnieciony do ziemi i nie- wiedzący już co począć ze swojemi smutkami i jak im radzić, byłby chętnie przyjmował Bartka i co dzień; ale nie stało się zadość jego chęci, Bartek bowiem zaprzestał swoich częstych odwiedzin i im dalej, tem rzadziej się pokazywał w Żernicy. Z tego niekontent był stolnikowicz, i rozumując w swem odurzeniu błędnie i najfałszywiej, wpadł na domysł, ażali się za co nie pogniewał Bartek na niego? Jakoż będąc u niego raz w Balogrodzie, przedłożył mu- to delikatnie i do siebie zapraszał, — ale Bartek tylko się na to grzecznie uśmiechnął, za zaprosiny dziękował, ale przez to częściej nie bywał. Przy tój rozmowie co innego miał na myśli pan Józef, a zupełnie czego innego domyślał się Bartek, ale wyjaśnienie tego nieporozumienia pomiędzy nimi całkiem nie było podobnym.

Tymczasem wiosna jeszcze jedną nowość przyniosła w sanocką ziemię. Chorągiew pancerna, której rotmistrzem był jw. Mni- szech, marszałek koronny, mający już od lat wielu swoją leżę w Sanoku, a która pstatniemi laty, lubo w bezczynności czas swój trawiła, znacznie jednak i w towarzyszach i w pocztach zeszcupłała, dostała rozkaz obliczenia się z sobą, zapełnienia miejsc opróżnionych i postawienia siebie w takim komplecie, jaki dla takich chorągwi był przepisany. Wyszyły tedy potrójne ordynanse od namiestnika, zwołujące całe towarzystwo na koło chorągiewno do Sanoka, na piórwszą niedzielę po Zielonych Świątkach.

Chorągiew ta, kiedy była całkowicie okryta, składać się miała z pięćdziesięciu towarzyszków, stu pocztów czyli szeregowców

i nieograniczonej liczby luzaków i czeladzi, która to liczba zależała zawsze od zamożności i dobrych chęci towarzyszków. Teraz atoli wszystkich towarzyszków nie było jak trzydziestu i kilku, a ci wszyscy była to szlachta, ponajwiększój części ziemianie sanoccy. Towarzyszem jakiegokolwiek chorągwi . być, czy to pancernej czy husarskiej, czy petyhorskiej, był to dla każdego szlachcica, choćby jak znakomitego, zawsze zaszczyt niemały, jakoż był to także i. stopień wysoki w hierarchii wojskowej, a jak wysoki, można ztąd widzióć, że wedle regulaminów wojskowych, prosty towarzysz chorągwi nie mógł iść nigdy pod komendę nawet generała cudzoziemskiego autoramentu, ale generał taki musiał się poddawać komendzie towarzysza. Przeciw<sup>T</sup>ko takim przypadkom umieli sobie radzić generałowie, bo każdy z nich starał się o towarzystwo w jakiej chorągwi i zawsze je otrzymywał, ale zawsze to nie uszczuplało zaszczytu randze towarzysza.

O taki tedy zaszczyt starali się prawie wszyscy, którzy cokolwiek mieli osobistej ambicji, ale nie każdy go otrzymywał; wszakże znów z drugiej strony mało kóten co zamożniejszy był szlachcic taki, kótenby nie był towarzyszem jakiej chorągwi. Byli tóż towarzyszami tój pancernej chorągwi obadwa bracia ślubni, a kiedy nadszedł oznaczony termin koła chorągiewnego, obadwa nie omieszkali się tam postawić.

Dnia też tego, kótemu najpiękniejsza sprzyjała pogoda, taki zjazd był w Sanoku, że w całym mieście, ani na przedmieściach, niktby nie był znalazł ani. jednego wolnego kąćka. Bo trzeba wiedzióć, że chociaż taka chorągiew składała się tylko z pięćdziesięciu towarzyszków, a każdy towarzysz nawet na najodleglejsze potrzeby i największe parady nie stawiał się licznój, jak samo- czwart, a najwięcej samoszóst na chorągwi, toż jednak na koło chorągiewne i najuboższy jaknajwiększym dworem przyjeżdżał. Koło bowiem, które właściwie się odbywało tylko w celu załatwiania interesów chorągwi, było wszakże zarazem i terminem zabawy towarzystwa i polem do popisania się z chojnością i zamożnością, z afektami dla panów braci, za którą sposobność tem skwapliwiój chwytął każdy, ile że w czasach Augustowskiego spokoju rzadko się ze sobą panowie towarzysze widywali i niewiele było sposobności do takich popisów. Na .takie koło jechał tedy każdy najuboższy nawet poczwórnym karabanem, za którym prowadzono jego konie wiórzchowe i szedł wóz z garderobą, wiktuałami i drobną służbą; ale który był zamożniejszy, ten jechał trzema i czterema wozami, a byli tacy, którzy prowadzili ze sobą Wozów kilkanaście, całą kuchnię, piwnicę i zgoła wszystkie porządki do przyjmowania gości potrzebne, a przy takim panu bywało nieraz więcej zbrojnej służby na liczbę, . nizeli głów liczyła cała chorągiew, chociaż on był li prostym jój towarzyszem.

Każden towarzysz taki, przyjechawszy na miejsce, meldował się u namiestnika, prosząc go, ażeby mu wyznaczył kwaterę, i na

miestnik mu niby-to ją wyznaczył; ale w rzeczy była ona dla ' niego już na tydzień naprzód albo i wcześniej przez jego ludzi najętą i na przybycie pańskie przygotowaną. A kiedy taki w tem i zwyczaj zachowywano, więc chociaż termin zjazdu był na niedzielę, ] jednak niektórzy już we czwartek i w piątek poprzyj eźdzali, a w sobotę byli już wszyscy w komplecie.

W niedzielę tedy rano zgromadziło się całe towarzystwo u namiestnika. Namiestnikiem był na tenczas jw. Osorya Bukowski, podkomorzyc sanocki, Nozdrea, Bukowa i wielu wsiów innych po swym ojcu sukcesor, człek młody, żołniórz jeszcze nie wprawny ani sławny,.., bo wojny nie było, ale rębacz tęgi, jeździec znakomity i dla otwartości serca bardzo od szlachty lubiony. Ten, mając jako namiestnik obowiązek mieszkania przez cały rok przy chorągwi, a mogąc żyć dobrze jako pan dosyć zamożny, mieszkał przy samym rynku i swym dworem trzy domy obok siebie stojące zajmował; więc większą połowę tych apartamentów zostawiwszy dla siebie, resztę był przeznaczzył na kordegardę i odwach, . chociaż ani był obowiązany do tego, ani tóż kiedykolwiek jaki żołnierz stał na tym odwachu, oprócz teraz podczas zjazdu, kiedy to ich aż dwóch tam ustawicznie stawało.

U niego\* tedy zgromadziwszy się, panowie towarzysze, a przed jego pomieszkaniem na rynku szeregowi " i -luzacy, szli najpierw wszyscy do kościoła na nabożeństwo, gdzie już sami sobą cały środek kościoła zajęli, dwóch z nich księdzu do mszy służyło, reszta zaś podczas Sanctus klęczeli, podczas ewangelii do połowy dobywali pałaszów, a na końcu śpiewano Vent Creator. Po nabożeństwie przeszli znowu wszyscy do namiestnika i następowały powitania i powinszowania zdrowia, i inne komplimenta w oczekiwaniu tych, którzy się mieli pod chorągiew zaciągać. Nie długo wszakże na to czekali.

Wkrótce bowiem cały w zbrojach zakuty w misiurce z pió- - ropuszami na głowie, z mieczem wielkim przy boku, z proporcem w ręku, na koniu, w złotą siatkę aż po ziemi się wlokącą ubranym, siedzący, prowadząc dwóch równie strojnie ubranych konnych pocztów za sobą, zajechał przed namiestnikowskie mieszkanie pan Bartłomiój Karsznicki. Uwiadomione o tórn wyszło całe gremium towarzystwa przed dom: on tóż zaraz spiął konia, pięknie się wszystkim pokłonił i machnął kilka razy proporcem w powietrzu w tę .i owę stronę. Po którym to obrzędzie odbytym, zlązł z konia, do towarzystwa przystąpił a oddawszy porucznikowi swój patent na towarzysza przez samego rotmistrza wydany, krótką lecz piękną perorą towarzystwo powitał i miłości a przyjaźni się panów braci polecił. Zaczóm był grzecznie od nich przyjęty, mile witany i nawzajem komplimentami ze wszech stron ob-' sypany.

Po nim zajeźdzali znów inni, tym samym jak i on sposobem się instalując, z tą tylko różnicą, że nie wszyscy byli tak bogato

i strojnie wyekwipowani i że nie wszyscy mieli od samego rotmistrza patenta, najwięcej bowiem wstępowało na miejsca zakupione od innych, którzy albo syci sławy wojskowej, albo dlanad- chodzącej starości, albo w skutek przeniesienia się swego do innój ziemi, miejsca swe porzucali — wszakże taki był tego roku na nowych towarzyszw urodzaj, że ich dzisiaj trzynastu pod chorągiew wjechało. Która to parada — ciekawie oglądana przez różną szlachtę i lud pospolity — zgromadzony na rynku a przez luzaków, żeby miejsca potrzebnego ku tej paradzie nie ścieśniał, od czasu do czasu to groźbami, to kijmi płoszony — trwała od samego południa, czóm panowie towarzysze zmęczeni, solwowali koło do jutra a teraz wszyscy udali się do jw. starosty, mieszkającego na zamku na obiad i fetę wielką, która tam in honorem chorągwi dnia tego była wydawana.

Drugiego dnia, że to był poniedziałek a więc dzień ciężki i częstokroć fatalny, dano sobie feryą od pracy, co bardzo po myśli wypadło tym, którym niezupełnie na zdrowie poszły gęste starościńskie kielichy — a tymczasem wieczorem . pan Urbański z Jabłonek zaprosił całe towarzystwo na miodek do siebie, kóten mu przywieziono na to koło z dóbr jego komborskich. Pan ten zapraszając mówił tak cichuteńko a skromnie, że niby to jeno po kubeczku miano się napić u niego, a tu we wtorek rano słońce już dobrze przypiekało, kiedy przed jego domem żołniórstwo jeszcze biło z możłzierzów i chorągiewna kapela głośnie wygrywała wiwaty. Przy tóm cały dziedziniec i ogród przed jego pomieszkaniem jakby nabity był pocztowymi, luzakami i służbą prywatną towarzystwa, którym także dano suty traktament.

We wtorek tedy nie było co myśleć już o tem, ażeby jaką poczynać robotę.

We środę już się zeszli panowie towarzysze do sali namie- stnikowskiój i już mieli stół dokoła obsiadać, kiedy wszedł jw. Mniszech, rotmistrzowski synowiec, który późniejszymi czasy ożeniony z Ossolińską, wojewodzianką wołyńską, aż na chorąstwo w. koronne był postąpił, a który także był towarzyszem w swego stryja chorągwi i był w niój porucznikiem — owóz tedy on przystąpił do panów braci i rzekł:

— Mości panowie! Ma u was łaskę jw. starosta, ma i pan Urbański, boście im tego dowiedli i ja im tej łaski waszój nie za- Widzę; ale rozumiem tak, że kiedybym i ja do waszego serca zapukał, tobyście go nie zamknęli przedemną. Koło, panowie bracia, <sup>v</sup>ażaa to rzecz dla chorągwi, ale co najważniejszą sprawę jużeśmy z łaski Bozój zrobili a o resztę snąc nam się już niewiele kłopotać przyjdzie, bacząc na to, żeśmy na ten rok miniony namiestnikiem mieli jw. Bukowskiego, przyjaciela mojego, który w jakim Porządku utrzymywał sprawy nasze, wszystkim wiadomo. Niewiele zresztą mamy tak do czynienia, żebyśmy się bardzo kwapić <sup>^</sup>usieli, a nic takiego, coby na zwłóce króciuchnoj ucierpiało,

Tom X.



a gdyby nakoniec i doniesiono nas z tem żeśmy koło nasze nad zwyczajny termin trzydniowy przeciągnęli, tedy jużby się to tam jakoś zagładziło u jw. stryjaska. Owóż tedy tak tuszę, że wasz. - mość panowie ria prośbę moję jeszcze i na dzień dzisiejszy swe ferye pomkniecie; a odłożywszy na stronę papiery i pióra, raczycie przyjąć u mnie skromniuteńki obiadek, który tylko czeka na przybycie waszmościów.

Na taką grzeczną oracyą zwłaszcza też takiego pana, który po rotmistrzu był piórwszą osobą w chorągwi, nie było właściwie co mówić; ale że polityka nakazywała choć przynajmniej udawać jaką taką służbistość i przejęcie się obowiązkami służby publicznej, tedy jedni na drugich się oglądali, niby to się wahając; ale pan Błoński z Berezki, " późnój stolnik sanocki a natenczas chorąży teźże chorągwi, odpowiedział za wszystkich, replikując w ten sens:

— Nie byłaby to rzecz ni wakacya' odmawiać tak łaskawie zażądane go afektu jw. porucznikowi naszemu, zwłaszcza też, że sprawa chorągwi naszój, ile że nam kwitną błogie czasy spokoju,, na żadnój takiój zwłoce nie stracić nie może: tedy przyjmujemy od waszmości pana i brata naszego ten piękny sentyment i służyć będziemy; ale jako chorąży i ledwo nie najstarszy tój chorągwi towarzysysz, boć'em ją własnymi piersiami jaszcz przeciw Sieniaw- czykom zasłaniał, rozumiem że nie zgrzeszę, jeżeli jedną załóż klauzulę. Owóż tedy tak bywa, że kiedy towarzystwo maszeruje ostro albo zgoła na nieprzyjaciół uderza, chorąży mu świeci na przodzie; teraz, Panu Bogu niech będzie chwała za to, mamy czasy spokojne i chorągiew stoi na miejscu, więc nie wyrywa się naprzód chorąży, ale przecieby tego nie przeniósł na siebie, żeby miał być ostatnim. A tu ostatek bardzo już gdzieś niedaleko. Poszedł bowiem przedemną starosta, poszedł jmc pan Urbański, idzie teraz jw. porucznik, anoż widzi mi się summum łempus i chorążemu się ruszyć, niechce-li zostać w kącie. Tedy będzie służyć towarzystwo z chorążym porucznikowi we środę, ale musi tóż ono z porucznikiem - obiecać się chorążemu na czwartek — a kłaniając się wszystkim dokoła, dodał: — o co najuniżenij bracią swoją uprasza nizki jej sługa i podnózek.

\* — Ale zgoda! zjfoda! — zawołał na to porucznik — tylko dajmy sobie parol na to, że przed skończeniem koła żaden z nas ztąd nie wyjedzie.

Zaprotestował się przeciw temu pół żartem a pół seryo któ- renś z towarzystwa, ale go zakrzyczano, przecinając mu, że chy- baby był utajonym familiantem, nie zaś wiernym króla jegomości poddanym, gdyby chciał psować to, co już postanowiono. I tak środa i czwartek minęły na bankietach wyprawianych z muzyką i wystrzałami moździerzowemi, a nawet z illuminacją, bo tójże ostatnój nocy, przez nieostrożność podochoconego żołnierstwa, zgorzała żydowska gospoda cum attinentiis na przedmieściu. W piątek byłoby już pewnie zaczęło się koło, gdyby nie ten przypadek\*

że dnia tego rano odbył się potajemny pojedynek pomiędzy imć panem Gumowskim, towarzyszem tejże chorągwi pancерnej, a imć panem Strzemeskim, obywatelem zacnym z pilźnieńskiego powiatu i towarzyszem chorągwi huzarskiej, w Sandomierzu leżącej, który przypadkowo natenczas przejeżdżając przez Sanok, poszedł na obiad do chorążego i tam się po obiedzie powadził. Rzecz cała wszczęła się o to, że pan Gumowski, napiwszy się dobrze i wdawszy się w rozmowę z Strzemeskim, husarów nazwał żołnierzami pogrzebowymi, że to te chorągwie zwyczajnie do pogrzebowych konduktów biskupów i wielkich panów używane bywają. Działo się to jeszcze u chorążego, więc Strzemeski, widząc człowiek ogłędny i stateczny, umilkł, ale na wąż sobie to namotał; a kiedy już wyszli w ulicę w nocy i z jednym świadkiem tylko znaleźli się sami, wjechał dopiero dobrze na Gumowskiego, trąc mu kapitulę co się włożyło za on nierozumny przycinek. Gumowski, który rad ognia krzesał w szabelkę, nie opuścił okazji i oddał zaraz oko za oko, poczóm się przy świadku zmówili, drugiego sobie sekretnie znaleźli, i o świcie wyjechali precz za miasto na pole, gdzie sobie przy jakiejś samotnie stojącej karczynie plac boju oznaczyli. Ale trafił na swego on junak niebaczny: husarz bowiem twardo stanąwszy za obrazę swojej chorągwi, tak zsiekał Gumowskiego, że §0 rankiem aż na wozie do Sanoka przywieziono. O czym kiedy się wieść zaraz rozeszła po mieście, ile że wielu towarzyszków jeszcze dobijając bankietu, z kapelą się przechadzali po ulicach, tumult się zrobił ogromny. Każdy więcjbiegł rannego coprędzej obaczyć, i każdy widząc go tak zeszepeconego, jeszcze większą wrzawę podnosił, a niebawem takie rozjątrzenie opanowało całą chorągiew, że podczas kiedy jedni rzucili się onego zdrając husarza szukać po mieście, drudzy, wsiadłszy na koń, puścili się za nim na wszystkie strony. Ale Strzemeski widząc był kuty na cztery <sup>no</sup>gi, bo jak zniknął, tak i słych o nim zaginął. Nie mogło się to Panom braci w głowie pomieścić, jakby to kto obcy mógł tak zniknąć z pomiędzy nich bez śladu po sobie i w czasie tak krótkim, jakoż przyszli na tę myśl, że musiał być jakiś czarownik lub <sup>ch</sup>arakternik, w której to 'opinii utwierdzało ich i to jeszcze, że Jj gęstej bitwie z panem Gumowskim, który był rębacz tak zawołany lubo dość nieszczęśliwy, ani razu nawet drapniętym nie został, — i dano mu pokój nakoniec; — ale te poszukiwania zabrały <sup>ca</sup>ty piątek i sobotę.

W niedzielę po staremu obiad był dawany na zamku, poniedziałek znowu dzień ciężki, więc aż dopióro we wtorek panowie towarzysze dokoła stołu zasiedli, a chociaż rzecz trochę po za termin przewlekli, na czym zresztą rzeczywiście nic nie zależało, to <sup>^</sup> jednak niech będzie na pochwałę, że przy obliczeniu znaleźli <sup>sl</sup>§ wszyscy w jaknajzupełniejszym komplecie, krom jednego Gumowskiego, który z gębą zaszytą, ręką obwiązaną i przez sanockiego barwiera strzeżony, leżał na swojej kwaterze.

Na seśyi tedy, jako piór wszą materyą wniósł na stół namiestnik rachunki przychodów i wydatków' chorągwi za rok miniony, przyczóm deputat przeszłoroczny, do egzakcyi podatków od chorągwi wyznaczony, składał także swoje rachunki i pozostałe przy nim pióńiądze. A kiedy się to wszystko w jaknajwiększym porządku znalazło i odprawiło, pan Bukowski piękną mową podziękował towarzystwu za darowane mu zaufanie i składał w jego ręce swój urząd, ekskuzując się starością swojego ojca i ważnemi sprawami familijnemi. Trzeba tedy było innego namiestnika nominować, a ten wybór był dosyć trudny, bo podczas kiedy ranga ta skazywała na całoroczne przynajmniój przy chorągwi mieszkanie, rzadko któren- towarzysz ją rad przyjmował na siebie, ile że każdy był posesyonatem, gospodarstwem, żonę i dzieci najczęściej mającym, a nadewszystko swobodę miłującym. Oglądano się tedy na tego to na owego, i już omal że się nie uczepiono Bartka, bo lubiano na namiestników ludzi beżżennych i zamożnych, którzy i statecznie siedzieli przy chorągwi i swoją kieszeńią nieraz nakładali z ich albo i z cudzej przyczyny wyniknione decesa, a pewni byli względem defraudacyi; ale kiedy Bartek zwąchwawszy, jak to mówią, pismo nosem, z góry zaprotestował się przeciw temu i nawet dał do poznania, że to nie jest ranga dla niego,—padł jednomyślny wybór na pana Gumowskiego, a dawny namiestnik podjął się dopóty opiekować sprawami chorągwi, dopóki wybrany nie powróci do zdrowia. Z czem wyprawieni posłowie do elekta i z wdzięcznością przyjęci.

Potem przystąpiono do wyboru deputata na komisją radomską, która była wysadzana co roku na to, aby wszelkie sprawy wojskowe sądziła, a że ta funkcyja trwała zwykle tylko przez sześć niedziel, tedy wybrany na nią dawniejszy namiestnik podziękował bez oporu za ufność.

Potóm ogłoszono wybór dwóch rezydentów do jw. rotmistrza, który zwykle padał na młodych, zasługi i zabawy łaknących, a że już tam takich dwóch miał u siebie pan Mniszech, którzy nawet listami tego się dopraszali, aby ich nie ruszano, tedy ci sami i na ten rok potwierdzeni.

A kiedy już i to załatwiono, tedy weszła ostatnia kwestya a to wybór deputata do egzakcyi podatków, każdej chorągwi a przez nią zajmowanego i oznaczonego obvodu jej się należących i rok rocznie wybieranych. Ten wybór nastęrczaj zwykle najwię\* cój trudności, — była to bowiem funkcyja nietylko nieprzyjemni i tak uciążliwi, że jój prawie kaźden uczciwy i sumienny unikał\* a z drugiej strony znowu takie pole dająca do szalbierstwa i oszu- kaństwa, że która tylko chorągiew o swój honor i dobrą sławę dbała, jaknajskrupulatniej sobie przy tym wyborze postępowała\* Kiedy więc już całą ważność tój misyi ze wszech stron ogadano, i z należytyem względem na wszystko pomiędzy sobą się obliczono, pokazało się, że tylko czterech kandydatów' było do tój deputacyi

takich, którym sprawę i sławę swoją mogłaby poruczyć chorągiew, a poruczywszy ją, spać sobie spokojnie aż do przyszłego roku. Piórwym więc kandydatem położono jmc pana Nieczuję, skarbnika zakroczymskiego, który już przed dwoma laty sprawował tę funkcję, i przywiózłszy wszystkie pióńdże, ani jednej skargi nie pociągnął z sobą na komisję radomską, co się jeszcze nikomu nie wydarzyło. Drugim po nim położony był pan Urbański, który acz częstokroć gwałtowny i prędki, jednak niesłychanie był sumienny i bardzo zamożny, więc była w nim rękojmia, że raczej ze swój szkatuły dołoży, niżeliby miał się dopuścić jakiej opresyi, jak to się innym deputatom zdarzało, że co nie' dobrali na jednej wiosce z powodu ubóstwa, nieurodzaju lub jakiej innej przyczyny, to wyduszali na drugiej nad należytość i prawo; trzecim zaś i czwartym położono obudwóch braci ślubnych.

Ale pan Nieczuja się zaraz wymówił", ekskuzując się wiekiem i niezdolnością, co zanotował temi słowy w swym kalendarzu: „Na tem kole proponowano mnie na deputata do egzakcyi podatków, ale się wyprosiłem. Stary jestem, stargany i do niczego niezdolny, chybaby to jeszcze syna wprowadzić w ojcowskie rzemiosło i pokazać mu in praxi, jak to dawniój bijano, ale i na to już niema widoku, bo cicho wszędzie jak mak siał, co daj Boże jaknajdłużój, ho miałoli być co głupiego, to lepiój nic." • 1,

Potem pan Urbański się jął wymawiać. Mówił długo i nie ze wszystkiem zrozumiale a przytóm chmurno i mrukliwie, czóm dawał do zrozumienia, że nietylko się tój funkcyi nie podejmuje, <sup>al</sup>e nawet nie rozumie, jak można było jego do takiej roboty chcióć zaprzęgać. Nagadawszy się tedy dosyć w tę i owę stronę i napowtarzawszy się jednej i tój samej rzeczy po kilka razy, bo nie był oratorem, tak skończył: — Anoż com rzekł, niechaj to nie będzie tylko na teraz, ale i na potóm, a o com prosił, niechaj to będzie, wdzięcznie przyjęte i uwzględnione; to tylko jeszcze dodać mi wypadnie, że jakom poborcą żadnym ani dusicielem pobożnych • <sup>J</sup>ndzi nigdy nie bywał na życiu, tak i teraz nie będę, a kiedyby <sup>^</sup>nie i sam król jegomość, nasz Pan miłościwy, kazał co od ludzi wybierać, tedy raczej ze swójój szkatuły oną sumę w całkowitości złożę, a od dworu do dworu i ode wsi do wsi nie pojedę.

Ta mowa czyli też obraziła na prawdę towarzystwo, czy tylko <sup>zar</sup>t sobie chciano zrobić taki, niewiadomo, jeno przystąpiono do głosowania. A kiedy głosy zebrano, co czyniono w ten sposób, <sup>ze</sup> każdy pisał jedno nazwisko na karteluszu i rzucał go pisarzowi <sup>w</sup> czapkę, który stół do koła obchodził—i pisarz je do protokołu <sup>^</sup>ciągnął a obliczył, wstał potóm t rzekł: C t- Mości panowie! Jmc pan Urbański obrany jest deputatem do egzakucyi podatków.

Na to pan Urbański spojrział na pisarza a potóm po kole, ale Wszysey patrzyli w stół i cichuteńko było. jak w kościele. Tedy <sup>o</sup>n powstawszy<sup>l</sup>-, dosyć z krwią zimną:

— Panie namiestniku! — rzekł, — proszę mnie kazać zapisać, żem wybran.

— To się zapisze — odpowiedział namiestnik.

— Tedy mnie proszę powiedzieć, jak wielką jest ta suma, którą chorągiew ze swojej parafii co roku wybiera?

— Kiedy pan Nieczuja jeździł, — odpowiedział namiestnik —' mało coś chybiło do pięciu tysięcy.

r Było cztery tysiące siedemset i dwa złote, — rzekł pan Nieczuja. Na to zaś Urbański:

- — Panie namiestniku! owóz ja już powrócił z tój żebraniny, proszę odbierać pioniądze.

To rzekłszy, odwinął połę od kontusza i żupana i -dobywszy z kieszeni mieszek z haczny skórzany, wyjął zeń trzy ładunki dukatów, w których snąc było trzysta, a położywszy je na stole, posunął ku namiestnikowi i dodał:

— Oto są, proszę o resztę.

A kiedy wszyscy ciekawie Doglądali po sobie, on się ku drzwiom obrócił, które były otwarte a za niemi służba stała i młódź, zaglądając do sali, i zawołał:

— Hej! Czerkawski! sam tu! — Na to wszedł jego wyrostek i przystąpił ku niemu, a on dobywszy jeszcze z mieszka garść czerwonych złotych, dał je jemu do ręki i rzekł:

— Masz, a to za to, żeś mnie kazał pióńiądze ze sobą brać, bo kiedybym ich był nie wziął, byłbym przyszedł na wstyd.

Wyrostek się pokłonił i odszedł, a tymczasem namiestnik na- zad odsunął pióńiądze ku nowo wybranem deputatowi, żartując a śmiejąc się, w czem mu całe koło dopomagało. Ale on .śmiechu wcale nie dzielił i rzekł:

— Panie namiestniku, proszę się nie śmiać, jeno pieniądze brać; wybrany jestem, zrobiłem swoje, róbże i waszmość swoje.

— Ale to żart! to żart! — zawołało kilka głosów. Na to zaś on:

— Proszę mi tego nie mówić, bo ja na takich żartach się nie znam: więc albo pióńiądze brać, albo niechaj mi koło sprawę z tego da i to jest moje ostatnie słowo. Nizki sługa waszmościów!

, To rzekłszy, pokłonił się i wyszedł. Za nim zaraz wybiegło kilku, chcąc go przeprosić i nawrócić, ale on ani słuchać nie chciał ' nikogo, tylko wydarłszy się z rąk, poszedł ku swojój kwatarze. Tedy się koło zafrasowało tem trochę. a jaki taki, poglądając na pieniądze Leżące na stole, mówił: — Zadalekośmy się trochę posunęli z tą krotocwilą. Wszakże wkrótce zabrał Mniszeclr głos, a biorąc na siebie przebłaganie rozgniewanego, prosił ażeby przystąpiono do elekcyi nowego deputata. A teraz oparło się to już o braci ślubnych. Zaczem piórwszy powstał pan stolnikowicz, wypraszając się bardzo Wymownie i grzecznie, ale zaraz na jego mowę replikował pan Bartłomiój Karsznicki, poczynając w ten sens:

— Mości panowie! Najmłodszy tu jestem z tego cechu i rozumiem to dobrze, jak mi skromność a milczenie przystoi; ale napatrzwszy się dosyć różnych chorągwi i ich służby publicznej po •cudzych krajach', a widząc jako się tu każdy od wcale niewielkiej posługi wymawia, nie mogę tego przenieść na siebie, ażebym choć słów kilku nie powiedział ku temu.

Potóm rozwodził się długo i szóroko nad zacnością, jaką ze siebie dawać powinien i na tóć potóm się opierając, srodze wy- kartał taki obyczaj, którym rycerz jako może wykryca się od posługi swojej chorągwi. A że mówił ozdobnie i gładko, a szafował hojnie-komplimentami dla króla i pana, dla hetmanów, rotmistrzów, poruczników i zgoła dla całego rycerstwa, więc słuchano go z wdzięcznością i taki mu oklask dano, że aż się mury zatrzęsły. Jakoż nic pewniejszego nad to, że gdyby natenczas było przystąpiono do wotowania, byłby miał pewno unanimitatem pan Józef. Wszakże on przytomnością swoją nie dopuścił tego, bo wstawszy a wezwawszy wszystką swoją naukę na pomoc, kiedy to sygnie perorę pełną samego Cicerona i Seneki, to i jemu oklask się dostał wcale nie mniejszy, a Bartkowa opinia się osłabiła. Wprawdzie Bartek znowu głos zabrał i już teraz usiłował jak najwyraźniej Bobowskiego wsadzić na tę funkcję, wydalając go na parę miesięcy z domu, ale już mu tak nie szło za drugą razą i dawna jednomyślność nie dała się już zespolić.

Po nich mówił znów Osuchowski, ale ten gorliwy każdej służby publicznej miłośnik i wiecznie o niej tylko marzący, powiedział tylko tyle, ile mu skromność nakazywała, a że na ten wybór, kiedyby wypadł na niego, ani się skrzywi i prawie go pragnie,, było aż nadto widocznóm. Po panu łowczycu jeszcze raz głos zabrał Karsznicki i usiłował na jaw wydobyć mało ważne wymówki jego i poprzeć je trochę, ażeby koniecznie opinią zwrócić na Bobowskiego, i robił to dość gładko i zręcznie, ale to już droga była zanadto uboczna, aby nią mógł zajechać ku swojemu celowi. Umilkł tedy, rzecz główną zostawując do rozstrzygnięcia, a ciekawszym zaś tę zagadkę, dlaczego chciał koniecznie Bobowskiego wyforytawać na deputata? co wszakże, lubo ująć nie mogło uwagi niektórych, zatarło się tóć nakoniec, że Bartek był szwagrem stolnikowicza.

Potóm przystąpiono do głosowania, a\* po obliczeniu votów pokazało się, że pan łowczyc jednym tylko głosem przeważył swojego brata. Jego tedy zamianowano deputatem, a nazajutrz Wręczono mu instrument, opatrzony podpisami całej starszyny, spis wsiów i miasteczek i przypadających należytości, a nakoniec instrukcją, gdzie jak długo ma bawić i kędy odprawiać trzy- dniówki.

Nazajutrz także prześlągano i pana Urbańskiego, poczem jeszcze trwały bankiety i uczyty do dwóch tygodni, i tak się skończyło to koło chorągiewne.

Po tej trzech tygodniowej służbie i zabawie, bracia ślubni powrócili do siebie; pan stolnikowicz do swój dawniej w niczem się nie zmieniającej niewoli,—pan Osuchowski zaś, ażeby się przygotować do służby swojej i podróży, która go miała wydalić z domu na kilka miesięcy a może i dłużej, obwód podatkowy bowiem poddany tój chorągwi pancernój zajmował ledwie że nie całą ziemię sanocką, a inni deputaci, którzy z tej funkcji chcieli ciągnąć zyski dla siebie, albo i bez żadnych nadużyć, tylko przepisane wszędzie trzydniówki odprawiali, wybrawszy się w podróż o wiosnie, ledwie na Trzech Króli powracali do domu. Taka podróż, lubo się ciągle kręciła w kółko i można z niej było dosyć często nadbiegać do domu, wymagała jednak dobrego rozmysłu i statecznego przygotowania się w wiernych ludzi, pewne konie i wozy; pan deputat bowiem, ile że obowiązkiem jego było wszędzie utrzymywać honor chorągwi, a nadto jeszcze ta podróż nic go nie kosztowała, bo musiały go żywić ze wszystkióm wsie, do których zajeżdżał, wybierał się na tę egzakcyą prawie z takim samym taborem, z jakim przyjeżdżał na koło.

Wybierał się tedy i pan łowczyk w tę drogę przez cały tydzień, a już tak był tóm wszystkióm głęboko zajęty i<sup>1</sup> tak wiele o tóm rozprawiał, że już nie miał ani oczu ani uszu na to, co się działo około niego, ani tóż pamiętał to, co go kiedykolwiek przedtem tykało lub zajmowało. Z takiego usposobienia szwagra umiał w lot korzystać Pakosław; jakoż nietylko, że natychmiast przyjechał mu powinszować nowej rangi i honoru, którym go obdarzyła chorągiew, czóm w najslabszą zaraz stronę trafił panu łowczycowi, ale tóż, nie namyślając, się z taką pilnością a żydowską usłużnością jął się pomagać mu w jego przygotowaniach do podróży, że i gładko sobie wyjednał przebaczenie dawnych przewinień i jeszcze, kiedy łowczyk wyjeżdżał, prawie przez niego samego był zostawionym na Zernicze, jako jego zastępca i pełnomocnik. Zawinał się tóż Pakosz jaknajręcej około tego, ażeby, cokolwiek jeszcze mogło mieć jaką wartość na tym dworze lub w gospodarstwie, zamienić, sprzedać albo przenieść do siebie, a że mu w tóm nikt nie przeszkadzał, szło mu to wszystko jak z płatka.

Owóz tedy bardzo na rękę poszedł Pakoszowi ten ostatni wybór koła chorągiewnego, ale bardzo nie na rękę było to drugiemu bratu ślubnemu. - Człowiek ten bowiem, który w swojej biedzie tyle już tylko miał pociechy, ile jój znalazł w cichych i po- kątnych z łowczycem rozmowach, teraz odsuniony, a raczój zrażony do wszelkiego zatrudnienia, nie mogący prawie krokiem wyruszyć z domu, został już sam tylko ze swojemi smutkami i ze swoją niezgojoną boleścią. Zrazu po wyjeździe łowczyca, nie widząc żadnej zmiany w swóm położeniu, a nie wiedząc co począć ze sobą, z rozpaczy prawie rzucił się był do książek, ale znając te na pamięć, które się w jego domu chowały, a nowych nie mając, niewiele znalazł w nich pociechy; potóm wszakże przecie lepszego

się domyślił, i uważając że mu się to nieźle udaje, wymknąć się z domu i pobiedz na parę godzin do samotnych i także się dosyć nudzących dwóch kobiet w Żernicze, często się z domu wymykał, i czy to pieszo, czy na koniu biegł czómprędzej do łowczy- cowego dworu, aby tam już rozumną rozmową ze starą panią, już lekką pogadanką z młodą jójmością choć trochę się rozerwać i zasmucone serce odżywić.

Taki wszakże porządek we dworze stolnikowicza, który stawiał samowładną panią na tronie, męża zas kładł w poczet dworzan nic nie znaczących, nietylko że mógł być ściągnąć najgorsze pogadanki sąsiadów, jeśli na to dali baczenie, ale też i dla całego gospodarstwa i powodzenia materyalnego tego domu najfatalniej- sze pociągał skutki. Pani Barbara bowiem, chociaż silnie swe berło dzierzyła w dłoni, nie rządziła jednak domem tak jak potrzeba, a podczas kiedy służy za małą nieraz przewinę srodze bywali karani, wielkie nieraz uchodziły im gładko i był ztąd wielki nieład i prawdziwy rozgardyasz na całym dworze. Jeszczeż to pierwiej, póki starego porządku koła nie powychodziły całkiem ze swoich składów i póki Barbarka, chcąc dowieść mężowi, jako ona zna się na wszystkim i wszystko lepiej ź!robi od niego, sama w kaźden kąt zaglądała, wlokło się to wszystko dość znośnie; ale od niejakiego czasu, kiedy już ze starych sług prawie nikt się nie ostał na dworze a pani i mężowi nie dając się wetknąć do niczego, l sama zaprzestała swego dawnego dozoru, wyrwóciło się wszystko do góry nogami. I nie było posłuchu, tylko drżenie od strachu, nie było pracy ni pilności, tylko na oko; rujnowały się budynki, niszczały stajnie i obory, próżne były stodoły, pustką stanęły spichrze-i komory.

A chociaż tak źle się działo, nikt jednak na to nie zwracał ani swojój ani cudzój uwagi, bo kiedy pani milczała, musiał kaźden mtlczóć, chciał-li czy nie chciał. Na cóż zresztą miał kto poruszać te usta, które kiedy się poruszyły, wysypywały z siebie tylko przeklęctwa albo rozkazy dawania batogów? t- Wszakże był tam jeden człowiek na dworze, któren baczne miał oko na wszystko, a tym był Grott herbu Mora. Gospodarstwo i dwór żernicki nie należały wprawdzie do niego, bo on tylko był pełnomocnym na Rogach, ale kiedy mu się nieraz i za co takiego, co się nie po niyśli pani stało w Żernicy, kpa dostać zdarzyło, zwłaszcza tóż że tu niemało czasu przepędzał, zdało mu się nie od rzeczy, jeżeli nie dysponować, tedy wiedzióć przynajmniój o wszystkim. co się gdzie dzieje. Śledził on tedy po staremu tak pana jak i panią, tak sługi jak i sąsiadów, a chociaż K> śledzenie nie doprowadzało go teraz do tak pewnych rezultatów jak dawniej, bo go ztąd często gospodarstwo odwoływało do Rogów i trzymało tam po kilka tygodni; toż jednak wiedział on w kaźdym kierunku przynajmniej tyle, że w czas potrzeby dotarcia do gruntu, nie byłby musiał Przynajmniej macać po ciemku. Owóż tedy o takich rzeczach,



które w największym nawet były ukryciu, wiedział on wiele a jeżeli nie wiedział to się przynajmniej domyślał; nie mówił nic, bo był z tych ludzi, którzy radzi milczą na wszystko, kiedy "tylko im nieźle się dzieje, ale niemniej przeto argusowemi oczyma patrzył na wszystkie strony, nic pomimo siebie nie puszczał a gdzie mu się tak zdało, to dochodził dalej i ciekawiej zaglądał.

Przy tak bacznej tedy uwadze, daleko dokładniej niż komukolwiek był mu znajomy cały on fatalny stosunek pana do pani i smuciło go to, bo kochał Józefa... znajomemu mu dalej były owe tajone stolnikowicza wycieczki i nic na nie nie mówił... wiecznie miał podejrzenie względem balogrodzkiego dziedzica i zostawiał to sobie do czasu... ale kiedy pani Barbara zaprzestała takiego ognistego zajmowania się domem, na mężowskie absentowanie się z domu rzadko co kiedy i to prawie tylko dla formy mówiła, a nakoniec przysłała jój jakaś mania wychodzenia na jakieś spacerki i to nie do ogrodu, tylko gdzieś w pole a zawsze samotnie, a zawsze wtedy, kiedy męża w domu nie było: postawił sobie Grott tę kwestyą na dziennym rejestrze i przedsięwziął dotrzeć do gruntu. Puścił się tedy i on na spacerki i długimi nieraz godzinami błądził po polach i lasach, po zaroślach i różnych miejscach spokojnych i zasłoniętych od wiatrów. I długo tak błądził daremnie, niczego nie mogąc dojrzieć zblizka ni zdaleka: stawał potem na punktach oddalonych ale wysokich i ztamtąd okiem orła powodził po całej okolicy, ale i to daremnie — aż dnia jednego, w takim właśnie miejscu, gdzieby się nigdy był nie spodziewał, dziwne znalazł zjawisko.

Naprzeciwko dworu, za małą łączką, obsadzoną wierzbami, wznosił się stromy pagórek. U jego stóp płynie mała rzeczulka a za nią poczynają się dęby, które tam rosnąc od wieków i piętrząc się jedne na drugie, cały ten okrywają pagórek aż do samego szczytu. Od szczytu ciągnie się w górę grzbiet tego pagórka, który rozlewając się w coraz płaszciejszą wyżynę, wznosi się potem do góry i sięgając balogrodzkiej granicy, daje widziść na przeciwległych swych krańcach dwa ogromne kopce graniczne, pomiędzy którymi stało tamtych czasów trzy krzyże drewniane, na pamiątkę jakichś trzech śmierci tam postawione. Dęby te wszakże, które ocieniają ku dworowi zwrócony brzeg tego pagórka, nie okrywają już dalej całego tego długiego grzbietu, jeno ustąpiwszy się w lewo, ciągną się wąską ścianą wzdłuż grzbietu, ocieniając tylko cały bok lewy i urywając się potem nagle o paręset kroków przed onemi krzyżami. Od tych krzyżów wszakże aż do tego miejsca, w którym się urywa dębina, rozściela się gęsty i bujny jałowiec, który tak tę przestrzeń okrywa, że toby chciał do krzyżów, o lasy bukowe opartych, przejść niepostrzeżony aż do onej rzeczulki, która płynie tuż pod dworem żernickim, ten mógłby tego snadnie dokonać, bo niemało udeptanych ścieżek wiję się przez

środek onej dębiny, przez jałowce, pomimo krzyżów aż do lasów bukowych.

Otóż jednego południa, czy to dobrym instynktem wiedziony, 'czy to dlatego, że tam jeszcze nie zapuszczał swych śledczych kroków, puścił się Grott jedną z tych ścieżek środkiem dębiny do góry. Idąc, oglądał się w tę i owę stronę i ostrożnie odsuwając gałęzie, ażeby nie czyniły szelestu, myślał sobie statecznie, coby •uczynił w takim a co w innym wypadku. I bujna fantazyja jego przesuwiała mu po przed oczy różne najdziwaczniejsze widziadła; on się za nimi coraz baczniej oglądał, ale oko ciała nie mogło ►dojrzeć nic z tego, co oko duszy widziało. Aż nareszcie, przebro- dziwszy prawie już większą połowę dębiny, stanął nagle Grott W miejscu, przegiał się przez połowę, wyciągnął szyję i oczy wpatrzył mocno w punkt jeden na prawo—zdawało mu się że widzi... i widział w samój istocie.

Pomiędzy trzema drzewami bowiem, które rosnąć na kilko- sążniowej murawie, stały niby na osobności, a jednak mocno ocienione były gęstą karłowatą krzewiną, stała w sukni zielonćj, wachlarz w prawój ręce trzymając, Barbarka. Koło niej tuż blisko żywiuteńki stał Bartek, i trzymając jej lewą rękę w swój prawej, patrzył to po sobie, to na ziemię i słuchał jej mowy. Na jego twarzy był spokój zupełny i on uśmiech słodki a chłodny, który nie opuszczał go nigdy; w jego oczach błyszczały jeszcze iskry jakichś gasnących płomieni, jego policzki były świecące różowe, a "resztą cały wyglądał tak, jak gdyby wstał od sutego obiadu i chciał iść ku sofie, ażeby na niej odpocząć, ale go ktoś w drodze zatrzymał i w rozmowę uwikłał. Barbarka także jakoś nie była wesołą, a chociaż jój jagody były dosyć rumiane, jednak w oczach i w całej twarzy była jakaś senność rozlana i niby smę- tność, z których jednak co chwila sama się obudzała, prędkiem okiem rzucając w tę i owę stronę.

To wszystko dobrze przejrzał Grott, ale że\*jednak z tego miejsca niedogodnie mu było słuchać, co tam mówiono, podszedł cichuteńko troszeczkę dalej, i stanąwszy za drzewem, przyczaił się tak, uszy tylko wystawiwszy do słuchu. Tymczasem tam zrobiło się głośnieć, a najpierw tak prowadziła rzecz swoją Barbarka:

— śpią wszyscy jak zabici... po zmierzchu nikt się nie śmić na dziedzińcu pokazać... on o sześć^izb odemnie... okienko nizko... — Ale, moje życie! — rzekł na to Bartek, h Ale co to wam gadać! — odpowiedziała ona pół z gniewem, — tchórze jesteście i koniec. Wszystko niech robią kobiety. Niech szaleją, niech tęsknią po całych dniach i nocach, niech się narażają na obmowę i hańbę, niech po całych tygodniach głowę sobie łamią nad wyszukaniem jedної sposobnej chwili, a potem dla niej niech karki kręcą i skręcą nakoniec z kretesem — wam Wszystko to obojętne. Wy macie moc i siłę, moglibyście mieć \* odwagę, trudy wam byłyby niczem, o obmowę nie dbacie, i mo

glibyście wszystkiego dokazać, — ale na co wam tego? wszystko I niech robią kobiety. O Bartku!

— Ale moje dziecko, jeżeli tóż kogo możnaby o to obwinie, I to nie mnie pewnie. Bywałem ja już w niejednych okazyach i na I co ja się narażałem...

— No milcz., proszę ciebie; — przerwała prędko Barbarka, — I co było, jak było tam kiedyś, ja wiedzieć nie chcę i uszy zaty- I kam. Ja znieść tego nie mogę. Ja aż drzę na wspomnienie tego I wszystkiego, wiem, ale wiedzieć nie chcę i zapominam. Dla mnie I tyś się wczoraj dopiero urodził.

— Moje dziecko! — rzekł czule Bartek.

— O! Bartku! czemużem cię pierwój nie znała takim, jakim cię dzisiaj poznaję! czemużem się dała jakiejś głupiej otumanić I ambicyi! czemużem nie umiała przewidzieć tego szczęścia, które ■ Bóg mi przysyłał przez ciebie? o Boże! jakbyśmy byli szczęśliwi! I

.— Ha! rzekł na to Bartłomiej, — na mnie ta wina nie ciąży, I ja chciałem. Ac om się nacierpiał, co nagryzł. w milczeniu, co I napłakał w ukryciu, to już tylko Bożu jednemu wiadomo.

— „Tyś cierpiał wtenczas, — mówiła smutno Barbarka, — I i twoje cierpienia się zakończyły; a ja cierpię teraz i płaczę, i nie J widzę przed sobą nic, jak tylko przyszłość coraz smutniejszą i gor- I szą. Noc ciemna naokoło mnie i przedemną; jedna tylko gwiazdka I wschodzi czasem na moja • niebo, ale i ta może niezadługo za- ] gaśnie.

O! nigdy! — zawołał Bartek.

— O! dzięki niechaj ci będą, moja gwiazdka jedyna! — zawołała Barbarka, i jakby z nóg powalona, rzuciła się Bartkowi dor\* kolan. Ale wkrótce powstała, i innym już tonem dodała: — Bożet

i mnie pójść było za tego, którego nigdy nie kochała! Kiedy to myślę, wszystka krew burzy się we mnie i śmierćbym sobie zrobiła... ale słuchaj! — •mówiła potem prędko? — to ty sobie pamiętaj, tu się widywać jnie mogę, tu jest bardzo niebezpiecznie; trzeba tak kochać, jak ja cię Kocham, aby tutaj przychodzić..-

więc kiedy nie chcesz przyjeżdżać do nas i powiadasz, że on .....

o! prawda! jaki to człowiek niedobry, jaki to skryty, jak ja go nienawidzę, to ani wyobrazić sobie nie możesz. A jakie on oczy ma czegoś straszne, jak mu niedobrze z nich patrzy! wiesz, trzęsę się cała, kiedy te oczy obaczę.

kartek się na to uśmiechnął nieznacznie, bo wiedział jak to strasznie robią się występny kobietyom te oczy mężowskie, które niegdyś były tak piękne i łagodne! a Barbarka mówiła dalej:

Więc kiedy tak nie chcesz, to trzeba coś innego obmy? ślić. Ale co, jak, gdzie? głowa mi schnie od myślenia, a nic mi się nie nasuwa. — Na to zaś Bartek:

- Powoli, moje kochanie, a to samo się zrobi. Całe złe jest w tem, żeś jego przyzwyczała do tego, że ustawicznie siedzi- J

w domu; ja już go chciałem na poborcę wyforytować, ale się nie udało; wszakże niepotrzeba rozpaczać, nie udało się jedno to uda się drugie... pomyślę ja nad tómi i coś się zrobi.

— O! to koniecznie — odpowiedziała ona, — będę i ja nad tem myśleć, a tymczasem będę go straszyć, może będzie choć czasem uciekać przedemną.

— To na nic, — rzekł znowu on, — "bo to niepewne; przestraszy się i pójdzie, a ochłonie, to wróci. A póztóm nie dowierzaj ty jemu, on się nie tak bardzo boi, jak tobie się zdaje; ja znam ludzi ... bojaźń jego dzisiejsza, to miłość dla ciebie; ale kiedyby ta zniknęła, to obaczysz jakiby był pan stolnikowicz...

. — Ach! prawda! ja to myślę nieraz i boję się jego ..... to straszny człowiek... ej! albo kto wie? spróbowalibyśmy się z sobą.

— Nie dziecko, — rzekł Bartek, — tego nie próbuj: mężem jest, ma prawo i czyste sumienie. To walka "nierówna, a skutek jej przewidziany.

— Albo to... — rzekła znowu Barbarka, ale wtem Grott, bojąc się, aby się schadzka nie skończyła bez niego, załamał gałęzią i udając, że nic nie widzi, puścił się dalój w górę dębiną. Na ten łomot pierzchnęli ci państwo oboje. Barbarka krzyknęła: — Ach! — Bartek rzekł prędko: — Tu się widzimy ostatni raz, napisz mi dziś jeszcze, — i zniknął, a Grott oglądnąwszy się, czapkę nasunął i wrócił prędkim krokiem nazad ku dworowi. Czemu nazad? bo idąc naprzód, mógłby się zdybać tam z Bartkiem, a rozumiał tańk, że we czwórty oczy i w lesie zdybać się z tym Bartkiem, który Jprał na oszczep niedźwiedzie, to niepotrzebna rzecz.

Barbarka jeszcze chwilę stała na miejscu, myśląc i starając się ochłonać z przestachu, ale potem prędko i żwawo pobiegła za Grottem. Grott szedł już pomału i dał się dopędzić a kiedy ją ujrzał tuż przed sobą, zdjął czapkę z głowy i pokłonił się jej jak gdyby nic. Ale ona wachlarzem mu groząc, zaczęła zaraz w ten sens:

— Słuchaj ty, Grocie, tyś jest szpieg niepoczciwy i sam diabeł wcielony. Tyś tu umyślnie przyszedł, ażeby mnie śledzić.

V- Chowaj Boże! Wielmożna pani, ani mi się co śniło o tem. Tak szedłem bez celu i klnę siebie teraz za to, że tu tutaj wlaź.

— Ale co ty mnie gadasz! szpieg jesteś, płacony przez mego nięza, wiem o tem dawno.

— A niechajże na mnie do szczętu wyginie mój ród, jeżeli tak jest.

— Ot! nie błaznuj i koniec. Ale słuchaj, stało się, wiesz czegoś nie wiedział — i niema co mówić już o tem. Idzie "teraz tylko ° to, ażebyś milczał.

— Pani! — rzekł na to Grott — milczeć będę pewnie, bo Wiem, że nie uszczęśliwiłbym tómi męża, kiedybym mu taką dopowiedział nowinę, ale przestrzegam, .bo nigdy to nie było na świe- , eie, ażeby się rzecz taka ukryła, i tutaj nie będzie.

.— Nie ukryje się, mówisz? — zapytała, zamyślając się, pani. I  
— Do czasu, — odpowiedział Grott, — do czasu..... bo jakżeż I  
może się długo ukrywać, taka rzecz, która się robi tak nieo- I stróżnie?  
\*<sub>m</sub>— Nieostrożnie? no jakżeż chcesz? gdzież się widywać z nim I będę?  
— Jabym był tego zdania, że najlepiejby nigdzie. To nie I doprowadzi do niczego dobrego, z tego tylko  
nieszczęścia... a po- .tém, mąż pani taki młody, taki przystojny...  
— Ale co mi ty gadasz! młody, przystojny, ja najlepiój I wiem jaki.  
— Dwóch lat nie minęło jeszcze od ślubu...  
— No, dajżeż mi pokój z temi morałami, już ja wiem co robię.  
— Żle pani, rzekł Grott stanowczo, — pani nie wiesz co robisz. Bo najpierwój na cóż to tego? do czego  
doprowadzi? co pani myślisz dalój z tóim zrobić ? wszakże ślub pani masz z mężem do śmierci...  
— AJie daj no pokój, wiem ja do czego to doprowadzi, ja z nim żyć nie będę...  
Grott tylko rozśmiał się na to i milczał. A Barbarka spytała:  
— I czegoż się śmiejesz?  
— Ze żalu nad panią, bo słodkie są te wszystkie iluzye, ale gorzkie będzie rozczarowanie, a wiele tu jest  
iluzyj!  
— No mów.  
— Najpierwój, zdaje się pani, że żyć z mężem nie będziesz. A możnaS to u nas? w jakiz sposób?  
Porzucisz go i zamieszkaż gdzie sama, to hańba i wstyd na wieki wieków. Myślisz panij że rozwód dostaniesz,  
to znowu' iluzya; bo to ledwie udaje się panom, którzy na to wyrzucają miliony i to ledwie dwa się u nas takich  
wypadków zdarzyło. A potóm, czy sądzisz pani, że to wszystko prawda co mówi Bartek? czy znasz pani Bartka?  
wiesz kto on za jedei^?  
— No któż? .  
— Ta to wietrznik zawołany, — rzekł Grott ciszej, oglądając się po.za siebie, — to.awanturnik pierwszy  
na świecie! on już stu I kobietom na wszystkie bogi przysięgał.  
— Daj pokój, to fajs! — przerwała Barbarka, — to plotki, które powymyślano na niego przez złość, ja  
wiem lepiej. A gdyby  
i tak było, to cóż, kiedy ja wiem, że on mnie kocha nad wszystko- i gotów jest zaraz życie dać za mnie.  
— Zycie da, to prawda, kiedy go los do tego przymusi, ja temu nie przeczę; ale że wiary nie dotrzytna i  
może już niebawem nie pokaże się na schadzce, a potem powita panią obojętnie i zimno, jak gdyby nic nigdy nie  
było, za to głowę dam moję. Ja znam tych ludzi, <sup>N</sup>  
— Znasz ludzi, ale jego nie znasz i nic nie wiósz. On przecie

dla mnie porzucił cały swój świat i wszystkie zabawy, dla mnie kupił Balogród, ej! nic nie wiesz, mój Grocie. A zresztą, cóż ty możesz gadać innego, jako Bobowskiego przyjaciel?

— Ja tu mię mówię jako Bobowskiego przyjaciel, ale jako was obojga przyjaciel. Złe jsst i Bóg widzi czego nie dałbym za to, ażeby je uchylić.

— No, już daj temu pokój, to co jest złóm u ciebie, to dla mnie jest dobróm. Więc słuchaj, widziałeś, słyszałeś i wiesz, spodziewam się że milczeć będziesz. Jesteś w mojom ręku, kiedy zechcę, dziś cię z domu wypędzę, a szkodaby tego, bo nieźle ci jest. Ale ja tego nie zrobię i nietylko "nie zrobię, ale jak do domu powrócę, dam ci zaraz sto dukatów, ażebyś milczał.

Grott się pokłonił i podziękował, Barbarka zaś dalej:

— Dam sto dukatów za samo milczenie, ale słuchaj, nióma tego na świecie, czegobym nie dała, gdybyś mnie chciał pomagać. Ja sama widzę, że tak jak jest teraz, jest niebezpiecznie, ale ja teraz na to poradzić nie mogę. Wszakże ty, gdybyś chciał wszyst- kobyś zrobił z łatwością. Tyś człowiek sprytny, tyś rozumny, przebiegły, masz wiarę u Józefa.....

— Nie pani, — rzekł na to Grott, — tego nigdy się nie podejmę.

— Czemuż?

— Nie pozwala mi na to moje sumienie, ja szcórze kocham Józefa

— Ej! co mi wyjeżdżasz z twojem sumieniem! znam ja je kpićj niż ty...

— A kiedy i nie sumienie, — mówił stanowczo Mora, — to rozum na" to ml nie pozwala.

— A to jak?

— Bo to dziś, czy jutro, czy pojutrze, koniec końców wydać się musi, a ja nie chcę mojej zdrowej głowy narażać na guzy, albo i na coś jeszcze gorszego.

— Otóż masz! a gdyby się tóż i wydało, to i cóż? któż to jest panią w domu? może ci się co stać, kiedy ja cię zasłonię?

-r Ej! nie łudźże się pani przynajmniej tak bardzo! nie myśl, że lew przez sen, choćby tóż i najdłuższy, traci swoją lwią naturę; <sup>a</sup> lwem staje się mąż, kiedy się poczuje obrażonym do głębi! Lwem się stanie pan Józef, a jakim, może powjedzieć tylko ten, lltóry go widział zagłęboką obrazę honoru bijącego się z Węgrem. Rycerz był, i to rycerz tak twardy jak stal, a w jego rękach zmiękł jak ciasto, 'i tylko kawałki' z niego powieziono do Węgier.

— Doprawdy? — rzekła na to Barberka, — tak się z nim obszedł pan Józef?

— Tak, pani; a cóżby się dopiero stało z Grottem, kiedyby Wpadł w jego ręce?

— A ze mną? — spytała Barbarka.

— Bóg to wiedzieć raczyf łaskawa pani, ale nie daj tego I Boże, ażeby przyszło do tego.

— Hm! proszę cię... a czegoż on dzisiaj taki mazgaj we" | wszystkióm?-

— Do czasu, pani, wszystko to tylko do czasu... miłość go I trzyma i cnota pani, którą istnieć rozumio... ale kiedy jedno upa- I dnie a długie się inaczój pokaże....!

— Obadwa mi tak powiadacie.... — rzekła na to Barbarka, — I ale co wy wiście? A zresztą, kiedy tak jest, to trzeba jeszcze I cieśniej spętać panicza, trzeba go mocniej przygnieść jeszcze.

— Gorzej,"pani, bo gwałtowniój potefi powstanie.

— No, więc niech powstanie i niech mnie zabije! — zawo- ■ łała z zapalem Barbarka, — a żebym też naprzód wiedziała, że za I jedno widzenie się z Bartkiem zaraz umrzeć mi przyjdzie, to zgi- I nę, a widzióć go będę f■

— Nie myślałem tego, — rzekł na to smutno Grott, — ale I teraz się przekonywam, że w miłości wszystkie kobiety są je- I dnakowe. L

— O! nie! tak go kochać żadna nie będzie!

— I w tórn jednakowe, — dodał półgłosem Mora.

— Ale co o tórn mówić, — prowadziła dalej Barbarka.—\* Słuchajże Grocie, będziesz nam pomagał ? złotem cię obsypię, wy- I godami obstawię, Żernicę puszcę w dzierzawę, i kto wiś jeszcze, I co zrobić mogę. I

— Nie, pani, — odpowiedział Grott, — milczóć będę jak gróp, | ale ręki do zguby nie podam. .

— Namysł się jeszcze, wszakże to czas, zresztą niewiele do I tego potrzeba.

— Nie, pani, i po namyśle inaczój nie powiem.

— Ej! namysł się, — dodała prędko Barbarka i\* pożegnawszy I Grotta wachlarzem, puściła się na dół ścieżką i zniknęła w gę- j stwinie. Grott zaś skręcił na prawo, i w czyste pole wyszedłszy, M\* inną drogą zmierzał ku dworowi, mówiąc do siebie półgłosem: —• I Owóz dzień, który wart\* ko dukatów.

I tak po tej schadzce, lubo się tak niefortunnie skończyła, I Barbarka spokojna a nawet wesoła powróciła do domu, bo lekkomyślność rozkochanej kobiety nic nie ma równego na świecie; I wszakże Bartek, jako wielki wersat w takich sprawach, smutno jar koś na swój zamek przyjechał i długo w noc niespokojny chodził A po swojej komnacie. Nie znaczyło to jednak, ażeby miał despe- ' rować ale znaczyło to, że się nad czems bardzo namyślał, i gło- j wę sobie' łamał nad jakąś radą.

Jakoż w parę dni potóm wczesnie rano stał Pakosław w jego sypialnój komnacie, niedaleko odedrzwi, i trzymając pod pachą t kapelus, bacznie śledził wyraz twarzy i poruszenia Bartka, który

w szórokim pudermanie jedwabnym chodząc po komnacie, zdawał się dość niespokojnym, czoło sobie często pocierał, stawał na miejscu, jak gdyby się nad czómś namyślał, potem znowu prędszym krokiem się puszczał, a nakoniec tak rzekł do Pakosza:

— Więc na tych waszych rokach czy roczkach sądowych, które się temi czasy odprawiać będą, nic się nie da zrobić ku temu ?

— Nio zgoła, jw. panie, — odpowiedział Pakosz, — nic zgoła, bo, jak rzekłem, to są tylko sesye sądowe, na których się sądzą procesa.

— No, to palże mu proces jaki, przecież masz głowę pote- mu, — rzekł Bartek. Pakosz się na to roześmiał i odpowiedział :

— Wiem że to jest łaskawy żart jw. pana, ale kiedyby i to się zrobiło, to jeszcze bardzo mało, a prawie nic po tóm, bo cóż ztąd? Będzie miał-proces, pojedzie na rok, a po roku znów się nie poruszy, aż na następny rok.

— Na to znów Bartek po chwili:

— Cóż tam u diabła, żeby też takiej rzeczy zrobić nie można. Tyle tych urzędów jest w Polsce, że niemasz szlachcica bez tytułu, a tu trudno tego wyforytować na jaki urząd. Toż przecie prócz tych roczków, będą tam kiedyś jakie wybory na tych tam komorników, podkomorznych, regentów, stolników, sędziów, pisa- rzów, toż go takim jakim uczynić.

— Toby się zrobić dało, — mówił Pakosz, zażywając tabaki, osobliwie tóż, kiedyby na to poforsować pióńiedzmi.

— Ale dam, jaknajchętniój dam, wiele potrzeba,przerwał Bartek. -

— No, tak.. — mówił dalej Pakosław, >— ale i to na nic, bo to wszystko są takie urzędy, które nie odwołują nikogo z domu; raz tam kiedyś i to na Jkrótko. Ale kiedyby go to ziemia wybrała posłem na sejm, nuż deputatem na trybunał, a choćby tóż na komisją radomską, to to zaraz kilka miesięcy byłoby czystych jak łą; ale co innego, to jeszcze \*raz mówię że na nic. Chybaby to aż wojna jaka, wtedy to już'nie potrzebaby nic robić, ani go tóż namawiać.

Bartek tedy chodził potem chwilę, myśląc i mrużąc sobie coś często pod nosem, aż nareszcie stanął przed Pakoszem i tak rzekł do niego:

— Otóżto wszystko tak na tym świecie. Zdaleka błyska jasność, a sama wielka, ale przystąpić zblizka, nic. Jeteri człowiek jak drugi, a gdzie ciasno tam utnij szyję, nie może ci nikt. Ja myślałem że przecie coś zrobisz. Przecie do stu katów masz głowę na karku, masz spryt, masz dowcip i bity jesteś po zauł- kach warszawskich, no! ja daję pióńiadze, jeżeli tedy już głową i pióńiedzmi nic zrobić nie można, to czómże u diabła co- zrobić?



— . Jw. panie, — zaczął znów na to Pakosz, — głową i pie- i niędzmi wszystko się da zrobić na świecie, ale tu jest dziwna ko- lizja. Ale słuchaj jw. pan mnie: tu nic robić nie trzeba i zaręczam jw. panu, że kiedybyś jw. pan tylko wierzył mnie, to rok . albo i więcej codziennie się możesz widywać z panią stolnikowi- czową dobrodziejką i ani pies wiedzieć nie będzie, chociaż on siedzi w domu. Trzeba tylko troszeczkę odwagi i zaufania ku sobie

k-.— Ale co ty mnie gadasz o odwadze! — zawołał Bartek, —■ m żeby ci opowiedział, jakiój odwagi ja już dawałem dowody w życiu, toby ci włosy kolkiem stanęły. Ale tu inna rzecz; to psy są wściekłe nie ludzie.

— Ale gdzie tam jw. panie! i jedno się tylko zdaje jw. panu i drugie. Lwy, psy wściekłe , Bóg nie wie co, a przecie jeden z nich prawie dyspozytor jest u mnie na swojej własnoj wsi, a drugi trzęsie się cały na jedno słówko mdłej kobióty.

— To słuchajno, — rzekł na to Bartek z zajęciem, siadając na poręczu kanapy w pobliżu Pakosza, — to tak to jest ? Proszę cię, opowiedzno mi to dokładnie, bo ja tylko tak coś zdaleka słyszałem. Więc tak trzymasz łowczyca?

— Ale klnę się jw. panu na wszystko, — rzekł na to Pa- i kosz, — że kiedyby mnie tak wszyscy moi słudzy słuchali jak on i mnie słucha, to rajby miał w domu. Ale cóż tam słuchali! dziecko żadne u matki nie jest w takim rygorze, jak on jest u mnie.

— No proszę cię i jakżeż? on tego nie widzi, ten srogi człowiek r

.— Czasem widzi i czasem się nawet oburzy, ale ja mam ty- J siące sposobów na niego. Czego nie wymogę, to wyperswaduje, czego nie wystraszę, to wytumanię, a gdzie nie pomoże prośba, J tam groźba... i musi być.

— Cha cha cha! — zaśmiał się Bartek, — i boi się ciebie pan łowczyca ?

• — Jak ognia, jw. panie.

— A! to mi rzeczy powiadasz! no, a pan stolnikowicz? cóż tam?

— Między nami mówiąc, — jw. panie, jeszcze mnie przewyższyła w tój sztuce pani Barbara. To straszne rzeczy co się tam | dzieje. Ja sam nie myślałem nigdy, ażeby do tego przyjść mogło. I Krótko mówiąc, jw. panie, tak jest w ryzie trzymany ten rycerz, że każda najpodlejsza sługa w żernickim dworze ma więcej swo- i body niż on. Ruszyć się nie może, słowa powiedzieć nie mbże, wstać ani usiąść nie śmie bez jej rozkazu.

— Proszę cię! do tego stopnia?.. — zawołał Bartek i dodał: — A! to walna kobióta, ta moja Barbarka.

— Jaka jest tam władza i moc, — mówił dalej Pakosław, — to można uważać z tego. Bo wyobraź sobie jw. pan, panowie bracia widząc, że jakoś im już czasy dawne mijają, a z każdym

dniem gorzej koło nich, poszli do głowy po rozum i mówili się na nas. Więc ten na mnie a tamten na nią i chcieli nas, nie wiem, po wypędzać czy pozabijać.

— Pozabijać?! — zawołał Bartek.

— No nie wiem pewnie, ale coś takiego. Ale co to jest mądra kobieta! Przewąchała to i właśnie w taką chwilę, kiedy mieli swój sejmik, wpadła do nich...! J

— Wpadła? no i cóż? ♦

— Wpadła i łowczyca napędziła do domu, że już tam nogą stanąć nie śmie, a męża wzięła jeszcze lepiój ad coram.

— Cha cha cha! — śmiał się na to Bartek i mówił, — a to cały rycerz ta baba! jeno jój broń włożyć do ręki.

— Ale bo też to ludzie głupi! ach jacy głupi! — mówił Pakosz, — czyste zwierzęta, jeno siodłać i jechać gdzie człowiek chce.

— Ale przecie... przecie jest i hart w nich, — mówił Bartek.

— Prawda, coś to tam tego jest — odpowiedział Pakosz, —

ale byle tylko troszeczkę rozumu a ostrożności, to i to coś nie zda się na nic i nic łatwiejszego jak deptać po nich.

— Prawda, prawda... — mówił znów Bartek, — głupi naród i straszna dzicz.

— Otóż widzi jw. pan, że tu się niema czego tak troskać, ani też koniecznie starać się o to, ażeby pana stolnikowicza wyprawić z domu. Możecie sobiepaństwo na głowach chodzić, nic °n wam przeszkadzać nie będzie; coby zaś czy to do schadzek, °y to do relacyi pomiędzy państwem pomódz potrzeba, to ja z chęcią pomogę i zawsze jestem na rozkazy jw. pana i nigdy go nie zawiodę. A kiedy tóż, jak to przypadki po ludziach chodzą, ° tutaj przypadek to zdarzył, żeby się co wykryło przed mężem;- tedy i wtenczas się jw. pan nic nie obawiaj i tylko zawołaj Pa- kosza, a on wszystkiemu zabiegnie. Teraz bowiem nióma co o tóim mówić, bo kiedy łowczyca w domu niómasz, to sam Józef siórota ani ustby otworzyć nie śmiał, ale kiedyby i łowczyc był w domu, ° i tak nic, bo ja jemu tam wmieszać się nie dam, i choćbym go miał na łańcuchu przykuć do progu, to przykuję, a za bramę nie puszcę.

2 Ha! no! — rzekł na to Bartek, — kiedy tak mówisz, to niechże i tak będzie. Tylko proszę ciebie, koniecznie a pilnie mi °ię o to staraj,\* żeby stolnikowicz często wyjeżdżał z domu, a kiedyby tego potrzeba, o czóm wiedzieć zawsze będziesz, to już go tam gdzie duś albo rób co chcesz z nim, żeby nie zawadzał; bo chociaż ja zawsze tego czynić nie będę, żeby dom jego najeżdżał, jednakże kiedy ona zechce wyjść z domu, żeby on nie stał Jej na przeszkodzie.

— Ale już o to się jw. pan nie turbuj, wszystko to będzie dobrze, bo są ku temu sposoby, a jakbym rad w tóim memu dobrodziejowi usłużyć, to już mnie tylko wiadomo. I co jeszcze po

wiem jw. panu... przecież zdaje mi się, że jw. pan wić, że stolnikowicz niegdyś' starał się o moję siostrę.... i miłość tam była...

— A wiem, — rzekł Bartek, — bardzoby to z tego można teraz coś zrobić.;, możeby się to dało nanowo rozdmuchać..... ale nie śmiałem ci o tem wspominać, bo zawsze to delikatna ma- terya.

— „Ale cóż tam? — rzekł Pakosz, za kogóż to mnie jw. pan masz? przecież ja żyłem na świecie i rozum mam; wiem tóż

dobrze, co jest cnota prawdziwa, a co li jój pozory..... a do tego, to wcale nieszczęśliwa kobieta z tym swoim niedźwiedziem, i jeżeli która kobióta kiedy może być naprzód rozgrzeszona, to pewnie ona. Wprawdzie ja stolnikowicza nienawidzę jak diabła, i za nic w świeciebym jemu do tego nie podała ręki, ale dla jw. pana ..... obaczę ja, co tu się da zrobić; chociaż, jak mi się zdaje, nie bardzo tam będzie potrzeba dmuchać, i może dosyć oczu zamrużyć.... no, obaczmy, spuść się jw. pan na mnie.

— Tak, tak, mój Pakoszu, — rzekł tedy Bartek, — proszę cię, rób już co chcesz, byleś mi był na pomocy. A już ja z mojej strony będę pamiętał o tobie... Zresztą trzymajmy się -i my perukarze, kiedy się tak trzymają te łby golone.

— O! trzymajmy się, jw. panie! — rzekł Pakosz, — trzymajmy się, bo to nie żart, chmura to wielka tych nieprzyjaciół naszych... ale pomału, pomału damy my sobie jakoś radę i obaczmy, kto będzie na górze.

— Tak tak, mój Pakoszu, rzekł jeszcze raz Bartek, — pamiętaj o wszystkióm, zaglądam tu do mnie często, a teraz bądź zdrów, bo mam co do czynienia.

— Pozwoli też jw. pan jeszcze przypomnieć sobie, — zabrał pokornie głos Pakosza, — o tę sumkę, o której jużem jw. panu wspominał. " U jw. pana pieniądze leżą martwo, bez żadnego użytku, a ja, człek na dorobku i zapobiegający w pocie czoła na wszystkie sposoby, przeciebył sobie coś tym zarobił. A pewnoś u mnie jw. pan będzie miał jak we własnej szkatule, na każde zawołanie dam wiele potrzeba.

— Mój kochany, — mówił na to Bartek, kręcąc się niecierpliwie, — radbym tobie dopomódz... nie jestem wprawdzie bez pió- niędzy... ale nie lubię być bez pióńędzy, a ty wiele wymagasz. Zresztą nie pożyczam nigdy od nikogo i sam pożyczać nie lubię- Tu znowu prosisz i należałoby to jakoś..... ale wiesz co, co tobie po pożyczanych pióńędzach, handel się uda, albo nie uda, możesz zyskać a możesz i tracić... a tak... — -to mówiąc poszedł Bartek do szkatuły, i dobywszy ładunek dukatów, a dając go Pakoszowi, rzekł— to masz ..... rób sobie z tóim co chcesz, tylko pamiętaj o mnie.

Pakosz pióńędzy odebrał, a pomyślawszy sobie zarówno

z Grottem, że i jemu się trafia dzień taki, który wart sto dukatów, pokłonił się nisko i wyszedł.

A tak się skończył ten sejm ludzi nowych, którzy poprzywo- zili z miast wielkich i z cudzych krajów  
rozumy na to, aby barbarzyńskie obyczaje w Polsce wygładzić i dzicz staroświecką wy- kierować na ludzi.

A teraz wypada nam zasie powrócić do Julii. Dawnośmy już jej nie widzieli a porzucili jeszcze natenczas, kiedy dawne jej marzenia nanowo się ocuciły a w jój głowie, kiedy' z martwych- powstały śmiercią pozorną zamarle w jej sercu uczucia i kiedy na to wszystko zjawila się koło niej Ewa i odkrywszy jój usposobienie prawdziwe, wszelkimi sposobami poczęła starać się o to, ażeby mogła wpływ nad nią uzyskać i władzę. Niewiele wszakże ku temu potrzeba jój było zażywać sposobów. 'Tak słabe i pod tak nieszczęśliwą gwiazdą urodzone stworzenie jak Julia, tonąc ciągle w jakichś wymarzonych odmętach i w tem tonieniu ledwie nie każdego się chwyając przedmiotu, który jej się nawinął, samo się łatwo podało takiój opiekunce, która zawsze miała za pasem i współczucie, i litość, i łzy i najpiękniejsze nadzieje.

Ale tóż najczęściej same tylko nadzieje. Kobieta ta bowiem, lubo przez spryt swój i rozległe z całym otaczającym ją światem stosunki, wiele rzeczy do skutku doprowadzić była w stanie, nie wszystko jednak czyniła co mogła. W prowadzeniu swoich intryg i wszelkich czynności była ona wielce podobna Grottowi, i swoje tylko materialne czy moralne korzyści mając głównie na celu, niewiele troszczyła się o to, czyli temu, który jej za narzędzie do czegoś posłuży, za tę posługę wypłaci się rzeczą wartość realną mającą, czy tylko obietnicą dalszych jego obietnic. I w tem także jeszcze była podobną Grottowi, że w swych czynnościach wszystkich była bardzo ostrożną i raczój rezygnowała na wszelkie możliwe korzyści, niżeliby miała doprowadzić do skutku rzecz taką,

któraby mogła łatwioj się wydać a wydawszy się, niebezpieczne za sobą pociągnąć następstwa. Taka ostrożność zdała się być Grottowi niezbędnym warunkiem każdój jego intrygi, ale jeszcze niezbędniejszym warunkiem była ona dla Ewy i to bardzo słusznie, bo podczas kiedy Grott, wpadłszy w łapkę, mógłby się być z nią łatwo wywinąć, to dla niej dosyćby było jednej skargi do sądu i jakiegokolwiek podejrzenia, ażeby być spaloną na stosie. Jak zaś ta baba przezorna wierną była raz przyjętj przez siebie zasadzie, dosyć będzie nam wiedzióc to, że już Bartek i Barbarka udawali się do niej każde z swój strony, wielkimi nagrodami chcąc ją nakłonić do tego, ażeby tylko swój chatki, pomiędzy Żernicą a Balogrodem na pół drogi leżącój, pozwoliła na schadzki — a ona jednak, i najponętniejszym umiejąc się oprzóc nagrodom, do dziś dnia jeszcze tylko ich obietnicami łudziła, pomniejsze a niewiele znaczące im posługi czyniła a do tak niebezpiecznego orędownictwa się namówić nie dała.

Od tak przezornój i mądrej; lubo wiele mogącej kobióty, czegoż się mogła spodziówać, czego doświadczyć Julia? — Jakoż w tym czasie jeszcze, kiedy się w niej dopióro zaczęło odzywiać dawnój miłości uczucie, niczego ona od niej nie wymagała — a zwierzenia się jakieś niewielkie, ciche, spokojne skargi na smutek wewnętrzny i nieodgadniony, i dalekie wypytywania się o losy pana stolnikowicza były treścią całój relacji, jaką Julia miała z tą babą. Potóm poczał się sam pan Józef od czasu do czasu pokazywać w Żernicze; tym częstym wizytom przypisywała Julia taką przyczynę, jakioj jój własne serce pragnęło, a chociaż tak nie było w istocie, toż jednak ona, nie wiedząc o tóm i dosyć mając na tóm, że go przynajmniej widuje zdaleka, znowu niewiele troszczyła się o jakąś pomoc od wróżki i nawet mniej jeszcze jej szukała, niż przedtóm. Ale niebawem z woli i rozkazu kapryśnej Barbarki urwały , się te częste bywania pana stolnikowicza w swóm najbliższem sąsiedztwie i wtenczas wprawdzie Julia pograżyła się w smutek daleko głębszy, przychodziły na nią chwile piekącój tęsknoty, często nawet tak czarne, melancholijne napadało ją usposobienie, że przez dzień" cały i słowa nie umiała wymówić\* i wtenczas chcąc niechcąc musiała ona zbliżyć się znowu do Ewy, która jedyną mogła być jej powiernicą i pocieszycielką, wszakże sama nie wiedząc czego ma od niej wymagać i pragnąc więćj sposobności do wylania się ze swym smutkiem i jakiejkolwiek pociechy, niżeli naprawy swojego losu, którą w swojój skromności uważała prawie za niepodobną, poprzestawała na tóm, co jej sama Ewa podała. A że tamta Wcale nie widziała nateraz potrzeby zawiązywania jakioj głębszój intrygi i wiedziała o tóm, że aby mogła materialnie korzystać ® Julii, dosyć było dla niej nawiódnąć ją często, rozmawiać z nią i ladajako pocieszać, toż i nie czyniła nic więćj ze swojej strony. Dla Julii zaś nie wyniknęło ztąd wprawdzie nic więćj jak tylko \*o, że się przyzwyczaiła do tój niebezpiecznej kobióty, że tęskniła

za nią, kiedy jej nie widziała czas dłuższy i że nawykła ją uważać jako jedyną swoją pocieszycielkę, doradczynię i prawie opiekunkę; wszakże i w tym już było dość złego a jeszcze więcej przez to, że zawsze te fatalne z tą babą relacje onego dawniej niewinnego ale dzisiaj już występnego jej afektu dla pana Józefa nie tylko nie osłabiały, ale owszem utrzymywały go jeszcze i podnosiły.

A kiedy wzajemny pomiędzy temi obydwoma kobietami stosunek stanął na tym stopniu, zdarzyła się właśnie owa fatalna scena w żernickim dworze, w której Barbarka schwytawszy braci ślubnych na buntowniczej znowie przeciwko sobie, łowczyca bez zająknięcia się napędziła ze swego domu a nad swym mężem zapanowała jeszcze silniej i samowładniej. Że w skutek tój sceny i dalszego postępowania Barbarki pan stolnikowicz upadł jeszcze bardziej na duchu, że się uczuł najniezwyklejszym z ludzi, że się stał istnym niewolnikiem w swym własnym domu, i że nie umiał

o sobie inaczej radzić w swoim nieszczęściu, jak tylko umykając za każdą sposobnością przed żoną i rozerwania się a pociechy szukając w Żernicze, to już nam jest wiadomo — ale niewiadomo nam jeszcze, co ztąd wyniknęło.

Owóż tedy, przyjeżdżając pan Józef z swoim smutkiem do łowczy co wego dworu, najpiórwiej zawsze szukał tylko starój pani łowczynej. Była to kobieta rozumna, wiele doświadczenia mająca, nawidząca pana Józefa prawie jak własne swe dziecko, niemało tedy mógł on znaleźć w jój rozmowach nauki, niemało rozrywki, a ztąd też i ile tyle pociechy. Nie zwierzał on się jój wprawdzie zupełnie ze swego smutnego położenia, nie skarżył się na żonę, nie opowiadał jej kaprysów, złości i innych przymiotów, ale przecie zawsze przedmiotem tych rozmów nie było nic innego, jak pożycie małżeńskie, cnoty i przywary kobiet i mężczyzn, i owo wszystko to, co do tego należy. Do tych pogadank z początku rzadko, a potem coraz częściej przysiadła się Julia, — i było tak, że ta sąsiedzka pogadanka, codziennie iedną i tę samą materyą traktująca, odbywała się zawsze we troje, przy której Julia, będąc w przytomności stolnikowicza o wiele weselszą i\* rozmowniej- szą, nietylko brała udział czynny, ale często nawet bardzo wiele mówiła.

Jak się zawiązują bliższe pomiędzy ludźmi sympaty, jak się rodzi miłość nowa, jak się odżywiają zapomniane uczucia i jak się ztąd formują pozwolone i niepozwolone romanse, o tem wieleby mówić i pisać: bo miliony już było romansów na świecie a chociaż mniój więcej wszystkie się jednakowo skończyły, jednak i dwóch podobno jeszcze nie było takich, któreby się jednakowo zaczęły. Ludzie, opowiadania takich wypadków zawsze ciekawi, daleko większą zwyczajnie przywiązują wagę do ich końca, niżeli do ich początków, — w gruncie rzeczy tyle tu jest wart koniec ile początek, — ale jeżeli kto chce dać sąd swój o ludziach, grających rolę w tym codziennym dramacie ludzkiego życia, a z całego wy

padku jakąś wydobyć naukę, dlatego pierwsze zawiązki równie być mają ciekawe, jak rozwiązanie. Dziwne-bo też czasem bywają te źródła, w których się rodzą sympaty, — na dziwnój też drodze zesłi się napowrót ze sobą i ci państwo oboje.

Owóż tedy tak było, że się ciągle toczyły one o żonach i mężach rozmowy. Stolnikowicz zawsze wprawdzie sam wszczywał tę kwestyą, ale zdania swego nigdy nie dawał; ale pani łowczy na za to, jako zawsze w swóm życiu, tak i teraz nie wahała się wcale otwarcie wypowiadać to co myślała. Jakie zaś zdanie ta stara pani mieć mogła w tym względzie, domyślc się łatwo możemy z jój życia. Ona kochała swojego męża nad życie, widziała w nim nawet coś wyższego nad innych ludzi i wcale niepospolitego człowieka, przeżyła w surowój wierności i cnocie cały ten przeciąg czasu, jaki jój Pan Bóg do tego przeznaczył, — pomimo to wszakże nie była z nim wiele szczęśliwą. Mąż dla niój zawsze był więcój panem niż mężem, zawsze go więcej znała po jego rozkazach, niż po pieszczotach, a w zarządzie domowym znała go prawie tyranem. Wiele tóż swoich westchnień, wiele smutków i łez nawet miała ona dotychczas w pamięci, a zapomniawszy prędko to dobre, którego było niewiele, z onych czasów, tylko swoją pamiętała niewolę. Z tego jednego wnioskując na wszystkich, niebardzo pochlebne miała ona wyobrażenie .0 mężach, i wcale się z tóm nie tała. Zrazu wprawdzie przy onych rozmowach wyrażała się ona bardzo oględnie, ale później, kiedy i wyrozumiła swoich słuchaczów, i z nimi się oswoiła, coraz otwarciej występy wała przeciwko despotycznym potomkom Adama, a kiedy miała humor po temu, to i przez cały czas posiedzenia nikogo nie przypuściła do słowa, wała skały i ciskając pioruny na tych, którzy na równóm prawie z kobietami osadzeni od Boga, zbuntowali się przeciw nim, i przywłaszczyli sobie nieograniczoną władzę nad niemi.

Tego samego zdania może była i Julia, ale podczas kiedy 1 pani łowczyzna, ani przypuszczając tego nawet, ażeby gdziekolwiek żona mogła mieć górę nad mężem, nie wiedziała, jak boleśnie nieraz razila zakrwawione serce stolnikowicza; tamta, po części znając, po części domyśliwając się jakie jest jego położenie, umiała czytać w jego twarzy wszystkie jego uczucia i bolała z nim razem, i niczego tak nie pragnęła, jak żeby jego mogła pocieszyć. W tym celu tedy zawsze, ile razy tylko przyjść mogła do słowa, brała je, i żarliwie stając w obronie mężczyzn, ile mogła, najwięcój złego przypisywała kobietom.

Stolnikowicz, nie szukający wcale w Zerniczce ani głębokich teoryj o usposobieniach mężczyzn i kobiet ani niewzruszonej prawdy, któren z tych rodzajów jest gorszy a któren lepszy, znając zresztą od swojój żony wszystko to aż nadto dobrze, co zwykły kobiety zarzucać swym mężom, oczświście z coraz większą niechęcią słuchał piorunujących kazań starój łowczynój, a z coraz Większóm zajęciem i upodobaniem przysłuchiwał się Julii. Przyszło



tóż niebawem do tego, że pan Józef całkiem już począł nie słuchać tamtych niemiłych mu rozmów i nawet ich wcale unikać, a nakoniec przyprowadził do tego, że przyjechawszy do Żerniczki, tęskniami oczyma szukał li Julii, i jeżeli się tak stać mogło, żeby mógł się z -starą łowczyną zgoda całkiem nie widzieć, to się też z nią nie widział.

Do takiego zwrotu wizyt stolnikowicza silnie ze swojej strony dopomagała Julia, a dowiedziawszy się raz już na pewno, czóm go najbardziej nęciła do siebie i utrzymywała przy sobie, nie zanieczywała z jaknajrzewniejszóm politowaniem zawsze rozprawać o tych mężach, którzy za wonne wieńce swoich najtkliwszych miłości odbiorają li głogi i ciernie, którzy godni tego, ażeby im usługiwały anioły, skazani zostali na pożycie z szatanami — bo wcielonym szatanem, samym diabłem jest niedobra i nieposłuszna kobieta! — mówiła z zapalem Julia. Bardzo tedy słodziutkie oczy robiąc i ciężkie z piersi dobywając westchnienia, słuchał stolnikowicz tych natchnionych oracyj i ile możności coraz częściej starał przysposabiać te chwile, w których mógł być sam na sam z Julią—a że mu przytem najszcześliwsze towarzyszyły okoliczności, bo pani łowczyzna, gospodarstwem swojóm zajęta, ani się kiedykolwiek o synową spytała. Pakosz, wierny swojemu przyrzeczeniu, jeszcze umyślnie tak rzeczy kierował, ażeby stolnikowicz przyjechawszy do Żerniczki jak można najdłużój tam bawił, łowczyca zaś ciągle nie było w domu — tedy aż nadto mieli ci państwo chwil takich samotnych, których świadomie-li lub nieświadomie, jednak szczerze oboje pragnęli.

Wszakże niebawem wyczerpały się one sentymentalne ogólniki o złych żonach i nieszczęśliwych mężach, któremi Julia przywiązała do siebie swego dawnego kochanka, a podczas kiedy w nich obojgu na miejsce wzajemnej sympatyj, wynikającej z jednakowości ich położenia i nieszczęśliwości małżeńskiego pożycia, poczęły się rodzić jakieś głębsze sympatyje, zmieniał się pomału także i przedmiot rozmowy. Najpiórwej tedy ogólniki zastąpione zostały opowiadaniem szczegółów. Więc spowiadał się z wolna z swych zawodów i cierpień stolnikowicz przed Julią, spowiadała się ze swych bądź rzeczywistych bądź urojonych smutków Julia- przed stolnikowiczem. Nastąpiły potem wzajemne żale i politowania nad sobą, nastąpiły skargi na losy i ludzi, aż nakoniec i ono główne wyznanie, którem Julia przyznała się stolnikowiczowi, że nigdy nie kochała swojego męża, a stolnikowicz znowu że już nie kocha swój żony. I na tym punkcie zatrzymały się one żarliwe pomiędzy nimi rozmowy, w których jedno drugiemu wpadało w mowę, wrywało z ust słowa, albo z najgorętszóm zajęciem p° kilka odrazu zadawało pytań — zatrzymały się i urwały a następne już posiedzenia były tylko milczące i wzdychające.

Pomimo to wszakże stolnikowicz z równą zawsze pilnością przybiegał do Żerniczki, niecierpliwie się starał o to, aby jaknaj-

prędzej sam na sam mógł zostać z Julią a kiedy usiadł przy niej lub opodal, nieraz całe popołudnie tak przesiedział i czasem aż

0 dobrym zmroku powracał — a lubo w nim całym nie mała przez ten czas musiała zajść zmiana, jednak widać ją było tylko wtem, że był często jakiś pomieszany, jakiś niby strwożony i o swoich domowych nieszczęściach tak całe zapomniał, że już o nich przed Julią ani wspominał.

Co się dotychczas stało z Julią, każdy łatwo odgadnie —

1 ażeby całe przeistoczenie się jój duszy i serca w dwóch zamknąć słowach, powiemy: że Julia, która dotychczas za mieszkanie miłości naznaczała niebo, poznała i uczuła, że uczucie to może także mieszkać na ziemi.

A kiedy tak te nigdy naprzd nie umawiane schadzki szły swoim torem i coraz więcej zajmującemi się stając dla stron obu- dwóch, przyszły nakoniec do takiego porządku, że już ani dnia nie chybiały, ani nawet godziny — kiedy to widząc prawie na własne oczy, zaciórał ręce z radości Pakosz i chwalił się swoim sprytem przed Bartkiem, a Barbarka znowu patrząc na wykradającego się z domu męża, śmiała się z niego litosnym głosem a w duszy nim pogardzała — cieszył się tam pod ziemią gdzieś szatan, że za staraniem jego ziemskich współników, tak szybkim krokiem w jego paszczę piekielną pędzą dwie dusze, niedawno jeszcze tak czyste i niewinne.

Ale nie zawsze te wilkowi się dostaje ta owca, która najdalej od trzody odbiegnie, nie zawsze ten człowiek upada, któremu potknąć się zdarzy, nie zawsze ten ginie od dzikich bestyi lub głodu, który się w manowcach zabłąka, — a w tóim ziemskim życiu w kim cnota nie jest tylko przyborem lub względem, jeno rdzeńią duszy i serca, nie gwiazdą migającą zdaleka lecz słońcem, około którego się obracają wszystkie dnie i godziny tego żywota: ten jest pewny swych kroków, choć zabłądzi, i jeżeli tylko oczów swoich nie zamknie przed onem światłem, które mu zawsze wczas jeszcze zaświeci, to nie połknie go ani zwierz dziki, ani głód go nie zmoże, a przez grunt bagnisty i grzęski przejdzie tak suchą nogą, jakby był szedł po kobiercach. Takie też słońce świeciło i stolnikowi- czowi a jego stróż anioł lubo go już widział tonącego w rozkołysanych falach występku, stał jeszcze ciągle przy nim i nie tracił nadziei.

Jakoż dnia jednego, kiedy już tak było, że Julia prawie

<sup>2</sup> otwartemi ramiony witała swojego sąsiada, a ten się zawsze stawiał tak punktualnie, że godziny nie chybiał, długo go jakoś nie było. Julia siedziała przy oknie, i trzymając robotę w ręku, ciągle w bramę patrzyła. Dzień był dżdżysty, jesienny, lecz cichy, liść tylko czasem z drzew spadając na ziemię, szeleścił w ogrodzie lub na dziedzińcu. Za każdym takim szelestem Julia coraz mocniej się wpatrywała w bramę i aż przez okno się wychylała, a niecierpliwość jój rosła tem bardziej, ile że pani łowczyni, dnia tego

rozdawaniem przędzy zajęta, zabrała się do tój roboty na cały długi wieczór, i wiele chwil spokojnych miała Julia przed sobą. Pakosz tylko jeszcze się tam i sam kręcił pomiędzy stajnie i obory, oglądając porządek domowy i wydając rozkazy, jakby na swojóm obejściu. Ale i Pakosz nakoniec przystąpił do okna, dobranoc siostrze powiedział, i odjechał, — a sąsiada jeszcze nie było.

Przecież nakoniec prawie o samym zmroku błysnął koń biały w bramie. Jednym rzutem oka poznała go Julia, chociaż dotychczas może ani wiedziała o tem, że stolnikowicz miał turka białego krwi czystój, któren był jego najwierniejszym towarzyszem i przyjacielem. Po małej chwilce wszedł stolnikowicz i prawie serdecznie nie powitał Julię, tłumaczył się nawet, dlaczego dzisiaj się spóźnił cokolwiek. Niemniej serdecznie witała i jego Julia, ale to tłumaczenie tak ją schwyciło za serce i tak rozrzewniło, że aż jej łzy w oczach stanęły; patrzyła na stolnikowicza jak na swego anioła wybawiciela, i była już na cały wieczór jak on kwiat letni, który się otwiera do słońca. To usposobienie jój udzieliło się i mężowi Barbarki. I był on jakiś senny tego wieczora i rozmarzony, i drżał na całym ciele, i serce mu biło gwałtownie. I tak usiadł przy Julii na kanapie stojącej w głębi komnaty, i była cisza koło nich jak w grobie, kaganiec tylko, stojący w rogu na marmurowej kolumnie, błyskał światłem niepewnym i zdawał się konać.

Wszakże nikt z nich obojga nie szedł światła poprawić i siedzieli oboje tak blisko przy sobie, patrząc na siebie i milcząc- Potóm on zaczął opowiadać o swoich nieszczęściach i mówił długo półgłosem, ile cierpień już przeszedł, ile smutków i bólów, jak na los taki nie zasłużył swóm życiem, jak go to wszystko męczy\* upokarza, zabija, jak nakoniec mógłby a nie jest szczęśliwy. To wszystka za nim powtarzała Julia innemi słowy, chwytając jego myśli i jego uczucia i oddawała je tonem rzewnym i smutnym, i jemu tak odpowiednim, że zdawała się być lutnią wtórującą głosowi rozrzewnionego śpiówaka. Nareszcie tony ucichły, czasem tylko jeszcze odezwała się Julia i umilkła, jak echo, które płynąc po rosie, ginie gdzieś w dalekich i rozległych dolinach. I była cisza A śród tój ciszy jój rączka malutka wsunęła się w jego dłoń mężką i twardą, a natomiast jego głowa nachyliła się ku jój twarzy... już on się dotknął jej szklących warkoczów, już czuł na swojój twarzy jój oddech gorący, westchnieniami wybiegający z jej ust w pół otwartych, już się jego usta nachyliły ku jój ustom-- a wtóm stolnikowicz zerwał się jak oparzony, uderzył się dłonią w czoło i stanął jak posąg na środku komnaty.

Julia nie wiedziała coby to miało znaczyć... a widząc, że nikt obcy nie wszedł do tój komnaty i cisza była jak przedtem, — w jednym mgnieniu oka przeczuła całą wielkość tej chwili, i okropna, piekielna boleść wymalowała się na jój nagle wybladłej twarzy. Ale grozę tę i boleść, która jak piorun uderzyła nagle w jój duszę, opanowała jeszcze w tój chwili miłość i rozpaczliwa energia?

jakoż zerwała się Julia równie prędko z kanapy, i z wyciągnięte™i ku swemu kochankowi rękami, chciała mu się rzucić na szyję i gwałtem go zatrzymać, albo paść mu do nóg i błagać litości. Wszakże ruch ten tylko go z jego odrętwienia ocucił; — jakoż wzniósłszy dłoń prawą przeciwko Julii, jak gdyby ją chciał odepchnąć od siebie, nabiegł krwią cały i konwulsyjnym głosem zawołał: — Sodoma!

Poczóm rzucił się do drzwi i jak szalony wybiegł w dziedziniec, — a do jego uszu dobiegł jeszcze jęk głośny Julii i łoskot z wnętrza komnaty, tak jak gdyby tam kto się z nóg zwałił na ziemię.

Ale na to wszystko nie zważał nic stolnikowicz, jeno dopadłszy czemprędzej konia, puścił się cwałem do domu. I straszna to była ta" podróż jego, jakiej jeszcze nie odprawiał na życiu: koń bowiem jego, wyciągnawszy się jak struna, pędził jak wichur stepowy przez ciemność nocy i mgłę jesienną i bez pamięci sadził przez wszystkie potoki i mostki, pod nim trzęsła się i jęczała ziemia, łamały się chrósty, rozbryzgiwała woda, odskakiwały jakby ręką ludzką ciskane kamienie, — na nim bez czapki na głowie siedział jeździec, z twarzą przedłużoną i oczyma zaokrąglonemi od strachu, z prawicą podniesioną do góry, jak gdyby nią się zasłaniał od złych duchów, sięgających drapieżną ręką po niewielką czuprynę, zjeżoną i stojącą jak las na środku ogolonej głowy, — i zdawało się jemu, że ziemia pod nim pęka i z tych rozpadlin wybuchają smolne dymy i siarczyste płomienie, że nad nim niebo poczerniało jak węgiel, że się to niebo spuszcza i upada na jego głowę, że z nim i za nim pędzi grzóch jego w milionowe rozro- dzony postaci smoków i węzów skrzydlatych, że przed nim otwarta stoi paszcza piekielna, przy której bramie z otwartymi rękami czekają na niego wstyd i hańba wieczysta, wybladła zbrodnia z roz- czochranymi włosami, rozpacz z obłąkanymi oczyma, rozpusta z za- ślinionymi ustami, zdrada i przyniewierstwo, oboje splecione z sobą jako węże olbrzymie i wijące się pod razami ćwiczącej ich opinii publicznej; — za nim gdzieś w dali, na pagórku oświetlonym promieniami konającego słońca, przy krzyżu, godle wiary, podruzgo- tanym jego własną ręką w kawałki, stał brat jego ślubny i Barbarka, oboje milcząc i żegnając go oczyma pełnymi żalu i pogardy — na wieki.

Tak przypędził stolnikowicz do bramy swojego dworu. Noc była, i mgła chłodna, gęsta, leżała na ziemi, ale w nim wszystkie nerwy drżały jak struny harfy eolskiej na wichrze i lice płomieniami gorzało od przerażenia i wstydu. Przy bramie zlął on z konia i już nie wołał na ludzi, jeno sam wszedł do stajni i cichym szeptem zawołał: Jacenty!

Jacenty był to stary, szpakowaty masztalerz, który się wychował na dworze nieboszczyka stolnika a małego panicza niegdy Ukradkiem prowadził w pole i pozwalał dosiadać podjezdków.

Wybiegł tedy Jacenty ku niemu i widząc go spieszonego i konia wiodącego za sobą, myślał że się panu jakie wydarzyło nieszczęście i rzekł przestraszony:

\_ — W imię Ojca i Syna! a cóż jegomości?

• — Cicho! — rzekł na to pan Józef — śpi tu kto w stajni?

— Nie panie — odpowiedział masztalerz — wszystka czeladź śpi w drugiej.

— Słuchaj Jacenty, przy kulbacie na koniu wisi tam bizun boćkowski na kuli, zdejm -go zaraz i pal mnie sto batogów.

Jacenty odskoczył od niego jak oparzony i przeżegnał się- w kącie, ale pan. przystąpił do niego i rzekł:

Słuchaj... nie dziw się i nie ociągaj się... zasłużyłem sobie na ciężki gniew Boży i zgubiłem duszę moją... to jedno mnie może wybawić... jeżeli tedy Pana Boga kochasz i pragniesz, ażeby twój pan nie był rzucony na dno piekiel na wieki wieków, bierz bizun i bij.

Jacenty jeszcze się wyprasał, ale pan, nie folgując nic, zaklął go jeszcze raz i rzucił się twarzą na ziemię. Zdjął tedy stary sługa nahajkę z kuli i począł liczyć. I żał mu się pana zrobiło i lzy mu się z oczu puściły i ofiarował się karę tę przyjmując za pana na siebie, ale pan tej ofiary nie przyjął. Szlochał tedy Jacenty jak dziecko, lecz bił i liczył głosem płaczącym bizuny. A kiedy ich już naliczył sto, wstał stolnikowicz ze ziemi i powiedziawszy słudze: — Pomódl się jeszcze za mnie, mój Jacenty, będę ci to pamiętał; — zostawił go zapłakanego w stajni a sam się powlókł do dworu.

| We dworze ciemno już było we wszystkich oknach, tylko jeszcze w sypialni Barbarki słaby płonął kaganiec. Stolnikowicz spojrział w to światło i wstrząsł się, bo mu znowu stanęła przed oczyma jego złość i przeniwierstwo; mówił sobie: — Dobrze się ze mną obchodzi żona moja, dobrze i sprawiedliwie. Jestem Judasz, krzywoprzysięzca i zdrajca, nie godzienem lepszego obejścia. Panie! zmiłuj się nademną.

A kiedy tak sobie mówiąc, dochodził do ganku pan Józef, nagle mignęło coś przed nim i zdawało się jemu, że ktoś wybiegł z pokojów na ganek a z ganku rzucił się ku ogrodowi. Inną razą byłby on na to całe nie zwracał uwagi, ale teraz, czy to dlatego, że już późna noc była, czy że był moralnie i fizycznie zirytowany, jakoś go to uderzyło; rzucił się więc za tym cieniem, wołając: Kto tam? — Ale cień umykał przed nim zrazu, okrążając po prawej stronie gazonu dziedziniec i zmiierzając ku bramie, wszakże za drugim zawołaniem stanął i pochyliwszy się ku ziemi, rzekł półgłosem:

— A!^ to sam wielmożny pan?

Stolnikowicz przystąpił bliżej i poznał Ewę z balogrodzkiej granicy, owinioną w jakąś płachtę szarą, szeroką i drżącą od strachu, jak złodziej pojmany na gorącym uczynku. Tej baby z dawna

nienawidził pan Józef i nieraz zbierał się z domu ją swego napędzić, ale teraz złość go porwała tem większa, a że po odebraniu stu bizunów nikt nie ma usposobień anielskich i niczego goręcej nie pragnie, jak z tych bizunów choć kilka komukolwiek powrócić, więc schwycił ją zaraz za ramię, pytając ostro:

— Czego tu krążysz, piekielnico, koło mojego domu? co tu robisz tak późno w noc?

Na takie przywitanie Ewa skostniała od strachu i słowa nie mogła wymówić; wszakże za drugim zapytaniem przyszła do przytomności, ale cóż pomoże przytomność i najbystrzejszy dowcip, kiedy się jest złowionym na gorącym uczynku? Sława jój aż nadto znana, noc zanadto późna, aby się jakąś jawną sprawą Wymówić, a nawet zdawało jej się na razie, że i tego się wyprzeć nie mogła, że wracała z pokojów pani. Jednakże przyszło jój zaraz na myśl, że gdyby się tego ostatniego wyparła, to jeszcze byłaby dla niej wymówka i znalazłby się ratunek. Jakoż w braku innych schwyciła się tego ratunku i pokłoniwszy się panu po raz wtóry, rzekła tajemniczo:

— Ja tu właśnie jegomości szukała.

— Mnieś szukała! — zawołał stolnikowicz — czegoż ty chcesz odemnie?

— Chciałam się widzioc z jegomością.

— Zemną? po nocy? czegoż' chcesz ?

— Ej! bo jegomość się gniewa,—mówiła mitygując go Ewa—<sup>a</sup> J<sup>a</sup> jegomości dobrą przynoszę wiadomość i ręczę, że jak powiem, to mnie jegomość jeszcze udaruje.

— Ja ciebie? no, gadaj.

— Otóż gadała zemną pani łowczycowa z Żerniczki i mówiła mnie...

— Co mówiła? — zawołał krwią nabiegając pan Józef...

— Mówiła, że tak jegomości miłuje...

Dalój już jój nie dał mówić pan Józef jeno w twarz uderzywszy tę starą grzósźnicę krzyknął:

— Precz! ty diable przekłety! precz z mego domu i nie pokazuj mi się na oczy, bo cię różgami każę osiec i psami wyszczuję!

Po takim udarowaniu Ewa odskoczyła, jak dziki zwierz ranny, i czasu nie tracąc, co mogła wyskoczyć, uciekała z dziedzińca. Ale Widząc, że nikt ją nife goni, za bramą się zatrzymała i zamtąd przez noc ciemną patrząc na dwór, który białością przez zmrok przeglądał, przez długą chwilę ł ważyła w sobie złość i zemstę, i wszystko diabelstwo, które się w niój znajdowało. A kiedy w niej zakipiało to wszystko, ścisnęła pięście obiedwie, i grożąc niemi ku oknu stolnikowicza sypialni, tak zawołała:

— Czekaj ty czarnowąsy paniczu! poczujesz ty na sobie moc czarownicy! Poczujesz ty, co może ta diablina, którą ty bijesz po Pyskach! Nie mieli się niebożęta gdzie schodzić ze sobą, poczekaj, 3<sup>@</sup>st chata na balogrodzkiej granicy, ta im stanie otwarta! Akie-

dyby jój nie starczyło, w twoim własnym domu zchodź się będą, na twoim łóżku spad będą, a ty będziesz siedział i patrzył na to j i z miejsca się nie ruszysz, tak cię mól diabeł spoi i zawróci! Po- I czekaj, ty dziecko szczęśliwe! Nie znasz ognia, nie znasz powodzi, ] grady mijają twe pola, pioruny uciekają od twego obejścia, zło- I dzieje kradną twoich sąsiadów, ludzie ciebie kochają, przyjacielem I masz pana łowczyca! czekaj no, czekaj! Ewa na to wszystko po- I może!..«

I ten głos straszliwy, jak wołanie puszczyka po nocy, długo j się jeszcze po dziedzińcu rozchodził i odbijał się o przeciwległą } dębinę i biegł działami aż do balogrodzkiego zamku, budzić Bartka" ] i dawać mu znać, że mu sam mąż nowego sprzymierzeńca napę- ] dził... ale stolnikowicz już tego wszystkiego nie słyszał. On, zbo- 1 lały na duszy i na ciele, przygnieciony swoim własnym sumie- I niem, zakradł się cicho do swojej sypialni i po ciemku spać się i ułożył. Ale sen jakoś, mu nie był posłuszny i nie przychodził, I a zamiast niego, przywlekały się jedna za drugą mary coraz stra-1 szniejsze i obrzydliwsze, coraz okropniejsze widziadła, które mu siadały na głowie i mózg mu paliły, usiadły na piersiach i serce I mu rwały, wnikały w duszę i targały ją sobą, jakby ognistymi I kleszczami; że oka nie zmrúżywszy, najokropniej jednak prześnił ' noc całą.

Drugiego dnia wstał i był blady i mizerny, jak gdyby ciężką I jaką odbył chorobę; jakoż myśląc tylko nad sobą, nie wychodził i ze swego pokoju. A myślał ciężko i boleśnie, bo miał się przecie | wypowiedać przed sobą z wielu miesięcy, a może i lat nawet, j miał policzyć, co przez ten czas został winien ludziom, co Bogu, miał zbadać siebie do wnętrza, ażeby wiedział, może-li jeszcze I śmiało popatrzeć w oczy swojemu bratu i żonie, czy ma już zgoła mieć siebie za zginionego i za najostatniejsze stworzenie Boże na tej piękniejsj i błogosławionej ziemi, którą on jednak znał tylko po łzach i nieszczęściach? ^ Taki ścisły rachunek ze sobą przedsięwziął pan stolnikowicz, bo tak surowa cncta i taka skromność była w tym człowieku.

A jak nic dobrego ni złego, tak i tego rachunku nie dopuściła mu dokończyć Barbarka. Zaraz bowiem zrana zawiadomiona od Ewy o jój nocnym zdarzeniu na wychodzie z żernickiego dworu, a rozumiejąca, że taki jej męża postępek riloże być tylko początkiem dalszych i daleko surowszych, wpadła ona do niego, ażeby od siebie zażądać rachunku. A wpadłszy, zaczęła zaraz w ten sens:-

— Słuchaj no, panie mężu, jakoś sobie poczył z Ewą minionej nocy?

Poczyłem tak, — odpowiedział zrazu surowo mąż, — jak ' sobie z taką babą poczynać należy.

Na to Barbarka spojrziała badawczo na niego, bo zawsze miała ten zwyczaj, że nim kłótnię rozpoczynała, starała się prze

konać, jakie jest usposobienie jej męża, albo raczój, zbita z dawnego toru przez Bartka i Grotta, nie dowierzała już sobie tak bardzo i pod mężowską pokorą, chcąc niechcąc, dopatrywała złości i gwałtowności, która lada chwila mogła wybuchnąć i ją obalić; jednakże teraz nabrała otuchy i odpowiedziała na to:

— Mój kochany, wypraszałam sobie to już tyle razy, ażebyś nic nie poczynał bez mojej wiedzy; czyż ci po sto razy trzeba rzecz jedną powtarzać? — Na to zaś mąż:

— Moja kochana! jeżeli ja w moim domu zrobię co z moją wiedzą, to dosyć.

— W twoim domu! — zawołała Barbarka, — w twoim domu! no, proszę! tedy już widzę nanowo się zabierasz do gospodarstwa!

— Czy się zabióram, czy nie zabióram, to jedno, ale krótko mówiąc, tego nie zniosę, żeby się tu po domu czarownice włóczyły po nocy, tego nie chcę, nie potrzebuję i koniec.

- — Czarownice! a któż to jest ta czarownica? — zapytała Barbarka, — może ta Ewa, która się mojemu domowi wysługuje wszelkiemi siłami, która mi służy stręczycy, lekarstwa daje dla bydła, czasem jaką nowinę przyniesie, i koniec końców, z łaski mego męża i pana, jedynym jest gościem moim i towarzyszką jedyną?

, — Towarzyszką?! — zawołał stolnikowicz, — ha! piękne sobie jejmość towarzystwa dobierasz! nie ma co mówić.

— A! to -z twoją łaski, mój panie mężu!—odpowiedziała Barbarka, — bo od kogóż to zależy z kim ma żona przestawać, jeżeli nie od męża? do kogo ją mąż zawiezie, u tego ona bywa, kogo jej w dom zaprosi, ten u nióży bywa.

— Moja kochana! — rzekł na to, trzymając się jeszcze jako tako pan Józef — nie wmawiajże we mnie rzeczy takich, których ja zgoła winien nie jestem; bo ani ja ci bronię gdziekolwiek bywać, ani też staję na przeszkodzie, ażeby kto bywał u ciebie; a jeżeli ani ty u nikogo, ani nikt u nas nie bywa, to tylko twoja taka jest wola, której ja się nie przeciwuję. Zresztą, wiósz sama... ja już niczemu się nie przeciwuję; dajże mi pokój. Ale temu, żeby tu Ewa bywała, sprzeciwiam się i na to nigdy nie zezwolę.

— Nie zezwolisz! — powtórzyła szyderczo Barbarka, — to ty mnie na to nie zezwolisz, żeby mój próg przestąpiła prosta niewinna kobióta, a tobie to wszystko wolno! Tobie wolno codziennie na całe pół dnia z domu wyjeżdżać, tobie wolno o północy do domu powracać?

— Wolno — mruknął przed siebie, ale już mieszający się Józef.

. — Wolno! — powtórzyła z ironią Barbarka i przystąpiwszy do niego, siedzącego przy stole, położyła rękę na jego ramieniu, a popatrzwszy mu w oczy, spytała dobitnie:—A gdzieżeś-to wczoraj był, mój kochanku, żeś aż po północy powrócił i jak złodziej się wkradł do twego własnego domu?...



Na to zapytanie Józef zdrzał cały i zmieszał się tak, że tylko kilka słów niewyraźnych mógł wybełkotać. Barbarka nic nie wiedziała o jego scenie wczorajszej, a nawet o całym jego stosunku do Julii, bo tylko jakieś niewyraźne miała od Bartka relacje, ale widząc go tem zapytaniem tak zmieszanego, umiała korzystać i zapytała zaraz dalej:

— To ty myślisz, że ja nic nie wiem o twoich sprawkach? myślisz że zamknięta w Żernicy, jak w klasztorze, nie mogę już nawet wiedzieć i o tem, o czórni i wróble na dachach śpiewają? że mnie nie dochodzi ta fama stugębna, która o tobie z ust do ust przechodzi o całą szlachcie?

I tak na ten tor wpadłszy, lubo sama nie wiedziała za co, jednak takie kazanie powiedziała mężowi Barbarka, jakiego od niej jeszcze nie słyszała. Poczem wytuzowawszy go jeszcze dobrze i zapowiedziawszy, że to wszystko co się dotąd działo z jej strony jeszcze jest niczóm przeciwko temu co się dzieć będzie, trzasnęła drzwiami za sobą tak mocno, że aż się okna zatrzęsły i wyszła. Ale nie dosyć na tem, wyszedłszy bowiem, kazała sobie zaraz konia podać i wyjechała gdzieś z domu.

Pan Józef słuchał tego całego kazania z taką pokorą i potulnością, jak pobożny katolik słucha nauki księdza przy konfesyo- nale; w pomieszeniu swoim i wstydzie nie uważał on wcale na to, że Barbarka nie powiedziała jemu wyraźnie, co właściwie za sprawki jego są jej, wszystkiej szlachcie i wróblom na dachach wiadome, ale że tylko jedna sprawka ciążyła na jego sumieniu, więc był pewny jak Boga na niebie, że ta jej była wiadoma — i nietylko że nic na to nie odpowiedział, ale nawet nieraz w duchu bił się ze skruchą w piersi, mówiąc: moja jest wina, moja największa wina! a w jedyn chwili był już tak rozrzuwiony, że się chciał żonie rzucić do nóg, przyznać się do wszystkiego, opowiedzieć jak się rzecz miała w istocie i o przebaczenie prosić. Ale po wyjściu żony, kiedy trochę swobodniej odetchnął ten nieszczęśliwy małżonek i zrekapitulował sobie wszystko co słyszał, nic jednak tak głęboko nieuwiązgnęło w jego pamięci jak to, że wszystko to o nim wió cała szlachta w okół i nawet aż wróble na dachach.

I jeżeli wczoraj i dzisiaj srodze był poniżony u siebie tym swoim błędem, z którego jeszcze dosyć zawczasu się otrząsł, i jeżeli nie miał jeszcze dosyć odwagi i dosyć czystego wzroku, aby to widzióć że nietylko w błąd nie wpadł całkiem, ale nawet dosyć heroicznie go przewyciężył, to tą wiadomością był jeszcze głębić dotknięty, przerażony i prawie całkiem powalony o ziemię w rozpacz. A rozpacz ta jego i zwątpienie o sobie opanowały go tómi wielowładniami i pozostawiały mu jeszcze o tyle mniej dobrej nadziei, ile że w tej nowój trwodze o najwyższe dobro, to jest o dobrą sławę, nie- mógł się nawet spodziówać przyjść kiedykolwiek do pewnej wiadomości o istocie tój rzeczy, a w tem nowem nie

szczęściu pozbawiony był nawet pomocy i pociechy od swego brata, którego wzroku teraz prawie się obawiał, ile wzroku swój żony. Tymczasem jeżeli Barbarka, na domysł tylko mówiąc

<sup>0</sup> złych sprawkach swojego męża, tymczasem oko w oko zdybała się z prawdą, to niemniej także, przepowiadając okoliczne plotki pomiędzy szlachtą o panu Józefie, trafiała na rzecz taką, która istniała w rzeczy. Ale jak ta domysłna pani tam zapewne domyśliła się więcej, niżeli można było mężowi .zarzucić, tak tutaj znowu wspomniała ona zaledwie tylko częśćkę tego, co już głośno

1 publicznie krążyło po wszystkich ustach.

A jakie to były te plotki i ile ich było, możemy się snadnie przekonać, jeżeli na chwilę wstąpimy do łaśesowej winiarni. Jest to punkt zawsze, w którym kto wymierzy we wtorek, trafi pewno na całe gremium szlachty i na te wszystkie nowiny, które krążą Po ziemi sanockiej.

Jakoż i dzisiaj siedzi tam szlachta za wielkim i za małemi stołami, i gwarzy sobie przy winie to o tem, to o owem, co Pan Bóg zdarzy. Wlecze się tedy najpierw długa i okrutnie mądra dysputa o redukcji monety, która raz po raz po trzykroć publikowaną -została w Warszawie, a podczas kiedy takić i owakie

0 tem wynurzają się zdania, wszyscy nakoniec zgadzają się na to, że pomimo strat chwilowych dla pojedynczych, powinny jednak na przyszłość wyniknąć ztąd dla całej Rzeczypospolitej korzyści.

Potem wprowadza pan Truskolaski, sędzia ziemski sanocki, rzecz o komisji rossyjskiej w Toruniu, którą jejmość imperatorowa kazała wysadzić na to, ażeby szlachcie polskiej polikwidowane

1 wynagrodzone zostały szkody, które z przechodu jej wojsk poniosła. Opowiada tedy pan sędzia, jako ta komisya jeszcze w roku przeszłym zasiadła i do dziś dnia jeszcze agituje, jako w niej zasiada imć pan Puczków, pułkownik rossyjski, i imć pan Wyhowski, starosta czerwonogrodzki, pułkownik husarski, jako tam różne zachodzą trudności i jakim obyczajem się odprawia ta funkcyja.

Mowa jest dalej o sejmie tegorocznym warszawskim. Sejm to był już ostatni pod panowaniem Augusta IIIgo. Zeszedł on się pod starą laską marszałka księcia Radziwiłła podkomorzego litewskiego, poczył się od kłótni o szlachectwo Bryła, starosty warszawskiego, wszczętej przez Stanisława Poniatowskiego, stolnika, litewskiego, a na tym sejmie posła liwskiego, — a skończył się na dobieciu szabel i wielkim tumultie, przy którym jednak nie było żadnego krwi rozlania, oprócz tego smutnego wypadku, że trzy osoby, a mianowicie: jeden towarzysz husarski i dwaj Radziwiłłowie, młodzi panicze, wyrzucone zostały oknem z trzeciego piętra, W skutek czego towarzysz śmierć znalazł na bruku, a książęta, pomimo tak ogromnego skoku, zebrali się z ziemi i zdrowo odeszli do swego konwiktu.

A kiedy już wyczerpano materye publiczne, wniesiono na stół prywatne. Ten tedy to a ten owo powiadał, to o handlu, to o go

spodarstwie, to o ciężkich czasach, to nakoniec o swoich sąsiadach ile lub dobrze, jaki czyj był dowcip lub jakie usposobienie. Owóż tedy tak mówił pan Górski:

— Co to dzisiaj mospanie prawić o onóm nieopłaconóm ukontentowaniu, które człek dawniej miewał ze swego sąsiedztwa! Albo jestto teraz gdzie sąsiad taki, który poratuje w potrzebie, pomoże w pracy, pocieszy w smutkach i dolegliwościach; jest taki przyjaciel, który łba i worka nadstawi za brata, od złych języków ustrzeże, od napaści obroni, granic pilnuje jak oka w głowie? — Nie masz wprawdzie co mówić o ludziach, bo jużciż nie braknie między nami na szlachetnych, na uczciwych i wiernych, ale wszystkie te cnoty praktykują się snąc na innych polach, bo tak uderzywszy się w piersi, to już i u nas sąsiad, byle kopca nie przeorał, a przyjaciel byle się nie pokłócił z tobą \ nie nazaczył, to już cnota wielka i chwała Bogu. A przecie to trochę różniej bywało dawnemi czasy, a i ja sam miałem przyjaciela, któremu niechaj światłość wiekuista świeci na wieki wieków, który, rzecz można, żył tylko dlatego, ażeby mnie służył.

— Ej! panie bracie! — odezwał się na to pan Chojnacki, — zdarzy się i dziś taka przyjaźń, któraby jeszcze Castorom i Pol- luxom mogła służyć za przykład.

— Zdarzy się, widzisz diable, — dorzucił do tego pan Pieniązek, — ale snąc już tylko na to, ażeby mogła służyć za wzór cierpliwości i nieczułości na wszystko. Przeszłego tygodnia, widzisz diable, był u mnie pan Osuchowski, co to teraz jeździ za podatkami, człek suty i taki, któremu wiele rzeczy zazdroszczono dawnemi czasy, a czego tóż najwięcej, to jego przyjaźni; ja sam, widzisz diable, patrzałem ongi tak na niego, jakoby na którego z onych rycerzów, którzy wykuci z marmuru leżą na dawnych monumentach; ale dzisiaj, kiedy odjeżdżał odemnie, spłakałem się i nad nim i nad jego przyjaźnią. I on płakał jak dziecko, bośmy byli między sobą otwarci. Otóż, widzisz diable, wszystko to w Boskióm ręku; ono stoi wieża cała z kamienia, a krzyżem sięga nieba, ani jój taranem ukruszysz, ani z działa do jój wiórzchu dostrzelisz, aż tu, widzisz diable, niebawem z niój jeno stórta prochu a gruzu i łązi po niej wszelki płaz i robactwo.

— A jakeśmy się to panie bracie im dziwili, — rzekł na to pan Sobolewski, — kiedy owo ten ślub brali ze sobą! jacyśmy się mali poczuli natenczas, a już kiedy z hajdamackiój wracali, to jeno klękać było przed nimi.

— A dziś, — dodał pan Nowosielecki, — uklękliże nieboraki sami, a i żal patrzeć na nich.

~ Co to żal! — zawołał jakiś junaczek z kąta, — ja nie żałuję nikogo takiego, który sam jest „winien swemu nieszczęściu. Któż im każe znosić to jarmzo, które na nich wtłoczono? a wždy mają siłę potemu, czemu go ze swych karków nie zrzucą? Więc

to nie żal, jeno wstyd! bo taka cierpliwość nam nie przystoi, i może ją mieć chyba tylko żółw albo Niemiec.

— Ale dajno pokój, panie bracie, — zaprotestował przeciw temu pan Krajewski, — nie tak to łatwo opróżnić się takiej babie, która nie jest babą, jeno istnym diabłem lub Tatarem.

— Słyszę w takiej trzyma go ryzie, — dał jakiś sąsiad półgłosem, — że mu nawet niewolno na krok z domu się ruszyć.

— Chybaby tylko do Żerniczki, — dorzucił drugi — do imć pani łowczy co w ej, aby się pokonsolować w tej biedzie.

' — Ha! no! panie bracie! —" zawołał ktoś trzeci, — zawsze to jest dowód przyjaźni i prawdziwego braterstwa ze strony łowczyca, ho nie konsoluje on swego brata, to konsoluje go jego żonka. — A czwarty:

— Ba! ale bo to za takie wyręczenie się żonami mężom rogi rosną na głowie.

— Ej! cóż to tam jeszcze, jedne rogi! nie tak wielki to ciężar, ale bo stolnikowicz dwoje już rogów posiada.

■ — No! — zawołał ktoś litościwy, — tamte drugie Rogi choć mu niosą intratę.

— O! niosą, i to znaczną nieść muszą dla pana, kiedy tak się dobrze przy nich pożywia sługa.

— Oj to prawda! Bywało tóż to różnie z tym Grottem, jeździł już parą, chodził i piechotą, bywał na nim altembas z sajeta, bywał i szaraczek z dreliszkiem: ale bo to już ani kroku bez cztręch koni i dwóch pachółków, a czy środa czy niedziela, samo złoto a jedwab.

— Ej! toż to musi teraz się puszczać w kości, a w karty, a już stawka pewnie każda warta choć sto czerwonych.

— O! nie; — zaprzeczył pan Janowski, który sąsiedował z Rogami, — nic a nic już teraz nie grywa.

^ — Naturalnie, dodał inny, — bo któż taki grywa o grosz, któremu grosza nie trzeba ? ,

— I nie trzeba mu i sypie mu się ze wszech stron jakby z chmur, bo powiadają, że po staremu Pana Boga chwali i diabła nie obraża, więc tu męża konsoluje a tam zasie służy żonie i one-« mu Francuzowi balogrodzkiemu, więc ta go strona płaci i tamta płaci, a on wszystko do mieszka.

— Ej! kata ci go tam płaci pan Józef! — rzekł znowu inny — Powiadają, że już i złamanego szeląga nie miewa w kieszeni.

— Więc co twoje to moje, a co mego, to tobie nic do kąta, — zarzucił ktoś z kąta.

— He, he, he! \* zaśmiał się na to Baszki Białobrzęski.

— Otóż to widzisz diabla, <sup>1</sup> zauważył milezący dotąd Pieniążek, — co są złe języki.

— Owo więc, — mówił dalej jeden z sąsiadów, — u niego mieszek pusty, gdzie to dawniój dzwonił jak wszystkie dzwony W Krakowie, a u pani skrzynia pełna po same brzegi.

— Jakoż niema hyc pełna, — rzekł drugi, — alboż to mało mogą przynieść Rogi z Zernicą? mało gotowizny zostało pó podkomorzym? a Balogród sprzedany!

— Ale na dobre się obracają te gotowizny, — uważał trzeci, — kiedy Grott sobie ładuje kieszenie, i to jeszcze za jakie posługi!

— No! nie wszystko to Grott ma od pani Barbary, — wykladał czwarty, — boć tam przecie i Bartek coś musi przykładać; przecie te służby służą i jemu.

— Ba! i jak jeszcze! — zawołał piąty, — mówić co chcióc,' diabeł nie diabeł, Tatar nie Tatar, ale to cudna kobióta.

— Anoż tóż z tej piękności jeszcze bardziej zbutniał ten Francuz! — dołożył szósty, — chodził dawniój po rynnach, chodzi sobie teraz po ludziach. Nos do góry, oczy w słońce, pacholąt za nim chmura; niedawnom go zdybał jadącego gdzieś drogą, myślałem że chorągiew jaka ciągnie na leżę.

— Ale przecie jabym jemu nie radził, — rzekł znowu pierwszy, — żeby już tak bardzo dufał swojemu szczęściu i sile. Obala Pan Bóg mocne na ziemię, a im kto pysniejszy, tem bardziej padnie.

—i A im kto wyżej się nosi, tórn niżej pada, — mówił trzeci.

— Otóż i mnie się tak widzi, —n mówił znów drugi, — że się skończy to panowanie. Bo najpiórwój złe, chociaż ludzie w cierpliwości swój znoszą, jednak Bóg sam kiedyś nie zniesie i strasznie zgromi; powtóre, nie bardzo też dowierzam Bobowskiemu. Siła w nim wielka i duch okrutnie siarczysty; siedzi teraz cicho i milczy, może też i nie wió nieborak sam, co się z nim dzieje, a może i wie i tak upadł na duchu; ale kiedyby się obaczył, Francuz, prawda duży w ręku i sprytny, ale tak mi się widzi, żeby go przecie pochodził Bobowski.

— Co pochodził! — zawołał czwarty, — zjadłby go w lot.

— Ej! kataby mu tam co zrobił Bobowski, — odezwał się na to junaczek, który był przyjacielem Bartkowym, — to mąż prawdziwy, rycerz sprawny i sprawiedliwy, aniby mu się trzech takich oparło. A potem, czy to się zdobędzie już na to on mąż przydeptany? jesień jest, to chodzi w spódnicy, przyjdzie zima, w piecach palić będzie.

— Mości panie podsędku! — zawołał na to Pieniążek, obracając się do pana Górskiego, — dobrześ to powiedział o terazniejszych sąsiadach i przyjaciółach; widzisz diable, nie mówić już nic o tórn, żeby jeden drugiemu co dobrego uczynił, ano jeśli już do sądu nie pozwie, nie worze się w granice, nie obedrze a nie oszczeka na końcu, to już to mieć sobie za szczęście. Prawdę mówiąc, widzisz diable, psie pyski macie mości panowie, jakeście tu są wszyscy.

To rzekłszy, wstał gniewny od stołu zawsze wierny braci ślubnych przyjaciel. Ale mu na to Nowosielecki:

— Kochany Pieniążku! że się fukasz, to dobrze, ano to złe,

że się fukasz na nas a nie na siebie. Bo widzi Bóg, że anibyśmy byli co wspominali o panu Józefie, gdybyś ty sam był nie począł.

— Kto począł? — zawołał Pieniążek, — widzisz diabla, to ja mu począł! a toć że ja wspominałem o samym łowczycu i to wspominałem z żalem nad nim, ale Bobowskiego ani nazwisko przez moje usta nie przeszło. A potem, dajże im to Panie Boże, żeby, widzisz diabla, nikt inny o nich nie wspominał, jeno ja, bom, widzisz diabla, był ich przyjacielem w szczęściu i jestem w nieszczęściu! a jakom, widzisz diabla, jeździł po jednego z nich aż do Turek, tak i teraz im chętnie posłużę w czembądz. A plugawić ich i paskudzić nie będę, tak jako wy sąsiedzi, widzisz diabla, przyjaciele i bracia. Bogdaj wam gęby powykrzywiało!

Tak skończywszy, czapkę nasunął na uszy i drzwi za sobą zatrzasknąwszy, wyszedł z winiarni. W izbie zasiadła cisza ponura, ale niebawem drzwi się znów otworzyły, a przez nie Pióńiązek głowę wścibił do izby i rzekł:

— A koby się czuł obrażonym odemnie, tedy mu sprawę dam na zawołanie.

Poczem znowu drzwi zamknął i już całkiem odeszedł.

Po tym dodatku -ruch się zrobił przy wszystkich stołach, więc ten to mówił, a ten owo, aż ów junacek młodziutki, dorwawszy się do głosu, kiedy to pocznie piorunami bić na Bobowskiego, a na Barbarkę, a na zgorszenie ztąd dla całej okolicy i kiedy to weźmie wmawiać we wszystkich obrazę zadaną całemu zgromadzeniu przez pana Pióńiązka, a burzyć przeciwko niemu, to i rzeczywiście wzburzyła się szlachta i poczęły się już tu i owdzie odzywać głosy tak przeciwko stolnikowiczowi, jak i przeciwko Pieniążkowi. Jednakże wśród tej burzy doprosił się jakoś głosu dla siebie pan Laskowski z Polany, mąż poważny i wielką konsyde- racyą w swój ziemi mający, i tak rzekł do onego młodzika:

— Parę lat temu jeździłeś waszmość na podjezdku w towarzystwie swego księdza mentora, a gdzieś przj<sup>^</sup>jechał, chowałeś się za jego rewerendę, że cię ciężko było pomiędzy spódnicami odszukać, chcąc ci dać pierniczka lub obwarzanka; a teraz już występujesz jako adwokat obywatelstwa i trybun narodu.<sup>^</sup> Każda rzecz ma swoją porę, a tylko dzieci jadają wczesnie, chociaż kwaśne i niedojrzałe owoce. My jagódek nie jesteśmy łakomi, a kiedy nam przyjdzie apetyt, mamy go czm<sup>^</sup> zaspokoić i nie ipotrzebujemy na to waszmości. A ponieważ ja z łaski Boga i moich siwych Włósów mam jakie takie zachowanie u moich sąsiadów<sup>^</sup> i nieraz już w ich imieniu w poważniejszych daleko forach gadałem, niżeli jest łatesowa winiarnia, tedy i waszmości powiem otwarcie, że na tak słusznych obywateli, jakim był, jest i będzie pan stolnikowicz, się nie rzucaj, bo kamień, który ciskasz na takiego, nigdzie indziej nie padnie, jeno napowrót na ciebie, — a jeżeli się czujesz obrażonym przez pana Pieniążka, tedy kto prowokuje winien sam iść naprzód; idź więc i żądaj, a pewno stanie się zadość woli tvyojój,

bo Pieniążkowie, jako ich znamy od dawna, mają zwyczaj długo, czekać na placu.

Ta przydłuższa pana Laskowskiego perora dobre zrobiła wrażenie, bo nie tylko że ów młokosik, pobełgotawszy jeszcze ni to nr owo, prędko się wymknął z winiarni, ale i szlachta się przytem naśmiała dosyć i uspokoiła się znowu. A kiedy wszyscy napo- wrót pozasiadali, wina sobie ponalowali i już mieli nazad do porzuconego przedmiotu powracać, pan Laskow<sup>T</sup>ski pierwszy zabrał głos mniej więcej w ten sens:

— Zawstydyłem trochę naszego junaczka, ale to nic nie wadzi, i owszem, powinno mu to posłużyć za naukę, że z lada czem' się wrywać nie rzecz, zwłaszcza też młokosowi pomiędzy starymi. Ale bo tóż i żadnój nie miał słuszności. Ale pan Pióńiążek, chociaż się trochę zawczasu w nim zapaliło, mojom zdaniem jednak wielką miał słuszność za sobą. Bo jużciż tak powiedzmy sobie otwarcie, czy zasłużył sobie kochany nasz stolnikowicz na to, żebyśmy go tak srodze poniewierali? Wprawdzie to mówią na świecie: vox populi, vox Dei, a co ludzie gadają, to i wygadają; ale, mości panowie! stary już jestem i wiele już przeżyłem plotek i wypadków, i tak powiadam: Najczęściej w plotkach jest połowa prawdy, często i cała prawda, ale nierzadko też trafia S:ę że nic a nic prawdy nie ma; więc kto zaraz wszystkiemu wierzy, ile czyni, bo sam niewie, jakiego się może stać powodem nie-; szczęścia. Człowiek, to bardzo słabe stworzenie i zabić go wcale nie trudna rzecz, a gdzież to najslabsza tego człowieka słabizna? oto honor i cześć. A co jeszcze stokroć gorsza dla niego, niżeli sama śmierć? oto utrata honoru i czci między braćmi. Owóż tedy, ja w takich rzeczach bardzo jestem ostrożny, i przy kamienowaniu drugich rad zgoła nie bywam, bom już to widział nieraz, jako ukamienowano niewinne. A tem ci tóż ostrożniejszym należy z tem być w powiecie takim, kędy wiara jest wielka i chwytliwa jak siarka, a opinia publiczna tak silna jak u nas. Jednym tchem my z nicestwa podnosimy ludzi na wielką wysokość, ale tóż jednym tchem drugich gubimy. A jako nieraz podniesimy takiego którego się potem wstydamy, tak tóż może i nie jednego niewinnego zguba ciąży na naszym sumieniu. A ileżto już ja sam takich niewinnych wiem! A taki sam niewinny jest tu i .stolnikowicz. Bo gdzieby to miało być, ażeby on krzywdy wyrządzonej sobie przez Bartka miał sekretnie wetów ać na swoim bracie; tedy ja głowę moją dam, że to nie prawda! Nigdy tego nie było i pewno nie będzie. Ja znam pana Józefa od małego chłopięcia, ja wiem, w jakiej chowany enocie a surowości, i wiem, że jój przez całe życie swoje nie skaził. Więc to już jest wymysł a ludzka złość.

— A ja także trzymam z panem Laskowskim, — rzekł na to Sobolewski, — i powiadam że to nie może być. Byliśmy z sobą na hajdamackiej, więc wiem ja dobrze, jaki on jest.

— O! otóż jest i świadectwo! — mówił dalej Laskowski, —

a jeżeli to jest prawda, co mówią o jójmości, co także mojem zdaniem jeszcze nie jest udowodnionóm, to cóż on temu winien.nakoniec? Co winien mąż, że spudłował w swym strzale, że rzuciwszy wędę na rybę, żabę złapał; co winien, że mu się złe dziecko dostało do ręki? Złe jest, to prawda, ale jak to złe najbliżój dotyka jego, tak tóż niech już dosyć ma na tóm. Toż na nieszczęśliwego jeszczeż i my poskoczmy, i "tego, którego już i tak bije samo nieszczęście, my jeszcze chłostać będziemy? Więc zamiast się ulitować, zapłakać nad nim, poradzić, pomódz, jeżeli można, to my nuż jeszcze po., nim! nuż go dusić, tego, który już ledwie dyszy, nuż dobijać konającego! Pfe, mości panowie, pfe, to nieładnie; bo to nie nieprzyjaciel nasz, jeno brat, nie zły sąsiad, jedno godny, uczciwy i wcale setny człek. Jakoż, ile go znamy, on tak nigdy sobie nie poczynał przeciwko nam. Błuźniącego na brata nikt go pewnie nie słyszał, szkodzącego nie widział, zemsty jego nie poczuł, ale dobrych słów, dobrój rady, pomocy od niego pewnieśmy tuż już wszyscy doznali,\* a prawdę mówiąc, mało też który z nas umie tak chętnie a tak dobrze sobą drugiego zastawiać, jak on. I to taka za to wszystko nagroda! — Ale nie dosyć na tem—mówił dalej dziedzic Polany — błąd jeden zawsze drugi ciągnie za sobą: jakoż i my, podczas kiedy na niewinnego ciskamy kamieniami i błotem, winnego wcale tracirpy z oczu. Anoz w tój całej sprawie jeżeliby kto winnym miał być, to już pewno nikt tyle jak Bartek Karsznicki, a my przecież o nim nic zgoła a nic. Boć w takich sprawach dosyć to jasna jest, że najczęściej mało co winnym jest mąż, równie niewiele kobieta, bo to słabe stworzenie i snać już nic łatwiejszego na świecie, jak taką zwieść; ale silnie winien jest, który ze słabości korzysta i zwodzi. Więc już snać najsprawiedliwiejby tak: ulitować się męża, na lonę błotem albo na zwodziciela kamieniami jako na psa! Kamieniami co sił i wygnać, albo zabić na miejscu taki paskudny trąd, który jako wąż się zakrada pomiędzy cnotliwe i czyste i zaraźliwym oddechem swoim je kazi! A my na niego nic. Żonę pomijamy milczeniem, śmiejemy się z męża, że mu zaszczepiono na czole rogi, a onemu diabłu zdradliwemu jeszcze poklaskujemy do jego sztuk!

. — Prawdę mówi pan Laskowski — rzekł na to sędzia — ' świętą prawdę, jak mnie Bóg miły, i to tak, jakby z książki ją czytał.

— Gdzież tedy jest cała wina ta — mówił dalej dziedzic Polany — , którój całe to złe wypływa? — Oto tak mów, czy owak, zawsze ona jest w jmc panu Bartłomiejowi Karsznickim. I to, mości panowie! nie dzisiejszy jest pierwszy dzień, w którym ja to widzę i dawno już zabiórałem się słówko o tem powiedzióć publice, bo 'zas już jest dawno, ażebyśmy oczy nasze zwrócili na to, kogo tóż mamy pomiędzy sobą? Ja, mili bracia moi i sąsiedzi, wiecie to dobrze, że nie jestem ani człowiek zwadliwy, ani do burdy pochopny pri-datimi anim też kiedykolwiek głos zabierał publicznie



w tym celu, ażeby gwałt jaki albo tumult wywołać — ale tutaj, gdybym tóż miał całą ziemię wzburzyć od brzegu i aż krucyatę zbić na to, ażeby zarażoną owcę wypędzić z trzody, to i na to się nawet odważę i czystóm potóm sumieniem stanę przed ludźmi i Bogiem. Bo zarażoną i srodze szkodliwą owcą jest ten pan Bartłomiej! A nietylko to ciąży na nim, że się w uczciwy dom zakradł i cześć jego znieważył, że dał diabłu młodój i niewinnej kobiety duszę, że całą chmurę frasunków sprowadził na cnotliwego męża i zgoła błotem obrzucił, jarzmo na kark włożył i prawie aż do ziemi przygniótł takiego brata naszego, który był ulubieńcem naszym i zaszczytem a splendorem tej ziemi — ale jest tam jeszcze i daleko więcej paskudztwa i złości. Bo czemże to jest dom jego, czóm on sam dla naszój nieopatrznoj młodzieży? Czy to słyszał u nas kto kiedy, żeby gdzie był dom taki, w którymby się dzień w dzień i noc w noc wyuzdane odprawiały biesiady, w którymby pito na umór, zgrywano się w kości i karty do nitki, do które- goby jedne za pióńiądze a drugie gwałtem wprowadzano kobiety i panny, do któregoby się aż z za Bieszczadu podejrzane zbiegały niewiasty, zkądby jakieś prawie zbójcekie przedsięwzięto wyprawy, gdzieby młodzież nęcono i prawie za kołnierz wciągano i gdzieby całe życie się plotło tylko z samego szaleństwa i rozpusty? A to wszystko się dzieje dzisiaj na bałogrodzkim zamku. Taż to Sodoma i Gomora nie miasto, taż to spelunca latronum, nie dom szlachecki! Więc kto takiego gościa wprowadził nam w ziemię, słēt diabolus a dextris ejus; więc kto tam bywa w tej jaskini, niechaj będzie pohańbion, a kto taką jaskinię sporządził i młokosom otworzył, to już jest diabeł sam in persona, nasadzony na zgubę dusz ludzkich! A my nuże poklaskiwać takiój robocie, która jest hańbą naszą, nuże admiirować rozpustę i bezczelność, która nas brudzi i zaraża, i dworować sobie jeszcze ze stolnikowicza, a jeździć po nim za to, że on był piórwszy, którego dotknęła ta plaga! A nuż jak pismo mówi: nie potępiajcie ażeby was nie potępiono, tak i ja mówię: nie śmióćcie się ażeby się z was potóm nie śmiano. Bo już nic pewniejszego jak to, że kiedy ten gość i dom jego jeszcze czas jaki tu pomiędzy nami potrwają, to zaiste niebawem połowa z was znajdzie się w takim rosole, w jakim jest dziś stolnikowicz; bo z jednego Bartka naczyni się prędko dziesięciu a z dziesięciu i stu, którzy wam wszystkim podolają. Anożeście już widzieli dopiero co takiego junaczka, który się w tej nowej akademii wychował. Tedy nie śmiać się nam i dworować po chłopięcemu, jeno zasiąść statecznie i poważnie jak męże i poradzić sobie, jakby się pozbyć zaraźliwego gadu, który się wśliznął już w jedno gniazdo i smoczą paszczę swoją rozdziawia teraz na drugie. Tom już chciał wam dawno powiedzieć, ale nie przychodziło do tego, a teraz cieszę się, że znalazł po temu okazyą.

Po tój przemowie zrobiło się cicho jak mak siał, ale zaraz pan Urbański z Jabłonek, czapkę poprawiwszy na ucho, tak rzekł:

— Ja słucham, ja słucham a nie odzywam się nic. A przecie i mnieby tu głos jakiś przypadał i może lepszy jak drugim, boć przecie po staremu: kiedy sprawę jaką sądzą, to najciekawiej sąsiadów pytają. A tak mi się widzi, że w tej całej kompanii śnać już ja najbliższy sąsiad tego domu, który jespian Laskowski z Polany raczył przez łaskę swoją nazywać spelunką latronum, i w którym ja bywam i nic a nic przez to się nie czuję pohańbion. A ja bardzo mało gdzie bywam i złych sąsiadów nie cierpię; jakoż to wiadoma jest rzecz, że już nawet parę wioszek tylko dlatego zakupił, ażebym się przez to od sąsiedztwa ich właścicieli uwolnił. A że plamy żadnej na mnie ani ztąd ani z owąd nie było, to także wiadoma rzecz, a już o hańbie, no to już i szkoda wspominać. Anóż widać ztąd jawnie, że pafi polański, chociaż fuka innych za to, że nieopatrzni są w sądach, sam także nieopatrznie dekreta feruje; i chociaż powiada, że sam nigdy się do poduszczenia drugich bez gruntownego powodu nie zrywa, przecie tu zerwał się bez powodu; a jeżeli po większych forach w imieniu braci swój tak samo gadał jak tu, tedy gadał nic potóm i dobrze że to wiemy, bo go już drugi raz tam nie póżlemy. Więc owo, jeżeli pan polański stawia w obronie czci pana Józefa, tedy to dobrze czyni i chwali mu się to, bo mąż to godny i cnotliwy i godzien zawsze wszelkiej miłości naszój i obrony; jakoż ja także do tój obrony podaje się i osobą moją i chudobą, jaką Bóg dał, i pisze się na życie i na śmierć, — niech jeno wiem, gdzie nieprzyjaciół jest, bom go przez oracyą pana Laskowskiego jeszcze całe nie dojrzał. Więc jeżeli pan Laskowski przeciwko Karsznickiemu powstaje, tedy to już niesprawiedliwie. Wprawdzie ja tego nie mogę powiedzieć na pewno, ażali ten pan ma naprawdę jakie sekretne konszachty z jmc panią z Zernicy, bo ani on jest niedźwiedź, ani ja jestem tropowiec, żebym chodził po jego śladach, ale przecie tak mi się zdaje, że to jest tylko kalumnia. Ale miało-li by w rzeczy tak być, to byłoby źle i natenczas ja sam, jako nieboszczyka podkomorzego i pana Bobowskiego przyjaciel, wyzwiałbym bez wahania się pana Bartka na rękę i srogą bitwębym za to mu dał. Bo toby była wielka hańba i wstyd. A to jedno jest jeszcze in dubio; więc niechajże tak sobie to wisi aż do wschodu jakiegoś słońca, które nam wykryje tę rzecz. Ale zasie wszystko reszta, co o Bartku powiadał pan Laskowski, wielka nieprawda jest, a chociaż co prawda, to przecie inaczej. Jako jego sąsiad i w jego domu bywalec, wyjaśnię to, bowiem. Więc owo mówisz waszmość, że tam srodze piją i we dnie i w noc. Więc niema co mówić, więc trochę w tóm prawdy jest: ale przecie ja na to tak. Oto was tu tyle waszmościów jest, mało że nie połowa powiatu, a któren tóż między wami taki, ażeby czy to we dnie czy w noc dawał sobie za kołnierz lać? Ano mi się widzi że żaden, bo was znam i to powiadam, że wszyscy, jak tu jesteśmy, nietylko we dnie i w noc, kiedyby i trzecia jeszcze pora jaka się składała na dobę, tedyby-

śmy pili i w nią, żeby jeno okazała po temu; Więc za to śnać trudno Bartka zaraz bić, bo już chyba się i nam wszystkim powybijają do nogi. Więc druga rzecz że tam grają w kości, to prawda, bywa i gra, ale się nikt tam jeszcze nie zgrał z tego, co miał ze sobą w mieszk, a nie dopięro do nitki. Wiem dobrze,; bo sam zawsze jeden kubek dzierzę przy grze i gra idzie po groszu, a kiedy złoty Wejdzie na stół, to rzadko, a kiedy bity, to dziw. Raz tylko jeden, przy dobrej będąc fantazyi, grał ze mną Bartek o wieś na jeden rzut, ale i to się skończyło na niczym, bośmy cisnęli po równo. A kiedyby było i nierówno, to jeszcze zawsze na to nie byłibyśmy żadnemu z waszmościów zabrali jego wsi. Więc trzecia, że tam do onych biesiad przywlekają się różne niewiasty. Ano to już jest cały fałsz, i bogdajżeby temu gębę wykrzywiło, jak powiada Pieniążek, który to wymyślił. Bo nietylko, że tam na całym dworze niema żadnej obcej niewiasty, ale nawet i swojej niemasz żadnej, bo jako jest kopa sług, tak już tam takie prawo jest, że każdy musi być jako ksiądz. A już o jakichś węgierskich z respektem podwikach > to już i szkoda mówić, bo pusty fałsz. Potem czwarta, że tam kto wabi młokosów. A to także' nieprawda. Bo ani ich tam kto wabi, ani prosi. Bywają drudzy, ale bywają z własnej woli, a jako sumienny jest pan Bartłomiej, tedy i to wam powiem, że przy biesiadzie, kiedy siedzą młokosy, tam ich z jego woli zawsze omijają kielichy. I jeszcze tego nie widział, żeby się który z nich choć jako tako udoił. Anóż piąta, już chyba to, że sobie czasem na koniach poskaczemy przez, parkany, albo przez rowy. No! to, to prawda. No, może też i co więcej, bośmy niedawno z Bartkiem po wschodach wyjechali na wieżę, czasem tóż skaczemy przez wozy, a czasem też zapalimy jaki budynek, i ratując go, idziemy między sobą o lepszą, i do takiego exercitium prawda że pociągamy młokosów. Ale czy to jest źle? Tedyby lepiej, żeby ten i ów siedział u mamuni przy łóżku i motki zwijał, a z ukosa rzucał okiem na pannę służebną? Prawda że tam szwankuby nie poniósł, a tu guz czasem nabie- gnie, albo się czupryna osmoli, ale guz spląśnie, czupryna odro- śnie, a będzie zato z niego kiedyś pociecha; a miałyby przy jakiej krotchwili nawet zgoła się rozbić, tedy i to niewielka szkoda, bo już to śnać z tego i tak nie byłoby nic. Owo tedy już wszystko\* a do tego dodam ja jeszcze i to, że mało jest ludzi pomiędzy nami, którzyby temu okrzyczanemu Bartkowi sprostali, czy to ręką, czy głową, czy sercem. Mąż czysty jak ła, duch w nim wyśmienity, serce przednie, a co uczciwości a cnoty ■ we wszystkióm obejściu, to już i wypowiedzieć trudno Anóż ty panie Laskowski przecie jego wywołać, albo zaraz bić, bo to gad. A panowie bracia nuż za panią matką pacierz, i mało niewiele, żebyście już zaraz byli nie podnieśli onój krucyaty, do której was prowokuje pan Laskowski. A ja powiadam: nie! — bo niema za co i byłoby głupstwo wielkie i wstyd. Anóż to pamiętamy wszyscy, kiedyśmy będąc

małemi żaczkami, wronki sobie imali, iomalowawszy je świetnymi farbami, puszczały potem precz. ,Tedy one leciały pomiędzy inne Wrony, a tamte prędko rzuciły się na tę, i oskubawszy ją w lot, zabijały potem na śmierć. Owoż, kiedybyśmy rzucili się na Bartka, ted}'- już nie bylibyśmy czem innóm jeno onemi wronami, bo także innój przyczyny nie mamy skubać go i zabijać, jeno snać samo to, że on jest malowany, a my tu wszyscy nie.

Uśmieli się wszyscy z takiego porównania szlachty do wron. <sup>a</sup> pan Laskowski myśląc, że już koniec oracyi, zaczął w ten sens:

— Powiedziałeś, panie Jabłoński, — ale pan Urbański zawołał zaraz glos: — Czekaj! — i potem tak dalej mówił:

— Czekaj! bom ja nie orator, po wielkich forach ani w swo- jem ani w cudzóm imieniu nie mawiam, a po małych tóż rzadko i ciężko, ale jestem przeto jak wielki bąk, puścić go trudno, bo ciężki, ale kiedy już raz jest puszczone, to nie przykładaj palca do niego, bo i palec urwie i jeszcze skoczniój polecą. Owóż tedy dwa mankamenta w perorze pana Laskowskiego wytknąłem jasno, a teraz jeszcze i trzeci wytknę. Bo nie tylko jest mankament oratorskiego rzemiosła, jeżeli się co źle powie, ale i. to także, jeżeli się co ominie, co należało powiedzieć. To o oratorze. A cóż- byście zasie powiedzieli. o takim, prowokatorze, któryby naprzy- kład wtenczas, kiedy Tatar w kraj wjechał, a Wołosza siedziała cicho w swoich granicach, prowokował przecie wojnę przeciw Wołoszy a niechał Tatarą? A tak właśnie pan Laskowski uczynił. Prowokuje krucyatę przeciwko Francuzowi godnemu, a milczy o Francuzie łotrze, który wjechał w cudzą zagrodę, tam tumani, oszukuje, kradnie, łotrzuje na wszelki sposób i ledwie że nie rozbija? heY

— A tożto pewno mowa o tym Dzianocie, którego zwą Pa-' koszem? — zawołał pan Nowosielecki.

— Tak jest, — odpowiedział orator.

— A! wiecie co! — rzekł zacięcie pan Sobolewski — nie mam złości do ludzi i prędzej kogo zasłonię niż obwinie, ale tego człowieka tak nienawidzę, że kiedyby mi trafił na czas, tobym go stłukł; jak garnek o ziemię.

— Ale bo też to i nic innego jak garnek, — rzekł pan Chojnacki, — zdaje się że chodzi nie jak człowiek, ano jako skorupa.

— Podła to być musi. figura, — rzekł inny, —bo jakoś nieśmiało mu z oczu patrzy.

— A jaki słodki! jaki grzeczny! a uniżony! — rzekł przekrzywiając się drugi, — jakby jaki pierniczek.

— A przecie tak jest szlachcic jako i drugi i posesyonat! — • zawołał trzeci.

— Ej panie, — rzekł na to Nowosielecki, opowiadał mnie pan Jackowski długą o tym ptaszku historyą, <sup>a</sup> tej długiej histo- fyi jest ten niedługi sens, że Pakosz ma teraz w posiadaniu swo- jem skrypt ojcowski na dwanaście tysięcy, który pan Jackowski

chował przez kilka lat pod swoim kluczem. Jaką sztuką przyszedł do niego, tego ani się nawet domyśleć nie można, to jednak pewna, że pan Jackowski na swoją summę ani grosza od niego nie wziął, proces toczy, ale go przegra jak Bóg na niebie.

— Otóż coś podobnego, — rzekł na to pan Sobolewski, — opowiadał mnie i pan Tarnowiecki. Hej, I panie Tarnowiecki, jesteś tu, mówże.

— Ej! co to gadać! — odpowiedział pan Tarnowiecki młody, który siedział przy małym stole, — ot! okradli nas na dziesięć tysięcy i koniec. Skarżyliśmy się o to do sądu, ale zdaje się że nie będzie nic z tego, bo jakieś tam bałamuctwa niechcący porobił pan Koniecki nieboszczyk.

— O! a stary Działota znikł jak kamfora! —>zawołał ktoś z kąta.

— Ba! trudno nie miał zniknąć, — rzekł Tarnowiecki, — kiedy tak pożary wał ludzi na wszystkie strony, że już nie było jak dalek kręcić.

— No! tak 'powiadają, — rzekł inny, — i to pewna, ale przecie rzecz dziwna, gdzie on popodziował tyle piónędzy.

— Owa gdzie! — rzekł pan Urbański, — wziął ze sobą i koniec

— Ale bo mnie powiadano, — zabrał ktoś głos z drugój strony, — że się tu temi czasy albo i przed rokiem pokazał był drugi Działota, człek stary i dawny wojskowy, na którego część Zachoczewia przypada, a której mu oddać nie chcą. Był-li tóż taki Działota kiedy, czy nie?

— A to dobre! — rzekł pan Laskowski, — przecie znałem go osobiście. Michał mu było na imię. Małym chłopcem wziął go był na dwór swój jw. wojewoda sieradzki.

— Owo widzisz, panie Laskowski, — rzekł na to pan Urbański, — otóż to wszystko, co tu powiadają o tym Pakoszu, wszystko prawda ad jotam.

—\*\*A! to wielkie łotrostwo, — odpowiedział tenże, — ale jam o tem nie wiedział.

— A, jam i to wiedział, — rzekł znowu tamten, — i jeszcze co więcej.

, — Oj! pewno że więcej, — odezwał się na to dzierżawca Zardenki, a najbliższy prawie sąsiad łowczyca, — bo to waszmość anibyście wierzyli temu, co tam się dzieje.

I dopiero zaczął opowiadać wszystkie łotrostwa Pakosza i wszystkie ztąd dla łowczyca wynikające szkody i cierpienia, a pan Urbański mu z swojój strony pomagał. A kiedy już to wszystko opowiedzieli, smutno się zrobiło w winiarni i wśród westchnień dały się słyszeć głosy:

— Oj! biednyż pan Osuchowski!

— Biódnyż pan stolnikowicz!

— Oto się doczekali!

— Oto dorobili!

K -----Oto doślubowali!

— A jabym przecie za łeb wziął pana szwagra i wy ścigał!— mówił jeden.

— Ba! kiedy bo to zamknij diabłowi drzwi a on oknem: — zarzucił drugi.

■— Alboż to waszność nie słyszysz," — zarzucił trzeci, — że już tak on szwagierek obdarł ze wszystkiego pana łowczyca i tak go zniszczył do gruntu, że i jeśćby może nie miał co, kiedyby mu nie dał od siebie.

— Ej! ej! — mówił czwarty, — a czy pozwoliłaby na to pani łowczyzna?

— Chora, chora! — zawołał piąty, — leży już czas niemały.

— O! to bieda, mospanie! — zawołał szósty.

A kiedy tak wszyscy wzdychali, zabrał znowu głos pan La- ' skowski i zbijając ile możności to, co \*na obronę Bartka powiedział pan Urbański, starał się nowemi argumentami prowokować niechęć ogólną przeciwko temu przybyszowi. A że replikował dość grzecznie i bez obrazy, a przytem równą niechęć okazał przeciwko Pakoszowi, więc już mu nie zaprzeczał dalej pan Urbański, ale owszem, co do Pakosza nawet silnie pomagał.

Aby na szlachtę wpłynąć^ w winiarni, a nawet i po za winiarnią, wcale nie wiele potrzeba, nie dziw więc, że wkrótce zrobiło się dość głośno na tym sejmiku, a po upływie godziny już i całemi gardłami krzyczeli:

— Bić! zabić! a przynajmniej wypędzić i dać dobrą odprawę!

I zrobił się tumult, ale cóż z tego? mając cel prawie niejasny a planu żadnego, ucichł on znowu niebawem,, a nim ucichł, połowa szlachty się wyniosła do domów. Potem z tój połowy, która została, wyniosła się znowu połowa, a ci, którzy się już na sam koniec zostali, posiedzieli w cichości jeszcze jaką godzinę, nagadali się do syta, nawzdychali nad swych braci niedolą i z niczóm się rozjechali.

Takich posiedzeń w tejże samej winiarni a zapewne i w domach prywatnych, na których wprowadzona była dysputa o braci <sup>1</sup> ślubnych nieszczęściu, było niemało pod one czasy, ale każde z nich się kończyło li na samóm oświadczeniu współczucia i żalu i skutku za sobą nie pociągnęło żadnego, krom tego, że dla uciskających niechęć i pogarda utrzymywała się w ciągłej wibracyi.

Tymczasem o późnej jesieni, w parę tygodni po onym osta-# tnim stolnikowicza wypadku z Julią, łowczyc, ukończywszy swoją egzekucyą, powrócił do domu.

Już to od cz? :jl ożenienia się jego nie raz mu się zdarzało, że powracając do swojej siedziby, im bliżej dojeżdżał do dworu, tem mu się ciężej nobiło na sercu, a kiedy już w bramę zajeżdżał, Prawie łyzy mu w oczach stawały. Ale teraz jeszcze go mocniej dojęło to samo uczucie; odetchnął był przez czas swojej podróży

cokolwiek, odzwyczylił się od onych przykrych widoków, zapomniał myśleć o swoim położeniu, a nakoniec przeczuwał już niemało nowych łotrostw Pakosza, na których popełnienie tyle mu czasu zostawił — i to wszystko tak srodze go zasmuciło, że jeno wzdychał przez całą drogę, a kiedy w swoją własną bramę wjeżdżał, to kark mimowolnie pochylił, jak gdyby mu miano jarzmo zakładać.

Jakoż nie" omyliły go te niedobre przeczucia.. Najpiórwej bowiem zastał matkę swoją kochaną na łożu leżącą już od kilkunastu dni, a z jej oczów, z jej twarzy wyrazu i zgoła z jej własnej mowy, zdawało się, że już się wysnuwa pasmo tych dni doczesnych i lada dzień się wysnuje do końca. Potóm zastał żonę tak jakoś zmienioną, tak bladą śmiertelnie i tak wychudłą, że kiedy wyszła ku niemu na ganek, zdawała się być cieniem tylko jakiejś dawno już nieżyjącej kobiety. Łowczyc nie kochał swój żony ową miłością gorącą, która się pali płomieniem w dnie pogodne a mgleje w pochmurne, ale zawsze był przywiązany do niej i los jój go szczerze zajmował, więc go to także niepomału dojęło. A dobiły go już do reszty rzeczywiście dokonane nowe Pakosza łotrostwa. I były to już w istocie rzeczy takie, które mogły dobić i najpotężniejszego człowieka. Krótko bowiem mówiąc, z onego zamożnego i z wielką starannością zaopatrywanego gospodarstwa, w którym wszędzie wszystkiego pełno, a tu i owdzie nawet daleko więcej, niżeli bywać zwykło u szlachty pomiernój, zrobiły się pustki w ca- łem tego słowa znaczeniu.

Łowczyc oglądął pilnie to wszystko, matki i sług, zbuntowanych przeciwko niemu i prawie z szyderstwem mu odpowiadających, wypytał o resztę — i już tylko zapłakał nad sobą.

Znalazł on się bowiem li na łasce Pakosza.

Jednakże tego dnia myślał on wiele nad sobą i nad całym swóm położeniem, i coś sobie obliczał, i coś mu się roilo po głowie, więc począł niecierpliwie wyglądać przyjazdu Pakosza. Jakoż drugiego dnia przyjechał ten karzeł, który wziął .w niewolę olbrzyma. Obaczywszy go, łowczyc zaczął mu powoli przekładać to wszystko, o co mu chodziło, — ale Pakosz już ledwie raczył z nim mówić. A kiedy mu się uprzykrzyło słuchanie, wsiadł z góry na niego i prawie mu powiedział do oczu: że jest małoletni swą głową, że się źle rządził przez całe życie, że swojóm głupiem gospodarstwem psuł interesa sąsiadom, i że dla dobra publicznego to być nie może, żeby w takim ręku zostawał majątek.

Na takie oświadczenie łowczyc zgłupiał z krete sem, nie wiedział co się z nim dzieje, nie umiał się połapać, senli to jest czy jawa, — i w tem pomieszaniu uczuć i myśli chciał coś replikować, ale już nie było sposobu. Duch Pakosza wzbił się wysoko po nad niego i pozyskał owę moc wszechwładną, która zabija w swóm źródle wszelki opór moralny i rozbija wszelkie siły fizyczne.

Te same słowa i o tym prawie czasie, a może nawet wcześniej cokolwiek, powiedziała stolnikowiczowi Barbarka.

I jako dawniej spokojne niebo braci ślubnych zamieniło się w ziemię, — tak teraz ziemia zamieniła się w piekło. I nędza ogarnęła duchowy i prawie nędza materialna. Sługami się stali W swych własnych domach. Jeść im ledwie dawano i to prawie jak z łaski. W powycieranych chodzili żupanach. Na bóty im Wyznaczono pióńjadze. Nikt im nie usługiwał już w domu, bo <sup>2</sup> piórwszych stali się ostatnimi.

W tak ciężkiej będąc niedoli, jedną wszakże mieli rozrywkę <sup>1</sup> jedną pociechę. Oto nie broniono im brać strzelby na plecy i wychodzić na łowy. Używali -tóż tój swobody, o ile mogli, <sup>1</sup> o pewnych godzinach a najczęściej o świcie, ze strzelbami na Plecach, schodzili się oni na owych kopcach granicznych i ztamtąd razem się puszczali na łowy., Najczęściej chadzali w lasy balo- grodzkie, bo te im były najbliższe, ale rzadko oni tam szli na zwierzę. Nędza ich była tak wielka, że krom niój, prawie już o niczóm innóm ani myśleć, ani mówić nie mogli. Siedząc tedy na pniaku, albo wlokąc się zwolna drogą lub polaną, wzdychali tylko do siebie i rozmawiali o sobie. A rozmawiając, odzywała się w nich nieraz chęć ratowania się, i ta chęć objawiała się tak gorąco, że zdawało się, że takim chęciom nie może na siłach zabraknąć. I zapewne były te siły, — ale już odwagi nie było; środka nie było, na któryby się zgodzili obadwa. Aż nakoniec już przestali zgoła mówić o środkach, a natomiast tylko dziwowali się chytróści i łotróstwu Pakosza, z grozą mówili o złości i gwałtowności Barbarki. I tak wśród dziwowania się i grozy przed temi siłami, które ich gnioły, całkiem oczy odwrócili od siebie. I widzieli już tylko swoją nędzę i niemoc, zwaćpili całkiem o sobie, a całą nadzieję swoją położyli li w Bogu, albo jakim szczęśliwym dla nich wypadku.

TOM X.



## XVII.

Kiedyśmy za pomocą Grotta dośledzili tajemnej schadzki jmc pani stolnikowiczowej z nowym Balogrodu dziedzicem, poznaliśmy zaraz ów kawałek ziemi, który się rozciąga od dworu żernickiego aż do onych trzech krzyżów, stojących pomiędzy dwoma kopcami\* odgraniczającymi w tem miejscu grunta żernickie od obszarów państwa balogrodzkiego. Otóż granica ta ciągnie się ztamtąd wprost ku zachodowi, prawie równolegle z ową górą rozpadliną\* w której leżą wsie braci ślubnych, ciągnie się pod las bukowy\* potem się wywija cokolwiek na prawo, spuszcza w poprzeczną gór rozpadlinę a z niój znowu wychodzi na drugą górę, wprost przeciwległą tamtój, na której ona dębina i kopce i krzyże.

- Góra ta, na której się zchodzą granice Balogroda, Żernicy i małej Żerniczki, w niczóm jednak nie jest do tamtój podobną- Bo podczas kiedy tamta, cała prawie piękną i równą zielenią okryta, z jednej strony gęstemi ocieniona dębami, z drugiej pi§" knym lasem bukowym, niby ukoronowanym trzema kształtnem<sup>1</sup> krzyżami, może się nawet nazwać piękną, ta, składająca się z samych bezkształtnych garbów, z wydm żółtą gliną świejących i szkaradnych jak paszcze ziewających wądołów, jest nietylko<sup>0</sup> brzydką ale nawet tak niemiłe sprawia na przechodniach wrażenie, że każdy z nich mimowolnie od niej głowę odwraca. Otóż grzbiet tej góry, po tej stronie, która się ku małej Żernicze nachyla, był onego czasu karłowatym i zrazu rzadkim okryty jałowcem, dalej ten jałowiec gęstniał cokolwiek, a nakoniec gubił się całkiem w niewielkiój ale mocno gęstój grupie starych skrzypiących jodeł.

■

ś

Grupa ta jednak, lubo gdzieindziej mogła się nawet przyczyniać do piękności widoku, bo była dziwnie bezkształtną i dziką, tutaj tylko podnosiła jeszcze okoliczną brzydotę, a składając się w większej części z samych pniów szarych, strupieszalemi kawałami smolnój kory okrytych i szumiąc a skrzypiąc przeraźliwie na wichrach, napelniała nawet strachem przechodniów—jakoż nocą nikt się nie ważył przechodzić tamtędy, a jeżeli i w dzień jaki myśliwiec tam się zabłąkał, to żegnając się, jaknajprędzej z tego miejsca uchodził, oglądając się z przerażeniem to na one jodły brunatne, to na wądół głęboki tuż z temi jodłami sąsiadujący, który nazwany tatarską pieczarą, może jeszcze bardziej zatrwożoną wyobraźnię rozgrzewał.

Pomimo to jednak, w tój okolicy wiło się kilka dobrze wydeptanych ścieżek w tę stronę i owę, a każda z nich, dochodząc do onych drzew grupy, wpadała pomiędzy nie i tam znikła. I zdawało się, jak gdyby w tym kawałku tak smutnie porzuconego horu, była koniecznie rzecz jakaś, którą ludzie nawiedzali. Jakoż rzeczywiście w samym wnętrzu tego kawałka lasu, co najstarszemi ocieniona drzewami i oszańcowana tak jakby umyślnie pozwała- nemi pniami, stała chatka niewielka, drewuiana. Ta chatka, stojącą na samej prawie balogrodzkiej granicy, ale najbliżej mająca do wsi i dworu pana łowczyca, była znajomej nam Ewy mieszkaniem.

I jak taka góra szkaradna, i rtak samotnie zostawiony kawałek lasu i jakieś ludzkie mieszkanie, nie miało w sobie nic osobliwego, tak tóż i niczóm nadzwyczajnem nie uderzała zewnątrz sama ta chatka; zbudowana bowiem z kłótego siekierą drzewa, obite- , piona gliną i mchem obetkana, dranicami przykuta, malutkimi drzwiczkami i niewielkióm okienkiem witająca przychodnia, była ona tym wszystkim chatkom podobna, które sobie po wsiach budować zwykli ubodzy zagrodnicy. I sień jeszcze -nawet w niczóm się nie różniła od innych: ale już sama świetlica za to nie miała nigdzie drugiej sobie podobnój. A najpierwój na wstępie uderzał każdego jakiś zapach tęgi i prawie uderzający,, któren, lubo nie miał właściwie nic w sobie nieprzyjemnego, jednak dziwnie działał na nerwy i u słabszych sprawował na chwilę drzenie całego ciała. Potóm była świetlica ta niezwykle ogromną i raczej do jakiejś sali nd prędce zbudowanej podobną; jakoż gdyby nie to, że tylko jedno malutkie w niej było okienko, można było rzeczywiście być "Zdania, że tę chatę zbudował sobie pan który sąsiedni i przeznaczył ją na dorywczy odpoczynek dla kompanii myśliwskiej, a w tem Przekonaniu mogło być jeszcze utwierdzać i to, że wszystkie ściany były gołe i nie było na nich żadnego świętego obrazu, ani żadnego znaku nawet tego, że kto tu mieszka, chwali jednego Boga. I zresztą była ta izba dość pusta. Po prawej ręce od wchodu stął komin ogromny, który służył za komin i kuchnię; obok niego szafa od siekiery, na której pułkach pełno różnego rodzaju i formy

garnków i misek, słoików, słoików i flaszeczek. Po drugiej stronie komina, drugi taki rząd półek, również zastawiony naczyniem, a na najwyższej z nich, strach spojrzeć, trupia głowa leżała. Pod temi półkami znowu na ziemi- i obok- nich widać było kilkanaście różnych kości zbiegłych i- połamanych: jedne z nich były małe, jak kości dziecięce, drugie ogromne, jak olbrzymie lub końskie, a pomiędzy nie wąż się snuł obrzydliwy, wijąc się w kręgi, jak gdyby cały w najokropniejszym był bólu. Za kościami i węzłem leżały wiązki różnych chwastów i ziół uschniętych, na nich siedział kogut czarny, jak gdyby przy nich na straży. Dalej w kącie stało łóżko proste, kilkoma płachtami przykryte, a na nim leżał w kółko zwinięty kot ogromny, czarny, z błyszczącymi oczyma; przy łóżku skrzynia, długa jak trumna" i czarno pomalowana, a na niej chusty jakieś, stoczek, kawałek świecy woskowej, garnek i skorupa pełna węgla zgaszonych. Dalej ławy, stół prosty, na którym dzban wody i szklanka zielona, w przeciwległym kącie miotła, łopata — i zresztą pusto w całej świetlicy.

Otóż był to już miesiąc grudzień, a dzień, zdaje się siódmy\* bo była to sama wigilia do Niepokalanego Poczęcia Najświętszej Panny. A początek tej zimy onego roku był taki piękny, że z dawnych lat nic podobnego najstarsi nie pamiętali ludzie. Do Bożego Narodzenia bydło się pasło po polach i lasach, fabryki i budowle się odprawowały wszędzie, orano i pokładano, bo do tego. czasu jeszcze ani jeden płatek śniegu nie upadł, dnie były wszys- .kie jasne i pogodne, jak gdyby wśród lata, rankami przymrozki\* a przez cały dzień słońce i ciepło. .

Otóż, onego dnia prawie w samo południe, drzwi się otworzyły do chatki i weszła Ewa do swojej świetlicy. Na jój przyjście kogut uderzył w skrzydła i zapiał po dwakroć, kot skoczył z łóżka na ziemię \* przybiegłszy do niej, począł się łaścić u nogi\* wąż się wysunął z pomiędzy kości i wypełznął na środek izby- A ona do nich:

— A kysz! a kysz! nie mam czasu z wami zachodzić! potem\* potem! będzie dość czasu na to, bo i tak mam dzisiaj dzień wolny\*

Ale kot przez to jeszcze uporniej łaścił się koło niój, wąż aż do niej przypelznął i koło prawój nogi jój się obwinął, a w drugą począł ją dziobać kogut. Na to ona znowu:

— A kysz! a kysz! nie dam teraz, bo nie mam czasu! •

I odepchnęła kota od siebie, odrzuciła koguta, a węża ujęła w rękę i chciała go od nogi odwinąć, ale wąż trzy razy okrążywszy jój kostkę, syczał tylko przeraźliwie i ruszyć się nie dał\* kot przysunął się z drugiój strony, a kogut napowrót z rozpu\* szczonemi skrzydłami i dziobem otwartym przyskoczył do niej\* jakby ją zgoła chciał do krwi ukąsić.

— Cóż to jest! — rzekła Ewa, — czy czują dzisiaj kogo te be- sty? czy był tu kto może? hej! Starosto! ty najmądrzejszy, mów

co to takiego! — zawołała do węża. A wąż tylko wił się i syczał. Tedy znów Ewa:

— Jeść! jeść! o! jeść jeno, a więcej nic!... ale być tu nikt nie był... i nikt dzisiaj nie będzie, boćbym przecie wiedziała... bo i któżby? a! a! a! może tóż i młodzi przyjdą, choć nic nie mówili... mieli być wczoraj, nie byli; pewno to przebrzydłe mężyisko siedziało w domu... no! no! dam wam jeść, dam... może potem czasu nie będzie...  
J

To rzekłszy wstała z łoża, zdjęła z półki misę pełną mlóka, do niej puściła kilka kropel z drugiój flaszeczki, i mlóko zabiegło krwią. Potem tę krew z misą postawiła na ziemi, którą, przysunawszy się do niej zaraz, z wielkiem łakomstwem piły i wąż i kogut i kot. A kiedy tak piły te bestye, Ewa stała nad niemi, parząc pilnie na ich apetyt, tak jak gdyby była rzymskim augurem i umiała ztąd przyszłość zgadywać. I coś zapewne odgadła, bo już misa próżna była, a ona jeszcze nad nią stała, myśląc i czoło sobie pocierając. Potóm jakiś niepokój wymalował się na jej twarzy, i dobyła siedem ziarn fasoli z kieszeni i rzuciła je na stół, potóm rzuciła drugie siedem, a potem trzecie. I wpatrywała się pilnie w kaźden rzut, a twarz jój się ciągle przedłużała i coraz większy na niej było widać niepokój. A potóm zebrała wszystkie dwadzieścia i jeden ziarn i rzuciła je wraz, a spojrzawszy w nie, zbladła i zawołała:

— Strach! śmierć!

A potóm przypatrywała się jeszcze pilniej temu rzutowi, a przypatrując się, twarz jój coraz łagodniała i uspokoiła się; aż obeszła stół na około i rzekła:

— Ej! bałamuctwo! nie może być... rzucę potóm jeszcze raz.

Tymczasem zaś nabrała chróstu suchego z pod komina, i roznieciła wielki ogień na nim; do tego ognia poprzystawiała różne garnuszki i ryneczki, w których były różnych barw i tęgości płyny i smażyła to, a obracając to wtem to w owóm naczyniu łyżką metalową, stała tak i myślała, ręką się trzymając pod brodę.

A wtóm, kiedy jeszcze nie było więcej jak jedna godzina z południa, otworzyły się zwolna drzwi i wsunęła się Julia do świetlicy.

Na jej widok odskoczyła Ewa o parę kroków wtył, i p<sub>ra</sub>- ' wie ze strachem zawołała: — A co to? — Jakoż było się rzeczywiście czego przestraszyć.

Julia bowiem teraz wyglądała już tak okropnie, jak gdyby ją miano zaraz w grób kłaść, albo dopiero z niego wyjęto. Twarz jój była blada jak chusta, oczy w dół zapadły i prawie już zgasły, nos się zaostrzył, zsiniały usta i zwiędły jako listki róży, kiedy °derwane. od kwiatu, długo na słońcu pomokną. Zresztą cała jój Postać tak zwiędła i wychudła, piersi zapadły, a ręce tak wyschły okropnie, że kiedy stanęła pomiędzy tym ogniem ogromnym i oną<sup>ba</sup> czarownicą, to niktby był nie powiedział, że to jest żywa

ziemska istota, jeno duch jakiś przez nią zaklęty, albo trup wywołany z cmentarza.

I tak stały te dwie kobiety naprzeciw siebie, Julia oddychając z głębi piersi po nużącój choć niedalekiej podróży, Ewa zaś milcząc z przestachu i zadziwienia. Aż nareszcie odezwała się Julia, ale głosem tak słabym i bolejącym, że byłby mógł nawet skały poruszać:

— Ewo! jużes i ty mnie opuściła nieszczęsną!

. Ewa przez chwilkę jeszcze milczała, zawstydzona cokolwiek i pomieszana, ale prędko się ocuciła i rzekła:

— Panno moja kochana, dopomagałam wam pókim mogła, ale teraz Bóg widzi, że codziennie sobie głowę mozolę nad tem, jakby go do panny nazad powrócić, ale nie widzę sposobu.

Ewa Julią nazywała panną, bo tak często onego czasu nazywano młode kobiety, którym nie przystawał tytuł jój mości. A Julia na to:

■— O tóim, moja kochana, ja już sama dawno przestałam my-ć słóc. Jakies ciężkie przeznaczenie spełniło się nademną i nie zostawiło mi-nawet żadnój nadziei. Żyłam krótko i to w samych łzach i cierpieniach; myślałam, że mi Pan Bóg choć przy skonaniu jaki uśmióch nadeszle... ale teraz widzę, że śmierć jeszcze będzie miała więćój goryczy, nizeli jój miało całe życie. Matka mnie odumarła, ojciec bez pożegnania odjechał, brat ze mnie szydzi i codzien mi złośliwiej urąga, on mnie porzucił... o! gdybyś ty mnie była przynajmniej tak nie odstąpiła zdradliwie!

— Ej!.bo panna tak mówi—rzekła na to pocieszająco Ewa— jak gdyby już pewno miała umierać. A tu jeszcze kopa lat stor przed panną.

—\Kopa! —zawołała-z-przestachem Julia — nie mów tego Ewo! boję się śmierci, to prawda, ale daleko więćój jeszcze boję się życia. Kopa lat takich! to okropnie. Ale nie, Pan Bóg łaskaw jest na mnie, on się ulituje nademną. Jam nigdy nic przeciw niemu nie zawiniła, ja się zawsze tak modłę do Niego... och! jak ja się modłę do Niego!...

— , Aj! moja panno!— zaw^ołała niby z litością Ewa— gdybyś to ja była wiedziała, że panna tak srodze tęskni, że tak desperuje\*- że tak nawet osłabła...

— Ach wiedziałas dobrze —przerwała Julia — wszakżeś była u mnie w dzień potóm, kiedy się to stało, jeszczem w łózk w tenczas leżała...

- Byłam, panno — rzekła Ewa — to prawda, ale właśnie myślałam, że panna się wychoruje, wyleży, wypłacze, taj zapomni\*

— Zapomni? — spytała Julia — nie, jeszcze nie... ale już niezadługo... w grobie cicho, głucho i wieczna niepamięć...j tam ja o was wszystkich zapomnę. I j& już nic nie chcę. Jak dzień wczorajszy, jak młodość moja, jak matka nieboszczka nigdy się już nie wróca, tak i nadzieja moja nawet już nie wróci. I jam. już na to

wszystko gotowa, co mnie tam czeka... jeszcze tylko przed śmiercią... o Ewo! czemużeś ty nie przyszła do mnie?

— Ach panno...

— Słuchaj, jeszcze tylko chciałabym wiedzieć... czemu on ninie porzucił?

— Ja nie wiem — odpowiedziała Ewa—ani się nawet domyślić mogę. Pytałam, badałam na wszelkie sposoby, fasolkim nawet ciskała... a! fasolki! — zawołała Ewa, jak gdyby sobie coś przypomniła i mówiła dalej już szybko: — panunciu moja! ja dopiero co fasolki rzucałam i tak mi tam stało coś brzydko... czegoś się boję dziś cały dzień... żeby tu tylko kto nie nadszedł... ot! wió panna co, ja tam zbiegnę wieczorem, a idź panna teraz ztąd, tu niebezpieczno.

— Iść? — spytała Julia z ciężkióm westchnieniem — ha! pójdę i ztąd... tylko niech trochę siadę i odpocznę.

— To siadź panna na chwilę na łóżku — odpowiedziała Ewa i prowadziła ją ku łożu. Ale Julia ledwie parę kroków zrobiwszy, krzyknęła nagle, odskoczyła ku Ewie i chwyciwszy się jej ramienia, z przestraczem mówiła: — wąż!

— To nic, panno — mówiła łagodnie Ewa — to wąż domowy, on nie ukąsi...

Ale wtem Julia krzyknęła znowu:

— Ach! i twarz kryjąc ku Ewie — to okropnie mówiła. - •— ężó panno? — spytała Ewa.

— Trupia głowa, — wyszeptwała, drżąc od przerażenia żona łowczyca.

~ E<sup>J</sup>bo patrz panna tam na te rzeczy — rzekła jej niecierpliwie Ewa — spocznij sobie panna i trzeba iść, bo tu niebezpiecznie.

Ale Julia, siadając na łożu, chwyciła się ręką Ewy i prawie obłąkanym głosem już się pytała:

— Gdzież ja jestem? co się dzieje? Ewo! zmiłuj się, nie odchodź odemnie..\* 1

Ewa się nachyliła nad nią, ale niecierpliwiła się widocznie i starając się zwolna odczepić rękę Julii od swojego rękawa, z jakąś obawą poglądała ku drzwiom... a wtóm drzwi się otworzyły z łoskotem i w kapeluszu okrągłym na głowie, z pręcikiem w ręku, wpadła na środek izby Barbarka.

Na ten widok Julia w mgnieniu oka twarz swoją zakryła w chustkę, którą miała zarzuconą na głowę — Ewa skoczyła ku Barbarce i zapewne ją chciała natychmiast nawrócić; ale Barbarka, nic nie tracąc fantazyi, odsunęła lekko czarownicę od siebie i spytała:

. — A co to za gościa masz Ewo?

Ewa nic nie mówiła. Ale Barbarka, nic. nie zważając na to, przystąpiła pomału do Julii i zaglądając jój w oczy, zawołała szyderczo:

— Aaa! to pani łowczycowa dobrodziejka! cha! cha! cha! a cóż to piękna pani tu robi? taka piękna, taka cudna, najpiękniejsza na cały powiat a może i na kraj cały! co pani tu robi? czy narada jaka z łaskawą jak widzę na wszystkich Ewą? czy może już schadzka jaka? a z kimże to schadzka, jeżeli wolno zapytać? z panem stolnikowiczem? co? z dawnym swoim kochankiem? tak? a to bardzo ładnie, bardzo przyładnie, bardzo nawet cnotliwie...

Na to Julia tylko się jeszcze głębiój w swoją chustkę obwinęła i drząc na całym ciele, słuchała, a Barbarka tak dalej:

— Nie obwijaj się, ty bezwstydna z wodnico, nie kryj tego lica obrzydliwego przedemną, bo je znam dobrze i wiem, co na nióm stoi napisano! Dawno już zbierałam się ci wyrzucić wszystkie twoje występki na oczy, dawno ci już to należało; ale teraz sam Bóg cię oddaje mi w ręce, ażebym się zemściła nad tobą i ukarała cię tak, jakęś sobie zasłużyła. A więc wstań i mów, gdzie ty masz serce i sumienie, sama mając męża, uwodzić drugiego i zakłócać szczęście i spokój mojego domu? To ty masz serce, ty masz miłość dla niego? Ty jego kochasz? Patrzaj, do czegoś go doprowadziła! stróż nocny ma lepiej w domu moim, niżeli ten mazgaj obrzydły. Ale co mi tam na tóm! wy się kochacie, wy się widujecie sobą, wyście szczęśliwi. Ale cóż ja tobie winna, ty zahoczewska bogini, żeś mi się tak przysłużyła? Czemu- żeś się nie pilnowała w twojej miłości z twoim Józienkiem kochanym, żeby się był z tobą ożenił i uszczęśliwił cię swoją cudną osobą? czemużeś go porzuciła natenczas, dopóki mógł być twoim, czemuś mnie go rzuciła w ręce, a teraz, kiedy on mnie wiarę zaprzysiął, znowuś mnie go zabrała? Och! a ja płaczę krwawymi łzami, samotna, opuszczona siórota! — wołała Barbarka płaczącym głosem do Julii, ale uśmiechając się bokiem do Ewy. A potem znowu innym tonem do Julii: — No! ale ja się mścić nie chcę nad tobą! równo za równo, "kto wió, możebyś ty się znowu kiedy zemściła nademną. Więc masz się tu widzieć z Józefem? to dobrze, bardzo dobrze. A obiecał że przyjdzie? i pewnie przyjdzie? dotrzymuję ci słowa? dochowuje ci wiary? co? a zazdrosna jesteś o mnie? każesz mu mnie unikać? co? sypiasz przez to spokojnie, choć sobie, przypomnisz, że on jest moim mężem? gryzie cię to? martwi? co? no, mówże piękna pani! mów, czego milczysz? mów, nałożnico pana stolnikowicza! —<sup>4</sup> krzyknęła głosem nielitościwa Barbarka.

A wtóm drzwi się znowu rozwarły na ścieżaj i wskoczył do izby Bartek, ale to tak prędko, że nim się tamte spostrzegły, óń już Barbarkę trzymał w swoich objęciach. Nie'spodzióuwając się tego, Barbarka wydarła mu się prędko, i chcąc to naprawić, rzekła do niego:

— A ty co tutaj robisz, kochany bracie? — Spostrzegł się i Bartek i odpowiedział:

— Jechałem do was, i widząc zdaleka, żeś Wyjechawszy na spacer, tutaj wstąpiła, zajechałem po ciebie.

— Na to Barbarka:

— Otóż niechcący oboje trafiliśmy na piękną scenę. Przypadkiem odkryliśmy tajemnicę. Ta piękna pani, sąsiadka nasza, żona najwierniejszego przyjaciela mojego męża, pani łow<sup>T</sup>czyrow<sup>a</sup> <sup>2</sup> Żerniczki, albo już miała, albo mieć zaraz będzie schadzki z panem stolnikowiczem.

— A to w takim razie... — rzekł na to Bartek, robiąc ruch ku drzwiom i dając do poznania, że czas się wynosić. Ale i Ewa <sup>1</sup> Barbarka jednocześnie mrugnęły na niego, że to tylko tak mó- "i<sup>^</sup>a, i że ani się s<sup>n</sup>i stolnikowiczowi tutaj przychodzić, więc Bartek się zatrzymał. A Barbarka mówiła dalej:

— I to ładne są rzeczy. To jest cnota staropolska, to owo przesławne wychowanie onych jeszcze sławniejszych matek, to jest przysięga złożona w ręce księdza przy ślubie, to na koniec żona, która zachowuje w czystości honor swojego męża i honor jego najwierniejszych przyjaciół...

Ale tu już Julia pomimo swego osłabienia i przerażenia dalej nie mogła wytrzymać. Wszystka krew, jaka była jeszcze w j<sup>o</sup>j żyłach, zbiegła się do j<sup>o</sup>j twarzy, usta jej nowem życiem zdrząły, Pczy się roziskrzyły niezwycajnemi ogniami i cała postać nabrała jakiejś niewidzian<sup>o</sup>j przedtem energii i siły. Wstała więc, i chust-zrzuciwszy z twarzy, stanęła śmiało przeciw Barbarce i tak zaczęła:

— Nie! dłużej już milcz<sup>o</sup>ć nie mogę! Choćbym miała ostatni mój oddech przy tych słowach wyzionąć, umrę, a powiem. Więc to ja jestem zwodnicą twojego męża, ja kalam sławę twojego domu, ja tu przysła na schadzki! A kt<sup>o</sup>z to w swoje sidła uwikłał, kto uwiódł i mnie prawie z rąk wydarł, pana Józefa? kto pokalał honor jego imienia i domu, że cały świat dzisiaj o t<sup>o</sup>m gada? kto tu już od kilku miesięcy na schadzki przychodzi? kto utrzymuje kazirodczy związek z własnym stryjecznym bratem? kto jest ten pan i po co tu przyszedł? ty! tyś jest...

Ale dalej już nie mogła mówić opadająca z sił Julia, bo wymówiwszy ostatnie słowa chrypliwym głosem, prawie w zupełnej bezwładności napowrót na łóżko upadła. I zdawało się, że ztemi kilkunastoma słowy, poczętemi głosem silnym ale potem coraz upadającym, rzeczywiście resztę siły żywiąc<sup>o</sup>j ze siebie wyzionęła Julia, — tak jako lampa, która, pożórajac resztki oleju, długo mdłóm tylko i coraz słabszóm błyszczcy świeatełkiem, potem buchnie kilka razy silnym i jaskrawym płomieniem i — gaśnie. Na nią z pio- runowemi na ustach słowy chciała się rzucić Barbarka, ale ją Bartek powstrzymał, a tymczasem Ewa poszła trzeźwić Julię, która z osłabienia cokolwiek omdlała i krew j<sup>o</sup>j się pokazała na ustach. A otrzeźwiwszy i posadziwszy ją w kącie łoża, przystąpiła do państwa młodych i prosiła na wszystko, ażeby się jaknaj- prędz<sup>o</sup>j rozeszli, bo już dzisiaj dzień jakiś niedobry. I Bartek zgadzał się prawie na to, tylko chciał jeszcze choć słów kilka pomówić i coś na jutro ułożyć. Ale Barbarka ani sobie mówić

%



O tó m nie dała, utrzymując że ani było, ani jest się czego obawiać, i że ona ani myśli się ztąd ruszać tak prędko. I powstał, spór o to pomiędzy tó m trojgiem osób. I z początku spór ten był cichy; bo był przeplatany naradą, jak sobie teraz postąpić z Julią; ażeby się przed nią cała rzecz nie wydała: ale kiedy Ewa załagodzenie Julii brała na siebie, a na teraz ani mówić Chcąc o tó m, koniecznie nastawała na trzymających się za ręce kochanków, ażeby się jaknajprędzój rozeszli, spór się zrobił głośniejszy i zwaw- szy, a Barbarka nawet poczęła z góry przysiąść Ewę, czyniąc jej, jak to u nió j było zwyczajem, najkapryśniej sze i jaknajmniej ugruntowane zarzuty.

A dnia tego samego, kiedy to się działo w chatce u czarownicy, bracia ślubni swoim zwyczajem wyszli byli jeszcze równo ze świtem na polowanie do balogrodzkich lasów. Przyszedłszy tam, puścili sforę psów łowczy co wy ch a sami nieopodał od siebie stanęli na jednym i tym samym przesmyku. I stali tam jakiś czas 1 z początku słyszeli psów granie gdzieś zblizka, potó m dalej i dalej: aż nareszcie gło sy ucichły zupełnie, psy się gdzieś rozbiegły po lesie. To widząc, łowczyc chciał już w trąbkę uderzyć, psy zwołać i nanowo niemi podłożyć, ale stolnikowicz, który stał jakiś smutny i tak niechętny, jakby był na pańszczyźnie, zawołał ku niemu: — Daj pokó j!

A kiedy łowczyc się przybliżył do niego, rzekł mu ciszój:

— Daj pokó j, bo i tak nic z tego nie będzie. Jakiś niezdrów jestem dzisiaj, nic a nic nie mam ku zwierzynie rankoru i zaraz szedłbym do domu.

— A to dobrze, rzekł na to łowczyc, powodując się swemu bratu, — pójdziemy, ale ja przecie psy zwołam do nogi, bo ich tam kto pojma na lesie.

— Jak chcesz, — odpowiedział stolnikowicz, cedząc przez usta\* Tymczasem łowczyc uderzył w trąbkę raz, drugi i trzeci i wpó l godziny może przecie psy dały się zbić ze swoich nowowynalezio- nych tropów i z pospuszczanemi ogonami poprzywlekały się do nó g swojego pana. A kiedy już je łowczyc pojmał i zesforował, rzekł do stolnikowicza:

— Có z teraz?

— Co? — spytał tamten, — albo ja wiem? ot! chyba wleczmy się pomału do domu.

— Czas jeszcze, — rzekł na to łowczyc, poglą dając. w słońce, — jeszcze nie dochodzi południe... ale kiedyś nie zdrów i nie- masz dzisiaj fantazyi, to chodźmy.

— Dzisiaj fantazyi! — powtó rzyl z westchnieniem pan Jó zef, — trudno panie bracie było o nią i wczoraj, trudno już snać będzie i jutro! ot! prawdę mówiąc, tyle naszego, cośmy tam kiedyś, kiedyś przeżyli.

Na to łowczyc już tylko westchnął i puścili się bracia na dół lasem, potem zeszli na drogę, potem przebrodzili Hoczewkę, aż tó z

weszli nakoniec na oną wąską i nierówną drożynę, która wiodła ich ku Żernicy. A idąc, nie rozmawiali już nic o swój nędzy dzi- siejszój, o swoich smutkach i cierpieniach, jeno przypominali sobie te i owe dni z dawnych, szczęśliwszych czasów. A kiedy przyszedli na ono miejsce gdzie się dzieliły ich drogi, to jest, gdzieżonój Wąskiej dróżyny, wiodącej do wsi. stolnikowicza, wywijająca się ścieżką przez oną górę, na której on kawalek jodłowego boru, opodal od chatki i onój Tatarskiój Pieczary, wprost do dworu łowczyca, stanęli obadwa mówiąc:

— Którędyż teraz?

# — Chodźmy chyba za ścieżką,—rzekł na to łowczyc,— przykrzejsza to droga, ale bliższa. Zresztą spoczniemy sobie na górze, potem spuścimy się do wsi, do mojej niegdy a teraz pana Pako- szpwej, ztamtąd ja pójdę do siebie, a ty już, jeżeli nie będzie łaska wstąpić, prosto do siebie.

Wzięciu tego kierunku drogi stolnikowicz się zrazu sprzeciwiał, bo obawiał się, ażeby kiedy przyjdą do Żerniczki i będą niedaleko od dworu, łowczyc go gwałtem nie pociągnął do siebie; ale kiedy nakoniec tak ułożył, że z wierzchołka góry kaźden z nich wprost pójdzie do siebie, stolnikowicz już był spokojny i puścił się ścieżką. Iszli jeden za drugim, sapiąc potężnie i chwytając się jałowców, które gdzie niegdzie rosły przy ścieżce. Aż wyszli na sam wierzch góry, zkaź widać było tuż niedaleko one jodły otaczające chatkę Ewiną i dębinę na tamtój górze i kopce, i krzyże i wszystkie grzbiety i garby gór okolicznych, a nawet wierzchołki drzew ogrodowych, tak tu blisko we dworze łowczyca, jak i tam dalek we dworze stolnikowicza. Tam, napoiwszy się tym rozległym widokiem i odsapnąwszy cokolwiek, usiedli na pnium powalonym niedaleko od ścieżki leżącym—i była wtenczas może jedna godzina z południa.

Jakoż tego dostrzegając po słońcu, rzekł łowczyc:

— Otóż jak chodzimy ze sobą za zwierzem, takeśmy jeszcze ani razu nie powrócili tak wczesnie do domu.

, — Ej! wszystko to jedno, panie bracie,—rzekł na to tamten,— czy się wróci wczesnie, czy późno, zawsze się jedno zastaje.

— Jedno i jedno! — odpowiedział z westchnieniem Stanisław.

A potom znowu milcząc, odpoczywali. Aż odsapnąwszy dobrze, odezwał się znowu Stanisław.

-i- Tak mi się widzi, że jest dzisiaj wigilia do Niepokalanego Poczęcia Najświętszej Panny. Dawnego czasu w ten dzień, jako Sodoles mariani, odprawialiśmy przykładną pokutę z suchotami i modlitwami, śpiowało się tóż przytem piosnkę do tój naszej Patronki i działa nam się wtedy podobno niezgorzej.

— Dzisiaj, — rzekł na to stolnikowicz,— odprawia się codzień pokutę... ale o modlitwach i pieśniach prawie się zapomina.

, — Ot! chyba zanujemy, — rzekł łowczyc, — ja ją jeszcze pamiętam.

Jakoż przeżegnawszy się zaraz i pozdejmawszy z głów czapki, poczęli pieśń, która dwoma basami z ust ich wychodząc i brzęcząc koło nich, odnosiła mnioj więcej ten skład:

Witaj Pani! My poddani

Do nóg padamy!

Lecz nie insze mamy czynsze;

Które składamy: Tylko serca skruszone, Twojej czci poświęcone. Z takiej dani Śliczna Pani

Racz być kontenta!

Rzecz to jawna, żeśmy zdawna

Dług zaciągnęli, Gdyśmy z czystych, macierzystych Rąk szkaplerz wzięli, I dobrze nam w tej barwie, bo tych piekło nie zarwie Co szkaplerzem Jak puklerzem

Są uzbrojeni.

Ale za te tak bogate

Orderu znaki Cóż Ci damy?... Kie nie mamy Ziemskie żebraki! Tylko duszę i ciało, Weźże i to choć mało. A tak będzie Głośno wszędzie,

Żeśmy Twoi poddani!

Kie tak zbrojny podczas wojny

Żołnierz w szyszaku, Jak w zbawiennym, dwuramiennym Maryi znaku. Jeszcze kula nie była, by te suknie przeszyla, I granaty Od tój szaty

Odpadać zwykły.

Więc Tej Pannie nieustannie

Śpićwajmy dzięki, Żeśmy wzięli, znak przyjęli

Z Jój świętej ręki. Z Twoją suknią, gdzie była, szezśliwość się złączyła: Toć i Ciebie Panno w niebie

Ze znaku poznać!

Ale ledwie co tę pieśń skończyli i powiedziawszy Amen, po raz wtóry się przeżegnali, wstał zaraz

Bobowski, i spojrzawszy na

prawo, właśnie ku onej drodze wiodącej do Żernicy, wskazał palcem przed siebie i rzekł do łowczyca:

— Czy mi się tak zdaje, czy rzeczywiście jedzie tam ku lasowi jakiś pacholek na jednym koniu, a drugiego wiezie luzem przy sobie?

Łowczyc. wstał, a popatrzawszy tam także, rzekł:

— A jedzie... i to trzeba wiedzieć, że to Bartków pacholek i ono koń Bartków ten siwy, .co to z czarną grzywą i czarnym ogonem.

,— Hm!—rzekł na to Bobowski,—prawda... ale gdzież pan się podział?

Aż tu w tym momencie łowczyc obróciwszy się więcój na lewo, krzyknął:

— Hej! a toż tu znów twoje konie, panie bracie.

— Gdzie? — spytał Bobowski, obracając się za nim na lewo.

A ten znów na to:

— Ot! pomiędzy temi jodłami, kędy czarownicy chałupa...X5!

ot! już się schowały.

Pewnieżto moje konie? — spytał poważnie pan Józef.

. A. A jakże nie! — rzekł łowczyc stanowczo, — przecież dobrze widziałem. Stary kasztanek na którym jeździ twoja jójmość, tegom poznał pewnie, a drugie było białe i tak mi się zdaje, że to ona klacz zaprzężna, którąś kupił od Chojnackiego, a która ci jeszcze z onój piątki ślubnej została.

— Cóż, to ma znaczyć?—zapytał stolnikowicz, patrząc smutnie na swego brata.

— Co? trudno wiedzieć, —odpowiedział tamten, —ale już tak wypada, że tu gdzieś musi być Bartek, bo jego konie oczewiście ztąd powracały, i tu gdzieś także Barbarka.

— Hej! nie dajże tego Boże! — zawołał na to, zapalając się Józef, — bo człowiek siłą zniesie dla uniknienia ludzkich języków, ale kiedyby miała być hańba jaka, tedy może i jabym dał gardło, ale żebym im obojgu wszystkie kości połamał, to więcój jak pewna. Pójdę tam!—i puścił się prosto ku onemu lasowi. Ale łowczyc zawołał na niego:

. — Czekaj! tu chodźmyz obadwa.

Na to stolnikowicz się chwilkę zamyslił, ale wkrótce rzekł:— Dobrze.

I tak poszli obadwa.

I właśnie w tej chwili, kiedy taki nieład i kłótnia była w nieprzyjacielskim obozie, kiedy Ewa koniecznie usiłowała uprosić sobie to u młodej pary, aby się jak najprędzej rozeszli i kiedy Barbarka Bartka trzymając za rękę, już z gorącą niecierpliwością sprzeciwiała się temu i drwiła sobie z jej obawy i wszelkiego niebezpieczeństwa, — jeszcze raz się drzwi otworzyły u chaty i weszli obadwa bracia ślubni.

Piórwszy widok, który stolnikowicza uderzył, była owa bliz-

kość i czułość, w której tuż przy sobie stała ta para miłosna, — i jeżeli już w nim, nim doszedł do chaty, wszystka krew się wzburzyła, to teraz ta krew wszystka uderzyła do jego twarzy, wszystkie siły jego ducha zestrzeliły się w gniew i energią, jakoż trzęsąc się prawie cały, jeszcze we drzwiach rękę podniósł i straszonym głosem zawołał:

— Tak! moi państwo! to tutaj wasze drogi was wiodą!

Na ten głos, jakby wodą gorącą sparzeni, odskoczyli wszystko troje od siebie: Ewa na prawo ku kominowi, Bartek na lewo pod okno, a Barbarka pomimo całej siły swojego ducha, jak gdyby od kogo trącona, zatoczyła się w głąb świetlicy. Jednakże ona piórsza była, która przysła do przytomności, jakoż w jednym mrugnieniu oka wystąpiła wprost przeciwko mężowi, mówiąc dość głośno i silnie:

— Czego tu chcesz! czego mnie straszysz! zbieraj się i ruszaj do domu!

Widząc jaki obrót bierze ta scena, i Ewa także zebrała się prędko i nim jeszcze słowa Barbarki przebrzmiały, przyskoczyła do stolnikowicza, który stał tak chwilę nieruchomie, jak gdyby się w posąg kamienny obrócił, i zaczęła go prawie wypychać, mówiąc:

— Czego jegomość tu chcesz! ruszaj sobie z moją chałupy!

Ale wtóm się stolnikowicz ocucił i kiedy to krzyknie do żony:

— Milcz! ty potworo przekłeta! Koniec jest dni twoich haniebnych! — to aż się ściany w chałupie zatrzęsły, — a w tymże samym momencie Ewa, odtrącona silną ręką stolnikowicza, powaliła się jakby snop ciężki na ziemię.

I zrobiła się cisza, jak w grobie.

A śród tój ciszy Bartek, stojący dotychczas w pokornym osłupieniu pod oknem, otrzeźwił się trochę i ruszywszy się z miejsca, chciał się z po za łowczyca, który jak kolos rodyjski stał przy drzwiach i głową pułapu dosięgał, do sieni wysmyknąć. Ale łowczyc spojrzał ostro na niego i rzekł mu z flegmą ale stanowczo:

— Czekaj!

Na to Bartek się cofnął, ale też zaraz do niego w te słowa:

— Mości panie, znasz mnie, kto jestem, wiesz gdzie mieszkam, jeżeli masz do mnie pretensją, daję parol kawalerski...

Ale łowczyc patrzył na niego jak lew na małego węża i przerwawszy mu, a wskazując ręką miejsce pod oknem, rzekł znowu tym samym głosem:

— Tu czekaj!

Przeciw temu jeszcze raz protestował Bartek i skacząc niecierpliwie na miejscu, chciał coś mówić, ale łowczyc już mu nie dał i słowa powiedzieć, tylko rękę prawą wyciągnawszy nad niego, rzekł znowu z flegmą:

— Milcz i czekaj! bo zaduszę przed czasem.

I Bartek umilkł stanął pokornie na miejscu wskazanem, ale tak pokornie, że pomiędzy nim a tym, którego prowadzą na ścięcie; nie było żadnój różnicy.

Przez ten krótki moment, kiedy łowczyc uspokajał Bartka a stolnikowicz trząsł, się cały, opanowany gniewem i wzburzony do głębi, Barbarka, która twarz "rękami zakrywszy, stała pod ścianą drzwiom przeciwną, i Ewa, która się już zebrała ze ziemi, na- nowo się otrzeźwiły i jak gdyby jednym duchem natchnione, odważyły się na krok ostatni i rozpaczliwy. I rzuciły się prawie z pięściami na stolnikowicza. Ale i to już się na nic nie zdało. Stolnikowicz bowiem teraz obiedwie te kobiety jeszcze silniój odtrącił, tak że Ewa upadła aż na one kości pomiędzy koguta i węża, a Barbarka się zatoczyła aż pod ścianę i uderzyła ssbą o ławę tam pod ścianą stojącą. To wszakże odmieniło w okamgnieniu jej ducha. Jakoż tamże na ławie osłabiona usiadła i tak samo twarz swoją chustką zakryła, jako Julia, która dotąd niewidziana w ciemnym kącie chaty na łożu siedziała.

A kiedy już tak się uspokoiło po prawój stronie w świetlicy, obrócił się pan Józef do Bartka i spytał:

— A jakże będzie z nami, paniczu? — Ale łowczyc mu na to:

— Dajno pokój, panie bracie, to już będzie rzecz moja.

— Ale jam jest shańbionyl ja łaknę tej krwi diabelskiój! — zawołał pan Józef.

— Ale ja lepiej — odpowiedział z flegmą Stanisław, a obróciwszy się dor Bartka:

— Mości ponie! mógłbym tu zrobić z tobą, coby mi się żywnie upodobało. Mógłbym się pobawić z tobą do woli, mógłbym cię za uszy wytargać, mógłbym ci dać trzy tysiące batogów a potem cię poszarpać jak piórze i dmuchnąć w powietrze — i pewnoby to z tobą uczynił kto inny. Ale ja wiem także co honor kawalerski, chociażem w Paryżu nie bywał. Więc kiedy waszmość na- widzić?

— Kiedy się waszmości podoba — odpowiedział, wolniej oddychając, Bartek — jam gotów na każdą chwilę.

— O! tak: nic potem — rzekł łowAyc — boć tu trzeba będzie ład jakiś zrobić, bo to nie będziemy grać ze sobą o króski, jeno

sobie pójdziemy o gardło.

— Mój bracie! — zawołał na to Bobowski — pozwólże mnie tój satysfakcyi.

— Nie! — rzekł łowczyc stanowczo — ja go mam dawniej na oku i długo już czekałem tej okazji. Więc kiedy? — spytał znów Bartka.

— Co dzisiaj mamy?

— Środa — rzekł łowczyc.

— Więc w sobotę — powiedział Bartek.

— A gdzie? może tutaj in loco delicti?

— A gdyby u mnie? — zarzucił już całkiem przytomnie i nawet wesoło Bartek.

— Bene, — rzekł łowczyc, — ale parol! bo i na końcu świata wy najdę.

— Nie potrzeba będzie dalej szukać jak w Balogrodzie. Kar- sznicy nie uciekają z placu. Ściele się do nóg! — rzekł Bartek i wybiegł prawie ze świetlicy.

Pożegnawszy Bartka, obrócił się łowczyc do stolnikowicza i zawołał:

\* — Victorial panie bracie. Tak czy owak dał Pan Bóg, to Jego wola, ale że już koniec temu diabelskiemu panowaniu, to pewna. Bo dał ty radę twojemu wrogowi, wezmę ja teraz za łeb... — a wtem dojrzał Julią na łożu siedzącą, i poznawszy ją jednym rzutem oka, zawołał: — W imię Ojca i Syna! a to co takiego?

Stolnikowicz także . tę postać wybladłą obaczył i także się zdziwił, tymczasem zaś łowczyc, przystąpiwszy do żony, zapytał:

— A asińdzka co tutaj robisz?

Ale Julia już prawie była pół martwą, ledwie też zdołała wyszeptać półgłosem:

— Nic, panie mój... przyszłam tutaj przed chwilą i zastali mnie tak siedzącą...

— Co to jest! — krzyknął łowczyc, — zjazd jakiś na łysój górze! zmowa z czarownicami!

I porwawszy Ewę za obadwa ramiona, zatrząsł nią, że aż się cała twarz przekrzywiła tój babie piekielnój i zapytał:

— Co to była za schadzka! mów mi tu zaraz babo! zmawialiście się na nas? chcieliście nas potruć, czy pozabijać?

Ewa skostniała w jego rękach i ani słowa nie mogła wymówić, ale Julia, dobywszy jeszcze raz wszystkich sił swoich, wstała i rzuciła się do nóg mężowi, mówiąc ze łzami:

— Daruj, panie mój! ziem uczyniła, zem tutaj przyszła, ale żadnej zmowy tutaj na ciebie nie było... przysięgam ci!...

To chwyciło za serce łowczyca, jakoż podniósł żonę ze ziemi, i posadziwszy ją na łożku Orzekł:

— Wierzę ci, moje dziecko. Ale po co tutaj przychodzić? Siedźże tu, ja cię sam odprowadzę do domu.

Poczóm, obróciwszy się do Józefa, tak rzekł:

— ■ Panie bracie! Pan Bóg sam się nad nami zlitował i pokazał drogę, którą dalej iść mamy. Szanuj my ż się, ażeby...

A stolnikowicz przerwał mu, mówiąc tak:

— Wiem już, co dalej robić mamy. Moja żona godna jest męki najsroźszój i śmierci za tę hańbę piekielną, którą memu domowi przyniosła. Ale ja tego nie chcę. W^szakże nie odstąpię od tego ani na krok i musi na wieczne czasy zamknąć się w murach klasztornych. I chyba bym przy życiu nie był, gdybym od tego odstąpił! Ty zaś...

' — Ja, — rzekł łowczyc, — nie dajże tego Boże, ażeby mi ten pan mój wpadł teraz w ręce, bo duszą zionie w mych rękach. I dam ja już sobie z nim radę i potóm.

Więc zaraz wyszedł stolnikowicz w on lasek jodłowy, który chatę otaczał, i odszukawszy pachółka Barbarki, którego już przed- tóm widział i kazał mu czekać w pewnym miejscu, posłał go do siebie, ażeby wtenczas zajechał tam czwórkonny karabon i przyszło z nim kilku ludzi.

A kiedy w krótkim czasie ten karabon zajechał, wsadzono doń i na wpół umarłą Julią i szamocącą się od gniewu a wciąż W" ziemię pogładającą Barbarkę, i kazano jechać do dworu stolni- kowicza. Koło wozu szli pieszo obadwa bracia ślubni, a za wozem prowadzono związaną na rękach i to proszącą się, to przekleństwa miotającą Ewę. I tak ten kondukt wjechał wolnym krokiem w dziedziniec żernickiego dworu, a chociaż był milczący i smutny i mocno trącił pogrzebem, jednakże więcej był do jakiegoś małego wjazdu tryumfalnego podobny, zwłaszcza że za pićrwszem wejściem można było poznać zwycięzców, jakoż też i na jeńcu nie brakło.

Zajechawszy przed ganek, najpierw zaprowadził stolnikowicz swoją żonę do izby narożnej, która kratami była zaopatrzona i niegdyś nieboszczykowi stolnikowi za izbę depozytową służyła, i ten apartament jój na mieszkanie naznaczył. Zadrzała na jój progu Barbarka i ciężko westchnęła, ale nie było co mówić, bo jeszcze to było bardzo łagodne obejście się męża onego czasu za tak ciężką przewinę. Józefka została odepchnięta od pani, a do jej posług wyznaczona stara klucznica, której zagrożono utratą gardła wszelkie niedopełnienie rozkazów. Oprócz tego na straży przy drzwiach tej izby postawił stolnikowicz starego karbownika, który sam przez się dobrze się zabrał do obowiązku stróża, bo czuł jeszcze dobrze dawną władzę tej pani, — wszakże tej ostrożności nie tak wiele było potrzeba, bo Barbarka, wszedłszy do swego więzienia, zaraz się rzuciła na łożo i nie było wątpienia, że ją lada dzień opanuje jakaś silna choroba.

Ewa tymczasowo została wtrąconą"do lochu.

Oprócz tego natychmiast stolnikowicz cały dom wywrócił do góry nogami, a łowczyc go już nie odstąpił, póki restauracya dawnego pana nie została wprowadzoną zupełnie i dawny porządek Przywrócony w każdym zakątku. Jako?, chociaż już się słońce zniżało ku zachodowi, przywołani zostali wszyscy słudzy przed ganek; ci, którzy przez panią byli poprzymowani i złymi się okazowali przeciwko panu, odpędzeni natychmiast, drudzy zostawieni<sup>1</sup> nowym rygorem obostrzona ich służba, a po starych, niegdyś Przez Barbarkę samą albo z jój poduszczenia pooddalanych, po-<sup>1</sup>ozsólani posłańce.

Potóm łowczyc doradził, ażeby otworzony został lamus, strzelby ponabijane i wszelka broń opatrzona natychmiast, i ażeby



dom był dobrze służbą obsadzony i pilnowany przez całą noc, i następne, na wypadek jakiego zajazdu, któryby mógł być łatwiej przedsięwziąć szalony Bartek. Poczem jeszcze, zawsze chłodno myślący, dziedzic Zerniczki wziął od stolnikowicza parol kawalerski i prawie przysięgę: że żony swojej, gdyby nawet konała, widzieć nie będzie, że wytrwa stale w nowój swój roli i w każdym wypadku do ostatniej kropli krwi odzyskanych praw swoich bronić będzie i że bez niego nic stanowczego nie przedsięweźmie — i pożegnawszy go, zabrał żonę swoją na wóz i odjechał do domu.

I tak prawie w jednóm mgnieniu oka stało się to, czego się nikt nie spodziewał, i w takim właśnie czasie, kiedy po wszech- władności Barbarki i głębokim upadku stolnikowicza nikt się żadnej odmiany spodziewać nie mógł, i tak szybko to wszystko, że śród nawału uczynków nikt nawet nie miał czasu nad niemi pomyśleć, ale nióma to dziwić nikogo.

Podobnie także jak stolnikowicz, postąpił sobie i łowczyc w swym domu, jednakże z niejakiemi odmianami — i sprawiedliwie, bo tam położenie rzeczy było cokolwiek inne. Jakoż najpierwóżyż Julia nie doznała od niego tak surowego obejścia, jak od stolnikowicza Barbarka. Nie była ona ani źródłem, ani tóż nawet środkiem wszystkiój tej nędzy i niedoli, która tak nielitościwie i przez czas tak długi w swoich więzach męczyła dziedzica Żerniczki. Nie była tóż to zresztą i taka istota, z którąby można było się obejść surowo. Zawsze cicha, zawsze pokorna i skromna, w razie pokazania się nawet winy jakiej popełnionej przez nią, jednóm słowem, jednóm spojrzaniem była, ona w stanie rozbroić i najsurowszego sędziego. Tómi bardziej tóż dzisiaj, kiedy i wina żadna na nią nie spadła i siły ją tak opuściły, że ją na rękach z woza zaniesiono do jój sypialni. Nie tylko więc łowczyc nie obszedł się z nią ostro lub surowo, ale przeciwnie, ani jój nawet nie dał poznać żadnój od siebie niechęci, żadnego nieukontentowania i taką ją troskliwością i staraniem otoczył, — że jeżeli nigdy, to teraz pewnie ją ujął i pozyskał dla siebie.... i uczuła to Julia, i całowała ręce jego a mówić wiele nie mogąc, łzami mu dziękowała.

Ze sługami atoli z daleko większą jeszcze energią obszedł się łowczyc niż stolnikowicz: nietylko bowiem daleko silniój i porywczej pochwyił on zdradliwie 'wydarte sobie berło do ręki, ale tóż zaraz actimtałem tój odrodzonej władzy swojej — jak to samo późniój. powiadał, kilkuset bizunami, rozdanemi naprędce pomiędzy te sługi, które się całkiem przewierzgnawszy do jego wroga, jego urągały nieszczęściu — wprowadził w życie i zakonfirmował.

Tak posadziwszy się w mgnieniu oka na majestacie praw swoich, poszedł potóm do matki, która to gorzój to lepiój się miewała w swojej chorobie i zakomunikował jój radosną swego zwycięstwa wiadomość: ale staruszka ta, jak dawniój nic nie wiedziała i nie pojmowała synowskiój nędzy i niedoli, tak teraz cale niezro

zumiała zwycięstwa. To zadziwiło niepomału łowczycę, ale nie miał co temu się dziwić, boć i tacy ludzie bywają na świecie.

Potóm usiadł łowczycę na ławie i ciągle w bramę poglądał, czy nie pojawi się Pakosz. I niecierpliwił się trochę. On już byłby chciał, żeby mu się jaknajprędzej ten nieprzyjaciel pokazał, żeby go dostał w swoje ręce i już na jednym dniu skończył tę wszystką około siebie i swego domu robotę. Ale Pakosz — zawiadomiony natychmiast przez Bartka o wszystkióm co się stało i zaproszony przez niego do Balogroda na wspólną naradę — nietylko że ze strachu i trwogi ani myślał nogą stąpić nateraz w Żerniczce, ale i Bartka nawet, swego współnika, sprzymierzeńca i dobrodzieja, jaknajhanebniej się wyrzekł i odstąpił.

Więc kiedy go się nie mógł łowczycę u siebie doczekać, przestał już go wyglądać, a natomiast począł zwolna sobie myśleć nad sobą i nad wszelkiemi temi wypadkami, które w tak krótkiej chwili ich braterskiej niedoli tak gwałtowną i stanowczą pomoc przyniosły; i kiedy to wszystko przemyślał, w takiój niezwykłej poczuł się sile, że ani mógł myśleć inaczej\* jeno że walka z chytro- ścią i przemocą, dziś przez nich poczęta, najdalej za dni kilka najzupełniejszóm się zakończy zwycięstwem, i widział już wszystko złe usunione, a siebie i brata w dawnym jasnym pokoju i szczęściu: — ale przecie z tego wszystkiego nic go tak nie dziwiło, jak to: czemu oni obadwa przez tak długi czas tak cierpliwie to brzemień znosili i czemu już dawniej go nie zrzucili, kiedy to była rzecz taka łatwa i niewielka?

Ale nie umiał sobie na to pytanie inaczej odpowiedzieć pan łowczycę, jak tylko: że już taka była w tem wola Pana Boga.

W dzień Niepokalanego Poczęcia Najświętszej Panny rozeszła się po całej -sanockiej ziemi wieść stugębna i dziwnie ciekawa, opowiadająca coraz to w inny sposób jakieś nadzwyczajne wypadki, które dniem przedtym zajęły w domach obudwóch braci ślubnych i w całej tamtejszej okolicy. A wieści tój, jakkolwiek gdziekolwiek nawet zupełnie opowiadała niepodobieństwa, tem chętniej wszędzie dawano wiarę, ile że, jakeśmy to sami widzieli w łatesowej winiarni, pospolicie wiedziano o jakichś wielkich nie- fortunnościach domowych, które zarówno przygniatały obudwóch braci ślubnych, a pomimo wszelkich zawiści i^stronniczości sąsiedz- kiej, przecie im wszędzie prawie najlepiej życzo..

Do jakich potwornych baśni ten niewielki domowy wypadek wyrósł w niektórych miejscach, nie będziemy tutaj powtarzać, bo komuż niewiadome przysłowie: słówko wyleci wróblem, a wraca wołem? — wspomniéć wszakże należy, iż główną przyczyną i tak szybkiego rozejścia się i tak potwornego rośnienia i przekształcania się tój wieści nie był nikt inny, jak raz pan Bartłomiej Kar- sznicki, który wzywając pana Urbańskiego na sobotę na sekundanta, przez omyłkę był napisał, że z obudwoma braćmi ma zwodzić bitwę, co zaraz dało powód dp wieści, że. całemi hufcami bić będą na siebie, a przekształciło się wkrótce w jakąś dziwną wiadomość o nastąpić mającój wojnie powiatowej; — a powtóre znowu sam łowczyc, który zapraszając do siebie pana Pieniązka i Sobolewskiego na świadków, jako to pisarz nie tęgi i do tego jeszcze pod świeżóm wrażeniem tak ważnych dla siebie wypadków piszący > takie jakieś im rzeczy popisał, które, nie dając jasnego wyobra-

żenią o samym wypadku, nie mogły najdziwniejszych nie urodzić domysłów i baśni.

I te baśnie, lubo pędem błyskawicy cały powiat obiegły, nie zrzędziły żadnego ważnego zdarzenia, stały się wszakże powodem tego, że w sobotę po Niepokalaném Poczęciu Najświętszój Panny tłumy szlachty zajęchały na zamek do Balogroda.

Widząc to, Bartek sam nie wiedział, co o tóm rozumióć, i zdawało się jemu zrazu, że to jest zajazd poprostu, że do pojedynku pomiędzy nim a łowczycem wcale nie przyjdzie, jeno że go ta szlachta brem manu rozsiecze, i zwierzył się z tem swemu sekundantowi; ale sekundant wcale go nie pocieszył, bo rzekł mu prawie te słowa:

— Panie bracie! ja wcale za to nie ręczę, co "Się stać może, bo tu u nas od najdawniajszych czasów ten zwyczaj, że na kogo kruki, na tego i wrony, a tembardziój teraz, kiedy jest za co. Wprawdzióć ja tego nie myślę, żeby uderzyli kupą na ciebie, bo to rzecz nie szlachecka i tego tu nie bywało; ale że po sprawieniu się z Osuchowskim, będziesz musiał stanąć i temu i owemu jeszcze, to już nióma co mówić.

Bartek patrzył mu w oczy i bladł i tracił ducha przed czasem, ale przecie się jakoś ocucił; wypił wina butelkę naczco i nie- tylko że nie .pokazy wał trwogi po sobie, ale jeszcze drwił sobie ze szlachty i wymyślał. Wszakże zdaje się, że inaczej było tam w sercu, a jeżeli determinacya była na ustach, to była to deter- minacya rozpaczy.

Tymczasem po rannym przymrozku śliczne słońce wzeszło na niebie, blade cokolwiek i przytłumione, ale tem tóż piękniój a smutniej oświecało tę ziemię, która zwiędłą zielenią okryta, mdlała w przedśmiertnój niemocy. W tóim bładem świetle dziwnie ponuro wyglądała owa zamkowa ruina, która obwieszona ze wszech stron zielskiem uschniętóm, szaremi kamieniami świeóca i gruzem obsypana, zdawała się jeno czekać na tę chwilę, w którój ostatniemi ścianami swemi będzie się mogła położyć na ziemię. Prócz zamku, równie smutny był widok dziedzińca, któren służy Bartkowi na plac bitwy umiatali, i przytóm, jakimś niedobróim natchnieni przeczuciem, głowy spuszczałi ku ziemi, potem je ukradkiem obracali ku sobie i coś tajemniczo szeptali.

Wszakże szlachta nie uważała nic na te smutne widoki, jeno chodząc kupkami po dziedzińcu i po ogrodzie, zwawo coś rozmawiała; inni szli na górne pokoje i bez żadnego względu tłumnie się kręcąc tamtędy, oglądali Bartka zdaleka. I zdawało się, jak gdyby Bartek już umarł i leżał na katafalku, a ci przyszli jego ciało nawiedzać.

A kiedy jedna godzina minęła od wschodu słońca, wjechał na siwym koniu, w wszelką broń opatrzonny jak do potrzeby, pan łowczyk. Po prawicy mujechał na koniu srokatym, widzisz dia

ble Pieniążek, a po lewój, na wiszniowo-gniadym z łysiną, pan Sobolewski.

Szlachta, obaczywszy ich, wszystka ku nim wybiegła, witając i krzycząc, niektórzy nawet niewiedziąc z jakiej radości czapki w górę rzucając.

Poczóm łowczyc zlął z konia i nic nie mówiąc, a rozebrawszy się z wiórzchnich sukien, stanął z jednym sekundantem na placu, drugiego zaś wyprawił do Bartka z wiadomością, że już jest i czeka go niecierpliwie.

A szlachta tymczasem, przypatrując się olbrzymiój postaci łowczyca i jego sile, z jaką dzierzył ogromną szablę w prawicy, mówiła sobie półgłosem:

— Bogaby nie było na niebie, gdyby tylko gdzie drapnął on linoskok takiego rycerza.

Inni zaś mówili:

— Ej! drapnąć może, bo zwinny i lekki, ale nie podola.

Dlatego mówili trzeci:

•— Panie bracie, nie wdawaj się w żadne sztuki, jeno bij w łeb z góry i koniec.

Aż tu leciuteńko i ledwie dotykając się ziemi, z małą szablęką w ręku, wybiegł Bartek ze swymi sekundantami i stanął na placu.

I zrobiła się cisza uroczysta lecz straszna, — a niektórzy co czulsi<sup>na</sup> sercu szeptali sobie z cicha:

"Przecie to jest nic więcej, ano ludzka rzeźnica.

Stanąwszy Bartek na placu, pokłonił się szablą łowczycowi, a<sup>w</sup> łowczyc jemu głową, — a śród tój ciszy odezwał się Bartków sekundant w ten sens:

— Zwyczajem to jest od niepamiętnych czasów, że świadek bitwy pojedynkowej, albo jak mówią nowsi sekundant, powinien przed poczęciem bitwy obydwie strony conare nakłonić do zgody. Anóż już tu jenoby był z tego śmióch. Ale to mi się powiedzióć godzi, lubo klient mój, naszemu zwyczajowi dość czyniąc, stanął ze szablą na placu, przecie jako niezwyčajny tój broni i sprawę tę uważając za więcój ważną, niżeliby jój wyrównać mogła broń biała, proponuje, ażeby od razu precz rzucić żelazo, a wziąć w rękę po pistolecie albo i po dwa, a strzelać do siebie.

Ale na to uczyniła huk wielki szlachta. Więc wołali jedni:

— Nie, nie! na szablę niech idą! — A drudzy:

— Ho ho! niesprawny do broni! a któż Gumowskiego posiekał?,—A inni:

— A cóż to? zwierzę to, czy ptacy? kula tylko do łowów albo do wojny!

Więc wszyscy:

— Nie pozwalamy! niech się biją na szablę!

— Widzisz' diable, niema co. gadać. Macie waszmość broń w rękach, poczynajcie w imię Boże.

Na to złożyli się zaraz obaj zapaśnicy. I poczęła się bitwa; ale\* była to dziwna bitwa w swoim rodzaju, jakiej najstarsi nie pamiętali ludzie. Cała rzecz nie trwała tyle czasu, ile go potrzeba, ażeby się przeżegnać. A żeby to zrozumieć dokładnie, co i jak się stało, potrzeba wiedzieć, że Bartek, jako to człek przezorny i sztukę szermierską doskonale rozumiejący, widząc że siłą nie pokona łowczyca, umyślił sobie pokonać sztuką. Jakoż wynalazł sobie fortel i, jak się na to wszyscy znawcy zgodzili, wyrachował tak, że miał zaraz przy złożeniu się całą siłą odbić pałasz Osuchowskiego i przyskoczywszy, przebić go w oka mgnieniu. Cięcie takie a raczój pchnięcie, przy bitwach pospolite, tutaj jednak przy bitwie na szable i przeciwko takiemu szermierzowi zaaplikowane, który był przyzwyczajony bić się tylko krzyżową sztuką i zrazu zwolna i zdaleka zajeżdżać, mogło się udać doskonale i w jednym mgnieniu oka pozbawić życia nawet najtęższego rębacza, wszakże przeciwko tak silnemu mężowi jak łowczyca użyte, stało się tylko zgubą dla Bartka.

Kiedy bowiem Bartek, prawie pewny swego fortelu, jeszcze nawet dobrze się nie złożywszy, w mgnieniu oka uderzył z całej siły po wprost wyciągniętej ku sobie szabli łowczyca, to ta szabla ani na cal jeden nie ruszyła się z miejsca i tylko klinga z dźwiękiem, zadrżała, czóm zawiedziony a zapórzonny Bartek już źle skoczył i całkiem bezskutecznie; a w tymże momencie padło z góry cięcie na niego, — i już tylko widziano, jak szabla jego się podniosła do góry, nogi pod nim w kolanach się zgięły, runął na ziemię i w potokach krwi własnej się zanurzył.

Na taki "widok, który mniój do bitwy a więcej do katowskiego ścięcia był podobny, pomimo to\*" że wszystka przytomna szlachta była nieprzyjacielem Bartka, strach wielkooki osiadł na wszystkich twarzach. Przyskoczono do leżącego, który prawie pływał w krwi własnej i pochylono się nad nim, ale on już tylko zwinął się nogami ku jednej stronie, raz jeszcze oczy przewrócił i skonał.

Opatrzono go bliżej — i pokazało się, że cięcie padło w miejsce pomiędzy lewóm ramieniem i szyją, i było tak silne, że obojczyk był cały przecięty, deka piersiowa rozszczypana, a lewa ręka z łopatką tak osadzona całkowicie, że się odwróciła na stronę przeciwną i tylko wisiała przy kadłubie.

To dziwowisko, które okropnie przerażało nawet serca najtwardsze, wszyscy oglądali z kolei, ale kaSden oglądający szedł w milczeniu na stronę — i była uroczysta cisza lecz straszna, taka sama po bitwie, jaka była przed bitwą.

Łowczyca tylko z krwią zimną i twarzą spokojną stał na swém miejscu i chustką szablę skrwawioną obcierał.

A kiedy tak wszyscy stoją, więcej grozy niż radości okazując f tego tak okropnego zwycięstwa, zjawia się nagle pomiędzy stojącą do koła szlachtą stary kapelan. Miał swój płaszcz pielgrzymki z peleryną na sobie, zakonnicy pasek na biodrach, wielki ko

stur podróżny w ręce i szablę przy boku. Wszyscy dziwnymi oczyma nań poglądnęli i w milczeniu się odsunęli od niego ► — on zaś podniósł rękę do góry i rzekł uroczystym głosem:

v — Consumatum est/ ale módlmy się za dusze nieprzyjaciół naszych.

Poczóm uklękawszy, przeżegnał się i począł głośno mówić paciórz za dusze zmarłe.

To widząc, szlachta uklękli wszyscy do koła i ze złożonemi rękami powtarzali nabożne słowa za księdzem.

Tak zamiast tryumfów i głośnych okrzyków, poważne milczenie i uroczysta modlitwa zakończyła to od wielu a prawie od wszystkich upragnione zwycięztwo. Nieprzyjaciel po swojej śmierci był już dla nich tylko chrześcianinem i bratem, a łaska Boża, która poszczęściła ich orężem, natchnęła wszystkich tylko skruczą i pokorą przed Tym, który z Swój ręki wszechmocnej rozdaje klęski i zwycięztwa.

Tak skończył ten francuzki kawaler swoje szalone, bez wiary w Bogu i religijnego cnót prawdziwych pojęciach wiedzone życie, a szczęściem jego, że je skończył pomiędzy ludem chrześciańskim, bo przynajmniej przy jego śmierci posłane zostały za nim do Boga te modlitwy, których sam nie umiał posyłać za życia.

Po pacych i zanieśieniu ciała na zamkowe pokoje, przy którym jako przyjaciel tego imienia zostać i wszelką przysługę uczynić zobowiązał się ks. kapelan, szlachta w równie poważnem i statecznym usposobieniu rozjechała się do domów. Z nimi razem odjechał i lowczyc.

A przyjechawszy do siebie jakoś zaraz z południa, zastał już tam stolnikowicza, który już świadom i pewien cnoty swojej, nie obawiał się być w bliskości dawnój swój kochanki, i w niecierpliwości nowin z placu boju, z pomiętą czapką na głowie i przekręconym pasem na brzuchu, aż po za bramą chodził po drodze, w tę i w owę stronę poglądając, ażali kto nie nadjeżdża. Nadjechał lowczyc z obudwoma swoimi sekundantami, ale brat jego, obaczywszy go zdrowego i całego, już nie potrzebował żadnego opowiadania. Jakoż przypadł zaraz do niego i ściągawszy go z konia przed bramą, wśród uścisków i łez długo mu nie dał i \*słowa powiedzieć." Przecie nakoniec opowiedziano mu całą rzecz ze szczegółami.

Więc kiedy się dowiedział pan Józef, że zginął i jak zginął Bartek, srodze się zafrasował i zawołał z westchnieniem:

--- I Drogoż mu przyszło zapłacić tę winę przeciwko mnie! —

a potom ręce złożywszy i oczy podniósłszy do nieba: — Panie! przyjmij tę śmierć jego za karę i zbaw duszę jego!

Potóm prosił lowczyc wszystkich swych gości na przekąskę do siebie i wymawiał się, że\* lada czóm ich przyjmuje, bo mu obiedwie gospodynie zaniemogły i kuchnia je.st na łasce sług tylko; ale był to dzień taki, w którym nikt o jedzeniu nie myślał

i na tłumaczenie się nawet nie zważał. Więc co było, było aż nadto dobrze.

Po obiedzie, że to dzień był dziwnie ciepły i tak prawie jak śród lata, wyszli wszyscy na ganek i tam na ławach usiadłszy, z takim zajęciem jeszcze rozmawiali o dzisiejszym wypadku, że im parę godzin minęło, jak jedno oka mgnienie.

A kiedy słońce na godzinę przed zachodem dziwnie poczerwieniało i tym smutno konającym promieniem oświeciło dziedziniec i dwór i wszystkie budynki, pokazał się w bramie starzec jakiś, który w prawóm ręku prowadził tuż przy sobie jakieś nieodrosłe pacholę. Starzec był ubrany w siermięgę, z grubego prostego sukna kontuszowym krojem uszytą, pod którą było widać żupan gruby płócienny, na głowie miał czapkę rogatą zasmarowaną, a przy boku szablę w węzowój pochwie. Pacholę zaś miało na sobie barwę jakiegoś pana, jaką zwykle dawano niższym służalcom po dworach, ale szaty te były tak zdarte i wypłowiałe, że nie można było myśleć, żeby mu je były dane wśród służby, jeno że go ktoś niemi z miłosierdzia opatrzył.

Starzec ten wyglądał na zubożalego szlachcica zagonowego, jakich mnóstwo włóczyło się wtenczas po kraju; wszakże z domysłem tym o nim i widocznie jego ubóstwem dziwnie zkądinąd nie kwadrował chód jego dumny i prawie wyniosły, z którym śmiało zbliżał się ku gankowi. Jakoż przystąpiwszy do samych wschodów, z lekka tylko ruszył czapkę na głowie przed siedzącymi tam panami i rzekł do nich: .

—Ej Niechaj będzie pochwalony Pan Jezus.

— Na Wieki wieków, odpowiedzieli wszyscy, a pan Pieniążek dodał półgłosem, przypatrując-się pilnie przybyłemu.

( — Widzisz diable, kędyś znałem takiego człowieka.—A wtóm znów starzec:

— Raczcie mi waszmość powiedzić, któren tu jest pomiędzy wami jmé pan Osuchowski?

- — Ja,- — rzekł na to łowczyc, pokazując na siebie palcem i nie ruszając się z miejsca.

Na to przypatrzył mu się pilnie przybyły, zdjął czapkę z głowy, i załamawszy ręce, rzekł smutno:

√ I — Małoż podobny do nieboszczyka Fryderyka!.. Panie! świeć duszy jego!

Od takich i tym podobnych frazesów, to jest od przyznawania się do znajomości wszystkich familijnych nieboszczyków, zwykła b> ła poczynać swoje perory wszystka ona wędrowna szlachta, która chodziła za łatwym chlebem po dworach zainożniejszój swej hrąci: uśmióchnęli się tedy na te słowa starca wszyscy trzój inni, ale łowczyc, dla którego, jak nam to wiadomo, zawsze świętością prawie było każde o jego ojcu wspomnienie, wstał zaraz i z zajęciem zapytał:

— Kogóż mam honor przyjmować w progach moich?



— Jestem Michał Dzianott, — rzekł na to starzec, — niegdy wojewody sieradzkiego dworzanin, potem kapitan wojsk polskich cudzoziemskiego autoramentu, niegdy także dziedzic połowy Zahoczewia i dziś wszelkie prawo do tej posesyi mający, ale haniebnie z niej wyrugowany, ze wszystkiego obdarty i jak to waszmość widzicie, na żebraka puszczoney.

— Jesteśli waszmość mego teścia stryjecznym? — spytał ciekawie łowczyk.

— Jestem jego rodzonym, po jego ojcu i matce, rzekł na to starzec.

A wtóm pan Pióńiązek wstał z ławy i przystąpiwszy do niego, podał mu rękę i rzekł:

— Jak się masz, panie Dzianott! czy to mnie nie poznajesz?

A starzec, przypatrzwszy się jemu, pociórał tylko czoło

i mówił:

— Coś, coś mi się kręci... ale nie mogę sobie przypomnióc. Nie dziw tóż to, mości panie, długo się żyje na świecie, wytarło się wszystkie kąty i niemało się ludzi znało swojego czasu,

--- A cóżto, widzisz diable? — zapytał Pióńiązek, — nie pamiętasz? lat temu będzie dwanaście... w Łęczycy... kiedy to, widzisz diable, poszedłem był z kilką tamtejszej szlachty o cześć szabli sanockiej i dał Pan Bóg ich trochę poznać... a potóm w nocy, kiedy to szlachta kupą uderzy na moję gospodę, że widzisz diable, już tak ciasno było jak w myszój dziurze, a gorąco jak w piekle... hój! kiedy to hukniesz, widzisz diable, z dragonią...

— A ha, ha! — krzyknął na to starzec, — odroważ! sanocza- nin! — a potóm rumieniąc się i z oczyma roziskrzonymi, a młó- dzieńczymi prawie gestami: — Hej, hej! inneż to były czasy! ale już to minęło! — rzekł starzec, łzę ociórając z oka, — dzisiaj żebrak i z synem żebrakiem.

A pacholę spojrzalo na ojca i zapłakało: Więc na to pan łowczyk:

— Ależ, mości Dzianott, jakimże "sposobem wyszedłeś ze swojój fortuny?

— Jakim? — zawołał starzec — zawierzyłem bratu i okradł mnie, obdarł, zrabował, dziecko mi oddał pomiędzy ludzi, aby w piecach paliło, i chciał mi je zaprzepaścić na wieki! Po to tu do waszmości przyszedłem. Jesteś zięciem mojego brata, którego się wyrzekam i klnę na wieczne czasy, jesteś szwagrem tego łotra, który naokradawszy się ludzi w Warszawie, zdrady tam jakieś, przemieszania, fałszerstwa poczynił, uciekł i wieś moję kupiwszy, skrył się tutaj przed światem; ale tyś jest człek godny i uczciwy» i spodziewam się, że mnie nie zawiedziesz, że podasz rękę, że pomożesz... a jeżeli nie mnie, to temu pacholęciu biednemu, które może już dni kilka nie jadło! a powinno by jeść dobrze, bo mu się należy połowa Zahoczewia i kilkanaście tysięcy.

— Więc proszę usiąść i proszę nam opowiedzieć ładem, co i jak było? — rzekł łowczyc, ale zaraz zapytał: — a możeby się pierwój czymkolwiek posilić?

—: -Nie — odpowiedział Dżianott — usiądę, ale żadnego posiłku do ust nie wezmę, póki na mojom dziedzictwie nie siądę. Takem to Panu Bogu i pacholęciu memu zaprzysiągł.

Poczóm chustką pot z czoła otarłszy, zaczął opowiadać swoją historiją. Więc opowiadał, jako ich dwóch było u ojca, on starszy, i kilkoma latami od niego młodszy ojciec Pakosza, jako jego małym chłopcem ujrzawszy, upodobał i wziął na dwór swój jw. wojewoda sieradzki; jako u tego pana, dosłużywszy się już rangi piórwszego dworzanina z laffą tysiąca złotych i przyzbiorawszy sobie kilka groszy, byłby może został do śmierci, ale że w skutek burdy jakiejś, uczynionej w oczach pańskich, odejść musiał ze dworu; jako się potóm namyślał co z sobą czynić, jako wtem pisał do, ojca żyjącego jeszcze natenczas, jak mu brat w imieniu ojca złożonego chorobą odpisał, żeby mu się ani pokazywał na oczy i jako właśnie wtenczas Pan Bóg litościwie wejrzał na niego, bo równo prawie z listem braterskim oddano mu list drugi, w którym w. Kapenhauzen, generał wojsk polskich cudzoziemskiego autoramentu, niegdy świadkiem jego burdy będący na zamku, oświadcza mu pożałowanie od siebie i ofiaruje rangę kapitana w swoim pułku dragonii. Nie namyślał się tedy długo pan Michał, jeno tę rangę objął natychmiast a bratu odpisał, że może już sobie teraz śmiało swoje sprawy forytować u ojca i zasiadać spokojnie na gospodarstwie w Zahoczewiu, bo on go tak prędko nie ruszy. Wkrótce potóm ojciec ich umarł a brat jego rzeczywiście zasiadł na Zahoczewiu. Tymczasem pan Michał się ożenił, ale niewiele szczęścia mu przyszło z tego ożenienia; żona jego bowiem, dawszy mu syna, pożegnała się z tym -światem. Dziecko to chował zrazu przy sobie, ale kiedy kompania jego dostała ordynans, ażeby wyszła na trzechletnią wojnę na kresy, trudno miał tam z sobą brać dziecko. Odesłał je tedy do brata i posłał mu przyzbieranych swoich dwanaście tysięcy i potóm, włącząc się z miejsca na miejsce po kraju, co roku mu coś na dziecinę posyłał. Teraz, już stary i potyrany, a pewny swojego dziedzictwa i sumki spoczywającój u brata, a nadto jeszcze do wiana po żonie prawo mający, podziękował za służbę i najpiórw się udał do krewnych żoninych po należąca się dziecku jego sukcesyą. Ale tam zaraz odprawiono go z kwitkiem — więc nie zostawało mu jak się uciec do sądów. Więc zasiadł tam i przeprowadził sprawę przez gród i ziemstwo i już się był całkiem na ten proces otrącił i chciał już wszystko porzucać. Ale mu powiadali legiści po staremu: gród smród, ziemstwo kiepstwo a trybunał grunt

.więc

> poszedł do trybunału. A na trybunale nietylko przegrał sprawę, ale już wyjść musiał z Piotrkowa piechotą. Wszakże jeszcze nie desperował i chociaż o proszonym chlebie, szedł jednak wesóło

do brata. A kiedy przyszedł, brat go się wyparł i powiedział, że go nie zna i jego dzieciny nie widział na oczy. Takie niespodziewane przyjęcie prawie pomieszało mu zmysły i odeszedł ze zamku, nie chcąc wstydu i hańby ściągać na swe własne nazwisko. I szedł tak prosto w świat, sam nie wiedząc gdzie idzie i śmierci tylko prosząc sobie u Boga. Jednak nie uszedł daleko, bo w jakimś miasteczku tej ziemi ciężka choroba go z nóg powaliła i przeleżał tam na łasce jakiegoś mieszczanina parę miesięcy. A kiedy wstał i dziecinę swoją przypomniał, znowu poszedł do Zahoczewia. Ale na zamku nie zastał już brata, jeno Pakosza, który zasiadł na całej wsi, jako jej prawy właściciel. A kiedy się rozmówił z Pakoszem, widział że to jeszcze brzydszy łotr, niżeli jego ojciec. Więc zdesperował i pytał ludzi o swoją dziecinę, a kiedy się dowiedział, że tu była przed laty, ano że ją oddano jakiegoś starej klucznicy — poszedł w świat za dzieciną. I przez rok cały chodził światami \*— ale napróżno.. Aż teraz, nocując w jednej żydowskiej gospodzie przy gościńcu, usłyszał rano wymówione swoje własne nazwisko. A potem słowa: — Dziańott! a sień jeszcze nie zamieciona, a słońce już wschodzi. Ruszajże! leniuchu!— To go już całkiem otrzeźwiło. Zerwał się tedy z łoża i wybiegł do sieni — i ujrzął tam z "miotłą w rękach chude, wynędzniałe pacholę. Przypatrzył mu się, wypytał i poznał swego własnego syna! Dziecko swoje rodzone na najpodlejszej. służbie w karczmie żydowskiej!

— I cóż waszmość mówicie na to? — zapytał starzec swoich słuchaczy, i chciał dalej coś mówić, ale lży mu się rzęsiście puściły z oczu i wszelki głos zatłumiły.

A na szlachcie zrobiło to wielkie wrażenie, i lży im także pokazały się w oczach, a od oburzenia nic mówić nie mogli. Więc starzec prędko lży utłumiwszy, bo już go do nich nędza dobrze przyzwyczaiła, tak znowu:

— Nie radbym, nie chciałbym plamy rzucać na moje własne nazwisko! nie chciałbym hańbą pokrywać to imię, które, tak mi Boże dopomóż! przez całe życie w brylantowej chowałem czystości! I niechbym ja już domarł głodem tój reszty dni moich i niechbym umarł gdzieś przy drodze, pod płotem, i niechby mojego trupa pochowano gdzieś z łaski, jak trupa znalezionego żebraka, i niechby już i pamięć zaginęła, zem żył kiedy na świecie,— a niechajby ta krzywda moja zaumarła ze mną na ziemi i nie powstała prędzój, aż w dzień ostateczny: ale patrząc na tego nędznego robaczka, na tę krzywdę piekielną, wyrządzoną niewinnemu dziócięciu, powiódźcie waszmość sami, czy mogę ja milczeć?..jH

— A! nigdy! — zawołali wszyscy czterej przytomni, — nigdy! siadaj waszmość z nami, my wszyscy tam pojedziemy.

— Tegom się po was spodziował, rzekł starzec spokojnie,— bo taka zawsze była ta szlachta. Nie znałem jój, lecz wiem to z opowieści.

Więc zaraz kazano zaprzęgać do kałamaszki i wsadzono do niej starca ze synkiem, tamci zaś czterój panowie wsiedli na konie i po obudwóch stronach z wielką miłością i uszanowaniem konwojowali tego poczciwego starca, chociaż był w łachmanach.

A kiedy wjechali w dziedziniec zahoczewskiego zamku, zastali tam ruch niezwykły i kilka wozów stojących w dziedzińcu. Pytali co to jest, i powiadano im, że jacyś żołnierze tu przyjechali po pana.

■— Po pana? — zapytał lowczyc z zadziwieniem.

— Po tego pana, który tu mieszka, a który snać nie pan jest, jeno jakiś łotrzyk wierutny; -- odpowiadali furmani, którzy byli z pod Warszawy.

Więc szli wszyscy na górę, starca z pacholęciem wiodąc pomiędzy sobą.

A kiedy weszli do Pakoszowej komnaty, zastali tam trzech żołnierzy cudzoziemskiego autoramentu, pomiędzy którymi jeden był oficer. Z nimi razem stał szlachcic jakiś, mąż z pozoru stateczny i poważnie ubrany. Pakosz w pomiętych sukniach z pomiętą na głowie peruką i tak wybladły a pomieszany, że mu się aż cała twarz najokropniej skrzywiła, siedział przy stoliku pod oknem i pilnie coś pisał.

Cóż tedy było?

Oto powy kry wały się w Warszawie jego wszystkie łotrstwa, z których najgłówniejszem<sup>^</sup> było to, że ten ministeryalny aplikant poprostu pofalszował dokumenta na korzyść jakiegoś sądowego pniacza, a na których mocy, przytomny tu dzisiaj szlachcic, omal że już wzutym nie został z całej swojej fortuny. To się tam wszystko wykryło, — a że przedtem pokazało się także, że Pakosz i w aktach ministeryalnych jakichś się fałszerstw dopuścił, więc za wdaniem się w to sainegoż grafa Bryła, wydany został rozkaz królewski, ażeby Pakosz został aresztowanym na każdym miejscu, gdziekolwiek przydybanym zostanie: ibi ubi, jak opiówał mandat pisany. Mandat ten jednak byłby pewno nie był wyegzekwowanym, ale szlachcic, któremu na tóms zależało, ażeby zbrodniarz był znaleziony i nieprawość sfalszowanego a tak dlań zgubnego dokumentu sam przyznał u sądu, szukał go wszelkimi siłami: a kiedy dopytał, o egzekucyą rozkazu się upominał i sam z żołnierzami przyjechał.

I tak Pakosz całkiem niespodziewanie przycupiony w własnym swym domu, już był gotowy na wszystko, — jęno jeszcze sobie chwilę wyprosił i coś tam pisał.

Więc kiedy tego wszystkiego cichuteńko na stronie dowiedział się lowczyc, przystąpił do niego, stanąwszy nad nim, i gromkim głosem zawołał:

— Czuj duch panie szwagrze! piękne rzeczy tu wyłazą na ciebie!

Na ten głos piorunowy Pakosz się zerwał ze stolka, pióro

z ręki wypuścił, a obaczywszy łowczyca, twarz zakrył rękami i aż pod ścianę się zatoczył.

A na to starzec ów, w rękę dzierżąc pacholę, wysunął się z izby i przystąpił do niego, mówiąc:

— A i jam tu jest, panie bracie!

Na ten widok Pakosz tylko jęknął boleśnie i prawie obłąkanym już wzrokiem powiódł po komnacie, ale prędko potem się zebrał i urywanym głosem mówił:

— Stało się!... niema czasu... jeszcze mój podpis położę...

To rzekłszy, przyszedł prędko do stolika i pióro wziął w rękę, ale nim usiadł do pisania, podniósł szklankę z wodą, która stała tuż przed nim i wychylił ją, potem siadł i pisał.

Wszyscy stali i p?rzyli to na niego, to nawzajem po sobie. I było milczenie, bo widok takiej srogiej kary, chociaż zasłużenie spotykającej, był jednak przerażającym.

Ale nie długo trwało to smutne milczenie. Pakosz bowiem wkrótce oparł się prawie bezwładnie o poręcz krzesła i głowa zaczęła mu się chylić na piersi.

To ujrzał pierwszy ów szlachcic, który przyjechał wziąć go żywego z domu, izby go żywego przed sądem postawić, i skoczył ku niemu. Ale już było zapóino. Pakosz bowiem w tym momencie padł z krzesła na ziemię, ale to tak silnie, jak gdyby nim co rzuciło. Szlachcic się porwał za głowę, — a on tymczasem zaczął się wic w boleściach na ziemi, jak gdyby konał.

Na to wszyscy krzyknęli:

— Struł się! umiera!

I przyskoczyli wszyscy ku niemu, i obstąpili go kołem.

A tymczasem już słońce zaszło było, i mrok zaścielał komnatę.

A Pakoszowi oczy się wywracały w orbitach, jak gałki w zegarze, twarz się cała skrzywiła, usta się zapieniły, i wił się po ziemi w bólu jak gad plugawy, kiedy mu głowę rozgniotą.

I tak wijąc się, konał.

A po skonaniu żarzą zczerniał cały jak węgiel, i tak pogięty i pokrzywiony leżał trup jego obrzydły i niknął w coraz ciemniej zapadającym zmroku.

A wszyscy patrząc nań, stali dokoła w milczeniu.

Jeden tylko szlachcic on obcy desperował i w głowę zachodził, mówiąc że już sprawa jego przepadła.

Wszakże się niebawem pocieszył, bo skoro wzięto do ręki ów papier, na którym Pakosz coś pisał przy stole, znaleziono na nim spisane wyznanie, że ów dokument rzeczywiście przez niego był zfelśzowany. I pokazało się ztąd, że Pakosz już przed przyjazdem nowych swych gości był na śmierć przygotowany. Dalej, na tym samym papiórze był zaczęty testament, ale potem, po przyjsciu łowczyca i jego stryja, zmazany i tylko podpis położony natomiast.

Szlachcic tedy z radością porwał papier i schował go w zanadrze, a pożegnawszy wszystkich statecznie, zaraz wraz z żołnierzami odjechał. '

Pocóżm wniesiono światło i przystąpiono do przeglądania pozostałości po zmarłym. A kiedy otworzono szkatułę, znaleziono tam przeszło pół miliona pióńędzy.

Na ten widok wszyscy odskoczyli od tej szkatuły; bo ileż to tam łez, ile krwi, ile nędzy ludzkiej było na tych pieniądzech!

Więc łowczyc to wszystko chciał oddać panu Michałowi, posuwając ku niemu i mówiąc: .

— Oddasz mi tylko to, co gotowizną pożyczyłem był nieboszczykowi.

Ale pan Michał jeszcze dalej od szkatuły odskoczył, przeżegnał się i rzekł:

— Broń Chryste Panie! Takich pióńędzy nigdy się jeszcze moja ręka nie dotknęła i nie tknie! Pół wsi i dwanaście tysięcy odbiorę, bo moje, ale resztę niech bierze siostra jego, a więc ty, panie szwagrze.

Ale łowczyc się także wyrzekł tak nabytój spuścizny.

Więc wisiało to w wątpliwości czas jakiś, \* a potóm pan Michał zasiadł na całóm Zahoczczwiu, zobowiązawszy się płacić ło w- czycowi corocznie połowę intraty; z pióńędzy zaś, pan Michał odebrał swoje, ile się tego pokazało z sumiennego rachunku, potem pozafatwiano wszelkie nawet najwątpliwsze obcych ludzi pre- tensye, a resztę oddano na kościół z tą intencją, ażeby tam msze były odprawiane za grzóch y nieboszczyka Pakosza.

I taka tó była śmierć tego drugiego wroga braci ślubnych,— i taki podział pozostałej po niin fortuny.

Tym sposobem uwolnieni od swoich wrogów obadwa bracia, odetchnęli cokolwiek wolniój i zabrali się do naprawy tego "wszystkiego, co przez czas nie ich panowania popsutóm i \* powywraca- nóm zostało w ich domach i gospodarstwach.

Ale im nie szła jakoś od ręki robota.

Bo chociaż już byli wolni i swobodni, nikt ich nie gnębił i żadnych im rozkazów nie dawał i przeto mogli .nie tylko uczuć się w dawnej sile i energii, ale nawet się poweselić: toż jednak oni nie zhardzieli wcale tem swojóm zwycięstwem i dawszy tylko Panu Bogu na podziękowanie cichuteńkie Te Deum odprawić w swoim parafialnym kościele, byli jeszcze wciąż smutni i nigdy uśmiech na ich twarzach nie siadał.

A ten ich smutek nie z jednego tylko wypływał źródła i nie jednój był skutkiem przyczyny.

Więc najpićrw te dwie śmiercie, obiedwie tak okropne i straszne i w jednym dniu jakby ż rozkazania Bożego spełnione, chociaż dotknęły głównych ich nieprzyjaciół, głębokie na ich umysłach uczyniły wrażenie.-

Potóm chociaż przez te dwie śmiercie oni obadwa się uwol

nili od swoich wrogów, oczyścili drogi swego przyszedłego żywota i oczyścili swe własne sumienie, jednak przez nie wykryło im się dopióro w całej nagości dawne ich położenie. \* Więc hańba, którą Barbarka postępkami swojemi wniosła w dom pana stolnikowicza, - więc druga hańba, którą Pakosz odsłoniem swych zbrodni rzucił na dom tak blisko spokrewniony z panem łowczycem, siadły na ich sercach jak widma drapieżne i gryzły je i nie dawały im sypiać po nocach.

A nakoniec, chociaż runęły już w śmierć niepowrotną główne ich dawnój niedoli przyczyny, jednak- jeszcze pozostały na nich i koło nich tój niedoli różne następstwa i skutki. Bo jako drzewo, chociaż się pniem całym powali na ziemię, długo jeszcze potem\*korzeniem swoim siedzi głęboko w ziemi, tam gnije i często jeszcze ztamtąd nowe latorośle wypuszcza: tak też i tutaj, chociaż Bartek i Pakosz dawno już na cmentarzach leżeli, żyli oni jeszcze z swojemi dawnemi uczynkami na ziemi i przypominali się co godzina, co chwila dawniejszym swym przeciwnikom.

Więc w kilka dni po onym dniu strasznym Ewa odesłaną została do sądów sanockich i po krótkich badaniach spłonęła na stosie.

Potóm sługi niektóre zobudwu dworów, na które się pokazało, że były winne współnictwa w łotrswach przeciwko ich panom przedsiębieranych, srodze były karane.

Potóm ruina w gospodarstwach, w dobytках i wielu drogich pamiątkach po ich ojcach utrata, co się wszystko teraz dopióro powyjawiało, niemałym smutkiem napelniały ich serca.

A nakoniec żony im obiedwie leżały.

Ale wszystko to, za usunięciem głównej przyczyny złego, samo się powoli usuwało i do dawnego stanu wracało.

Więc najpierw Barbarka, dowiedziawszy się o tak okropnej śmierci swojego miłośnika i z nią wszelką już utraciwszy nadzieję, zapadła w ciężką chorobę. I widać Pan Bóg sam już nie chciał, ażeby się dalej snuło to życie, które się tak występnie poczęło. Barbarka bowiem, kilka dni tylko chorując, umarła. Ciało jej od-prowadzone zostało do Balogrodu i pochowane obok grobu rodziców,— ale pogrzeb jej odprawił się sprutno i ponuro. Mąż jój, łowczyk i wierna jój nigdy służebna Józefka składali cały orszak pogrzebowy.

Wkrótce po śmierci Barbarki, Wincenty już ożeniony ze swoją podstolanką, do Żernicy przyjechał. On się chciał z siostrą i szwagrem szczęściem swojóm podzielić, ale tymczasem tylko jeszcze raz na grobie rodziców zapłakał, pomodlił się z wielkim żalem na grobie siostry... i odebrawszy po niój spuściznę, smutny do domu odjechał.

Zona łowczyca atoli dłużej jeszcze ciągnęła. Ale jój dnie także już były policzone. Nieszczęścia, które jój miękki i z natury drażliwy umysł po tyle kroć dotykały, skołatały jój ciało tak, że

już tylko tłała ta blada lampa, niemająca. żadnego gruntu pod sobą. Śmierć brata jeszcze zgubniej na nią wpłynęła,—i wkrótce się pokazały suchoty. Więc blada jak ściana, zwiędła i wychudła jak kwiat zasuszony, z wybladłemi usty, z wypieczonemi rumieńcami na twarzy i z codzien więcej gasnącemi oczyma, leżała ona tak jeszcze przez całą zimę. Mąż jój, niemając żadnego żalu do niej ani nawet żadnój niechęci, całe dnie i noce przesiadywał u jej łoża i wszelkiemi otoczył ją staraniami; ale już to nic nie pomagało. Julia coraz bardziej upadała na siłach i gasła spokojnie. O wiosnie, kiedy jeszcze gorzej zapadła i już ją odstąpili lekarze, posłał jeszcze po starego kapelana, który zawsze się bawił leczeniem. I przyszedł ten dziwny i dziwaczny staruszek, któremu znać Pan Bóg na to umysł trochę zdziwaczył, aby mu dał starość lekką i wesołą...^ przyszedł, stanął nad łożem, wpatrywał się długo w twarz Julii, a potem ewangelią nad nią odczytał. A kiedy go się potem mąż w drugiój izbie pytał, czy jest jaka nadzieja? odpowiedział mu staruszek przysłowiem:

Kiedy starzec przeżył marzec, będzie zdrów.

Lecz gdy baba w maju słaba — pacierz mów.

Jakoż umarła ona rzeczywiście w połowie maja.

Śmierć jej była tak cicha i pokorna, jak ciche było jój życie. A podczas, kiedy jej dusza uleciała w te światy bezgraniczne, w które z taką tęsknotą nieraz wybiegała za życia: ciało jój ubrane w białą suknię i położone w trumnę niebieskim aksamitem obitą, pochowano przy grobie jój matki, jedynój istoty, która ją umiała pojmować na tój całej tak ludnój ziemi.

I owo ze śmiercią Julii zostali znowu bracia ślubni samotni i już prawie nikt z tych ludzi nie został, którzy mieli z nimi bliższą styczność w dniach ich nieszczęścia i niedoli.

Po tych nagłych i gwałtownych wypadkach, które tak jak pioruny śród wielkiej burzy uderzały jeden po drugim, długo jeszcze bracia ślubni przyjść do siebie nie mogli. . Wszakże byli oni jeszcze młodzi i czerstwi i mieli jeszcze daleko większą połowę życia przed sobą, niżeli ta, którą przeżyli. Więc kaźden tydzień, kaźden miesiąc coraz bardziej zaciórał owe krwawe ślady w ich sercach, coraz wyżej ich umysł podnosił i do pracy około siebie i pospolitego dobra obudzał. A skoro tylko co poczęli, Bóg błogosławił ich rękóm. Więc powrócony został dawny porządek w ich domach i gospodarstwach, rodziły im pięknie niedawno co spusto-<sup>s</sup>załe role. napelniały się stajnie i obory, zaopatrywały się na



nowo w wszelkie dostatki spizarnie, a podczas, kiedy przyjaźń ich dawna z biernój na chwilę, stała się napowrót czynną, powróciły z małemi odmianami dawne szczęśliwe ich czasy.

Więc ich dobra sława i wiara publiczna odżywiła się na nowo w powiecie, otoczono ich dawną czcią i szacunkiem, a oni stali się znowu obrońcami uciśnionych, dobrodziejami potrzebnych, rozjemcami zwaśnionych, a podczas, kiedy gość na gościa przyjeżdżał do ich po staremu dostatnich i otworem stojących domów, otóż i oni się nie przykuwali do swoich progów, i pokazy wiali się często po blizkich i dalekich sąsiedztwach.

I po minionych dniach smutku i nieszczęścia, sława ich rosła coraz więcej i więcej.

Stolnikowicz, pomimo woli i przeciwko swej chęci, został wybrany sędzią ziemskim sanockim.

Łowczyca szlachta w sądowój wiszni obwołała cześnikiem.

Wkrótce potem król nowy siadł na polskim • tronie. I wszczęły się ztąd zamieszki i nieporozumienia, które ogarnęły kraj cały. Bracia ślubni, biorąc już odtąd czynny udział we wszystkich sprawach publicznych, byli na tej elekcyi i należeli potom do tych zamieszek, ale unieśli z nich prawość swojego serca i czystość sumienia.

Wybuchła potem wojna, a później po niej były inne. Bracia ślubni we wszystkich tych wojnach służyli, zawsze koń przy koniu w potrzebie a pod jednym namiotem w obozie, a jako w pokoju jasno błyszczały ich cnoty domowe, tak tam wj<sup>^</sup>szły na jaw cnoty ich bohaterskie.

A podczas ich niebytności .pozachodziły tu niektóre zmiany po ich sąsiedztwach.

Stary pan Michał, wychowawszy syna uczciwie i bogobojnie, umarł w spokoju, a z niego odrodziło się potom pokolenie szlachty ubogiej lecz godnój, która w uczciwości i cnocie nie wygasła do dziś dnia.

Ojciec Pakosza i Julii jak zniknął natenczas, tak już nie pokazał się nigdy i wieść nawet o nim zginęła.

Stary kapelan żył jeszcze lat kilka, bawiąc się pacierzami i roznosząc lókarstwa i pociechę pomiędzy ludzi, aż tóż dnia jednego znaleziono go w jego chatce na górze w lesie, z książką nabożną w ręku i z szablą przy boku, nieżywego; leżał z kolanami zgiętymi przy swoim klęczniku a ptactwo pilnowało ciała jego.

Grott, który zręcznie umi<sup>^</sup>jąc sterować swą łódkę, cało wyszedł z onój straszliwej burzy, pomimo to jednak już nie długo popasał na Rogach, a mając dobrze naładowaną kaletę, wyniósł się gdzieś w inne strony i wioskę tam zakupiwszy, dworował sobie po staremu ze szlachty, niechcący nauki im dawał i zdała od wrzawy wojennój, wiódł życie spokojne.

Podkomorzyc, lubo się przez odziedziczenie znacznych sukce- syj i zespolenie trzech, fortun ogromnych, bo i po Bartku wszyst

ko spadło na niego, stał -prawie magnatem, nie długo jednak cieszył się i fortuną i życiem. Utraciwszy bowiem na potrzeby krajowe prawie trzy czwarte tego, co posiadał, jednego syna i młodą zostawiwszy po sobie wdowę, sam zginął w jednej z wojen.

Pani łowczyzna także, syta rządów domowych i odświeżonej sławy swojego syna, w kilku latach ten świat pożegnała.

Ale bracia ślubni zdrowo powrócili ze wszystkich wojen, kres tylko kilka przynieśli na pamiątkę ze sobą.

I Żyli jeszcze potem długo, sąsiadując ze sobą i kochając się po staremu. A z latami przyjaźń ich się jeszcze wzmocniła. Stali się prawie jedną duszą, dwa ciała mającą. I była wszelka wspólność i jaknajzupełniejsza otwartość pomiędzy nimi. I tylko po jednej tajemnicy uchowali wzajemnie przed sobą: więc łowczyca nigdy się z tem nie pochwalił przed bratem, że tylko z poświęcenia się dla jego sławy i spokoju ulubiony coelibat podeptał i z Julią się ożenił; stolnikowicz zaś nigdy się nie przyznał do tego, że skołatany nieszczęściem, omal że nie upadł przed światową pokusą i ciężko przeciwko bratu nie zawinił. Ale i tajemnice, kiedy chowali dla siebie, to je chowali zarówno, bo tylko po jednej.

Powróciwszy z wojen, lubo dobrze skołatani na zdrowiu, nie przestali oni jednak jaknajmniej zajmować się sobą a jaknajwięcej służyć swym bliźnim. Więc po staremu byli znowu obrońcami uciśnionych i dobrodziejami potrzebnych. I stali się patryarchami miejsc swoich rodzinnych, a dziwną czcią i szacunkiem otoczyło ich pokolenie dopiero co wzrosłe.

Jakoż jeszcze w pierwszych latach niniejszego stulecia można było często widywać na ganku w żernickim dworze dwóch go- łąbkowatych staruszków. Siadali oni tuż blisko przy sobie i gości łaskawych wyglądając, przy ulubionych luleczkach srebrnymi kubkami stary miodek popijali. A przy miodku przypominali sobie swoje dawniejsze czasy i żywymi rzecz objaśniając gestami, coś sobie opowiadali. Więc o swojej młodości i swojej przyjaźni; więc

O zajazdach i sądach doraźnych, które niepowołani sprawiali; potem znów o sejmie cotmocationis po śmierci Sasa, więc o elekcyi, więc potóm o wojnach, a kiedy już wpadli na to pole, to już kozaczek jeno gąsiorki nosi a nosi z piwnicy, kury spać pójdą, ba!

I północ się zbliża, a oni sobie jeszcze dość naprzypominać nie mogą onych dni świetnych, w których ich imię takie głośne było po świecie.

A już o onych czasach ich smutków i niedoli prawie nigdy wspomnienia nie było. Dnie te bowiem zdawały się im jakby jakąś próżną kartą w historii ich życia... jakby krótka jakaś chwila, bez żadnego pożytku strawiona... jakby sen jakiś niewyraźny, któren szybko przeminął i nie zostawiwszy śladu po sobie w ich życiu, żył tylko jeszcze w coraz bardziej ciemniejących wspomnieniach.

KONIEC BRACI ŚLUBNYCH.